

W SZPONACH

LUCYFERA

DAVID GILMAN

1

Dzień był zbyt piękny na to, by umrzeć.

Max Gordon wpatrzył się w ostre górskie szczyty wcinające się w kryształowo przejrzyste niebo. Z doliny za nimi uniosło się cienkie pasemko mgły, zawirowało szybko i rozplynęło się pomiędzy poszarpanymi wierzchołkami. Ze skalnych grani osuwały się pióropusze śniegu niczym chmary białych motyli latających nad łąką. Nie było to jednakże łagodne lato w Anglii. Max i jego najlepszy przyjaciel Sayid znajdowali się na wysokości dwóch tysięcy metrów wystawieni na mroźną, nieprzewidywalną aurę i zdani byli tylko na siebie.

Sto metrów nad głową Maksa ze skalnej ściany zwisał chwiejnie śnieżny splecieć wielkości futbolowego boiska. Wystarczy, że lekki powiew wiatru poruszy gałęzie drzew uginających się pod ciężarem śniegu, a

tysiąctonowa lawina runie w dół, miażdżąc Maksa i jego rannego przyjaciela.

Sayid Khalif leżał pięćdziesiąt metrów dalej, skulony z bólu i przerażenia. Max musiał dotrzeć do niego i jak najszybciej sprowadzić go ze zbocza. A czas naglił! Struga śniegu spłynęła z chrzęstem tuż obok rannego.

- Nie ruszaj się! - zawołał Max, ostrzegawczo unosząc rękę.

Zaczął iść ostrożnie w jego kierunku, sondując śnieżną pokrywę utrzymaną pionowo deską snowboardową. W końcu, dysząc ciężko z wysiłku, opadł na kolana obok Sayida. Zębami zdjął rękawicę i delikatnie dotknął nogi przyjaciela.

7

Sayid krzyknął z bólu i zacisnął powieki, a potem otworzył szeroko oczy, z których wyzierało cierpienie.

- Przepraszam, stary - powiedział Max, zerkając czujnie na groźne białe nawisy nad nimi.
- Złamałem nogę - jęknął Sayid.
- Wcale nie. Prawdopodobnie tylko skręciłeś kostkę.
- Tak myślisz?
- Jasne - skłamał Max. - Świetnie sobie radziłeś. Trzeba było tylko trzymać się bezpiecznych stoków i nie zbaczać z wyznaczonej trasy.

Pomógł przyjacielowi usiąść i otarł mu śnieg z twarzy.

To był idiotyczny zakład: kto pierwszy zjedzie na dół - Sayid na nartach czy Max na snowboardzie. Sayid zignorował ostrzeżenie przyjaciela i wybrał skrót poza nartostradą. Skończyło się na tym, że po kilkuset

metrach wpadł w tę zdradliwą szczelinę, uderzył w zwalony pień drzewa leżący tuż pod śniegiem i przeleciał w powietrzu dziesięć metrów. Miał szczęście, że nie skręcił sobie karku.

Max wyszarpnął ściągacz z kurtki przyjaciela i związał nim na krzyż jego nartę z pękniętym kawałkiem drugiej.

- Robisz łubki?- spytał Sayid.

Max pokręcił głową.

- Nie zasłużyłeś na nie, kretynie. To pomoże ci się stąd wydostać.
- Chyba żartujesz? Konam z bólu. Potrzebny mi jest raczej śmigłowiec.
- Nie będziesz już niczego potrzebował, jeżeli ta masa śniegu za chwilę ześlizgnie się ze szczytu - rzekł Max, wskazując głową w górę.

Jakby na potwierdzenie jego słów rozległ się złowieszczy chrzęst. Olbrzymia bryła śniegu oderwała się od skały i z hukiem potoczyła się w dół po drugiej stronie zbocza.

- Co teraz zrobimy?!

8

- Jeśli zaraz się stąd nie wyniesiemy, będzie po nas - sapnął Max, dźwigając przyjaciela na nogi. - Musimy ruszać. Chwyć się tego krzyżaka. - Zacisnął dłonie Sayida na fragmencie narty, który służył teraz za uchwyt. - Usiądź na nieuszkodzonej nartce, trzymaj się mocno i zjedź na dół.
- Zaczekaj chwilkę - powiedział Sayid. Pogrzebał w kieszeni, wyjął sznur małych czarnych koralików, owinął go sobie wokół pięści, ucałował, a potem nerwowo kiwnął głową do kumpla. -Dobra, jazda! - zawołał.

Gdy Max go zepchnął, Sayid poczuł, że lęk o życie bierze górę nad przeszywającym bólem nogi. Ześlizgując się ze stoku, wyglądał jak mały chłopczyk na trójkołowym rowerku, któremu stopy spadły z pedałów. Wiatr poniósł do Maksa jego okrzyki przerażenia.

Max zdążył tylko przypiąć deskę, kiedy zboczem ruszyła lawina. Jak zahipnotyzowany wpatrywał się w gigantyczną masę śniegu spadającą na niego jakby w zwolnionym filmie. W ułamku sekundy przemknęło mu przez głowę, że w żaden sposób nie zdoła uciec takiej potędze natury. Ziemia zaczęła drżeć. Max ugiął kolana i rzucił się na desce w dół. Zwały śniegu strzaskały drzewa dwieście metrów na prawo od niego. Osypał go biały pył, a w plecy uderzył podmuch powietrza wywołany przez czoło lawiny. Max pochylony naprzód pędził w dół najszybciej, jak mógł, biorąc ostry skręt. Przez ponad sto metrów lawina schodziła równolegle do niego, zmiatając wszystko po drodze i rycząc wściekle jak olbrzymi drapieźny zwierz ścigający ofiarę.

Chłopiec poczuł w żyłach gwałtowny przyptyw adrenaliny. Ogarnęła go dzika euforia. Nie zważając na śmiertelne niebezpieczeństwo jazdy na skraju ogromnej śnieżnej fali, roześmiał się głośno.

„Dalej! Szybciej! Nie dościgniesz mnie! Pokonam cię!” - krzyczał w duchu.

9

Z głównego nurtu lawiny wyrwała się bryła śniegu wielkości sporego głazu i runęła w kierunku Maksa, przywracając mu nagle poczucie rzeczywistości. Chłopak skręcił gwałtownie i w kolana uderzył go skłębiony skraj lawiny.

„Nie przewróć się! Tylko nie teraz!” - przemknęło mu przez głowę.

A potem raptem wszystko się skończyło. Za ledwie kilka metrów od niego lawina rąbnęła z potworną siłą w śnieg, skały i ścianę lasu.

Max zahamował ostrym poślizgiem, ze zgrzytem rozpryskując spod deski pióropusz białego puchu, i zatrzymał się, a potem obejrzał za siebie. Miejsce, w którym jeszcze przed chwilą stali obaj z Sayidem, zniknęło pod zwałami śniegu.

Obecna cisza była niemal równie przerażająca jak wcześniejszy ryk lawiny. Sayid przemknął tuż pod ośnieżonymi gałęziami i znajdował się teraz w bezpiecznym miejscu po drugiej stronie stoku. Max odetchnął łapczywie zimnym górskim powietrzem. Wciąż jeszcze czuł upojenie tą szaleńczą jazdą i swoim sukcesem, ale nie miał żadnych złudzeń: gdyby lawina go zagarnęła, zostałby pogrzebany żywcem i zmiażdżony.

W niewielkiej klinice w miejscowości Mont la Croix unieruchamiano złamane kończyny narciarzy i zapewniano im opiekę przed wysłaniem do miejskiego szpitala. Pacjentami byli zazwyczaj jęczący z bólu dorośli, którzy sądzili, że jazda na nartach jest rzeczą najprostszą pod słońcem, niewymagającą treningu ani zaprawy kondycyjnej, i że może ją opanować nawet idiota. Istotnie, tacy właśnie idioci trafiali tutaj ze złamanymi nogami.

Max przyglądał się, jak jego przyjacielowi unieruchomiono nogę w specjalnych nadmuchiwanym łubkach sięgających od stopy aż do kolana. Potem przewieziono go na wózku na oddział pomocy doraźnej.

- Mówiłem ci, że jest złamana - jęknął Sayid.

- Czy bardzo z nim źle? - zapytał Max młodą pielęgniarkę.

Francuzka uśmiechnęła się i odparła z uroczym śpiewnym akcentem:

- To nic poważnego - tylko pęknięcie kości stopy. Tutaj udzielimy jedynie pierwszej pomocy, a potem wyślemy go do szpitala w Pau, odległego o dwie godziny drogi. Tam włożą mu nogę w gips.
- Czy polecę helikopterem? - spytał z nadzieją Sayid.
- Nie, twoja kontuzja nie jest aż tak poważna - odpowiedziała z uśmiechem pielęgniarka.
- Zawsze mogę ją pogorszyć - zaproponował Max.
- Nawet tak nie żartuj - rzekła dziewczyna z lekką przyganą. - Obaj mieliście mnóstwo szczęścia. To cud, że nie zgarnęła was lawina. Teraz już zabroniono zjazdów poza wyznaczonymi trasami.

Max i tak miał już wyrzuty sumienia, że naraził przyjaciela na niebezpieczeństwo. Obiecał przecież matce Sayida, która była nauczycielką w ich szkole, że będzie uważał na jej jedyne syna.

- Czy mogę pojechać do szpitala razem z nim? - spytał.

Zanim pielęgniarka zdążyła odpowiedzieć, odezwał się Sayid:

- Nie, nie możesz. Jutro są finałowe zawody. Jeśli drogi będą oblodzone, nie zdążysz wrócić na czas. Dam sobie radę, a ty jesteś już blisko celu i masz szansę na wygraną.

Miał rację. Max wciąż jeszcze nie mógł uwierzyć, że zaszedł aż tak daleko w mistrzostwach juniorów w sportach ekstremalnych. Mimo pomocy finansowej taty dysponował skromnymi środkami i musiał imać się najdziwniejszych prac, żeby zarobić dość pieniędzy. Nie stać go było wprawdzie na kupno najlepszego ekwipunku, ale wystarczyło na pokrycie

kosztów wyjazdu we francuskie Pireneje i udział w zawodach.

Max od dwóch lat przygotowywał się do występu w tych mistrzostwach, dopingowany gorąco przez swoich nauczycieli. Liceum w Dartmoor niebyło zwykłą szkołą średnią. Zbudowane w skalnym górskim zboczu na północnym krańcu Parku Narodowego Dartmoor przypominało niewielką średniowieczną twierdzę. Szkoła zapewniała solidne wykształcenie, a zarazem wielką wagę przywiązywano w niej do kondycji fizycznej wychowanków będącej źródłem ich samodzielności i zaradności. Na okolicznych wrzosowiskach trenowali nie tylko uczniowie liceum - teren był na tyle trudny i zdradliwy, że służył za poligon dla brytyjskich oddziałów lądowych oraz piechoty morskiej.

Brakowało tu jednak ośnieżonych stoków, toteż Max musiał ćwiczyć umiejętności narciarskie, jeżdżąc na deskorolce. Zjazdy stromą i wyboistą asfaltową szosą, dodatkowo wybrzuszoną przez korzenie głogów, oswoiły go z szybkością i wyrobiły w nim świetne poczucie równowagi, a gęste wrzosa łagodziły liczne upadki. Ostatecznie dzięki tym zjazdom oraz treningom na sztucznym stoku narciarskim w Plymouth nauczył się wystarczająco dużo, by móc wziąć udział w mistrzostwach w sportach ekstremalnych. Teraz do końca pozostały tylko dwie jutrzejsze decydujące konkurencje.

Pielęgniarka dostrzegła jego rozterkę.

- Może zdołam ci pomóc - powiedziała. - Drogi rzeczywiście są oblodzone, więc karetka prawdopodobnie nie zdąży dzisiaj wrócić z Pau i dopiero jutro będzie mogła zawieźć twojego przyjaciela do szpitala. Myślę, że będziemy mogli przenocować go dzisiaj u nas.
- To doskonały pomysł - odezwał się Sayid. - Nie mam ochoty, żebyś

dźwigał mnie w schronisku po schodach na trzecie piętro.

• Wasz pokój jest na piętrze? - spytała pielęgniarka. - W takim razie musisz zostać tu na noc. Zaczekajcie chwilę, zaraz coś zorganizuję.

Zostawiła obydwu chłopców i poszła do recepcji sprawdzić, czy jest jakieś wolne łóżko.

Sayid uśmiechnął się do Maksa z zadowoleniem. Łóżka w schronisku były wykonane z drewnianych listew i miały twar-

12

de materace, a w prysznicach woda zazwyczaj kończyła się przy akompaniamencie warczących rur dokładnie w momencie, gdy stało się namydlonym. W porównaniu z tym wygodny nocleg w szpitalu z pielęgniarską opieką jawił mu się jako coś w rodzaju krótkich wakacji i niemal rekompensował ból pękniętej stopy. Max wyjrzał przez okno. Z powodu ostatnich wydarzeń stracił poczucie czasu i dopiero teraz uświadomił sobie, że zrobiło się już późno. Światła ulicznych latarni rzucały głębokie cienie na chaotycznie rozrzucone zabudowania. Ten zimowy pejzaż wyglądał uroczo, lecz chodniki były śliskie i Max miałby trudności z przetransportowaniem przyjaciela do schroniska, gdzie mógłby dostać gorący posiłek i nocleg.

- No dobrze, Sayid, ty farciarzu. Odwiedzę cię w Pau po za wodach, okej?

Sayid skinął głową, ale gdy przyjaciel odwrócił się do drzwi, chwycił go za ramię ze zmartwioną miną.

- Co takiego? - spytał cicho Max.

Sayid zawahał się, po czym ze smutkiem pokręcił głową.

- Zgubiłem koraliki taty.
- Gdzie?
- Kiedy przejeżdżałem pod tymi niskimi gałęziami.

Max przypomniał sobie trasę zjazdu przyjaciela, gdy obydwaj uciekali przed lawiną. Wiedział, że te koraliki mają dla Sayida wielkie znaczenie, i odruchowo dotknął starego zegarka z nierdzewnej stali, który nosił na nadgarstku. Jego ojciec używał go podczas wspinaczki na Everest przed dwudziestu laty, a potem podarował Maksowi na dwunaste urodziny. Na kopercie był wygrawerowany napis: „Dla Maksa. Nic nie jest niemożliwe. Kocham cię. Tata”.

Ojciec Maksa uratował Sayida i jego matkę na Bliskim Wschodzie z rąk morderców, którzy wcześniej zastrzelili tatę chłopca. Ten sznur koralików noszący nazwę *misbaha* był jedną z niewielu rzeczy, jakie zostały Sayidowi po ojcu. *Misbaha*

13

składająca się z trzydziestu trzech lub dziewięćdziesięciu dziewięciu paciorków służy jego właścicielowi do wielu celów - od medytacji po rozładowanie napięcia. Te modlitewne koraliki były w pewnym sensie przedmiotem bardzo osobistym i chociaż wykonano je ze zwykłego hebanu, dla Sayida miały bezcenną wartość jako pamiątka po zamordowanym ojcu.

„Przed kilku laty mój tata ryzykował życie, aby ocalić rodzinę Sayida - pomyślał Max. - A co ja teraz zrobiłem? Przez idiotyczny zakład naraziłem najlepszego przyjaciela na niebezpieczeństwo. Sayid mógł zginąć na tym stromym śnieżnym stoku”.

Max poczuł się za niego odpowiedzialny tak jak niegdyś jego ojciec.

- Poszukam ich po zawodach - obiecał.
- Nie rób tego, to zbyt ryzykowne - odparł Sayid. - Nie są warte tego, żeby przez nie zginąć.

Śnieg i lód chrzęściły pod stopami Maksa, gdy szedł słabo oświetlonymi ulicami do schroniska położonego na skraju tego miasteczka. Mętne ponure światło rzucało złowrogie ruchome cienie na kamienne ściany starych domostw. Miejscowość leżąca w wysokich partiach Pirenejów tylko w niewielkim stopniu uległa wpływom nowoczesnego świata, a zabytkowe latarnie uliczne sprzed ponad pięćdziesięciu lat pełniły raczej funkcję ozdobną.

Max niósł na ramieniu swoją deskę snowboardową i narty Sayida. Miał wielką ochotę na pizzę i kubek gorącej czekolady. Był wyczerpany po męczącym dniu w górach. Ogarnął go dręczący niepokój o wynik jutrzejszych zawodów. Pogrążony w rozmyślaniach nie zauważył ciemnej sylwetki, która przemknęła między domami po drugiej stronie ulicy. Potem jednak usłyszał stłumione stęknienie. Spojrzał w górę i spostrzegł jakąś postać, która zeskoczyła z niskiego muru na chodnik, wsparła się nogą o zaparkowany samochód, żeby odzyskać równowagę, i odbie-

gła lekkim elastycznym sprintem. Wszystko **to trwało zaledwie** chwilę.

„*Parkour*” - pomyślał natychmiast Max.

Rodzaj swobodnego biegu po mieście wymyślony przez grupę francuskich entuzjastów, który zyskał obecnie oddanych zwolenników na całym świecie. Pokonują oni swoisty tor przeszkód, wykorzystując

wszelkie dostępne obiekty - domy, samochody, mosty. Ten ubrany na czarno biegacz był szybki i miał świetny zmysł równowagi.

Max stracił go z oczu - lecz tylko na kilka sekund. Potem ciszę rozdarł przeraźliwy warkot terenowych motocykli. Pojazdy z rykiem silników wypadły na ulicę z kilku bocznych alejek. Dzięki oponom z kolcami bez trudu skręcały i kluczyły po oblodzonej jezdni, a ich reflektory wydobyły z mroku postać biegacza. Jeźdźcy błyskawicznie otoczyli go ciasnym kręgiem maszyn, tak że ledwo mógł uniknąć zderzenia, i zaczęli z niego szydzić. Motocykle zdawały się rywalizować o to, który wywoła największy hałas, a dym ich spalin przesłonił upiornym welonem całe zdarzenie coraz bardziej wyglądające na okrutną napaść.

Czterech spośród sześciu motocyklistów gwałtownie zatrzymało swoje maszyny, tworząc rodzaj czteroramiennej gwiazdy blokującej drogę ucieczki, zaś pozostali dwaj dodali gazu, podjechali do biegacza i staranowali go bokami motocykli. Ryk silników zagłuszył rozpaczliwy krzyk człowieka, który upadł i potoczył się pod koła jednego z pojazdów. Po chwili udało mu się wstać, lecz natychmiast jeden z przejeżdżających obok motocyklistów pchnął go mocno i przewrócił na ziemię.

Max zdał sobie nagle sprawę z tego, że napastnicy chcą okaleczyć lub nawet zabić swą bezbronną ofiarę. Zareagował więc instynktownie, bez namysłu. Rozpędził się, wskoczył na deskę snowboardową i błyskawicznie przemknął z wizgiem po lodzie ponad dwadzieścia metrów. Zamierzał znaleźć jakąś lukę między maszynami i przewrócić jak najwięcej z nich.

Ugiął kolana i balansując ciałem do przodu, jeszcze przyspieszył. Biegacz leżał skulony, może nawet ranny, a motocykliści szykowali się, żeby go rozjechać.

Max uniósł całą nartę Sayida i trzymając ją poziomo przed sobą, wjechał pomiędzy dwa stojące motocykle. Narta pękła, uderzając w obu zaskoczonych jeźdźców i odrzucając ich na boki, tak że wpadli na następnych. Nagle zapanował chaos. Motocykliści i ich pojazdy przewracali się na ziemię, silniki gasły, jedna z maszyn wyrwała się spod kontroli. Błyskawiczny atak Maksa zaskoczył wszystkich napastników.

Promienie reflektorów prześlizgiwały się po twarzach leżących na ziemi motocyklistów i Max dostrzegł, że są mniej więcej w jego wieku. Jeden z napastników zerwał się szybko na nogi i chociaż nadal był oszołomiony, spiorunował go wzrokiem. Max przypatrzył mu się uważnie. Chłopak był starszy od niego o parę lat, a jego twarz miała niezwykle rysy: wydatne kości policzkowe i nos oraz wyraźnie cofnięty podbródek. Dysząc, aby złapać oddech, napastnik z gniewnym pomrukiem odsłonił nierówne połamane zęby. Max miał niejasne wrażenie, że widział już wcześniej podobną twarz. Po chwili wstrząśnięty przypomniał sobie, gdzie to było.

Ojciec zabrał go kiedyś na wakacyjną wyprawę nurkową do ławicy Aliwal w KwaZulu-Natal w Afryce Południowej. W błotnistych rzekach Zambezi wpadających do morza wprost roiło się od rekinów. Rafa znajdowała się w odległości pięciu kilometrów od brzegu i woda była tam całkiem przejrzysta, ale kiedy wypłynęli na powierzchnię, miejscowy nurek zaczął im gwałtownie dawać znaki i wykrzyczał ostrzeżenie przed rekinami: „Johnny Jednooki!”. Tak tubylcy nazywają te zabójcze drapieżniki o ostrych nierównych zębiskach.

Teraz napastnik przypomniał Maksowi taką właśnie bestię o zimnym pozbawionym wyrazu spojrzeniu. Wąska biała blizna po cięciu nożem biegła od jego ucha aż do szyi. Stanowiło to

16

znak ostrzegawczy, że chłopak walczy nieczysto. Max przewyższał wzrostem każdego z motocyklistów z wyjątkiem Rekiniej Twarzy, lecz tamci mieli przewagę liczebną i mogli z łatwością pokonać go, przewrócić na ziemię i skopać albo zrobić mu coś jeszcze gorszego.

Max odpiął wiązanie deski i podniósł smukłego wątlego uciekiniera.

„Pora się stąd zabierać” - pomyślał.

Czarny narciarski kaptur zsunął się z głowy biegacza i na jego twarz spadła burza kasztanowych włosów.

To była dziewczyna.

Za zaparowanymi oknami kawiarni niewyraźnie majaczyły puste ulice. Max i nieznajoma dziewczyna zjedli pizzę i wypili gorącą czekoladę. Od czasu do czasu przejeżdżał jakiś samochód, chrzęszcząc oponami po lodzie, a raz usłyszeli silnik motocyklowy wyjący na wysokich obrotach. Max zeszywniał z napięcia, ale motocykl, nie zatrzymując się, minął restaurację. Dziewczyna uspokajającym gestem dotknęła ramienia chłopca. Jej ciepły dotyk sprawił Maksowi przyjemność, lecz mimo to pospiesznie cofnął rękę i zaczął gmerać widelcem w talerzu.

„Wygląda na to, że Francuzki zachowują się bardziej bezpośrednio niż dziewczyny w Anglii i swobodniej wyrażają swoje uczucia” - pomyślał i skwapliwie zajął się swoją pizzą.

Dziewczyna nazywała się Sophie Fauvre. Sądząc z jej drobnej smukłej

postaci, mogła mieć zarówno czternaście, jak i osiemnaście lat. Dopiero przed dwoma laty wyprowadziła się z Paryża i Max słusznie domyślił się, że uprawia *parkour*. Tej umiejętności swobodnego biegania po mieście nauczył ją starszy brat Adrien. Twierdziła jednak, że dzisiejszych napastników wysłano celowo, żeby ją zranili lub zabili.

- Naprawdę ktoś ich na ciebie nasłał? Skąd wiesz, że to nie była po prostu banda prymitywnych rozrabiaków?

17

- Rozrabiaków? - powtórzyła niepewnie, marszcząc brwi.
- No... eee... - szukał francuskiego odpowiednika tego słowa. - *Loubards*.
- Nie, nie. Zapłacono im, żeby mnie powstrzymali. Zgoda, to jeszcze dzieciaki, ale zachowują się jak dzikie bestie. Ludzie z kasą kupują im wszystko, czego zechcą, a oni robią to, co im się każe. Gdyby mnie dzisiaj zranili, policja uznałaby to za chuligański wybryk grupy wyrostków.
- A dlaczego ci bogaci ludzie, którzy kupują młodym ulicznikom takie odlotowe motocykle, chcieli wyrządzić ci krzywdę?

Dziewczyna milczała przez chwilę, rozważając, czy nie powiedziała mu za dużo. Nie był niczego świadomy, lecz nie zawahał się narazić na niebezpieczeństwo, aby jej pomóc.

- Czy mam może na twarzy resztkę jedzenia? - spytał niepewnie Max.
- Co takiego?
- Bo tak dziwnie mi się przyglądasz.
- Przepraszam, po prostu się nad czymś zastanawiałam. Dobrze,

postaram ci się to wyjaśnić. Mój brat zaginął. Ostatni raz zatelefonował do nas z miasta o nazwie Oloron-Sainte-Marie położonego kilkanaście kilometrów w głąb tej doliny, a potem ślad po nim zaginął. Pomyślałam, że może uda mi się go odnaleźć. Tutejsi ludzie, z którymi rozmawiałam, przypominali go sobie, ale poza tym niczego więcej się nie dowiedziałam, więc na razie wrócę do domu. Może zastanę tam jakąś wiadomość od niego.

•Wracasz do Paryża?

•Nie, do Maroka.

- Aha. Czy przeoczyłem wzmiankę o Maroku?

Roześmiała się. Podobał jej się ten chłopak. Nie mogła jednak ulegać takim emocjonalnym impulsom, gdyż to przeszkodziłoby jej wykonać zadanie. Miał nawyk przeczesywania dłonią zmierzwionych włosów, a potem uśmiechał się i nieśmiało odwracał wzrok.

18

„Ma ładne oczy” - pomyślała. W przyćmionym świetle kawiarni nie potrafiła dostrzec, czy są błękitne, czy może szarobłękitne.

- Teraz to ty mi się przyglądasz - stwierdziła.

Max poczuł zakłopotanie, lecz po chwili się opanował, przytknął palec do ust i odrzekł:

- Masz ser na zębach.

I natychmiast zapragnął zapaść się pod ziemię ze wstydu.

Odprowadził dziewczynę do jej hoteliku. Szli krętymi uliczkami, trzymając się środka wąskiej jezdni, gdzie było stosunkowo najwidniej, i unikając ciemnych bocznych alejek.

Max czujnie obserwował każde poruszenie w cieniach pod domami. Lęk pobudzał krążenie i rozgrzewał lepiej niż najcieplejsze palto, chociaż mróz szczypał go w twarz.

Ojciec Sophie kierował niegdyś Cirque de Paris, lecz z biegiem czasu zaczął coraz bardziej poświęcać się ochronie zwierząt. Kiedy przed kilkoma laty matka Sophie pochodząca z Maroka poważnie zachorowała, rodzina powróciła do jej ojczyzny. Po śmierci żony ojciec dziewczyny utworzył tam organizację zajmującą się ochroną zagrożonych wymarciem gatunków zwierząt. Podobnie jak inni działacze usiłujący powstrzymać nielegalny handel dzikimi zwierzętami często stykał się z groźbami i przemocą. Handlarze zarabiają na swoim procederze olbrzymie pieniądze, a ludzie tacy jak jej ojciec oczywiście psują im interesy.

- Adrien odkrył, że jedna z tras przemytu biegnie przez Hiszpanię i Pireneje. Nie ma tam żadnych posterunków celnych, więc każdego dnia granicę Francji przekraczają tysiące ciężarówek jadących z portów na południu Hiszpanii.

- I twój brat znalazł w którejś z nich dzikie zwierzęta?

Sophie skinęła głową, a potem przybliżyła stulone dłonie w rękawiczkach do ust i chuchnęła, żeby je ogrzać. Kulila się

pod lodowatymi podmuchami wiatru i Maksowi przemknęła myśl, czy nie powinien objąć jej ramieniem.

- Zagrożone wymarciem południowoamerykańskie niedźwiedzie przewozi się statkami z Wenezueli, a następnie transportuje przez Hiszpanię do Francji - powiedziała. - Nabywcy

płacą dodatkowo wielkie premie za każdego przedstawiciela wymierającego gatunku.

- Dlaczego? Czy mają swoje prywatne ogrody zoologiczne?

Sophie potrząsnęła przecząco głową i pomyślała, że być może Max naprawdę nie pojmuje okrucieństwa świata, który rozciąga się poza granicami jego wymarzonego snowboardingu.

- To są myśliwi kolekcjonujący trofea. Strzelają do tych zwierząt i zabijają je. Ci zabójcy liczą, iż pewnego dnia któremuś z nich dopisze szczęście i będzie mógł pochwalić się przed innymi, że zabił ostatnie zwierzę z wymierającego gatunku.

Dotarli do *pension* - niewielkiego hoteliku, w którym wynajmowała pokój. Ulicą przejechał powoli jakiś samochód, pomrukując cicho i szorując koleczastymi oponami po warstwach ubitego śniegu i lodu. Max przesunął dziewczynę za siebie w cień. To było czarne audi A6 Quattro - szybkie, zwinne i bardzo drogie auto z potężnym silnikiem i napędem na cztery koła. Zatrzymało się na skrzyżowaniu. Przyciemnione szyby opuściły się bezszelestnie, ukazując dwóch mężczyzn: kierowcę i siedzącego obok niego pasażera. Obydwaj ubrani byli w czarne golfy i czarne skórzane kurtki. Byli potężnie zbudowani, mieli ciemne krótko przystrzyżone włosy oraz dwudniowy zarost - wymóg mody czy oznaka prawdziwych twardzieli? Max uznał, że raczej to drugie. Ich zimne twarde spojrzenia przeszły go na wskroś.

Potem szyby podniosły się i samochód powoli odjechał. Może jego pasażerowie byli po prostu turystami szukającymi późno w nocy swojego hotelu? Nie mieli jednak na dachu bagażnika na narty i nie wyglądali na ludzi skorych do obrzucania się dla zabawy śnieżkami.

- Znasz tych gości? - spytał dziewczynę.
- Nie, nigdy ich nie widziałam.
- A więc prawdopodobnie nie są dla nas groźni - powiedział i uśmiechnął się do niej krzepiąco, chociaż szósty zmysł ostrzegał go przed czymś zgoła przeciwnym.

Kiedy po raz trzeci zadzwonili do drzwi hoteliku, przyczłapał wreszcie nocny portier.

- Jeśli chcesz, mogę zamówić ci coś gorącego do picia, zanim odejdiesz - zaproponowała Sophie.
- Nie, dziękuję, muszę wracać. Jutro czeka mnie ważny dzień.
- No tak, rzeczywiście. A więc życzę ci powodzenia.

Portier o ziemistej twarzy czekał w milczeniu.

Dziewczyna zniżyła głos:

- Dziękuję ci, Max. Mój ojciec czułby się zaszczycony, gdyby mógł kiedyś jakoś ci się odwdzięczyć.

Wspięła się na palce, położyła dłoń na jego ramieniu i pocałowała go w policzek. Max niezgrabnie odwrócił głowę, żeby napotkać jej usta, i nie wiedząc, co ma zrobić z rękami, niechcący upuścił deskę snowboardową. Poczul na szyi i twarzy gorący rumieniec.

Nocny portier popatrzył na niego z politowaniem.

Sophie przeszła przez próg i znów się uśmiechnęła.

- Na pewno nie chcesz się czegoś napić? - zapytała.
- Nie, naprawdę. Dzięki. Ja... muszę jeszcze coś wyprasować - wymamrotał bezsensownie.

Dziewczyna nic nie odpowiedziała, tylko skinęła głową, po czym

odwróciła się i ruszyła w głąb słabo oświetlonego holu. Portier, teraz już z nieskrywaną pogardą, zatrzasnął Maksowi drzwi przed nosem.

Ser na zębach i prasowanie. Ale wpadka!

Maksa naprawdę czekało prasowanie, jednak nie miało ono żadnego związku z próbą nadania sobie bardziej schludnego wyglądu.

21

W pokoju schroniska dzielonym z Sayidem zdjął materace z obydwu pojedynczych łóżek i oparł snowboard końcami o ich ramy. Na podłodze pod nią rozłożył ręcznik i gazetę, a potem ujął gorące żelazko i trzymając je czubkiem do dołu, przytknął doń kawałek wosku. Następnie skropił roztopionym woskiem powierzchnię deski paskudnie porysowaną od niedawnego ślizgu po oblodzonej jezdni.

Gorąco umożliwiło woskowi wniknięcie w pory spodniej warstwy deski. Po dwudziestu minutach, kiedy wosk ostygł, zeszkrobał jego nadmiar i wypolerował ślizg snowboardu za pomocą szorstkiej strony zmywaka do garnków.

Przygotował swój sprzęt najlepiej, jak potrafił. Teraz musiał tylko nazajutrz rano zająć miejsce w pierwszej trójce w wyścigu górskich kajaków, a potem przygotować się do finałowej konkurencji - akrobacji w stylu dowolnym na snowboardzie.

Nastawił budzik; musiał wstać za trzy godziny.

Potem rzucił się w ubraniu na leżący na podłodze materac, naciągnął na siebie kołdrę i natychmiast zapadł w zdrowy twardy sen.

Wydało mu się, że nie minęły nawet dwie minuty, gdy z tego snu wyrwał go ostry dzwonek budzika.

Eliminacje zawodów w sportach ekstremalnych trwały już od tygodnia. Składały się z trzech konkurencji: crossu na rowerach górskich po stromych zboczach, spływu górkimi kajakami oraz zjazdu na desce w stylu dowolnym. Dzięki przejrzystemu systemowi punktacji od razu było wiadomo, kto przechodzi do następnego etapu. Max był jednym z najmłodszych uczestników, którzy musieli zmieścić się w przedziale wiekowym od piętnastu do osiemnastu lat i uczęszczać do szkoły w Europie. Właśnie dlatego jak dotąd w punktacji prowadził Bobby Morrell, były mistrz juniorów Stanów Zjednoczonych będący uczniem międzynarodowej szkoły pod Tulużą w południowej Francji. Max wiedział, że jest to jego najpoważniejszy rywal. Na szczęście organizatorzy wzięli pod uwagę wysokie koszty ekwipunku i dostarczyli wszystkim uczestnikom identyczne górskie rowery i kajaki. Było to sprawiedliwe rozwiązanie, ponieważ w ten sposób sukces nie zależał od lepszego sprzętu, jedynie od umiejętności zawodników. Inaczej jednak wyglądała sprawa deski. Najlepsi snowboardziści dysponowali sprzętem specjalnie dobranym do każdej konkurencji. Maksowi będzie musiała wystarczyć własna skromna, przeciętna deska - oczywiście o ile powiedzie mu się w wyścigu kajakowym.

Wartki nurt wody ryczał głośno.

- Max Gordon! - zawołał pomocnik organizatorów na zawodach.

- Jestem!

Zawodników uszeregowano na podstawie czasów osiągniętych podczas wcześniejszych eliminacji - najszybsi, czyli Max i Bobby, startowali na końcu. Amerykanin uścisnął mu dłoń i dotknął kłykci.

- Powodzenia, Max - rzucił. - Pamiętaj, uważaj na spadek przy znaku w połowie trasy. Jeśli popełnisz tam błąd, nurt ze pchnie cię przy rozwidleniu rzeki w lewą odnogę. A tam jest ki piel - prawie czwarty stopień. To naprawdę niebezpieczne miej sce. Można tam zginąć, rozumiesz?

Max kiwnął głową. Polubił tego amerykańskiego osiemnastoletniego mistrza, który zawsze dzielił się swym doświadczeniem z młodszymi współzawodnikami. Obydwaj chcieli wygrać, jednak dla Bobby'ego zwycięstwo nie było aż tak ważne jak dla Maksa. Nagroda w wysokości pięciu tysięcy euro umożliwiłaby mu kupno sprzętu i opłacenie kosztów wyjazdu na kolejne zawody. Jego tata nie był zbyt zamożny i chociaż Max dzięki szkolnemu stypendium mógł kontynuować naukę, musiał sam zdobywać pieniądze na wszystkie dodatkowe wydatki.

Zapiął fartuch kajaka chroniący przed bryzgami wody i skinął do pomocnika, że jest gotowy. Ryk wody niemal zagłuszał sygnał elektronicznego urządzenia startowego, toteż asystent organizatorów pomógł Maksowi, rozczapierzając dłoń i odliczając palcami. Pięć palców, cztery, trzy, dwa...

Chłopiec pochylił się i mocniej ujął podwójne wiosło. Głęboki oddech. Skoncentrowanie energii. „Wygraj to. Popłyn szybko... popłyn...”. a, Jeden!

Klakson startowy zaskrzeczał i Max pchnął kajak w pierwszą wirującą falę.

Natychmiast zdał sobie sprawę, że rzeka jest bardziej zdradliwa niż podczas wcześniejszych kwalifikacji na czas. Woda uderzała w kajak i obracała go gwałtownie. Śnieg topniejący wyso-

24

ko w górach sprawił, że nurt rwał wartko niczym w wąskiej rurze pod ciśnieniem.

Napierał piórami wiosła z lewej i prawej strony, przerzucając ciało z boku na bok, by utrzymać równowagę, i wykorzystując wszystkie swoje umiejętności i doświadczenie. Nic więcej nie mógł zrobić, żeby przeciwstawić się naporowi dzikiej rzeki. Kajaki górskie mają wąskie i obłe kadłuby, dzięki czemu są szybkie, lecz zarazem niestabilne i odporne podczas skrętów.

Wokół niego grzmiała rozszalała kipiela. Źle oszacował jeden z wirów i omal się nie wywrócił. Kask uchronił go przed uderzeniem głową o głaz, który powodował to zawirowanie wody. Udało mu się wyprostować łódkę dzięki jej opływowemu kształtowi. W tym miejscu rzeka się rozszerzała, zwalniała i w pobliżu brzegu przechodziła łagodnie w spokojne rozlewisko. Jednak Max pozostał w wartkim głównym nurcie, szamocząc się w ostrych skrętach i wykorzystując pęd wody, aby jeszcze bardziej zwiększyć szybkość. Zbliżał się do najniebezpieczniejszego zakrętu. Nikt inny nie popłynie po tej stronie rzeki - w każdym razie nie z własnego wyboru - gdyż są tam zdradliwe bystrza.

Max spostrzegł, że spieniona woda przewala się z grzmotem przez głazy

ukryte pod powierzchnią. W tym miejscu nurt był najbardziej rwący. Chłopiec skręcił ostro i poczuł, że potężny wodny jęzor zagarnął go i uniósł, po czym błyskawicznie porwał naprzód, a ryk kipieli zagłuszył jego okrzyk radości.

Lodowaty, ostry bryzg wody smagnał Maksa w twarz, a kiedy chłopiec odwrócił się i potrząsnął głową, spostrzegł, że inny kajak pod osłoną cypla wpłynął na spokojniejszy nurt przy brzegu.

To nie mogła być łódka Bobby'ego. Amerykanin w żadnym wypadku nie mógłby doścignąć go na tym odcinku rzeki. Zresztą Morrel wystartuje dopiero wtedy, gdy Max minie linię mety. Mógł więc to być kajak poprzedniej zawodniczki - młodej Niemki, która dobrze radziła sobie we wszystkich wcześniejszych konkurencjach. Czyżby ją dogonił? Czy miała jakieś

25

kłopoty? Czy wiadomość o tym przekazano już do punktu startu? Myśli wirowały mu w głowie, gdy zmagał się z rwącym nurtem. Nie, ten kajak wyglądał na mocniejszy niż używane przez zawodników i był wykonany z włókna węglowego. Siedzący w nim człowiek zdołał przebyć bystrza, a teraz płynął w poprzek rwącego nurtu - co oznaczało, że jest bardzo silnym i wprawnym kajakarzem. I zmierzał prosto na Maksa.

Zaraz się z nim zderzy.

„Boże, on zamierza zatopić mój kajak! To Rekinia Twarz!”.

Max naparł na wiosło, kotłując jego piórami wodę; rzucił się całym ciężarem ciała na jedną stronę i przechylił kajak na bok, tak że łódź napastnika odbiła się od burty.

Wstrząs uderzenia o mała go nie wywrócił.

Obydwaj chłopcy walczyli ze wzburzonym nurtem niemal ramię w ramię. Rekinia Twarz zamachnął się wiosłem do tyłu i walnął nim w kajak Maksa, który zawirował wokół własnej osi i byłby wywrócił się do góry dnem, gdyby Max nie przeważył go, balansując ciałem w przeciwną stronę. Przez to jednak stał się bezbronny wobec ataku.

Chłopak z blizną uniósł wiosło nad głowę niczym miecz i zadał nim potężny cios.

Max sparował go trzymanym oburącz wiosłem. Napastnik stracił równowagę i odsłonił się. Max zbliżył kajak dwoma silnymi pociągnięciami wiosła i sam zaatakował.

Obydwaj płynęli tuż obok siebie z nurtem spienionej rzeki, uderzając wiosłami to w wodę, aby zapobiec wywróceniu swych łodzi, to znów w przeciwnika. Niczym dwaj konni rycerze cięli, dźgali i rąbali. Jeden z ciosów napastnika ześlizgnął się po kasku Maksa i krawędź wiosła rozcięła mu czoło. Krew zmieszana z lodowatą wodą zalała chłopakowi oczy.

W nagłym ataku wściekłości Max o mała nie wyskoczył z łódki. Wrzasnął dziko i wkładając w uderzenie ciężar całego ciała, rąbnął wiosłem napastnika.

Rekinia Twarz osunął się bezwładnie, a rwący nurt natychmiast porwał i uniósł jego łódź, nad którą nikt już nie panował. Max wyrównał kurs swego kajaka i otarł krew z oka. Wciąż płynął szybko, ale teraz widział plecy napastnika. Chłopak był wciąż nieprzytomny i nie podnosił głowy, a

jego wiosło spoczywało zanurzone w wodzie. Obydwa kajaki dopłynęły do najgroźniejszego zakrętu rzeki, a Rekinia Twarz znajdował się po jego niebezpiecznej stronie. Jeżeli zostanie dalej tam wciągnięty, to nawet gdyby odzyskał przytomność, najprawdopodobniej utonie. Max został wprawdzie niespodziewanie i brutalnie napadnięty, jednak nie był mordercą.

Ujrzał skręcające koryto rzeki. Zaczął szaleńczo wiosłować i poczuł, jak dziób kajaka unosi się, a potem opada niesiony przez coraz szybszy, silniejszy i groźniejszy nurt wody.

W ciągu kilku sekund dotarł do łódki tamtego chłopaka i odgrodził ją swym kajakiem od bystrzy. Jeśli zdoła wetknąć wiosło w wodę i spowolnić oba kajaki, będzie mógł oddalić je od bocznego dopływu rzeki, który bardzo mocno ingerował teraz w główny nurt.

Miał wrażenie, że z wysiłku pękną mu ścięgna ramion, lecz wciąż utrzymywał wiosło w wodzie, napierając całym ciężarem na kajak chłopaka i zmagając się za nich obydwu z naporem rwącego nurtu.

A potem nagle rzeka zwolniła bieg, ryk wody przycichł i Max mógł wreszcie zapanować nad kursem swego kajaka i pozwolić odpłynąć łódce napastnika, która uderzyła łagodnie o brzeg, a potem obróciła się powoli wokół własnej osi.

Max przepłynął obok niej i skierował się ponownie do głównego nurtu rzeki. Po raz ostatni zerknął za siebie i zobaczył, że Rekinia Twarz oszołomiony wygramolił się z kajaka i osunął na brzeg. Najwidoczniej komuś nie spodobało się, że ubiegłej nocy Max uratował Sophie. Dziewczyna miała rację - owi ludzie za ciężkie pieniądze kupowali tym agresywnym wyrostkom wszystko,

czego zechcą, zapewniając sobie w ten sposób ich posłuszeństwo.

Adrenalina wciąż napędzała Maksa, ale w głębi duszy wiedział, że odparcie napaści kosztowało go wiele cennego czasu.

Pokonał ostatni zakręt i pozostało mu tylko dwieście metrów do mety, przy której zgromadzili się tłumnie widzowie i oficjele. Kątem oka dostrzegł na drodze wijącej się ku przełęczy błysk słonecznego światła.

Był tam zaparkowany czarny samochód, a obok niego stało dwóch mężczyzn ubranych w czarne skórzane płaszcze. Przyglądali mu się - jeden z nich przez lornetkę.

Max usłyszał okrzyki tłumu.

Wpatrzył się w linię mety i napiął mięśnie ramion, czując potężny przypływ energii. Kilka sekund później minął metę i usłyszał elektroniczny brzęczyk.

Podpłynął wolno do brzegu. Czyjeś pomocne dłonie przytrzymały kajak, a on wysiadł z niego, podpierając się wiosłem. Był wyczerpany i dyszał ciężko. Jeden z organizatorów zawodów zawołał lekarza.

Max, nie zwracając uwagi na zaaferowanych asystentów, przepchnął się przez tłum i spojrzał na tablicę z czasami.

Nie był to jego najlepszy wynik, lecz mimo to pokonał dwóch rywali i zdobył wystarczającą liczbę punktów, by znaleźć się w snowboardowym finale. Gdyby uzyskał lepszy czas i zgromadził więcej punktów, miałby większe szanse na zwycięstwo w całych zawodach. Teraz, aby odrobić stratę, będzie musiał dokonać podczas akrobacji na desce czegoś nadzwyczajnego.

Podniósł głowę i popatrzył w kierunku drogi.

Mężczyźni i samochód zniknęli.

Organizatorzy zawieźli zawodników z powrotem w górę doliny i dali im dwie godziny na posiłek i przygotowanie się do konkurencji finałowej. Miniony tydzień był dla uczestników wy-

28

czerpujący, toteż teraz miały zdecydować nie tylko ich umiejętności, lecz również wytrzymałość. Bobby Morrell uzyskał znakomity czas w kajaku i był obecnie zdecydowanym faworytem. Oprócz nich w finale miało wystąpić jeszcze troje zawodników. Niemka, która trenowała przed zawodami na specjalnie wybudowanej w Monachium trasie snowboardowej, siedemnastoletni Francuz, występujący u siebie i dopingowany przez swych rodaków, oraz Holender, którego dotarcie aż do finału zaskoczyło Maksa.

Początkowo wydawało się, że o zwycięstwo będzie walczyć dziewczyna z Węgier, piękna i gibka jak gimnastyczka, która z supermodnie krótko przyciętymi włosami przypominała Kali-fornijkę. Żywa, bezpośrednia i zawsze uśmiechnięta, zyskała powszechną sympatię, a chłopcy lgnęli do niej jak przyciągani magnesem. Zachowywali jednak pełen szacunku dystans, gdyż dowiedzieli się, że chodzi z Bobbym. Nazywała się Potyncza Józsa i sprawiała wrażenie bardziej ambitnej i skłonnej do rywalizacji niż większość uczestników. Nawet Bobby ze zdziwieniem potrząsał głową, widząc jej determinację. Wymawiając jej nazwisko, można było sobie połamać język, toteż przedstawivszy się, dodawała zawsze: „Ale mów do mnie Peaches tak jak wszyscy”. I każdy znał ją właśnie pod tym imieniem.

Z początku wyglądało na to, że pokona Holendra, ale popełniła głupi błąd podczas spływu kajakiem, przez co zaważyła tę konkurencję i odpadła z rywalizacji. Bobby usiłował ją pocieszać, lecz była zbyt wściekła na siebie. Pocałowała swojego chłopaka na szczęście, po czym zostawiła go, żeby mógł skoncentrować się przed startem, sama zaś wróciła do hotelu, aby wziąć gorącą kąpiel. Prawdopodobnie także - jak przypuszczał Max - aby wypłakać w samotności swój żal. W pewnym sensie poczuł ulgę, że Peaches odpadła. Byłoby znacznie trudniej pokonać ją niż tego gościa z Holandii. Max nie obawiał się go zbyt, gdyż wiedział, że przeciwnik ma jeszcze mniejsze doświadczenie

29

w jeździe na snowboardzie niż on. Tak więc pozostało pięcioro zawodników; aby rozstrzygnąć, kto zdobędzie mistrzostwo, każdy z nich musiał wziąć udział w dwóch wyścigach.

Maksowi trzeba było założyć na czole cztery szwy. Kiedy lekarz w namiocie polowym zszywał mu rozcięcie nad okiem, Bobby Morrell stał obok i przyglądał się mu.

- Max, mógłbyś poprosić o opóźnienie startu - zasugerował.
- Nie. Chcę wyruszyć o czasie. Czy widziałeś może kajak przy brzegu obok tego wielkiego zakrętu?

•Tak, czarny z białym wzorem. Max skinął głową.

•Ktoś w nim siedział?

- Nie. Pomyślałem, że pewnie pozostawiono go rano. Po rządzkowi powinni byli przed zawodami sprawdzić trasę. Taka

porzucona łódka mogła sprawić nam poważne kłopoty. Dzisiaj na rzece były bardzo ciężkie warunki.

Max skrzywił się z bólu, a lekarz przeprosił go, że za mocno zacisnął szew.

Morrell przez chwilę uważnie przyglądał się koledze.

- Czy ten kajak ci przeszkodził? To przez niego rozciąłeś sobie czoło? Posłuchaj, możesz poprosić o powtórzenie spływu. Nie będę miał nic przeciwko temu i założę się, że pozostali również się nie sprzeciwią.

Francuski lekarz przemył ranę środkiem odkażającym.

- Gotowe. I nie martw się blizną; dziewczynom się spodoba.

Max włożył narciarską kurtkę. Bobby miał rację. Gdyby zechciał, mógłby poprosić o powtórny spływ. Jednak potrząsnął przecząco głową.

Zbudowana na ten konkurs długa trasa snowboardowa biegła po stromym stoku od bramki startowej aż do mety ze sztuczną rynną do akrobatycznego skoku. Punkty zgromadzone we wcześniejszych konkurencjach sytuowały Maksa na trzecim

30

miejscu. Nie było czasu, aby rozpamiętywać straty poniesione podczas spływu kajakiem - wciąż miał szansę na zwycięstwo. Holender wykonał dość kiepski skok i stracił tyle punktów, że nie zdołałby ich już odrobić w drugiej próbie. On nie liczył się już w rywalizacji.

Max przygotowywał się do startu. Oddychał głęboko, czując nerwowe mrowienie i starą pocziwą treść, którą po chwili zastąpiło skupienie, gdy wyobrażał sobie to, co ma za chwilę zrobić. Teraz był już rozluźniony. I o

to chodziło. Jazda!

Pierwszy skok - zwiększyć prędkość, trzymając się środka rynny, a potem wybić się w powietrze. Zależało mu na wysokim skoku, więc mocno wybił się z pochylni, po czym kopnął tył deski w dół, a jednocześnie przednim butem zadarł jej przód w górę. Podciągnął wysoko kolana, nabierając w locie pędu, i chwycił ręką czubek deski. Było zupełnie cicho.

Ani odrobiny śniegu na desce. Żadnego powiewu wiatru. Nic. Wyrzucił ramię wysoko w górę, aby wykonać backside 180 *- imponujący stylowy obrót o 180 stopni. Usłyszał świst i poczuł na twarzy smagnięcie powietrza. Podczas obrotu zobaczył rozmazany niewyraźnie tłum widzów, górę, a potem stok. Udało się! Ugiął nogi i deska z klapnięciem wylądowała na zboczu.

Poczuł wspaniały przyływ energii. Kiedy zjechał do strefy finiszowej, Bobby Morrell przybił mu piątkę. To był dobrze wykonany skok z dodatkiem elementu, którego Max wcześniej prawie wcale nie ćwiczył. Najprostszej postaci tego skoku nie uważano za zbyt trudny wyczyn, jednak Max uzupełnił go o powolny, wysoki obrót, nadając mu niepowtarzalny elegancki styl.

Następna była Niemka, a po niej Bobby.

Max przyglądał się dziewczynie, która dała zadziwiający pokaz zręczności. Widzowie głośno krzyczeli i wiwatowali. Serce zamarło mu na widok jej umiejętności i wyniku punktowego, który pokazał się na tablicy. Niemka zepchnęła Maksa na czwarte miejsce, a po oszałamiającym występie Bobby'ego

znalazł się na piątej pozycji. Mimo włożonego wysiłku niewiele brakowało, by wyeliminowano go z zawodów.

Musiał wykonać jakiś totalny fajerwerk, aby olśnić jurorów. Przed rokiem widział zawrotny skok amerykańskiego mistrza snowboardu światowej klasy - błyskawiczny start z bramki, szybkie odbicie się od pochylni, a potem potrójne salto. Pojedynczy obrót do tyłu był stosunkowo łatwy przy wykorzystaniu naturalnego pochylenia ciała w momencie, gdy deska uderzała o ścianę rynny. Jednak wykonanie w powietrzu potrójnego salta? Aby tego dokonać, potrzebne było nadzwyczaj wysokie wybiecie i pewne lądowanie - oraz ogromne doświadczenie. Gdy Max ponownie stanął w bramce startowej, był już zdecydowany.

Spróbuj tego karkołomnego skoku.

Twarze widzów majaczyły niewyraźnie, a półkolista rynna wydawała się
% v^isxa. Zacięty padać. wieUde wku^ace. piątki śniegu podobne do listków. Góry pokryje świeży śnieżny puch

- miękki, biały, nieskalany. Tam wysoko będzie spokojnie i cicho
- nie tak jak tutaj, gdzie wszyscy ci ludzie wiwatują i wrzeszczą, wiedząc, że to jego rozstrzygający skok.

Max miał dar powtarzania tego, co zrobili inni ludzie. Zupełnie jakby w jego mózgu znajdował się aparat fotograficzny wykonujący milion zdjęć na sekundę, a potem przekazujący te informacje do jego ciała. Pamięć mięśniowa.

„Nie zabieraj swojego ciała tam, gdzie nie było jeszcze twojego umysłu - powiedział mu kiedyś tata. - Rozważ wszystkie trudności, obejrzyj szlak,

obmyśl trasę i dopiero wtedy idź. To może zająć zaledwie ułamki sekund, ale pozwól, aby najpierw przebył ją twój umysł".

Max wiedział już, że zdoła wykonać ten skok.

Ruszył szybko; wzleciał w górę śnieżnej ściany, a potem zwolnił nacisk na koniec deski i trzymając wysoko głowę, wyprostował ciało. Teraz szybował w powietrzu. Zgiął rękę, sięgnął w dół

32

i chwycił deskę pomiędzy wiązaniami. Musiał się jej mocno trzymać, żeby zrównoważyć siłę odśrodkową wykonywanego salta. Podkurczył nogi i kończąc drugi obrót w tył, poczuł, jak pęd powietrza szarpie materiał kurtki. Jeszcze mocniej zacisnął dłoń na krawędzi deski i usłyszał stłumiony, niemal hipnotyczny ryk widzów, którzy zorientowali się, co robi. Następny obrót! Palce ześlizgiwały mu się ze skraju deski. Jeśli ją teraz wypuści, spadnie paskudnie na plecy i kark. Wzmocnił chwyt, aż zaboląły go kłykcie, i napinając mięśnie nóg, poczuł, że dokończył trzecie, ostatnie salto. Ziemia i upstrzone płatkami śniegu niebo zamazały mu się przed oczami.

Teraz trzeba jeszcze efektownie wylądować. Jego nogi miały zamortyzować uderzenie, ale musiał też mocno napiąć mięśnie brzucha, żeby zapobiec upadkowi. Deska walnęła o ziemię. Wyrzucił ramiona w bok, aby zachować równowagę, lecz jego środek ciężkości zmienił się i Max przewrócił się do tyłu.

W tej samej chwili zdał sobie sprawę, że wszystko skończone. Uderzył plecami o ziemię i stęknął cicho z bólu, a potem ześlizgnął się bezwładnie w kierunku trybun.

Zaryzykował, aby zwyciężyć, i przegrał.

Pierwszy dobiegł do niego Bobby Morrell. Pomógł mu wstać i odpiąć wiązania. Jego spojrzenie powiedziało Maksowi wszystko. To był fantastyczny skok i gdyby nie upadł, znalazłby się na czele klasyfikacji. Bobby objął kumpla za szyję i przytknął swoje czoło do jego czoła w geście przyjaźni i podziwu.

- Stary, jeszcze jeden taki rok i nikt ci nie dorówna, daję słowo - powiedział cicho. - Nawet ja.

Uśmiechnął się do Maksa pokrzepiająco, a potem odszedł, żeby wykonać swoją drugą próbę.

Gdy Max usiadł na śniegu i zaczął masować zeszywniałą nogę, kilkoro widzów wychyliło się przez barierę i poklepało go po ramieniu. Jedni wypowiadali słowa otuchy i zachęty, inni wyrazy współczucia. Byli to poczciwi ludzie. Większość zdawała

33

sobie sprawę, że choć Gordon zaprzepaścił szansę na zdobycie mistrzostwa, żaden z nich nie potrafiłby dokonać tego co on.

Max bardzo pragnął wygrać i był strasznie rozczarowany, chociaż nie chciał tego okazać. Rywale przewyższali go umiejętnościami, byli od niego bardziej doświadczeni, starsi i dysponowali lepszym sprzętem. To wszystko prawda, ale chłopak wiedział, że jego umysł już zaczyna szukać usprawiedliwień, więc kazał mu się zamknąć.

„Zrobiłem, co mogłem i powinienem się tego trzymać - powiedział sobie. - A teraz przyjrzę się walce innych o trzy miejsca na podium”.

Został aż do ceremonii wręczenia nagród. Zwyciężył Bobby Morrell,

drugie miejsce zajęła Niemka, a trzecie - chłopak z Francji. Powiedział Bobby'emu, że pojeździ jeszcze trochę, póki jest widno, ale później przyłączy się do pożegnalnego przyjęcia.

Wymknął się cicho i niepostrzeżenie, wyciągiem narciarskim dostał się na górę trasy, a potem zaczął zjeżdżać po głębokim, świeżo spadłym śniegu. Setki metrów nad nim wznosiły się górskie szczyty i teraz, kiedy w dolinie szalała śnieżna zamieć, znalazł się na pustkowiu zupełnie sam.

Śmigał szybko na desce długimi zamaszystymi łukami i znów poczuł przypływ radości. Zatrzymał się i zapatrzył na ciche majestatyczne piękno krajobrazu. Nie zaprzętał sobie głowy tym, jak poradzi sobie w następnych zawodach, tylko upajał się szczęściem, jakie dawała mu ta swobodna jazda po olbrzymich śnieżnych polach.

Znowu zaczął zjeżdżać - tym razem wolniej - po głębokim po kolana dziewiczym śniegu. Nagle uświadomił sobie, że dotarł do miejsca, w którym wczoraj jego i Sayida zaskoczyła lawina.

Zamieć przysypała śniegiem całą okolicę, rzeźbiąc wszystko w misterne szlachetne kształty przywodzące na myśl maskę eleganckiego wyścigowego samochodu. Choć widok był przepiękny, Max był świadom, że wciąż grożą tutaj lawiny, zwłaszcza

34

gdyby ktoś jeszcze pojawił się na stoku. Wiedział o górach więcej niż większość snowboardzistów i orientował się, na co trzeba zwracać uwagę w tych niebezpiecznych warunkach. Właśnie tej wiedzy zabrakło wczoraj Sayidowi, który wyjechał poza wytyczoną trasę, pragnąc poczuć dreszczyk emocji podczas jazdy w śnieżnym puchu.

Max omiół wzrokiem skalne ściany i górskie szczyty. W oddali wznosił

się na wysokość niemal trzech tysięcy metrów szczyt Le Pic du Midi d'Ossau przypominający łeb olbrzymiego gada, z rozszczepionym wierzchołkiem jak z rozdziawioną paszczą wdychającą lodowate powietrze oraz złowrogim okiem wpatrzonym w niebo i ignorującym drobne istoty ludzkie na dnie doliny.

Chłopiec zadarł głowę i przyjrzał się uważnie głębokim żlebom. Spostrzegł *couloir* - kular, wąską rynnę utworzoną przez głązy pod granią, gdzie zawiewały obłoczki śniegu. Uznał, że powodem są prądy powietrzne powstające pomiędzy skałami.

Wszystko wydawało się ciche i spokojne, lecz mimo to instynkt ostrzegł Gordona, że coś tu jest niezupełnie w porządku. Nauczył się wysłuchiwać tych tajemnych pierwotnych podszeptów podczas pobytu w Afryce, kiedy stanął oko w oko ze śmiercią i wyrwał się z jej macek. Ale teraz? Co mogło tutaj zagrażać? Nadal panował całkowity bezruch, a śnieg, spowijał wszystko woalem ciszy. Max pomyślał, że być może jest nadmiernie ostrożny lub podenerwowany z powodu przegranej w zawodach. Jednak nie - to było coś więcej, choć nie wiedział co. Zerknął na zegarek ojca i to uświadomiło mu, że jest coś, co może ocalić od zniszczenia.

Postanowił zaryzykować i spróbować odnaleźć sznur paciorków Sayida.

Po raz ostatni ogarnął spojrzeniem połyskującą w słońcu dolinę i nie dostrzegłszy niczego niepokojącego, zaczął powoli zjeżdżać w głębokim śniegu, który pryskał spod jego deski jak

rozkruszone diamenty. Max kierował się ku górnej granicy lasu, przez

którą poprzedniego dnia przejechał jego przyjaciel. Nachylił się i zaglądał pod niskie gałęzie, aż w pewnym momencie ujrzał ciemny przedmiot, wyraźnie widoczny na tle białego tła. Na gałęzi wisiała *misbaha* Sayida jak ozdoba na zapomnianej świątecznej choince. Max ostrożnie zdjął sznur dziewięćdziesięciu dziewięciu koralików i włożył go do kieszeni kurtki.

Nie mógł tu dłużej zostać. Pora zabrać Sayida z miejskiego szpitala, a potem spakować bagaże i wracać do domu.

Raptem dostrzegł kątem oka szybki ruch i zaskoczony odruchowo przykucnął w oczekiwaniu na nadchodzące niebezpieczeństwo. W odległości trzystu metrów z położonej wysoko skalnej rynny wyskoczyła czarna pękata sylwetka. Narciarz wylądował z nadzwyczajną wprawą ponad dziesięć metrów niżej i zaczął w szaleńczym tempie zjeżdżać po stromym zboczu.

Max nigdy nie widział czegoś równie osobliwego.

Mężczyzna był mnichem. Miał bujną siwą brodę i gołą głowę, a gęste, długie do ramion włosy powiewały za nim niczym końska grzywa. Ubrany był w habit, który trzepotał dziko w pędzie, a jego kaptur działał jak mały spadochron. Pruł po stoku tak skoncentrowany, że nie rozglądał się na boki i nie zauważył Maksa.

Po chwili z tej samej skalnej rynny wypadła następna postać przesłonięta pióropuszem śniegu tryskającego spod nart. O ile mnich prezentował się dziwacznie, o tyle drugi narciarz wyglądał groźnie - jak ponury zabójca ścigający swą ofiarę. Jego gibka ciemna sylwetka upodabniała go do widma lub milczącej Furii. Słyszeć było jedynie świst nart śmigających po śniegu. Nieznajomy co chwila zniknął Maksowi z oczu za białym śnieżnym pióropuszem, by po chwili pojawić się dziesięć metrów niżej. Miał na

sobie obcisły, lśniący, czarny jednoczęściowy kombinezon narciarski i czarny kask z przyciemnioną osłoną; nawet jego narty były czarne. Na kombinezonie widniał maskujący wzór

36

z krętych białych linii przypominających żyłkowanie liścia, dodatkowo utrudniający Maksowi zauważenie narciarza na tle śniegu.

Chłopiec czekał bez ruchu. Gdy obydwaj mężczyźni znaleźli się na jego wysokości, ścigający sięgnął za plecy i zdjął karabin pomalowany w białe i czarne paski, jakich używają w zimowych warunkach żołnierze lądowi i marines. Nieznajomy, ani na moment nie zwalniając pędu, błyskawicznym wyćwiczonym ruchem podniósł broń do ramienia i wycelował w swoją ofiarę.

- Nie! - wrzasnął Max, a jego krzyk odbił się parokrotnym echem w dolinie.

Obydwaj narciarze natychmiast popatrzyli w jego kierunku, lecz uzbrojony mężczyzna zareagował pierwszy. Zatrzymał się raptownie, wzbijając tuman śniegu. Wciąż trzymał karabin wycelowany w mnicha i Max usłyszał przerażający trzask wystrzału.

Zakonnik zacfiwiał się i zaczął jechać nieporadnymi zakosami niczym początkujący narciarz. Rozpaczliwie usiłował utrzymać równowagę i nie upaść. Max wiedział, że dosięgła go kula napastnika i że musi mu pomóc. Wystartował w kierunku rannego przykucnięty nisko na desce, muskając ręką śnieg, aby nieco spowolnić zjazd. Jechał zygzakiem, gdyż spodziewał się, że napastnik strzeli do niego, lecz nic takiego nie nastąpiło. Zamiast odgłosu wystrzału dobiegł go o wiele bardziej przerażający ryk, jakby

potężnej fali rozbijającej się o morski brzeg.

W twarz uderzył go lodowaty podmuch. Zdawało się, że grzmiący dźwięk przetacza się przez całe zbocze góry. Strzelec zawrócił i zaczął się szybko oddalać od chłopaka, mnicha i walącej na niego z rykiem ściany śniegu.

Ranny mężczyzna popatrzył na Maksa i kijkiem narciarskim wskazał na drzewa! Dotarcie poniżej ściany lasu było ich jedyną szansą ratunku. Chłopiec dostrzegł trasę ucieczki, a mnich zaczął już - najszybciej jak mógł - zmykać ze stoku, aby uniknąć boskiego gniewu góry.

37

Ojciec zawsze powtarzał Maksowi, że strach jest czymś naturalnym i celowym i że można go przewyciężyć - nie uprzedził go jednak, że może istnieć coś aż tak przerażającego.

Chłopiec nie słyszał nawet swego płytkiego spazmatycznego oddechu, gdyż zagłuszał go narastający za plecami ryk lawiny. Napięte mięśnie bolały go od wysiłku, jakiego wymagał ten szaleńczy zjazd, lecz ani na chwilę nie odrywał wzroku od miejsca, do którego zmierzał. Zachwiało nim potężne uderzenie wiatru. Tym razem nie śmiał się euforycznie i nie czuł żadnego dreszczu ekscytacji. I tym razem lawina nie szła obok, lecz szalała tuż za nim. Kątem oka zobaczył, że potężny wał śniegu przewraca drzewa, miażdży je i łamie jak zapalki i już go dogania.

A chwilę potem ten śnieżny potwór go dopadł.

W białym wirze puściły wiązania przy butach. Podmuch, niczym zimne jak lód palce, szarpnęła Maksa za twarz i zerwał narciarską kominiarkę. Śnieg jak wilgotny piasek wciskał mu się do uszu i ust.

Raptem opadły go wspomnienia. Od dawna zapomniane nauki ojca. Strzępy słów - zasady przetrwania. „Pamiętasz?! Nigdy nie wybieraj się w góry na narty samotnie. Reguła pierwsza - złamana. Nigdy nie jeźdź podczas zagrożenia lawinowego. Reguła druga - złamana. Lawiny schodzą, kiedy świeży śnieg przywiera do zbocza góry po stronie osłoniętej od wiatru. Przecież wiedziałeś o tym wszystkim! Wiedziałeś! Ale zignorowałeś to w głupiej reakcji na przegranie zawodów" - szczył głos w jego głowie, podczas gdy lawina ciskała nim na wszystkie strony.

„Musisz przetrwać! Ale jak?! Płyn! Utrzymaj się na szczycie śnieżnego wału i płyn kraulem, jak to robiłeś na morskiej fali”.

Zaczął rozpaczliwie młócić rękami, starając się nie odwracać twarzy od nieba, które przezierało niewyraźnie na ułamki sekund przez rozszalałą zamieć. Wypluł z ust śnieg i potrząsnął głową.

„Wciąż patrz w niebo!”.

Impet lawiny miotał nim jak kot myszą, a potem nagle wyrzucił go na zewnątrz. Poniżej lawina nadal przewalała się z rykiem, lecz on przez moment nic nie słyszał, gdyż mokry śnieg zatkał mu uszy.

Błysnęła iskierka nadziei. Nad sobą Max miał niebieskie niebo. Odetchnął głęboko i wyciągnął ramiona ku złocistemu pasemku światła. Promień słońca - wąska linia pomiędzy błękitem nieba a bielą śnieżnego pyłu.

„Oddychaj pełną piersią! Łapczywie łykaj powietrze! Wyrwij się z łap tego okrutnego śnieżnego potwora i żyj!”.

Raptem Maksa otoczyła ciemność. Lodowate kły wbiły się w niego brutalnie. Upadł i przekoziółkował bezwładnie, tracąc orientację.

Wreszcie wszystko się skończyło. Max leżał bezradnie z rozrzuconymi

rękami i nogami, uwięziony pod śnieżnymi zwałami, które przygniatały mu pierś. Z niebieskawego odcienia śniegu nad sobą wywnioskował, że leży na plecach twarzą ku niebu. Gdyby tylko udało mu się odgarnąć śnieg z twarzy, tak aby mógł zaczerpnąć powietrza... Jednak ramiona miał unieruchomione. Prawdopodobnie znajduje się co najmniej metr pod powierzchnią. Ogarnęła go panika. Wiedział, że jeśli zacznie się rozpaczliwie szamotać, straci wszystkie siły. Musi się uspokoić i opanować gorączkową gonitwę myśli. Spróbował poruszyć głowę, lecz zdołał przesunąć ją zaledwie o kilka centymetrów. Śnieg lawiny nie był drobnym lekkim puchem, lecz ciężką, wilgotną, zbitą masą. Na jak długo jeszcze wystarczy mu powietrza w tej niewielkiej wolnej przestrzeni nad twarzą? Śnieg osiadał i z każdą chwilą miazdżył mu pierś coraz większym ciężarem.

Max zrozumiał, że nie ma już ratunku. Co go zabije? Zimno czy potworny nacisk śnieżnej masy? Będzie spoczywał zamrożony w tym lodowym grobowcu, a kiedy wiosną śniegi stopnieją, jego ciało spłynie do rzeki - tej samej, w której zaledwie kilka godzin wcześniej zmagał się z Rekinia Twarzą. Niczym w błysku

flesza przemknęły mu przez głowę obrazy walki na wodzie. Kajak napastnika zdobiły takie same kręte białe linie, jakie ujrzał przed chwilą na kombinezonie uzbrojonego narciarza. Ten narciarz był drobny i smukły. Jechał po śniegu zwinnie i szybko. Czy był młody? Max nie potrafił tego ocenić. Ale to nie Rekinia Twarz, który był mocniej zbudowany, szerszy w ramionach i nie poruszał się tak lekko i płynnie.

Myśli Maksa zaczynały się plątać. Wyczerpanie i brak tlenu ściągały jego świadomość do jakiegoś podziemnego korytarza. Przed oczami zawirował mu rozmazany kalejdoskop barw - fiolety, brązy i błękity.

Kiedy był w Afryce, został ukąszony przez kobrę i jej śmiertelny jad przeprowadził go przez wrota śmierci. Pozostałby już tam, gdyby nie miejscowy szaman uzdrowiciel zwany BaKo-ko, który potrafił przekształcać swoje ciało. Obdarzył on Maksa mocą budzącą w chłopcu zakłopotanie i przerażenie. Kiedy Max skoncentrował się, spowolnił i pogłębił oddech, udawało mu się niekiedy przemieniać w wybrane zwierzę.

Tata nauczył go, że nie należy lekceważyć pierwotnych wierzeń, i teraz chłopiec wyraźnie przypomniał sobie, jak leciał przemieniony w jastrzębia i kiedy biegł pod postacią szakala. Nie potrafił jednak tak po prostu zapoczątkować tej transformacji. Zresztą jakie zwierzę zdołałoby wymknąć się z pułapki, w której się teraz znalazł, pogrzebany żywcem?

Omywało go łagodne ciepło. Zapadał w sen. Temperatura jego ciała obniżała się i życie wyciekało z niego powoli. Nie wolno mu usnąć! Sen to śmierć. Przez głowę przemknęły mu ulotne obrazy Sophie. Przytulna kawiarnia z zaparowanymi oknami. Groźni nieustępliwi mężczyźni wpatrujący się w niego. Może to były anioły śmierci? Czy tak? Czy to anioły śmierci przybyły go odszukać? „Niedźwiedź” - powiedziała Sophie. Szukała jakiegoś niedźwiedzia, którego porwano, przywieziono statkiem i prawdopodobnie przeznaczono na odstrzał.

kłębek w jamie wygrzebanej w śniegu. A na wiosnę pazurami wydrapują sobie drogę na powierzchnię, do słonecznego światła, i wdychają słodkie, czyste powietrze. Max poczuł, jakby ścisnął w dłoni lodowy czekan. Nie, to niemożliwe. Nie ma przy sobie nic podobnego. Krążące barwy stopiły się w jedno i wciągały go w swój wir. Chłopiec starał się zwalczyć to wrażenie, ale jego myśli pękały na drobne kawałeczki. A potem nagle poczuł przyływ siły.

Poruszył się i bardziej wyczuł, niż usłyszał, że coś zazgrzytało o zbity śnieg. Ostry cierpki zapach - jakby wilgotnego psiego futra i stęchłego powietrza - uderzył go w nozdrza i wdarł się do gardła.

Max instynktownie stęknął z wysiłku, gdy śnieg nad jego twarzą zaczął zasypywać wolną przestrzeń, którą sobie wcześniej wygrzebał. W słabym świetle czekan wyglądał jak pazur, łapa niedźwiedzia odgarniająca śnieg - jego łapa!!!

Niebo wsączało coraz więcej błękitu w krystaliczne cząsteczki lodu. Max miał nadzieję, że zdoła wydobyć się na powierzchnię - lecz jego pierś i nogi wciąż były miażdżone przez potworny nacisk zbitego śniegu, jakby jakaś niewidzialna ręka wyciskała z niego życie. Tracił przytomność.

Ktoś rozbijał twardą śnieżną skorupę. Max ujrzał czyjąś dziką twarz. To jakiś ubrany na czarno wariat z ośnieżoną gęstą brodą, z której zwisały zamarznięte smarki i ślina. Mężczyzna sięgnął ręką jak kłusownik wyciągający królika z wnyków. Uderzył w twarz Maksa, który oprzytomniał, jęknął cicho i wypluł z ust śnieg. Chłopiec widział, że usta nieznajomego poruszają się, odsłaniając żółte połamane zęby, lecz nie usłyszał żadnego dźwięku, gdyż uszy miał wciąż zatkane śniegiem. Rozpoznał mnicha, który odgarniał teraz szaleńczo śnieg gołymi rękami.

Jeśli zasypała cię lawina, były tylko dwie drogi ocalenia: albo wezwałeś pomoc przez krótkofalówkę i liczyłeś na to, że ratownicy przybędą na

41

czas, albo miałeś szczęście, że jakiś inny narciarz zobaczył, w którym miejscu zostałeś pogrzebany pod śniegiem.

Mnich chwycił Maksa za przód puchowej kurtki i dźwignął w górę. Chłopiec kopał nogami śnieg i wił się, usiłując wydostać się na powierzchnię, na światło dzienne. Nagle w twarz zakłuło go lodowate powietrze. Mnich energicznie i boleśnie starł mu z twarzy śnieg zamarznięty wokół oczu. Po chwili Max wygramolił się ze śnieżnej dziury. Okolica wyglądała zupełnie inaczej niż poprzednio, ale chłopiec wiedział, że stoczył się kilkaset metrów w dół, niebezpiecznie blisko stromego urwiska w połowie zbocza. Wyczerpany starszy mężczyzna usiadł ciężko; wyglądał dziwacznie w ośnieżonym habicie. Za jego plecami na śniegu wiła się kilkudziesięciometrowa czerwona strużka znacząca drogę, którą się przeczołgał - co uświadomiło Maksowi, że stary mocno krwawi. Na szczęście mnich zdążył zobaczyć, gdzie lawina pochłonęła swoją ofiarę.

Max przez kilka chwil starał się uspokoić oddech i klęcząc, obmacał ostrożnie ramiona i nogi. Nie było żadnego złamania. Starzec coś wymamrotał. Max zdjął rękawicę i spróbował wydłubać z uszu zmarznięty mokry śnieg.

- Pomogę panu! - zawołał.

Nie usłyszał jednak swoich słów. Widocznie zimno uszkodziło mu bębenki. Chwiejąc się i zataczając, zrobił niezdarnie kilka kroków przez sypki śnieg w kierunku starego mnicha. Teraz, gdy znalazł się bliżej,

zauważył, że starzec jest potężnie zbudowany i bosy. Widocznie lawina zdarła mu z nóg narty i buty. Zmierzwił włosy opadły mu na twarz, a siwe kosmyki brody były ścięte lodem. Na grubym jak koc habicie Max widział powiększającą się plamę krwi.

Nastąpiło kolejne tąpnięcie i do stóp Maksa potoczyły się grudy zlodowaciałego śniegu. Góra wciąż była groźna. Mnich potrząsał głową, mruzczył coś niewyraźnie, odgarniając zakrwawionymi rękami włosy z ust i oczu, i wbijał w Maksa przeraża-

42

jacy, niemal obłąkany wzrok. Spróbował wstać, lecz nie miał siły brnąć przez głęboki śnieg, i natychmiast upadł. Chłopiec podszedł chwiejnie do swego zbawcy, lecz nagle ogarnął go strach. Mnich ześlizgnął się o metr po śniegu osypującym się po zboczu jak piasek ze stromej wydmy. Jego oczy rozszerzyły się z przerażenia. Zrozumiał, co się dzieje, i padł na ziemię, by śnieżny potok nie podciął mu nóg.

Po chwili wszystko znieruchomiło. Max także upadł i podczołgał się naprzód, jakby usiłował na zamrzniętym stawie uratować kogoś przed wpadnięciem pod lód.

- Nie ruszaj się! Chwyć cię i sprowadzę na dół! - krzyknął.

Teraz już słyszał swój głos dudniący mu głucho w głowie. Jednak nie miał pojęcia, jak sam zdoła zejść z tej góry - nie mówiąc już o poprowadzeniu rannego człowieka.

Mnich rzeził z wysiłku, próbując dotrzeć do Maksa. Na wąsach osiadła mu krwawa ślina. Wpatrując się w chłopca, wyciągnął do niego rękę. Max chwycił go za przegub i dopiero teraz zorientował się, że mężczyzna

drugą rękę ma zranioną - przez lawinę albo kulę - i musiał przewyciężyć straszliwy ból, żeby odkopać go spod śniegu.

A potem zbocze góry znów ożyło. Olbrzymia śnieżna deska przesunęła się niczym kra. Max mocniej ścisnął rękę starszego człowieka - który wydał zduszony charkot - nie pozwalając, by porwał go śnieżny potok. Zaparł się nogami i nagle poczuł, że jego klatka piersiowa i brzuch przywierają do wielkiego głazu leżącego tuż pod powierzchnią śniegu. To właśnie dlatego miejsce, na którym leżał, pozostało nieruchome.

- *Ez ihure ere fida - eheke hari ere!* - zawołał mnich w jakimś nieznanym Maksowi języku.
- Nie rozumiem! *Je ne comprend pas!* - odkrzyknął w nadziei, że stary włada francuskim.

Tamten rozluźnił uścisk, więc chłopiec spróbował złapać go mocniej. Wystające spod rękawów habitu nagie przedramiona

43

mnicha były muskularne i żyłaste, lecz śliskie **od krwi i potu**, toteż Max nie mógł ich porządnie uchwycić.

Wtem ze zgrozą ujrzał, że w odległości dwustu metrów olbrzymia bryła śniegu zniknęła bezszelestnie, bez żadnego ostrzeżenia, wpadając w otchłań. Po chwili jej śladem podążyły następne. Stok, do którego przywarły, był w istocie ogromnym zwałem śniegu, który zatrzymał się i spiętrzył na skraju głębokiej przepaści. Ostatni wstrząs naruszył jego chwiejną równowagę. Siła ciężkości pociągnęła go w dół i oto śnieżne pole wielkości boiska do piłki nożnej rozpląnęło się w nicość.

Mnich dostrzegł przerażenie w oczach Maksa. Odwrócił głowę,

zobaczył, co się stało, i mocniej chwycił rękę chłopaka. Jeśli odpadnie kolejna bryła śniegu, to obydwaj zginą! Poniżej niczym krater wulkanu złowrogo rozwarła się przepaść głębokości gigantycznych co najmniej pięciuset metrów, w której wirował śnieżny pył - pozostałość śniegowych bloków roztrzaskanych daleko w dole.

Zakonnik z rezygnacją pokręcił głową. Wiedział, że nie zdoła uniknąć śmierci. Krwotok z ran osłabił jego siły i wolę życia.

- Nie puszczaj! - wrzasnął Max.

Jednak ranny rozwarł śliską od krwi dłoń.

Max czuł, jakby ramię wyrywano mu ze stawu, a żebra bolały go piekielnie od uderzeń lodowych grud. Ale pomimo cierpienia przywarł do ukrytego pod śniegiem głazu i z całych sił trzymał mnicha.

Ten znów krzyknął głosem równie nabrzmiałym rozpaczą jak poprzednio, lecz tym razem po francusku. Jednak zagłuszył go ryk walących się zwałów śniegu i Max pochwycił tylko oderwane słowa: „...*allez... Abb... aye! ...le crocodile et le serpent!*”.

Chłopiec spostrzegł z przerażeniem, że za plecami mnicha pozostał jedynie dwudziestometrowy spłacheć śniegu. Reszta zniknęła. Jeśli i on się zsunie, obydwaj pogrążą się w szarej zamglonej nicości i zginą.

44

Mnich zerwał coś z szyi i cisnął Maksowi. Był to krucyfiks oraz jakiś medalion. Chłopak wpatrywał się w oczy rannego mężczyzny, w których ujrzał błaganie. Znów dobiegły go te słabe rozpaczliwe słowa: „*Ez ibure ere fida - eheke hari ere*”.

Chłopiec potrząsnął głową.

„Czy on nie zdaje sobie sprawy, że go nie rozumiem?” - pomyślał.

I wtedy odpadł ostatni blok śniegu, a razem z nim mnich wyrwany z uchwytu Maksa. Nieprzerwanie wpatrywał się w oczy chłopca, podczas gdy jego szponiaste palce zdarły mu z dłoni rękawicę i zegarek od ojca, a paznokcie rozorały skórę.

W ułamku sekundy, zanim pochłonęła go skłębiona mgła, wykrzyknął jedno słowo, które Max bez trudu zrozumiał:

- Lucyfer!

3

Po niespełna godzinie narciarski patrol odnalazł Maksa, który leżał na poszarpanej skale sterczącej nad głęboką przepaścią. Chłopiec był nieprzytomny i wyziębiony. Członkowie czteroosobowej grupy powiązali się linami, uważając, by nie wpaść w ziejącą otchłań, i wciągnęli go na noszach ratowniczych na bezpieczniejsze miejsce. Ostrożnie znieśli chłopaka w dół stoku i wezwali przez radio helikopter Górskiego Powietrznego Pogotowia Ratunkowego, który przetransportował go prosto do miejskiego szpitala w Pau, odległego o niecałe pół godziny lotu na południe.

Umysł Maksa pozostawał pogrążony w ciemności. Chwilami majaczył, że spada w czarną pustkę, jak gdyby ten straszliwy wir, który wessał cały świat, wciąż próbował go pochłonąć. Od czasu do czasu do jego świadomości docierał mechaniczny warkot i wibracje śmigłowca. Raz przez uchylone powieki dostrzegł rozmazany krąg śmigła na tle szarego

nieba i poczuł w nozdrzach smród spalin. Usiłował się podnieść, lecz był przywiązany pasami do noszy. Ratownik położył mu uspokajająco na piersi dłoń w rękawiczce i uśmiechnął się do niego, dając do zrozumienia, że wszystko jest w porządku i chłopiec jest bezpieczny.

Kiedy helikopter wylądował, Max nadal nie odzyskał przytomności. Szyję obejmował mu specjalny kołnierz, a ręce i nogi miał unieruchomione. Francuski zespół medyczny był świetnie

46

wyszkolony, a działając tak blisko gór oraz głównej autostrady, zdobył ogromne doświadczenie w zakresie złamań i przypadków hipotermii.

Gdy pacjenta wwieziono do środka, członkowie zespołu wysłuchali zwięzłego raportu górskich ratowników na temat jego stanu. Lekarz natychmiast ocenił, że chłopiec jest silny i wysportowany, ma prawidłowe napięcie mięśni, miarowy puls i nic nie wskazuje na wewnętrzny krwotok.

Doktor polecił przeprowadzić badanie rezonansem magnetycznym, lecz gdy pielęgniarka miała już rozciąć Maksowi spodnie i polar, chłopiec otworzył oczy.

- Nie rozcinajcie mojego ubrania. To jedyne, jakie mam -rzucił, po czym znów zemdlał.

Lekarz zawahał się, słysząc to rozpaczliwe błaganie. Max nie mógł wiedzieć, że doktor Marcel Riveux pracuje w tym górskim szpitalu po godzinach jako ochotnik, że ceni urok gór i czuje sympatię do innych ludzi doznających jak on dreszczu emocji podczas zjazdu po stromych stokach.

Doktor pokręcił głową, skinął na pielęgniarkę i zamiast rozcinać ubranie

Maksa, pomógł je ostrożnie zdjąć.

Szpital był doskonale wyposażony, dysponował najnowocześniejszą aparaturą i zatrudniał wykwalifikowanych specjalistów zapewniających każdemu pacjentowi znakomitą opiekę.

Max spoczywał w walcu urządzenia do rezonansu magnetycznego i przesuwiał się powoli pod jego wszytkowidzącym okiem. W przypominającej grobowiec lub kokon rurze panował mrok rozświetlany jedynie wąskim promieniem światła. Maszyna skanowała jego mózg i kręgosłup, wytwarzając niskie rezo-nujące dźwięki. Jeden z nich brzmiał jak cichnący alarm samochodowy, inny jak źle nastrojony wzmacniacz gitary, zaś obydwie zagłuszał syk przypominający parowóz lub szum wiatru w gałęziach drzew. Max ujrzał bryzgi światła cętkowanego jak śnieg na

47

wysokich konarach, a po chwili dźwięki ukołysały go do snu i znów zapadł w ciemność.

Lekarz obsługujący urządzenie był zaintrygowany młodym pacjentem. Wszystko wydawało się w normie - nie było uszkodzenia mózgu ani pęknięcia czaszki. Jednak głęboka aktywność mózgowa Maksa wskazywała na to, iż wszedł on w niezwykle stan neurologiczny. Zeskanowane obrazy mózgu chłopca przypominały satelitarne zdjęcia Ziemi zrobione z kosmosu i przedstawiały w kolorze szczegóły jego budowy. Kora mózgowa, wyglądająca niczym skręcony barwny węzeł, odpowiedzialna za procesy myślowe, oraz układ limbiczny rządzący emocjami wykazywały podwyższoną aktywność. Jednak dopiero

przyjrząwszy się obszarowi zwanemu pniem mózgu - zawiadującemu odruchami, instynktem samozachowawczym, oddychaniem oraz pracą serca - specjalista postanowił przeprowadzić dodatkowe badanie tomograficzne.

Wykonuje się je za pomocą wysoko wyspecjalizowanego urządzenia emitującego pozytony, które odwzorowuje biochemiczną strukturę mózgu. U tego chłopca występowały niemal zwierzęce reakcje. Badanie nie wykryło u niego żadnego śladu urazu, mimo iż doznał nadzwyczaj silnego wstrząsu. W trakcie badania specjalista przez moment odniósł wrażenie, że Max umarł, gdyż jego mózg wszedł w stan przypominający śmierć -lecz po chwili lekarz zdał sobie sprawę, że to ów czynnik, który uznał za zwierzęcy instynkt, wprowadził chłopca w rodzaj głębokiego letargu podobnego do hibernacji i nieróżniącego się niczym od zimowego snu niedźwiedzi. Jednakże podczas tego uśpienia lekarz zaobserwował sporadyczne intensywne skoki aktywności mózgowej pacjenta, których nie potrafił racjonalnie wyjaśnić. Przypuszczał, że organizm Maksa kryje w sobie nie-odkryte tajemnice. Aby je zanalizować, doktor potrzebował więcej czasu, ale jednego był pewien - ten chłopiec jest kimś niezwykłym.

48

W końcu Max ocknął się w szpitalnym pokoju, sztywny i obolały, i usłyszał przytłumione odgłosy rozmowy dwóch pielęgniarek. Młodsza z nich miała ciemne włosy związane z tyłu i pokazywała smukłym palcem jakąś informację na jego karcie chorobowej wiszącej w nogach łóżka. Druga, starsza, byłaby w wieku mamy Maksa, gdyby ta nadal żyła.

Max leżał nieruchomo, posłuszny instynktowi, który nakazywał mu nie poruszać się - jakby był ranionym zwierzęciem. Jego umysł pracował

gorączkowo, usiłując wypełnić luki w pamięci. A potem Max przypomniał sobie. W głowie zadudniły mu bezładne słowa wypowiedziane przez umierającego mnicha. Na to wspomnienie westchnął urywanie i obydwie kobiety spojrzały na niego.

- *Ez... fida - eheke...* - powiedział.

Starsza pielęgniarka podeszła bliżej i dotknęła dłonią jego czoła.

•Co powiedziałeś? - spytała po angielsku.

•Nie wiem... - mruknął Max. Te obce słowa niejako same mu się wyrwały. Znow ujrzał przed oczami wzburzoną twarz mnicha, obserwował jego poruszające się wargi i wsłuchiwał się w niezrozumiałe dźwięki. - *Ez ihure... ere fide - eheke.. bań... ere...* - wyjąkał.

Pielęgniarki popatrzyły na siebie, a potem młodsza zapytała łagodnie:

- Młody człowieku, czy wiesz, co przed chwilą powiedziałeś?

Max pokręcił głową. Kobiety wyglądały na zaniepokojone.

Znow przemówiła młodsza:

•Jestem francuską Baskijką. To mój język. Czy go znasz?

•Nie - odparł chłopiec. - A co to znaczy?

Pielęgniarki wymieniły między sobą kilka zdań po francusku tak szybko, że Max nic nie rozumiał. Wreszcie młodsza wzruszyła ramionami i rzekła:

- To znaczy: „Nie ufaj nikomu - oni cię zabiją”.

Szpitalny zespół starannie zajął się Maksem. Zrobiono mu prześwietlenie, tomografię, zbadano go szczegółowo, umyło i

stwierdzono, że nie odniósł żadnych obrażeń z wyjątkiem poobijanych żeber oraz skutków przemarznięcia. Miał szczęście, że wyszedł z tego żywy, ale lekarze chcieli zatrzymać go jeszcze na noc w szpitalu. Okazało się, że to Bobby Morrell wszczął alarm. Kiedy Max powiedział mu, że wraca w góry, a potem zeszła lawina, natychmiast zawiadomił patrol narciarski.

Max musiał jeszcze odpowiedzieć na rutynowe pytania lekarzy. Gdzie są jego rodzice? Czy ma teraz ferie? Od jak dawna przebywa w Pirenejach? Gdzie się zatrzymał? Ile ma pieniędzy?

Wyjaśnił im wszystko. Ktoś wspomniał o konieczności skontaktowania się z jego ojcem, a potem zostawiono go w spokoju. Przez godzinę leżał bez ruchu, wciąż od nowa przypominając sobie niedawne zajścia.

Został wplątany w dwa zdumiewające wydarzenia. Sophie i mnich. W obydwu wypadkach zaatakowali go ludzie używający identycznego czarno-białego kamuflażu. Powinien powiadomić o wszystkim policję. A co uczyniłby tata? Rozważyłby wszystko, wybrał własne rozwiązanie, a potem zaczął działać. Wspomniał jego słowa: „Max, czasami znajdujesz się w sytuacji, którą tylko ty sam możesz rozwiązać”.

- Gdzie są moje rzeczy? - spytał Max młodą pielęgniarkę, gdy wróciła, żeby zmierzyć mu temperaturę.

Otworzyła niewielką szafę, w której wisały ubrania chłopca, i wyjęła z szuflady zapieczętowaną brązową kopertę. W środku był jego plastikowy portfel zapinany na rzepy oraz bransoleta z zielonego malachitu. Zegarek ojca zginął, a zadrapania na nadgarstku były świadectwem, że straszliwe wydarzenia mu się nie przyśniły. Zal z powodu straty zegarka odsunął natychmiast na dalszy plan pamięć o koszmarnych wydarzeniach, które

niedawno przeżył, i Max wyszeptał w duchu: „Przepraszam, tato”.

50

Oprócz odnalezionej *misbahy* Sayida miał jeszcze dwa przedmioty, które mnich tuż przed śmiercią zerwał z szyi i rzucił mu.

Pierwszym był różaniec z krzyżykiem - jego sznur pękł i brakowało większości paciorków - zaś drugim zawieszony na skórzanym rzemyku mosiężny krążek, nieco większy od monety dziesięciopensowej. W środku jego czterech symetrycznych szprych umieszczony był mały okrągły kryształ.

Max pogładził krążek palcami i zacisnął go w dłoni. Nagle poczuł, że ten przedmiot nabrał dla niego jakiegoś szczególnego znaczenia, zwłaszcza że sam stracił cenną pamiątkę otrzymaną od ojca. Pomyślał, że dla umierającego mnicha ów przedmiot musiał być niezmiernie ważny, skoro powierzył go chłopcu, który usiłował uratować mu życie. Ojciec zawsze powtarzał, że zaufanie wiąże się z ogromną odpowiedzialnością.

Gdyby miał teraz obok siebie tatę, podjęcie właściwej decyzji byłoby znacznie łatwiejsze. Może powinien zatelefonować do niego i opowiedzieć o ostatnich tragicznych chwilach życia tego zakonnika? Jednak ojciec nadal przebywał w Londynie, gdzie dochodził do siebie po okrutnych torturach, jakim poddano go w Afryce, i wciąż jeszcze nie odzyskał w pełni pamięci. Lekarze uważali, że stan jego zdrowia ulega powolnej, lecz wyraźnej poprawie, a ponieważ pracował dla międzynarodowej agencji, która niekiedy pomagała brytyjskiemu rządowi w wykryciu nielegalnych działań poważnie zagrażających środowisku naturalnemu, umieszczono go w prywatnej klinice i otoczono troskliwą opieką. Max nie chciał obarczać

taty swoimi sprawami, aby nie przysporzyć mu zmartwień. Wiedział, że gdy przedstawiciele rządu w końcu dodzwonią się do kliniki, aby przekazać wiadomość o wypadku Maksa, telefonu nie odbierze ojciec, tylko ktoś inny. To dawało mu trochę czasu.

Rozmyślania przerwało mu pytanie pielęgniarki:

- Co to za wisiołek?
- Nic takiego - odparł wymijająco.

51

Wiedział jednak, że ów tajemniczy przedmiot, który ścisnął w dłoni, prawdopodobnie zawierał wyjaśnienie dramatycznych wydarzeń na zboczu góry. A usłyszane wówczas słowa stanowiły poważne ostrzeżenie.

„...*allezAbbaye! ...le crocodile et le serpent!*”. Pojedź do opactwa. Krokodyl i wąż.

„Nie mów nikomu - oni cię zabiją”.

Lucyfer.

Oni cię zabiją.

Lucyfer.

Mnicha ścigał mężczyzna w czerni, który go postrzelił. Zej* ście lawiny i rozpaczliwa walka o życie.

I ta wiadomość.

Sekretne przesłanie.

Max stanął w swoim pokoju przy oknie i wyjrzał na zewnątrz ponad niskimi dachami. Pau było niewielkim miastem położonym na skarpie nad rzeką Gave de Pau, która opływała je od południa. W pogodne dni widać stąd było ciągnące się w nieskończoność, poszarpane, skaliste szczyty

Pirenejów. Ich pokryte śniegiem wierzchołki, odległe o niespełna dwadzieścia kilometrów, oraz leżące za nimi Chateau de Pau tworzyły zachwycającą panoramę, fotografowaną z upodobaniem przez turystów odwiedzających tę okolicę. Lecz tej nocy było inaczej. Potężne szczyty przerażały Maksa i zdawały się z niego szydzić. Chłopiec otworzył okno i w twarz uderzył go zimny powiew wiatru.

W górach szalała burza przypominająca zajadłą bitwę. Łoskot gromów przetaczał się przez całe miasto. Błyskawice rozświetlały chmury i spowijały widmowym blaskiem górskie szczyty niczym ognisty krąg. Był to widok bardziej olśniewający niż wszelkie pokazy sztucznych ogni, jakie Max kiedykolwiek widział. Oślepiające błyski na niebie rozrywały ciemności, tworząc niezrównany pokaz potężnej wirującej energii. Cały świat drżał

52

w posadach. Rozszalałe siły natury rozpalały czerwone i błękitne płomienie, a oślepiające białe błyskawice tryskały z chmur ku ziemi, przesywając mrok.

Trzasnął piorun i widmowe światło błysnęło chłopakowi w twarz. Max cofnął się odruchowo, jednak po chwili chwycił się mocno parapetu i znów stawił czoło gniewnej burzy, mrużąc oczy przed porywami wiatru. Górom nie udało się go pokonać, lecz teraz szalejące żywioły zdawały się mówić mu, że wciąż mogą go dosięgnąć i zniszczyć.

Rozległ się huk gromu i Pireneje po raz ostatni zajaśniały zimnym światłem, gdy z nieba na ziemię spłynęła rozgałęziona błyskawica, niezwykle podobna do wzoru kamuflażu używanego przez Rekinią Twarz

i uzbrojonego narciarza.

Konający mnich zobowiązał Maksa, aby strzegł wisiorka oraz udał się do jakiegoś bliżej nieokreślonego opactwa, gdzie znajdzie wyjaśnienie tych zagadkowych wypadków. Chłopiec postanowił, że chwilowo nie zawiadomi policji. Było jednakże dwóch ludzi, którym mógł zaufać - ojciec i Sayid.

- Nie mogę uwierzyć, że przywiózł cię helikopter - jęknął Sayid leżący w swoim pokoju z nogą w gipsie od kolana do stopy. - A ja tłukłem się tutaj karetką dwie i pół godziny. Szczęściarzem z ciebie, że leciałeś śmigłowcem.

Max uśmiechnął się do niego.

- Przestań biadolić, bo zabiorę ci twoje kule. Słuchaj, zamierzają rano wypisać nas ze szpitala, więc trzeba coś wymyślić.

- Przecież musimy wrócić do domu, prawda?

Max skinął głową.

- Mamy bilety na samolot zarezerwowane na koniec tygodnia, ale przypuszczam, że spróbują odesłać nas do Anglii wcześniej. Jednak ja chcę tu jeszcze zostać.

- Zawody się skończyły i nic na to nie poradzisz - zauważył Sayid.

53

Współczuł przyjacielowi z powodu przegranej w finale. Pogładził *misbahę* i pomyślał, że Max wiele ryzykował, żeby ją odnaleźć, i omal nie przyplacił tego życiem.

Max odgadł jego myśli.

- Sayid, wróciłem na stok nie tylko z tego powodu. Widać

było mi pisane, że się tam znajdę. Są rzeczy, których nie da się wytłumaczyć, ale gdybym nie przegrał zawodów, nie wyruszył bym z powrotem w góry.

Pokazał przyjacielowi złamany krucyfiks różańca oraz mosiężny medalion z matowym kamieniem. Sayid dotknął obydwu przedmiotów, a potem przyjrzał się kamieniowi i spytał:

- Gdzie to znalazłeś?

Max zrelacjonował mu ostatnie wypadki. Sayid słuchał i przebiegł go dreszcz. Lubił drobne przygody - na przykład, gdy obydwaj podjadali jabłka w sadzie i uciekli przed psem, którym poszczuł ich farmer. To było wystarczająco ekscytujące i nie potrzebował niczego więcej. Natomiast jego przyjaciel zdawał się przyciągać poważne kłopoty niczym magnes.

Opowieść Maksa wstrząsnęła Sayidem. Początkowo w ogóle nie planował wyjazdu do Francji. Obydwaj postanowili spędzić wesoło zimowe ferie, więc podczas gdy Max imał się różnych dziwnych prac, żeby zdobyć pieniądze na podróż i udział w zawodach, Sayid rozwiązywał problemy miejscowych mieszkańców z komputerami. Arabski chłopiec marzył skrycie, żeby stać się taki jak jego przyjaciel, a nawet próbował go naśladować. Max zawsze potrafił obmyślić plan działania, a potem nieustępliwie wcielał go w życie. Sayid bez wahania poszedłby za nim w ogień, ale w głębi duszy zdawał sobie sprawę, że brakuje mu tego instynktu - tak, zwierzęcego instynktu przetrwania - który miał tylko Max.

Lawina, od której ocalił go przyjaciel, z pewnością nie była tak wielka jak ta, która porwała jego samego. Myśl o ogromnych zwałach śniegu walących się w dół górskiego zbocza na-

pełniła Sayida przerażeniem. Cóż za straszliwa śmierć - zostać pogrzebanym żywcem i zmiażdżonym. Jego przyjaciel miał rację - zawdzięczał życie wyłącznie determinacji mnicha.

- Chcę dowiedzieć się czegoś więcej o tym dziwnym zakonniku - oświadczył Max.
- Nie uważasz, że powinniśmy zostawić tę sprawę policji? Do licha, przecież ktoś usiłował go zabić!
- On uratował mi życie.
- To nie znaczy, że jesteś odpowiedzialny za jego śmierć.
- Mógł zostawić mnie pod śniegiem, zejść do doliny i zawiadomić ratowników. Jestem jego dłużnikiem, Sayid. Był zdesperowany i błagał, żebym mu pomógł.
- Raczej cię ostrzegał!
- To też bardzo ważne!

Sayid wiedział, że kiedy jego przyjaciel podejmie jakąś decyzję, nie ma sensu go od niej odwodzić.

- Nie polecę sam do Anglii - oznajmił. - Obiecuj, że po mnie wrócisz, dobrze?
- Obiecuję - przyrzekł Max.
- A więc musisz zyskać trochę czasu. Ile ci trzeba?
- Przynajmniej jeszcze jeden dzień. Jak przedstawiają się twoje zdolności aktorskie?
- Masz na myśli ten przeszywający ból, który nagle przebiegł mi po nodze aż do pleców, i okropną migrenę?
- Nie przesadz z tym bólem głowy - powiedział z uśmiechem Max. -

Gdyby lekarze zrobili ci tomografię mózgu, okazałoby się pewnie, że nic ci nie jest.

Personel szpitala powtórzył Maksowi, że Bobby Morrell kilkakrotnie dowiadywał się o jego zdrowie. Max zadzwonił do schroniska w Mont la Croix, gdzie zostali zakwaterowani wszyscy uczestnicy zawodów. Usłyszał, że Bobby jeździ teraz na nartach. Wiedział, że Amerykanin wróci o zmierzchu. Potrzebował

55

jego pomocy, więc zostawił mu wiadomość i upewnił się, że kierownik schroniska dokładnie ją przekaże.

Zrzucił szpitalną piżamę i szlafrok. Kiedy włożył swoje spodnie wory, kurtkę z polaru i buty, natychmiast poczuł się lepiej i odzyskał pewność siebie. Zmoczył dłoń pod kranem i przyczesał nią włosy. Potem założył na szyję mosiężny wisiołek na rzemyku i ukrył go pod bluzą, ale nie wiedział, co zrobić z pękniętym różańcem.

Do pokoju weszła młoda baskijska pielęgniarka, niosąc tacę z jedzeniem, całkowicie przekonana, że zastanie pacjenta leżącego w łóżku.

•Co ty wyprawiasz? - spytała.

•Muszę spakować rzeczy mojego przyjaciela - ubrania i sprzęt narciarski - skłamał. - Lekarz pozwolił nam wracać do Anglii.

- Ale chyba dopiero jutro, prawda? - upewniła się.

Postawiła tacę, niecierpliwie potrząsnęła głową i dotknęła dłonią jego czoła. Potem ujęła go dwoma palcami za przegub i zbadala puls, a jednocześnie drugą ręką machinalnie wygładziła kurtkę. Max nie zaprotestował. Wiedział, że starsze siostry zachowują się niekiedy w ten

sposób. Sam wprawdzie nie miał rodzeństwa, ale widywał w szkole, jak największy szkolny rozrabiaka Baskins, który stale bił się ze swoim kumplem Hoggar-tem, wpadał w bezsilny gniew i frustrację, ilekroć odwiedzała go rodzina. Jego starsza siostra bez przerwy przyglądała mu włosy, poprawiała ubranie i w ogóle wprowadzała zamieszanie i uprzykrzała mu życie.

Pielęgniarka wydawała się usatysfakcjonowana jego stanem zdrowia, niemniej jednak coś ją w tej sytuacji wyraźnie niepokoiło.

- Czy wszystko w porządku? - spytał Max. - Nie ma we mnie żadnego śniegu ani lodu, który należałoby rozmrozić? - rzucił żartobliwie, lecz kobieta nie zrozumiała dowcipu.

56

•W porządku - przytaknęła. Dotknęła krucyfiks, który trzymał w dłoni.

- Widziałam to już kiedyś - rzekła i zawahała się. - Czy komuś go ukradłeś?

•Oczywiście, że nie! - odparł gwałtownie, bardziej poruszony faktem, że rozpoznała ten przedmiot, niż tym, że posądziła go o kradzież.

•Powiesz mi, skąd go masz? - zapytała, przypatrując mu się uważnie.

Max wiedział, że jeśli skłamię, to spojrzenie może go zdradzić. Co miał zrobić? Odwrócić się od niej, zmyślić jakąś odpowiedź czy spróbować zmienić temat, aby zyskać na czasie. Nie. Spójrz jej prosto w oczy i nie mów jej prawdy.

- Znalazłem na stoku narciarskim - odparł bez drżenia po wieki.

Pielęgniarka rozważała przez chwilę jego słowa, po czym skinęła głową

i rzekła:

- To możliwe. Słyszałam, że on jeździ na nartach w wysokich partiach gór.

Czy ona знаła tego zakonnika? Maksowi serce zabiło szybciej. Dobrze, że teraz nie próbowała zbadać mu pulsu!

- Kto? - zapytał tak obojętnym tonem, na jaki tylko potrafił się zdobyć.

Wyjęła mu z dłoni różaniec i przesunęła palcem po ułamanym krzyżyku.

- Od czasu do czasu schodził z gór, żeby odprawić mszę w naszym języku. Zawsze wtedy całowałam ten krzyżyk i zauważyłam, że ma odłamany kawałek w dolnej części. On jest baskijskim mnichem.
- A więc bycie Baskiem bardzo się różni od bycia Francuzem?
- Oczywiście. Mamy odrębny język i kulturę. Hiszpańscy Baskowie bardziej agresywnie walczą o swoją niepodległość, a niektórzy z nich uciekają się do aktów terroru. Ale po tej stronie Pirenejów my, Baskowie, kochamy francuską tradycję i kulturę

57

równie mocno jak własną. Nie ma w tym dla nas żadnej sprzeczności.

- Jest pani pewna, że to należało do niego? - spytał.
- Do czego zmierzasz? Widzę, że coś wiesz, ale obawiasz się to zdradzić - rzekła łagodnie, a potem wyraźnie wypowiedziała ostrzeżenie, które wcześniej wymamrotał, kiedy odzyskał przytomność: - *Ez ihure ere fida - eheke bañ ere*. Czemu to powiedziałaś?

Podejrzewała coś czy też może jej wyuczona angielszczyzna sprawiła, że pytanie zabrzmiało, jakby obawiała się o jego bezpieczeństwo? Troska

albo podejrzliwość wyrażają się w niuansach intonacji głosu, a Max nie był pewny, czy trafnie odczytał intencje kobiety. Ostatecznie postanowił zignorować jej pytanie. Być może była po prostu opiekuńcza jak starsza siostra. Jednak sam słyszał, jak wypaplała wszystkim kumplom, że jej brat w dzieciństwie moczył się w łóżku. Nie ufaj nikomu.

Ostrożnie wyjął jej z dłoni różaniec.

•Oddam mu go - powiedział.

•Ale on jest samotnikiem. Żyje gdzieś w wysokich górach. Wiesz, co to jest *citeauxi*

Max potrząsnął przecząco głową.

•To miejsce, gdzie mieszkają tylko dzikie zwierzęta. On ma azyl - szalas w Montagne Noir - wyjaśniła.

•Na Czarnej Górze? Jest pani pewna? - zapytał Max, kryjąc zaskoczenie.

Był tam przed zaledwie dwoma tygodniami. Przed rozpoczęciem zawodów w ramach treningu fizycznego i psychicznego przez trzy dni wędrował po szlakach oraz bezdrożach Montagne Noir. To była dzika okolica, nawiedzana często przez burze śnieżne, lecz wpływ mgieł i deszczów znad Atlantyku sprawiał, że śnieg nie leżał w tym miejscu dłużej niż tydzień czy dwa w roku. To oznaczało, że występuje tam roślinność stanowiąca pokarm dzikich górskich kozic, którymi z kolei żywiły się dra-

piezniki. Maksa ostrzegano, że jeśli zapaści się zbyt wysoko w góry, może się natknąć na wilki bądź niedźwiedzie, które na skutek zmian klimatu nie zapadały jak dawniej w sen zimowy. Gdyby dzikie zwierzęta poraniły go

na tym pustkowiu, nie miałby szans na przeżycie. Chłopiec nie palił się, żeby tam wrócić.

- Wie pani, jak on się nazywa? - zapytał.

- Brat Zabala. To potężny mężczyzna z gęstą brodą i długimi włosami.

Max nie miał wątpliwości, że pielęgniarka mówi o tym samym mnichu, który ocalił mu życie podczas lawiny, a potem poniósł okropną śmierć w głębokiej przepaści.

Mocniej ścisnął w dłoni różaniec. Jakiś wewnętrzny głos ostrzegał go, że wkrótce zetknie się z mroczną tajemnicą zmarłego starca.

4

Max odetchnął z ulgą, kiedy zobaczył na końcu szpitalnego parkingu zdezelowaną niebieską furgonetkę. Do bagażnika na dachu miała przymocowane deski snowboardowe i surfingowe w pokrowcach, jej rozsuwane drzwi były otwarte, a przed nią na leżakach siedzieli Bobby Morrell i dwóch innych nastolatków, których Max poznał na zawodach. Surowi francuscy policjanci karali mandatami za spożywanie alkoholu w miejscach publicznych, toteż Bobby i jego przyjaciele popijali kawę i jedli hot dogi domowej roboty.

- Cześć - powiedział Amerykanin z szerokim uśmiechem na widok Maksa. - Dostałem twoją wiadomość. Sądziłem, iż przez trzymając cię jeszcze kilka dni w szpitalu, ale widzę, że jesteś w świetnej formie.

Max przytaknął i z wdzięcznością przyjął zaoferowany kubek kawy.

- Nic mi nie jest oprócz tego, że jedzenie w szpitalu mi szkodziło, a podczas lawiny straciłem kurtkę - odpowiedział, jedząc już hot doga.
- Tak? To żaden problem - rzekł Bobby i skinął na jednego z przyjaciół, który wszedł do furgonetki i po chwili wyłonił się z odjazdową kurtką snowboardową. - Przymierz to. Mój kumpel zostawił u mnie swoje rzeczy. Jest mniej więcej twojego wzrostu. Weź wszystko, czego ci potrzeba. On wróci dopiero za parę tygodni.

60

Kurtka doskonale pasowała **na Maksa. Podziękował kiwnięciem głowy** i spytał:

- A gdzie jest Peaches?

Bobby wzruszył ramionami, **odchrząknął i wpakował sobie** do ust następną porcję jedzenia.

- Na razie się rozstaliśmy. Bardzo przeżyła przegraną. Spotkamy się później w Biarritz u mojej babci. Wiesz, jak to jest z dziewczynami.
- Jasne, wiem - rzucił Max, żałując, że nie ma doświadczenia Bobby'ego. Kęs jedzenia utkwiał mu na moment w przełyku jak ryba w gardle kormorana, ale w końcu zdołał go przełknąć i złapał oddech. - Nie miałem jeszcze okazji ci podziękować - podjął. - Gdybyś nie zaalarmował patrolu, tkwiłbym tam nadal zamrożony na kamień.

Obydwaj rozmawiali z pełnymi ustami, opychając się jedzeniem.

- Nie ma sprawy - odparł niewyraźnie Bobby. - Nie sądziłem, że poradysz sobie z tak wielką lawiną. Ale udało ci się. To super. Czasami trzeba mieć szczęście. Nie pojechałem z tobą, bo urządziliśmy sobie zawody narciarskie na świeżym śniegu. Poza tym, no wiesz... nie

chciałem, żebyś pomyślał, że chcę cię niańczyć.

- Nigdy nie należy tracić okazji do dobrej jazdy - zgodził się Max, popijając ostatni kęs łykiem kawy. - Powiedziałeś, że możesz przechować nas u siebie przez parę dni.
- Jasne. Moja zwariowana babcia ma dom w Biarritz. Pomyślałem, że posurfujemy parę tygodni, a potem rozdzielimy się i pojedziemy w Alpy. Podobno ma tam spaść sporo śniegu i na pewno znajdziemy pracę w jakimś górskim schronisku za nocleg, posiłki i darmowy wstęp na stoki.

Max milczał, gryząc wargi. Do wybrzeża były niecałe dwie godziny jazdy autostradą lub dwa razy tyle zwykłymi szosami. W plecaku miał wszystko, co było potrzebne do kilkudniowego wypadu w góry, ale chciał jeszcze zapewnić opiekę Sayidowi.

Nazajutrz lekarze prawdopodobnie będą chcieli wsadzić ich do samolotu lecącego do Anglii. Problem w tym, że Max nie zamierzał jeszcze wracać. Groźna napaść kajakarza była niewątpliwie odwetem za to, iż poprzedniego wieczoru w miasteczku uratował Sophie. Jeżeli istotnie wszedł w drogę potężnemu gangowi handlującemu zwierzętami z zagrożonych gatunków i przewożącemu je z hiszpańskich portów przez te przełęcze do Francji i dalej, do całej Europy - to znalazł się w poważnym niebezpieczeństwie.

W głębi duszy wiedział jednak, że nawet jeśli przemytnicy zwierząt uznali, iż współpraca z Sophie, prawdziwa tajemnica kryje się zupełnie gdzie indziej. Brat Zabala, ścigany i postrzelony przez narciarza w czerni,

największym wysiłkiem zdołał przed śmiercią zerwać z szyi różaniec i medalion i rzucić je Maksowi. Chłopak wciąż jeszcze miał w uszach jego krzyk żądający, aby znalazł opactwo, które jest w jakiś sposób związane z krokodylem i wężem. Dlaczego staremu mnichowi tak bardzo na tym zależało? Cóż to była za ważna wiadomość, którą człowiek wydający ostatnie tchnienie przekazał mu, a na koniec przestrzegł przed Lucyferem? Czy ów upadły anioł był częścią tajemnicy opactwa? Max wiedział, jak postąpiłby tata. Spełniłby błagania umierającego i spróbował rozwiązać tę zagadkę. Jeśli bowiem w sprawę włączy się policja, rozpocznie żmudne, niemrawe śledztwo i rzecz utknie w martwym punkcie. Tak więc nie powinno się ich o niczym powiadamiać - w każdym razie jeszcze nie teraz. Max musiał zdecydować, czy zostanie i spróbuje dowiedzieć się czegoś więcej o zmarłym pustelniku, czy też wróci do Anglii i zapomni o całej sprawie. „Nie mam wyboru, prawda, tato?” - westchnął w duchu.

Fragmentaryczne poszlaki i ułamki informacji były jak strzaskane lustro. Zastanawiał się, jak złożyć je w jedną całość.

- Zaopiekuj się Sayidem - powiedział. - Ja muszę wyjechać, żeby czegoś poszukać. To ważna sprawa, Bobby, ale na razie nie mogę ci zdradzić nic więcej. Musisz mi zaufać.

62

- Im mniej będę wiedział, tym lepiej - odparł z uśmiechem Amerykanin.
- Wał, czego potrzebujesz.

Max pokrótce wyłożył mu swój plan. Gdy kończył mówić, spostrzegł w oddali niebieskawe światła reflektorów samochodu, który skręcił z szosy do szpitala. Poczuł, że nie ma ani chwili do stracenia.

To było czarne audi.

Furgonetka Bobby'ego podjechała do głównych drzwi szpitala i tam utknęła, gdyż zgasł jej silnik. W nocną ciszę wdarła się hałaśliwa muzyka. Gromadka snowboardzistów wysypała się z samochodu i próbowała popchnąć go, żeby zapalił.

Ze szpitala natychmiast wyszło dwóch członków zespołu pełniącego ostry dyżur, żądając wyłączenia tej kakofonii, gdyż może obudzić pacjentów. Bobby nie rozumiał ich słów, ale z gwałtownych gestów wywnioskował, że nie podzielają jego upodobania do rapu. Zrobił, co mu kazano, i wyłączył samochodowy odtwarzacz, mamrocząc przeprosiny i tłumacząc, że jest Amerykaninem i zabłądził w plątaninie jednokierunkowych ulic tego uroczego miasteczka. Mówił okropną łamaną francuszczyzną, choć w rzeczywistości władał nią płynnie.

W końcu wszystko się uspokoiło. Bobby uruchomił furgonetkę dokładnie w momencie, gdy Max wszedł do szpitala, minął opuszczoną recepcję i skierował się do windy.

Na pograżonych w półmroku szpitalnych korytarzach i w salach panowała cisza. Tylko gdzieś z oddali dobiegał szmer kilku głosów, metaliczny brzęk wózka, ciche trzaśnięcie zamykanych drzwi i szum windy zjeżdżającej do piwnicy. Max szedł szybko. Nie chciał, żeby ktoś zobaczył go płaczącego się po oddziale, więc trzymał się w cieniu pod ścianami. Ojciec nauczył go, jak niepostrzeżenie podchodzić w dżungli dzikie zwierzęta na tyle blisko, by móc je fotografować. Gordon poruszał się teraz równie szybko i bezszelestnie jak one.

Okna korytarza szóstego pietra wychodziły na parking i Max spostrzegł

w dole matowy błysk światła odbitego od czarnych skórzanych kurtek dwóch mężczyzn, którzy wysiedli z osobowego samochodu. Byli to ci sami faceci, którzy poprzednio obserwowali go z brzegu rzeki, kiedy płynął kajakiem. Omiotli wzrokiem niemal pusty parking, a potem jeden z nich dał znak, żeby się rozdzielili. Wyższy ruszył w kierunku recepcji, natomiast jego towarzysz okrążył budynek szpitala.

„Kim oni są?” - zastanawiał się Max.

Pod kimś zaskrzypiało krzesło. Chłopiec przywarł do ściany, zerknął zza załomu do pokoju pielęgniarek i ujrzał, że siostra dyżurna odsunęła krzesło od biurka. Jeśli wyjdzie na korytarz, wpadnie prosto na niego. Max widział jej odbicie w przeciwległym oknie. Kobieta ułożyła równo plik kart pacjentów, wetknęła je sobie pod ramię i ruszyła do drzwi. Bez względu na to, co Max wymyśli, aby wytłumaczyć swoje skradanie się po korytarzu, pielęgniarka niechybnie nabierze podejrzeń i zadzwoni po strażnika.

Chłopak wyjął z kieszeni monetę i rzucił ją za próg pokoju. Pieniążek potoczył się pod szafkę z dokumentami. Pielęgniarka usłyszała brzęk, zawróciła, spostrzegła monetę i schyliła się, żeby ją podnieść. W tym czasie Max przemknął obok otwartych drzwi.

Minął kilka gabinetów i ogarnęła go niepewność. Czy był na właściwym piętrze? Nie mógł się zorientować w układzie sal -w nocy wszystko wyglądało tu inaczej.

Nagle usłyszał znajomy dźwięk, niczym sygnał naprowadzający, i w ciągu kilku chwil trafił pod drzwi pokoju Sayida. Otworzył je i zobaczył swego przyjaciela leżącego na łóżku z szeroko otwartymi ustami i chrapiącego rozkosznie. Potrząsnął nim delikatnie. Sayid sapnął,

przewrócił się na drugi bok i zaczął chrapać jeszcze głośniej. Max szarpnął gwałtowniej, a kiedy Sayid nawet nie drgnął, zasłonił mu usta ręką. Śpiący ucichł na mo-

64

ment, a potem zaczął się gwałtownie rzucać, chcąc złapać powietrze. Max odsunął rękę, a gdy Sayid zaczerpnął tchu, chlusnął mu na twarz wodą ze szklanki stojącej na stoliku przy łóżku. Arab zakrztusił się. Max ujął jego twarz w dłonie i wyszeptał:

- Cicho, Sayid. To ja.

Sayid przestał kasłać, zamrugał gwałtownie, otworzył oczy, wpatrzył się w niego otumanionym wzrokiem i w końcu wymamrotał:

•Max... cześć... co ty tu...? Oni dali mi... leki...

•Co takiego?

-Tak... powiedziałem im... Ja... eee... miałem... okropne bóle... - Zaśmiał się głupawo. - Podziałało... widzisz? Cha, cha... teraz mi dobrze...

Zaczął znowu zapadać w sen. Max potrząsnął nim i Sayid znów otworzył oczy.

- Cześć, Max. "Właśnie mi się śniło... że oblałeś mnie wodą... słuchaj, co ty tu robisz?"

Niewątpliwie był zamroczony. Max nie miał czasu na dalsze wyjaśnienia ani tym bardziej na wyciągnięcie przyjaciela z łóżka i ubranie go. Potrząsnął nim energicznie.

- Posłuchaj, Sayid. Musimy się stąd wynieść. Ocknij się, stary - powiedział i lekko klepnął kumpla w twarz.

Sayid nieco oprzytomniał.

- Tak, tak, Max, zaraz. Ale dokąd mamy iść?
- Później ci wyjaśnię.

Max dźwignął przyjaciela z łóżka, posadził go w fotelu na kółkach, podsunął podpórkę na nogi i okrył ciało kocem. Sayid starał się współpracować, ale głowa znowu opadła mu na pierś. Poderwał ją gwałtownie, gdy Max pociągnął go za włosy, i wymamrotał:

- Dobra, nie śpię!

Max otworzył szafkę, wyrzucił na łóżko jej zawartość, zawinął wszystko w koc i położył na kolanach Sayida. Potem

65

uzmysłowił sobie, że jeśli przyjaciel znów zaśnie, spadnie z fotela. Oderwał z prześcieradła pasek płótna, owinał nim Sayida pod pachami i przywiązał go starannie do oparcia.

Raptem usłyszał szum windy. Chwycił pospiesznie dwie kule inwalidzkie, wetknął jedną pod wiązanie z prześcieradła, drugą zaś wcisnął przyjacielowi w rękę.

- Posłuchaj, Sayid, musisz pozostać przytomny na tyle długo, żeby otwierać tą kulą wszystkie drzwi po drodze - inaczej będziesz uderzał w nie stopami. Jesteś gotowy?

Sayid kiwnął głową, a potem oblizał spękane wargi.

- Pić - wychrypiał.

Max przytknął mu do ust karafkę z wodą, a gdy przyjaciel wypił łąpczywie kilka łyków, odsunął ją.

- Wystarczy, stary. Nie jesteś wielbłądem i nie ma tu żadnych toalet - powiedział.

Zerknął szybko na korytarz i przekonał się, że droga jest wolna. Wypchnął wózek za próg, odwrócił się plecami do głównej windy i skierował się prosto do lewego skrzydła wielkich wahadłowych drzwi. Usłyszał łagodny dźwięk, który oznaczał, że winda się zatrzymała.

- Trzymaj się. Ruszamy! - zawołał Max.

Sayid chwycił mocno kulę i niczym taran uderzyli w drzwi. Po ich drugiej stronie był długi korytarz najwyraźniej służący za magazyn i zagracony wózkami inwalidzkimi oraz stolikami na kółkach. Korytarz skręcał w lewo; drogę zagrażał chłopcom pozostawiony przez sprzątaczkę wielki wózek pełen środków czyszczących i mopów. Max dostrzegł strzałkę kierującą do windy towarowej, lecz ich droga ucieczki była zablokowana.

Obejrzał się przez ramię. Wiedział, że ktokolwiek znajdował się za nimi, zapewne dotarł już do pokoju Sayida.

- Zaczekaj chwilę - rzucił do przyjaciela.

Pobiegł z powrotem do wahadłowych drzwi, zerknął przez szczelinę między ich skrzydłami i ujrzał zbliżającego się mężczy-

zně z ciemnym dwudniowym zarostem, którego widział poprzednio nad rzeką. Jego wielka zwalista postać nie pasowała do sterylne go wnętrza szpitala i chłopiec zamyślił się nad tym, jak przekonał pielęgniarki w dyżurce, żeby go wpuściły do Sayida. Może powiedział, że jest jego krewnym. Zresztą nieważne, jakiego użył podstępu - liczył się fakt, że tu był. Towarzyszyła mu nocna pielęgniarka. Max usłyszał strzępy jej słów: „...ten chłopiec został już wypisany... ale jego przyjaciel jeszcze u nas

leży". Weszła do pokoju Sayida, a mężczyzna cierpliwie czekał na korytarzu.

Max wstrzymał oddech. Usłyszał ciche skrzypienie skórzanej kurtki mężczyzny opinającej muskularne ciało. Nieznajomy odwrócił ciemną nieogoloną twarz i popatrzył prosto na drzwi, za którymi przykucnął Max. Było tam mroczniej niż na korytarzu, ale chłopiec wiedział, że jeśli ulegnie instynktownej panice, zostanie odkryty. Przypomniał sobie radę taty: „Jeśli ktoś cię tropi, nie poruszaj się, gdyż to właśnie ruch cię zdradzi”. Opanował lęk.

„Nawet nie drgnij - powiedział sobie z mocą. - Powściągnij pokusę ucieczki. Jeżeli jej się poddasz, każdy wytrawny myśliwy natychmiast zauważy twój ruchomy cień”.

Wiedział bowiem, że mężczyzna na korytarzu jest kimś więcej niż myśliwym. Wyglądał na zawodowego zabójcę.

Max czekał bez ruchu.

Nieznajomy zawrócił i ruszył w jego kierunku. Chłopiec zebrał siły. Zamierzał naprzeć barkiem na drzwi w nadziei, że zbije przeciwnika z nóg. Jednak po chwili uświadomił sobie, że niełatwo przyjdzie mu przewrócić tak masywnego mężczyznę, nawet jeśli zadziała przez zaskoczenie. Nie miał jednak wyboru; nie mógł zrobić nic innego. Nieznajomy był już tylko o kilka kroków. Chłopak napiął mięśnie, przygotowując się do pchnięcia mocniejszego, niż kiedykolwiek wykonał w młynie podczas meczu rugby.

- Monsieur - szepnęła nagle pielęgniarka. Mężczyzna zatrzymał się i odwrócił do niej. - Nie *ma* go tutaj. Może poszedł do

łazienki. Wolałabym to sprawdzić. Proszę tędy.

Blask lampy nad głową rzucał cień na twarz nieznajomego, który wpatrywał się przenikliwie w mrok. Max wstrzymał oddech, lecz serce waliło mu tak mocno, jakby chciało wyskoczyć z piersi. Zaraz miało się rozstrzygnąć, czy prześladowca zrobi jeszcze te kilka kroków i otworzy drzwi. Po ułamku sekundy wahania mężczyzna zawrócił i podążył za pielęgniarką.

Max odetchnął cichutko.

Teraz musiał tylko zawlec wózek z siedzącym na nim Sayidem po schodach na niższe piętro. Zabrało mu to sporo czasu i kosztowało wiele wysiłku. Kiedy tam dotarli, był tak spocony, że mokry podkoszulek przylgnął mu do pleców. Modlił się w duchu, żeby nie musieli pokonywać w ten sposób drogi aż na parter. Skręcił za róg, ominął następną wózek sprzątaczkę i z ulgą ujrzał otwarte drzwi windy towarowej pozostawione widocznie przez kogoś z personelu szpitala.

Wtoczył wózek Sayida do obszernej kabiny i zawahał się z palcem nad przyciskami. Dokąd poszedł ten drugi facet? Zapewne na tyły szpitala. W takim razie najbezpieczniej będzie zjechać do piwnicy, ukryć się tam na chwilę, a potem znaleźć drzwi wyjściowe. Nacisnął guzik.

Drzwi zamknęły się chybotliwie i winda, skrzypiąc, ruszyła w dół. Kiedy w końcu zatrzymała się z hurgotem, oczom chłopców ukazał się labirynt korytarzy. Nad ich głowami znajdowały się rury przewodów klimatyzacyjnych, a pod chropawym cementowym stropem biegły czerwone, zielone i niebieskie kable. Trzeba było wybrać którąś z dróg.

- Co ty na to, Sayid? Gdzieś tu powinien być podziemny garaż dla ambulansów. Jak sądzisz - jest na lewo, na prawo czy na

wprost?

Głowa Sayida znów opadła na pierś.

68

- Przyjmuję, że przytaknąłeś na wszystkie trzy możliwości - ciągnął Max. - A zatem zdam się na los.

Zdecydowało jednak to, że poczuł zapach spalin samochodowych dolatujący z wylotu mrocznego korytarza naprzeciwko. Pchnął wózek w tym kierunku i w tej samej chwili usłyszał, że nad nimi ktoś podniósł sztabę drzwi pożarowych. Znieruchomiał i nasłuchiwał. Przez chwilę panowała cisza, lecz potem dobiegł go niemal bezszelestny odgłos stąpania gumowych podeszew. Ktoś schodził powoli po schodach ewakuacyjnych. Od pierwszego podestu dzieliło Maksa już tylko kilkanaście stopni. Jeśli prześladowca ruszy szybciej, za chwilę zobaczy ich obydwu.

Max zakrył dłonią usta Sayida, który szeroko otworzył oczy.

- Musimy się ukryć. Ktoś nadchodzi.

Pod wpływem lęku Sayid oprzytomniał i mocniej uchwycił kulę. Max popchnął wózek przez najbliższe drzwi na zaniedbany korytarz. Fluorescencyjna lampa na suficie trzaskała i migotała, oświetlając podłogę wyłożoną linoleum. Tutaj nie czuć było środków dezynfekujących; w powietrzu unosił się jakiś inny zapach, którego Max nie potrafił zidentyfikować. Ostrożnie zamknął drzwi, żeby nie wydały żadnego dźwięku. Przypuszczał bowiem, że prześladowca skradający się na dół po schodach bacznie nasłuchuje.

Nie mieli czasu, by schronić się gdzieś dalej. Na korytarzu stał

dwupoziomowy szpitalny wózek, na którym leżało porządnie złożone bawełniane prześcieradło oraz gumowa płachta izolacyjna. Naprzeciw niego znajdowały się drzwi z zasuwą, umieszczonym u góry półkolistym okienkiem oraz małą tabliczką z napisem: „Kostnica”.

- Zaczekaj chwilkę - szepnął Max i odciągnął zasuwę.

Ujrzał salę ze ścianą chłodni z nierdzewnej stali. Każda miała drzwi na tyle duże, by móc wsunąć przez nie ciało człowieka. Stał tu też wózek podobny do tego w korytarzu. Służył niewątpliwie

69

do przywożenia zwłok ze szpitalnych oddziałów albo - jak miał nadzieję Max - z korytarza prowadzącego do podziemnego garażu karetek, które dowoziły tam śmiertelne ofiary wypadków. Uklęknął obok Sayida i szepnął mu do ucha:

- Wejdziemy do środka. Jest tam dość ciemno i stoi wózek - taki sam jak ten tutaj - w którym będziemy mogli się ukryć. Połóżysz się na jego dolnej półce, a ja na górnej i przykryję nas prześcieradłem. Przypuszczam, że człowiek, który nas tropi, nie będzie chciał myszkować w kostnicy. Chyba zdołam wstrzymać oddech na tyle długo, żeby wprowadzić go w błąd.

Sayid potrząsnął głową.

- Nie zgadzam się.
- Nie mamy wyjścia, stary. Ktoś schodzi po tych schodach i założę się, że to nie pielęgniarka, która chce utulić cię do snu.
- Nie ma mowy. Nie wejdę tam, Max. Nie mogę - odszepnął Sayid.
- Oni nic ci nie zrobią. Są martwi - zapewnił go Max. - Leżą w lodówce

jak resztki zeszłotygodniowego obiadu.

Sayid zacisnął mocno powieki i stanowczo potrząsnął głową. Nie było czasu na sprzeczkę. Prześladowca pchnął wahadłowe drzwi na parterze. Niewątpliwie sprawdzał kolejno wszystkie korytarze.

- O rany, Sayid! Czasami potrafisz naprawdę uprzykrzyć człowiekowi życie.
- Ja?! - syknął Sayid.

Nad nimi trzasnęły drzwi. Obydwaj spojrzeli w górę i uzmysłowili sobie, że intruz wraca na schody. Max chwycił przyjaciela za ramię.

- Zsiadaj i wczołgaj się pod ten wózek na korytarzu. Ja wejść tam - powiedział, wskazując ruchem głowy drzwi kostnicy.

Sayid wgramolił się ostrożnie na dolną półkę wózka. Max przykrył szczelnie wózek prześcieradłem, a potem uniósł je nieco i rzucił:

70

- Masz leżeć nieruchomo **jak trup, dopóki po ciebie nie przyjdę**.

- To nie pora na żarty.
- Wcale nie żartuję. Ten człowiek wejdzie na korytarz, więc w żadnym wypadku nie wolno ci się poruszyć.

Sayid legł nieruchomo, przyciskając do piersi zwinięte w kłęb ubranie. Max opuścił róg prześcieradła i wszedł do kostnicy. Ostrożnie zamknął za sobą drzwi, opierając brzeg zasuwę o framugę, żeby zamek się nie zatrzasnął, a potem wczołgał się pod wózek, tak jak polecił Sayidowi. To prześcieradło było krótsze -nie sięgało do ziemi ani nie przykrywało całej długości jego ciała. Zdjął więc buty i skarpetki i podwinął nogawki spodni

do kolan. Wetknął każdy but pod pachę, położył się na górnej półce wózka, naciągnął prześcieradło na głowę i wyprostował się sztywno, jakby w pozycji na baczność, zdecydowany nie poruszyć się, cokolwiek by się wydarzyło. W tej zimnej sali jego wystające spod prześcieradła gołe stopy niemal natychmiast zaczęły marznąć i poczuł chęć, by potrzeb jedną o drugą, aby je rozgrzać. Zetknął je jednak tylko piętami i rozłożył w naturalny sposób. Gdy tylko uspokoił oddech, usłyszał, że wahadłowe drzwi otworzyły się cicho.

Modlił się w duchu, żeby Sayidowi nie puściły nerwy.

5

Mężczyzna, który niemal bezszelestnie zszedł po ostatniej kondygnacji schodów, większą część swego życia spędził we francuskiej legii cudzoziemskiej. Kiedy wstąpił do niej w Marsylii przed dwudziestu laty, nie zadawano mu żadnych pytań i oficjalnie wykreślono z policyjnych rejestrów brutalne przestępstwa, które popełnił w młodości. Ofiarowano mu nową tożsamość oraz - co ważniejsze dla niego i jemu podobnych wyrzutków - nową rodzinę: legię. Po jakimś czasie opuścił tę legendarną formację wojskową, gdyż znalazł lepiej płatną pracę, w której mógł wykorzystać swoje szczególne umiejętności.

W legii dano mu nazwisko Corentin, co po bretońsku znaczy „huragan”. Istotnie miał moc i energię sztormowej nawałnicy. Jednak był nie tylko silny, ale i ostrożny, i teraz cicho skradał się słabo oświetlonym korytarzem. Choć nie było tu śladu żadnego z chłopców, instynkt

podpowiadał Corentinowi, że ktoś kryje się za tymi wahadłowymi drzwiami. Po drodze bez trudu przekonał pielęgniarkę, że zamierza opuścić budynek szpitala. Posuwał się schodami w dół, metodycznie sprawdzając wszystkie pomieszczenia, a przed chwilą usłyszał jakiś szelest. Miał przy sobie ukryty półautomatyczny dziewięćmilimetrowy pistolet Glock 18 oraz sztylet z krótkim ostrzem, a do tego był doskonale wyszkolony w sztukach walki. Był jednak pewien, że nie będzie musiał użyć broni ani umiejętności walki wręcz. Ostatecznie przecież nie ścigał zawodowych morderców, tylko dwóch nastolatków.

72

Sayid wtulił twarz w trzymany na piersi tobołek z ubrania w rozpaczliwej nadziei, że prześladowca nie usłyszy jego płytkiego pospiesznego oddechu. Zerknął spod rogu prześcieradła i dostrzegł czarne buty na miękkiej podeszwie. Nagle poczuł, że zaczyna mdleć - czy to z napięcia i strachu, czy też wskutek otrzymanych leków.

Corentin minął szpitalny wózek, przeszedł jeszcze dziesięć kroków i dotarł do końca korytarza. Zawrócił i zawahał się przed drzwiami kostnicy. W swoim życiu widział wiele brutalnych zabójstw - a niektóre z nich sam popełnił, co wymagało energii i determinacji. Jednak w ciszy kostnicy przebywały dusze zmarłych.

„Staroświeckie zabobony” - pomyślał.

Być może odczuwał podświadomy lęk, wiedząc, że pewnego dnia sam legnie na zimnym stole sekcyjnym, a patolog dokona pierwszego rytualnego cięcia, aby ustalić przyczynę zgonu. Co nią będzie? Nóż, rewolwer, eksplozja bomby? Nie zastanawiał się nad tym i nie dbał o to.

Ale wejść do kostnicy...

Corentin ostrożnie otworzył drzwi i poczuł mdlący słodki zapach płynu do balsamowania i jeszcze jakichś innych specyfików używanych przez tych doktorów od śmierci. Zerknął szybko do środka i ujrzał szafki z nierdzewnej stali, wózek i czyjeś zwłoki.

W porządku, nikogo tu nie ma. Cofnął się, lecz nagle jego instynkt krzyknął ostrzegawczo. Corentin przeklął w duchu swoją głupotę. Pozwolił, aby dziecinny lęk zakłócił jego koncentrację, i teraz ktoś zaszedł go od tyłu! Odwrócił się gwałtownie, jednocześnie wyciągając pistolet automatyczny i mierząc do milczącego intruza.

- To ja! - syknął jego towarzysz i uniósł ręce w obronnym geście.

Corentin opuścił broń.

- Do diabła, Thierry!

Obydwaj mężczyźni byli jednakowo dobrze wyszkoleni w wojennym rzemiośle i pracowali razem przez kilkanaście lat.

73

- Na starość zaczynasz robić się nerwowo - rzucił Thierry. - Znalazłeś coś?
- Nie, a ty?
- Na tyłach szpitala jest podziemny parking, bardzo kiepsko strzeżony. Pomyślałbyś, że w dzisiejszych niespokojnych czasach...
- Widziałeś któregoś z tych dzieciaków? - przerwał mu Corentin.
- Ani śladu. To idiotyczne zadanie. Co oni mogą wiedzieć?
- Wystarczająco dużo, żeby umożliwić nam zdobycie tego, czego

chcemy. Wynośmy się stąd. To fałszywy trop - nasze ptaszki się ulotniły.

Obydwaj wyszli z kostnicy i zasunęli rygiel wahadłowych drzwi.

„Pozostawmy dusze zmarłych w spokoju” - pomyślał Corentin.

Max czekał, wsłuchując się w niewyraźne głosy, które rozmawiały po francusku. Potem usłyszał skrzypnięcie zamykanych drzwi i trzask rygla. Jeszcze przez parę minut leżał nieruchomo, na wypadek gdyby to był podstęp mający na celu wywabienie ich z kryjówki. Wreszcie odrzucił na bok prześcieradło.

Serce waliło mu mocno, kiedy szarpnął za klamkę. Drzwi nawet nie drgnęły.

Zastukał w nie ostrożnie, tak aby prześladowcy go nie usłyszeli, i szepnął cicho:

- Sayid, oni mnie zamknęli. Jesteś tam?

Nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Rany, chyba nie zgarnęli Sayida! Czyżby znieścacka go dopadli, zakneblowali i zabrali ze sobą?

Max podepchnął do drzwi szpitalny wózek, nacisnął stopą blokadę kół i wdrapał się na jego blat, po czym zerknął przez półotwarte okienko u góry. Nie dostrzegł żadnego z prześladowców.

74

- Sayid! - syknął, tym razem głośniej.

Znów zaczął nasłuchiwać. Zza drzwi dobiegło głośnie chrapanie przyjaciela. Max wpadł w panikę, gdyż wiedział, że bez pomocy Sayida nie zdoła się stąd wydostać. Osadzone na dolnych zawiasach okienko w drzwiach otwierało się na zewnątrz i było o wiele za wąskie, by zdołał się

przez nie przecisnąć. Wystawił ramię najdalej, jak mógł, i cisnął butem w przyjaciela.

Był to niezwykle celny rzut, gdyż but uderzył w prześcieradło w miejscu, w którym znajdowała się głowa Sayida. Reakcją było raptowne sapnięcie. Świetnie! To powinno podzielać. Maksa ogarnęło radosne uczucie ulgi, lecz po chwili usłyszał, że sapnięcie znowu przeszło w rytmiczne nosowe chrapanie.

Sayid spał jak zabity, a Max znalazł się w pułapce.

Bobby Morrell siedział w furgonetce zaparkowanej około trzystu metrów od szpitala. W tym miejscu szosa lekko się wznosiła, toteż miał stąd dobry widok na front i tyły budynku. Pozostali dwaj snowboardziści leżeli już w ciepłych śpiworach z tyłu furgonetki. Czekanie trwało dłużej, niż Bobby się spodziewał. Zamierzał już wyskoczyć z samochodu i spróbować odnaleźć Maksa i Sayida, gdy z cienia na tyłach szpitala wyłonili się dwaj mężczyźni. Podeszli do nieoświetlonego rogu parkingu i wsiedli do czarnego audi, którego wcześniej nie zauważył. Schylił głowę, gdy niebieskawe światło reflektorów odjeżdżającego auta omiotło jego furgonetkę.

„O rany! Ci goście wyglądają na niezłych oprychów. Na pewno nie jadają na śniadanie lukrowanych ptysiów - pomyślał. -Może jednak lepiej zaczekać w samochodzie - na wypadek gdyby mieli jeszcze jakichś kumpli”.

Wykluczone, by Maksowi udało się staranować drzwi wózkiem, a z tego upiornego pomieszczenia nie było innego wyjścia. Gdyby napał całym ciałem na okienko w drzwiach, strzaskał je

i wypchnął z zawiasów, prawdopodobnie zdołałby wypełznąć na zewnątrz. Wówczas jednak odłamki szkła mogłyby pokaleczyć mu nogi, a gdyby przecięły arterię udową w pachwinie, skonałby w ciągu kilku chwil - mimo iż znajdował się w szpitalu. Pomoc medyczna nie zdążyłaby dotrzeć do niego na czas.

Nieprzerwane chrapanie Sayida irytowało go niczym bzyczenie natrętnego dokuczliwego komara. Obmacał palcami okno w nadziei, że znajdzie jakiś słaby punkt - może luźny zawias, który mógłby wyrwać. Jednak drzwi wyglądały solidnie, a wieloletnie warstwy emalii połączyły szczelnie szybę z drewnianą framugą. Tylko zawiasy były naoliwione. Po chwili spostrzegł małą spiralną zapadkę z przewleczonym sznureczkiem służącą do otwierania i zamykania okienka.

Delikatnie pociągnął linkę, ale było oczywiste, że okna nie da się otworzyć szerzej. Gdyby natomiast zdołał odciąć sznurek i zrobić z niego niewielką pętlę, mógłby wychylić się i zaczepić ją o główkę zasuw.

Owinął sznurek wokół dłoni i spróbował go przerwać, lecz nie udało mu się. Zauważył jednak, że w miejscu, w którym sznurek przechodził przez zapadkę, wystrzępił się od nieustannego użycia. Poluzował go więc na tyle, by móc mocno chwycić obiema dłońmi, i szarpnął. Sznurek pękł. Na fragmencie, który został mu w rękach, Max zawiązał ruchomy węzeł, który powinien zacisnąć się w chwili zahaczenia o zasuwę. Spróbował sięgnąć przez okienko, ale ponieważ przymknął je, szamocząc się z linką, nie udało mu się przepchnąć jednocześnie barku i ramienia.

Popatrzył na dół. Główka zasuw znajdowała się około metra poniżej. Wywiesił linkę przez szczelinę okna i huśtał nią na ślepo, usiłując

dosięgnąć zamknięcia. Po kilku nieudanych próbach poczuł, że mu się udało. Trzymając sznurek w palcach, wystawił rękę przez wąsko uchylone okienko, ponownie zerknął w dół i zobaczył, że pętla zacisnęła się na główce zasuw. Cof-

76

nął rękę, przycisnął twarz do ramy okienka i mocno szarpnął sznurek w bok. Jednak zasuw, mocno wciśnięta we framugę drzwi, ani drgnęła. Musiał w jakiś sposób poluzować ją na tyle, żeby przesunęła się, umożliwiając otwarcie drzwi. Aby poruszyć tę zasuwę, trzeba byłoby chyba trzęsienia ziemi. Dobrze, a więc pora na trzęsienie ziemi!

Wciąż balansując chwiejnie na blacie szpitalnego wózka, Max wciągnął skarpetki na zmarznięte stopy, a potem włożył i zawiązał jeden but, który mu pozostał. Wiedział, że rygiel znajduje się tuż pod klamką, więc przytrzymał się jedną ręką, a drugą uchwycił mocno sznurek i szarpnął, jednocześnie kopiąc w drzwi. Przepęłniała go mieszanina strachu i złości. Nie wiedział, czy tamci mężczyźni wyszli już z budynku, ale kopał w drzwi tak głośno, że obudziłby umarłego. Na szczęście żadnemu z nieboszczyków w kostnicy to nie przeszkadzało.

„No, dalej! Jazda!”.

Jeszcze jeden kopniak, jedno gwałtowne szarpnięcie i zasuw odskoczyła. Drzwi otworzyły się raptownie, a impet kopnięcia poruszył wózek. Max upadł do tyłu, wózek wysunął mu się spod nóg i rąbnął w drugi, stojący na zewnątrz, na którym leżał Sayid.

Max przeturlał się przez drzwi, a zaspany Sayid otworzył oczy i ziewnął.

•Max? - wymamrotał, a potem ocknął się i przypomniał sobie, czemu się

ukrywają. - Gdzie jest ten facet?

•Poszedł sobie - odparł zapytany, podnosząc z ziemi drugi but. - My też zaraz tak zrobimy.

•Super. A dlaczego jesteś w jednym bucie?

Gdy Max i Sayid wyłonili się z cienia w tym samym miejscu co poprzednio tamci dwaj mężczyźni, Bobby błysnął do nich światłami furgonetki.

- Już zaczynałem się o was bać - powiedział, gdy Max do pchnął wózek z Sayidem do rozsuwanych drzwi samochodu.

77

Jeden z kumpli Bobby'ego pomógł Sayidowi wsiąść do tyłu furgonetki i położyć się na materacu, a potem odgrodził go śpiworami, żeby nie spadł.

•Nie bałeś się nawet w połowie tak bardzo jak ja - odparł Max, składając wózek na kółkach.

•Widziałeś tych dwóch twardzieli?

•Tak. Szukali nas. Chciałbym wiedzieć, kim oni są. Przypuszczam, że biorą mnie za członka grupy Sophie, zajmującej się {zwalczaniem szmuglu dzikich zwierząt.

Obydwaj weszli do szoferki. Sayid leżał z tyłu, naciągnąwszy na siebie śpiwór.

•Co takiego? Kim jest ta Sophie? - dopytywał się Bobby.

•To długa historia - powiedział Max. Wyjął ze schowka pomiętą brudną mapę i rozwinął ją. - Tak czy inaczej, muszę się dostać... - nakreślił palcem trasę przez góry w kierunku wybrzeża - mniej więcej tutaj. Do La Vallee de Montagne Noir.

- A co z wyjazdem do Biarritz? Musisz trochę odpocząć, stary - rzekł Bobby, wyjeżdżając na pustą ulicę.
- Podwieź mnie do tamtego miejsca, a potem powiedz, dokąd pojedziesz, a dołączę do ciebie najpóźniej jutro wieczorem - powiedział Max, trąc twarz, żeby pozbyć się zmęczenia. - Teraz muszę przemyśleć parę spraw i nie chcę usnąć. Masz tu jakąś muzykę?
- Jasne. A co z nim? - spytał Bobby, wskazując na Sayida, który znów spał z otwartymi ustami i wyglądał, jakby za chwilę miał zacząć chrapać.
- Wysypia się za całe życie. Dawaj tę muzykę.

Bobby wcisnął guzik. Gdy skręcili w kierunku górskiej drogi, w furgonetce zabrzmiała hałaśliwa melodia. Za kilka godzin Bobby wraz z przyjaciółmi dotrze do odludnych wybrzeży Atlantyku.

Max miał jednak wyznaczone spotkanie z nieboszczykiem.

6

Na mrocznym niebie widniały jeszcze ciemniejsze zarysy gór przypominające czujnych strażników.

Po tej stronie Montagne Noir śnieg leżał powyżej wysokości ośmiuset metrów. Jednakże pastwiska z krótko przystrzyżoną trawą i kamienisty grunt były tak trudne do przebycia, że Max wybrał biegnące po zboczu kręte ścieżki dla kóz i bydła i pisał się wyżej, póki wreszcie nie znalazł schronienia przed coraz mroźniejszym wiatrem.

Pasterze używali tych kamiennych szalasów, kiedy prowadzili na targ kozy i owce. Zebranie rozproszonych zwierząt w stado zabierało im często kilka dni. Max maszerował już od trzech godzin, ponieważ Bobby dojechał tylko do niższej przełęczy i tam go wysadził. Dalej trzeba było iść pieszo. W ciągu ostatniej doby niemal nie zmrużył oka i teraz zaczęło go ogarniać znużenie. Dotarł już tak daleko, że nie było sensu ryzykować. Gdyby potknął się na tym stromym zboczu i stoczył w dół po skałach, mógłby się poważnie poranić.

Chłopiec zjadł suchy prowiant, który niósł w plecaku. Chociaż w niewielkim kamiennym palenisku znalazł szczapy na podpałkę oraz grubsze bierwiona, nie zamierzał zdradzić swojej obecności, rozpalając ogień. Nie wpełzł też na noc do swego lekkiego biwakowego śpiwora. W razie nagłego niebezpieczeństwa chciał mieć możliwość szybkiej ucieczki.

79

Podciągnął rękaw, żeby sprawdzić godzinę, ale: natychmiast przypomniał sobie, że umierający mnich zerwał rnu z ręki zegarek.

„Przepraszam, tato. Nie mogłem nic na to poradzić. Próbowałem ocalić tego człowieka, ale mi się nie udało”.

Na myśl o tacie przebiegł go dreszcz, gdyż uświadomił sobie swoje osamotnienie. Ojciec leżał w prywatnej klinice, a jego umysł przebywał w podziemnej mrocznej krainie zapomnienia, jedynie od czasu do czasu rozbłyskując jasnym światłem świadomości. Lekarze byli przekonani, że wyzdrowieje, ale Max obawiał się, że pewnego dnia usiądzie przy tacie i zajrzy mu w oczy, a on nie rozpozna w nim swojego syna.

Ukrywał głęboko te lęki, lecz towarzyszyły mu stale i były jednym z

powodów, dla których szedł dalej tam, gdzie inni dawno by zawrócili. Zabala przekazał mu tajemne przesłanie, ale tata ofiarował synowi o wiele ważniejszy dar - swoją miłość, a także zdolność do podejmowania wyzwań i sprostania im.

Pogładził palcami medalion z kryształem. Ten wisiołek nie zdradził mu swego sekretu, ale stał się przyczyną zabójstwa.

Potem zagrzebał się głęboko w ciepłe siano, nastawił swój mentalny budzik i przysłuchiwał się, jak na zboczu góry wielkie białe krowy sapią, przeżuwając trawę. Na szerokich skórzanych rzemieniach na szyjach nosiły dzwonki i ich miarowy głuchy brzęk ukołysał go. Max zapadł w głęboki sen.

Max wpatrzył się w pasma górskie ciągnące się aż po horyzont. Nocny wiatr przegnał chmury i snujące się dymy, pozostawiając jasne, krystalicznie przejrzyste niebo. Okulary słoneczne chroniły chłopca przed ostrym blaskiem, lecz mimo to musiał przysłaniać oczy dłonią, gdy spoglądał na ośnieżone szczyty. Od przebudzenia przez cztery godziny podchodził coraz wyżej, przypominając sobie miejsca, w których trenował przed zawodami.

Stąpając ostrożnie po pokrytym śniegiem rumowisku, spostrzegł kamienną chatę, której szukał. Kiedy był tu ostatnio, szalejąca zawieja przysypała jego ścieżkę trzydziestocentymetrową warstwą śniegu. Było to przed niespełna trzema tygodniami. Musiał wówczas schronić się w owczarni, póki słońce nie stopiło śniegu na tyle, by mógł ruszyć dalej w dół stoku. Żałował, że nie dostał się do tej sporej kamiennej chaty, lecz nie zdołał sforsować jej wrót.

Teraz, gdy podszedł bliżej, spostrzegł, że drzwi z grubych desek

otwierają się i zamykają ze skrzypieniem starych zawiasów, popychane porywami wiatru. Przeciąg wywiał z wnętrza jakieś papierzyska; kilka przemokłych kartek leżało w wejściu, a inne wały się przed owczarnią. Po słonecznej stronie chaty suszyła się owcza skóra, a na gwoździach wisiało kilka jutowych worków. O ścianę stał oparty solidny kij z przytwierdzonym u góry płaskim podniszczonym kawałkiem drewna, wyglądający na samodzielnie wykonaną kulę inwalidzką. Czy ten mnich został w przeszłości raniony w nogę?

Max podszedł bliżej, czujnie omiatając wzrokiem okoliczne doliny i szczyty. Na nasłonecznionym stoku śnieg tworzył głębokie zaspę, poprzedzielane lodowymi rynnami. Były to warunki wymarzone dla snowboardzisty, ale koszmarne dla zrozpaczonego, znużonego wędrowca.

Stary mnich był świetnym narciarzem i usiłował uciec przed zabójcą, więc gnał na łeb, na szyję, aby ocalić życie. Zjechał szybko po przeciwległym stoku góry i niespełna pół godziny później pojawił się w miejscu, gdzie Max przystanął, żeby podnieść *misbahę* Sayida. Potem rozległ się strzał, runęła lawina i zabrzmiał rozpaczliwy krzyk w obcym języku. Wszystko to doprowadziło Maksa do miejsca, w którym się obecnie znajdował.

Poczuł na skórze ciarki. Obrócił się powoli o trzysta sześćdziesiąt stopni i przyjrzał się uważnie zarówno najbliższemu

otoczeniu, jak i odległym zboczom i dolinom. Wyczuwał, że ktoś go obserwuje, choć nie dostrzegł żadnego ruchu. Tylko wysoko na niebie krążyła czarna plamka. Orzeł. Czy to właśnie z jego powodu chłopcu

zjeżyły się włoski na karku? Samotny drapieżny ptak wrzasnął donośnie, a wiatr poniosł daleko jego krzyk. Kiedy orzeł spogląda w dół, jego oczy dwustukrotnie powiększają każdy widziany przedmiot. Mógł więc dostrzec, że chłopak wpatruje się w niego. Wreszcie ptak zatoczył ostatni łuk, a potem odleciał unoszony wstępującym prądem ciepłego powietrza.

Max odwrócił się z powrotem do chaty, a nieokreślony niepokój wciąż wibrował w jego ciele niczym ostrzegawczy sygnał pożarowy.

Instynkt go nie zmylił.

Zabójca mnicha obserwował każdy ruch chłopca przez silną lornetę wojskową z dogodnego punktu oddalonego o ponad kilometr.

Wnętrze chaty wyglądało zupełnie inaczej, niż Max się spodziewał. Przede wszystkim było większe, niż wydawało się z zewnątrz. Grube ściany zapewniały ochronę przed mrozem i wiatrem, a chociaż Zabala wiódł pustelnicze życie, było ono stosunkowo wygodne, zważywszy okoliczności.

Wyściełany fotel, regał z książkami, przenośne radio, lampa naftowa i piec opalany drewnem stwarzały warunki wystarczające dla człowieka mieszkającego samotnie. W kącie stało solidne łóżko z grubym materacem i starą kołdrą przykrytą czerwoną, ręcznie tkaną narzutą. Na ten widok Max poczuł ukłucie zazdrości. To miejsce było przytulnym, ciepłym, bezpiecznym azylem. Było - zanim ktoś je zdemolował. Jedynie łóżko pozostało nietknięte; wszystko inne przewrócono do góry nogami. Połamane półki i podarte książki walały się na skotłowanym wełnianym dywanie, który odsłaniał solidną kamienną podłogę. Max odruchowo dotknął pieca grzbietem dłoni. Oczywiście był

zimny jak lód. „Zimne palenisko przypomina grób”. Nie pamiętał, gdzie słyszał to powiedzenie, lecz uważał je za słuszne. Zrzucił plecak na podłogę i zaczął przeszukiwać stertę rzeczy. Podniósł kilka książek, ale nie było sensu sprzątać pomieszczenia.

Wyglądało to tak, jakby chatę nawiedziła miniaturowa trąba powietrzna. Pocięty fotel straszył wywleczoną wyściółką. W boku materaca widniało chirurgiczne rozcięcie, a w roztrzaskanych ramkach fotografii tkwiły ostre odłamki szkła.

Ktoś brutalnie zdemolował cały pokój. Czy to dziki niedźwiedź wtargnął do chaty? W tych górach żyły niedźwiedzie, które wskutek zmian klimatu nie zapadały w sen zimowy. Wygłodniały miś mógłby dokonać takich zniszczeń.

Chłopiec spostrzegł na pobielonych ścianach drobne ciemne bryzgi. Na skraju materaca było ich więcej, a na podłodze ujrzał pokaźniejsze plamy, jakby po rozchłapanej farbie. Potarł je palcem i zorientował się, że to zaschnięta krew.

Wszędzie widniały ślady walki. Zabala, będący potężnie zbudowanym mężczyzną, zadał widocznie mocny cios, który powalił napastnika. To dało mu czas na ucieczkę na nartach w dół zbocza. Po runięciu lawiny zabójca niewątpliwie wrócił tutaj i zaczął gorączkowo przeszukiwać pokój. Ale czego szukał? Max dotknął medalionu. Odpowiedź była oczywista.

Schylił się i poszperał w rozrzuconych przedmiotach. Niewiele z nich dałoby się uratować, a żaden nie wyglądał na cenny. Tym bardziej więc nie dały Maksowi żadnej wskazówki co do sekretu Zabali. Książki były

rozmaite i chłopiec stwierdził z podziwem, że dotyczą niemal wszystkich dziedzin. Fizyka kwantowa, astronomia, astrologia, religia, mity i legendy, ochrona zwierząt i ich zachowania. Mnich był niezwykle czytany człowiekiem.

Na podłodze leżały rozrzucone strony albumu z wycinkami. Max przejrzał je. Zawierały wyblakłe wycięte z gazet notki

83

o Zabali. Zebrał te niepodarte, a następnie złożył i schował do kieszeni, zamierzając przeczytać je później. Nagle jego wzrok przykuło coś ciekawszego.

Podniósł jedną ze strzaskanych ramek fotografii. Wyjął odłamki szkła i zaklął, gdy ostra krawędź przecięła mu palec. Do diabła! Drobne rozcięcia zdają się krwawić mocniej niż poważne rany. Chciał zdjąć z szyi bandanę, ale nie mógł rozplatać węzła jedną ręką. Z palca ciekła mu krew; wytarł dłoń o poręcz starego fotela. Pośród papierów leżała jakaś szmatka. Pospiesznie owinął nią krwawiący palec. W plecaku nosił małą apteczkę, lecz nie miał czasu jej wyjąć. Jego uwagę przykuła fotografia.

Ostrożnie usunął resztki szkła i przysunął ją bliżej światła padającego z okna. Stare czarno-białe zdjęcie wyglądało, jakby zrobiono je co najmniej przed dwudziestu laty. Przedstawiało dwóch uśmiechniętych mężczyzn stojących obok siebie. Ubrani byli w spodnie i koszule z krótkimi rękawami. Obydwaj mrużyli oczy przed silnym blaskiem słońca. Każdy obejmował ramieniem plecy drugiego, a jednocześnie trzymał w ręku skoroszyt, toteż nie była to zapewne upozowana fotografia, lecz fotka pstryknięta przez kogoś spontanicznie. Wyższy z nich miał już owe

krzaczaste brwi, które Max widział z bliska dwa dni temu. To był Zabala - tyle że gładko ogolony i z krótko ostrzyżonymi włosami.

Jego towarzysz wyglądał wątlej, miał ziemistą cerę, zauważalną nawet na czarno-białym zdjęciu, oraz zapadnięte oczy. Odchyłał głowę lekko do tyłu i śmiał się wesoło. Mężczyźni najwyraźniej byli przyjaciółmi i na fotografii uchwycono moment wspólnej radości. Zdjęcie prezentowało ich w zbliżeniu, tak że niemal całkowicie wypełniali kadr, niewątpliwie jednak zrobiono je przed wąskim łukowym wejściem do jakiegoś budynku. Wierzchołek gotyckiego łuku ucięto w kadrze tuż powyżej głów mężczyzn, a tło było niewyraźne. Mimo to po lewej stronie można było dostrzec jakiś niski podłużny kształt o nieregular-

84

nym poszarpanym zarysie, częściowo zasłonięty przez chudego mężczyznę, ustawiony na czymś, co wyglądało jak stopnie schodów. To była rzeźba przedstawiająca krokodyla.

A więc zdjęcie z pewnością przedstawia opactwo! Miejsce, w którym pracowali Zabala i jego towarzysz.

Rozmyślenia Maksa przerwał nagle przeraźliwy krzyk.

Chłopiec odwrócił się i podbiegł do drzwi. Światło słońca przesłonił jakiś cień. Rozległ się następny nieludzki wrzask. Max wypadł za drzwi w oślepiający słoneczny blask. W odległości kilku metrów ujrzał orła, który pikował w dół, wbijając w niego gniewny wzrok i mierząc szponami w twarz i szyję. Max miał tylko ułamki sekund na reakcję. Działając czysto instynktownie, zerwał ze ściany owczą skórę, narzucił ją na ramię i podsunął orłowi.

Ptak nadleciał z ogromną prędkością i niewątpliwie zbiłby chłopca z nóg. Jednak w ostatniej chwili wyhamował pęd, łopocząc potężnymi skrzydłami, i ochoczo wbił zakrzywione szpony w owcze runo.

Raz jeszcze machnął skrzydłami, a potem usiadł na ramieniu Maksa, z trudem utrzymując równowagę. Chłopak czuł, że nie zdoła udźwignąć jego ciężaru.

„Kula - pomyślał. - Oczywiście! Właśnie do tego Zabala jej używał”.

Max chwycił podpórkę i wsparł się na niej.

Orzeł wyglądał na zadowolonego. Serce wciąż mocno waliło chłopcu w piersi, a puls przyspieszył szaleńczo, lecz obecnie przyczyną było raczej podekscytowanie niż strach. Napawał się faktem, że trzyma na ramieniu króla niebios, który obracał głową i wciąż jeszcze wbijał niespokojny wzrok w jego oczy. Gdy Max stał tak ponad resztą świata, a lekki wietrzyk muskał pióra orła, czuł, jak ogarnia go upajające poczucie mocy. Tak właśnie musieli się czuć władcy pradawnych imperiów. Ptak spojrzał na niego jakby z dezaprobatą, po czym otworzył dziób, pokręcił głową i znowu wydał przenikliwy wrzask.

85

Skoro ten orzeł bez wahania usiadł na ramieniu Maksa, niewątpliwie zachowywał się tak samo wobec mrticha Zabali. Po słonecznej stronie owczarni znajdował się rodzaj zbudowanego z kamienia magazynu, gdzie stały pojemniki z wiekami z grubych desek - równie solidnych jak te, z których zbito frontowe drzwi chaty - pokrytych zamarzniętym śniegiem.

Mało prawdopodobne, aby były to kontenery na śmieci, gdyż nie docierały tu służby oczyszczania. Wobec tego co w nich trzymano? Max

zachwiał się pod ciężarem orła, znów oparł ramię na kuli, a wolną ręką podniósł z trudem jedną pokrywę.

Była to doskonale zaopatrzona spiżarnia. Na półkach leżały półcie baraniny, a na hakach wisiały ubite górskie zające - niektóre wypatroszone, ale żaden nie był obdarty ze skóry. Niżej stały słoje z owocami i puszki z żywnością, a pod ścianą leżały w nieładzie udźce sarnie i koźle.

Panował tu pewien nieład. Wydawało się, że zgromadzono w tym miejscu i porąbano na kawałki wszystkie okoliczne zwierzęta, które padły lub zostały zabite. Prawdopodobnie była to głównie padlina znaleziona w okolicy, gdyż w chacie Max nie dostrzegł ani śladu jakiegokolwiek broni.

Citeaux, jak powiedziała mu pielęgniarka. Ażyl dzikich zwierząt. Dlatego przyleciał ten orzeł. Widocznie Zabala go karmił, kiedy ptak nie mógł zdobyć pożywienia. Max zdjął z haka zająca i podsunął orłowi. Ptaszysko chwyciło martwe zwierzę zakrzywionym dziobem.

Chłopiec schylił głowę, gdy ptak rozpostarł skrzydła i machnął nimi, a potem chwycił zdobycz w szpony i leniwie wzbił się w powietrze. Poszybował około trzydziestu metrów, usiadł na skalnej półce i zaczął pożerać mięso.

Max rozmasował napięte mięśnie ramienia i rozejrzał się wokoło. Nie znał się dobrze na drapieżnikach, ale wiedział, że wszystkie zwierzęta mają swoje zwyczaje. Polują i śpią w porach wyznaczanych przez ich zegary biologiczne. W okolicy oprócz

tego orła muszą być jeszcze inne zwierzęta. Przyjrzał się uważnie

śnieżnym polom i suchej ziemi na zboczu.

„Po prostu zaczekaj cierpliwie i zobacz, czy *coś* się nie poruszy. Tam!”.

Chłopiec osłonił dłońmi oczy z obydwu boków, tworząc rodzaj tunelowego widzenia blokującego zewnętrzne światło, i wyteżył uwagę.

W odległości paruset metrów olbrzymi niedźwiedź brunatny o ciemnym futrze z jaśniejszymi, niemal żółtymi pasmami, stanął, prostując się na pełną wysokość, która według oceny Maksa musiała wynosić niemal trzy metry. Następnie zwierzę opadł na cztery łapy, odgarnął śnieg i zaczął ryc nosem ziemię. Chowając się za głazami, podchodził bliżej, badając, czy teren jest bezpieczny. Ta ludzka woń różniła się od zwykłych zapachów.

Max przyglądał się, jak wielkie zwierzę znowu stanęło na dwóch łapach. Wiedział, że niedźwiedzie potrafią poruszać się piekielnie szybko. Istniała groźba, że jeśli ten postanowi zaatakować, rzuci się na niego jak rój dzikich pszczół na miód. Wszystko zależało wyłącznie od tego, jak bardzo jest głodny. Zazwyczaj niedźwiedzie intensywnie objadają się jesienią, by zapewnić sobie ochronną warstwę sadła na czas snu zimowego, lecz zmiana klimatu zakłóciła cykl natury. W dolnych partiach zbocza kwitły już wiosenne kwiaty, co dawało nadzieję, że zwierzę zejdzie niżej i zacznie tam żerować. Choć niedźwiedź brunatny jest chronionym gatunkiem, nie powstrzymuje to farmerów przed strzelaniem do owych zwierząt, gdy zagrażają stadom ich owiec. Niedźwiedź zbliżał się do Maksa powolnym, kołyszącym się krokiem, imponująco prężąc mięśnie grzbietu i zatrzymując się co kilka metrów, żeby powęszyć w powietrzu.

Być może Max mylił się i zdemolowanie chaty było dziełem tego właśnie osobnika. Jeżeli brat Zabala karmił zwierzęta, nadal czekały one na jego powrót. To miejsce przypominało bardziej ogród zoologiczny albo

rezerwat niż pustelnię mnicha.

87

Niedźwiedź zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu metrów od Maksa, stanął na tylnych łapach i zaryczał. Chłopiec zamarł bez ruchu. To nie wyglądało na przyjacielskie powitanie.

„Spokojnie - pomyślał. - Nie uciekaj ani nie rób głupstw. I nie patrz mu w oczy. Ludzie często wchodzą w drogę dzikim zwierzętom i nie potrafią pojąć ich agresywnego zachowania wobec siebie. A przecież wyjaśnienie jest proste - wchodzisz na ich teren i tym je niepokoisz”.

Niedźwiedź podszedł jeszcze bliżej, kręcąc głową jak radarem, aby wychwycić poruszenia Maksa i jego zapach.

„Czas stąd zniknąć” - pomyślał chłopak.

Coś go jednak powstrzymało - nagłe przeczucie, które nie pozwoliło mu powoli się wycofać. Lekki wietrzyk zmienił kierunek i przywiał ciepłą stęchłą woń niedźwiedzia, przypominającą zapach mokrej psiej sierści zmieszany z ostrym odorem gnijących liści. Ten zapach natychmiast przywołał w pamięci Maksa wrażenia, jakich doświadczył, gdy zasypała go lawina - poczucie istnienia oraz potężnej mocy, której z pewnością nie miał jako chłopiec. Jakby sam był niedźwiedziem.

Teraz zahipnotyzowany zbliżaniem się potężnego zwierzęcia i schwyty w pułapkę własnej pamięci złamał najważniejszą zasadę. Spojrzał prosto w oczy jednemu z najniebezpieczniejszych stworzeń na Ziemi. Niedźwiedź uniósł wargi, ukazując ostre kły; z pyska ciekła mu ślina, a ślepie błyszczały groźnie, jeśli ta mizerna ludzka istota naprawdę rzucała mu wyzwanie, zamierzał odpowiedzieć na nie z całą swą wściekłą

furią. Max usłyszał głuchy odgłos, gdy zwierz opadł znów na cztery łapy i ruszył do ataku.

Niedźwiedzie potrafią biec równie szybko jak konie, a są tak potwornie silne, że w poszukiwaniu jedzenia są zdolne rozerwać karoserię samochodu.

Max błyskawicznie podjął decyzję. Wiedział, że nie zdoła uciec niedźwiedziowi ani nie sprosta mu w walce, ale mógł za-

88

pobiec temu, by drapieżnik rozszarpał go na strzępy. Rzucił się na ziemię tak gwałtownie, że pociemniało mu w oczach. Szarżujący niedźwiedź chrząknął i zaryczał. Był już o pięć metrów, o trzy... Jeszcze jeden sus i będzie po wszystkim. Max przekręcił się na plecy i obiema nogami kopnął z całej siły w drzwi komórki z żywnością.

Drewno pękło, a jedno skrzydło drzwi wypadło z zawiasów. Max odtoczył się na bok. Potężny niedźwiedź był tuż nad nim. Jakiś głos w głowie chłopca krzyknął: „Zrób jak jeź! Zwiń się w kłębek i nie stawiaj oporu”.

Wymagało to ogromnej siły woli, ale Max usłuchał własnej rady. Niedźwiedź poturlał go łapami, wyszczerzył ociekające śliną kły i zionął na niego smrodliwym oddechem. Skulony chłopiec zasłaniał szczelnie rękami twarz i szyję, kurczowo podciągając kolana do piersi. Zwierzę igrało z nim jak z zabawką, aż w końcu trzepnęło go łapą tak mocno, że siła uderzenia wyrzuciła chłopca w powietrze.

Max zdał sobie sprawę, że nie przetrwa tej napaści.

Zaryzykował zerknięcie przez palce i stwierdził, że niedźwiedź odrzucił

go o kilka metrów i teraz z sobie tylko znanego powodu zwleka z kontynuowaniem ataku. Zwierzę uniosło łeb i zaczęło węszyć, a potem znów spojrzało na Maksa. Następných kilka sekund miało zadecydować, czy chłopak ujdzie z życiem. Szanse były nikłe. Nie zdąży dotrzeć do bezpiecznej chaty, a niedźwiedzia, niestety, nie skusiło jedzenie przechowywane za strzaskanymi drzwiami spiżarni, od których dzieliło teraz Maksa pięć długich metrów.

Była tylko jedna szansa ratunku.

Max wstał - zwrócony twarzą do zwierzęcia - i wrzasnął najgłośniejszym, jak potrafił. Nagle krzyk zmienił się w grzmiący ryk, który powstał gdzieś w głębi jego trzewi, zahuczał w piersiach i wydobył się z ust niczym wycie syreny.

Zaskoczony niedźwiedź znieruchomiał, jakby wrósł w ziemię.

89

Max puścił się pędem w kierunku spiżarni. Zrobił jeden sus, potem drugi, trzeci... czwarty...

Niedźwiedź runął do przodu rozwścieczony ucieczką niedoszłej ofiary.

Piąty skok!

Max dopadł do komórki z padliną. Były tam owcze, kozie i jelenie tusze, udźce i łby, a na ziemi wały się cuchnące podroby. Zaledwie zdążył się wśliznąć do tej zwierzęcej kostnicy, niedźwiedź skoczył za nim. Niska kamienna budowla powstrzymała jego impet; zdołał wetknąć w pęknięte drzwi jedynie przednią łapę oraz łeb.

Max wcisnął się dalej do środka, poza zasięg zębów i pazurów. Po chwili jednak uderzył plecami w ścianę. Komórka miała tylko półtora

metra głębokości. Za chwilę niedźwiedź wepchnie się głębiej, wyciągnie go na zewnątrz i wbije mu pazury w głowę niczym w dojrzałą śliwkę.

Niedźwiedź wsadził łeb między zwierzęce ścierwa, ulegając instynktownej pokusie. Wywłókł jeleni udziec, chwycił go zębami i odszedł wolno, zadowolony, że zaspokoi dojmujący głód.

Max odczekał chwilę, aby się upewnić, że zwierz istotnie wycofał się za odległe skały. Potem wyczołgał się z komórki, rozluźnił napięte mięśnie i sprawdził, czy nie doznał urazów. Na szczęście poza lekkim poturbowaniem niedźwiedź nie zrobił mu wielkiej krzywdy. Rozdarł tylko pazurem plecy narciarskiej kurtki i teraz wietrzyk rozrzucał jej puch jak nasiona dmuchawca. Chłopiec obmacał sobie tył głowy i stwierdził, że została na niej odrobina krwi. Jego ubranie okropnie śmierdziało i miał wrażenie, że odór wniknął w skórę i włosy.

Atak niedźwiedzia mógł sprawić, że Max pozostałby tu całkowicie bezradny. Wystarczyłoby złamanie nogi czy pęknięcie kręgosłupa, a po kilku godzinach już by nie żył. Orły, wilki, sępy i burze obrałyby jego ciało do kości. Naprawdę miał mnóstwo szczęścia!

90

Brat Zabala mieszkał na tym odludziu i był za pan brat z górami, a wyjątkowe umiejętności przetrwania pozwoliły mu przeżyć. Poza tym zaprzyjaźnił się z tutejszymi dzikimi zwierzętami. Aby tego dokonać, trzeba być twardym i inteligentnym człowiekiem.

W tej górskiej dzicy każdego dnia czyhały na niego rozmaite niebezpieczeństwa, lecz ostatecznie uśmiercił go stwór groźniejszy niż niedźwiedzie czy wilki. Brutalność człowieka okazała się dla Zabali straszniejsza niż pierwotne instynkty dzikich zwierząt.

Obecnie, gdy Max odnalazł kryjówkę mnicha i zobaczył tamto zdjęcie, ów człowiek wydał mu się jeszcze bardziej zagadkowy. Być może za decyzją o zostaniu samotnikiem kryły się jakieś głębsze, bardziej złożone powody. Zabala był wykształconym człowiekiem, lecz postanowił ukryć się tutaj i nie zdradzał nikomu swego sekretu.

A potem, tuż przed śmiercią, przekazał ten sekret obcemu nastolatkowi; oddał mu medalion i wymienił imię Lucyfera.

Max uznał, że osiągnął już wiele. Odkrył, kim był mnich, a także poznał jego azyl i sposób życia, co wzbogaciło jego wiedzę o tym człowieku. Popatrzył na górskie szczyty i ocenił, że do rana spadnie śnieg. Widoczne na horyzoncie ciemne deszczowe chmury znad morza nadpłyną tutaj i zostaną zmrożone przez lodowate górskie powietrze, po czym zasypią śniegiem góry od wierzchołków aż do niższych stoków. Max przeżyłby dzięki zgromadzonym zapasom żywności, ale śnieżne zasy mogłyby odciąć go od świata i unieruchomić na wiele dni. Podniecenie wywołane walką o życie gwałtownie opadało zastąpione teraz przez skrajne znużenie. Max wiedział, że powinien wykrzesać z siebie resztkę sił i natychmiast opuścić chatę, gdyż w przeciwnym razie ulegnie pokusie: rozpali ogień, ułoży się w kącie i zapadnie w długi głęboki sen. Musiał wziąć się w garść, umyć się, a potem ruszyć w kierunku wybrzeża.

Czasami robisz coś, ponieważ tego chcesz, a innym razem dlatego, że wiesz, iż trzeba to zrobić, obojętnie jak bardzo może być nieprzyjemne. Gdyby Max zszedł do którejś z wiosek w tym opłakanym stanie, wyglądając i cuchnąc jak włóczęga, niewątpliwie zwróciłby na siebie

powszechną uwagę i podejrzliwi mieszkańcy zawiadomiliby policję.

Nie ma co nawet o tym myśleć, gdyż taka decyzja jedynie pogorszyłaby sytuację.

„Pora ruszać” - uznał twardo.

Zdjął ubranie i został tylko w butach, skarpetkach oraz bokserkach - tych z wizerunkiem księżycy z ludzką twarzą. Zimne powietrze kąsało jego ciało niczym tysiące mrówek, lecz po chwili to doznanie zastąpiło uczucie piekącego żaru, gdy zagarnął garść śniegu i wtarł sobie w skórę. Krzyknął, a potem roześmiał się głośno. Nacieranie się śniegiem było wariactwem, ale dzięki temu zeszkrobał z siebie zaschniętą krew i ożywił obolałe mięśnie.

- Auuuuu! - wrzasnął pośród bezludnych gór.

Z braku szamponu umył włosy śniegiem i ostrożnie pomacał potylicę. Nie znalazł żadnej rany, więc lepka krew musiała pochodzić od któregoś z martwych zwierząt. Westchnął urywanie, gdy zaczerwienioną skórę pokryła gęsia skórka. Wiatr gwałtownie zmienił kierunek i powiał od pól śniegowych, dodatkowo wychładzając ciało chłopaka.

Max poczuł satysfakcję. Odkrył górską kryjówkę Zabali, dowiedział się o nim kilku rzeczy i znalazł fotografię, która stanowiła wskazówkę, czym jest tajemnicze opactwo. Nie mówiąc o tym, że poradził sobie z dzikim orłem i przetrwał napaść rozwścieczonego niedźwiedzia.

Odrzucił głowę do tyłu i zawył jak wilk, a potem odtańczył na śniegu szaleńczy taniec, wariacko młóćąc rękami i tupiąc nogami. Max Gordon! jedyny chłopak, który sam dotarł na szczyt świata.

Wyszczерzył zęby i z radości zaczął wydawać dziwaczne głupawe okrzyki. Kiedy wreszcie schylił się, żeby podnieść z ziemi ubranie, ujrzał jakiś cień.

Błyskawicznie się wyprostował.

Przed nim stała Sophie Fauvre i przyglądała mu się uważnie.

7

Max ubrał się w ciągu mniej niż sekundy - a przynajmniej taką miał nadzieję. Gdy potykając się i skacząc na jednej nodze, usiłował wciągnąć ubranie, przypominał postać z niemej komedii filmowej.

Sophie odwróciła głowę, kryjąc rozbawienie, i czekała, podczas gdy Max gorączkowo wciągał na siebie ubranie.

„Cóż za dziwny chłopak” - pomyślała.

Targały nią sprzeczne uczucia. Z jednej strony obecność Maksa w chacie Zabali wzbudziła jej podejrzliwość, z drugiej - była oczarowana bezpretensjonalnym zachowaniem tego zabawnego gościa. Znała mnóstwo chłopaków w jego wieku, którzy popisywali się przed nią albo usiłowali wydać się kimś lepszym, niż byli w rzeczywistości. Uważała to za naturalne - przecież chłopcy przechodzą okres dojrzewania znacznie trudniej niż dziewczęta. Zresztą, prawdę mówiąc, nigdy nie stają się dorośli. Może właśnie dlatego zostają żołnierzami lub strażakami albo włączają się od bieguna północnego do południowego i z powrotem. Natomiast kobiety po prostu żyją i nie robią wokół siebie zamieszania. Jednakże ten Max Gordon wydał się jej - zastanowiła się, jak ma to

wyrazić - całkiem dobrze zorganizowany. No, może z wyjątkiem sposobu, w jaki się teraz ubierał.

Max, nerwowo wciągając spodnie, wyrzucał z siebie pospieszne chaotyczne zdania. Mówił, jak bardzo zaskoczył go jej widok, zrelacjonował walkę z olbrzymim niedźwiedziem, obda-

94

rzonym wielkim apetytem, oraz oznajmił Sophie, że gdyby zjawiała się kilka minut wcześniej, znalazłaby się w strasliwym niebezpieczeństwie. Opowiedział też o ogromnym orle, który mógłby zabrać człowieka do swego gniazda i obrać do czysta jego kości. Zakończył stwierdzeniem, iż nie należy przebywać tu samotnie, chyba że przywykło się do życia w górach, przy czym on właśnie posiada tę umiejętność - a przynajmniej czasami ją miewa.

Trajkotał jak nakręcony.

Raz się przewrócił, gdy but uwiązał mu w nogawce spodni, lecz ostatecznie zdołał zakończyć bez szwanku ubraniowe akrobacje.

Wreszcie oznajmił:

- Eee... w porządku. Skończyłem. - Uśmiechnął się z zażenowaniem, aby pokryć rumieniec wstydu. Po chwili uświadomił sobie, że nie zapytał Sophie o najważniejsze. - Co ty właściwie tutaj robisz?

Grudka śniegu ześliznęła się po jego plecach i utkwiała w bokserkach. Max podskoczył i przez chwilę odstawiał jakiś dziwny egzotyczny taniec. Dziewczyna wpatrzyła się w niego chłodnym, pogardliwym spojrzeniem. Uniosła brwi, a potem potrząsnęła głową, jakby odpowiadanie komuś, kto

wykonuje tak idiotyczne ruchy, było poniżej jej godności.

Podniosła z ziemi niewielki plecak.

- Przyszedłam zobaczyć się z bratem Zabala. Gdzie on jest?

- Znasz go?

Ruszyła w stronę drzwi chaty, a Max poszedł za nią.

- Mój ojciec go zna. Zabala pomaga dzikim zwierzętom zamieszkującym tę okolicę. Niedźwiedź i orzeł, które widziałeś...

- Nie tylko je widziałem, ale omal nie zostałem ich śniadaniem - przerwał chłopiec.

- No dobrze, więc groźne zwierzęta, z którymi tak bohatersko próbowałeś walczyć, to tylko niektóre ze stworzeń, które

95

pomogliśmy ocalić od zagłady. Brat Zabala mieszka tu od wielu lat i jest dla nich kimś w rodzaju opiekuna.

Max nie zdołał opanować irytacji i nagle zaczął traktować podejrzliwie tę drobną atrakcyjną dziewczynę.

- Nie odpowiedziałaś na moje pytanie - rzucił ostro. - Co tu właściwie robisz?

Niewiele myśląc, chwycił ją za ramię. Wyszarpnęła mu się gwałtownie.

- Co cię napadło?! Pomyślałam, że może wiesz, gdzie jest mój brat! On i ojciec pracowali razem z Zabala!

Zaginiony brat! Max zupełnie o nim zapomniał.

- Przepraszam, Sophie. Przez ostatnich kilka dni wydarzyło się mnóstwo zwariowanych rzeczy - powiedział przepraszającym tonem.

Cofnął się i skinął na nią, żeby weszła do chaty.

Kiedy znalazła się w środku, gwałtownie wciągnęła powietrze, zasłaniając dłonią usta. Max milczał, obserwując jej reakcję. Dziewczyna wydawała się naprawdę zaskoczona. Czy to czysty przypadek, że znalazła się tutaj w tym samym czasie co on?

„Nie ufaj nikomu - oni cię zabiją”.

„Daj spokój, kretynie - zganił się w myśli. - Spójrz na nią! To tylko dziewczyna, która szuka zaginionego brata. Uratowałeś ją, pamiętasz? Właśnie dlatego te zbiry cię ścigają”.

Sophie przeszła przez zdemolowany pokój, oceniając szkody wyrządzone przez nieznanego intruza. Potem, daremnie usiłując oderwać myśli od tego okropnego widoku, podniosła z ziemi kilka książek i ułożyła je z powrotem na półkach. Max nie potrafił zorientować się w jej nastroju - nie wiedział, czy odczuwała smutek, czy może lęk, kiedy spytała cicho:

•Gdzie on jest?

•Nie wiem - skłamał. - Dwa tygodnie temu trenowałem na tym stoku przed zawodami, a teraz wróciłem, żeby oderwać się od wszystkiego i odreagować porażkę. Jestem tu dopiero od kil-

96

kunastu minut. Zobaczyłem rozbite drzwi, więc wszedłem sprawdzić, czy nikt nie został ranny.

Nawet w jego uszach zabrzmiało to nieprzekonująco.

Sophie nic nie odpowiedziała, ale Max widział, że dręczy ją niepewność. Czy mu uwierzyła?

•Znasz brata Zabale? - spytała w końcu.

•Usłyszałem o nim dopiero od ciebie.

•Ale kiedy się tu zjawiłam, byłeś zdziwiony, że ja o nim wiem. Znałeś już jego nazwisko. Skąd? Co przede mną ukrywasz?

Max zachował spokój. Dociekliwe pytania dziewczyny wymagały logicznej odpowiedzi. Podszedł do niej, a ona cofnęła się o krok.

- Nie bój się, Sophie - powiedział i wyciągnął do niej rękę w uspokajającym geście, jakby była przerażonym zwierzątkiem.

- Spójrz... - Podniósł z podłogi sfatygowaną książkę z dziedziny astrofizyki, otworzył ją i pokazał dziewczynie. - Widzisz, w środku jest jego nazwisko. Prawdopodobnie podpisał je wszystkie.

Na wewnętrznej stronie odbito staroświecką gumową pieczętą słowa: „Ex Libris” otoczone ramką. Pod spodem widniało napisane atramentem nazwisko Zabali, z fantazyjnym zawijasem przy literze Z.

Sophie wydawała się zaniepokojona tym, iż odpowiedź jest tak prosta. Podniosła kolejne książki i kartkowała je przed odłożeniem na półkę. W każdej z nich identyczna inskrypcja oznajmiała, że tom należy do księgozbioru Zabali.

Popatrzyła na niego i skinęła głową.

- Przepraszam cię, Max. Nie powinnam wątpić w twoje słowa. Co teraz zrobimy?

„Najbardziej oczywistym rozwiązaniem jest powiadomienie policji” - pomyślał Max.

Jednak już wcześniej postanowił, że tego nie robi. Tylko czemu Sophie tego nie zaproponowała? Może po prostu myślała

na głos... Jednak zanim zdążył wystąpić z jakąkolwiek sugestią, odezwała się szybko i zdecydowanie. Wydało mu się, że nawet zbyt szybko, ale może poniosła go wyobraźnia.

- Sądzę, że nie powinniśmy nikomu o tym mówić - oświadczyła spokojnie.

To zaskoczyło chłopca.

•Dlaczego? - zapytał.

•Brat Zabala już wcześniej demolował różne miejsca.

•Uważasz, że sam zrobił tutaj ten bałagan?

•To możliwe - przytaknęła. - Łatwo wpada w złość i bardzo dużo pije. Miejscowi ludzie uważają go za wariata. Nikt tu do niego nie zagłąda - chyba że przez pomyłkę. Jeżeli zawiadomimy policję, będzie miał kłopoty, a tego bym nie chciała.

Było to dla Maksa dogodne wyjście z sytuacji. Wystarczy, że będzie siedział cicho, a nikt się nie dowie, co stało się z zaginionym mnichem. W ten sposób chłopiec zyskiwał czas na odnalezienie tajemniczego opactwa. Im mniej powie Sophie, tym lepiej. Niech dziewczyna myśli, że Zabala po pijanemu zdemolował swój dom. Max na pewno nie zwróci jej uwagi na to, że ciemne plamy na ścianie są śladami krwi.

- Nie sądzisz, że mogła to być sprawka opryszków, którzy na padli cię tamtej nocy? Mówiłaś mi przecież, że wynajęto ich, żeby cię powstrzymali. Może próbowali powstrzymać również Zabale - powiedział, aby ją sprawdzić.

Zastanowiła się nad tym, a potem potrzęsnęła głową.

- Z ich punktu widzenia napaść na niego nie miałaby żadnego sensu. To my ratujemy dzikie zwierzęta i transportujemy je

w inne miejsca. Zabala jest odludkiem i w niczym nie szkodzi tym zbirom. Czasami myślę, że biedakowi po prostu doskwiera samotność. Nie, zostawmy tę sprawę własnemu biegowi. On z pewnością tu wróci.

Max stłumił pokusę wyjawienia jej, że brat Zabala już nigdy nie wróci do domu.

98

Pobiegli szybko w dół zbocza. Sophie prowadziła z niezachwianą pewnością. Najwyraźniej znała teren i ani razu się nie zawahała, gdy zmieniała kierunek, by znaleźć inną trasę. Max mocniej ściągnął szelki plecaka, żeby nie stracić równowagi, gdyby jego bagaż przypadkiem się przesunął. Wysportowana dziewczyna doskonale nadawała się do uprawiania *parkour* -pokonywała wyboisty grunt równym tempem i zręcznie przeskakiwała z głazu na głaz. Max był zdecydowany dotrzymać jej kroku, ale spoglądając na strome kamieniste zbocze, doszedł do wniosku, że znalazłby łatwiejszą drogę, z mniejszym ryzykiem upadku i odniesienia poważnych obrażeń. Nie było jednak sensu sprzeciwiać się przewodniczce, zwłaszcza że zbiegał już po podobnie trudnych stokach.

„Pozwól, aby najpierw trasę przebył twój umysł”.

Był skupiony i zdeterminowany, ale z satysfakcją usłyszał, że dziewczyna dyszy równie ciężko jak on.

Sophie wciąż była nieufna wobec Maksa. Instynkt ostrzegał ją, że ten chłopak potrafi głęboko ukrywać swoje sekrety i niewątpliwie wie coś o Zabali. Kiedy podnosiła książki z podłogi, zauważyła pustą ramkę po fotografii ze smugą zakrzepłej krwi na odłamku szkła. Była przekonana,

że Max wyjął z niej zdjęcie. Co jeszcze zabrał z chaty? Kiedy tam dotarła, spostrzegła błysk słońca odbity od jakiegoś przedmiotu, który miał na szyi pod chustką. Może jakiś medalion, ale nie była tego pewna. Wiedziała tylko, że chłopiec nie nosił go tamtego wieczoru w kawiarni.

Zaszczekał pies; zaciekawione krowy podniosły łby, popatrzyły na nich leniwie i znowu zaczęły się paść. Stary baskijski farmer drzemiący w ostatnich promieniach zachodzącego słońca ocknął się i spojrzał w górę. Wyteżając starcze oczy, zobaczył przez moment chłopca biegnącego szybciej, niż ktokolwiek zdrowy na umyśle biegłby po tych górskich zboczach. Jakby gonił go bóg Inguma, złowrogi Władca Koszmarów.

99

„Współczesne dzieciaki drwią sobie z legend - pomyślał starzec. - Ale jeśli ściga cię Księżę Ciemności, nigdzie się przed nim nie ukryjesz. Ten chłopak gna, jakby sam Inguma deptał mu po piętach”.

W tym regionie panował klimat zbliżony do atlantyckiego i śnieg, którego opady przewidział Max, pokrył górskie szczyty. Gdy w końcu Sophie doprowadziła chłopca do wąskiej krętej drogi, w dolinie zaczął siąpić drobny deszczyk. Pod drzewem, schowany za żywopłotem, stał niewielki samochód, ledwo widoczny na pustej szosie. Żadne z nich się nie odezwało, odkąd rozpoczęli szaleńczy bieg w dół zbocza. Oboje łapali z trudem oddech, lecz myśli Maksa wirowały gorączkowo. Zastanawiał się, czy Sophie naprawdę mieszka w Maroku, jak mu powiedziała. Ten wóz wyglądał na miejscowy. Czyżby skłamała? I czy ich spotkanie w górach naprawdę było przypadkowe? Wcale nie był przekonany. Odnosił wrażenie, że dziewczyna podczas biegu w dół sprawdzała go - a może po

prostu uznała, iż jest w wystarczająco dobrej formie, aby jej dorównać. Max musiał postanowić, jak rozegra dalej sprawę. Mógł albo działać na własną rękę, albo razem z Sophie, kontrolując ją. To drugie oznaczało, że będzie musiał mieć ją stale przy sobie i kłamać tylko tyle, aby pozbyła się podejrzeń dotyczących jego bytności w chacie Zabali.

Nie sądził, by śmierć zakonnika spowodowali przemytnicy zwierząt. Zabala zginął z innego powodu, mającego coś wspólnego z tajemniczym opactwem. Wydawało się, że istnieje jakiś związek pomiędzy Zabalą a rodziną Sophie. Czy dziewczyna wiedziała więcej o samotniku, niż chciała przyznać?

Sophie pochwyciła podejrzliwe spojrzenie Maksa, gdy zobaczył samochód.

- Wynajęłam go - wyjaśniła.

Otworzyła bagażnik i wrzuciła do niego swój plecak. Max zrobił to samo. Zatrzasnęła klapę i przez chwilę spoglądali na siebie, a mżawka zmywała pot z ich twarzy.

100

- Dokąd jedziemy? - spytała wreszcie Sophie. Zawahał się przez moment.
- Do Biarritz - odparł.

Minęli od południa lotnisko w Biarritz - w miejscu, gdzie szosa omija szerokim łukiem pas startowy, a potem wiedzie do autostrady wzdłuż wybrzeża - i po godzinie jazdy przekroczyli granicę Hiszpanii.

Max przypomniał sobie wskazówki Bobby'ego Morrella i skierował się w stronę, z której dobiegał huk łamiących się fal. Biarritz zostało odkryte

dla surfingu w latach sześćdziesiątych dwudziestego wieku przez pewnego kalifornijskiego filmowca i odtąd stało się surfingową stolicą Europy odwiedzaną przez licznych miłośników szaleństw na falach.

Pojechali krętą drogą obok nowoczesnego i sądząc z wyglądu, bardzo luksusowego i drogiego kilkupiętrowego aparta-mentowca. Dalej droga skręcała w ciemnościach ku wysokiej porośniętej trawą skarpie ogrodzonej drutem kolczastym. Za rdzewiejącą żelazną bramą majaczyła w mroku bryła budowli. Tutaj szosa się kończyła.

- Wyłącz reflektory - polecił Max. Przez kilka chwil siedzieli w ciemnościach. Chłopiec nie był pewny, czy trafili we właściwe miejsce, a nie chciał wzbudzić podejrzeń mieszkańców domu, gdyby okazało się, że się pomylił. - Zaczekaj tutaj - rzucił, wysiadając z auta.

Bobby Morrell nazwał to miejsce *chateau*. Cóż, budynek nie wyglądał tak imponująco, jak Max się spodziewał. Był prosty, surowy i otoczony solidnym ogrodzeniem. Księżyc oświetlał krajobraz zimnym blaskiem, a potem skrył się za chmurami.

Teren leżący za dzikimi krzewami i kolczastym drutem został wyrównany i przekształcony w pole golfowe. Widniejące w oddali blade światła ochrony w budynku klubowym wydobywały z ciemności połacie pofałdowanego gruntu. Odnosiło się wrażenie,

że właściciele posiadłości wyprzedali wszystko, co mieli, i wycofali się za ogrodzony kolczastym drutem trawiasty nasyp. Max przystanął pośród upiornych cieni. Drogę zagradzała mu żelazna brama. Jedyнным dźwiękiem

był dochodzący z odległości kilkuset metrów stłumiony łoskot fal przyboju.

Chłopiec przesunął ręką po obudowie bramy w nadziei, że znajdzie przycisk dzwonka. W ciemnościach natrafił na gruby łańcuch, a potem wymacał zamkniętą kłódkę. W tym momencie ktoś chwycił go za ramię i pociągnął mocno, aż walnął głową o żelazne sztaby. Nie zdążył nawet krzyknąć! Poczul na gardle nacisk jakiegoś ostrego przedmiotu. Chmura odsłoniła księżyc i zimny promień zabłysł na szerokim ostrzu kuchennego noża, który lekko nacinał Maksowi skórę. Krew ciekła mu po szyi. Zacharczał, ale napastnik trzymał go tak mocno, że nie mógł się ruszyć. Ujrzał przyciśniętą do sztachet bramy pomarszczoną twarz starej kobiety, częściowo zasłoniętą przez splątane włosy. Kobieta przyglądała mu się podejrzliwie zmrużonymi oczami. W przesłanianym przez chmury księżycowym świetle przypominała czarownicę.

- Powiedziałam ci, że nie mam już nic więcej. Nic - syknęła mu do ucha zgrzytliwym głosem.

Raptem zapłonęły potężne lampy. W ich oślepiającym blasku Max ujrzał kątem oka biegnącą postać. Nie mógł się jej dobrze przyjrzeć, gdyż stara wciąż przypierała go do prętów bramy. Po chwili usłyszał znajomy głos Bobby'ego Morrella:

- Wszystko w porządku, hrabino! To mój przyjaciel, o którym ci mówiłem! Puść go!

Kobieta rozluźniła chwyt i cofnęła ostrze. Max odstepił chwiejnie od bramy i osłonił dłonią oczy przed jaskrawym światłem. Bobby stał po drugiej stronie obok kobiety o surowym wyglądzie. Była niska i koścista; gęste, potargane siwe włosy spadały jej na ramiona. Ubrana była w rodzaj

kaftana czy może nocnej koszuli - Max nie potrafił tego ocenić i prawdę mówiąc,

102

niewiele go to obchodziło. Dotknął ranki na szyi i ujrzał na palcu strużkę krwi. Stara odwróciła się gwałtownie i weszła w plamę światła.

Jednocześnie zjawiała się Sophie i stanęła przy nim. Zerknęła na zakrwawiony palec, więc potrząsnął głową na znak, że nic się nie stało. Bobby otworzył bramę i powiedział:

- Przepraszam, stary. To moja babcia. Czasami trochę miesza jej się w głowie.

Max i Sophie weszli na podwórze rezydencji. Za plecami usłyszeli brzęk łańcucha i zgrzyt zamykanej kłódki.

- Prawdę powiedziawszy - dodał Bobby, sprawdzając łańcuch - ona ma bzika. Jest kompletnie zwariowana.
- A ty mimo to pozwalasz jej samej wychodzić na dwór? -rzekł z wyrzutem Max.
- Tylko podczas pełni księżyca.

Max zauważył, że Bobby powiedział to bez uśmiechu. Zadrzał. Miał wrażenie, że znalazł się w więzieniu. Albo w domu wariatów.

8

Zabijał szybko, cicho i miłosiernie. Ofiara czuła piekący paraliżujący ból biegnący od szyi przez klatkę piersiową do serca i płuc, pochodzący ze

strzaskanych żeber i przebicia wewnętrznych narządów. Zimne ostrze wnikające nagle w ciało tłumilo krzyk bólu.

Zabójca nazywał się Fedir Tiszenko, co znaczyło: „Dar od Boga”. Jego słowiańska matka Olga rozpieszczała go w dzieciństwie. Przez wiele lat pragnęła urodzić dziecko i w końcu Bóg pobłogosławił ją macierzyństwem. Uwielbiała syna równie mocno, jak bała się jego ojca. Mały Fedir wkrótce sam doświadczył tego lęku. Jego ojciec był okrutnym barbarzyńskim i potężnym watażką, który rządził klanami w trzech krajach. Pomimo integracyjnej polityki państw słowiańskich w niektórych regionach wciąż istnieją wspólnoty rodowe spojone więzami krwi, praktykujące krwawe zemsty i tworzące społeczności zamknięte dla ludzi spoza kręgu rodziny.

Fedira wychowano na nieodrodnego syna swego ojca - do życia pełnego gwałtu i przemocy. Ojciec przygotowywał go na swojego następcę i uczył wytrzymałości, wojennych sztuk walki, przebiegłości dzikich drapieżników oraz odporności na ból. Powtarzał chłopakowi, że nie wolno odczuwać strachu, lecz trzeba wzbudzać go w sercach przeciwników. Człowiek zrodzony do panowania musi kłaść pokotem wrogów, tak jak bogowie wiatrów niszczą pola pszenicy. Ludzie powinni zapewniać sobie

przychylność bogów i czcić swego władcę, gdyż w przeciwnym razie marnie zginą. Ojciec Fedira Jewgen i jego wojownicy stali się legendą i budzili powszechny lęk.

Zamierzchłe podania wspominają o ludziach z północnego plemienia Neuri, którzy potrafili przemieniać się w wilki. Współcześni słowiańscy wieśniacy ożywiają te straszliwe opowieści podczas swoich świąt, kiedy

to mężczyźni zwani *vucari*, czyli ludzie-wilki, ukrywają twarze pod wilczymi maskami.

Siłą Jewgena i członków jego klanu był ludzki strach przed prawdziwymi *vucari*.

Stosunek do bogów oraz duchów gór był jedyną kwestią, co do której rodzice Fedira zgadzali się ze sobą. Matka podsyciała szacunek syna dla starodawnych obyczajów. Ci Słowianie zanurzeni w pradawnych mitach czcili pogańskie bóstwa, a przerażający wypadek, który zdarzył się pewnego dnia, potwierdził wszystkie ich wierzenia. Tego dnia matka zaczęła bardziej lękać się syna niż ojca.

Kiedy Fedir miał dwanaście lat, wrócił kiedyś do domu ze szkoły i znalazł matkę leżącą na podłodze, pobitą przez Jewgena. Na dworze srożyła się burza, jedna z najstraszliwszych, jakie pamiętano. W duszy Fedira także rozszalała się burza, lecz stłumił ją do czasu, gdy udało mu się pocieszyć matkę. Wtedy wyszedł z powrotem w potworną nawałnicę i ruszył na poszukiwanie ojca, zamierzając go zabić. Jewgen zawsze liczył się z tym, że któregoś dnia syn rzuci mu wyzwanie i zapragnie sięgnąć po jego władzę - ale nie spodziewał się, że nastąpi to tak wcześnie. Przyglądał się chłopakowi, który wdzierał się ku niemu po stromym zboczcu; widział siłę jego nóg i krzepkość ramion. Niemal czuł bijący od Fedira zapach nienawiści, lecz nie przejął się tym. W końcu był to tylko smarkacz, który zasłużył na kolejne lanie.

Fedir zaatakował ojca. Mężczyzna uderzył go i chłopiec upadł, a z nosa pociekła mu krew. Jednak potężne pragnienie, by pomścić matkę i wziąć odwet za ciągły strach i cierpienia,

jakie oboje przeżywali z powodu okrucieństwa ojca, dodało mu sił i pchnęło ponownie do walki. Zadał jeden cios, potem drugi, trafiając Jewgena z zaskoczenia. Lecz ten roześmiał się tylko i znów go uderzył.

Członkowie klanu przyglądający się bitce zaczęli szydzić z Fe-dira. Ten szczeniak śmie się mierzyć z tak doświadczonym wojownikiem jak jego ojciec! Ich przywódca był od niego kilkakrotnie silniejszy i nieraz widzieli, jak zabijał ludzi gołymi rękami. Pod-ochoceni wódką zaczęli wznosić głośne okrzyki. Chłopak nie miał żadnych szans. Poturbowany przez ojca pluł krwawą flegmą, a zacinający ulewny deszcz siekł jego rany. Dzika nienawiść wciąż jednak pobudzała go do walki.

Nagle chłopak zręcznie wyrwał nóż zza pasa jednego z mężczyzn.

Widzowie natychmiast ucichli. Sprawa zrobiła się poważna. Jewgen wiedział, że syn dobrze opanował umiejętność walki na noże, gdyż nauczył się jej od prawdziwego mistrza - od niego samego.

Wiedział również, że jeśli nie rozstrzygnie sprawy teraz, chłopak będzie atakował codziennie i może go dopaść we śnie.

„Trzeba położyć temu kres” - pomyślał, wyciągając z pochwy swój nóż.

- Odbiorę ci życie, chłopcze! Dałem ci je, a teraz odbiorę! Masz ostatnią szansę, żeby się poddać! - zawołał, przekrzykując wycie wichury.

Piorun uderzył z hukiem w zbocze wzgórza. Huraganowy powiew szarpnął ubranie Jewgena. Zgromadzeni mężczyźni schylili się, jakby czyjaś mocarna ręka przygniotła ich do ziemi. Fedir nawet nie drgnął, a potem gwałtownie rzucił się naprzód. Jego ojciec zrobił unik, odparował atak i potężnym ciosem wytrącił synowi nóż z ręki, łamiąc mu kość.

Zgromadzeni mężczyźni usłyszeli jej trzask. Ale chłopak nie krzyknął,

gdy padał na kolana. Ból pozbawił go siły, która wy-

106

pływała z niego strumieniem jak z pękniętej tamy. Spojrzał w górę, w niebo, na którym kłębiły się chmury. Kurz, suche liście i śmieci wirowały na wietrze w szaleńczym tańcu, jakby drwiły z jego klęski. Poczuł, że ojciec chwycił go mocno za włosy i wzniosł rękę z nożem jak przy poświęcaniu ofiary. Fedirowi było wszystko jedno. Wolał zginąć, niż nadal znosić okrucieństwo tego człowieka.

Czas zamarł. Mężczyźni stali nieruchomo jak sparaliżowani. Nóż zaczął szybko opadać w dół. Chłopiec zawołał:

- Perunie! Ocal mnie!

Członkowie klanu do końca życia przysięgali, że w chwili gdy Fedir wykrzyknął imię boga piorunów, grom przeszył czarne chmury i rozerwał je, a włócznia błyskawicy trafiła w ich wodza.

Siła uderzenia zwała wszystkich z nóg, a huk ich ogłuszył. Ogień z nieba wypalił ziemię.

Zwęglone zwłoki Jewgena leżały skrócone w poczerniałej dziurze, gdzie uderzył piorun. Tliły się jeszcze i były zmienione nie do poznania. Kilka metrów dalej leżał Fedir osmalony od stóp do głów.

Ale żył.

Dopiero po dwóch latach dzięki ziołom i lekom odzyskał w pełni siły. Władzę nad klanem objęła jego matka czczona przez wszystkich członków za wydanie na świat takiego niezwykłego syna. A legenda chłopca podobnie jak jego siła rosła z każdym dniem. Po tym wydarzeniu pozostały na jego ciele okropne blizny, a piorun wypalił mu skalp i

wysuszył skórę głowy, która stała się pomarszczona i łuskowata jak ciało jaszczurki. Matka poleciła zabić wilka i obdrzeć go ze skóry, której część z łba, jeszcze wilgotną od krwi, naciągnięto na twarz Fedira, starając się w ten sposób uleczyć straszliwe rany i obtarcia do żywego mięsa.

Kiedy nadeszła pora jej usunięcia, okazało się, że część wrosła z jednej strony w twarz Fedira, pokrywając ją sierścią.

107

Fedir uważał to oszpecenie za honorową odznakę. Jeżeli ktoś ze wstrętem odwracał od niego wzrok, miał do czynienia z jego surową nieugiętą wolą.

Każdy, kto rozgniewał Fedira Tiszenkę, sprowadzał na siebie pewną śmierć.

Gdy miał szesnaście lat, rozpoczął panowanie, które zmieniło oblicze Europy Wschodniej. Nikt nie potrafił przeciwstawić się jego złowroziej determinacji. Zbudował przemysłowe imperium Perun Industries. Logo spółki - zawiała płatanina czarnych i białych linii - nic nie znaczyło dla zwykłych ludzi, ale wtajemniczeni wiedzieli, że jest to rozwidlona błyskawica symbolizująca jego wybawcę, boga piorunów.

Na terenach, którymi władał Fedir, głęboko pod ziemią kryły się skarby energetyczne - bogate złoża ropy naftowej i gazu ziemnego, dzięki którym zdobył majątek i jeszcze większą władzę. Zanim skończył dwadzieścia pięć lat, był już jednym z najbogatszych ludzi na świecie. Wpływał na kursy giełdowe i miał na swoje zawołanie polityków, a nawet całe rządy. Nie szukał rozgłosu, nie kupił żadnego klubu piłkarskiego i wkrótce stał się postacią równie tajemniczą co otaczająca go legenda. Zaś w dzień po

swoich trzydziestych pierwszych urodzinach sprzedał wszystko ludziom ze szczytów władzy. ■ I zniknął.

To wydarzyło się przed pięciu laty.

Teraz polował pośród ciszy nocy. Wyznawał zasadę, by własnoręcznie z zimną krwią karać każdą nielojalność i niekompetencję. Trzeba dawać winowajcom surową lekcję, aby inni ludzie mogli się z niej czegoś nauczyć. Chłopiec, którego ścigał, popełnił niewybaczalny błąd. W mieście leżącym niedaleko miejsca, gdzie mieszkał Zabala, ten chłopak upił się i wypaplał informację o przemycaniu dzikich zwierząt. W ten sposób naraził na szwank nowe górskie królestwo Tiszenki. Za to czekała go tylko jedna kara.

108

Chłopak zostawił daleko za sobą wycie myśliwskich wilków Tiszenki. Jego siła dawała mu pewność siebie, gdy biegł po twardo ubitym śniegu. Był pewien, że im umknie. Znał tę okolicę i wiedział, że z miejsca, w którym lodowiec spełza z górskiej przełęczy, prowadzi w górę droga po lodzie. Wilki w żadnym razie nie zdołają pobiec tamtędy.

Tiszenko widział obłoczki oddechu swej ofiary i zauważył, że chłopak wciąż ogląda się za siebie. Być może wciąż nie mógł uwierzyć w swoje szczęście - w to, że nikt go nie ściga i że ma szansę ująć z życiem. Kusila go wolność, a jego przerażony umysł ofiarowywał mu najcudowniejszy dar - nadzieję. Jednak zapomniał przyjrzeć się nocnemu niebu za plecami.

Tiszenko śledził go spod czarnego skrzydła paralotni.

Blask księżycy zbryzgał śnieg. Mięśnie Tiszenki były napięte, a oddech miarowy i spokojny, gdy obserwował, jak nierówny cień jego paralotni

podkrada się od tyłu do uciekiniera, któremu pozostały już tylko sekundy życia.

Trzeba było mieć wyjątkową siłę i zręczność, aby naciągnąć specjalny łuk myśliwski, wykonany z tytanu, a następnie wycelować z niego w ofiarę i wypuścić strzałę, która uśmierci ją na miejscu. Tiszenko nie chciał przysporzyć chłopakowi niepotrzebnych cierpień. Strach był wystarczającą męczarnią.

Czarne skrzydła paralotni przypominającej wielkiego nocnego ptaka z cichym szumem rozcinały powietrze, gdy szybowała pomiędzy księżycem a ściganą ofiarą. Rozległ się szelest, strzała popłynęła w mrok nocy i zatopiła szeroki grot w ciele biegnącego chłopca.

Upadł natychmiast do przodu, rozkrzyżowując ramiona, nie zdążył nawet świadomie zarejestrować, co się stało. Na kremowo-białym śniegu rozlała się natychmiast ciemna kałuża krwi. Agonia trwała zaledwie kilka sekund. Ostatnim wrażeniem chłopaka był dotyk ostrych wilgotnych kryształków lodu na twarzy i upadek na zimną ziemię, która przyjęła go w swe objęcia.

Wilki zwęszyły zapach krwi i wkrótce pożrą ciało. Tiszenko wiedział, że będzie musiał pilnować swoich ludzi, dopóki nie zrealizuje planu wykorzystania najpotężniejszej siły natury. Kiedy już tego dokona, ze zniszczeń powstanie nowy ład.

Gdy zawrócił nad zniewalająco pięknymi białymi pustkowiami i skierował się do miejsca położonego daleko w głębi Alp Szwajcarskich, które było obecnie jego domem, ujrzał kruka przelatującego na tle tarczy

księżycyca. Kruki nigdy nie latają w nocy i nie zapuszczają się na takie bezludne obszary.

To był zły znak zwiastujący jakieś nieoczekiwane wydarzenie.

Czyżby chodziło o tego chłopca Maksa Gordona?

Czas pokaże.

Fedir Tiszenko jak czarny anioł poszybował nad śnieżnymi polami śmierci.

Pokój Maksa w rezydencji prezentował się skromnie. Było tam stare żelazne łóżko ze zniszczonym materacem i kołdrą, goła podłoga i ręcznie malowane żaluzje na nieszczelnych oknach, a krzesło z wrzecionowatym oparciem służyło za suszarkę do bielizny.

„Zupełnie jak w szkolnej kwaterze” - pomyślał, owijając się w kołdrę.

Dopiero teraz miał okazję dokładnie obejrzeć wycinki z gazet, które zabrał z albumu Zabali. W mdłym świetle gołej czterdzie-stowatowej żarówki zaczął czytać francuskie artykuły, zmuszając umysł do przestawienia się na obcy język.

Przed dwudziestu trzema laty brat Zabala wywołał skandal oświadczeniem, że w południowo-wschodniej Europie dojdzie do tragicznej katastrofy. Ponieważ nie potrafił przekonująco uzasadnić swojego twierdzenia, stał się powszechnym pośmiewiskiem. Wykpiono go i zarzucono, że para się astrologią - domeną mglistych prorocstw, niedających się udowodnić - zamiast trzymać się ścisłej wiedzy astronomicznej.

Zabala odpowiadał swoim krytykom, że starożytni Egipcjanie, Grecy i Persowie obserwowali zjawiska niebieskie i uważali, że wiążą się one z ważnymi wydarzeniami historycznymi. Jednak odmówił ujawnienia wyników swoich badań i twierdził stanowczo, że Lucyfer...

Zaskoczony Max aż westchnął. A więc już przed wieloma laty Zabala wspominał o Lucyferze! Zarazem było to ostatnie słowo, jakie wymówił przed śmiercią. Chłopiec poczuł, że przeszedł go dreszcz. Ze zdumiewającą wyrazistością przypomniał sobie tę przerażającą chwilę na zboczu góry.

Według dziennikarza Zabala utrzymywał, iż Lucyfer powróci na Ziemię, sprowadzając na nią apokaliptyczne zniszczenie. Artykuł w gazecie był krótki, zaledwie na półtorej kolumny, i w zasadzie wyłącznie wyszydzał zakonnika, natomiast nie prezentował żadnych faktów. Nie wspomniano nawet, gdzie pracuje Zabala, toteż Max uznał, że artykuł był jednym z wielu i że jego bohater stał się pośmiewiskiem i obiektem powszechnych kpin. Jednakże w tekście przytoczono jego zapewnienie, że kiedy tylko ukończy swoje badania, przedstawi ostateczny dowód, lecz już teraz wszystko wskazuje na to, że ma rację. Krótki komentarz autora artykułu do tej wypowiedzi utrzymany był w wyjątkowo pogardliwym tonie.

Zrobiło się późno. Stary dom trzeszczał głośno, gdy wiatr wdzierał się pod krokwie i deski podłogi. W tej chylącej się ku upadkowi budowli panowała atmosfera beznadziei i rozpacz. Max wgramolił się do łóżka i zgasił lampkę. W niewyraźnym półmroku okiennice skrzypiały żałośnie, szarpane podmuchami wiatru.

Może to był fałszywy trop. Szaleniec opętany własną przepowiednią wycofał się z życia i osiadł w tych górach, ponieważ jego przewidywania

się nie spełniły. Odwrócił się od świata i został pustelnikiem. Zatem, jeśli Zabala przed wieloma laty podniósł

111

alarm i nie wydarzył się żaden kataklizm - w takim razie Max tropi dawno przebrzmiałe sprawy.

Rozważył fakty. A jednak ktoś ścigał, zaatakował i zamordował starego mnicha. To działo się naprawdę, tu i teraz. Tuż przed śmiercią Zabali ogarnęło ich obydwu paniczne przerażenie. Jednak Max nie poddał się grozie i zrobił wszystko, żeby ratować mnicha, tak jak on chwilę wcześniej ocalił mu życie. Tak postąpiłby tata.

Artykuł kończył się surowym stwierdzeniem, że Zabala jest tylko trzeciorzędny, prawie nieznanym naukowcem usiłującym za wszelką cenę zyskać rozgłos, że kieruje nim obsesja nadciągającego kataklizmu. Stał się fanatykiem religijnym, który powinien nosić transparent zapowiadający rychły koniec świata.

Max leżał w łóżku i wpatrywał się w ciemności. Ktoś przeszedł bosą korytarzem - światło świecy zamigotało przed drzwiami, zatrzymało się, a potem przesunęło dalej.

Chłopiec wysliznął się cicho z łóżka i zabarykadował drzwi, wstawiając krzesło pod klamkę. Ta stara kobieta z nożem omal nie poderżnęła mu gardła. Nie miał ochoty, żeby ona czy ktokolwiek inny z mieszkańców tego zwariowanego domu zajrzał do jego pokoju, by powiedzieć mu dobranoc.

Maksa zaczęła ogarniać senność. Dotknął medalionu i pomyślał, że nie wierzy plotkom o obłędzie Zabali. Jedyne sposobem odnalezienia

zabójcy mnicha było posiadanie czegoś, co pragnie on za wszelką cenę zdobyć. Zabala odkrył tajemnicę Lucyfera, a szatan zemścił się za to na nim.

Max zamierzał rozwiązać również tę zagadkę.

A kiedy tego dokona, Lucyfer go zaatakuje.

9

W świetle dnia dom wcale nie wyglądał lepiej. Dwa olbrzymie balkony zwisały niepewnie z budynku utrzymanego w stylu przypominającym art deco. Wieżyczka niczym niewielka dzwonnica sterczała nad zwieńczonym blankami tarasem. Okapy były zbutwiałe, a większość wielkich okien zabito deskami. Pod koniec osiemnastego wieku ponad czterystu ludzi przez dwanaście lat wznosiło tę rezydencję wymarzoną przez jakiegoś arystokratę. W ciągu następnych stuleci ponura historia niespłaconych długów, smutku oraz nieszczęść jej właścicieli wsiąkła w niszczące mury.

Max spał kiepsko. Materac był nierówny, w pokoju hulały przeciągi, a stare rury wodociągowe nieustannie wydawały jękliwe dźwięki. Kiedy rano wędrował długimi korytarzami w kierunku, z którego dochodziły stłumione głosy, zapach kawy i smażonego boczku, zauważył, że w całym domu niemal w ogóle nie było mebli. A kiedy w końcu dotarł do głównego salonu, stwierdził, że przypomina on raczej melinę bezdomnych niż salę we francuskiej rezydencji. Byli tam Bobby Moreli, jego dwaj kumple surferzy oraz Peaches, a także Sayid i Sophie. Oboje siedzieli rozparci na

ogromnych starych fotelach wyglądających, jakby pochodziły z czasów drugiej wojny światowej, i trzymali na kolanach talerze z jedzeniem. Wielki stół - niegdyś pięknie lakierowany, a teraz porysowany i powypalany od stawiania na nim przez lata czajników z gorącą herbatą - dosłownie ugiął się od

113

świeżego chleba, słoików miodu, dżemu i marmolady, smażonego boczku i jajek, kawy i owoców. Znajdowało się tam niemal wszystko, czego można zażyczyć sobie na śniadanie.

Śmiech Peaches jak zwykle rozświetlał cały pokój, a Bobby wtórował jej, niemal dławiąc się od chichotu.

- Cześć, Max! - zawołał. - Dobrze spałeś? Częstuj się, stary. Zobacz, kto przyjechał!
- Siemka, Max - powiedziała Peaches i pomachała do niego jak mała dziewczynka. Siedziała z podwiniętymi nogami na sofie obok Bobby'ego.

Max skinął jej głową. Chłopcy z rozbawieniem przysłuchiwali się rozmowie Sophie i Peaches ubarwianej gestykulacją i głośnymi okrzykami.

Max popatrzył z uśmiechem na przyjaciół, pałaszując wielką kanapkę z jajkiem. Sayid, utykając, podszedł do niego i uściskał go serdecznie.

- Wczoraj wieczorem powinienes być wrzasnąć do mnie, kiedy utkwieś w tej kostnicy - powiedział, uważając, żeby nie pobrudzić Maksa żółtkiem skapującym mu z palców.

- Próbowałem, ale spałeś jak suseł.

Sayid pokuśtykał do stołu.

- Czyż to nie wspaniałe, Max? Mnóstwo żarcia i blisko morze. - Wskazał ręką olbrzymi balkon z zamkniętymi drzwiami. - Tylko nie próbuj na niego wychodzić. Jest przeznaczony do rozbiórki. Wystarczyłoby, żebyś rzucił tam bułkę, a z pewnością by się zawalił. Cały ten dom to rozpadająca się ruina - powiedział cicho, a potem dodał weselszym tonem: - Do morza jest tylko dwieście metrów tą ścieżką. Wspaniałe warunki do surfingu. Peaches przyjechała wczoraj rano i spędziła cały dzień, surfując z Bobbym i jego kumplami. Mnie też zawieźli na wózku. Hrabina przygotowała nam tyle jedzenia, ile dusza za pragnie. Siedziałem pod wielkim parasolem i przez cały dzień czytałem komiksy. Bobby ma w swoim pokoju wszystkie serie

114

przygodowe. Mówi, że od dziecka co roku przyjeżdżał tu na wakacje. Jego babcia to hrabina - po francusku: *comtesse* - i jest bardzo fajna. Może troszkę dziwna, ale rozumiesz, ci arystokraci nie są tacy jak zwyczajni ludzie. I musisz koniecznie spróbować croissantów i dżemu wieloowocowego domowej roboty. Jest prawie tak smaczny jak *ataif* mojej mamy - powiedział Sayid, przypominając sobie pyszne naleśniki z orzechami lub serem oblewane słodkim syropem.

- Dzięki za tę krótką relację, Sayid. Widzę, że nie grozi ci śmierć głodowa. Fajnie, że nie przejmowałaś się zbytnio, co się ze mną dzieje.
- Przestań, Max, przez cały czas się o ciebie martwiłem! Byłem kłębkim nerwów. Sophie powiedziała, że znalazła cię na szczycie

jakiejś góry.

- Naprawdę? W gruncie rzeczy słabo ją znam - powiedział Max, sięgając po świeże owoce.

- Opowiedziała nam o Paryżu, o cyrku i swoim tacie. Potem obie z Peaches zaczęły te swoje dziewczynskie pogaduchy. Jak można się interesować takimi bzdurami? Popatrz tylko na nie. -Obydwaj spojrzeli na Sophie i Peaches. - Rozmawiają tylko o chłopakach i robieniu zakupów. Co za nuda! A na której górze byłeś?

-Jak twoja noga? - zapytał Max, rozglądając się podejrzliwie, czy ktoś nie zwróci na nich uwagi i nie podsłucha tego, co chciał powiedzieć przyjacielowi.

- W porządku? Więc gdzie byłeś? No, powiedz. Nie bądź taki tajemniczy.

- W chacie, w której mieszkał ten stary mnich - rzekł cicho Max. - Ktoś ją zdemolował. Wygląda, jakby doszło tam do niezłej bójki. Przypuszczam, że to się zdarzyło jeszcze przed zejściem lawiny. Myślę, że napastnicy szukają... no wiesz czego.

Sayid spojrzał na niego skonsternowany. Max wbił w niego znacząco wzrok.

115

- Och, tak. Jasne, oczywiście. Tej... no, tej... jak jej tam... -wyjąkał Sayid, przypomniawszy sobie medalion. - Max, to się robi trochę niebezpieczne, no nie?

- Z każdą chwilą coraz bardziej. Może pora odesłać cię z powrotem do Anglii - powiedział Max bez przekonania.

Nie chciał, żeby Sayid wyjechał. Przyjaciel miał zdolność rozwiązywania skomplikowanych problemów i mógł okazać się bardzo pomocny, gdyby pojawiło się więcej tropów.

Sayid się wahał. On również pragnął dowiedzieć się czegoś więcej o tej intrygującej tajemnicy, choć zarazem z niepokoju czuł skurcz żołądka, pełnego po obfitym śniadaniu.

- Porozmawiajmy o tym później, co? - rzucił, skrywając własną niepewność.
- Dobra - odparł Max zadowolony, że przyjaciel jest skłonny zostać. - Na końcu korytarza jest biblioteka. Kiedy nadarzy ci się okazja, poszperaj w niej i zobacz, czy nie mają czegoś o starych opactwach w tej okolicy. Nie chcę, żeby ktoś zobaczył mnie tam i zaczął zadawać kłopotliwe pytania.

Sayid z uśmiechem kiwnął głową. Wertowanie książek nie było niebezpieczne i nie przypuszczał, by sprawiło mu trudność. Max dyskretnie wskazał Sophie.

- Co o niej myślisz? - zapytał, po czym wypił chciwie szklanekę świeżego soku pomarańczowego.
- O Sophie? Sam nie wiem. Na przykład, co robiła przy chacie mnicha?
- Też nie jestem pewien. Będziemy musieli poczekać i uważnie ją obserwować.

Max nadal miał wątpliwości co do Sophie. Podejrzewał, że dziewczyna jest bardziej zamieszana w śmierć Zabali, niż na to wyglądało, choć wolałby się mylić. Nie podobało mu się zwłaszcza rzekomo przypadkowe spotkanie jej przy chacie mnicha.

Natomiast niewątpliwie pomylił się co do wiedźmy, która, jak sądził,

zamierzała poderżnąć mu gardło. W świetle dnia zdał

116

sobie sprawę, że hrabina Isabelle Villeneuve jedynie w bladym blasku księżyca mogła wyrzucić na nim tak niekorzystne wrażenie. W rzeczywistości była drobną kobietą, a jej subtelne rysy, wysokie kości policzkowe i szmaragdowozielone oczy wskazywały, że w młodości musiała być bardzo piękna. Obecnie jej spalona słońcem pomarszczona skóra przypominała szorstki rzemyk, którym wiązała z tyłu gęste włosy. Wprawdzie tak jak ubiegłej nocy była ubrana w bawełniany kaftan, lecz miał on intensywny opalizujący kolor. Jej kościste palce były powykrzywiane i obrzmiałe wskutek bolesnego artretycznego zapalenia stawów. I paliła papierosy, co również nie wpływało korzystnie na i tak już wysuszoną cerę. Hrabina podeszła do stołu, wzięła pusty talerz od swego wnuka Bobby'ego, spytała Sophie, czy ma jeszcze na coś ochotę, a potem zwróciła oczy na Maksa. Chłopiec stropił się pod jej spojrzeniem.

- Młody człowieku, przepraszam cię za ubiegłą noc - powiedziała, podchodząc do niego. - Nie zostało mi nic, żeby spłacić wierzycieli. Ogołocili mój dom i zabrali ziemię. Pomyślałam, że jesteś jednym z nich i próbujesz wśliznąć się do posiadłości, żeby mi grozić.
- To ja jestem pani winien przeprosiny - zdołał w końcu wykrztusić Max, szukając stosownie uprzejmych słów. - Nie zamierzałem pani przestraszyć.

Uśmiechnęła się i przez jej twarz przemknął błysk dawnej urody.

- Zdaje się, że to nie ja byłam przestraszona. *Out}*

Powiedziała to tak miłym tonem, że Max odpowiedział

uśmiechem.

- Śmiertelnie się przeraziłem - przyznał szczerze.

Kobieta przechyliła głowę na bok i spojrzała na szramę pod brodą chłopca, w miejscu, w którym wczoraj przyłożyła ostrze kuchennego noża.

- Czy mocno cię zraniłam?

117

- Nie. To było jak ukłucie osy. Nic się nie stało, naprawdę.

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie.

- Mój wnuk powiedział mi, że niełatwo cię wystraszyć. Lubię odważnych chłopców. Robert... - dodała, zerkając na Bobby'ego, który przewiesił luźno nogi przez brzeg kanapy, jakby był szmacianą lalką - dzielnie stawia czoło morzu i górcom, ale w tobie wyczuwam inny rodzaj odwagi. - Z twarzy kobiety zniknął uśmiech. Maksa ogarnęło zakłopotanie. - I jakąś mroczną stronę. Mam rację? Wiesz, dostrzegam to w twoich oczach. To zawsze widać w oczach. Robert tego nie ma, ale ty...

Znowu się uśmiechnęła, jakby chciała osłabić poprzednią poważną uwagę.

- Jedz - powiedziała. ^j Starczy mi pieniędzy, żeby nakarmić mojego wnuka i jego przyjaciół. - Roześmiała się. - Chyba nie myślisz, że jestem aż tak biedna?!

Oddaliła się lekkim krokiem, niemal szybując nad parkietem i dywanami - a przynajmniej tak się wydało Maksowi. Bobby, nieogolony i wyglądający, jakby się jeszcze nie całkiem obudził, sięgnął przez stół po

następną bułkę.

- Starsza pani jest dziś w doskonałej formie - stwierdził. - Ona... eee... widzi różne rzeczy. Widma i inne takie.
- Duchy? - spytał cicho Sayid.
- Aha. Nocami wędruje po całym domu i sprawdza, czy są spokojne. Mówi, że to duchy jej zmarłych przyjaciół i dziadka.
- Więc uważasz, że ma zdolności parapsychiczne? - zainteresował się Max.
- Uważam, że za dużo pije - odparł Bobby niewyraźnie, wpychając sobie bułkę do ust. - Zresztą mniejsza z tym. Chodźmy, zaczyna się przybój.

Fala narastała, a bryza wiejąca od lądu zdmuchnęła z jej grzbietu drobną mgiełkę. Max zrobił na desce z żaglem zwrot z wiatrem i pchany siłą podmuchu odbił od łamiących się spie-

nionych wierzchołków. Pożyczony od jednego z surfujących kumpli Bobby'ego piankowy kombinezon z krętą żółtą linią biegnącą przez plecy i biodra wyglądał super, ale był źle dopasowany. Mięśnie barków Maksa naprężyły się, a kolana przyjęły impet wielkiej fali, lecz błędnie ocenił kierunek podmuchu i wpadł do zimnej wody Atlantyku.

- Nauczył się tego w północnym Devonie - powiedział Sayid do Bobby'ego.

Obydwaj siedzieli na skraju półkolistej plaży.

- Masz na myśli nurkowanie? W tej zabawie chodzi o to, żeby utrzymać się na szczycie fali - zaśmiał się Amerykanin, obserwując, jak Gordon wyciąga deskę na brzeg.

- Kiepsko mi poszło - wydyszał Max, padając na porośnięty trawami skraj plaży.
- To nie najlepsze miejsce do żeglowania na desce. Pójdę trochę posurfować. Zobaczymy się później, chłopaki - rzucił Bobby i z deską pod pachą pobiegł w stronę morza.

Peaches i przyjaciele Bobby'ego już wpływali na spienioną łamiącą się falę.

- Nie możemy siedzieć tu przez cały dzień - rzekł Max. - Nie zamierzałem po prostu gdzieś się zaszyć. Bobby zachował się super, że nas do siebie przyjął, ale muszę odnaleźć opactwo i chcę to zrobić, zanim wróci Sophie.

Dziewczyna wczesnym rankiem pojechała do Biarritz, aby zwrócić wypożyczony samochód. Odpowiadała wymijająco na wszystkie pytania Maksa, ale oświadczyła, że wróci do rezydencji, jeśli mu na tym zależy. Oboje żywili wobec siebie podobną milczącą nieufność. Każde pragnęło dowiedzieć się więcej o związkach drugiego z Zabalą. Ta wzajemna podejrzliwość złączyła ich ze sobą.

- Przejrzałem wszystkie stare przewodniki w bibliotece - po informował Sayid. - Jedyne opactwo, jakie zdołałem znaleźć, znajduje się kilkaset kilometrów stąd na północ.

Max wytarł się ręcznikiem. Wiatr powoli przycichał. Wkrótce pogoda się popsuje, a Moreli z przyjaciółmi przeniosą się do Szwajcarii, aby pojeździć jeszcze trochę na deskach po śniegu. Musiał więc przed wyjazdem Bobby'ego wykorzystać jego wiedzę o okolicy. Kłopot w tym,

że wiedza Amerykaniana o tutejszych stronach ograniczała się w gruncie rzeczy do znajomości warunków surfowania oraz konstelacji miejscowych dziewcząt. W każdej innej sytuacji byłoby to nieocenione, ale nie teraz. Max popatrzył na rezydencję leżącą za piaszczystymi wydmami i ujrzał hrabinę stojącą w jednym z okien. Gdy napotkała jego wzrok, cofnęła się w głąb pokoju. Chłopiec poczuł, że przez grzbiet przebiegł mu zimny dreszcz, nie tylko z powodu chłodnej morskiej wody.

Nadeszła pora, by znów podjąć ryzyko.

Wczesnym rankiem czarne audi przemykało ulicami jak dziki kot polujący na swą ofiarę. Jezdnie były jeszcze puste, a auta stały stłoczone na chodnikach. Podobnie jak we wszystkich innych miastach znalezienie miejsca do parkowania było istnym koszmarem. Za parę godzin chmury samochodów zakorkują wąskie jednokierunkowe ulice, a Corentin i Thierry nie zdołają znaleźć bocznej uliczki, której szukali.

Stracili trop dziewczyny, a chłopak wymknął im się z rąk w Pau i od tej pory stad po obojgu zaginał jednak dziewczyna wynajęła samochód, który powinna dzisiaj zwrócić, więc liczyli, że przy odrobinie szczęścia ją dopadną. Obydwaj zabójcy wjechali do miasta od północnej strony, skręcili w Avenue de Imperatrice i minęli Hotel de Palais, gdzie bogaci turyści zażywają pięciogwiazdkowego luksusu. Kiedy przejeżdżali szybko obok hotelowego parkingu, Corentin pomyślał, że stoją tam samochody chyba wszystkich najdroższych marek. Thierry zajrzał do planu miasta i zaklął pod nosem, usiłując zorientować się w układzie wąziutkich jednokierunkowych uliczek. Corentin nie

zazdrościł bogaczom ich wystawnego stylu życia. Jego drogę życiową wybrano za niego, kiedy był małym chłopcem, a gdy dorósł, rozsądnie odrzucił bezsensowną przemoc z okresu dzieciństwa. W legii cudzoziemskiej skanalizowano jego agresję, a także nauczono myślenia i odpowiedniego zachowania. Odtąd pozostawał wierny zestawowi zasad, które uważał za słuszne, a gdyby jakieś zlecenie morderstwa pozostawało w zgodzie z jego głębokim przeświadczeniem, wypełniłby je nawet bez zapłaty. Niekiedy uważał zabicie kogoś naprawdę złego za rodzaj dobrego uczynku, za swój wkład na rzecz społeczeństwa.

Po kilku minutach ignorowania znaków zakazu i jeździe jednokierunkowymi ulicami pod prąd samochód wjechał powoli w małą uliczkę i zatrzymał się. Sklepy były jeszcze zamknięte, z zaciągniętymi żaluzjami na oknach wystawowych. Thierry wskazał wąską alejkę za placem targowym. Niewielka tablica z napisem: „Simone - wypożyczalnia samochodów”, wisiała nad bramą prowadzącą na wewnętrzne podwórko, gdzie stały zaparkowane starsze auta. Corentin i Thierry rozejrzeli się uważnie i zaczęli czekać na Sophie.

Hrabina Villeneuve siedziała plecami do drzwi przy małym stoliku przykrytym sukniem i trzymając w jednej ręce tłącego się papierosa, drugą wolno rozkładała duże karty. Max przyglądał się jej przez chwilę, a potem uniósł rękę, żeby zapukać - lecz nim zdążył choćby dotknąć uchylonych drzwi, hrabina zaciągnęła się dymem i nie odwracając się, rzekła cicho:

- Młody człowieku, nie będziesz tam chyba stał przez cały dzień? Czekałam na ciebie.

Max podszedł bliżej speszony tym, że wiedziała o jego obecności. Przez okno widział Sayida, który nadal miał nad sobą parasol - bardziej dla

ochrony przed rozpyloną mgiełką wodną od morza niż przed bladym blaskiem słońca. Przyjaciel leżał wygodnie na piasku, opierając nogi na swym wózku inwalidzkim.

121

Bobby znalazł odpowiednio dużą falę. Jego szczupła koścista sylwetka pochylała się ku dziobowi deski, a mokre potargane włosy wyglądały jak wodorosty. Szybkość i elegancja, z jakimi surfował, przykuwały wzrok, lecz Max odwrócił się do starej kobiety i zapytał:

- Jak to, pani hrabino?
- Nie jesteś podobny do swoich rówieśników. Nie masz ich beztroski. Myślisz. Twój umysł nieustannie pracuje. Nie wiem, o czym myślisz, ale patrzysz uważnie na wszystko i dostrzegasz rzeczy, których inni chłopcy nie widzą. Mówisz ostrożnie i powściągliwie. Nie wyjawiasz swoich tajemnic i nie ufasz tej dziewczynie. No cóż, może masz rację. Niektóre dziewczyny, takie jak *mademoiselle* Fauvre bywają dość... skomplikowane. Obserwujesz ją, a także mnie. I masz wiele pytań, na które chcesz poznać odpowiedź. *N'est ce pas* }
- Nie sądziłem, że to tak wyraźnie widać.
- Mój drogi, jestem starą kobietą, a starość przypomina stanie na szczycie wysokiej góry. Ma się stąd wspaniały widok na wszystko - oczywiście dopóki się nie spadnie. - Zaśmiała się ze swojej śmiertelności i z poważnej miny chłopca. - No dalej, Max. Powiedz, o co chodzi.

„Nie ufaj nikomu"... Ale nie miał wyboru. Czuł, że ma coraz mniej czasu.

- Szukam pewnego baskijskiego opactwa, a nie mam pojęcia, gdzie ono może być. W każdym razie przypuszczam, że jest baskijskie.

Przygnębiały go własna niewiedza i bezradność. Błądził po omacku wplątany wbrew swojej woli w niejasny chaotyczny ciąg wydarzeń.

- Baskowie? Ach, to osobliwy i niezwykły lud. Zamieszkują te góry schodzące aż do morza i spowite mgłą tajemnicy, a w ich żyłach płynie starożytna krew. Czy wiedziałeś, że przed tysiącami lat przywędrowali tutaj z terenów dzisiejszej Finlandii? Zde-

122

terminowani, aby znaleźć dla siebie nowe ziemie, przemierzyli całą Europę, zabierając ze sobą własne wierzenia. Istnieje bardzo mało pisemnych świadectw na ich temat - jakby stanowili tajemnicę sami dla siebie. Pozostało jedynie niewielu, którzy władają ich rdzennym językiem. Nie, oczywiście, że o tym nie wiedziałeś. Zresztą, skąd miałbyś wiedzieć?

Przerwała i wpatrzyła się w morze, omijając wzrokiem popękane kamienne ściany pokoju. Kiedy znów spojrzała na Maksa, poczuł się, jakby znała jego najgłębsze sekrety. Może jednak była kimś w rodzaju czarownicy.

- Mój ostatni mąż był francuskim wojskowym - podjęła po chwili. - Gdziekolwiek jechaliśmy, przyglądał się uważnie miejscu i ludziom, jakby szukał ewentualnej zasadzki. Zupełnie tak jak ty - zaśmiała się. - Tutaj jesteś bezpieczny, ale masz rację, że nie tracisz czujności.

- Nawet wobec pani? - zdobył się na odwagę, żeby zapytać.

Hrabina zamyśliła się przez chwilę.

- Tak. Podzieliłeś się ze mną pewną informacją i teraz wiem, czego szukasz. Tak, bądź ostrożny. Zawsze.

Powróciła do tasowania kart, jakby dając do zrozumienia, że rozmowa dobiegła końca.

- Muszę znaleźć to opactwo. Ono ma jakiś związek z wężem i krokodylem - rzucił Max.

Hrabina natychmiast przestała rozkładać karty. Serce chłopca załomotało mocno. Ona wie! Popatrzyła na niego przeciągle. Nawet nie drgnął pod jej wzrokiem, prowokując ją do podzielenia się tą wiedzą. Nie odrywała wzroku od jego twarzy. Jej spojrzenie było mniej przenikliwe niż przed chwilą - miało wyraz raczej senny, prawie rozmarzony. Zastanawiała się, dlaczego ten chłopak szuka owego opactwa, pełnego zdumiewającej wiedzy, a stworzonego przez niezwykłego człowieka - Irlandczyka zrodzonego z baskijskiego ojca i irlandzkiej matki. Baskowie i Celtowie - ludy, których kultura obfituje w ezoteryczne mity

123

i legendy. Do czego zmierza ten chłopiec? Czemu w jego obecności odczuwała skrępowanie? Najwyraźniej Maksa Gordona opanowała jakaś zewnętrzna siła - pradawna pierwotna moc, którą można przywołać.

- Siadaj - poleciła.

Max przyniósł sobie rattanowe krzesło i usiadł. Zachęciła go gestem dłoni, żeby przysunął się bliżej. Pochylił się do przodu o kilka centymetrów.

- Daj mi rękę.

Zrobił, o co poprosiła, a ona ujęła delikatnie jego dłoń w obie dłonie. Poczuł, jak stwardniałe czubki palców badają kręte głębokie linie na jego skórze. Potem odwróciła mu dłoń i pogładziła jej wierzch. Zawahała się, gdyż odczytała z tej ręki smutek i utratę.

- Twoja matka - powiedziała, kręcąc łagodnie głową. - Byłeś taki młody, kiedy zmarła.

Max milczał. Przypomniawszy sobie, jak tata obejmował go ze łzami w oczach. Nigdy wcześniej ani później nie widział ojca płaczącego.

Hrabina czekała, wyczuwając w chłopcu subtelną emanację mocy i determinacji. Nie było w nim żadnego zła. W głębi czaiła się bardziej mroczna siła, do której mogła zyskać dostęp.

- Płynie w tobie energia twojego ojca - ciągnęła. - Oplakujesz go, ale on przecież nie umarł.

- Nie - odparł Max, wyobrażając sobie tatę.

Stara kobieta wyszeptała coś, co tkwiło w nim głęboko, choć nie śmiał nikomu o tym powiedzieć.

- Obwiniasz siebie o coś, co wydarzyło się w przeszłości. Czujesz się winny.

Chłopiec przełknął z trudem; gardło miał suche. Wspomnienia z czasu, kiedy w Afryce spieszył na ratunek uwięzionemu ojcu, wciąż napełniały go rozdzierającym bólem. Gdyby wcześniej dotarł do taty, być może zdołałby uchronić go przed torturami. I umysł ojca nie byłby teraz potrzaskany jak rozbite lustro.

Hrabina uznała, że chłopiec rozpoczął poszukiwania z ważnych

powodów, i podjęła decyzję.

- Max, to nie opactwa szukasz. Chodzi o budowlę wzniesioną w dziewiętnastym wieku przez pewnego badacza. Wzięła nazwę od jego nazwiska: Chateau d'Antoine d'Abbadie. - Kobieta uśmiechnęła się lekko. - Właściwie stanowi obecnie atrakcję turystyczną.

- Jak to?

- Nie jest zbyt rozreklamowana i sądzę, że niewielu ludzi o niej wie.

- Gdzie to jest?

- W Hendaye, przy granicy hiszpańskiej. Mniej więcej godzinę drogi stąd.

Błędnie zrozumiał gorączkowy, rozpaczliwy krzyk konającego Zabali. To, co wziął za „abbaye”, czyli opactwo, było nazwiskiem Abbadie.

- Czy może pani zachować to tylko dla siebie? - zapytał.

- Tę lokalną atrakcję turystyczną? Raczej nie - zakpiła starsza kobieta.

- To, że pani mi o niej powiedziała. Proszę nie wspominać o tym Sophie. Najpierw muszę sam coś sprawdzić.

- Dobrze. W przeszłości bywałam powiernicą królów i królowych.

Max uniósł *brwi* ze *zdziwienia*.. *Czyżby mówiła* o członkach francuskiej rodziny królewskiej?

- Nie w tym życiu - wyjaśniła spokojnym tonem, bez cienia uśmiechu, który mógłby oznaczać, że sobie z niego żartuje. - Przysięgam.

Max odwrócił się i ruszył do drzwi. Potrzebował teraz furgonetki Bobby'ego oraz bystrego umysłu Sayida.

Kiedy wyszedł z pokoju, hrabina ponownie rozłożyła karty. Był to tarot. Niektórzy uważają, że ukazuje on drogę ludzkiego życia od narodzin do

śmierci oraz wpływ kosmicznych sił. W talii

125

były ukryte Ogień, Powietrze, Woda i Ziemia. Odwróciła cztery karty i poczuła nagły skurcz strachu.

Arcykapłanka - czyli potęga nieświadomości. Tajemnica.

Szkielet - zniszczenie i ponowne odrodzenie. Śmiertelność.

Wieża, w którą uderza piorun - cios losu. Katastrofa.

Na ostatniej karcie widniał rysunek przedstawiający młodego człowieka z kijem na ramieniu - czyli chłopca wyruszającego na poszukiwanie. Skok w nieznane.

Karty mówiły, że Maksowi Gordonowi grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

10

Dwaj przyjaciele Bobby'ego siedzieli okrakiem na swych deskach unoszących się na wodzie sto metrów od brzegu i czekali na odpowiednio duży załamujący się grzywacz. Peaches znajdowała się nieco dalej w głąb morza, toteż kiedy ujrzała ciemną wybrzuszącą się masę wody, dostała się do niej przed nimi i popłynęła na fali najdalej, jak zdołała, po czym zawróciła i przecięła na desce jej grzbiet.

Bobby potrząsnął mokrymi włosami, a potem sięgnął ręką do pleców i rozpiął suwak swojej pianki - wszystko po to, żeby zyskać na czasie. Przed chwilą Max poprosił go o pożyczanie furgonetki, a Sayid zapewnił, że

jego przyjaciel potrafi prowadzić każdy pojazd. Jednak rozsądek podpowiadał Bobby'emu, że nie można pozwolić, aby niepełnoletni chłopak bez prawa jazdy wypuścił się na zatłoczoną francuską autostradę. Wytarł włosy *ręcznikiem i popatrzył* na nich.

Przykro mi, chłopaki, ale nie mogę tego zrobić.

- Bobby, jeżeli Max mówi, że to ważna sprawa, rękę, że na prawdę tak jest. On nie rzuca słów na wiatr - nalegał Sayid.

Max podniósł rękę > przerywając mu.

• On ma rację, Sayid. Wystarczy, że zatrzyma mnie jakiś gliniarz, a natychmiast odeślą nas samolotem do domu, zaś Bobby zostanie pociągnięty do odpowiedzialności. Przepraszam, że w ogóle cię poprosiłem - rzekł do Amerykanina.

• Nie miej do mnie żalu, Max.

127

- Jasne, że nie mam.

Bobby odwrócił głowę w stronę morza i zerknął na swoich kumpli.

- Pogoda się psuje. Ci dwaj goście jutro wyjeżdżają. W Hendaye nie ma szczególnych warunków do surfingu, ale nieco dalej w pobliżu skał bywają całkiem niezłe fale. Chętnie pojedę tam, żeby się o tym przekonać. Może mnie i Peaches uda się trochę posurfować. Mógłbym was po drodze podrzucić.

Starał się im pomóc i nadal nie zadawał żadnych pytań. Max skinął głową.

• Świetny pomysł, Bobby. Dzięki.

• To miejsce może być zamknięte. W tej okolicy wiele atrakcji jest

czynnych tylko w sezonie turystycznym. Chcecie, żebym zadzwonił i sprawdził?

- Dzięki - powtórzył Max.

Bobby zebrał swój sprzęt, a potem wyjął komórkę i wystukał numer francuskiej informacji telefonicznej. Max przyglądał mu się uważnie. Sayid dostrzegł znajomy wyraz oczu przyjaciela -oceniający i przenikający Bobby'ego na wylot, aby wybadać, czy za jego chęcią pomocy nie kryją się jakieś inne motywy.

- I co? - zapytał cicho. Max potrząsnął głową.

- Nie wiem.

Bobby *odszedł nieco* dalej i zakrywał ręką ucho przed hukiem przyboju.

Sayid nie mógł uwierzyć w to, co przed chwilą usłyszał.

- Nie ufasz Bobby'emu? - spytał z niedowierzaniem.

- Nie ufam nikomu. Przykro mi, ale po prostu nie mogę.

- A mnie?

- Chyba w to nie wątpisz?

- Może powinienem. Wiesz, ostatnio miewasz dość mroczne myśli. To może naprawdę rzucić ci się na głowę. Ale nie jesteś sam, Max. Masz przyjaciół.

Sayid miał rację, lecz Gordon wiedział, że jego instynkt zazwyczaj chadza własnymi drogami. Nie lubił być zależny od zbyt wielu osób. Często zastanawiał się, dlaczego tak się dzieje. Odpowiedź była zawsze prosta: ponieważ nie na wszystkich można naprawdę polegać.

Bobby znów podszedł do nich.

- Dodzwoniłem się tylko do dozorca - oznajmił - ale **miejsce** jest czynne.

Max podziękował mu uśmiechem. Sayid wygramolił się ze swojego wózka.

- Lepiej pozbędę się tego, skoro czeka nas bójka w **muzeum** - powiedział.
- Nie, zostaw, przyda się nam - odparł Max.

Sophie Fauvre ostrożnie wjechała wynajętym autem w tętniącą życiem ulicę, na której farmerzy w małych półciężarówkach wiozących produkty rolne usiłowali na wyścigi dotrzeć do stanowisk rozładunkowych hali targowej. Przed halą straganiarze rozstawiali swoje stoły. Ulica była zakorkowana. Po chwili jednak odjechała jakaś furgonetka. Sophie wepchnęła przód wozu w wolne miejsce i tak długo manewrowała, aż udało jej się zaparkować. Wysiadła nieopodal wypożyczalni samochodów Simone.

Tłuki przechodniów popychał ją naprzód i dopiero przy bramie zdołała wyrwać się z tego ludzkiego strumienia. Biuro Simone widziane od ulicy było niewiele większe od dziury w murze. Gdy skręciła tam, drogę zagroził jej człowiek pchający wózek z warzywami i walczący zaciekle o miejsce w pobliżu głównej bramy hali targowej, jednocześnie jej wzrok przykuł błysk światła odbitego w przedniej szybie czarnego audi. Potężnie zbudowany mężczyzna stał oparty niedbale o maskę, z rękami w kieszeniach, uważnie lustrując tłum kłębiący się na targowisku.

Sophie szybko odwróciła wzrok i weszła w ocienioną bramę. A więc

znaleźli ją! Ale w jaki sposób? Tylko Max i pozostałe osoby przebywające w rezydencji hrabiny Villeneuve wiedzieli, dokąd pojechała. Poza tym zadzwoniła do ojca. Może ktoś podsłuchiwał jej rozmowy telefoniczne? Natychmiast wyjęła więc ze swojej komórki kartę SIM, a potem wrzuciła ją i aparat do oddzielnych pojemników na śmieci. Będzie musiała przez jakiś czas obejść się bez telefonu.

Po kilku krokach znalazła się w biurze wypożyczalni samochodów. Simone Lavassor, która właśnie wkładała na przegub bransoletki, rozpromieniła się na jej widok.

- *Ah, mam'selle. Ca va?* Miała panienka udany urlop?

Sophie skinęła głową, po czym zerknęła ukradkiem przez ramię, aby sprawdzić, czy ci dwaj mężczyźni jej nie zauważyli i nie idą za nią.

•Czy coś się stało? - spytała z zaciekawieniem Simone. Sophie potrząsnęła głową.

•Ulica jest zapchana i parkując, zastawiłam stragany.

- Ale samochodowi nic się nie stało? Nie został uszkodzony?
- upewniła się kobieta.

- Nie. Po prostu nie chcę zbyt długo czekać i tarasować ruchu.

Simone wyczuła, że coś jest nie w porządku, i popatrzyła uważnie na dziewczynę.

- Masz kłopoty?

Zaskoczona Sophie roześmiała się z przymusem.

- Nie! Oczywiście, że nie.

Simone przyglądała się jej przez chwilę, zapinając pod szyją bluzkę z wzorem w barwne kwiaty. O tej porze roku w biurze zawsze hulały

przeciągi - a ta czynność dała jej czas do namysłu. Dziewczyna niewątpliwie kłamała. W dobrej czy w złej wierze?

- Pytał o ciebie jakiś mężczyzna. Podał się za krewnego. Słyszał, że masz tu wpaść przed odjazdem na lotnisko, i chciał sprawić ci niespodziankę swoją wizytą.

130

Sophie poczuła ukłucie lęku. A więc się nie pomyliła. To był jeden z napastników z Mont la Croix.

- Przystojny facet ubrany na czarno? Z ciemnymi włosami i dwudniowym zarostem? - spytała.

- Właśnie tak wyglądał.

Sophie przygarbiła się, westchnęła i potrząsnęła głową w udawanej rozpacz.

- Znasz go? - spytała Simone.

- Spotkałam go na nartach i odtąd narzuca mi się i wszędzie za mną łązi. Myślę, że to jakiś maniak. Wystarczy przelotnie się do takiego uśmiechnąć, a już sobie wyobraża, że proponuje mu się małżeństwo.

- Ha! Starsi mężczyźni! Wszyscy oni są tacy sami. Powinnaś trzymać się swoich rówieśników. Okazałam uprzejmość staremu *monsieur* Labrechtowi, kiedy zmarła mu żona. Kilka razy przyniosłam mu zupeę, wzięłam ubranie do czyszczenia. A on od razu...! Wstydzę się nawet o tym mówić.

- Ten gość jest na zewnątrz. Zobaczyłam go na ulicy. Nie wiem, co mam zrobić - wyznała Sophie.

- A więc cię śledzi! - Simone pocieszająco wyciągnęła rękę do strapionej

dziewczyny. - Nie martw się, *ma chérie*, możesz wymknąć się stąd niepostrzeżenie przez podwórze.

Powłócząc nogami, wyszła zza kontuaru, wzięła dziewczynę pod ramię i wyprowadziła ją na dziedziniec, gdzie nieporządnie zaparkowane stały auta do wynajęcia.

- Po drugiej stronie podwórka - powiedziała, wskazując ręką kierunek - są tylne drzwi sklepu ze słodyczami monsieur Fouche. Boskie przysmaki! Popatrz, jaka jestem gruba. Mogę oprzeć się jemu, ale nie jego czekoladkom. Pewnego dnia spełnię jego pragnienia i ulegnę mu. Idź już. Powiedz, że przysłała cię Simone. Pozwoli ci przejść przez sklep.

Sophie z wdzięcznością ucałowała swą sojuszniczkę w policzek i pobiegła, lawirując pomiędzy zaparkowanymi wozami.

131

Simone patrzyła za nią. Niegdyś także była szczupła i zgrabna, a przystojni mężczyźni stale się za nią uganiali. A teraz? Cóż, teraz miała już swoje lata.

Ale życie wciąż może być przyjemne. Jest przecież Fouche i jego pyszne czekoladki nadziewane malinami.

Corentin i Thierry byli starymi wygami i dobrze znali się na swojej robocie. Przed przybyciem Sophie zapoznali się dokładnie z rozkładem ulic wokół targowiska, dzięki czemu wiedzieli, którędy będzie uciekała, jeśli się ich przestraszy.

Corentin celowo się jej pokazał, gdyż chciał, żeby go zobaczyła.

Gdy dziewczyna biegła przez podwórze Simone, nie zauważyła

Thierry'ego, który czekał po drugiej stronie ulicy, a potem ruszył za nią w wystarczająco dużej odległości, by go nie dostrzegła. Tymczasem Corentin pojechał na skrót przez zatłoczone boczne uliczki. W momencie kiedy Sophie poprosiła jakiegoś młodego człowieka, żeby ją podwiózł, i wsiadła do jego samochodu, Thierry wskoczył do audi i obydwaj zabójcy bez trudu podążyli za nią.

Max stał za dwoma przednimi siedzeniami i wyglądał na drogę przez przednią szybę. Bobby prowadził furgonetkę, jadąc z dozwoloną prędkością w kierunku granicy hiszpańskiej. Pea-ches siedziała na fotelu pasażera, jak zwykle z podwiniętymi nogami. Miała w uszach słuchawki iPoda i słuchała muzyki z zamkniętymi oczami, mamrocząc coś bezgłośnie, całkowicie odcięta - też jak zwykle - od realnego świata. Skręcili z autostrady A63 południowym zjazdem na St Jean de Luz i wjechali na węższą, krętą szosę D912, którą mieli nadzieję dotrzeć do Cha-teau d'Antoine d'Abbadie. Max odczuwał niepokój. Nie tylko z tego powodu, że był uzależniony od Bobby'ego w kwestii schronienia i transportu - co pomimo całej wdzięczności nieco

go irytowało, gdyż wolałby polegać wyłącznie na sobie - lecz także dlatego, iż młody Amerykanin nie zadawał żadnych pytań. Ani w Pau, gdy Max zadzwonił do niego, prosząc o pomoc przy akcji w szpitalu, ani później, podczas jazdy w góry do azylu Za-bali, ani ostatnio, gdy Max i Sophie zjawili się w rezydencji jego babki. Również dzisiaj rano Bobby, o nic nie pytając, zaproponował, że zawiezie ich do Chateau d'Antoine d'Abbadie. Czy nie byłoby czymś naturalnym zapytać

przynajmniej o to, w co można się wplątać?

Gdy zbliżali się do przedmieść Hendaye, Bobby zwolnił.

- Orientujesz się, gdzie mniej więcej stoi ta rezydencja? Dozorca nie potrafił mi udzielić żadnej wskazówki. Prawdopodobnie przez całe życie nie wyściubił nosa poza rodzinne miasto -powiedział do Maksa.
- Hrabina mówiła, że nie ma tam żadnej tablicy, ale powinniśmy wypatrywać miejsca, gdzie można zawrócić. Rezydencja będzie gdzieś niedaleko po prawej.

Bobby się skrzywił.

- Muszę ci coś wyznać - rzekł.

Max czekał w milczeniu, zastanawiając się, czy to, co usłyszy, potwierdzi jego podejrzenia.

Amerikanin uśmiechnął się z zakłopotaniem.

- Ona wcale nie jest hrabiną. Była gospodynią hrabiny, do póki ta nie umarła przed dwudziestu laty, zostawiając jej dom i wszystkie długi. Od tego czasu moja babka wyprzedaje meble i użera się z wierzycielami. Jest trochę zbzikowana. Uważa się za hrabinę, ale ma złote serce i za nic w świecie nie chciałbym przy spojrzeć jej dodatkowych kłopotów. Tymczasem wydaje mi się, że sprawa, w którą się wplątałeś, zaczyna się coraz bardziej komplikować. Byłbym wdzięczny, gdybyś zechciał mi cokolwiek o niej powiedzieć.

Umysł Maksa pracował na najwyższych obrotach, przywołując wypadki minionych dwóch tygodni. Czy właśnie o to chodziło?

Czy Bobby w końcu postanowił się odsłonić? Czy mógł być wmieszany w któreś z niedawnych zająć?

Ez ibure ere fida - eheke hari ere. „Nie ufaj nikomu - oni cię zabiją”.

Jednak Max nie potrafił uwierzyć we współdziałanie chłopaka w którymkolwiek z ostatnich groźnych wydarzeń. Z drugiej strony czarne audi przyjechało pod szpital w Pau tuż po młodym Amerykaninie. Czy był to przypadek? A górską chatą Zabali? Bobby podwiózł go wówczas w nocy do tej doliny, a wkrótce potem...

Chłopiec poczuł w żołądku skurcz niepokoju. Sophie zjawiła się tam następnego dnia. Czy to możliwe, że ci dwoje byli w zмовie? To wszystko trzymało się kupy.

„Nie! - wrzasnął na Maksa jego umysł. - To idiotyzm, paranoja! Nieufanie nikomu jest jak zapadanie się w mentalne grzęzawisko. Podejrzliwość i lęk dławią i zatapiają wszelkie racjonalne myślenie. Nie!”.

Mimowolnie potrząsnął głową w reakcji na swoje myśli.

- Dobrze, zatem jeśli nie chcesz, nic nie mów - rzekł Amerykanin, mylnie odczytując ten gest.
- Nie, masz rację, Bobby. Nie powinienem nikogo w to wciągać. Sprawa jest bardzo poważna, a jeśli nie chcę cię w nią wtajemniczać, to tylko dlatego, żeby ci nie zaszkodzić. Gdy dotrzemy do rezydencji Antoine'a d'Abbadie, obaj z Sayidem uwolnimy cię od naszego towarzystwa. Mogę ci powiedzieć tylko tyle, że muszę coś znaleźć - choć prawdę mówiąc, na razie nie bardzo wiem, czego szukam. Daję ci słowo, że nigdy nie wyrządziłbym krzywdy tobie ani twojej babce bez względu na to, za kogo się uważa.
- To super - odparł Bobby. Nachylił się nad deską rozdzielczą, wziął

swoją komórkę i podał ją Maksowi. - Może ci się przyda, a ja mam drugą. Skrót do mnie jest przez jedynekę.

- Dzięki - rzekł Max zaskoczony hojnym podarunkiem. Amerykanin skwitował sprawę niedbałym skinieniem głowy. -

134

Tutaj - powiedział do Bobby'ego, wskazując zakręt. - Jesteśmy na miejscu.

Marzenie młodego kierowcy o umówieniu się na randkę z tą śliczną dziewczyną prysło już po pięciu minutach, gdy Sophie wyskoczyła z jego samochodu, przepaszając i usprawiedliwiając się, że jest spóźniona na spotkanie ze swoim chłopakiem. Kłamstwo przyszło jej bez trudu. Kierowca wzruszył ramionami. Takie jest życie - ale mogłoby być piękniejsze, gdyby ślicznotka z nim została.

Sophie wybrała najbezpieczniejszą drogę do domu, która wymagała jednak pokonania bramy zwieńczonej drutem kolczastym. Chwyliła mocno jej wspornik, odbiła się energicznie, przerzuciła biodra nad drutem, przekręciła się w powietrzu i wylądowała po drugiej stronie na obie nogi, płasko i równo -nie na palce, gdyż wówczas upadłaby do przodu, ani nie na pięty, co groziłoby urazem kręgosłupa. Dokonała tego lekko i swobodnie. Potem niemal bezszelestnie wbiegła do rezydencji.

- Gdzie jest Max? - rzuciła.
- Nie mogę ci powiedzieć - odparła hrabina Villeneuve, przyglądając się dziewczynie, która sprawiała wrażenie mocno wzburzonej.
- Proszę posłuchać, hrabino - rzekła z naciskiem Sophie. - To nie jest zwykły przypadek niesfornego piętnastolatka, który uciekł z domu. Max wdał się w naprawdę bardzo niebezpieczną sprawę.

- On postępuje tak, jakby był dużo starszy. Widział już śmierć i poznał gorycz utraty. W takiej sytuacji chłopcy wcześniej dorosną - powiedziała hrabina i znów spojrzała na dziewczynę, której oliwkowa cera pociemniała teraz od gniewu.

Sophie ściągnęła z głowy czapkę, przeczesła dłonią włosy i usiadła naprzeciw starej kobiety.

- To bardzo niebezpieczne - powtórzyła bezradnie.

135

- Dla kogo? - spytała hrabina beznamiętnie, bez cienia podejrzliwości ani przebiegłości, zastanawiając się, czy dziewczyna odpowie szczerze na to proste pytanie.

- Dla każdego, kto go zna - odparła Sophie.

Hrabina nie wiedziała, czy może zaufać dziewczynie. Jej migdałowe oczy miały nieprzenikniony wyraz, a stara kobieta przywykła oceniać ludzi po ich spojrzeniu. Między niebem a morzem zawisła szara chmura i w pokoju pociemniało. Rozproszone światło obrysowało cienką linią ciało Sophie. Hrabina przyglądała się, jak wokół dziewczyny zawirował rwący strumień barwnej energii, niewidoczny dla zwykłych oczu, a dostrzegalny tylko dla ludzi mających dar widzenia. Sophie była zrozpaczona, choć świetnie to ukrywała. Hrabina odbierała również jej ból i żal, a także lęk - wywołany nie przyczyną fizyczną, lecz emocjonalną niepewnością.

Podczas gdy szeroka i niezmacona aura otaczająca Maksa symbolizowała jego siłę i zdrowie, aura Sophie była pęknięta, a potężna energia zakręcona mocno jak pokrywka na słoiku. Z jej drżącego eterycznego ciała strzelały wąskie promienie czerwonego światła, niczym

plamy na słońcu wybuchające z jego ognistej powierzchni. Widok sprzecznych emocji targających tą dziewczyną sprawił, że hrabina mimo woli cicho jęknęła.

Sophie Favre albo była zakochana w Maksie Gordonie, albo chciała go zabić.

Wjazd do Chateau d'Antoine d'Abbadie był niepozorny i przejeżdżający tędy kierowcy z łatwością mogli go przeoczyć. Nie stały tam żadne wielkie reklamowe billboardy przykuwające wzrok podróżnych, a z szosy nie było widać rezydencji. Bobby podjechał wolno pod baldachim drzew rosnących wzdłuż wąskiej asfaltowej drogi. Po prawej, w odległości mniej więcej stu metrów, znajdował się parking ogrodzony matami z włókna kokosowego. Stał na nim tylko jeden samochód, a nieco dalej

136

Max dostrzegł dwoje turystów w średnim wieku stojących przy ścianie budynku z szarego kamienia. Musiało tam być wejście.

- Zaczekajcie tutaj. Pójdę się upewnić, że trafiliśmy we właściwe miejsce.

Nawet nagie o tej porze roku gałęzie drzew zasłaniały budowlę, ale teraz Max mógł dojrzeć jej zarys. Kamienne ściany wieńczył dach z czarnego łupku. Budynek nie był zbyt duży, ale wyglądał jak niewielki średniowieczny zamek. Na tyłach miał kilka bastionów wysokich na niemal trzy piętra, natomiast od frontu bardziej przypominał typową francuską rezydencję. Maksowi przyszło na myśl, że ten cały d'Abbadie musiał się świetnie bawić podczas budowy, gdyż całość przywodziła na myśl dziewiętnastowieczną wersję zamków disneyowskich. Zarazem była

odrobinę niesamowita i przyprawiała patrzącego o gęsią skórkę. Z rogów budynku spoglądały w dół na Maksa gargulce w kształcie chimer skrzywionych w gniewnym grymasie czy może w uśmiechu - nie potrafił tego ocenić. Były mitycznymi odpowiednikami złych psów podwórzowych i niemym warczeniem wzbraniały wstępu.

Para niemieckich turystów w średnim wieku podeszła do swojego samochodu i oglądała rozłożoną mapę, zapewne czekając na otwarcie rezydencji dla zwiedzających. Max okrążył budynek i nagle stanął jak wryty. Z wysokiej ściany budowli patrzyła na niego wyrzeźbiona w kamieniu olbrzymia anakonda. Łeb węża był wzniesiony w górę, a skrócone w kształt litery S ciało z ogonem w ósemkę zdawało się więc jak żywe. Maksowi serce zabiło mocno, gdy uświadomił sobie, że w tym miejscu znajduje się klucz do rozwiązania zagadki śmierci Zabali. Przeszedł jeszcze kilka metrów, dotarł do frontu budynku i zlokalizował miejsce, którego fragment widział wcześniej na zdjęciu znalezionym w chacie mnicha. Osiem stopni frontowych schodów, szerokich u podstawy, a wąskich u szczytu, prowadziło do nabijanych ćwiekami dwuskrzydłowych drzwi pomalowanych

137

na czerwono. Wierzchołek obciętego na fotografii gotyckiego łuku wspierał rzeźbę przedstawiającą tarczę i miecz; wokół jego głowni owijał się kolejny wąż. Wejście ocieniały trzy drzewa palmowe.

Po obydwu stronach schodów biegły niskie balustrady, a na każdej leżał wyrzeźbiony krokodyl, wpatrując się ślepym wzrokiem w Maksa. Stwory miały ogony zawinięte w górę w kierunku drzwi oraz rozwarte paszcze, a

przednie łapy wepchnięte w kamienne poręcze, jakby szykowały się do skoku.

Chłopiec zacisnął szczęki mocno, aż do bólu. W przeszłości doświadczył już ataku krokodyli, a te tutaj wyglądały jak żywe i przyprawiły go o drżenie. Kiedyś tata zabrał go na wycieczkę do egipskich grobowców. W starożytnym Egipcie krokodyle były otaczane czcią i należały do panteonu bogów. Max przypomniał sobie, że bóstwo o ciele krokodyla nosiło imię Sorbek. Wierzono, że wyłoniło się ono z Ciemnej Wody, aby stworzyć świat; ponadto strzegło umarłych. Tutaj dwa kamienne krokodyle strzegły bramy do ukrytego świata.

Chłopak przeszedł pomiędzy nimi do wejścia, niemal oczekując, że ożyją i rzucą się na niego. Jednak uwięzione w kamieniu bestie leżały nieruchome i milczące, gdy zbliżał się do tej świątyni wiedzy i poznania.

Kiedy na nie patrzył, przypomniał sobie wyraziście fotografię z chaty Zabali. Dwaj uśmiechnięci mężczyźni stojący przed dwudziestu laty ramię w ramię. Dwaj przyjaciele rozdzieleni przez tajemnicę, której rozwiązanie znajdowało się wewnątrz rezydencji.

11

- Płaci się dodatkowo za zwiedzanie z przewodnikiem, którego nie potrzebujemy, a bilet jest prawie o połowę tańszy dla osób poniżej trzynastego roku życia - powiedział Max do Sa-yida, pchając jego wózek w kierunku wejścia. Furgonetka włączyła się do ruchu na

nadbrzeżnej szosie i zniknęła im z oczu. Wcześniej Bobby obiecał, że wróci po nich za kilka godzin, kiedy wezwą go przez komórkę. - Toteż jeśli ktoś zapyta cię o wiek, odpowiedz, że nie skończyłeś jeszcze trzynastu lat. Mnie by nie uwierzono, ale tobie tak - dodał Gordon.

- Sądziłem, że wyglądam na starszego - skrzywił się Sayid.

- Nie. Tak naprawdę wyglądasz na dziesięciolatka.

- Dziesięciolatka!

Max roześmiał się.

- No, w każdym razie zachowujesz się jak dziesięcioletek.

A teraz się zamknij, a jeżeli ktoś cię zagadnie, staraj się wyglądać na debila. To nie powinno sprawić ci zbytnej trudności.

Przez małe okienko obok drzwi wejściowych widać było gabinet. Siedział w nim mężczyzna w średnim wieku, który jeszcze przed chwilą myślał jedynie o pójściu do domu na rybną kolację przygotowaną przez żonę. Teraz jednak wpatrywał się z bolesnym osłupieniem w jasnowłosego chłopca, który usiłował wciągnąć po schodach na górę drugiego nastolatka siedzącego w wózku inwalidzkim. Mężczyzna uznał, że nie warto proponować

pomocy i ryzykować nadwężenia kręgosłupa, zwłaszcza że chłopak wyglądał na silnego. Ale jak oni zamierzali zwiedzić rezydencję z tym wózkiem?

- To miejsce nie jest zbyt dobrze przystosowane dla niepełnosprawnych na wózkach - skrzywił się Sayid, gdy Max wciągał koła na kolejny stopień.

•Owszem, ale mam nadzieję, że pomoże nam to później nabrać tego gościa. Zabawimy tu trochę czasu. Mam pewien plan.

Sayid popatrzył na przyjaciela, który odpowiedział mu pokrzepiającym uśmiechem. Plany Gordona zazwyczaj oznaczały kłopoty. Przed chwilą oznajmił kumpłowi, że nie chce zostać na zewnątrz - ale wiedział, że będzie musiał zdobyć się na odwagę, co może okazać się trudne.

Max uśmiechnął się do pary niemieckich turystów, którzy również wchodzili na górę i znajdowali się w połowie schodów.

- *Bitte?* - zawołał cicho do tęgiego mężczyzny, którego oblicze rozjaśniło się, kiedy usłyszał prośbę o pomoc wypowiedzianą w jego ojczystym języku.

Natychmiast zbiegł kilka stopni do Maksa i zastąpił go przy wciąganiu wózka po schodach.

Max słabo znał niemiecki - lepiej szło mu rozumienie niż mówienie - ale miał dobry akcent, a ograniczony zasób słów wystarczał mu, żeby się dogadać. Niemiecki turysta zaczął coś szybko mówić. Max chwycił jedynie co trzecie słowo, ale pospiesznie zapewnił go, że wszystko jest w porządku:

- *Alles ist in ordnung.*

Gdy dotarli do dwuskrzydłych drzwi wejściowych, sprawiali wrażenie, że znają się od lat. Max właśnie na to liczył. Bileter uznał, że cała grupka wchodzi razem, i nie zauważył zmiętych banknotów w dłoni chłopca.

Max jęknął. Usłyszawszy to, Niemiec odwrócił się szybko i spytał:

- *Was? Was ist los?*

Gdy chłopak ze smutkiem potrząsnął głową i zrobił minę oznaczającą, że zabrakło mu pieniędzy na bilet, Niemiec wydawał się zatroskany. Machnął niedbale ręką, odwrócił się do biletera i wyjaśnił mu na migi, że płaci za wszystkich.

Sayid popatrzył z podziwem na przyjaciela. Ale spryciarz! Jakim cudem Maksowi takie rzeczy uchodzą na sucho? Bileter z uśmiechem wprowadził całą niemiecką rodzinę do środka. Max wytłumaczył Niemcowi, że mogą zwiedzić rezydencję sami, bez przewodnika - *Unbegleitet*. Dodał też, że z radością pomoże we wszystkim, w czym zdoła.

Bileter, pragnąc zrekompensować swoje poprzednie zachowanie, a także ochronić posadzki, poręcze i ściany od zarysowania, zgodził się na zostawienie inwalidzkiego wózka w holu wejściowym. Max wtoczył go w jakiś ciemny kąt, a Sayid ruszył dalej o kulach. Wózek miał jeszcze później odegrać pewną rolę w ich planie.

Czarne ściany z glazurowanymi płytkami, bogato zdobionymi jasnobłękitnymi i złotymi wzorami, upodabniały rezydencję do miniaturowego pałacu królewskiego. Max starał się przybrać pełną podziwu minę, gdy Niemiec, zaglądając do swojego przewodnika turystycznego, oznajmił, że kaplica, którą właśnie oglądają, służyła jako miejsce do rozmyślań uczonemu astronomowi Antoine'owi d'Abbadie, zmarłemu w Paryżu w 1897 roku, i jego żonie oraz że oboje leżą pogrzebani w krypcie pod ołtarzem.

Max spostrzegł, że bileter wrócił do swego pomieszczenia. Podziękował więc Niemcowi za wyjaśnienia i ostrożnie poprowadził przyjaciela w kierunku następnej sali.

- Chodź, Sayid - powiedział. - Musimy obejść to muzeum

szybciej niż zwykli turyści.

Sayid dobrze się już wyćwiczył w chodzeniu o kulach, więc szybko ruszył naprzód.

- O rety! - zaśmiał się Max. - Zaczekaj, nie mogę za tobą na dążyć.

141

Oczywiście nie była to prawda, ale chciał przekonać przyjaciela, że nie jest zawadą w tym przedsięwzięciu, jak zapewne sądził.

- Od czego zaczniemy? - spytał rzeczowo Sayid.
- Jeszcze nie wiem. Chyba najpierw sprawdzimy parter. Jest tu mnóstwo eksponatów z Etiopii - rzekł Max, kiedy mijali wielkie malowidła przedstawiające starożytną Abisynię. - Zaba-la pracował tutaj przez Bóg wie ile lat, a to może coś oznaczać.

Weszli do jakiejś sypialni o tak olśniewająco bogatym wystroju, że stojące w niej łóże z czterema kolumnkami wydało się im niewielkie. Na obitych cienkim płótnem ścianach wiły się arabskie litery.

- Co tam jest napisane? - zapytał Max.

Sayid przyjrzał się subtelnie wykaligrafowanym słowom.

- Eee... nie jestem pewien. Coś o... Czekaj, to stare arabskie przysłowie, które często powtarzał mój tata: „Nigdy nie wrzucaj kamieni do własnej studni”.

Max zrobił skonsternowaną minę. Sayid wzruszył ramionami i dorzucił:

- Wydaje mi się, że właśnie tak brzmi ten napis. Co to może znaczyć?
- Może coś w rodzaju: „Nie rób niczego głupiego w pobliżu swojego domu, bo obróci się to przeciwko tobie”. Albo: „Upewnij się, że jesteś

podłączony do sieci wodociągowej". Skąd mam wiedzieć?! - Max wzruszył ramionami.

- Przecież szukasz ukrytych wskazówek!

- Ale to na pewno nie jest jedna z nich - rzekł stanowczo Gordon. - Chodźmy dalej.

Ruszył szybko do następnej sali. Rozejrzał się ostrożnie, ale nigdzie nie dostrzegł francuskiego biletera. Nie słyszał też dwojga niemieckich turystów, ale kiedy wyjrzał przez okno na parking, zobaczył, że ich auto wciąż tam stoi.

„I dobrze” - pomyślał.

142

To oznaczało, że na razie nie musi jeszcze robić tego, co zaplanował. Wszedł do sali jadalnej. Na ścianach pokrytych niemal na wysokość człowieka drewnianymi boazeriami wisiały bawole skóry oraz tarcza herbowa rodziny d'Abbadie z wyrytym łacińskim mottem.

- Co ono znaczy? - chciał wiedzieć Sayid.

- „Zycie jest tylko ulotnym dymem” - przetłumaczył Max.

Sentencja natychmiast przywiodła mu na myśl jego afrykańskiego przyjaciela - buszmeńskiego chłopca, którego lud wierzył, że życie jest jedynie snem, z którego obudzimy się pewnego dnia, by znaleźć się w prawdziwym świecie.

- Myślisz, że to jakaś ważna wskazówka? - pytał Sayid. -Znaleźliśmy już łacińskie przysłowie i arabskie wersy. To może coś znaczyć.

- Jest jeszcze to - powiedział Max, wskazując oparcia krzeseł stojących wokół wielkiego intarsjowanego stołu. Były pokryte zielonym

aksamitem, a na każdym widniała jedna arabska litera. - Co to jest?

•Nie jestem pewien.

•Jak to? Nagle zapomniałeś arabskiego pisma?

•To język amharyjski, czyli etiopski - powiedział Niemiec po angielsku.

Stał w drzwiach i uśmiechnął się, gdy Max odwrócił się do niego błyskawicznie. Gordon instynktownie zwiększył czujność. Kiedy zostawił tę parę turystów w kaplicy, zakładał, że będą kontynuowali zwiedzanie po tamtej stronie rezydencji. Był też przekonany, że usłyszy nawet najcichszy odgłos kroków w holu czy na korytarzu. Dlaczego Niemiec zakradł się tak bezszelestnie? Być może Max był zbyt zaaferowany rozmową z Sayidem na temat tych wszystkich inskrypcji w rozmaitych językach.

- Domyśliłem się, że jesteś Anglikiem, chociaż masz dobry niemiecki akcent - powiedział tęgi mężczyzna, wciąż uśmiechając się do Maksa. Wskazał przewodnik poświęcony rezydencji.

143

- Jeśli ułoży się te litery na krzesłach we właściwej kolejności, utworzą ostrzeżenie: „Niech zdrajcy nigdy nie siadają przy tym stole”. - Obdarzył obydwu chłopców kolejnym uśmiechem. -Życzę miłego zwiedzania - rzekł i dołączył do żony czekającej na korytarzu.

Sayid opadł na jedno z krzeseł, potarł bolącą nogę i powiedział:

- To, że zdrajcy nie byli mile widziani przy żarciu, może coś znaczyć.

Max potrząsnął przecząco głową.

- To wszystko tylko dekoracje niemające żadnego związku z tym, czego szukamy. Jeżeli Zabala pracował tutaj przez tyle lat,

z pewnością zajmował się pracą naukową. Na piętrze jest biblioteka i obserwatorium astronomiczne.

Wyjrzał ostrożnie na korytarz. Niemiecka para zwiedzała już inne sale. Chłopcy skręcili w główny korytarz, skąd prowadziły w górę schody z drewnianą rzeźbioną poręczą.

- Chodź tu. - Max skinął na Sayida. - Będę musiał wnieść cię na barana.

Przyjaciół wgramolił mu się na plecy. Max zaczął wchodzić po schodach, napinając ścięgna i mięśnie pod dodatkowym ciężarem. Jednak szedł lekko, gdyż świadomość, że zbliża się do miejsca, w którym Zabala spędził swoje pracowite życie, dodawała mu sił.

Na podeście wisiały wielkie malowidła przedstawiające etiopskich wodzów plemiennych odzianych w białe szaty. Towarzyszyły im oddziały włóczników, a w tle widniało ciemnobłękitne niebo. Olśniewające bogactwo wystroju rezydencji odbiegało uderzająco od surowej prostoty górskiej chaty Zabali. Max przypomniał sobie, że Zabala został zakonikiem dopiero po porzuceniu tutejszej pracy, kiedy nie zdołał nikogo przekonać, że wkrótce wydarzy się jakiś straszliwy kataklizm. Po śmierci Antoine'a d'Abbadie jego rezydencję przejęła Akademia Nauk,

toteż gdy Zabali nie udało się dowieść, że Lucyfer - kimkolwiek był - wywoła ogólnoswiatową katastrofę, zwróciła się przeciwko niemu cała francuska społeczność naukowa. A jednak tego baskijskiego outsidera, człowieka złamanego niepowodzeniem, w końcu zamordowano, gdyż widocznie jego przepowiednia miała mimo wszystko jakąś wartość. Kto

skorzystał na tym, że teoria Zabali została zdyskredytowana i nie zyskała rozgłosu?

Ciemne drewno boazerii wchłaniało blednące światło zmierzchu. Krzywe cienie wydłużały się na ścianach obwieszonych krzywymi arabskimi szablami i tarczami, które niegdyś nosili afrykańscy wojownicy. Głowy antylop zdobiące ściany jako trofea myśliwskie wpatrywały się pustym wzrokiem szklanych ślepi w komnaty tego neogotyckiego zamku, jakiego nie widziały nigdy za życia w swym naturalnym otoczeniu.

Max poczuł się nagle obezwładniony otaczającymi go zewsząd malowidłami i zdobieniami. Jaskrawe barwy ścian i sufitów przygnębiały go niczym pokryta makijażem twarz klauna ukrywająca pod namalowanym uśmiechem smutek i ból.

Chłopcy skręcili za róg i znaleźli się w następnej sali.

- O rany! - zawołał zdumiony Sayid.

Długi solidny stół stał na podłodze z gołych desek pośrodku pokoju, w którym znajdowały się jeszcze resztki aparatury naukowej oraz stara maszyna do pisania. Mapy, skoroszyty i kartonowe teczki leżały w równych stosach na specjalnie przystosowanych regałach sięgających od podłogi do sufitu. Zgromadzono tutaj dzieło całego życia badacza. Mrok spływający z niemal czarnych belek stropu krył najwyższe półki wypełnione ciasno książkami. Było to miejsce wprost idealnie nadające się dla uczonego, który pragnął pozostać w odosobnieniu i poświęcić się bez reszty zawiłym dociekaniom. Nie było tu żadnych zbędnych ozdób -wyglądało na to, że Max i Sayid dotarli do prawdziwego serca tej rezydencji. Czy to właśnie tu znajdował się klucz do sekretu Zabali?

Wokół sali w połowie wysokości biegła galeryjka podtrzymywana przez łukowate żeliwne podpory. U szczytu przeciwległej ściany, czyli około sześciu metrów od podłogi, widniał napis z bladozłotych liter na czarnym tle. Był w języku baskijskim i Max nie miał pojęcia, co oznacza.

Ale kochał książki - a także mapy i w ogóle wszystko, co opowiada o innych odległych krainach. Również księgi locji, ukazujące rafy, piaszczyste wybrzeża oraz pływy i ostrzegające o niebezpiecznych rejonach. Niemal czuł unoszący się z nich zapach przygody. Tutaj jednak miał niepowtarzalną możliwość zerknięcia spoza zasłony na życie niezwykłego człowieka.

Wiedział, że tata mógłby spędzić w tym pokoju wiele lat na studiowaniu dokumentów spisanych przez Antoine'a d'Abbadie. Chłopiec przesunął palcami po grzbietach książek. Usłyszał cichy szum regulatora nawilżania powietrza umieszczonego w kącie sali. Tak, to miało sens. Zaledwie niecały kilometr stąd leżało baskijskie wybrzeże z jego niszczycielską dla papieru wilgotnością. Te książki można było albo spakować i wywieźć do jakiejś zwykłej miejskiej biblioteki, albo pozwolić, żeby zostały tutaj, gdzie było ich miejsce. Był to rodzaj hołdu złożonego dorobkowi jednego człowieka, który pragnął badać świat i ludzi, gwiazdy i planety - a także jego marzeniu o zamieszkaniu we współczesnej kopii średniowiecznego zamku.

Z tego, co Max się zorientował, niższe półki mieściły głównie publikacje z dziedziny astronomii. Kartonowe teczki były zawinięte w mocny, gruby, brązowy papier. Dotknął ich brzegów, a potem wyjął jedną z półki i położył na stole.

- Sayid, wyjmij inną - polecił. - Sprzed mniej więcej dwudziestu lat, czyli z okresu tuż po rezygnacji Zabali z pracy.

Teczka była ciężka i zawierała wielkie nieporęczne arkusze papieru. Ręka Maksu zawisała nad zawiłymi wykresami. To był atlas nieba. Linie przecinały się, gwiazdy były oznaczone cyframi, a niektóre literami; pewne obszary zostały zaprezentowane

146

w powiększeniu, z podanymi wielkościami kosmicznymi. Na ile Max mógł się zorientować, atlas przedstawiał panoramę Galaktyki. Przekartkował go pospiesznie. Nie znalazł niczego, co choćby przypominało nazwisko Zabala.

- Brakuje tych teczek - oznajmił Sayid.
- Co? - Max podszedł do przyjaciela, który kuśtykał przy szerokich półkach - jedynych, które mogły pomieścić mapy nieba.
- Są tu luki, także w dawniejszych latach. Spójrz. - Sayid wskazał jedną z teczek. - Rok 1904, a potem od razu 1927 i tak dalej. Jak długo Zabala tu pracował?
- Nie mam pojęcia.
- No cóż, jeśli przez - powiedzmy - dziesięć lub piętnaście lat, aż do okresu przed dwudziestu laty... W takim razie brakuje całej ogromnej partii teczek!

To było możliwe. Jeśli Zabala ogłosił publicznie swoją teorię, po czym nie udało mu się jej udowodnić, i postawił swoich kolegów naukowców w kłopotliwym położeniu, narażając ich na drwiny, to mogli ukryć wyniki jego badań lub co gorsza, zniszczyć je.

- Zobacz, czy jest jakaś książka lub inna publikacja, gdzie by łooby nazwisko któregoś z tutejszych naukowców - polecił Max przyjacielowi. - Muszę coś sprawdzić.

Odruchowo spojrzął na swój przegub, ale przecież zegarek ojca zaginał. Poczul ukłucie żalu, jednak natychmiast zdusił je w sobie.

- Sayid, która godzina? - zapytał.

- Dochodzi czwarta trzydzieści. Muzeum zamykają o piątej.

Max skinął głową i szybko wszedł na podest schodów. Wyjrzawszy przez okno, zobaczył, że samochód Niemców już odjechał. Podbiegł do innego okna, z widokiem na pola ciągnące się aż do wybrzeża, i ujrzał, że bileter zamyka małą ogrodową furtkę, za którą ciągnęła się ścieżka biegnąca w stronę nadmorskich klifów.

147

Z tupotem zbiegł po schodach do holu wejściowego i rzucił okiem na biuro biletera. Było puste, ale na haku wisiał jego wytarty czarny anorak, co oznaczało, że Francuz prawdopodobnie dokonuje rutynowego obchodu muzeum i wkrótce wróci.

Popchnął wózek Sayida przez korytarz, wtoczył go do kaplicy, a potem złożył i ukrył za drzwiami. Było prawdopodobne, że Francuz obejdzie wszystkie sale rezydencji, zanim zamknie ją na noc. Jednak nawet jeśli wejdzie do kaplicy, nie dostrzeże wózka.

I jeśli chłopcom dopisze szczęście, bileter zauważy zniknięcie samochodu turystów oraz wózka Sayida i uwierzy, że cała niemiecka rodzina już odjechała.

Max wbiegł sprintem z powrotem po schodach, przeskakując po dwa

stopnie, dotarł do Sayida, nachylił się do niego i powiedział możliwie jak najciszej:

- Powiedz mi, kiedy będzie za kwadrans piąta. Znalazłeś coś?

Przed Sayidem leżała na stole książka w oprawie z wytłacza nej skóry obok jakichś zrolowanych arkuszy.

- Znalazłem nazwisko Zabala - oznajmił z uśmiechem. - Nie natrafiłem na żaden rejestr, ale pomyślałem, że ci uczeni nie zre zygnują ze swojej odrobiny sławy i nie wyrzucą niczego, co bę dzie zawierać ich fotografie. - Otworzył wielką księgę. - Są tu różne zdjęcia naukowców, którzy pracowali w tym miejscu aż do lat siedemdziesiątych. Potem chyba je zamknięto.

Wskazał na zdjęcie grupowe. Podpisano je drobnymi literkami, ale Max zdołał odcyfrować nazwisko Zabali. Mężczyźni byli upozowani w dwóch rzędach - ci na przedzie siedzieli, a reszta stała z tyłu. Zabala, który z przyciętą brodą wyglądał bardzo podobnie jak na fotografii w wycinku z gazety, stał z ramionami założonym na piersi i fajką w zębach, uśmiechając się do aparatu.

- Ale przecież tamten wycinek pochodzi z lat osiemdziesiątych - zauważył Max.
- Dlatego przypuszczam, że po porzuceniu pracy kontynuował badania na własną rękę.

- Więc musiał mieć jakiś powód. Co znajduje się w rezyden cji? Eksponaty z Afryki, napisy w rozmaitych językach, publika cje z zakresu astronomii... - Max przypomniał sobie artykuł na

temat Zabali i dodał: - ...oraz astrologii. On łączył te dwie dziedziny. Zatem musi istnieć między tym wszystkim ukryty związek. Arabowie świetnie znali się na astronomii...

Sayid zamknął książkę i potrząsnął głową.

- Rzeczywiście, rozwijali astronomię, ponieważ pozwalała doradzać wieśniakom, kiedy stosować płodozmian, lecz astrologia była zakazana.
- No dobrze, więc może tylko astronomia stanowi wskazówkę - zgodził się Max. - To Europejczycy łączyli ją z astrologią. Jest tutaj mnóstwo materiałów na temat podróży d'Abbadiego do Afryki. Szukaj dalej - tylko cicho. A co to jest? - spytał, rozwijając leżący na stole rulon.
- Plany architektoniczne rezydencji - odparł Sayid.

Rozłożyli zwinięty ciasno arkusz. Max przyjrzał się rysunkowi przedstawiającemu rozkład pomieszczeń domostwa, szukając jakiegoś ukrytego pokoju, który ominęli albo - co bardziej prawdopodobne - który został rozmyślnie ukryty przed zwiedzającymi. - Tutaj jesteśmy - powiedział, wskazując palcem miejsce na planie. - A tu jest obserwatorium...

- Powinniśmy tam zajrzeć - wtrącił Sayid.
- Tak, wiem, ale miałem nadzieję, że to właśnie w tej sali znajdziemy jakąś przydatną wskazówkę. To tutaj są zgromadzone wszystkie zapiski. Obserwatorium nie było używane od ćwierćwiecza.

Z parteru dobiegło ich szuranie kroków. To bileter odbywał kolejny obchód, oddychając chrapliwie i kaszląc. W całej rezydencji kolejno gasły światła; zastąpiły je jarzące się słabiej lampki bezpieczeństwa oraz małe reflektorki punktowe celowo rozmieszczone tak, by oświetlały ciemne kąty sal lub podesty schodów.

Rzucane przez nie cienie wykrzywiały kształty ścian, zatapiały w mroku wielkie obrazy i nadawały pomieszczeniom niesamowity upiorny wygląd.

Max musiał się dostać do gabinetu biletera. Kiedy wchodził do budynku, zauważył skrzynkę systemu alarmowego, który należało wyłączyć, jeśli on i Sayid mieli spędzić tu następnych kilka godzin, szukając śladów.

Przykucnął na schodach i przyglądał się zza poręczy staremu Francuzowi, który wciągnął kurtkę i poszedł do drzwi, udając się na rutynowy nocny obchód terenu.

Rozległo się trzaśnięcie, jakby łamanego kija. Max miał wrażenie, że poniosło się gromkim echem w dół klatki schodowej. To Sayid!

Czy bileter coś usłyszał? Odwrócił się, ale nie spojrzał w górę, tylko poczłapał z powrotem do gabinetu, wziął ze stołu papierosy, a potem wyszedł stamtąd, zamknąwszy za sobą drzwi, i znów skierował się do głównego wejścia.

Max cicho, ale szybko wszedł po schodach.

Sayid stał nieruchomo, jakby wszedł na minę przeciwpiechotną, która eksploduje przy najlżejszym poruszeniu. Skrzywił się, gdy zobaczył Maksa wyłaniającego się z ciemnej czeluści klatki schodowej.

Na dole trzasnęły zamykane frontowe drzwi.

Max uniesionym kciukiem dał znak przyjacielowi, który skinął głową i ostrożnie ruszył do biblioteki. Następnie wyjrzał przez okno i zobaczył, że stary bileter kuśtyka powoli w kierunku bramy na końcu podjazdu. Drzwi do gabinetu nie były zamknięte na klucz. Gdy chłopiec wśliznął się do środka, poczuł unoszący się w powietrzu zastarzały zapach dymu tytoniowego.

Otworzył pokrywę skrzynki alarmowej i ujrzał rząd zwykłych przycisków z wyraźnie oznaczonym głównym wyłącznikiem.

Alarm był wyłączony. Widocznie Francuz zapomniał go uruchomić. Być może rezydencja była tak doskonale zabezpieczo-

no

na, że tak czy inaczej nikt nie zdołałby dostać się do środka. Systemy bezpieczeństwa bywają istnym utrapieniem, gdy trzeba ciągle zrywać się z ciepłego łóżka z powodu fałszywych alarmów. Niezależnie od powodu alarm wyłączono - i tylko to interesowało Maksa. Teraz obaj z Sayidem będą mogli zabrać się do pracy.

Ponownie wbiegł szybko po schodach, mijając ciemny podest. Żółtawe światło księżyca wnikało przez witrażowe okno. U szczytu schodów stał naturalnej wielkości posąg młodego etiopskiego wojownika, w milczeniu trzymającego w uniesionej ręce szklaną lampę, jakby strzegł ciemności klatki schodowej i wskazywał drogę.

„Dzięki, stary” - powiedział do niego w duchu Max.

Pogrążona w półmroku rezydencja była pełna pradawnych przedmiotów i tajemnic. Głęboką ciszę zakłócał jedynie dobiegający z biblioteki szelest przewracanych przez Sayida stronic. Max, wychodząc ze schodów na prowadzący do niej korytarz, nie miał pojęcia, że nie są tu sami.

W cieniu poniżej coś się poruszyło.

Kiedy napastnicy zaatakowali Bobby'ego Morrella, nie miał żadnych szans na obronę.

Zapadł zmierzch i księżyc w pełni wzeszedł nad horyzont. Bobby siedział na plaży przy niewielkim ognisku z kubkiem kawy w dłoni. Pokryte warstewką soli drewno strzelało jasno-błękitnym płomieniem, rozżarzone węgielki rozgrzewały kamienie paleniska, a fale z cichym sykiem leniwie omywały brzeg. Noc była chłodna. W ciągu dnia Bobby i Peaches podłapali kilka niezłych fal w pobliżu skał, ale teraz wiatr się nasilił, przeganiając chmury przez doliny i górskie szczyty. Powierzchnię morza zmarszczyły drobne fale, które odepchnęły zakotwiczoną motorówkę na dobry kilometr od brzegu. Miejscowi rybacy wyruszali na połów.

Była to malownicza scena i Bobby poczuł błogie zadowolenie. Cenił sobie samotność z wyboru, jaka jest udziałem surferów - samotne pokonywanie na snowboardzie górskiego stoku albo jazda na wzbierającej fali, której potęga może w jednej chwili cisnąć śmiałka w odmęty. Za kilka tygodni wróci do szkoły. Potem czekały go studia w college'u. A co dalej? Jeszcze nie wiedział. W istocie pragnął jedynie być sam na sam z żywiołami natury. Zrobi magisterium z zarządzania i założy wielką firmę sprzedającą przez internet sprzęt sportowy. Za pięć lat będzie mógł już ją poprowadzić za niego ktoś inny, a on znów znajdzie doskonałą falę i najwyższy szczyt.

Na całym świecie czekały na niego niezliczone fale, a górskie doliny pokryte dziewiczym śniegiem wprost prosiły się, żeby przeciął je szerokim zakosem. Życie powinno być właśnie takie proste. Bobby czuł, że jest

integralną częścią rozległej otwartej przestrzeni. Był z nią związany symbiotyczną współzależnością. I to było super. Góry i morze potrzebowały go, a on ich.

Ze szkołą nie czuł podobnego związku.

Właśnie dlatego polubił Maksa Gordona. Ten chłopak był fantastyczny, podobny do niego. Bez wahania podejmował każde wyzwanie. Dawał czadu, jak mówią Anglicy. Tak, pewnego dnia zabierze Maksa na Hawaje i pokaże prawdziwe fale na Oahu, które zmrożą mu krew w żyłach. Zimowe sztormy na Alasce tworzą olbrzymie wały wody, które przemieszczają się tysiące kilometrów, póki nie rozbiją się o północne wybrzeże Hawajów. „Och, rany, to istne potwory, które mogą cię zmiażdżyć!” -przyszło mu do głowy.

To będzie dla Maksa próba odwagi. Gigantyczne fale walą na ciebie jak pociąg ekspresowy i mają dwadzieścia metrów wysokości, a nawet więcej.

Maksowi spodoba się taka sprawa.

Bobby rozejrzał się po zatoce. Widocznie Peaches znalazła dobre fale trochę dalej i postanowiła pływać aż do zmroku. Prawdopodobnie teraz mozolnie brnie do niego przez piasek. Będzie zmarznięta, więc trzeba podsycać ogień.

Gdy księżycowa poświata zamigotała na gładkich wodach zatoki, usłyszał odległy warkot trzech lub czterech terenówek rozdierający ciszę nocy. Sprawdził swoją komórkę zaniepokojony, że przeoczył telefon od Maksa, ale nie było żadnego nieodebranego połączenia. Raptem coś wypadło z krzaków.

Bobby zerwał się na równe nogi i chwycił kawał wyrzuconego na brzeg drewna, który mógł posłużyć za broń. Ujrzał w blasku ogniska postać ze

zdeformowaną głową wzniesioną do księżyca, jakby węszyła. W rozwartych ustach przybysza szczyrzyły

153

się ostre spiczaste zęby. Z wysuniętego języka ślina ściekała na cofnięty podbródek.

- Ty pewnie jesteś Bobby - powiedział Rekinia Twarz.

Max i Sayid zdejmowali z półek biblioteki kolejne tomy i kartonowe teczki w poszukiwaniu jakiegokolwiek wskazówki. W rezultacie owych starań znaleźli jedynie kilka map, plan rezydencji i szereg roczników naukowych. Max przeglądał wyższe półki, przesuając się wzdłuż galeryjki pod baskijską inskrypcją wypisaną ozdobnymi literami na belkach nośnych stropu. Spojrzał na napis i wzruszył ramionami. Był dziedzictwem szczodrego ducha Antoine'a d'Abbadie. Zachęcał czytelników korzystających z tej biblioteki do pracy i zdobywania mądrości. Dla Maksa jednak nie miał znaczenia, gdyż nie rozumiał z niego ani słowa.

Oczy mu łzawiły. Zbyt długo przebywał w półmroku, a od przekrzywiania głowy, żeby odczytać z grzbietów książek i teczek tytuły w obcych językach, rozboleła go szyja. Jego skupienie osłabło i przeglądał papiery coraz mniej uważnie.

Nagle coś przykuło jego wzrok. Cofnął się o dwa kroki i odczytał słowa wydrapane na brzegu półki. Były bardzo małe, niewyraźne i ledwo widoczne. Wątpliwe, by ktokolwiek przed nim je dostrzegł. Chyba że przypadkiem - świadomie ich nie szukając.

Potrzebował kawałka kredy, żeby rozjaśnić zatarte litery. Tylko skąd tu

wziąć krede? Co innego może zrobić? Spojrzał w dół na Sayida, który ślęczał nad jakąś książką przy stole wspartym na kozłach, i zobaczył to, czego potrzebował. Podbiegł do końca galeryjki i zszedł na dół, modląc się w duchu, żeby ta rzecz nadal tam była.

Stara maszyna do pisania.

- Co się stało? Znalazłeś coś? - spytał Sayid, gdy Max niemal przytknął nos do zniszczonych metalowych klawiszy.
- Owszem, coś znalazłem - odparł, pospiesznie wyjmując z maszyny wyblakłą taśmę.

154

Po chwili był już z powrotem przy szczycie regału. Poślinionym palcem zwilżył wyschniętą resztkę tuszu, a potem potarł taśmą brzeg półki. Litery stały się nieco wyraźniejsze, ale nadal mógł odczytać jedynie kilka słów: *Luciferi primo cum sidere fri-gida rurar carpamus...* Było tam więcej słów, lecz zbyt wytartych, by móc je odcyfrować. Chłopiec wymamrotał pod nosem fragment inskrypcji. Lucyfer! Nareszcie!

Gdyby tylko był tu teraz pan Chaplin! Ten cichy spokojny nauczyciel z liceum w Dartmoor znalazł sposób na skupienie rozproszonej podczas lekcji uwagi Maksa, ucząc jego i pozostałych uczniów historii starożytnej Grecji i Rzymu. A ponieważ siedzibę liceum Dartmoor zbudowano w miejscu, gdzie niegdyś mieścił się bastion XX legionu rzymskiego, oznaczało to wykłady o żołnierzach i bitwach oraz naukę łaciny.

- Co tam jest? - zapytał cicho Sayid, spoglądając w górę na galerię.
- Eee... to po łacinie.

Sayid jęknął, gdyż znał mizerne zdolności przyjaciela w tym

przedmiocie.

Max ponownie przyjrzał się uważnie napisowi.

- Nie wiem - powiedział. - To ma coś wspólnego z... eee... z pośpiechem... i z porannym brzaskiem.

Potrząsnął głową, zerknął na przyjaciela i przepraszająco wzruszył ramionami.

- Tępak - rzucił Sayid.
- Mogę wymienić ci wszystkie bitwy stoczone przez XX legion. Nic nie poradzę na to, że jego żołnierze mówili po staro-włosku.
- Jednak jest tam imię Lucyfer, nie? - rzekł Sayid.
- Tak, Lucyfer - przytaknął Max.

Obejrzał książki leżące nad napisem. Za nimi była ukryta kartonowa teczka - jej wystający róg mógł przykuć dociekliwy wzrok. Max sięgnął po nią i zdjął ją z półki.

155

Zniszczony brązowy papier teczki łuszczył się jak martwa skóra. Max otworzył ją, wypadło z niej kilka kartek. Przejrzał je skwapliwie. Na pierwszej widniał ręcznie narysowany okrąg otoczony symbolami i cyframi. Wewnątrz okręgu znajdowały się cztery trójkąty rozmaitej wielkości.

U góry strony niemal nieczytelnie nagryzmołono jeszcze trzy łacińskie słowa: *Lux et veritas*.

- Są następne! - zawołał Max, schodząc do Sayida. - *Lux et veritas*. To znaczy „Światło i prawda”. Tyle wiem.

Położył arkusze papieru na stole, lecz przyjaciel miał uwagę zaprzątniętą

czym innym. Znalazł tom dokumentów.

- O rany! - zawołał. - Spójrz tylko! Znalazłem to w miejscu, gdzie ktoś wyrwał z książki nazwisko Zabali.

Położył wielkie tomiszcze na stole obok teczki odkrytej przez Maksa. Całą stronę wypełniał misterny symbol złożony z zygzakowatych linii. Przestrzeń pomiędzy liniami, które się nie stykały, tworzyła romb, a pozostałe puste miejsca były gwiazdozbiorami. To było imponujące znalezisko.

- Wiesz, co to jest? - zapytał Max.
 - Tak - odrzekł Sayid, wciąż nie odrywając oczu od rysunku.
 - Dobra, Sayid, nie spiesz się. Poczekaj sobie. Nie musisz dzielić się ze mną tym sekretem, jeśli nie chcesz.
 - Jestem po prostu trochę zaskoczony. Moi rodzice mieli albumy o sztuce islamskiej i już kiedyś widziałem coś podobnego. To jest niesamowite.
- Max popatrzył gniewnie na przyjaciela. Sayid zdawał się porażony widokiem rysunku. Obracał kartkę na różne strony, lecz bez względu na położenie wzór wyglądał zawsze identycznie.
- Powiem ci, co to jest - odezwał się w końcu, wciąż wpatrując się w skomplikowany układ linii. Max westchnął. - To boski porządek.
 - Co takiego?

- Czysta geometria. Przypuszczam, że Arabowie odziedziczyli ów wzór po Grekach, lecz go udoskonalili. Tak czy inaczej reprezentuje on ideę, że chaos wszechświata stanowi część boskiego planu. W każdym razie wydaje mi się, że właśnie to

oznacza. Ten wzór, ten diagram przedstawia chaos kosmosu w określonym porządku. Każdy szczegół jest tu niezwykle precyzyjny.

- Zgubiłem się - oświadczył Max.

Jego umysł pracował gorączkowo.

W trakcie wspólnych wypraw tata nauczył go bardzo wielu rzeczy, lecz wyjaśnienia Sayida z niczym mu się nie kojarzyły. Wiedział, że starożytni Grecy uczyli się od Egipcjan i Babiloń-czyków i że Hindusi oraz Arabowie doprowadzili do doskonałości astronomię i matematykę, ale jaki był między tym wszystkim związek? Czy coś, co usłyszał od taty, pomoże mu rozwikłać tę zagadkę?

Myśl o ojcu, który samotnie zmagał się z chorobą, boleśnie przeszła mu serce. Jego tata jest niepokonany, silny, śmiały i bystry.

Chłopiec odsunął od siebie te rozmyślenia. Nie ma sensu teraz tego rozpamiętywać. Ale przypomniał sobie opowieści ojca o greckich mistrzach. Starożytne krwawe zbrojne konflikty fascynowały Maksa, który razem z ojcem zwiedził pola wielu antycznych bitew. Było to w okresie, kiedy nie potrafił usiedzieć spokojnie w liceum Dartmoor.

Tak więc tata opowiadał mu rozmaite historie. Podczas wędrówek w upale po Grecji do miejsc, gdzie oddali życie starożytni wojownicy, wyjaśnił mu, jak za pomocą geometrii ludzie przez tysiące lat budowali potężne maszyny oblężnicze. W ten sposób poprzez tętniące życiem opowieści pomagał mu skoncentrować się podczas późniejszych lekcji w Dartmoor, kiedy przedmiot wymagał raczej skupienia umysłu niż swobodnej gry wyobraźni.

Max miał trudności w szkole. Śmierć mamy była dla niego wstrząsem. Tłumił w sobie głęboki ból i żal i czasami z trudem przychodziło mu zrozumienie nawet najbardziej podstawowych elementów geometrii - na przykład tego, że kwadrat przeciw-prostokątnej trójkąta jest równy sumie kwadratów przyprostokątnych. Toteż ojciec opowiedział mu o Pitagorasie - znakomitym greckim matematykiem, wegetarianinem i mistykiem, który wierzył, że dzięki geometrii odkryje tajemnice wszechświata. Tak, tajemnice wszechświata. A teraz Sayid powiedział mu, że znaleziony rysunek oznacza dokładnie to samo.

- Moim zdaniem to, iż on znajdował się w tej książce, nie stanowi jeszcze istotnej wskazówki - rzekł Max. - Ale być może mówi nam, że Zabala szukał czegoś, co wiązało się z astrologią lub astronomią, i do rozwiązania zagadki wykorzystywał właśnie geometrię.

Max wyjął z kartonowej teczeki drugą kartkę. Były na niej cyfry ułożone w pięciu rzędach i pięciu kolumnach. Oprócz tego u góry było napisane słowo, symbol matematyczny i liczba: „Mars = 65”.

- Mars równa się sześćdziesiąt pięć - przeczytał na głos Max. - Co to może znaczyć?
- Mars jest symbolem wojny.
- Wiem, stary. Ale on nie ma sześćdziesięciu pięciu lat, prawda? Ani nie mieszka w alei Akacjowej pod numerem sześćdziesiątym piątym.
- Po prostu się zastanawiam. Nie musisz mi dogryzać. Ostatecznie to ja w zeszłym roku pomogłem ci zdać egzamin z matematyki, pamiętasz? Ten twój szalony mnich musiał włożyć tu tę kartkę z jakiegoś powodu.

- Wcale nie był szalony. Był naukowcem, a to jest jego kolejna wskazówka dla nas - powiedział Max.

Przyjrzał się uważnie liczbom, usiłując odnaleźć w nich jakiś sens.

158

11 24 7 20 3

4 12 25 8 16

17 5 13 21 9

10 18 1 14 22

23 6 19 2 15

- Czytałem kiedyś książkę o szpiegach działających w okresie drugiej wojny światowej - oświadczył. - Oni stosowali podobny system szyfrów, ale był oparty na literach w pudełku, a nie na liczbach.
- Pamiętam, bez przerwy o tym gadałeś. No i?
- Nie wiem... Nie potrafię sobie przypomnieć, na jakiej zasadzie działał. Sayid wyglądał na rozczarowanego.
- Nie rób takiej pełnej wyrzutu miny. Skoro ci o tym opowiadałem, dlaczego nic nie pamiętasz?
- Ponieważ prawdopodobnie byłem w tym czasie zajęty odrabianiem za ciebie matmy.

Max dotknął palcem kolejno wszystkich liczb.

- W każdym razie to jakiś układ liczb. One zwykle coś oznaczają - rzekł Sayid.
- Oczywiście. W przeciwnym razie nie znalazłyby się w tej teczce. Tak czy inaczej, jedno już zauważyłem - suma liczb w każdym rzędzie i

kolumnie wynosi sześćdziesiąt pięć. Niewątpliwie to nie może być przypadek.

Sayid sprawdził i stwierdził, że przyjaciel ma rację. Liczone poziomo, pionowo i na skos liczby sumowały się zawsze do sześćdziesięciu pięciu.

- No, przyjacielu, widzę, że nie jesteś jednak zupełnie tępy -mruknął.
- Nie, mam tylko trochę kłopotów z matmą - odparł Max naburmuszonym tonem.

Sayid pogładził arkusz.

159

- Już kiedyś widziałem podobną rzecz. To, co tu widzimy, to jest magiczny kwadrat.
- Naprawdę ma coś wspólnego z magią?
- Nie. Arabowie przejęli go od Hindusów, kiedy ich podbili. To było bardzo dawno, chyba w siódmym wieku. Potem pewien matematyk... - Sayid przez chwilę wpatrywał się przed siebie niewidzącym wzrokiem, grzebiąc w zakamarkach pamięci. -Nazywał się Al-Buni i żył około tysiąc dwusetnego roku. Zainteresował się astrologią i użył kwadratu do...
- Sayid, nie mamy teraz czasu na wykłady z historii - przerwał mu Max. - Powiedz mi po prostu, czym są magiczne kwadraty, a przynajmniej ten, dobrze? On musi coś znaczyć. Zaba-la nie zadałby sobie aż tyle trudu, żeby go ukryć, gdyby nie był ważny.
- Naprawdę nie mam pojęcia, co oznaczają te liczby. Ale przynajmniej mamy jakiś punkt zaczepienia, od którego możemy zacząć - rzekł Sayid, marszcząc brwi.

- Może i tak - zgodził się Max. - Ale co dalej? Na razie błądzimy we mgle. Uważam, że powinniśmy wrócić do rezydencji hrabiny i zastanowić się nad tym.

Sayid przytaknął. On również usiłował uporządkować bezładne myśli wirujące mu w głowie.

- Daj mi trochę czasu, żebym mógł się w tym lepiej rozeznać - powiedział, składając równo arkusz.

- Jasne. Jesteś przecież dobry w matematyce i liczbach. Zanim stąd wyjdziemy, musimy jeszcze wykorzystać to, że tu jesteśmy, i zajrzeć do obserwatorium - orzekł Max.

Włożył do kieszeni kartkę z rysunkiem okręgu i wepchnął zniszczoną teczkę na jej miejsce na półce. Następnie ostrożnie umieścił taśmę z powrotem w maszynie, podczas gdy Sayid zebrał ze stołu pozostałe tomy i ułożył je na regale. Po chwili biblioteka przybrała pierwotny wygląd i nikt by się nie domyślił, że ktoś w niej myszkował.

Obserwatorium znajdowało się na tym samym piętrze. Światło księżyca wpadało przez dwa wielodzielne okna umieszczone po lewej i prawej i kładło się na podłodze z ciemnego drewna, tworząc niemal idealny prostokąt. Salę urządzone z surową prostotą, bez żadnych ozdób i jedynie z najniezbędniejszymi meblami. Najwyraźniej służyła wyłącznie do prowadzenia badań i opracowywania materiałów znalezionych w bibliotece. Pośrodku pokoju za gotyckim łukowym przejściem otoczonym regałami, na których leżały kartonowe segregatory, znajdowała się nisza. Stał w niej dwumetrowy staroświecki teleskop solidnie wsparty na

szprychowych kołach i wycelowany pod kątem mniej więcej czterdziestu pięciu stopni w sklepiony sufit, w którym znajdowały się okienka z rozsuwanymi żaluzjami. Pod urządzeniem było przymocowane do podłogi niewielkie drewniane krzeselko na prowadnicy.

- Na wszelki wypadek nie podchodź do okien, żeby nikt cię nie zobaczył z dołu - polecił Max przyjacielowi, gładząc rurę teleskopu.
- Siadano na tym krzeselku - rzekł Sayid. - Potem wślizgiwano się pod teleskop i obserwowano gwiazdy wzdłuż linii południków.

• Skąd wiesz?

Sayid z uśmiechem wskazał małą, ledwo widoczną tabliczkę przy wejściu do niszy.

- Tu jest napisane. Wypróbuję, jak to działa - powiedział, siadając na krzeselku.
- Sayid, nie mamy czasu - zaprotestował Max.
- Oczywiście, że mamy. Daj spokój, przecież interesujesz się astronomią. Noc jest bezchmurna. Otwórz te żaluzje i rzućmy okiem na gwiazdy - polecił, sadowiąc się już pod okularom teleskopu.

Max zaczął szarpać pręty otwierające okienka w sklepionym suficie.

161

- Księżyc jest zbyt jasny. Nie uda ci się wiele zobaczyć.
- Przestań zrzędzić i po prostu je otwórz.

Maksowi w końcu udało się rozsunąć stare żaluzje, mimo iż obawiał się, że wszystko zawali się im na głowy.

- Świetnie - rzucił z uśmiechem Sayid, a potem skrzywił się, usiłując wyregulować ostrość okularu.

Max rozejrzał się po pokoju, zastanawiając się, czy czegoś nie przeoczyli. Złożone kartki niemal dosłownie paliły go w kieszeni. Nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się w bezpiecznym miejscu i będzie mógł je dokładnie obejrzeć. W końcu ogarnęła go irytacja.

- Stary, skończ już z tym. Musimy się stąd wynosić.

Sayid, który z okiem wlepionym w okular teleskopu sadowił się jak najwygodniej na krzeselku, machnął ręką na Maksa, próbując go uciszyć. Raptem w kącie sali coś zamigotało. Serce chłopca podskoczyło ze strachu. W tych starych murach mieszkały mityczne potwory. Z wysokich dachów schodziły gargulce, drapiąc pazurami po ścianach i groźnymi ślepiami wypatrując łupu. Jednak było to tylko złudzenie spotęgowane przez roz-igraną wyobraźnię chłopaka. Ale czy na pewno? Wiejący znad morza wiatr hulał po parapetach okienek w murach obronnych. Z rozwartych paszcz gargulców wydobywały się rozpaczliwe krzyki.

Sayid podniósł wzrok przestraszony tym niesamowitym wyciem.

- To tylko wiatr - uspokoił go Max.

Sayid uśmiechnął się z przymusem i przywarł z powrotem do teleskopu. Max postanowił zostawić go na chwilę w spokoju. Zorientował się, że tajemnicze migotanie dochodzi z drugiego końca sali.

Stare lustro z ramą pokrytą ciemnozieloną patyną niemal w ogóle nie odbijało światła. Niewątpliwie pochodziło z czasów budowy tej rezydencji i obecnie było brązowe. Max przejrzał się

w nim. Zobaczył chłopca bez oczu, gdyż padające spod sufitu światło rzucało na jego twarz głębokie cienie, zacierając błysk źrenic i zatapiając

w mroku oczodoły. Brev nadal przecinała mu cienka czerwona blizna, a pognieciona kurtka nadawała mu wygląd garbatego stwora. Uśmiechnął się i prawie oczekiwał, że zamiast swych zębów ujrzy ostre kły. Potem przesunął spojrzenie w głąb zwierciadła. Rękawem starł kurz z jego powierzchni i widział teraz wyraźniej.

Coś przykuło jego wzrok.

Odwrócił się i ruszył w kierunku przeciwległej ściany, na której widniał stary fryz pokryty wyblakłą farbą świadcząca o jego wieku. Chłopiec przyjrzał mu się uważniej. Była to drewniana płyta długości około pięćdziesięciu centymetrów i szerokości dwudziestu pięciu, wisząca na małych ledwo widocznych mosiężnych haczykach. To ciemne wyblakłe malowidło wisiało w najbardziej mrocznym kącie pokoju i nie pasowało do reszty skromnego wystroju.

Przypominało średniowieczne obrazy, na których postaci wydają się nieco nierzeczywiste - płaskie i dwuwymiarowe. W tle widać było górski grzbiet. Błotniste szczyty nasuwały myśl, że pokrywający je śnieg już dawno stopniał. Nad jednym z wierzchołków wisiała blada gwiazda namalowana wyblakłą żółtą i białą farbą, a na prawo od niej druga w identycznej odległości od szczytu. Na pierwszym planie siedział jakiś zakonnik, z głową opartą na belce lub głazie - Max nie potrafił rozróżnić - i trzymał w ręku prymitywną lunetę, zapewne jedną z pierwszych, jakie w ogóle skonstruowano. Ze skołtunioną brodą spadającą mu na pierś wyglądał bardzo wiekowo, niemal biblijnie. Palcem wskazywał na siebie.

Max obejrzał drobny napis wygrawerowany na małej metalowej tabliczce przyśrubowanej u dołu ramy. Był po francusku i głosił, że ta rezydencja została poświęcona pustelnikowi świętemu Antoniemu.

Chłopiec skupił się i przyjrzał każdemu pociągnięciu

163

pędzła na drewnianej płycie. W lewym dolnym rogu spostrzegł zadrapanie lub znak. Przechylił obraz, tak aby światło wydobyło jego fakturę. Znak był prawie niewidoczny, o ile nie patrzyło się na niego z bliska. Miał kształt litery Z.

To wcale nie był średniowieczny obraz - nie pochodził nawet z ostatniego przełomu wieków. Chłopiec zdjął go ze ściany i postawił na podłodze zaskoczony jego ciężarem. Nie rozumiał, dlaczego pustelnik spogląda przez lunetę, ale pojmował znaczenie dwóch słów wypisanych staroświeckim liternictwem symetrycznie pod jego postacią. *Lux Ferre*. Max gwałtownie podniósł głowę i rozejrzał się, jakby w obawie, że ktoś inny mógłby zobaczyć tę wskazówkę. Sayid był zaabsorbowany teleskopem, a oprócz niego w sali nie było nikogo i tylko drobne pyłki kurzu unosiły się w powietrzu w blasku księżyca. W rezydencji panowała niczym niezmacona cisza. Max klęczał nad leżącym na podłodze obrazem i przyglądał się zakonnikowi. Namalowano go w taki sposób, że można mu było spoglądać prosto w oczy, mimo iż jego twarz częściowo zasłaniała luneta. Gordon miał wrażenie, że mnich patrzy wprost na niego.

Pustelnik wskazywał na drobną plamkę światła namalowaną poniżej jego bujnej brody. To była kolejna gwiazda.

Chłopiec dotknął medalionu na swojej szyi.

Bobby Morrell uciekał w panice. Sypki piasek spowalniał jego bieg, lecz chłopak był na tyle silny i wysportowany, że nie stanowiło to dla niego problemu. Zresztą jego mięśnie napędzał wysokooktanowy strach,

pozwalając mu gnać w stronę jedyne go bezpiecznego miejsca - morza. Ciemne fale skryją go, a piankowy kombinezon będzie doskonałym kamuflażem. Bobby potrafił bardzo długo płynąć pod wodą.

Pokonał ostatnią piaszczystą wydłużoną dzielącą go od brzegu oświetlonego blaskiem księżyca. Trwał przypiływ, ale poradzi sobie z tym, a potem ostrzeże Maksa. Nie wiedział jeszcze, jak

164

to zrobi, ale zamierzał pozostać w wodzie, dopóki te zbiry się nie oddalą. Następnie popłynie do skalistego cypla. Na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby powiadomić kumpla.

Już po kilku pierwszych krokach zaczął ile sił w płucach wołać do Peaches, żeby uciekła i gdzieś się schowała. Jednak atak nastąpił błyskawicznie i całkowicie go zaskoczył. Widocznie napastnicy ukrywali się w przybrzeżnych drzewach i krzakach. Ryknęły silniki crossowych motocykli, a ich koła zabuksowały na piasku. Po chwili z ciemności wypadły trzy maszyny jak wilki ścigające bezbronne zwierzę. Bobby dobiegał już do pływnicy, ale motocykle rwały za nim, wyrzucając spod opon fontanny mokrego piasku. Jeźdźcy byli doskonale wyćwiczeni i przecięli mu drogę, jeden z lewej, a drugi z prawej, tak że przez moment nie miał dokąd uciec, podczas gdy trzeci najeżdżał na niego od tyłu. Bobby upadł twarzą na mokry piasek. Morze było już tak blisko. Ostry ból przeszył mu plecy - wcześniej napastnicy nieźle go obili, ale przecież nieraz już znosił walące się na niego tony wody. Udało mu się wstać. Zacerpnął w płuca powietrza i pobiegł po grząskim piasku w stronę wody.

Zdażył zrobić zaledwie trzy lub cztery kroki, gdy motocykle wjechały za

nim na płyciznę. Jeden z jeźdźców trzymał w ręku jakąś pałkę czy kij i gnał, nie odrywając wzroku od uciekiniera. Bobby musiał jak najszybciej dotrzeć do głębiny.

Cios pałki okręcił nim, tak że runął na plecy i przykryła go woda. Zakrztusił się, słone fale zalewały mu nos i usta, a drobny piasek dusił go. Rozpaczliwie łapiąc powietrze, mimo woli uświadomił sobie ironię tej sytuacji. Utonie na piętnastocenty-metrowej płyciznie!

Raptem ktoś chwycił go za kombinezon i potrząsając, wyciągnął mu głowę nad powierzchnię. Bobby wypłuł wodę i odzyskał oddech. Ciemna postać z twarzą ukrytą w mroku, rysująca się niewyraźnie na tle księżycowej poświaty, syknęła z satysfakcją przez wykrzywione usta:

165

- Jeszcze z tobą nie skończyliśmy.

Jednak Morrell, który spędzał każdą wolną chwilę na desce surfingowej, przywykł do zmagania się z potężnymi sześciometrowymi falami, które waliły się na niego i wpychały go pod wodę. Był więc na tyle zwinny i silny, aby móc odwrócić się błyskawicznie i pięścią, w której wciąż ścisnął mokry piasek, trzasnąć napastnika w głowę. Chłopak wrzasnął z zaskoczenia i bólu i rozluźnił chwyt.

Bobby wyrwał mu się jak foka umykająca przed drapieżnym rekinem. Wbiegł na głębszą wodę i po chwili już płynął. Teraz motocykle nie mogły za nim podążyć. Płynął kraulem, rytmicznie uderzając wodę ramionami i wynurzając głowę dla zaczerpnięcia oddechu.

„Nie ustawaj! - powtarzał sobie. - Musisz koniecznie ostrzec Maksa!”.

Obrócił się na plecy i zaczął płynąć stylem grzbietowym, zmagając się z

martwą falą. Od motocyklistów dzieliło go już kilkaset metrów. Pozostali na brzegu wpatrzni w morze obserwowali go.

Bobby roześmiał się głośno. Jeżeli liczyli na to, że się zmęczy, mogą czekać całą noc. Potrafił pływać jak delfin. Minie cypel, wyjdzie na brzeg przy skałach, a potem dotrze do trawiastego terenu za rezydencją babki. Poprzez huk fal rozbijających się o odległy brzeg dobiegł go warkot silnika. Z początku Bobby nie pojął, co się dzieje. Przecież to nie mógł być motocykl!

Odwrócił się szybko.

Prosto na niego pędziła wyścigowa motorówka. Napastnicy mieli więc wsparcie na morzu, a w jasnym blasku księżyca nie musieli nawet użyć reflektora i namierzyli go bez trudu. Motorówka z rykiem silnika okrążyła go, a Bobby podskakiwał na wywołanych przez nią falach, wskutek czego jeszcze łatwiej mogli go dojrzeć. Łódź zawróciła i ruszyła prosto na niego.

Bobby schylił głowę i zanurkował pod wodę, modląc się, żeby nie zmiażdżyła go śruba. W głębinę przeniknął stłumiony warkot

166

potężnego silnika i chłopca uderzyła podwodna fala. Bobby wynurzył się na powierzchnię, wciągnął w płuca powietrze i popłynął. Tymczasem łódź zakręcała, przygotowując się do następnego ataku. Surfer płynął ile sił w kierunku cypla, ale źle ocenił odległość. Motorówka zawróciła sprawniej, niż przewidywał, i teraz zbliżała się niebezpiecznie. Silnik zwolnił obroty. Gdyby napastnicy płynęli zbyt szybko, mogliby minąć uciekającą ofiarę. Jednak ich prędkość nadal wystarczała, by dogonić Bobby'ego.

Jeśli miał przeżyć, musiał przewidzieć, kiedy nastąpi ostateczny atak.

Odwrócił się twarzą do łodzi, odetchnął głęboko i czekał. Gdy napastnicy znajdowali się w odległości trzech metrów, rzucił się w bok, lecz spóźnił się i motorówka go uderzyła. Trzasnęły żebra. Poczł przenikliwy ból i jęknął. Połknął sporo wody, więc obrócił się i zaczął wykasływać ją z płuc.

Przecucie śmierci przeszło go jak ostrze sztyletu. Uświadomił sobie, że nie zdoła uciec i zginie.

Motorówka okrążała chłopaka powoli, z cicho pykającym silnikiem, a napastnicy przyglądali się beznamiętnym wzrokiem, jak pochłania go ciemne morze.

Zobaczył, że łódź płynie wolno w odległości metra.

„Pomóście mi...”.

Przyglądali mu się bez ruchu.

Czy go usłyszeli? Czy naprawdę zawołał te słowa, czy też rozbrzmiewały one tylko w jego głowie? Jeden z mężczyzn na łodzi ujął ostro zakończony bosak i uniósł go w górę jak lancę. Pozostali uśmiechnęli się z zadowoleniem. Zamierzali przebić go niczym ranioną rybę.

Napastnik zadał cios.

Bobby poczuł, że ostrze przebiło kombinezon i wniknęło w ciało. Woda zalała mu twarz. Poszedł pod wodę, a potem fala znów wyrzuciła go na powierzchnię. Wpatrzył się w kulę księżyca rozświetlającą swym blaskiem mrok.

Uśmiechnięta twarz księżyca szydziła z niego.

Max zdjął wisiołek przez głowę i przyjrzał się matowemu kamieniowi. Obrócił mosiężny pierścień w palcach, przechylając go w stronę księżycowej poświaty, a potem ku mdłemu światłu padającemu spod sufitu, lecz nie dostrzegł niczego szczególnego. A więc jeśli ten medalion wisi jako gwiazda na szyi pustelnika, co oznaczają pozostałe dwie gwiazdy na obrazie? Gordon zdawał sobie sprawę, że kusi los. Robiło się późno. Nie wiedział, czy Francuz wróci, by po raz kolejny dokonać obchodu terenu, ani czy słabe lampki bezpieczeństwa pozostaną włączone przez całą noc.

- Sayid, muszę zerknąć przez ten teleskop - powiedział.

Przyjaciel odsunął drewniane krzeselko i z trudem wygramolił się z niego.

- Proszę bardzo. Niewiele zobaczyłem. Na tym właśnie polega kłopot z gwiazdami - są za daleko. Poza tym księżyc świeci zbyt jasno. Odsunąłem go nieco z pola widzenia, lecz mimo to wciąż jest tak jaskrawy, że niewiele widać.

Max usiadł na krzeselku, wsunął się pod okular i zaczął nastawiać ostrość. Zmrużył oko i pochylił rurę teleskopu w dół, gdzie, jak liczył, ujrzy Pireneje. Zrobił to jednak zbyt gwałtownie, a powiększenie było zbyt silne i cały obraz stał się niewyraźny. Spróbował ponownie, lecz blask księżycy wyglądającego spoza chmur sprawił, że oko zaczęło mu łzawić. Uświadomił sobie, że obserwacja zajmie więcej czasu, niż mieli do

dyspozy-

168

cji. Raz jeszcze zajrzał w okular, obiecując sobie w duchu, że poświęci na obejrzenie nieba nie więcej niż kilka minut.

Wciąż od nowa regulował ostrość, zmieniał kąt widzenia i kierunek, lecz nie dostrzegł niczego, co mogłoby stanowić jakąś wskazówkę. Gdy znecierpliwiony uniósł głowę, gotowy zakończyć obserwację, wisiołek na jego szyi zakołysał się na rzemyku i stuknął w okular, omal go nie tłukąc.

Wetknął medalion z powrotem pod bluzę, lecz mając twarz wciąż odsuniętą od okularu, zauważył na nim jakieś złobienia. Przypominało to rowki obiektywu aparatu fotograficznego, w które wkręca się filtry. Tylko że tutaj średnica była zbyt mała.

Znów zdjął wisiołek przez głowę i obmacał palcami mosiężny pierścień. Okazało się, że idealnie pasuje do okularu. Zaczął go ostrożnie obracać, uważając, żeby nie uszkodzić gwintu, aż wreszcie pierścień osiadł pewnie w okularze.

Max spojrział przez coś, co teraz okazało się wypolerowanym matowym kryształem. Ujrzał podświetlone księżycową poświatą niewyraźne liczby i diagram wyryte na jego powierzchni.

Matowy kamień ujawnił wreszcie swoją tajemnicę!

- Sayid - szepnął, nie odrywając wzroku od wizjera. - Zapisz te liczby, szybko!

Przyjaciel sięgnął po kartkę z narysowanym magicznym kwadratem.

•Mów - powiedział.

•Każda z nich jest oddzielona odstępem. Dwadzieścia cztery, osiem,

sześć, czternaście i znowu czternaście. Potem jest kreska, a dalej dwa, dwadzieścia jeden, trzynaście, dwadzieścia cztery, dwanaście i znowu kreska. Zapisaleś?

-Tak.

- Dalej jeszcze sześć, czternaście, cztery, dziesięć, trzynaście, siedemnaście, czternaście, cztery, dziesięć, trzynaście, czternaście, dwadzieścia jeden. I to wszystko.

Sayid powtórzył zapisane liczby wraz z odstępami i kreskami.

169

Max widział w okularze coś jeszcze, ale niewyraźnie. Ktokolwiek wyrył te inskrypcje na kryształ, musiał poświęcić na to wiele godzin i wykazać się nadzwyczajną cierpliwością. To była robota jakiegoś rękodzielnika albo zdeterminowanego naukowca.

Chłopiec ostrożnie przesunął okular, regulując ostrość. Teraz liczby stały się zamazane, za to reszta rysunku ukazała się wyraźnie.

Spojrzał w górę na Sayida.

- Na tym kryształ jest jeszcze *coś*. Daj mi coś, na czym mógłbym to przerysować.

Przytknął znów oko do wizjera, podczas gdy przyjaciel zdjął z półki jedną ze zniszczonych teczek z brązowego kartonu, a potem oddał okładkę i podał ją Maksowi wraz ze swoim wiecznym piórem. Nagle zamarł i rzucił cicho:

- Wydaje mi się, że coś usłyszałem.

Max opanował niepokój, który przeszkodziłby mu w podjęciu szybkiej decyzji.

- Co takiego? - zapytał.

Sayid potrząsnął głową. Obydwaj zaczęli nasłuchiwać, ale w rezydencji panowała cisza, którą zakłócało jedynie upiorne wycie wiatru w paszczach gargulców.

- Stań przy drzwiach i daj mi znać, jeśli usłyszysz coś konkretnego. Potrzebuję jeszcze odrobiny czasu.

Sayid usłuchał, a Max znów przywarł do teleskopu. Położył sobie okładkę teczek na kolanach i narysował to, co widział drugim okiem w wizjerze. Był to trójkąt ostrokątny wpisany w okrąg - bardzo prosta figura, nieprzypominająca skomplikowanego rysunku, który znalazł wcześniej. Przy każdym wierzchołku trójkąta widniała pojedyncza litera: S, Q i E.

Max odkrył więc następną część sekretu - ważny element przesłania umierającego mnicha. W ciągu niespełna minuty naszkicował kopię rysunku. Potem odkręcił pierścień z okularu, złożył okładkę teczek na pół i wsadził ją do kieszeni kurtki.

170

„Pora się zbierać!”.

Wydostał się z przesuwanego **krzeselka**, **zamknął żaluzje** okienka i cicho podszedł do Sayida.

- Skończyłem. Wynośmy się stąd!

Jednak było już za późno.

Max ujrzał upiorną sylwetkę mężczyzny wchodzącego po schodach w ich kierunku. To był tamten Niemiec. Uśmiechał się szeroko. Chłopiec uświadomił sobie, że to właśnie on wyłączył system alarmowy.

- Świetna robota, Max - powiedział przybysz. - Nam nie

udało się tego znaleźć.

Max poczuł przyływ mdłości, gdy zrozumiał, że Niemiec i towarzysząca mu kobieta musieli wiedzieć, że zjawi się dzisiaj w tym muzeum. Ale skąd? Kto im o tym powiedział? Zresztą w tej chwili to nie miało znaczenia. Wykonał za nich całą pracę, a oni czekali w ciemnościach, dając mu czas niezbędny do rozwiązania sekretu Zabali.

Chłopak szybko otrząsnął się z szoku. Podszedł do Sayida, wcisnął mu w rękę telefon komórkowy Bobby'ego i pchnął przyjaciela w kierunku głównej sypialni rezydencji.

- Uciekaj, Sayid! Zadzwoń do Bobby'ego.

Przyjaciel, nie zwlekając, pokuśtykał szybko na swych kulach jak patyczak.

Niemiec przystanął w połowie schodów, potrząsnął głową i zapalił papierosa.

- Max, stąd nie można uciec. - Popatrzył w górę na dym unoszący się leniwie w oświetlonej blaskiem księżycą klatce schodowej i wzruszył ramionami. - Nie jestem tu sam.

Z ciemności wyłoniły się dwie postacie i szybko wbiegły po schodach obok stojącego w nonszalanckiej pozie Niemca. Motocykliści z miasteczka. Jeden był uzbrojony w łańcuch motocyklowy, a drugi w krótki żelazny pręt - podnośnik do kół. Niewątpliwie zamierzali zmasakrować Maksa i Sayida. Nie było

z nimi Rekiniej Twarzy, ale Max rozpoznał w tych groźnie wyglądających nastolatkach członków jego gangu.

- Nie zabijajcie go! Jeszcze nie teraz. Najpierw znajdźcie tego kulawego chłopaka! - zawołał mężczyzna.

Max wiedział jedno: jeżeli dorwą Sayida, będą go tak okrutnie torturować, że on sam będzie gotów zaprzedać swoją duszę, aby tylko ich powstrzymać.

Nie chciał jednak odwrócić się i uciec. Usłyszał w głowie głos ojca: „Max, jeśli wpadniesz w tarapaty, rób zawsze to, co najmniej spodziewane”.

Uśmiechnął się, co powstrzymało napastników, i rzucił pogardliwie:

- Kawalek łańcucha i podnośnik do kół? Zastanówcie się do brze, bezmózgie osiłki.

Zerwał ze ściany etiopską tarczę oraz parę groźnie wyglądających rogów antylopy, zeskoczył z górnych trzech stopni i natarł na osłupiałych motocyklistów. Niemiec odwrócił się i rzucił do ucieczki, a jeden z nastolatków celnie uderzony runął ze schodów, podcinając mu od tyłu nogi, i obydwaj stoczyli się w dół. Mężczyzna wrzasnął z bólu i wściekłości.

Drugi nastolatek odzyskał równowagę i zamachnął się mocno łańcuchem na głowę Maksa. Ten uchylił się, odwrócił i uniósł ramię z tarczą. Poczul i usłyszał, jak zagrzechotał na niej cios, po czym skoczył naprzód.

Oczy napastnika rozszerzyły się z przerażenia, gdy Max rzucił mu się do gardła. Gordon liczył właśnie na jego strach. Motocyklista zawahał się przez chwilę, cofnął o krok i oparł plecami o poręcz, a Max napał na niego, unieruchamiając mu szyję z obu stron rogami antylopy i przygważdżając do jednej z wyrzeźbionych potwornych kreatur

zdobiących główną klatkę schodową. Gra światła i cieni sprawiła, że oczy bestii zabłysły, jakby napawała się bezradnością chłopaka trzymanego tak blisko jej paszczy.

172

W tej samej chwili w ciemnościach rozległ się cichy świst. Max odwrócił się błyskawicznie i uniósł skórzaną tarczę, o którą uderzył ciśnięty nóż.

Z mroku w dole dobiegł rozkazujący krzyk Niemca:

- Brać go żywego!

Tupot nóg kolejnych napastników uświadomił Maksowi, że te nastolatki nie zawsze wypełniają polecenia dorosłych bez względu na to, ile im się płaci. Pierwsze postacie wyłoniły się z ciemności. Chłopak dojrzał matowy błysk światła księżyca na ostrzach noży, które trzymali w rękach. Był bezbronny. Miał jedynie tarczę, a dla napastników taka osłona nie będzie stanowiła żadnej przeszkody. Odwrócił się, aby rzucić się do ucieczki, lecz głośny brzęk i odgłos uderzenia o ścianę zastopowały go. W półmroku tuż przed napastnikami przemknęła ze świstem strzała. Spojrzał w górę. Sayid stał oparty niezgrabnie o balustradę, trzymając w rękach krótki afrykański łuk myśliwski, i po chwili wypuścił następną strzałę w dół klatki schodowej. Rąbnęła w rozwartą paszczę jednego z gargulców. Napastnicy zawahali się, a potem wycofali poza pole ostrzału. Max wykorzystał tę szansę.

W kilku susach znalazł się u boku przyjaciela.

- Nie mam już więcej strzał - szepnął Sayid, drżąc z wysiłku, strachu i ekscytacji.

Max pociągnął go w kierunku głównej sypialni. Sayid zrobił już wystarczająco wiele, powstrzymując na kilka chwil tych dzikusów.

- Ocaliłeś mi skórę, Sayid. Przyjaciel uśmiechnął się.

- Naprawdę?

- Tak. Chociaż brakowało **kilku centymetrów, by strzała mi ją** przebiła.

- Nigdy wcześniej nie strzelałem **z łuku - oznajmił Sayid, gdy Max** zatrzasnął za nimi drzwi.

173

- Nigdy bym na to nie wpadł - wycedził Gordon przez zaciśnięte zęby, zastawiając drzwi wielką antyczną szafą z czarnego drewna.

Ledwo zdołał ją przesunąć, ale strach przed wbiegającymi po schodach napastnikami spotęgował jego siły.

- Bobby nie odpowiada na telefon.

- Zaraz coś wymyślimy - odparł Max, ale się nie uśmiechnął.

Byli w prawdziwych tarapatach, a mogli liczyć wyłącznie na siebie.

Uspokojony, że sforsowanie drzwi zastawionych szafą zajmie prześladowcom trochę czasu, Max zastanowił się nad sytuacją. Czy on i Sayid mogliby się gdzieś tutaj ukryć? Pomieszczenie pomalowane na kolory błękitny i złoty przypominało sypialnię w pałacu królewskim. Stały tu ciężkie szafy i kredensy, sekreta-rzyki i stoły wsparte na wygiętych drewnianych nogach, szez-long i łóżko o bokach prawie sięgających

podłogi. Nie było tu żadnego miejsca, w którym nie znaleziono by ich już po kilku sekundach. Łóżko i okna zasłaniały grube niebieskie kotary, a niewielkie drzwiczki prowadziły do garderoby. W pokoju panowały egipskie ciemności.

Zza drzwi sypialni dobiegały wyteżone stękania oraz krzyki. Napastnicy napierali tak mocno, że tarasująca je szafa przesunęła się o kilka centymetrów. Max chwycił za krawędź wielkiego stołu i dopchnął go do szafy. To powinno zapewnić im kilka cennych minut. Rozejrzał się po kotarach. Powinny się do czegoś przydać. Chwycił za prążkowane tasiemki zasłon. Z dwóch portretów w złożonych ramach wiszących nad kominkiem z czarnego marmuru spoglądali dobrotliwym wzrokiem Antoine d'Abbadie oraz jego żona Virginia. Chłopiec poczuł ukłucie wyrzutów sumienia, gdyż wprowadził do domostwa tego ekscentrycznego człowieka wstrętną atmosferę brutalności. Teraz owa ucieleśniona brutalność wrzeszczała i waliła w drzwi, usiłując sforsować je i dorwać obydwu chłopców.

174

- Sayid! - zawołał Max, wskazując ruchem głowy niewielką garderobę.

Arab zawahał się przez chwilę. Pomyślał, że jeśli się tam ukryją, zostaną z łatwością znalezieni. Lecz Max związywał już wszystkie sznurki w rodzaj liny. Sayid domyślał się, że przyjaciel ma jakiś plan - a poza tym drżał na myśl o spotkaniu z okrutnymi napastnikami walącymi w drzwi, więc wszedł za Maksem do garderoby.

Gdy znaleźli się w niewielkim pokoju, Sayid dostrzegł za ciężkimi

zasłonami drzwi wiodące na wielki balkon. Max wiedział o nich już wcześniej, gdyż zauważył ten balkon na planie rezydencji. Sayid otworzył drzwi balkonowe, podczas gdy Max gorączkowo wodził dłońmi po pokrytych drewnianą boazerią ścianach. W końcu znalazł zatrzask, którego szukał. Otwierany zamek kliknął cicho. Wąskie drzwi otworzyły się ze skrzypieniem, a za nimi ujrzeli korytarz - ciasny, pogrążony w mroku, który wiódł w głąb budynku.

- To korytarz dla służby - rzucił pośpiesznie Max. - Przygotuj się.

Zaciągnął kotary, zatrzaskał za sobą drzwi i dołączył do przyjaciela. Niemiec i młodociani motocykliści stracą wiele cennych sekund, zanim odkryją istnienie balkonu.

Sayid zachrypiał zaniepokojonym szeptem, przemagając suchość w gardle:

- Na co mam się przygotować?

Max wyrzucił metr naprędce przygotowanej liny za balustradę i wypchnął przyjaciela do przodu.

- To całkiem proste - powiedział. - Musisz tylko przejść przez balustradę i wsadzić zdrową stopę w tę pętlę, a ja opuszczę cię na dół. Czujesz zapach morza? To pachnie wolność!

Niektóre z taśm były szerokimi paskami mocnego materiału i z jednej z nich Max zrobił pętlę na końcu liny. Uśmiechnął się pokrzepiająco.

- Nie ma pośpiechu - powiedział z udawanym spokojem.

Głośne łomotanie w drzwi skłoniło przyjaciela do przejścia

przez balustradę. Sayid kiwnął głową. W jednej ręce ścisnął kule tak kurczowo, że zbieleły mu kostki palców, a w drugiej trzymał linę. Ostrożnie włożył stopę w pętlę. Max przełożył sobie linę przez plecy i zaparł się mocno nogami, żeby utrzymać jego ciężar.

- Wyjdź powoli. Tak, już cię trzymam - szepnął.

Lina wrzynała mu się w plecy, ale wypuszczał ją po pół metra, a kiedy się skończyła, podszedł powoli do balustrady, napinając mięśnie ud. Niestety, Sayid wisiał jeszcze dobre dwa metry nad ziemią. Lina była za krótka! Max wychylił się za poręcz balkonu, żeby maksymalnie ją opuścić. Miał wrażenie, że sznur pali go w plecy i zdiera ciało z dłoni aż do kości. Ociekał potem, a poręcz wbijała mu się w stłuczone żebro. Czuł, że nie da rady dłużej utrzymać liny i puści ją, a wtedy przyjaciel spadnie i połamie sobie nogi.

Raptem ciężar zniknął. Max otworzył oczy i zobaczył, że Sayid stoi na ziemi, patrzy w górę i macha do niego. Wciągnął z powrotem linę, przerzucił ją przez wspornik balkonu i opuścił się na dół. Kiedy znalazł się na ziemi, szarpnięciem ściągnął sznur i cisnął go pod ocieniony załom ściany. Nawet jeśli ich prześladowcy znajdą balkon, nie domyśla się, w jaki sposób Max i Sayid mogli z niego zejść. To powinno skłonić ich do stracenia czasu na przeszukiwanie pogrążonego w ciemnościach korytarza dla służby. Max natychmiast pociągnął za sobą przyjaciela ku mrocznej linii lasu.

- Uważaj, czy ktoś nie nadchodzi, zwłaszcza żona tego Niemca - polecił. - Założę się, że jest na zewnątrz i czeka przy ich samochodzie.

Teraz musieli jeszcze tylko stąd uciec. Ile czasu minie, zanim napastnicy

wyważą drzwi na piętrze i zorientują się, że ścigani umknęli? Max podparł Sayida ramieniem i pomógł mu zniknąć

176

jak najszybciej w ciemnościach. Dotarli do frontu rezydencji, gdzie stało sześć motocykli. Czy jednym z napastników był Re-kinia Twarz? Chyba nie. Gdyby się tu zjawił, dowodziłby bójką na klatce schodowej.

Max wyjrzał na ruchome cienie. Między nagimi gałęziami drzew wisiały pajęczne sieci światła. Jedna z plam ciemności wydała mu się ciemniejsza od reszty. Po lewej stronie podjazdu samochód Niemca stał przodem do bramy. Był ukryty w mroku, tak żeby kierowca mógł zauważyć wracającego starego dozorcę.

Max szepnął Sayidowi do ucha:

- Nie ma ani śladu Bobby'ego. Widocznie nie odebrał naszej wiadomości. Tak więc jesteśmy zdani tylko na siebie. Dojdź do tamtych drzew po prawej. Widzisz ten samochód? Trzymaj się jego martwej strefy, poza polem widzenia kierowcy. Spotkamy się przy bramie wyjściowej.

Sayid się zawahał. Dokąd zamierza pójść Max?

- Będę tuż za tobą - zapewnił go przyjaciel, po czym odwrócił się i pobiegł w kierunku frontowych drzwi rezydencji. Musiał zyskać dla nich obu trochę czasu.

Ledwo dotarł do pokoju francuskiego dozorczy, gdy usłyszał gniewne krzyki dochodzące ze szczytu klatki schodowej. To Niemiec wrzeszczał zdyszczanym głosem do niewidocznych stąd motocyklistów:

- Znajdźcie ich! Znajdźcie! Przeszukajcie wszystkie pokoje!

Max przyjrzał się uważnie niewielkiemu schludnemu gabi
netowi.

„Odwróć bieg wypadków. Spraw, aby niekorzystne aspekty sytuacji zaczęły działać na twoją korzyść. Jeśli wpadłeś w tarapaty - pomyśl. Dalej, wyrzuj presję!”.

Chwycił nożyczki, których będzie jeszcze później potrzebował. Potem otworzył skrzynkę systemu alarmowego i na jej panelu ujrzał rząd niezapalonych lampek i główny wyłącznik. Zastanowił się, ile czasu zostanie mu od momentu, kiedy uruchomi

177

alarm. Usiłował sobie przypomnieć, co zrobił francuski dozorca. Wyszedł z pokoju, zamknął za sobą drzwi, a potem opuścił rezydencję frontowym wyjściem. Ile czasu mu to zajęło? Francuz poruszał się powoli. Max wyobraził sobie jego czynności i odliczał czas. Zamyka drzwi gabinetu - jedna... dwie sekundy. Odwraca się - trzy... cztery. Przechodzi trzy lub cztery stopnie schodków do frontowych drzwi - pięć... sześć... Otwiera je - siedem... Wkłada kapelusz i płaszcz - osiem... dziewięć... dziesięć... jedenaście...

Potem Francuz poklepał się po kieszeniach - dwanaście... trzynaście... Wrócił do gabinetu - czternaście... piętnaście... Otworzył drzwi - szesnaście... I co potem zrobił? Wziął coś z biurka. Co? Papierosy. Paczkę papierosów, którą zapomniał zabrać - siedemnaście... osiemnaście... Powtórzył poprzednie czynności w gabinecie i na korytarzu - dziewiętnaście... dwadzieścia... dwadzieścia jeden. Przyspieszył kroku - dwadzieścia dwa... dwadzieścia trzy... dwadzieścia cztery. Max pamiętał,

że w tym momencie stary człowiek doszedł do drzwi, które były już otwarte. Wyszedł na dwór i zamknął je.

Najwyżej dwadzieścia pięć sekund. Stary Francuz może i był powolny, ale wykonywał te czynności co noc przez całe życie w wypraktykowanym tempie. Co do sekundy.

Chłopiec zatrzymał palec nad głównym wyłącznikiem, zastanawiając się, czy to aby na pewno właściwy. Wstrzymując oddech, przekręcił go i zaczął liczyć w myśli, powtarzając kolejno wszystko to, co zrobił Francuz. Drzwi - jedna sekunda. Obrót -trzy... cztery...

Na schodach zatupotały kroki. Max zerknął zza drzwi gabinetu i ujrzał Niemca, który dysząc z wysiłku, wchodził do holu. Chłopak przykucnął za otwartymi frontowymi drzwiami i przez szczelinę między nimi a ścianą obserwował otyłego mężczyznę, który zatrzymał się w przejściu.

Pięć... sześć... siedem...

178

Ukryty w ciemnościach Max mógłby wyciągnąć rękę i dotknąć go.

Osiem... dziewięć... dziesięć... Niemiec machnął ręką

i zawołał:

- Natychmiast przyprawdź samochód! Przyprawdź samochód!! Szybko! Potrzebna nam latarka! Oni uciekli! Rusz się, Rhona!!!

Jedenaście... dwanaście... trzynaście... czternaście... Max ledwo śmiał odetchnąć. Czas uciekał i alarm się włączy, o ile mężczyzna nie wyjdzie przez drzwi i nie zamknie ich za sobą. To była jedyna szansa Maksa. Dalej!!! Przestań wrzeszczeć i wychodź!

Piętnaście... szesnaście... Niemiec zawrócił do schodów. Max usłyszał odgłos zapuszczanego silnika, a następnie otwieranych i zamykanych drzwiczek, chrzęst opon. Nie włączono reflektorów.

Siedemnaście... osiemnaście... dziewiętnaście. Żona Niemca wbiegła do holu wejściowego, przystanęła i zawahała się.

- Ernst! Dwadzieścia...

- Jestem na górze! - zabrzmiał donośny głos jej męża. Dwadzieścia jeden... dwadzieścia dwa...

Kobieta wbiegła po schodach.

Dwadzieścia trzy...

Max wyszedł na dwór, chwycił za klamkę...

Dwadzieścia cztery... dwadzieścia pięć!

Zamykane drzwi trzasnęły cicho.

Nastąpiła cisza.

Chłopiec wydał głębokie westchnienie ulgi. W kilku susach zbiegł po schodach obok stróżujących rzeźb krokodyli, po czym powoli i metodycznie wbił ostrze nożyczek w tylne opony wszystkich motocykli i z zadowoleniem usłyszał syk ulatującego powietrza.

Jego plan powiódł się lepiej, niż się spodziewał. Samochód Niemca stał tuż przed wejściem, a kluczyk był w stacyjce. Max nie starał się już zachować ciszy.

Kopnął pierwszy ze stojących rzędem motocykli. Miło było zobaczyć w działaniu efekt domina. Maszyny upadały kolejno z głośnym brzękiem. Kierownice więzły w szprychach kół, dźwignie hamulców i sprzęgieł

wbijają się w obudowy silników, a reflektory pękały z trzaskiem.

Max ustawił wygodnie fotel kierowcy w małym mercedesie, przekręcił kluczyk, przesunął dźwignię biegów z pozycji „stój” na „jedź” i ruszył płynnie. Zatrzymał się przy bramie, opuścił boczną szybę i zawołał:

- Sayid, taksówka czeka! Przyjaciel wynurzył się z cienia.

- Co to był za łomot? - zapytał, gramoląc się na siedzenie.

- A, taka zabawa - odparł z uśmiechem Max. - Prawdziwe piekło rozpęta się dopiero za...

Przerwało mu przenikliwe wycie syreny alarmowej. Chłopcy odwrócili się i ujrzeli ciemne sylwetki zbiegające po schodach. Kilka z nich próbowało podnieść z ziemi motocykle, a dwie większe gestykulowały gorączkowo i coś wrzeszczały.

Max zaśmiał się, wystawił rękę przez boczne okno, pomachał do nich i zawołał:

- *Auf wiedersehen*, frajerzy!

Sayid uderzył dłońmi o deskę rozdzielczą i krzyknął:

- Udało się nam! Udało się!

Max skręcił w stronę Biarritz.

- Zapnij pas, Sayid - rzucił. - Co ci się stało? Polubiłeś ryzyko?

kierowało się w życiu wróżbami i znakami, a Fedir zaliczał siebie skromnie do ich grona. Czyż w młodości nie został naznaczony przez boga błyskawic? Wątpił, czy jakikolwiek inny człowiek wyszedł cało z tak strasznego chrztu.

Niewidzialne potęgi wszechświata niewątpliwie sterowały jego losem i prowadziły go do owego kulminacyjnego momentu, kiedy to okiełzna, a następnie uwolni najgroźniejszą siłę natury, żeby wstrząsnąć światem.

Jednak Fedir miał również zmysł praktyczny. Zabobony stanowiły fundament jego światopoglądu, ale olbrzymi majątek i władzę zdobył dzięki chłodnej logice. Pragnienie, aby skryć się przed światowymi mediami i zachować anonimowość, było spowodowane nie tylko tym, iż w przeszłości został oszpecony, lecz również ostrożnością i przebiegłością. Działając zakulisowo, mógł wywierać wpływ na rządy państw, kupować sobie polityków i wymierzać sprawiedliwość tym, którzy nie spełnili jego oczekiwań.

Za sto miliardów dolarów można zdobyć olbrzymie wpływy i zapewnić sobie pełną prywatność. Jednak wiedział dobrze, że bez względu na to, jak uważnie i precyzyjnie działał przez wszystkie minione lata, w każdej chwili jakieś drobne nieprzewidziane zdarzenie może wywołać w jego życiu katastrofę. Tak jak w wyścigu Formuły 1, kiedy podczas jazdy z prędkością trzystu kilometrów

na godzinę pod hełm kierowcy dostanie się osa albo mikroskopijny pyłek kurzu wniknie do precyzyjnego, wykonanego przy zastosowaniu najnowocześniejszej technologii elementu silnika, w którym powinna

panować absolutna próżnia.

Aktualnie w głębokich podziemiach przejeżdżał obok wielkich elementów urządzenia przypominającego powiększony stukrot-nie silnik pasażerskiego odrzutowca. Był to olbrzymi pierścień, wyższy od sześciopiętrowego budynku, objęty i zamocowany przez stalowe ramy przytwierdzone do skalnej ściany. Tyle tylko, że pierścień nie zawierał turbin wirnikowych, lecz przewodniki - zachodzące na siebie, precyzyjnie wypolerowane płytki tytanowe tworzące solenoidy, które schwytają, a potem prześlą potężną energię, którą wkrótce okiełzna.

Kryzys energetyczny? Pomarszczona twarz Fedira skrzywiła się w grymasie, który miał być uśmiechem.

Świat nie pojmował, czym w istocie jest energia ani kryzys. W porównaniu z tym, co zaplanował Fedir, dotychczasowe kłopoty energetyczne wydadzą się bez znaczenia, jak zdmuchnięcie świecy.

Teraz, gdy jechał meleksem przez olbrzymie jak katedry korytarze wykute pod górami, przeszedł go dreszcz. Nie był spowodowany zimnem, gdyż tutaj, sto metrów pod powierzchnią ziemi, olbrzymie przewodniki ciepła utrzymywały stałą temperaturę pokojową. Nie - powodem była właśnie owa nieprzewidziana komplikacja.

Ten mnich Zabala strawił dwadzieścia lat życia na poszukiwanie dowodu na to, iż w niedalekiej przyszłości wydarzy się jakaś wstrząsająca katastrofa. Co istotniejsze, ten dowód miał precyzyjnie określić dzień i dokładną godzinę, w której nastąpi wspomniany kataklizm. To właśnie za obietnicę zdobycia tej informacji Tiszenko zapłacił fortunę najbliższemu przyjacielowi Zabali. Jednak owemu człowiekowi nie udało się wydobyć sekretu od mnicha. Zaś jego ciała nigdy nie odnaleziono po tym,

jak Tiszenko wymierzył mu zasłużoną karę. Jednakże dowiedział się tyle, by podać Tiszence dzień, w którym nastąpi jego budzące grozę, a zarazem wspaniałe objawienie.

Fedirowi podobało się to słowo. Objawienie. Tak, zaiste będzie to cudowna chwila.

Zatrudnieni przez Tiszenkę naukowcy, którzy śledzili potężny front atmosferyczny przemieszczający się przez Atlantyk, potwierdzili, że data spodziewanej burzy pokrywa się z dniem przepowiedzianej przez Zabalę katastrofy. Jedna tylko rzecz budziła niepokój Fedira. Aby z powodzeniem uwolnić tę potężną moc i spowodować gigantyczny kataklizm, musiał poznać przewidywany dokładny czas tego wydarzenia. Zdobyć absolutnej władzy wymaga absolutnej wiedzy.

Zabobony podkopywały jego zdolność logicznego myślenia tak uparcie, jak dziecko rozdrapuje zaschnięty strup. Być może ten mnich miał coś, czego brakuje jemu - rodzaj szóstego zmysłu. Zabala odwoływał się nie tylko do fizyki i matematyki, lecz również do modlitwy i medytacji. Upodobnił się w ten sposób do tych dawnych mistrzów, którzy odczuwali związek ze wszechświatem i pojmowali go na ponadświadomym poziomie. Ten mnich posiadał prawdziwą wiedzę.

I udowodnił swoją mistyczną przepowiednię za pomocą faktów. Możliwe, że gdyby nadal żył, społeczność naukowa w dalszym ciągu drwiłaby z niego. A jeżeli nie? W dzisiejszych czasach zmiana klimatu napawa naukowców takim niepokojem, że wymieniają między sobą informacje równie często, jak dzieciaki wymieniają się pocztówkami ze zdjęciami piłkarzy. W ten sposób mogliby zorientować się w planach

Tiszenki.

„Fedir, przypomnij sobie, kim jesteś - powiedział sobie w duchu. - Przypomnij sobie, dlaczego nadano ci imię, które znaczy »dar od Boga«. Bóg”.

Wydobyte z pamięci słowa matki ukończyły jego chwilowe wątpliwości.

183

Ale dlaczego zaplątał się w to ten smarkacz Max Gordon? Ludzie Tiszenki od wielu miesięcy prowadzili nasłuch fal radiowych, aby upewnić się, że mają kontrolę nad każdym, kto mógłby chociaż w najmniejszym stopniu stanowić zagrożenie dla planów bossa. Nielegalne szpiegowanie grup zaangażowanych w ochronę środowiska naturalnego, badaczy, naukowców oraz przedstawicieli departamentów rządowych nie ujawniło żadnych powodów do niepokoju. Nic nie zagrażało planom Tiszenki, ponieważ nikt o nich nie wiedział oprócz Zabali.

Namierzono też tego wścibskiego specjalistę od ochrony środowiska Toma Gordona. Został umieszczony w prywatnej klinice w Anglii. Jego syn poruszał się jednak w tym samym obszarze co wcześniej Zabala.

Tiszenko nienawidził przypadku. Wierzył, że nic takiego jak przypadek nie istnieje. To przeznaczenie łączy kosmiczne siły, tak jak akcelerator cząstek elementarnych spaja strumienie protonów poruszające się z prędkością światła - a dokładnie mówiąc, z prędkością 99,999999 procent prędkości światła, skorygował go jego precyzyjny umysł - i nawet naukowcy nie wiedzą, co powstaje wskutek ich nieuchronnej eksplozji.

Przesady trzymały go w okowach.

Jego ludzie sprawdzili więc ostatni okres i stwierdzili, że w ciągu

minionych kilku tygodni ktoś przebywający w Pirenejach dzwonił z telefonu stacjonarnego do prywatnej kliniki, w której leżał Tom Gordon. Z lokalizacji rozmów wywnioskowali, że to musiał być jego syn Max.

Chłopak zadzwonił tam ponownie, kiedy znalazł się w szpitalu w Pau po śmierci Zabali, a następnie udał się do górskiej chaty mnicha.

Czy był to przypadek, czy przeznaczenie?

Odkąd Tiszenko dowiedział się o poczynaniach młodego Gordona, usiłował go powstrzymać, na wypadek gdyby chłopak wpadł na jakiś trop. Jednak Max Gordon za każdym razem

184

ignorował groźbę pobicia i śmierci z rąk jego ludzi. Obecnie stanowił ów drobny nieprzewidziany czynnik, który może zniszczyć wszystkie plany wielkiego Fedira.

Podwładni Tiszenki poradzili już sobie z tym młodym Amerykaninem, który pomógł Maksowi. Jednak dwoje Niemców, którym zlecono schwytanie kłopotliwego angielskiego chłopaka w rezydencji niedaleko Biarritz, zawiodło i już zapłacili za to życiem. Obecnie teren wokół Biarritz przeszukiwał gang motocyklistów, czekając, aż Max Gordon znów wypłynie na powierzchnię. Ponieważ odwiedził rezydencję w Hendaye, stało się bardziej prawdopodobne, że odkryje sekret Zabali.

Maksowi Gordonowi udało się, nawet o tym nie wiedząc, wyprowadzić Tiszenkę z równowagi. Fedir zamierzał teraz schwycić chłopca i ustalić raz na zawsze, czy dotarł do owej ważnej informacji ukrytej przez mnicha, na której jemu samemu tak bardzo zależało. Musiał też sprawdzić, czy Max nie otrzymał telefonicznie jakichś wskazówek od ojca. Lecz w jaki sposób miał to zrobić? Istniała tylko jedna osoba, która mogła dotrzeć do

Toma Gordona - mężczyzna, który był niegdyś jego przyjacielem, ale potem go zdradził.

Tylko czy posłużenie się tym człowiekiem nie będzie zbyt ryzykowne?

Zabobony wzięły w Tiszence górę. Postanowił podjąć ryzyko.

Kazał skontaktować się z Anżelem Farentinem.

Max wciąż nie wiedział, co ma sądzić o Sophie Fauvre. Uśmiechnęła się z ulgą, kiedy wraz z Sayidem zjawił się w rezydencji hrabiny, ale w dalszym ciągu trzymała się na dystans, jakby nie chciała zakłócać przyjaźni obydwu chłopców. Max skinął dziewczynie głową i rzucił szorstko: „Cześć”, ale zaraz zreflektował się, że powitanie było nieco nieuprzejme, więc odpowiedział jej uśmiechem i poinformował, że Bobby i Peaches nadal surfują na przybrzeżnych wodach.

185

Zachowanie Sophie sprawiło, że chłopiec poczuł się, jakby wrócił do własnego domu. zaproponowała mu kawę. Max podziękował i wziął ciasteczko z talerza, który przed nim postawiła. Potem zrelacjonowała mu wyczerpująco incydent z mężczyzną w czarnym audi. Chłopiec wyglądał na zaniepokojonego, ale nic nie odpowiedział. Wyciągnęła rękę i dotknęła jego twarzy, po czym obdarzyła go nieco smutnym uśmiechem.

Było to bardzo krępujące dla Sayida, który przyglądał się im przez kilka chwil, podczas gdy żadne z dwojga nie zwracało na niego uwagi, a prawdopodobnie nawet nie uświadamiało sobie jego obecności.

- Pójdę się przebrać - powiedziała wreszcie Sophie i wyszła z pokoju.

Zamoczony w kawie imbirowy herbatnik Maksa rozmiękł i z

pląnięciem wpadł z powrotem do kubka.

- Och, jasne. Pewnie. Oczywiście - zdołał wyjąkać.

Gdy dziewczyna zniknęła im z oczu, Sayid zrobił znaczącą minę.

•O co w tym chodzi? - zapytał.

•W czym?

•W tym wszystkim. Ona była w ciebie wpatrzona. Myślałem, że za chwilę zaczniesz ci ocierać z ust okruszki.

•Nie bądź głupi.

•Gdybym w ciągu ostatnich kilku godzin coś jadł, to chyba na ten widok zwróciłbym wszystko, tak żałośnie to wyglądało. Mówię ci, ona cię wpędzi w kłopoty!

Max gwałtownie odsunął krzesło od stołu.

•Co ty o tym wiesz! - rzucił.

•Wiem, że czułem się gorzej, niż gdyby w szkole obili mnie te łobuzy Baskins i Hoggart. Skakałem wokół was jak pasikonik ze złamaną nogą.

•Sayid, nie słyszałeś, co mówiła? Jeden z tych facetów ze szpitala zaczął się na nią przed wypożyczalnią samochodów!

186

•A inni czekali na nas w rezydencji d'Abbadiego! Kimkolwiek oni są, wiedzą o nas wszystko. Max, ktoś cię wrobił. I zgadnij, kto był przy nas na tyle długo, żeby wiedzieć, dokąd pojedziemy?

•Ona nie wiedziała o rezydencji d'Abbadiego - szepnął Max z wściekłością.

•Nie wiadomo. Tak samo jak nie wiemy, czy ten gość naprawdę na nią

czekał. Powiedziała, że tak było, ale równie dobrze mogła skłamać. On i jego kumpel mogą się w każdej chwili tutaj zjawić.

Max poczuł w głowie zamęt. To nie była jedna z tych chwil, kiedy trzeba błyskawicznie podjąć decyzję w obliczu zagrożenia - jak wtedy, gdy zaatakowali ich Niemiec i gang motocyklistów. Wówczas jego ciało i umysł zareagowały natychmiast. Teraz sytuacja była trudniejsza, ponieważ serce i mózg toczyły ze sobą walkę. Obydwaj z Sayidem mieli wokół siebie ludzi, którzy ich lubili i troszczyli się o nich. Kto z nich wiedział, dokąd zamierzają pojechać? Kto ich zdradził? To nie mógł być Bobby, gdyż nie sprowadziłby zagrożenia na dom swojej babki. Ale gdzie on się podziewa? Max nie mógł się dodzwonić do młodego Amerykanina na podany przez niego numer. Czy Bobby znalazł się poza zasięgiem sieci komórkowej, czy może celowo nie odbierał telefonu? A Sophie? Max potrząsnął głową. Nie chciał rzucać podejrzeń na nikogo z tutejszych znajomych.

- Przykro mi, stary, ale sytuacja zrobiła się naprawdę poważna i powiem ci bez ogródek, że jestem przerażony - rzekł Sayid przeproszającym tonem.

Max w duchu przyznał przyjacielowi rację.

- Zjedz jeszcze jedno ciastko - rzucił. - To cię pocieszy.
- Max, ja nie żartuję.
- Wiem - odpowiedział łagodnie.

Zdawał sobie sprawę, że Sayid wykazał dotychczas niewiarygodną odwagę i pomagał mu, nie zważając na swoje obawy. Max

podejrzewał, że przyjaciela ekscytował dreszczyk przygody, ale w końcu dotarła do niego realność zagrożenia. Sam już wcześniej stawiał czoło niebezpieczeństwu i przemocy i wówczas również odczuwał strach. Różnica pomiędzy nimi polegała na tym, że Gordon musiał koniecznie rozwikłać tę zagadkę, gdyż właśnie tak postąpiłby jego ojciec.

Poszedł do kuchni, skąd dobiegał dźwięk przenośnego telewizora, który hrabina miała stale włączony - szmer rozmowy i śmiech. Starsza pani trzymała w ustach tłącego się papierosa i mrużyła jedno oko drażnione smużką dymu. Siedziała przy wielkim drewnianym stole, jakie widuje się w wiejskich posiadłościach, na którym stała wielka szklanka taniego wina i do połowy opróżniona butelka. Obok leżały stosy pokrojonych w kostkę warzyw niczym wygrane żetony w kasynie.

Max opowiedział jej pokrótce o napastniku, który czekał na niego w rezydencji Antoine'a d'Abbadiego. Słuchała go, nie przerywając sprawnego rytmicznego krajania warzyw nożem o długim ostrzu. Chłopiec zastanawiał się, jakim cudem nie obcięła sobie jeszcze czubków palców. Gdy skończył mówić, podniosła na niego wzrok.

- Gotuję zupę. Zanim zapytasz, powiem ci, że nie powtórzyłam Sophie, dokąd obydwaj się wybieracie.
 - Skąd pani wiedziała, że właśnie o to zamierzam spytać?
 - To oczywiste, *mon cher*. Kto o tym wiedział? Ja, Robert -no i oczywiście Sayid. Kto z nas mógł cię zdradzić?
- Jak pani myśli, hrabino, gdzie jest Bobby?

Skinęła głową.

- Twoje pytanie, chłopcze, ma sens. On jest pierwszym podejrzanym.
- Nie, po prostu martwię się o niego. Nie odbiera telefonu, a komórka,

którą nam dał, już się rozładowała. Więc jeśli usiłuje się z nami skontaktować, dlaczego nie dzwoni tutaj? Miał przyjechać po nas do rezydencji d'Abbadiego.

188

Popiół z papierosa hrabiny spadł na pokrojone warzywa. Zdmuchnęła go, a potem rozgniotła śmierdzący niedopałek w łupinie ziemniaka.

- Robert uwielbia morze i góry i gna, gdzie go wiatr poniesie.
- Hrabino, jestem pewien, że nie opuściłby nas ani nie zdradził.

Przerwała krajanie warzyw i nożem wskazała Maksowi krzesło. Chłopiec usiadł posłusznie. Wypiła łyk wina, a potem wycelowała pilota w gadającą głowę na ekranie telewizora i wyłączyła dźwięk.

- Pozwól, że opowiem ci o moim wnuku. Bobby śmiertelnie obawia się porażek. Ojciec spodziewa się po nim wielkich rzeczy, a on się go boi. Sport jest jego ucieczką. Być może doszedł do wniosku, że wplątałeś się w coś, co go przerasta.

Spojrzała na Maksa, który słuchał uważnie. Poczuli sympatię do tego nieco starszego od siebie chłopaka, który w gruncie rzeczy był bardzo samotny. Max dobrze go rozumiał.

Hrabina ujęła go za rękę.

- Nie po raz pierwszy ucieka - ciągnęła. - Tyle tylko, że teraz towarzyszy mu ta Peaches. Jest jego dziewczyną. W ten sposób żyje się łatwiej.

Max skinął głową. Nie mógł obwinić Bobby'ego o to, że zostawił ich na lodzie.

- Sophie spytała mnie, gdzie jesteś, ale jej nie powiedziałam

- mówiła hrabina. - Była bardzo przejęta. Starła się tego nie okazywać, lecz mnie nie da się zwieść. Och, wy, młodzi! Mój Boże, cudownie być młodym, ale te wasze uczucia! Tak dobrze potraficie je skrywać. - Kobieta uśmiechnęła się na widok jego skonsternowanej miny. - Nie wiesz, co mam na myśli?

-Nie.

- Kiedyś się dowiesz. Ale posłuchaj mojej rady. Ta afera jeszcze się nie skończyła, więc uważaj na wszystkich wokół siebie. Zwłaszcza na tę dziewczynę.

189

Max zastanowił się, czy hrabina podziela jego podejrzenia wobec Sophie.

- Pamiętaj o moim ostrzeżeniu - dodała. - Zobaczyłam to niebezpieczeństwo w kartach.

„No tak. Wielka szkoda, że karty nie powiedziały jej, co się stało z Bobbym albo kim są napastnicy i gdzie teraz przebywają. Wróżenie z kart, niestety, nie jest nauką ścisłą”.

Max wyjął z kieszeni kartkę z rysunkiem trójkątów wpisanych w okrąg. Aby tajemnicza układanka, na którą się natknął, utworzyła kompletny obraz, musiał ułożyć jej wszystkie elementy w sensowną całość. Z otaczających go osób chyba jedynie hrabina miała jakieś pojęcie o tej dziwacznej sprawie. Dziwacznej, ale ważnej. Czy jednak mógł ją w to wciągnąć i narazić na ryzyko, które było ogromne, sądząc po tym, co go dotychczas spotkało?

Wydawało się, że hrabina odczytała jego myśli.

- Jestem już starą kobietą i pamięć coraz bardziej mi szwankuje. Czasami nie wiem nawet, jaki jest dzień tygodnia. W pewnym sensie to całkiem miłe - jakby czas się zatrzymał. Jak mówi o mnie Bobby? Ze czasami miesza mi się w głowie? - zapytała i uśmiechnęła się. - Zapominam coraz więcej rzeczy. - Popatrzyła na arkusik papieru w ręku Maksa, uniosła brwi i spytała: - Kolejny sekret?

Chłopiec rozłożył kartkę z trójkątami, okręgiem i napisem i pokazał ją hrabinie.

- Czy wie pani, co to jest?
- Kosmogram - odparła niemal lekceważąco, ledwie rzuciwszy na nią okiem.
- Co to znaczy?
- Każdy z nas rodzi się w określonym punkcie czasu. Osoba mająca odpowiednią wiedzę rozpatruje i interpretuje układ ciał niebieskich, a następnie na podstawie daty narodzin sporządza taki właśnie astrologiczny wykres.

190

Max zastanowił się przez chwilę.

- Czyli rodzaj kompasu wskazującego gwiazdy i planety? -spytał.
- Można tak to ująć. Niegdyś sporządzenie tego wymagało wielkich umiejętności. Taki kosmogram ukazuje życie człowieka, jego przeznaczenie. Ja nie potrafię ich wykonywać ani interpretować. Zdradzę ci w sekrecie, Max, że to dla mnie zbyt trudne. Przypomina matematykę, której w szkole zawsze nienawidziłam. Ja posługuję się

intuicją, a nie ścisłą wiedzą. Poza tym w dzisiejszych czasach wykorzystuje się do tych spraw komputery. A to już nie dla mnie.

Wlała resztę wina do szklanki i wrzuciła pustą butelkę do kosza, w którym było ich już mnóstwo.

- Ten kosmogram sporządzono dawno temu, może przed dwudziestu lub nawet trzydziestu laty - nie ustępował Max. - Jest wyrysowany odręcznie.
- A zatem człowiek, który go wykonał, posiadał starodawne umiejętności - orzekła hrabina.
- Starodawne? To znaczy szczególne? - zapytał Max po krótkim namyśle.
- To znaczy, że ktokolwiek go sporządził, potrafił «ię posługiwać starodawną wiedzą - odparła hrabina i przykręciła płomień gazu pod rondlem z wrzącą wodą.
- Znalazłem *coś* jeszcze - rzekł z wahaniem chłopiec. Stara kobieta czekała w milczeniu. - Obraz, na którym były dwa łacińskie słowa.
- Nikt już dziś nie włada łaciną, nawet ci przekłeci prawnicy <- mruknęła.
- Ale widziałem, że ma pani na półkach łacińskie tomy.
- Szperałeś w moich książkach?
- Szukałem atlasu.
 - Znalazłeś go?
 - Nie.

- Po co ci atlas? Wyjeżdżasz gdzieś?

Max uznał, że i tak powiedział już za wiele i że lepiej o nic więcej nie

pytać. Kiwnął głową, schował kartkę z powrotem do kieszeni i wstał od stołu.

- Tak, wracam do Anglii. Myślę, że do rozwikłania tej sprawy będę potrzebował pomocy taty.

Hrabina znów zapaliła papierosa i otworzyła następną małą butelkę czerwonego wina. Napełniła szklanę, wypila łyk, a potem włączyła dźwięk w telewizorze.

- To najrozsądniejsza rzecz, jaką powiedziałeś, odkąd tu jesteś. Potrzebujesz atlasu, żeby odnaleźć drogę do domu?

- Nie, oczywiście, że nie.

- Więc szukasz czegoś innego? - Znów przestała kroić warzywa. - Co to za łacińskie słowa, których nie rozumiesz?

- *Lux Ferre*. Właściwie chyba wiem, co znaczą, ale nie pojmuję, dlaczego się tam znalazły.

- W rezydencji d'Abbadiego?

Chłopiec skinął głową.

Ostra woń taniego wina i dymu z papierosa mieszała się nieprzyjemnie z zapachem gotowanych warzyw. Zapragnął zaczerpnąć świeżego powietrza, ale musiał najpierw usłyszeć odpowiedź hrabiny na swoje ostatnie pytanie.

- Tak? - rzuciła. - Więc co znaczą?

- To ma coś wspólnego ze światłem.

Przytaknęła i starannie strzepnęła popiół z papierosa. Potem znów energicznie kiwnęła głową, jakby podjęła jakąś decyzję.

- Słowa *Lux Ferre* były używane przez starożytnych Rzymian i znaczyły: „wnoszący światło”. Później jednak zniekształcono je

i połączono w jedno - Luxferre. Pojmujesz już? Stały się słowem, które obecnie symbolizuje złowrogą ciemność i zło - imieniem Lucyfer.

Max milczał, lecz myśli szaleńczo kłębiły mu się w głowie. Lucyfer. Ostatnie słowo, jakie przed śmiercią krzyknął do niego

192

Zabala. Natknął się na to imię w inskrypcji wyrytej na półce w bibliotece rezydencji d'Abbadiego, mówiącej coś o blasku jutrzeńki, a potem ponownie na obrazie, w napisie *Lux Ferre* - Lucyfer.

Max poczuł, że oblewa go pot; nie był pewien, czy to z powodu parnego gorąca w kuchni.

- Naprawdę myślę, że powinieneś wrócić do domu - rzekła powoli hrabina.

Chłopiec skinął głową. Postanowił, że nie pokaże jej cyfr z diagramu, który odrysował pospiesznie z medalionu widzianego przez teleskop. Hrabina już rozpoznała człowieka - czy może istotę - którego lękał się Zabala.

W jaki sposób Lucyfer mógł wnosić światłość? Był przecież złą mocą. A może posiadał ciemną i jasną stronę?

- W bibliotece jest stary atlas - rzuciła niedbale hrabina, obieując następnemu ziemniak.

Jeżeli karta narodzin była rodzajem kompasu wskazującego gwiazdy, to mogła również zawierać wskazówkę mówiącą, gdzie Max powinien się teraz udać. W starej bibliotece hrabiny, pełnej książek z rozmaitych epok, znalazł atlas. Na zalatujących stęchlizną stronicach wciąż wyraźnie

widniały zarysy kontynentów, a także nazwy nieistniejących już państw.

„Wszystko ulega zmianom, Max. Imperia powstają i upadają, zmienia się klimat, a nasz los jest niepewny. Toteż rób plany na przyszłość, ale nie oczekuj, że zawsze uda ci się je zrealizować. Tylko w ten sposób możesz przetrwać”.

Te przywołane z pamięci słowa ojca dodały Maksowi otuchy, gdy rozprostował trzymaną w dłoniach kartkę z kopią rysunku z medalionu. Widoczny na niej trójkąt ostrokątny przypominał mu o sposobie, w jaki orientował się w terenie. Wykorzystywał metodę triangulacji - ustalał za pomocą kompasu pozycję dwóch pobliskich obiektów, a potem zgodnie z odczytem wyrysowywał

193

na mapie linie, których punkt przecięcia wyznaczał miejsce, w którym się znajdował. Ten rysunek wyglądał dokładnie jak trójkąt triangulacyjny. Max wiedział, że nie mógł zachować właściwej skali, ale miał dobry wzrok i precyzyjnie odrysował linie z medalionu umieszczonego w teleskopie. Teraz położył rysunek na stronie atlasu przedstawiającej Francję oraz niektóre jej kolonie w Afryce Północnej. Obrócił kartkę, jakby ustawiał kompas, ale nie uzyskał żadnego sensownego rezultatu; nie pojmował zwłaszcza znaczenia liter E, S i Q. Potem umieścił jeden róg trójkąta w pobliżu miejsca na pogórzu Pirenejów, w którym się obecnie znajdował. Krótszy bok trójkąta zdawał się wskazywać francuskie Alpy i Szwajcarię, lecz uwagę Maksa przykuł dłuższy bok wskazujący na Afrykę Północną.

Chłopiec wziął ze stołu linijkę i starannie przyłożył ją do boku trójkąta.

„Dalej, pomyśl! Czy ta linia może wskazywać kierunek?”.

Mapa w atlasie miała zbyt małą skalę, aby mógł precyzyjnie wyznaczyć miejsce, lecz wydało mu się, że linie biegną prosto do gór Atlas w Maroku. To nie mógł być przypadek - właśnie tam mieszka Sophie! Teren na mapie wyglądał na suchy i jałowy, pozbawiony wszelkich udogodnień dostępnych w Europie. Max zastanowił się, jak zdoła się dostać na to odludzie i co go tam czeka.

Sayid i Sophie siedzieli w salonie przy wielkim okrągłym stole i zajadali bułki z serem. Max oderwał kawałek bagietki i położył na wierzch trójkątny ser.

- Max, musimy stąd wyjechać - powiedziała dziewczyna. - W Biarritz odnaleźli mnie tamci mężczyźni - nie mam pojęcia w jaki sposób. A przed chwilą Sayid opowiedział mi, co się wydarzyło w rezydencji d'Abbadiego.

Max wpadł w panikę. Co jeszcze Sayid jej powiedział?

- Nie znaleźliście tam niczego? Żadnych śladów? - spytała.

194

Sayid zrobił minę niewiniątka, wepchnął sobie do ust kawał chleba z serem i popatrzył na przyjaciela. Max poczuł ukłucie winy. Najwidoczniej Sayid nie zdradził jej nic istotnego oprócz tego, że zostali zaatakowani.

- Nie, nic tam nie było - odparł. - Myślę, że cała ta sprawa to szukanie wiatru w polu. Obaj z Sayidem wracamy do Anglii.
- Wspaniale! - zawołał przyjaciel z podejrzanym entuzjazmem.

Niedawna napaść w rezydencji musiała go nieźle przestraszyć, a Anglia obiecywała schronienie przed wszystkimi szaleńcami świata.

Ku rozczarowaniu Maksa Sophie przyjęła tę wiadomość z nieprzeniknioną miną. W głębi duszy miał nadzieję, że z jej reakcji uda mu się wywnioskować, czy jest wplątana w tę aferę głębiej, niż twierdziła.

- Zadzwoń na lotnisko i zarezerwuj dla was bilety - zaproponowała.

- Nie trudź się, hrabina może to zrobić - odrzekł nieco zbyt pośpiesznie.

Uświadomił sobie, że wciąż nie jest pewien jej motywów, a instynkt samozachowawczy stłumił w nim wszystkie inne uczucia.

Zanim Sophie zdołała cokolwiek odpowiedzieć, do pokoju wpadła hrabina Villeneuve, wymachując kuchennym nożem.

- Włączcie go! Włączcie! - zawołała, wskazując na telewizor.

Siedzący najbliżej odbiornika Sayid usłuchał. Po chwili na ekranie pojawiła się twarz Maksa.

Wszyscy w pokoju umilkli. Francuska stacja informacyjna zaprezentowała stare zdjęcie Zabali i paszportową fotografię Maksa. Potem pokazano obszar zejścia lawiny za Mont la Croix, ciało transportowane na noszach i górską chatę mnicha. Spiker mówił szybko, ale wyraźnie i Max wszystko rozumiał.

Ciało baskijskiego mnicha brata Zabali znaleziono zagrzebane pod zwałami niedawnej lawiny. Sekcja zwłok wykazała, że

zanim mężczyzna znalazł się pod śniegiem, został postrzelony z broni palnej; odkryto też ranę od noża. Uważano, że młody Anglik Max Gordon - cały ekran wypełniła jego paszportowa fotografia - jest zamieszany w śmierć zakonnika. Świadkowie zeznali, że mniej więcej dwa tygodnie przed śmiercią mnicha chłopiec odbywał piesze wycieczki przez przełęcz

w pobliżu miejsca, gdzie mieszkał zmarły. W szpitalu w Pau chłopiec dowiedział się o miejscu pobytu zakonnika. Miejscowy farmer widział, jak uciekał z jego chaty na Montagne Noir, a - na ekranie pojawiło się zbliżenie chronometru Maksa - ten zegarek znaleziono w zaciśniętej ręce ofiary. Napis na kopercie wskazywał, że należy on do Maksa Gordona.

W trakcie dalszego śledztwa przeprowadzonego w górskiej chacie - na ekranie pojawiły się migawki prezentujące policjantów wynoszących pudła z dowodami, oficerów dochodzeniowych, teren ogrodzony taśmą i wężące psy policyjne - znaleziono również ślady krwi. Odkryto także strzępki skóry za paznokciami ofiary - co dowodziło, że doszło tam do walki. Analiza DNA wykazała, że skóra i krew należą do tego angielskiego chłopca.

Na razie nie ustalono jeszcze motywów zabójstwa mnicha, ale policja poszukuje wspomnianego chłopaka, ciągnął spiker. Następnie podał jego rysopis - sto siedemdziesiąt pięć centymetrów wzrostu, atletyczna budowa ciała, rozczochrana fryzura, szaroniebieskie oczy, waga około sześćdziesięciu kilogramów -i ostrzegł, że Max Gordon może być niebezpieczny i należy unikać kontaktu z nim.

Potem na ekranie pojawił się reporter, niejaki Laurent Mes-sier. Stał w budynku, który Max natychmiast rozpoznał jako szpital w Pau.

- Jestem w szpitalu w Pau - powiedział - dokąd po zejściu lawiny na Mont la Croix przywieziono Maksa Gordona i gdzie zbadał go neurolog, doktor Fabian Yagnier.

Reporter podsunął mikrofon lekarzowi o stosownie posępnej minie,

który z żądy rozgłosu zaczął naginać prawdę, wyrzucając z siebie zdania za szybko i w zbyt specjalistycznym języku, by Max mógł go zrozumieć. Po chwili reporter zwrócił się znów do kamery i wymówił z naciskiem słowa, które chłopiec zrozumiał: *„Assasin et un sociopath”*.

Wszyscy w pokoju stali w milczeniu zaszokowani. Hrabina wyłączyła dźwięk telewizora i wpatrzyła się w Maksa wzrokiem zupełnie odmiennym niż dotychczas. W końcu Sayid przerwał ciszę.

- Nie rozumiałem wszystkiego. Co powiedziano na końcu?

Wciąż nikt się nie poruszył.

- Francuski lekarz powiedział, że wykonał tomografię mózgu Maksa po zejściu lawiny i stwierdził aktywność mózgową, która zazwyczaj towarzyszy gwałtownemu zachowaniu - powiedziała cicho Sophie. - Zachowaniu mordercy.

- Cholera - zaklął Sayid pod nosem.

Wszyscy spoglądali na Maksa. Chłopiec podwinął rękawy i pokazał hrabinie i Sophie zagojone ślady zadrapań.

- Próbowałem uratować Zabalę. On, upadając, podrapał mi ręce i chwycił zegarek mojego ojca. Nie zabiłem go - ale widziałem zabójcę.

- Rozpoznałeś go? - spytała szybko Sophie, z trudem opanowując lęk.

Max zawahał się przez chwilę, ale wytrzymał jej spojrzenie.

- Nie, był za daleko.

Dziewczyna skinęła głową i odwróciła wzrok. Max spojrzał na hrabinę.

- Przysięgam pani, że go nie zamordowałem.

Kobieta nie poruszyła się, ale w obronnym geście uniosła nóż nieco wyżej. Po chwili jednak opuściła go i kiwnęła głową.

- Oczywiście, że tego nie zrobiłeś - powiedziała. - Wierzę ci.

Ale teraz znalazłeś się w poważnych tarapatach.

197

Popatrzyła na milczący ekran, a reszta zrobiła to samo. Widniało na nim zdjęcie Maksa, a u dołu napis: *Recherche pour meurtre*. Max Gordon - poszukiwany za morderstwo.

15

Max miał jak zwykle niewiele rzeczy do spakowania. Im mniej bagaży, tym szybciej się podróżuje. Rolując spodnie i podkoszulki i wpychając je do plecaka, zastanawiał się, co może teraz zrobić. W jaki sposób najlepiej umknąć policyjnej obławie oraz napastnikom czyhającym na jego życie? Zaczynał się czuć jak ryba schwytna w sieć. Rozpaczliwie łapiąc oddech, zdał sobie sprawę, że w każdej chwili może ogarnąć go panika, a właśnie wtedy popełnia się największe błędy. Przyrzekł sobie w duchu, że nie wpadnie w panikę i wymyśli jakiś plan działania.

- Musisz powiedzieć o wszystkim policji - odezwał się Sayid, przerywając jego rozmyślenia.
- Nie. Jeśli się teraz ujawnię, już nigdy nie uda nam się rozwikłać tej tajemnicy. Posłuchaj, Sayid. Zabalc zamordowano z jakiegoś bardzo ważnego powodu i nie chcę, by zszedł on wraz z nim do grobu. Policja ma wystarczająco dużo dowodów, żeby przymknąć mnie aż do procesu. To jest pułapka.
- Jak to? - spytała Sophie.

Max wpatrzył się w oczy dziewczyny, wciąż nie potrafiąc rozgryźć jej pobudek.

- W jaki sposób policja znalazła ciało Zabali? - spytał.
- Widocznie była odwilż i śnieg stopniał - odparła.
 - Nie, nie było odwilży. Widziałas w wiadomościach, że policjanci trafili prosto do miejsca, w którym upadł.
- Ktoś ich zawiadomił! - podsunął Sayid.

199

- Zgadza się. A kto o tym wiedział?
- Zabójca - rzekła spokojnym tonem Sophie.

Nie było to przypuszczenie, lecz oznajmienie oczywistości. Max zastanawiał się, dlaczego stwierdzenie nagiego faktu zabrzmiało jak wyzwanie. Czy dlatego, że powiedziała to zbyt chłodno?

Skinął głową.

- Kimkolwiek są ludzie, którzy mnie ścigają, chcą, żebym pozostał tam, gdzie będą mogli wydobyć ode mnie wszystkie informacje, jakie posiadam. Nie sądzicie, że nasłanie na mnie francuskiej policji to doskonały sposób przygwożdżenia mnie na miejscu?
- Okłamałeś mnie - rzuciła Sophie. - Poszedłeś do chaty Zabali, bo czegoś tam szukałeś. Czego?
- Chciałem się czegoś więcej o nim dowiedzieć - odparł Max, wciąż unikając powiedzenia jej zbyt wiele, dopóki nie ustalą, jak bardzo jest zamieszana w tę aferę.
- I dlatego pojechałeś też do rezydencji d'Abbadiego?
- Pojechałem tam, ponieważ odkryłem, że Zabala kiedyś w niej pracował

jako naukowiec.

- A czy teraz sprawa nie jest dla ciebie oczywista? - spytała dziewczyna, z trudem powstrzymując irytację. - Stoją za tym przemytnicy dzikich zwierząt. Powinieneś był mi zaufać i opowiedzieć o wszystkim.

Chłopiec był jednak pewien, że ta sprawa to coś o wiele poważniejszego niż tylko przemyt zwierząt. Niemiec w rezydencji d'Abbadiego czekał, aż Max odkryje rysunek na medalionie, i dopiero wtedy zaatakował.

- Przykro mi, Sophie, ale im mniej będziesz wiedziała, tym dla ciebie lepiej. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo zrobi się niebezpiecznie.
- Uważasz, że Zabala nie zginął z rąk przemytników zwierząt, i jest jakiś inny powód, dla którego go zamordowano? - spytała Sophie, patrząc Maksowi prosto w oczy.

200

Sayid sprawiał wrażenie zaniepokojonego. Czy Max zamierzał wszystko jej wyjawić? On sam nie ufał Sophie. Po pierwsze: mimo iż była dziewczyną, przewyższała go niemal we wszystkim, co potrafił robić. Po drugie: wkradła się pomiędzy niego i Maksa i zakłóciła ich przyjaźń - był więc odrobinę zazdrosny. Po trzeciej: podrywała Maksa, co było tak oczywiste, że spostrzegłby to nawet ten stary zegar na ścianie. Po czwarte: pojawiała się obok Maksa zawsze, ilekroć działo się coś ważnego - na przykład w chacie Zabali i tuż przed zejściem lawiny, kiedy uratował ją przed motocyklistami. Po piątej: cóż, mógłby prawdopodobnie wyliczać w nieskończoność powody, dla których nie ufał Sophie Fauvre.

- Nie wiem, dlaczego go zamordowano - odpowiedział jej Max. - Ale

być może istnieje inna przyczyna niż zemsta przemytników zwierząt, choć jeszcze nie jestem pewien jaka. - Cisnął w przyjaciela jedną z jego podkoszulek. - Rusz się, Sayid. Nie mamy zbyt wiele czasu.

•Chwileczkę - przerwała im Sophie. - Dokąd jedziecie?

•W miejsce, do którego, jak mi się wydaje, kieruje mnie wskazówka pozostawiona przez Zabalę.

Czekała, ale nie powiedział nic więcej. Obserwował jej reakcję. Dziewczyna wyglądała na zaniepokojoną. Max wiedział jedno: wkrótce będzie musiał niezauważony wydostać się z Francji, a to wydawało się prawie niemożliwe. Celowo wyjawiał bardzo niewiele. Trójkąt wryty na medalionie wskazywał wyraźnie na jej rodzinny kraj. Zważywszy związek Sophie z handlem zagrożonymi gatunkami zwierząt oraz jej zagadkowe pojawienie się w chacie mnicha, Max był przekonany, że jest wplątana w całą tę sprawę o wiele bardziej, niż można było sądzić. Nie zdradził nikomu, że zamierza dostać się do gór Atlas w Maroku, i chciał, żeby Sophie ułatwiła mu dotarcie tam.

- Powinieneś pojechać ze mną do mojego domu - rzekła nie oczekiwanie.

201

•Czemu miałbym to zrobić? - rzucił Max, z trudem ukrywając ulgę, gdyż powiedziała dokładnie to, co pragnął od niej usłyszeć.

•Ponieważ tam byłbyś bezpieczny - przynajmniej przez pewien czas. Potem będziesz mógł zdecydować, co chcesz dalej zrobić. Moja rodzina ma wobec ciebie dług wdzięczności za uratowanie mnie przed motocyklistami. Mój ojciec będzie się czuł zaszczycony, mogąc ci

pomóc.

- Dzięki. Daj mi chwilę na zastanowienie. Chciałbym zamienić kilka słów z Sayidem.

Dziewczyna wyszła z pokoju, a Max zamknął za nią drzwi. Sayid potrząsnął głową i powiedział:

- Chyba zwariowałeś, Max. W niej jest coś podejrzanego.
- Nie mogę postąpić inaczej.
- Chcesz świadomie wejść w pułapkę?
- Mów ciszej. Nie wiemy jeszcze, po czyjej ona jest stronie.
- Najwidoczniej podczas tej lawiny jakiś kamień walnął cię w głowę! - zirytował się Sayid. - Pakujesz się coraz głębiej w kłopoty. Naprawdę uważam, że powinniśmy trzymać się od tej sprawy z daleka.
- Wiem, że to ryzykowne, ale rozwikłamy ją, kiedy tam dotrzemy. To ważne, Sayid. Zabala zostawił wskazówki właśnie po to, żeby nas tam poprowadziły.
- Nie mogę z tobą pojechać - powiedział twardo Sayid.
- Oczywiście, że możesz. Potrzebuję twojej pomocy. Część informacji, które znaleźliśmy w rezydencji d'Abbadiego, jest związana z tą świętą geometrią, a ty jesteś świetny w rozwiązywaniu podobnych kwestii. Z pewnością doskonale sobie z tym poradzisz. Ponadto będę tam potrzebował kogoś, kto zna język arabski.
- Max, nogi bolą mnie jak diabli i tylko opóźniałbym twoją podróż. Poza tym w Maroku mówią dialektem *darija*, z którego nie rozumiem ani słowa - wyjaśnił pośpiesznie Arab.

Max wyczuwał, że przyjacielowi chodzi o coś więcej niż tylko o nieznajomość dialektu.

- Obiecałem twojej mamie, że podczas tej podróży będę się tobą opiekował, lecz jak dotąd nie spisałem się za dobrze - powiedział.
- Ostatnie wydarzenia były przerażające, a zarazem w jakiś pokręcony sposób zabawne, ale z tą chorą nogą nie mogę dotrzymać ci kroku. Najlepiej zrobię, jeśli wrócę do domu.

Max ukrył głębokie rozczarowanie. Dotychczas, kiedy potrzebował Sayida, zawsze mógł na niego liczyć. Zastanawiał się teraz, czy kontuzjowana noga nie stanowi jedynie pretekstu, a prawdziwym powodem odmowy Sayida jest jego obawa przed kontynuowaniem tej przygody. Po chwili zganił się w duchu. To nieważne, czy przyjaciel potrzebuje jakiejś wymówki. I tak już zniósł więcej, niż potrafiłaby większość jego rówieśników. Max lekkomyślnie wystawił go na zbyt wielkie niebezpieczeństwo.

- No tak, chyba masz rację. Więc dobrze, odwiozę cię na lotnisko...
- Musisz uciekać - przerwał mu Sayid. - Nie możesz pokazać się na lotnisku. Policja będzie je obserwować. Nie zwracaj sobie mną głowy. Hrabina sprowadzi dla mnie taksówkę. Każdy z nas musi pójść inną drogą.

Max zacisnął mocno sznur plecaka i wyciągnął do Sayida rękę. Przyjaciel uścisnął ją, a potem objęli się na pożegnanie. Obydwaj odczuwali smutek z powodu zbliżającego się rozstania.

- Zajrzyj do mojego taty i powiedz mu, że dam sobie radę. Kiedy już znajdziesz się w domu, zostaw wiadomość na swojej poczcie głosowej. Na przykład coś o lekcji pilotażu. To będzie

sygnał dla mnie, że dotarłeś bezpiecznie. Jeżeli nasi prześladowcy dopadną cię w Anglii z mojego powodu, powiedz im wszystko z wyjątkiem tego, że pojechałem do Maroka. Myślę, że to będzie rodzaj tylnych drzwi, którymi dostanę się z powrotem do Francji.

203

- Zwariowałaś? Masz zamiar wrócić potem do Francji? Dla czego?

Max uśmiechnął się i objął kumpla ramieniem. Kiedy już się upewnił, że wskazówka pozostawiona przez Zabale kieruje go do Maroka, ustalił, że trzeci bok trójkąta wiedzie przez francuskie Alpy do Szwajcarii.

- Właśnie tego jednego nie chcę ci powiedzieć - rzekł. - I tak wiesz już więcej niż ktokolwiek inny. A teraz zabierajmy się stąd.

Hrabina Villeneuve przygotowała dla nich bagietki z serem i pasztetem, owoce i butelkowaną wodę. Spróbowała też bez powodzenia wcisnąć im w dłoń zmięte banknoty euro, które przechowywała w pustym słoiku.

- Pani hrabino, zostawiłem w pokoju Bobby'ego jego komórkę. Zapewne będzie chciał ją odzyskać. Mnie się już nie przyda, bo wyczerpała się bateria. Jestem pewien, że Bobby wróci. Nie chcę, by myślał, że mnie zawiódł, więc proszę mu powiedzieć, że nie mam do niego pretensji i chciałbym, abyśmy nadal pozostali przyjaciółmi.
- Powtórzę mu to i będę nalegała, żeby cię odnalazł. Jestem pewna, że do mnie zadzwoni; zawsze to robi. Bądź ostrożny, Max, i pamiętaj, co ci powiedziałam. - Pochyliła głowę, musnęła wargami policzek chłopca i pospiesznie dodała szeptem: -O zaufaniu.

Następnie pożegnała się z Sayidem i Sophie.

- Nie zapomnisz zadzwonić do mojego taty, jak dotrzesz na miejsce i powtórzyć mu wiadomości ode mnie? - zwrócił się Max do przyjaciela.
- Oczywiście - kiedy znajdziesz się już daleko stąd.
- Gdybyś przypadkiem musiał przekazać wiadomość przez kogoś innego, nie mów za dużo, ponieważ ta osoba mogłaby się poczuć zobowiązana do powiadomienia angielskich gliniarzy. Mój tata... no cóż, czasami ma trudności z rozumieniem i nie zawsze jest w stanie odbierać telefony.

204

- Przedstawię sytuację jasno, ale zwięźle i zachowam dyskrecję. Powiem mu jedynie to, co najważniejsze. Nie martw się, nie zaszkodzę ci.

Zajechała taksówka. Hrabina podeszła do bramy, żeby pożegnać swego odjeżdżającego pensjonariusza i poinstruować kierowcę, aby zawiózł go do hali odlotów lotniska w Biarritz. Włożyła taksówkarzowi w dłoń zwinięty banknot i powiedziała:

- Dobrze panu zapłaciłam, więc proszę się nim zaopiekować. To jeszcze młody chłopiec.

Gdy taksówka skręcała i znikła za rogiem drogiego apartamentowca, Sayid odwrócił się na siedzeniu pasażera i pomachał do hrabiny. Lecz ona spoglądała w górę na okno, w którym stał Max. Sayid żegnał się ze swoim przyjacielem, nie wiedząc, kiedy znów go zobaczy. Ogarnął go lęk, kiedy wyobraził sobie Gordona ściganego przez tajemniczych napastników i walczącego o życie. Upór i determinacja Maksa czasami przerażały Sayida, który nie do końca pojmował, co pcha przyjaciela do podejmo-

wania tak ogromnego ryzyka. Wiedział jednak, że gdyby pomimo kontuzjowanej nogi zgodził się towarzyszyć Maksowi w podróży do Maroka, naraziłby go na jeszcze większe niebezpieczeństwo.

Po powrocie do Anglii Sayid zamierzał porozmawiać z ojcem Maksa i wyjaśnić mu wszystko. Wiedział, że stary Gordon znajdzie najlepsze wyjście z tej trudnej sytuacji.

A potem będzie czekał na telefon od przyjaciela.

Tiszenko był pewien, że jego plan wykurzenia Maksa z kryjówki się powiedzie. Zabójca dokładnie znał miejsce śmierci mnicha i przekazał tę informację władzom. Kiedy chłopiec zostanie zatrzymany przez policję, rzeczą najprostszą pod słońcem będzie wykradniecie go z aresztu i sprowadzenie na to dzikie pustkowię, skąd nie ma ucieczki.

Nasłanej przez Tiszenkę morderczynie nie udało się zamordować Zabali w jego chacie, a drugą próbę zabójstwa zakłóciło

205

pojawienie się chłopaka. Zgodnie ze swoimi zasadami Tiszenko powinien był ukarać swą wysłanniczkę śmiercią za to niepowodzenie, lecz podczas rozmowy z nim zachowała spokój i pewność siebie i bynajmniej nie wyraziła skruchy. Stwierdziła tylko, że zadanie zostało wykonane, a jeżeli ów chłopak był już wcześniej powiązany z Zabalą, nie można jej o to obwiniać. Tiszenko lubił dziewczyny parające się zabijaniem. Z reguły podczas akcji wykazywały więcej zimnej krwi od mężczyzn - jakby ich kobiece emocje były pogrzebane pod lodową górą chłodnego intelektu. Właśnie to ogromnie pociągało go w kobietach. Jednak najlepsza cecha żeńskich zabójczyń polegała na tym, że nikt nigdy by nie przypuścił, że

dziewczyna potrafi zabijać.

W prywatnej klinice w Anglii zadzwonił telefon. Jego przytłumiony, ale przenikliwy dźwięk rozbrzmiał echem w cichych korytarzach. Po drugiej stronie czworokątnego dziedzińca, dobudowana do jednego ze skrzydeł starej rezydencji, stała wielka szklarnia z cegieł i szkła. Wypełniona wonią roślin z egzotycznych krajów stanowiła idealne schronienie dla mężczyzn, którzy spędzili życie, podróżując po świecie, poznali smak dżungli i potrzebowali obecnie wygodnego wypoczynku pośród kwiatów. Ludzi, którzy z powodu złego stanu zdrowia zostali umieszczeni w tej specjalistycznej Klinice św. Krzysztofa.

Telefon nie przestawał dzwonić. Przyjęcie rozmowy należało do obowiązków pielęgniarza oddziałowego. Były żołnierz brytyjskiej piechoty morskiej Marty Kiernan - metr osiemdziesiąt trzy wzrostu, sto dwanaście kilogramów wagi - przeszedł więc kilka kroków po podłodze wyłożonej pięknymi wiktoriańskimi kafelkami i podniósł słuchawkę. Słuchał przez chwilę, a potem nacisnął guzik na podstawie telefonu, odłożył słuchawkę i ruszył w kierunku miniaturowej dżungli osłoniętej szklaną konstrukcją. Pomimo swej masywnej budowy stapał lekko i niemal bezszelestnie w butach na miękkich podszewkach. Działały dawne

nawyki - Marty był weteranem walk w dżunglach i na pustyniach. W przeszłości wynosił rannych towarzyszy z pól bitewnych i jako wyszkolony sanitariusz, klęcząc pod ostrzałem, ratował im życie. Zapłacił za to wysoką cenę. W Afganistanie dwie kule wbiły się w jego potężne ciało i padł nieprzytomny. Potrzeba było sześciu ludzi, żeby zanieść go do

śmigłowca ewakuującego rannych. Wypadek położył kres jego wojskowej karierze. Marty doznał urazów nie tylko fizycznych, lecz również psychicznych. Ostatecznie dopisało mu szczęście i trafił do jedyne go szpitala wojskowego w Wielkiej Brytanii. Otoczono go tam troskliwą opieką, dzięki której wy dostał się z czarnej czeluści depresji i odzyskał pozytywne nastawienie do życia, jakie miał, zanim pociski wroga pozbawiły go prawej ręki.

„Trzeba przekształcić ból i depresję w aktywne działanie” -mówił łagodnym tonem do rannych mężczyzn, których przywożono do Kliniki św. Krzysztofa. Nie zadawał im żadnych pytań o to, dlaczego niemal się nie odzywają, dlaczego niektórzy zaczynają nagle płakać bez powodu, a inni tylko wpatrują się bez końca pustym wzrokiem w obrazek na ścianie. Wiedział, że prędzej czy później ci cierpiący mężczyźni znajdą drogę wyjścia z mrocznego tunelu rozpacz y, w którym zostali uwięzieni.

Jeden z jego podopiecznych był kimś wyjątkowym. Przed wielu laty służył w wojskowych oddziałach specjalnych, potem stał się słynnym alpinistą, a jeszcze później wykorzystał swoje wy szkolenie, odwagę i umiejętności, włóczęc się po świecie i wyszukując potencjalnie zagrażające lub nieuniknione katastrofy ekologiczne. Praca w organizacji finansowanej z prywatnych środków przysporzyła mu licznych wrogów, począwszy od rządów państw, a skończywszy na potężnych ponadnarodowych korporacjach. Jednakże działania Toma Gordona pozwoliły zapobiec wielu katastrofom zagrażającym środowisku naturalnemu - na długo przedtem, zanim rozpoczęła się gorąca dyskusja o globalnych zmianach klimatu. Marty uśmiechnął się. „Gorąca

dyskusja". Spodobała mu się ta gra słów, mimo iż była dość naciągana.

Marty oraz pozostali członkowie personelu szpitala wiedzieli, co przydarzyło się Tomowi Gordonowi w Afryce, gdzie pewien zdeprawowany lekarz torturował go za pomocą toksycznych środków chemicznych i uszkodził mu mózg, usiłując wydobyć od niego ważną informację. Lecz na szczęście to mu się nie udało, a syn Gordona Max, podejmując niewiarygodne ryzyko, sprowadził pomoc i uratował ojca. „Cóż, zapewne się w niego wrodził” - pomyślał Marty.

W budynku szklarni panowała okropna wilgoć, a gdyby nie kilka nieco uchylonych wylotów przewodów wentylacyjnych, byłoby tu goręcej niż w dżungli na Borneo. Marty podszedł do mężczyzny, który pochylony nad grządką okopywał barwne kwiaty sięgające mu do pasa - po czym zatrzymał się nagle. Zachodzenie od tyłu kogoś takiego jak Tom Gordon nie było najlepszym pomysłem - zwłaszcza że rydel ogrodniczy mógłby w jednej chwili zmienić się w groźną broń w rękach zaskoczonego człowieka, który zachował swe przerażająco szybkie odruchy. Marty odkaszlnął i mężczyzna odwrócił się do niego. Przez chwilę jego wzrok zamgliała niepewność. Tom Gordon wiedział, że zna tego człowieka. Widywał go codziennie. Ale jak on się nazywa? Jak on...?

Nagle sobie przypomniał.

- Cześć, Marty.
- Witaj, Tom. Centrala telefoniczna mówi, że ktoś dzwoni do ciebie z Francji. Przypuszczam, że to Max.

Bywały dni, kiedy Tom Gordon nie potrafił sobie przypomnieć swojego syna. Wiedział, że chłopiec dzwoni regularnie, bo Marty mu to mówił, ale

czasami wszystko mieszało mu się w głowie.

- Max?
- Tak. No wiesz...

208

- Nie martw się, Marty. Dzisiaj mam swój dobry dzień. - Tom Gordon spojrział z uśmiechem w twarz potężnego mężczyzny. -On wpadł w jakieś kłopoty, prawda?

- Mówi hrabina Alyana Isabelle Villeneuve. Pański syn prosił, abym do pana zatelefonowała i wyjaśniła pewne niedawne wydarzenia, gdyż w przeciwnym razie mógłby pan dojść do wniosku, że Max zachował się w sposób niegodny.

Tom Gordon słuchał najuważniej, jak potrafił. Odniósł wrażenie, że ta kobieta nie oddycha podczas mówienia albo czyni to niezwykle rzadko, gdyż po każdym wdechu przez dwie minuty wyrzucała z siebie kolejny potok słów. Nie miał więc szansy zadać jej żadnych pytań. W końcu po długim czasie, gdy już opowiedziała mu wszystko, przerwała, po czym zakończyła nieco ciszej i wolniej:

- Fakt, iż mogłam z panem porozmawiać, to dla mnie za szczyt. Pragnę też dodać, że pański syn odznacza się zadziwiającymi cechami, których sam nawet jeszcze nie pojmuję. Nie przypuszczam, by telefon ode mnie przyniósł panu jakąś pociechę. Wiem, że każdy rodzic na pana miejscu również poczułby się za niepokojony, ale powinien pan mieć wiarę w to, że pański syn wyjdzie z tej opresji cało...

Wyjdzie cało? Tom Gordon zamrugał zdziwiony. O czym ta kobieta

mówi? Jednak nie zdołał jej przerwać.

- ...i że znajdzie sposób, by osobiście się z panem skontaktować, gdy tylko nadarzy się do tego okazja. Szczerze panu współczuję. Nasze dzieci. Och, nasze dzieci... Cóż można powiedzieć? Namawiam gorąco, by się pan nie zamartwiał. Max jest zdolnym i odważnym młodzieńcem. Do widzenia, *monsieur* Gordon.

Tom Gordon popatrzył w osłupieniu na słuchawkę. Czyżby uroił sobie tę rozmowę? Wydawała się taka nieprawdopodobna i nierealna. Spojrzał na Marty'ego, który czekał cierpliwie na wypadek, gdyby mógł być w czymś pomocny.

209

- Wszystko w porządku, Tom?
- Czy kilka dni temu powiedziałeś mi, że Maksa przysypała lawina?
- Zgadza się. Zadzwoił i zawiadomił o tym.

Tom Gordon miał wówczas jeden ze swoich złych dni i nie mógł odebrać telefonu. Max wiedział, jak trudne okresy przeżywa czasem jego tata.

- Byłeś wtedy zajęty - dorzucił Marty, zachęcając Toma, żeby to sobie przypomniał.

Jego podopieczny kiwnął głową.

- Max jest zdrowy. Wyszedł z tego bez szwanku i zatelefonował, żeby ci o tym powiedzieć - ciągnął Marty, a potem umilkł i czekał. Tom Gordon porównywał jego informacje z tym, co usłyszał od nieznajomej kobiety, która dzwoniła przed chwilą. W końcu Marty spytał łagodnie: - Czy coś się stało?

•Ktoś zginął podczas lawiny i miejscowe władze uważają, że mój syn jest zamieszany w tę sprawę. Pewna kobieta - jakaś hrabina - powiedziała, że Max poprosił ją, aby do mnie zadzwoniła. Poszukuje go francuska policja, a on usiłuje rozwikłać jakąś tajemnicę, którą powierzył mu ten zmarły mężczyzna.

Marty nigdy nie okazywał zbytniego zdziwienia z powodu ludzi odwiedzających pacjentów w Klinice św. Krzysztofa ani telefonów, które owi pacjenci odbierali.

- Więc gdzie jest Max? - spytał tylko.

Tom Gordon zdrapał kciukiem z rydła zaskorupiałe błoto i potarł palce, żeby usunąć z nich ziemię. Wydawał się głęboko pogrążony w rozmyślaniach. Potem podniósł wzrok i potrząsnął głową.

- Nie wiem - odrzekł.

Max i Sophie dotarli do głównej drogi. Chłopiec żałował, że nie może po prostu wsiąść do mercedesa, który zabrał Niemcom w rezydencji d'Abbadiego, ale samochód znajdował się w odle-

głości dwóch kilometrów, na parkingu wysokiego bloku mieszkalnego. Max nie chciał, żeby ktoś znalazł ukradzione auto w posiadłości hrabiny.

Obecnie zamierzał możliwie jak najmniej rzucać się ludziom w oczy. Był podekscytowany, gdyż przeczuwał, że podejmując podróż do Maroka, czyni olbrzymi krok w kierunku rozwiązania tajemnicy Zabali. Pozwoli, by Sophie go tam doprowadziła. Wiele ryzykował, wyruszając wraz z nią, ale wkrótce się okaże, czy dziewczyna jest jego wrogiem. Nadpływająca od morza mgła podniosła go na duchu. Zamazywała kontury

rzeczywistości; po chwili niemal bezszelestnie wyłonił się z niej autobus i podjechał do krawężnika.

Chłopiec pozwolił, by Sophie wsiadła pierwsza. Wchodząc za nią, nasunął na oczy narciarską czapkę i pochylił głowę. Dziewczyna wrzuciła monetę do szczeliny niewielkiego automatu, z którego po chwili wysunął się bilet. Max wskazał jej fotel kilka rzędów dalej, po przeciwnej stronie niż miejsce kierowcy. Uznał, że każdy, kto wsiądzie do niemal pustego autobusu, najpierw spojrzy w kierunku kierowcy, potem rzuci okiem na automat biletowy, a następnie odruchowo wybierze siedzenia z tyłu.

Usiadł wyprostowany, odwrócił głowę i wyjrzał przez okno.

„Zachowuj się naturalnie - powiedział sobie. - Jakbyśmy byli dwojgiem nastolatków jadących na wycieczkę”.

- Nie starczy mi pieniędzy, by dotrzeć do Maroka - rzekł do Sophie.

Dziewczyna odparła bez namysłu, że ma kartę kredytową i zarezerwuje wszystko z góry. Musieli jedynie opuścić Biarritz i dostać się do St Jean de Luz leżącego o czterdzieści minut drogi od granicy z Hiszpanią. Stamtąd regularnie kursowały pociągi do hiszpańskiego Bilbao, zaś z tego starego miasta przemysłowego polecą tanią linią lotniczą do Maroka. W Hiszpanii nikt nie będzie poszukiwał Maksa - przynajmniej na razie.

St Jean de Luz było niewielkim nadmorskim miasteczkiem, które o tej porze roku wciąż jeszcze przyciągało turystów. Jednak w porównaniu ze znacznie większym Biarritz wydawało się niepozorną miejsciną wciśniętą pomiędzy Ocean Atlantycki -którego fale rozbijały się o nadmorski wał - i baskijskie Pireneje strzegące tutejszych mieszkańców i ich sekretów.

Morska mgła przesłaniała biegnącą wzdłuż wybrzeża drogę i tory kolejowe, a chłodna nocna wilgoć osiadała na kurtce Maksa jak rosa.

Dworzec kolejowy był prawie pusty. We mgle Max poczuł się jeszcze bardziej bezbronny - napastnicy mogli go zaatakować niepostrzeżenie. Od wyjazdu z rezydencji hrabiny Gordon i Sophie zamienili zaledwie kilka słów, a teraz siedzieli zgarbieni na peronowej ławce, spowici oparami coraz zimniejszej mgły. Woleli jednak siedzieć na dworze niż w hali, gdzie mogli zostać zauważeni. W zamkniętych pomieszczeniach istnieje większe ryzyko, że zostanie się rozpoznany, a w dworcowej restauracji na ścianie znajdował się odbiornik telewizyjny. Max nie wiedział, jak często francuska telewizja nadaje wiadomości, ale wolałby wówczas nie być w środku.

Pociąg się spóźniał. Z drugiego końca peronu szli ku nim wolno dwaj żandarmi w czarnych płaszczach. Dłonie opierali pozornie niedbale na kolbach pistoletów maszynowych przewieszonych przez pierś.

„Zostać czy uciekać?”.

Od drogi po lewej dzieliło ich kilka torów kolejowych, a po prawej nad odnogą rzeki biegła odkryta kładka.

Jeden żandarm odwrócił się, usłyszawszy leniwy zgrzyt kół nadjeżdżającego pociągu i ogłuszający hałas silnika lokomotywy. Jeżeli Max zamierzał uciec, musiał to zrobić teraz. Zerknął na Sophie, która patrzyła gdzieś w przestrzeń obok niego. Po chwili spojrzała mu w oczy i ledwo dostrzegalnie potrząsnęła głową.

Max zastanawiał się gorączkowo, czy żandarmi go szukają, czy też po prostu odbywają rutynowy patrol. Jeżeli zauważą na

peronie dwoje nastolatków, mogą zażądać okazania dowodów tożsamości.

Tymczasem przeklęty pociąg podjeżdżał tak powoli!

Jeden z żandarmów uniósł nieco wyżej lufę pistoletu maszynowego. Dla wygody? A może przygotowywał się do akcji?

„Socjopatyczny morderca” - przypomniał sobie nagle chłopiec. Ci dwaj szukają właśnie jego!

Gliniarze byli w odległości pięciu metrów, a pociąg - dwudziestu.

Sophie uśmiechnęła się, ujęła w dłonie twarz Maksa i przytknęła usta do jego warg. Chłopiec był zbyt osłupiały i zaskoczony, by zdać sobie sprawę z tego, co się dzieje, więc chwyciła go za ręce i zmusiła, żeby ją objął.

Max zamknął oczy. Pomimo lęku przed nadchodzącymi żandarmami upajał się ciepłem i bliskością dziewczyny. Zaś gdzieś w tle słyszał metaliczny zgrzyt hamowania ciężkich kół stłumiony łomotem jego serca i głośnym szumem krwi.

Trzasnęły otwierane drzwi, a z dworcowego megafonu chrypliwy głos ryknął coś niezrozumiale.

Chłopiec otworzył jedno oko.

Gliniarze minęli ich, wymieniwszy uśmieški, i poszli dalej.

Sophie bez słowa, nie patrząc na niego, wstała z ławki, zrobiła szybko kilka kroków i wsiadła do pociągu. Max podążył za nią.

Zdawał sobie sprawę z tego, że przed chwilą zadziałała pod wpływem impulsu, aby uratować go przed żandarmami. Oczywiście to nie mogło być nic innego, tylko świetny fortel i zasłona dymna.

Nie miał co do tego cienia wątpliwości.

Zatrzasnął za sobą drzwi przedziału. Sophie już siadała i rozglądała się

bacznie, sprawdzając, kto przechodzi korytarzem. Spojrzała na niego bez uśmiechu, po czym zdjęła płaszcz i beret, gdyż w przedziale było gorąco.

213

Pociąg ruszył i Max wyjrzał na peron. Żandarmi zmierzali wolnym krokiem w kierunku restauracji. A więc był to tylko rutynowy obchód.

Podciągnął w górę okno i ujrzał w szybie odbicie swej uśmiechniętej twarzy. Zebrał myśli i popatrzył na Sophie, która prawie nie zwracała na niego uwagi. Otrząsnął się więc z rozmarzenia i powrócił do rzeczywistości.

Pociąg nabierał pędu.

W dworcowej restauracji Thierry wrzucił do swojej kawy dwie kostki brązowego cukru, podczas gdy Corentin przetarł zaparowaną szybę i obserwował przejeżdżające wagony, a potem podniósł do ucha telefon komórkowy.

Napastnicy w milczeniu wyłonili się z mroku jak szczury. Jeden z nich stęknął cicho z bólu, skaleczywszy się o drut kolczasty. Zeskoczyli przy końcu płotu i znów zniknęli w ciemnościach, które rozjaśniało jedynie blade widmowe światło umieszczonej wysoko lampy, spowitej kłębamii mgły.

Rezydencja znajdowała się na uboczu, toteż nie musieli się spieszyć ani zachowywać szczególnej ostrożności. Po chwili sforsowali lichy zamek okna i wśliznęli się do pogrążonego w ciszy budynku.

Do salonu wpadał blask z sypialni hrabiny. Drzwi na balkon były otwarte. Stara kobieta siedziała w pokoju jak co wieczór, pozwalając, aby powiewy morskiej bryzy i odległy łoskot przy-boju ukończyły jej znużony

umysł i smutek serca. Kochała swoje dzieci i jedyne wnuka Bobby'ego, lecz równie gorąco tęskniła do zmarłego męża. Rozmyślała nad tym, jak niewielu ludzi rozumie wojskowych, którzy przez całe życie służą ojczyźnie. Popijała tanie czerwone wino i paliła mocny francuski tytoń. Nikt nie wiedział o tym, że jest bliska śmierci. Nie miała pojęcia, czy przyczyną jest kiepskie odżywianie, zbyt wiele papierosów, czy też po prostu wyrok losu - i nie dbała o to. Była już

214

stara i nadszedł jej czas, lecz z jakiegoś powodu nie znajdowała w kartach dokładnego terminu. Miała za sobą dobre życie i wypełniła obowiązki wobec swej rodziny. Chociaż zdawała sobie sprawę, że obecnie przebywa na poły w świecie fantazji i ułud, wierzyła, że czi w ten sposób pamięć prawdziwej hrabiny Villeneuve.

Chmury rozstały się na chwilę i skąpał ją magiczny zamglony blask księżyca. W jego świetle spostrzegła nikczemnych osobników, którzy wkradli się do jej sanktuarium. Zdziwiło ją, że nie poczuła lęku. W kącie pokoju stali czterej młodzi ludzie. W mroku ledwie mogła rozróżnić ich rysy, ale widziała oczy -martwe, bezduszne, obojętne i bezlitosne. Ci chłopcy zabiją bez chwili wahania. Wstała powoli i odwróciła się plecami do morza i księżyca, mając nadzieję, że cień skryje strach, który nagle ścisnął jej serce. Kiedy się odezwała, jej głos był spokojny.

- Kim jesteście i co robicie w moim domu? - spytała to nem władczej pogardy, jakim niegdyś mówiła prawdziwa hrabina Villeneuve.

Jeden z napastników wystąpił naprzód z groźną miną, choć nie było widać, żeby miał jakąkolwiek broń. W kącikach jego ust widniała ślina,

przez co wyglądały jak rozcięte. Rozchylone wargi odsłaniały ostre spiczaste zęby. Stara kobieta zastanowiła się, czy to uśmiech, czy jego zwykły wyraz twarzy. Zrobił jeszcze krok, a pozostali ruszyli za nim przerażającą falangą, wychodząc z cienia.

- Gdzie jest chłopak? - warknął.

-Jaki chłopak? Mój wnuk? Nie wiem. Gdzieś wyjechał. A kim wy jesteście? - zapytała szorstko.

„Nie daj im poznać, że się boisz - pomyślała. - Nie pokaż po sobie strachu. Zachowuj się zdecydowanie i staw czoło niebezpieczeństwu”.

Właśnie tak postąpiłby jej mąż.

215

- Nie on - powiedział Rekinia Twarz. - **Max Gordon. Wiemy,** że dzwonił stąd do swojego ojca do Anglii.

„Skąd się o tym dowiedzieli?” - zastanawiała się. W następnej chwili odepchnęła od siebie tę kwestię jako nieistotną i z nieprzeniknioną miną rzekła do prześladowcy:

- Nie znam żadnego Maksa Gordona. A teraz lepiej już idź cie. Mój wnuk i jego przyjaciele wrócą lada moment, a wierzcie mi, że z nimi lepiej nie zadzierać. No, wynoście się stąd!

Napastnicy zrobili kolejny krok ku niej. Odruchowo cofnęła się i oparła o skraj wielkiej starej sofy.

- Wiemy, co się stało z tym surfującym gnojkiem. On już nie wróci do domu - powiedział Rekinia Twarz.

Te słowa wypowiedziane bezbarwnym beznamiętnym tonem wstrząsnęły kobietą jak brutalny policzek. „Co oni zrobili Bobby'emu?”.

- Gdzie on jest? - rzuciła szorstko.

Napastnik jeszcze bardziej wyszczerzył w uśmiechu nierówne zęby.

- Gdzie jest Max Gordon? Telefonował stąd do ojca? A może to ty dzwoniłaś? Gdzie on jest?

Usłyszała trzask otwieranego noża sprężynowego w ręku jednego z zabójców i ujrzała błysk światła księżyca na ostrzu.

- Powiesz nam to, starucho. Powiesz nam wszystko, co chcemy wiedzieć - rzucił szyderczo Rekinia Twarz.

Serce kobiety zalała nagle fala ciepła. Pojawiła się nieoczekiwanie gdzieś z głębi jej jestestwa i ogarnęła całe ciało. To było uczucie tęsknoty do męża. Hrabina miała wrażenie, że zmarły wziął ją w objęcia i osłonił niewidzialną tarczą przed tymi zbirami. Pomyślała, że Max Gordon będzie musiał się z nimi zmierzyć - jeśli jeszcze tego nie uczynił - i walczyć o życie. Wiedziała, że mogą ją skrzywdzić i zmusić do mówienia. Ale nie powie im tego, czego chcą się dowiedzieć. Nie pozwoli, żeby te wściekłe psy dopadły Maksa!

216

Jej mąż, dzielny żołnierz i bohater Francji, objął ją mocno, wyszeptał do niej słowa miłości i delikatnie, łagodnie pomógł zrobić krok do tyłu na spróchniały balkon.

W oczach starej kobiety zalśnił blask księżyca, a łoskot fal stłumił trzask pękających desek.

Jej ostatni oddech był westchnieniem szczęścia.

Umarła, zanim jeszcze uderzyła o ziemię.

16

Sayid kazał taksówkarzowi minąć wejście do terminalu i pojechać obwodnicą wokół lotniska. Chciał się przekonać, czy w pobliżu nie kręcą się członkowie gangu motocyklistów -nawet bez swoich pojazdów - i czy nie dostrzeże gdzieś patroli policyjnych.

Kiedy sprawdzał, czy ma paszport i bilet, wypadła mu kartka z magicznym kwadratem liczb, którą obaj z Maksem znaleźli w rezydencji d'Abbadiego i którą schował do kieszeni kurtki, kiedy przechodzili z biblioteki do obserwatorium. Co ma z nią zrobić? Jeśli go złapią, zostanie przeszukany i ten kawałek papieru może wskazać miejsce, do którego udał się Max. Przyjrzał się uważnie liczbom w pięciu rzędach i kolumnach. Gordon ma instynkt przetrwania dzikiego zwierzęcia, ale za to on, Sayid, potrafi skupić się na wszelkich kwestiach matematycznych.

Skutecznie używał tej umiejętności podczas wkuwania do egzaminów. Przypuszczał, że przypomina to trochę granie z nut a vista. Tak jak muzyk chwytą w lot nuty partytury, tak on potrafił wryć sobie natychmiast w pamięć istotne dane liczbowe -przynajmniej do pewnego stopnia.

„Twój mózg jest jak pocisk termolokacyjny" - mówił mu zawsze Max.

Sayid skoncentrował się teraz, odciął od wszelkich zewnętrznych odgłosów wieczoru, przebiegł wzrokiem kolejno każdą kolumnę, po czym ujrzał w wyobraźni układ wszystkich liczb i wy-

pał go sobie w pamięci. Następnie zapisał wewnątrz swego buta inne liczby, które Max podyktował mu w rezydencji d'Abbadiego. Nawet świetna pamięć Sayida nie potrafiła pomieścić jednocześnie tej sekwencji oraz liczbowego kwadratu. Kiedy był już pewien, że atrament w jego

umyśle wysechł i nie ma obawy popełnienia błędu, zmiął kartkę, włożył ją do ust, przeżuł na wilgotną papkę i połknął.

Właśnie tak zrobiłby Max.

Papier miał obrzydliwy smak, ale przynajmniej ta część zagadki - cokolwiek oznaczała - była bezpieczna.

Sayid wysiadł wreszcie z taksówki przy wejściu do hali odlotów. Raptem usłyszał dźwięk klaksonu samochodu - niczym sygnał alfabetem Morse'a wzywający go i nakłaniający, żeby spojrzał w tym kierunku. Odwrócił się więc i poczuł przyływ ulgi, który sprawił, że zapomniał o swych obawach związanych z lotem do Anglii. Zobaczył furgonetkę Bobby'ego podjeżdżającą do krawężnika.

Utykając, podszedł do otwierających się drzwi i rzucił:

- Bobby, gdzie się, do licha, podziewałeś?

Czyjeś ręce chwyciły go, wciągnęły do nieoświetlonego wnętrza i cisnęły brutalnie w głąb samochodu. Krzyknął, ale wóz już ruszył, wyjąc silnikiem na wysokich obrotach. Ktoś przydusił mu ramieniem gardło, ktoś inny skrępował sznurem ręce, a potem usłyszał odgłos rozdierania i zaklejono mu usta taśmą samoprzylepną. Rekinia Twarz rozdzielił swoją bandę. Trzech jego zbirów obserwowało lotniska, podczas gdy on z pozostałymi zaatakował rezydencję hrabiny.

Sayid poczuł woń neoprenowej pianki i ostry zapach morskich wodorostów, gdy rzucono go na tył furgonetki obok postaci w czarnym obcisłym kostiumie.

Rozszerzonymi z przerażenia oczami ujrzał nieruchome ciało Bobby'ego Morrella i przyływ paniki nieomal go sparaliżował. Nie miał pojęcia, czy Bobby żyje, czy nie - z pewnością jednak

był nieprzytomny. Ciało wydało mu się zimne, lecz powodem mógł być strój do surfowania.

Furgonetka zjechała z szosy i pozostawiła za sobą oślepiające żółte światła autostrady, która wiała się teraz w oddali niczym kuszące, efektowne centrum handlowe. Jechali przez nieoświetlony rejon przemysłowy, który wywarł na Sayidzie przygnębiające wrażenie. Poczul się przytłoczony panującymi tutaj klaustrofo-bicznymi ciemnościami.

Samochód zatrzymał się, zgrzytnęły zawiasy gwałtownie otwieranych tylnych drzwi i zbiry bezceremonialnie wywlokły Sayida za kostki nóg. Rąbnął plecami o ziemię i poczul w nich przeszywający ból, lecz taśma zalepiająca usta stłumiła jęk. Przekręcił głowę w lewo i w prawo, chcąc się zorientować, dokąd trafił, lecz pobliskie stare budynki były pograżone w mroku. Chłopiec poczul znów ukłucie lęku, gdyż teren wydawał się opuszczony.

Ciało Bobby'ego upadło na ziemię obok Sayida. Usłyszał cichy jęk.

„Co za ulga, Bobby wciąż żyje!” - odetchnął w duchu Sayid.

Pojawili się inni mężczyźni, lecz chłopak nie widział wyraźnie ich twarzy. Po chwili ktoś nachylił się nad nim. Rozpoznał napastnika z rezydencji d'Abbadiego.

Wszyscy wyglądali groźnie. Któryś kopnął Bobby'ego, inny dźwignął Sayida na nogi. Byli więksi i silniejsi, niż sądził. Teraz Bobby też już stał i oszołomiony potrząsał głową. Uderzenie pięścią w plecy pchnęło Sayida do mrocznego wnętrza jakiegoś budynku - chyba starego magazynu. Gdy prowadzono go do środka, celowo wdepnął butem w błotnistą kałużę, aby ukryć wypisane w nim liczby.

W oddali stały zaparkowane inne lśniące furgonetki na grubych oponach. Dwaj nieco starsi nastoletni chłopcy opierali się o jedną z nich i palili papierosy; inny kończył naprawiać motocykle ustawione na rampie. Sayid uświadomił sobie, że są to maszyny, które Max przewrócił przed rezydencją d'Abbadiego.

220

Jeden z mężczyzn otworzył drzwi innej furgonetki i Sayid ujrzał siedzącą w środku dziewczynę. Peaches! Nie była ranna, ale pilnował jej kolejny oprych. Podniosła wzrok i spojrzała na Sayida. Musiała być przerażona. Widocznie ci bandyci schwytali ją i Bobby'ego w Hendaye. Chciał krzyknąć do niej, żeby się nie martwiła, bo wszystko będzie dobrze, lecz zapomniał, że jest zakneblowany. Po chwili drzwi samochodu zamknięto.

Jakiś motocyklista okrążał skraj oświetlonego obszaru, co chwila ginąc w ponurych cieniach i znów się z nich wynurzając. Filmował wszystko małą kamerą wideo, którą trzymał w niemal wyprostowanej ręce. Sayid spostrzegł niewielką antenę zamocowaną na dachu jednej z furgonetek.

Inny młody mężczyzna stał w słupie światła reflektora punktowego umieszczonego w górze i rzucającego złowieszczy cień na jego wymizerowaną twarz. Opierał się o metalowy stół warsztatowy, stary i zardzewiały, ale solidny, na którym leżała szlifierka kątowna.

Ten mężczyzna o nierównych zębach zerwał taśmy z ust obydwu jeńców, po czym przysunął swoją twarz do twarzy Bobby'ego. Młody Amerykanin targnął się gwałtownie wstecz - ze strachu, pomyślał Sayid, a może z powodu śmierdzącego oddechu prześladowcy o tak zepsutym uzębieniu.

- Gdzie jest Max Gordon? - zapytał Rekinia Twarz. Bobby potrząsnął głową.

- Nie wiem.

Rekinia Twarz skinął na dwóch swoich podwładnych, którzy zaczęli okładać Bobby'ego pięściami. Sayid usłyszał głuchoe odgłosy uderzeń. Amerykanin był wysportowany i twardy, lecz mimo to upadł na ziemię.

- Gdzie on jest? - spytał znowu Rekinia Twarz.

Bobby tylko jeszcze raz potrząsnął głową, z wysiłkiem łapiąc powietrze.

- Nie wiem - powtórzył.

221

- Jeśli powiesz nam, gdzie się ukrywa Max Gordon, to nie skrzywdzimy starej damy z rezydencji.

Bobby i Sayid popatrzyli na siebie z niepokojem. A więc wiedzą o hrabinie!

- Nie róbcie jej krzywdy! Ona nic nie wie! - krzyknął Bobby.

- Gdzie jest...?

- Nie wiem! Rozstałem się z nim w Hendaye!

Rekinia Twarz wpatrywał się w niego przez chwilę swymi okrutnymi oczami, a potem kiwnął głową i powiedział:

- Wiesz co? Wierzę ci.

- Więc nie skrzywdźcie jej. Proszę!

- Twierdziła, że wkrótce wrócisz do domu. Powiedzieliśmy jej, że się myli - rzucił szyderczo prześladowca.

- Co takiego?!

- Gdybyś cokolwiek wiedział, powiedziałbyś nam, żeby ją ocalić,

prawda?

- Jeżeli zrobiłeś jej coś złego, zabiję cię! - zawołał Bobby.

Rekinia Twarz wyszczerzył w uśmiechu zęby, co wyglądało, jakby zamierzał rozerwać nimi na strzępy kawał mięsa.

- Za późno, Bobby.

Amerykanin z wrzaskiem rzucił się na niego, lecz trzymający go mężczyźni podcięli mu nogi i przydusili go do ziemi. W jego oczach pojawiły się łzy, gdy w rozpaczy wyrzucił z siebie złamanym głosem:

- Nie powinieneś był tego robić. Ona była starą kobietą... i moją babcią!

Sayida zalała fala współczucia. Wiedział dobrze, co znaczy stracić ukochaną osobę.

- Nawet jej nie dotknąłem. Spadła z balkonu - rzucił lekceważąco Rekinia Twarz.

Potem odwrócił się i popatrzył na Sayida. Chłopiec zadrżał pod tym spojrzeniem. Przemknął mu przez głowę obraz hrabiny wypadającej ze zrujnowanego balkonu.

222

- Ale za to ty z pewnością wiesz, dokąd on pojechał, prawda?

- rzekł Rekinia Twarz, ocierając ślinę ze swych krzywych ust.

Sayid energicznie potrząsnął głową, czując podchodzące do gardła mdłości. Zakrztusił się, przełknął ohydny kwaśną wydzielinę i usiłował wymyślić, co zrobić. Nic nie przychodziło mu do głowy. Czuł się zupełnie bezradny i zdany na łaskę wrogów.

Prześladowca przysunął twarz do jego twarzy niczym rekin wynurzający

się z głębi oceanu, by zaatakować bezbronnego nurka. Jak najbliżej, póki górny reflektor punktowy nie oświetlił zimnych oczu w przerażającej masce.

- Jak tam twoja kostka? - szepnął w ucho Sayidowi.
- Posłuchaj, naprawdę nie wiem, dokąd pojechał Max. On działa na własną rękę. Słowo honoru, że nic nie wiem. Wypuść nas. Obiecuję, że nikomu o was nie powiemy.

Słuchając swoich słów, Sayid pojął, że brzmią żałośnie. Żałośnie i rozpaczliwie. W tej przerażającej sytuacji nie potrafił wymyślić nic rozsądnego. Bał się bólu, ale nie chciał też zdradzić Maksa. Tylko jak długo zdoła wytrzymać?

Rekinia Twarz skinął na członków gangu, którzy dźwignęli Sayida na stół warsztatowy i przywiązali do blatu. Chłopiec z trudem łapał oddech. Nie chciał krzyczeć, nie chciał pokazać tym zbirom, jak bardzo jest przerażony, ale poczuł, że w oczach stanęły mu łzy. W głowie słyszał głos wołający: „Proszę, nie róbcie mi krzywdy... proszę... nie...”. Jednak te słowa nie wyszły mu z ust, gdyż dyszał tylko rozpaczliwie. Dziwne, ale przez chwilę bardziej niż o siebie bał się, żeby niczego nie zrobili jego matce.

Rekinia Twarz spojrzał na niego z góry i powiedział:

- Ten gipsowy opatrunek niewątpliwie daje ci się we znaki. Pewnie stopa okropnie cię pod nim swędzi?

Sayid przytaknął.

- Możemy wyświadczyć ci przysługę i odciąć to - rzekł Rekinia Twarz, po czym znów wyszczerzył się w uśmiechu i dodał: - Nie mówię o gipsie.

W tej samej chwili Sayid **usłyszał przeraźliwy wizg uruchamianej szlifierki kątowej.**

Pieniądze dają władzę, a Fedir Tiszenko miał jedno i drugie. Zwykł kierować ludźmi, którzy dla niego pracowali, jak postaciami w grze komputerowej - zaś ta gra robiła się coraz bardziej interesująca. Ten smarkacz Max Gordon wymknął mu się, a stara kobieta zmarła, nie podawszy jego podwładnym oczekiwanej informacji.

Tiszenko stał przed szklaną taflą - wysoką na cztery metry, długą na dwadzieścia - która zamykała prostokątny otwór wykuty w skale. Ta górską kryjówka była niewiarygodnym cudem techniki. W ciągu wielu lat maszyny wydrążyły olbrzymie pieczary przewyższające rozmiarami tunele autostrad - na tyle obszerne, aby mogły pomieścić urządzenia o wysokości pięćdziesięciu metrów, i wystarczająco długie, by można było w nich położyć tysiące metrów kabli, wijących się wężowo w tym podziemnym labiryncie. Stąd, ze swoich prywatnych apartamentów, mógł patrzeć w dół z wysokości trzech kilometrów na poszarpane urwiska i potężny lodowiec, który schodził leniwie do dna doliny. Dwa tysiące metrów poniżej jego orlego gniazda przelatywały niewielkie samoloty, lecz ich pasażerowie nie mieli pojęcia, że Tiszenko spogląda na nich z wyżyn niczym górski bóg.

Wewnątrz jego góry szerokie pionowe szczeliny - blizny po epoce lodowcowej - rozwiercono i przekształcono w hermetyczne szyby. Windy opadały i wznosiły się w nich na poduszkach powietrznych - szklane kapsuły na stalowych podporach, skonstruowane przy wykorzystaniu technologii kosmicznej. Tego nie potrafiłyby dokonać nawet największe, najbardziej innowacyjne międzynarodowe korporacje. Te windy były naj-

sprawniejsze na świecie i nie licząc skoku z niewielkiego płaskowyzu z lśniącego czarnego bazaltu, rozciągającego się na

224

zewnątrz kwatery Tiszenki, stanowiły najszybszy sposób dostania się do jego podziemnego królestwa lodu i skał.

Jedną z takich wind zjeżdżał mężczyzna wezwany przez Tiszenkę. Angelo Farentino był zdenerwowany, lecz dobrze to ukrywał. Zył we własnej fortecy zbudowanej z kłamstw i oszustw. Otaczał go mur celowej dezinformacji chroniący przed tymi, którzy z radością doprowadziliby do jego aresztowania, osądzenia i skazania za wielką zdradę, jakiej się dopuścił wobec grup zajmujących się ochroną środowiska naturalnego. Lecz Tiszenko potrafił przejrzeć Farentina na wylot.

Ten człowiek był niegdyś najlepszym przyjacielem Toma Gordona. Publikował raporty o strefach zagrożenia ekologicznego przygotowywane przez naukowców, podróżników i badaczy takich jak ojciec Maksa. Jednak przez wszystkie te lata prowadził oszukańczą podwójną grę. W rzeczywistości był opłacany przez niezmiernie bogatych ludzi, którzy realizowali zakrojone na gigantyczną skalę projekty biznesowe i chcieli ukryć szkody, jakie wyrządzały one środowisku naturalnemu.

Drzwi windy rozsunęły się i Farentino, ubrany z niedbałą, lecz kosztowną elegancją, wszedł do apartamentu Tiszenki. Został wezwany do jego górskiej kryjówki i w obawie o swoją skórę nie ośmielił się odmówić. Wszedłszy, nie uśmiechnął się ani nie przywitał z gospodarzem, który wymagał posłuszeństwa, nie uprzejmości.

- Zjawiłeś się punktualnie, Angelo - rzucił Tiszenko.

Wcisnął guzik na konsolce i na ścianie pojawił się biały prostokąt o rozmiarach niewielkiego ekranu kinowego. Zaprezentowany na nim film wideo został zarejestrowany przez porywaczy Sayida. Ludzie Tiszenki schwytali przyjaciela Maksa Gordona na lotnisku i przerażony chłopiec wyśpiewał im wszystko, co chcieli.

Angelo Farentino poczuł niemiłe sensacje w żołądku, jakby gwałtownie spadał szybem windy. Delikatnie otarł chusteczką

225

pot z górnej wargi, słysząc przenikliwy wizg szlifierki, który zagłuszał krzyki chłopaka przytrzymywanego siłą na stole warsztatowym.

Sayid, krzycząc z przerażenia, zdradził plany Maksa Gordona.

Siedzący bezpiecznie w samolocie Max pozwolił sobie na krótki sen. Kto wie, co czeka go w Maroku? Nawet dwudziestominutowa drzemka mogła go orzeźwić, a wiedział, że żołnierze w warunkach bojowych potrafią zasypiać choćby na kilka chwil.

Musiał wykorzystać każdą okazję do odpoczynku. Brał udział w niebezpiecznej grze i zastanawiał się, dlaczego się w nią wplątał. Ktoś zginął straszną śmiercią, a tuż przed zgonem zaufał mu i powierzył rozwiązanie tajemnicy i znalezienie zabójcy - oto dlaczego.

Ani przez chwilę nie brał pod uwagę możliwości zrezygnowania. Wprawdzie niekiedy opadały go wątpliwości, lecz wówczas czuł, jakby do żył pompowano mu coś nieuchwytnego, niewykrywalnego przez żadne analizy chemiczne ani skanowanie komputerowe. Było to coś bardziej pierwotnego i fundamentalnego niż DNA. Czysta esencja tego, kim był. Poza tym Max Gordon nienawidził drobiazgowych roztrząsań. Uważał, że

kiedy zaczynamy zbyt często zastanawiać się nad sobą, prędzej czy później za-plątujemy się w mentalną sieć, z której nie ma już ucieczki. Trzeba przyjmować rzeczy, jakimi są, i w miarę możliwości radzić sobie z nimi - a na rozmyślania będzie później mnóstwo czasu.

We śnie nękały go niejasne pogmatwane rojenia i myśli. W jego umyśle kłębił się chaos, który ciskał nim z mocą lawiny. Raz czy dwa Max obudził się przerażony, rozpaczliwie łapiąc powietrze. Spał niespokojnie przez dwie godziny, budząc się przy każdym podejrzanym dźwięku z walącym sercem i napiętymi mięśniami, gotów stawić czoło nieznanemu niebezpieczeństwu.

Sophie z uśmiechem położyła mu rękę na ramieniu. Max uzmysłowił sobie, że dziewczyna nie jest tak po prostu spokoj-

226

na, lecz tylko sprawia wrażenie całkowicie pozbawionej emocji bądź też doskonale nad sobą panuje.

- Teraz będziemy bezpieczni, Max - powiedziała. - Nikt nie wie, dokąd lecimy. Kiedy znajdziemy się w Marrakeszu, pozostanie nam zaledwie kilka godzin drogi do mojego domu.
- A co twój ojciec powie na to, że sprowadzasz do siebie podejrzanego o morderstwo?
- Tak samo jak ja nie uwierzy, że jesteś winny.

Max spojrzał jej w oczy. Ta dziewczyna nadal stanowiła dla niego zagadkę i nie mógł się oprzeć wrażeniu, że został zwabiony do nieznanego miejsca i ślad po nim zaginie. Wiedział, że naprawdę będzie zdany wyłącznie na siebie. Lecz czyż nie tego właśnie chciał? I czyż nie tu

wiodły ślady, które odkrył? Usiłował przekonać samego siebie, że jak zawsze podejmuje w pełni wykalkulowane ryzyko. Kłopot w tym, że matematyczne obliczenia nigdy nie były jego mocną stroną.

Żałował, że nie odprowadził Sayida na lotnisko. Rozstanie z najlepszym przyjacielem pogłębiało jego zdenerwowanie.

Jeszcze przed nadejściem świtu Max przewyciężył senność. Wiedział, że musi teraz zachować czujność i upewnić się, czy nikt ich nie śledzi i czy nie zastawiono na nich jakiejś pułapki.

Fotele w samolocie były niewygodne, lecz dzięki temu mógł się lepiej skupić. Wiedział, że wpakował się w niebezpieczną sytuację. Mógł wrócić do Anglii tuż po zejściu lawiny. Nie musiał tamtej nocy w Mont la Croix pomagać Sophie, narażając się na zemstę Rekiniej Twarzy; nie musiał też ratować rannego mnicha. Lecz zrobił jedno i drugie, a teraz stawi czoło konsekwencjom swoich decyzji. Przyczyna i skutek. Niezależnie od tego, czy uda mu się rozwikłać tę zagadkę, czy nie, Rekinia Twarz będzie go nadal ścigał jak dziki drapieżnik, którym w istocie jest.

Maksa ogarnęło dziwne uczucie. Nie był to strach. Miał wrażenie, jakby wewnątrz niego zacisnęła się twarda pięść.

Był gotowy do walki.

niczym kury dziobiące ziarno. Oślepiły go jaskrawe kolory, a od woni dymu i kadzideł oczy zaszyły mu łzami.

Marrakesz w Maroku.

Suk, czyli bazar, i kupieckie uliczki w starej dzielnicy miasta roiły się od ludzi. Tysiące głosów narastało, tworząc dysonansową symfonię. Kupcy jeden przez drugiego starali się zwrócić na siebie uwagę Maksa, szarpiąc go za rękawy i podsuwając pod oczy rozmaite towary - jedwab, korzenne przyprawy, biżuterię, ubrania, miedziane garnki, korale i tłące się pałeczki kadzideł.

„Anji! Anji! - Tutaj! Tutaj!” - wrzeszczeli sklepikarze i ich naganiacze.

W wąskich alejkach unosiły się ostre gryzące zapachy. Wybuchwały kłótnie, mężczyźni wyrzucali z siebie szybko potoki słów. Ciasnymi uliczkami przeciskały się skutery, rowery, nadmiernie obciążone osły oraz ludzie - więcej ludzi, niż Max kiedykolwiek widział na tak ograniczonej przestrzeni.

Sophie szła dziesięć kroków przed nim. Niekiedy ginęła w kłębiącym się tłumie, lecz często odwracała się i odszukiwała go wzrokiem, po czym zadowolona, że wciąż za nią podąża, znów zaczynała przepychać się przez zbitą masę ciał.

Kilka chwil później gdzieś zniknęła. Muchy wpadały mu do oczu zalewanych słonym drażniącym potem. Na chwilę stracił czujność i pochłonęło ją wzburzone morze ciał. Zapragnął za-

wołać jej imię, ale zagłuszyłby je wszechobecny hałas. Potem ktoś nagle chwycił go za ramię. To była Sophie stojąca w ocienionym pasażu.

- Tędy - rzuciła i skręciła w chłodniejszy ponury zaułek, na którego końcu igrały małe kociaki.

Po chwili napała ramieniem na ciężkie drewniane wrota i oboje weszli do prawdziwej oazy spokoju. Wewnętrzny dziedziniec wyłożony mozaikowymi kafelkami w rozmaitych odcieniach błękitu wypełniało zbawiennie rozproszone światło. Woda fontanny tryskała łagodnie na środek podwórza wybrukowanego kamieniami.

I panowała tu niczym niezmacona cisza - jakby ktoś zamknął drzwi przed kakofonicznymi ludzkimi rykami.

Sophie zrzuciła plecak.

- Przenocujemy tutaj - oznajmiła, a potem zawołała: - Ab-dullah!
- Gdzie jesteśmy? Czy to twój dom? - spytał Max.
- To *riad* - tradycyjne domostwo - wyjaśniła.

- Wiem, co to jest *riad* - odparł.

Dziewczyna się zawahała.

- Przepraszam, nie zamierzałam potraktować cię protekcyjnie.

Ruszyła w kierunku wejścia i ponownie wykrzyknęła to męskie imię. Max poczuł ukłucie wyrzutów sumienia. Nie musiał rzucić tych słów tak arogancko, ale chciał zdobyć nad nią przewagę i przynajmniej przez chwilę poczuć, że panuje nad sytuacją.

Chłopiec rozejrzał się i zapatrzył na balkon biegnący wokół całego pierwszego piętra i jego misterne, ręcznie kute żelazne ozdoby tworzące imponujący wzór. Po drugiej stronie dziedzińca kryty łukowy pasaż wiódł do następnego ogrodzonego terenu, gdzie woda w basenie otoczonym płytami z lśniącego kamienia czekała, aż ktoś wskoczy do niej i zaburzy

gładką taflę.

Wyglądało to na mały kawałek raju.

229

- To jest prywatny hotel, bardzo drogi. Ma cztery pokoje i dwa apartamenty - oznajmiła Sophie.
- Masz zamiar zapłacić za pobyt? - zapytał Max, zdejmując buty i skarpetki.

Kamienna podłoga przyjemnie chłodziła mu stopy, a wodna mgiełka z fontanny orzeźwiała twarz.

Zanim Sophie zdążyła odpowiedzieć, zjawił się wysoki mężczyzna o potężnym torsie. Na jego brązowej twarzy widniał kilkudniowy zarost, a włosy miał krótko obcięte, przez co wyglądał jak ogolony orzech kokosowy. Ubrany był w tradycyjny strój berberyjski - galabiję - szatę z szerokimi rękawami - i skórzane sandały. Z uśmiechem rozłożył szeroko ramiona i objął dziewczynę.

- Sophie! Świetnie, świetnie. Jest dla mnie zaszczytem gościć cię znów w moim domu - powiedział. - Mój personel otrzymał twoje instrukcje i zgodnie z poleceniem przygotował dwa pokoje.

Max widział, że Sophie na lotnisku kupiła telefon komórkowy i z niego dzwoniła. A więc zamówiła dla nich pokoje, uświadomił sobie, a potem zastanowił się, czy mogła zatelefonować gdzieś jeszcze. Wciąż nie wiedział, czy może jej ufać.

- Max, to jest Abdullah Boulkoumit, właściciel tego hotelu - powiedziała. - Abdullah, to mój przyjaciel Max Gordon.

Abdullah odwrócił się od Sophie i popatrzył przenikliwym wzrokiem na

Maksa, jakby rozważał wszystkie wydarzenia w życiu chłopca, które doprowadziły go do tego domu stojącego w samym centrum zabytkowej dzielnicy miasta. Przez chwilę Max poczuł się zakłopotany. Stał boso z butami w ręku w luksusowym hotelu. Po podróży był brudny, rozczochrany, w pogniecionym ubraniu i spostrzegł, że jedna z jego skarpetek odpływa przez dziedziniec niesiona wodą z fontanny.

- Witam serdecznie w moim domu, panie Gordon. Widzę, że jest już pan zaznajomiony z naszym zwyczajem zdejmowania obuwia przed przekroczeniem progu. To dla mnie prawdziwy

230

zaszczyt - rzekł Abdullah łagodnym tonem, taktownie nie zwracając uwagi na zakłopotanie gościa.

Uścisnął dłoń chłopca, a następnie zgodnie ze wschodnim obyczajem ucałował koniuszki swoich palców.

W chłodnym wnętrzu domu czekało na nich dwóch bagażowych. Jeden delikatnie wyjął plecak z rąk Maksa i poprowadził go korytarzem. Sophie poszła razem z nimi.

- Pojedziemy do mojego ojca jutro. Abdullah zorganizuje nam transport - zwróciła się do swego towarzysza. - Teraz się odśwież. Spotkamy się za dwie godziny.
- Prysznic zajmie mi tylko kilka minut - odparł, gdy otworzyli nabijane żelaznymi ćwiekami drzwi, za którymi ukazał się luksusowy pokój.

Max uznał, że mógłby łatwo przywyknąć do takich wygód.

- Ja potrzebuję trochę więcej czasu. Tak więc, Max, przy najmniej raz w życiu zwolnij tempo i okaż cierpliwość.

Ruszyła za drugim służącym hotelowym i zniknęła chłopakowi z oczu za zakrętem korytarza.

Chłopiec wkroczył do pokoju. Ujrzał olbrzymie podwójne łóżko, a za nim wpuszczoną w podłogę marmurową wannę. Unosiła się z niej para o intensywnej woni drzewa sandałowego, a na powierzchni wody pływały płatki róż.

- Czy to kąpiel dla mnie? - zapytał. Służący skinął głową. - Będę po niej pachniał jak piesek pokojowy - stwierdził Max, choć w duchu przyznał, że zapach drzewa sandałowego jest całkiem przyjemny.

Wanna była ogromna i przypominała raczej basen w gabinecie odnowy klubu piłkarskiego. Max doszedł do wniosku, że mógłby w niej nawet potrenować nurkowanie.

- Zapraszam - powiedział służący, wskazując gestem łazienkę, po czym umieścił plecak Maksa na stojaku do walizek.

Chłopiec zrobił krok naprzód, czując się, jakby wkraczał w świat *Baśni z tysiąca i jednej nocy*. Ustawione za wanną parawany

z drewnianych kratownic chroniły przed niepowołanymi spojrzeniami, lecz zarazem pozwalały chłopcu sięgnąć wzrokiem ponad dachami starego miasta. Na horyzoncie wznosiły się olbrzymie pokryte śniegiem górskie szczyty oświetlone ostatnimi promieniami zachodzącego słońca. Były to góry Atlas. Jak daleko się znajdowały? O kilka godzin drogi? Gdzieś za nimi mieszkał ojciec Sophie, a Max był pewien, że właśnie tam prowadziły go wskazówki pozostawione przez Zabalę w rezydencji d'Abbadiego.

Te wskazówki zdawały się łączyć Zabale, ojca Sophie oraz kwestię ochronny dzikich zwierząt zagrożonych wyginięciem. Między tymi elementami musiał istnieć jakiś związek. Max nie znał Maroka. Przywołał z pamięci opowieści, które słyszał w dzieciństwie - historie o Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach, cudownej lampie Aladyna i latającym dywanie. Lecz poza tym nie wiedział nic o tym świecie, którego widoki, dźwięki i zapachy były tak egzotyczne, iż czuł, jakby mogły unieść go gdzieś daleko i...

Przerwał te rozmyślenia, gdyż raptem przypomniał sobie o niedawnej lawinie i to wysssało z pokoju całe ciepło i urok. Tymczasem służący zasłał łóżko, wyjął z minibarku butelkę schłodzonej wody, otworzył ją i wlał połowę do szklanki, którą następnie postawił na podkładce z niewielkich kamyczków połączonych drutem, wykonanej misternie przez miejscowego rzemieślnika. Potem wskazał na lampy, klasnął cicho i uśmiechnął się, gdy zapłonęły jasnym światłem.

To było fantastyczne. Maksowi coraz bardziej podobały się te bajkowe luksusy.

Mężczyzna, zadowolony, że rozbawił gościa, skłonił się i wyszedł. Max dokładnie obejrzał pokój. Łoże było naprawdę wielkie i pomieściłoby kilka osób. Znajdowały się tu także odtwarzacz kompaktowy z dużym wyborem płyt z muzyką międzynarodową i lokalną, wejście do internetu, misa z owocami oraz lodówka

z minibarkiem pełnym napojów gazowanych i soków owocowych. Max uznał, że jedzenia i picia wystarczyłoby mu co najmniej na tydzień.

Podniósł słuchawkę telefonu stojącego na nocnym stoliku, wybrał zewnętrzną linię i wystukał numer komórki Sayida. Usłyszał tylko standardowy tekst automatycznej sekretarki. Zostawił krótką wiadomość, nie zdradzając jednak miejsca swojego pobytu w obawie, że przyjaciel mógł zostać zatrzymany przez policję - po czym się rozłączył. Zastanowił się, dlaczego telefon Sayida nie odpowiada. Przecież do tej pory powinien już dotrzeć do domu. Max zdawał sobie jednak sprawę, że nic nie może na to poradzić. Wiedział, że przyjaciel nie zdradzi policji więcej, niż to będzie konieczne.

Przed odpoczynkiem musiał zrobić jeszcze jedno. Pogrzebał w plecaku i wyjął niewielką tubkę superkleju przeznaczonego do podręcznych napraw. Po piętnastu minutach wytężonej pracy z użyciem ostrza korkociągu z minibarku udało mu się jakimś cudem doprowadzić swoje zdarte i podziurawione adidas do znośnego stanu i nie skleić sobie przy tym palców.

Następnie zrzucił ubranie na podłogę, wsunął płytę kompaktową do odtwarzacza, otworzył puszkę coli, wziął ze stołu owoc mango oraz paczkę czipsów i podszedł do olbrzymiej wanny. Poczuł się nagle bardzo zmęczony i uznał, że bez względu na płatki róż weźmie długą kąpiel.

Balansując, przekroczył szeroką krawędź wanny i zanurzył się w aksamitnie ciepłej głębokiej wodzie. Obrał skórkę z mango i wbił zęby w żółty miąższ o smaku słońca. Sok trysnął naokoło, ale Max znajdował się w miejscu nadającym się idealnie do jedzenia soczystych owoców. Potem zjadł całą paczkę czipsów i wypił łączywie puszkę coli. Szkodziła na zęby, ale nie dbał o to. Jakiś głos w głowie mówił mu, że zasłużył na tę ucztę.

Klasnął w dłonie.
Światła przygasły.

233

Drugie klaśnięcie.
Muzyka zabrzmiała głośniej.
Klasnął po raz trzeci - po prostu z radości.

Bez względu na to, jak wielkie bogactwa posiadał Tiszenko, nie był w stanie zapanować nad atlantycką mgłą, która pokryła rejon południowej Francji i północnej Hiszpanii, uniemożliwiając wszelką komunikację powietrzną.

Rekinia Twarz czekał w Biarritz w prywatnym odrzutowcu, aby polecieć do porzuconego wojskowego lotniska leżącego na południe od Marrakeszu, skąd miał dowodzić pościgiem za Maksem. Jednakże kaprysy pogody pokrzyżowały te plany i unieruchomiły samolot na pasie startowym. Zadanie należało więc zlecić komu innemu. Wystarczył jeden telefon do Maroka - Tiszenko rzucał obietnice sówitej zapłaty niczym złote monety na zakurzone ulice starego miasta. Inni zabójcy schwytają Maksa.

Samochody ludzi Rekiniej Twarzy oraz pojazd Bobby'ego przemierzały powoli Francję, kierując się ku granicy szwajcarskiej odległej o kilkaset kilometrów. Sayid i Bobby nadal leżeli związani na podłodze furgonetki. Łzy Sayida już obeschły, a Amerykanin kiwnął do niego głową, starając się tym gestem wyrazić pociechę, współczucie i zrozumienie. Sayid płakał nie z powodu przerażenia, jakie wzbudzili w nim ci zabójcy, chociaż przeżył szok, usłyszawszy o śmierci hrabiny. Nie - łkał z rozpacz, że zdradził im, iż Max jest w Maroku. Mdlący ból z powodu wydania

najlepszego przyjaciela skręcał mu wnętrzności, jakby wbijano mu w brzuch tępy nóż.

Jak wielkie niebezpieczeństwo sprowadził na Maksa? Przyjaciel nie wtajemniczył go szczegółowo w swoje plany, niemniej jednak powiedział wystarczająco wiele, by teraz jego wrogowie zyskali jaśniejsze pojęcie o tym, co odkrył.

Max otrzymał od Zabali kryształowy wisiołek, a potem znalazł coś w rezydencji d'Abbadiego, gdzie zaatakowali ich Niem-

234

cy oraz gang Rekiniej Twarzy. Sayid nie wiedział niczego więcej oprócz tego, że przyjaciel pojechał do Maroka.

Rekinia Twarz przysunął szlifierkę kątową do opatrunku gipsowego Sayida, a potem zaczął ją rozmyślnie powoli opuszczać, tak że gipsowy pył obsypał chłopca. Jeszcze tylko parę milimetrów i...

Wtedy Sayid wrzasnął na Rekinię Twarz. Wykrzyczał mu żadaną informację. Wyjawił ją ochoczo. Zrobiłby wszystko, byle tylko powstrzymać ten horror.

Teraz, leżąc na podłodze furgonetki, rozmyślał o tym, jak często w przeszłości fantazjował o zostaniu bohaterem. O tym, że podobnie jak Max będzie ratował ludzi i znajdzie wyjście z każdej, nawet najbardziej przerażającej sytuacji.

Jak dotąd rzeczywistość okazywała się całkiem odmienna.

Zanim tata Maksa ocalił rodzinę Sayida na Bliskim Wschodzie, jego ojciec działał na rzecz przywrócenia pokoju w tym regionie. Pewnej nocy w domu zjawili się terroryści i zamordowali go. Sayid wciąż jeszcze czuł

zapach kordytu i słyszał ogłuszający huk broni oraz krzyki matki i swoje. Kilka chwil później ciemności i kłęby dymu przebiło światło latarek, gdy brytyjskie oddziały wzięły szturmem ich dom. Pamiętał błyski wystrzałów i ich gromkie echo. Zginęli kolejni ludzie - zabójcy. Potem żołnierze wynieśli Sayida i jego matkę do czekającego śmigłowca. Jakiś Anglik przemówił do nich pocieszająco po arabsku. To był ich przyjaciel Tom Gordon - człowiek, którego ojciec Sayida nazywał bratem i z którym dzielił się jedzeniem przy ich stole. Tom Gordon obiecał wtedy, że zaopiekuje się nimi, aby uczcić pamięć ojca Sayida - wspaniałego odważnego człowieka.

W ten sposób Sayid trafił do liceum w Dartmoor razem z synem Toma Gordona. A teraz zejście lawiny, walka w rezydencji d'Abbadiego i porwanie przez gang motocyklistów obnażyły jego strach. Zdradził nie tylko najlepszego przyjaciela, lecz także pamięć swego ojca.

235

Furgonetka podskoczyła na wyboju. Żółte światła autostrady lśniły w przedniej szybie. Chłopiec popatrzył na siedzących z przodu zbirów, a potem spojrział na Bobby'ego, który leżał nieruchomo z zamkniętymi oczami.

Jednej rzeczy Sayid nie wyjawiał torturującym go opryszkom - informacji o znalezionej w rezydencji kartce. Doskonale pamiętał wszystkie liczby. Wyciągnął rękę i zdrapał zaschnięte błoto z podeszwy buta. Te liczby były ważnym elementem zagadki.

Pocieszył się myślą, że wciąż może coś zrobić, żeby pomóc Maksowi. Może złamać ten szyfr i przekazać przyjacielowi uzyskaną informację. W

jaki sposób? Tego nie wiedział, ale w głębi duszy wierzył, że Max go odnajdzie.

Abdullah umieścił paszport Maksa w swoim prywatnym sejfie i spytał, czy chłopiec chce tam schować również medalion. Max odmówił. Pochwycił błysk w oczach Araba i uświadomił sobie, że ów mężczyzna może wiedzieć o znaczeniu tego przedmiotu.

- Ten wisiorek to amulet przynoszący panu szczęście, tak? - rzucił właściciel riadu.
- Coś w tym rodzaju.
- Jeżeli jest cenny, powinien pan włożyć go do mojego sejfu. Udaje się pan teraz na główny plac? - zagadnął niezobowiązująco.
- Tak, na Djemaa el-Fna - odparł Max.
- Na plac Umarłych - przetłumaczył Abdullah rzeczowym tonem.
„Czy on próbuje mnie nastraszyć?” - zastanowił się chłopiec, wytrzymując spojrzenie mężczyzny.
- Podobno to miejsce tętni życiem - powiedział.
Abdullah skinął głową.
- Owszem, ale muszę ze wstydem wyznać, że w moim mieście grasują złodzieje.

Max rozważył przez chwilę te słowa i sięgnął do wisiorka na szyi w chwili, gdy mężczyzna wyciągnął po niego rękę. Jednak tylko podciągnął skórzany rzemyk, zawiązał go jak szkolny krawat, a potem mocniej zacisnął pętlę.

- To nic cennego, ale dostałem go od przyjaciela - rzucił nonszalancko. -

Widzi pan? - dodał, wkładając dwa palce za rzemyk i demonstrując w ten sposób, że przylega do szyi, ale jej nie uciska. - Teraz nikt mi go nie ukradnie.

•Chyba że poderżnie panu gardło - stwierdził Abdullah bez uśmiechu.

Na olbrzymim placu Djemaa el-Fna usytuowanym w centrum Marrakeszu płonęły dziesiątki ognisk, na których gotowano rozmaite potrawy. Te ogniska oraz latarnie z barwionego szkła rzucały chwiejne cienie, które kawałkowały ruchy wlokących się powoli tłumów niczym w marnie oświetlonym nocnym klubie. Mężczyźni w tradycyjnych arabskich strojach, trzymający na łańcuchach małe ruchliwe małpki o czarnych twarzach, pozowali turystom do zdjęć albo pozwalali, by ci stali mniej lub bardziej nerwowo, z małpkami trajkoczącymi na ich ramionach.

Maksa nagle ogarnęło przygnębienie. Biedne małpki robiły fikołki, a potem siadały skulone ze strachu i wpatrywały się w przedstawicieli wyższego gatunku naczelnych, którzy ciskali drobne monety do odwróconych kapeluszy. Potem właściciel pociągał za łańcuch, rzucał gardłowym głosem komendę i małpka znów rozpoczynała przedstawienie.

„Dajcie dla małpy! Dajcie dla małpy!” - wołał treser, nakłaniając gapiów, by wrzucali więcej monet.

Max i Sophie precyzyjnie przemieszczały się w głąb placu. Zewsząd otaczały ich twarze i ramiona ludzi, którzy tłoczyli się i przemawiali. Pieniądze przechodziły z rąk do rąk, a brudne zęby szczyrzyły się w uśmiechach. Zmięte banknoty trafiały do poplamionych tłuszczem dłoni, gdy miejscowi mieszkańcy i turyści kupowali

gorące plastry kebabów z jagnięcym mięsem i pieczone warzywa. Właśnie tutaj tubylcy, pokrzykując, napływali z wąskich uliczek, aby się posilić. Dym wisiał nad placem jak ciężki wełniany koc. Max, nie zważając na piekące oczy, uważnie obserwował wszystko, co się wokół niego działo.

Mężczyźni w cztero- bądź pięcioosobowych grupkach przygrywali na fletach, blaszanych fujarkach i cymbałach oraz uderzali zakrzywionymi pałeczkami w bębenki, włączając się pośród tłumów. Bębny *ganga* walczyły o prymat z basowymi lutniami *haejuj*. Wokół siedziały kobiety o twarzach i ramionach misternie wymalowanych henną. Jakiś stary człowiek - lekarz, sądząc z małej tabliczki - siedział po turecku na ziemi otoczony butelkami z ziołami i badał spuchniętą dłoń jakiejś matrony.

Max i Sophie odwiedzili kolejno kilka stoisk z potrawami i najedli się do syta. Gordon uwielbiał jeść palcami i nie troszczyć się o żadne maniery przy stole. Było to równie przyjemne jak weekendowy wypad na kemping - z tą różnicą, że tutaj podawano ci już gotowe jedzenie.

W małej restauracyjce na skraju placu serwowano miętową herbatę i soki owocowe.

- Całe miasto co wieczór przychodzi tutaj jeść. Trwa to do późnych godzin nocnych - rzekła Sophie.
- To jak uliczne party! - zawołał Max, przekrzykując hałas muzyki i gwar rozmów.

- Dobrze ci w tym - orzekła dziewczyna. - Pasuje do ciebie.

Max miał na sobie bawełnianą galabiję. W hotelu przeżył chwilę paniki, gdy zdał sobie sprawę, że personel zabrał jego ubranie do prania i zostawił mu w zamian ten arabski strój. Na szczęście nie wzięli jego adidasów, które wystawały teraz spod długiej powiewnej szaty.

Wkładając ją przez głowę, miał przez moment wrażenie, że ubiera się w sukienkę, lecz natychmiast docenił praktyczność luźnego bawełnianego stroju. Był przewiewny i zapewniał swobodę ruchów.

238

Chłopiec powoli przepychał się przez tłum, ciągnąc za sobą Sophie. Dziewczyna mocno trzymała jego dłoń, jakby się obawiała, że gdy ją wypuści, natychmiast porwie ją przeciwny prąd ludzkiego oceanu. Przyglądała się, jak Max toruje sobie drogę przez gąszcz ciał, i rozmyślała o tym chłopaku. Był tutaj obcy, w nieznanym sobie otoczeniu, ścigany przez zdecydowanych na wszystko zabójców, jednak w uścisku jego ręki wyczuwała wewnętrzną siłę. Był pewny siebie i opiekuńczy wobec niej. Jakże niewiele wiedział o niebezpieczeństwach grożących w tym rejonie świata, gdzie ludzkie życie można sprzedać za cenę jednego posiłku.

Max był oczarowany ruchliwością i niefrasobliwością tłumu. Kramarze wykładali na straganach swoje towary. Ułożone w stosy pomarańcze przecinano i wyciskano, zespoły tancerzy przyłączały się do muzyków, a wróżbiarze energicznie wymachiwali rękami, przepowiadając każdemu szczęśliwy los.

Chłopiec zatrzymał się przy zaklinaczu węży, który siedział na wyblakłym dywaniku, hipnotyzując kobrę. Gad kołysał leniwie swym skreconym cielskiem w rytm melodii granej na flecie przez starca i łagodnych gestów jego ręki.

Płaski łeb węża połyskiwał, ciało wiło się i wygięło w łuk, a czarne oczy odbijające potrzaskane odpryski światła wejrzały w duszę chłopca, mając go iluzją spokoju. Gad zakołysał się z hipnotyczną powolnością i

zwodniczym czarem, którym usypiał czujność ofiary.

Potem kobra, wściekle sycząc, zaatakowała z odsłoniętymi kłami.

Sprężysta moc skręconego ciała błyskawicznie pchnęła węża obok starego mężczyzny, prosto w kierunku Maksa i Sophie. Chłopak szarpnął się do tyłu, osłaniając dziewczynę ramieniem, ale pomarszczony starzec, który sprawiał wrażenie na wpół ślepego, nieuchwytnym ruchem wsunął dłoń pod kaptur kobry i obrócił rękę w nadgarstku, tak że gad owinął się wokół jego

239

ramienia. Potem przysunął wijący się język kobry do swych ust i pocałował go.

Tłum wydał westchnienie podziwu - miejscowy odpowiednik oklasków - a w odwróconym kapeluszu starca zabrzęczały wrzucane monety.

Max uśmiechnął się z zakłopotaniem. Być może pospieszył się z reakcją. Lecz czy można reagować za szybko, gdy atakuje cię kobra?

Sophie delikatnie dotknęła jego ramienia. Doceniła błyskawiczny, odważny gest chłopca. Atak kobry był jedynie sztuczką starego zaklinacza węży - ale przecież Max nie mógł o tym wiedzieć.

Jednak tych kilka sekund grozy wyostrzyło zmysły chłopaka. Instynktownie wyczuł inne niebezpieczeństwo domagające się jego pełnej uwagi. Lecz co mu zagrażało? I z której strony? Max przebiegł wzrokiem po otaczających go ludziach. Było tu coś niepokojącego. Jakiś mężczyzna napotkał jego spojrzenie i po ułamku sekundy odwrócił wzrok. Potem spostrzegł dwóch innych, których widział już wcześniej tego wieczoru. Wybierał stoiska z jedzeniem i rozrywki na chybił trafił, było więc

niezwykle mało prawdopodobne, aby przypadkiem dwukrotnie napotkał te same osoby.

- Przejdźmy na skraj placu! - zawołał, wskazując Sophie kierunek nad głowami tłumu.

Dziewczyna skinęła głową. Choć Max był zafascynowany tłumem, uświadomił sobie, że w tym kłębowisku może zostać zaatakowany łatwiej niż w dziczy. Na otwartej przestrzeni wroga dostrzega się już z daleka, natomiast w takich miejscach można podejść niepostrzeżenie. Ale dlaczego przychodzi mu to do głowy? Czemu Sophie miałyby zwabić go tutaj w pułapkę, skoro mogła zorganizować napaść w dowolnej chwili, odkąd opuścili Biarritz?

Poczuł, że ogarniają go lęk i paranoja.

240

„Opanuj się - powiedział sobie. - To wszystko z powodu szaleństwa tego tłumu. Ten plac przypomina stadion Wembley -tyle tylko, że panuje tu dwukrotnie większy hałas”.

Nagle wydało mu się, że nigdy nie zdoła się przebić przez zbitą ludzką masę. Przyciągnął Sophie bliżej do siebie. Chciał ją mieć tuż obok, nie dalej niż o krok. Stłoczonymi ludzkimi ciałami wstrząsnął dreszcz energii; ręce wyciągnęły się do Maksa i zaczęły go szarpać. Chłopiec poczuł, że ktoś wykręca mu przegub. Sophie znalazła się o metr od niego. Oddzielało go od niej dwóch mężczyzn, a ich potylice natychmiast zasłoniły jej twarz. Wciąż trzymała go za rękę, lecz jej dłoń zaczęła się wyslizgiwać. Przez głowę Maksa przemknęło wspomnienie Zabali wypuszczającego jego rękę i spadającego w przepaść. Zobaczył, że usta dziewczyny wymówiły jego

imię. W rzeczywistości zawołała je, lecz jej krzyk zagłuszyły wrzaski tłumu. Jeden z mężczyzn odwrócił się do Maksa. Chłopiec ujrzał tę samą twarz co poprzednio. Napastnik tępo spojrział na niego mętnymi oczami; prawdopodobnie był odurzony jakimś narkotykiem. Nagle wyciągnął rękę, chcąc chwycić medalion. Max zablokował jego ruch, lecz to zmusiło go do puszczenia dłoni Sophie.

Potem chłopiec poczuł, że czyjeś paznokcie sięgają mu do twarzy. Ktoś rzucił mu na ramię wrzeszczącą małpkę na łańcuchu. Jej drobne pazurki zadrapały go w policzek i wczepiły się we włosy, a potem szarpnęły za skórzany rzemyk, na którym wisiał medalion.

Max zamachnął się i złapał małpkę za miękkie futerko, lecz zaraz krzyknął z bólu, gdy ugryzła go w przedramię. Odrzucił więc zwierzę od siebie i chwycił za łańcuch, chcąc dostać mężczyznę na jego drugim końcu. Jednak ktoś kopnięciem podciął mu nogi i chłopiec upadł ciężko na ziemię. Wokół jego twarzy zawirowały sandały i brudne stopy, śmieci i resztki jedzenia. Od-toczył się na bok i usiłował dźwignąć się na nogi. Miał wrażenie, że przygniotła go druga lawina.

241

— Sophie! - zawołał, odpychając łokciami kogoś, kto próbował go chwycić.

Napastnik stęknął, a potem wrzasnął z bólu, gdy cios trafił go w kość policzkową. Maksa szarpano teraz gwałtownie, tak że nie mógł się bronić. Atakowało go kilku chłopców wyglądających na ulicznych łobuziaków, lecz przeszkadzał im napierający tłum.

Raptem Gordona sparaliżował strach. Czy jest pośród nich Rekinia Twarz? Rozejrzał się rozpaczliwie, ale nigdzie nie dostrzegł okrutnego

nastolatka o nierównych zębach.

Ludzkie ciała waliły się i padały na ziemię. Max ujrzał, że Sophie w walce wręcz obaliła mężczyznę dwakroć cięższego od niej. Potem rozejrzała się po zbitej masie ludzkiej i dostrzegła Gordona. Jednak zanim zdołała się do niego odezwać, czyjeś inne ramię zdusiło jej gardło. Odwróciła się błyskawicznie i chłopak stracił ją z oczu. Wrzasnął głośno, by wyzwolić w sobie agresję. Nie zauważył jednak, że przez tłum przepłynął teraz prąd innej energii, niczym fala uderzeniowa. Rozległy się okrzyki protestu, lecz zaraz umilkły. Max popełznął przez gąszcz nóg w kierunku Sophie. Młodociani napastnicy usiłowali go schwytać, lecz umknął im szybko niczym gracz w rugby walczący w ścisku o piłkę.

Po pięciu metrach wy dostał się na powierzchnię. Teraz walczyło ze sobą więcej mężczyzn, gdyż bójka zataczała coraz szersze kręgi. Raptem ujrzał Abdullaha. Za nim niczym eskortujące niszczyciele w bitewnym szyku podążali dwaj ludzie z personelu hotelowego. Wszyscy trzej mężczyźni nie rzucali żadnych gróźb, tylko w milczeniu przebijali się przez ciżbę. Obydwaj służący nieśli zapalone latarnie, toteż wydawało się, że Abdullah ma u ramion dwa potężne świetliste skrzydła.

Wyglądał jak anioł nocy.

Max przez chwilę zapomniał o walce i wpatrzył się w niego.

- Abdullah! - krzyknęła Sophie; potężny mężczyzna odwrócił się i ruszył prosto do niej.

Max znajdował się zaledwie kilka metrów od dziewczyny. Abdullah uderzył grubym kijem jednego z napastników. Ten natychmiast upadł, a

wtedy wszyscy trzej mężczyźni po prostu przeszli po nim, prawdopodobnie łamiąc mu kilka żeber. Drugi opryszek nierozsądnie usiłował przeciwstawić się ich niepowstrzymanemu impetowi. Jeden ze służących podsunął mu pod oczy latarnię. Napastnik zasłonił dłonią oczy, a wówczas Abdul-lah walnął go w głowę pięścią jak drewnianym młotem. Chłopak upadł, a pozostali ulicznicy rozproszyli się w popłochu.

Max dotarł do Sophie niemal równocześnie z Abdullahem. Potężny mężczyzna rzucił bez uśmiechu krótki rozkaz:

- Chodźmy stąd!

Odwrócił się i ruszył naprzód. Max i Sophie podążyli za nim, a tłum rozstał się przed nimi niczym Morze Czerwone przed Mojżeszem. Chwilowo byli bezpieczni.

Jednak Max już wiedział, że zabójcy go odnaleźli.

18

W przeszłości Angelo Farentino był dzielnym człowiekiem. Dokonywanie odważnych czynów przychodziło mu lekko i bez trudu. Przez wiele lat bronił i wspierał ludzi, którzy przemierzali świat, tropiąc niebezpieczne praktyki zagrażające środowisku naturalnemu.

A potem pewnej nocy obudził się przerażony i sparaliżowany strachem. W ciemności osaczyły go najstraszliwsze lęki. Nie potrafił już dłużej znieść szykan i gróźb swych przeciwników. Nagle uświadomił sobie, że mógłby bezpiecznie przetrwać, a nawet stać się bogaty. W tym celu musiał jedynie zdradzić tych, którzy mu bezgranicznie ufali.

Nasiona tej zdrady nosił w sobie już od miesięcy, a może nawet lat, jak zarazki utajonej choroby. Nieco później pojął, że powodem było to, iż nie mógł zdobyć pewnej upragnionej kobiety. Odczuwał wówczas ból i męki zazdrości - a później zawałdął nim gniew, który osłabił go i wyrwał coś istotnego z jego serca.

Jego odwaga już nigdy nie powróciła, lecz instynkt przetrwania pozostał nietknięty. Właśnie dlatego spierał się teraz z Ti-szenką. W gruncie rzeczy nie tyle się kłócił, ile raczej żarliwie błagał - ponieważ to, czego żądał Tiszenko, mogło kosztować Farentina życie.

- Chcesz, żebym pojechał do Anglii i porozmawiał z Tomem Gordonem?
- upewnił się raz jeszcze.

244

Tiszenko nie miał warg - w dzieciństwie wypaliło je uderzenie pioruna - ale szczelina jego ust rozchyliła się teraz w uśmiechu.

- Wiemy, gdzie on jest, i wiemy, że jego umysł jest kruchy jak latawiec podczas burzy.

Farentino łyknął drinka ze szklanki, którą Tiszenko przed chwilą mu podał. Popijanie napoju dawało mu pretekst do odwracania wzroku od rozmówcy, którego wygląd zawsze wywoływał w nim dreszcz obrzydzenia. Odrażająca twarz Tiszenki naruszała poczucie dobrego smaku Farentina, miłującego sztukę i piękno.

Tiszenko pociągnął swój napój przez słomkę i powiedział cicho:

- Znasz jego syna Maksa. Ten chłopak wplątał się w dość nie zwykłą aferę. Zmylił czujność moich ludzi i odkrył pewną informację, która może mi poważnie zaszkodzić, jeśli trafi do

kogoś obdarzonego inteligencją i wiedzą wystarczającą, by ją zrozumieć.

Farentino zlecił niegdyś zabójstwo Toma Gordona i jego syna, które się jednak nie powiodło. Znał więc doskonale Maksa i wiedział, jak bardzo potrafi być uparty.

- Czemu Max Gordon się w to wplątał? - zapytał.
- Nie jestem pewien, czy natknął się na tę poszukiwaną przeze mnie informację przypadkowo, czy też jego ojciec ma z tym coś wspólnego.
- Tom nigdy nie wystawiłby świadomie swego syna na żadne niebezpieczeństwo. To wykluczone - zaprotestował Farentino.
- Obydwaj kontaktują się ze sobą telefonicznie. Jeśli Tom Gordon dowie się czegoś o moich planach, wpędzi mnie w wielki kłopot - a może nawet będzie mógł je udaremnić. Nastolatek i pomyłony mężczyzna nie mogą przeszkodzić mojemu przeznaczeniu.
- A ja mam pójść do Toma Gordona i zapytać go, co wie o tej sprawie? Przecież on mnie zabije na miejscu. Zabije mnie!

245

Tiszenko przyglądał się słońcu wschodzącemu nad Alpami. Ognista kula ciskała świetliste włócznie między poszarpanymi górskimi szczytami. Jeśli jego plany się powiodą, ten życiodajny glob straci swe znaczenie.

Wciąż obserwując wschód słońca zabarwiający niebo ciepłym blaskiem, rzekł:

- Przez większość czasu Tom Gordon nie wie nawet, kim jest. Pozostały mu tylko okruchy pamięci. Jeżeli wszczął śledztwo, wykorzystując swego syna jako nieoficjalne źródło informacji, wówczas odzyska pełnię władz

umysłowych - przynajmniej w zakresie ostatnich wydarzeń. Nie obchodzi mnie, jak tego dokonasz. Po prostu pojedź tam i porozmawiaj z nim. Przekonaj go, że wciąż jesteś jego przyjacielem. - Tiszenko odwrócił się do przygnębionego Farentina i na jego oszpeconej twarzy wykwitł uśmiech. - A potem będziesz mógł znowu nacieszyć się swoją zdradą.

Po godzinie jazdy, którą Max przespał, Abdullah wjechał land cruiserem w załom zbocza wzgórza i mroczny cień skrył masywny pojazd. Mężczyzna chciał się upewnić, że nikt ich nie śledzi. Jeśli dotarła tutaj wiadomość o ich ucieczce z miasta, mogli spodziewać się zasadzki. Aby przeżyć, należało nauczyć się cierpliwości. Poza tym przyjaciel Sophie był chory. Po drodze Abdullah zatrzymywał się dwukrotnie, żeby Max mógł zwymiotować. Powodem choroby było ugryzienie przez małpę. Teraz chłopiec leżał głęboko uspiiony, z twarzą zroszoną kroplistym potem. Jednakże Abdullah nie chciał zbyt długo czekać, gdyż Max potrzebował opieki lekarskiej.

Podczas gdy chłopiec spał, Sophie usiadła obok niego na tylnym siedzeniu i używając samochodowej apteczki, oczyściła i opatrzyła ranę po ukąszeniu na jego ramieniu. Kiedy zaś nocny chłód pustyni zaczął przenikać do wnętrza pojazdu, naciągnęła na nich oboje koc. Abdullah i jego podwładny pozostali na straży.

W nocy Max niemal nie mógł się poruszyć, jednak o poranku poczuł się nieco lepiej. Niewątpliwie ostatnie wyczerpujące przejścia przyspieszyły rozwój infekcji. Miał obrzmiałe węzły chłonne na szyi i pod pachą i nadal odczuwał ból mięśni brzucha, lecz zawroty głowy minęły. Jednak rękę

wciąż miał sztywną i zdrętwiałą. Ujrzawszy opatrunek, uświadomił sobie, że to Sophie się nim zaopiekowała. Dziewczyna leżała skulona z głową na jego kolanach, pogrążona we śnie. Max łyknął wodę z butelki podanej mu przez służącego Abdullaha. Odwodnienie spowodowane wymiotami okropnie go osłabiło, a zapowiadał się upalny dzień, toteż obecnie bardziej potrzebował płynów niż jedzenia.

Sophie poruszyła się lekko. Max nie wiedział, jak ma się zachować wobec tej śpiącej dziewczyny, i ostatecznie postanowił jej nie budzić.

Gdy słońce oświetliło okolicę, chłopca zaskoczyło bogactwo i piękno gór i dolin. W oddali na zachód i południe aż do horyzontu rozciągała się surowa kamienista pustynia - migocząc w słońcu, ostrzegała, że już wkrótce będą musieli przebyć trudniejszy teren. Land cruiser jechał wyboistą drogą gruntową, która wiodła przez góry o ośnieżonych wierzchołkach, lśniących w ciepłym pomarańczowym blasku słońca.

Pojazd z napędem na cztery koła wpadł w głęboką koleinę, podskoczył i zakołysał się, a potem odzyskał równowagę. Sophie obudziła się w jednej chwili. Spojrzała na Maksa, zerknęła przez przednią szybę i zwilżyła językiem wyschnięte wargi. Podał jej butelkę z wodą. Wypiła łapczywie kilka łyków i oddała mu ją z powrotem.

- Dobrze się czujesz? - spytała. Skinął głową.

- Dziękuję, że opatrzyłaś mi rękę.

- Trzeba się było nią zająć - odparła, wzruszając ramionami.

- Mój ojciec zna się na ugryzieniach lepiej ode mnie i obejrzy twoją ranę.

- Laurent Fauvre został prawdopodobnie pogryziony przez wszystkie zwierzęta żyjące na powierzchni ziemi - odezwał się Abdullah.

Z wyrazu jego oczu widzianych we wstecznym lusterku Max i Sophie poznali, że się uśmiecha.

- Które zapewne potem zmarły wskutek zatrucia krwi - dodała dziewczyna, przeczesując dłonią włosy.
- Sophie, nie kpjij ze swojego ojca. Okaż mu trochę szacunku, dobrze? On wie, że naprawdę trudne życie - rzekł Abdullah łagodnym tonem.
- I właśnie to czyni go trudnym człowiekiem - rzuciła dziewczyna jakby do siebie.

Mężczyzna wzruszył ramionami. Wiedział o tarciach między ojcem a córką. Max wyczuł w powietrzu napięcie. Najwyraźniej Sophie i jej tata niezbyt dobrze się ze sobą dogadywali. Zastanowił się, w co takiego się pakuje.

- Czy jeszcze daleko? - zapytał, chcąc zmienić temat. Sophie wskazała głową przed siebie.
- To tam.

Max, mrużąc oczy, popatrzył przez zakurzoną przednią szybę. Ukośne promienie porannego słońca odbijały się jaskrawo w brudnym szkle, utrudniając obserwację. Na drugim końcu rozległej nagiej doliny ociosane głązy piaskowca stały w równych rzędach niczym kostki domina. Były niemal niewidoczne na tle wznoszących się za nimi gór, których poszarpane skalne granie rzucały cienie łagodzące surowość krajobrazu.

Wyteńczywszy wzrok, chłopiec dostrzegł wierzchołki palm daktylowych oraz przez moment błysk promieni słońca odbitych we wstędze wody

spadającej z górskiego zbocza.

- To wygląda jak miasto - stwierdził.

- Masz rację. Nosi nazwę Les Larmes des Anges - powiedział Abdullah. - Niegdyś była to najmocniejsza twierdza berberyjska. Później, kiedy walczyliśmy z Francuzami, utrzymywano w niej

248

załogę przez wiele lat. Mówię o okresie pomiędzy dwiema światowymi wojnami, o latach dwudziestych. W tej okolicy trwały zżarte walki. Żadna ze stron nie chciała nawet słyszeć o poddaniu się. To jedyne miasto w tym rejonie otoczone murami. Podczas ostatecznej bitwy w górach i na pustyni rozpętała się burza. Krople deszczu lśniły w promieniach słońca. Stąd pochodzi nazwa Les Larmes des Anges - Łzy Aniołów. Deszcz utrudnił obrońcom twierdzy widoczność i cały garnizon francuski wybito do nogi. Kiedy wiatr wieje od gór, można ponoć usłyszeć krzyki konających żołnierzy.

Spod kół land cruisera trysnął piasek, gdy Abdullah przyspieszył i skierował się ku starożytnemu miastu. Sophie umilkła i wpatrzyła się przed siebie w niszczące mury i plac, na którym czekał jej ojciec.

Dopiero gdy podjechali bliżej, mogli ocenić rozmiar tego obwarowanego miasta. Mury wznosiły się na wysokość trzydziestu lub czterdziestu metrów. Olbrzymie nabijane żelaznymi ćwiekami wrota zaczęły się powoli otwierać przed ich pojazdem. Gdy przejeżdżali przez sklepioną bramę, Max zastanawiał się, co go czeka w tym mieście, któremu Francuzi nadali nazwę Łzy Aniołów.

W rzeczywistości z miasta pozostało bardzo niewiele; zachowały się

jedynie zewnętrzne mury i kilka budynków. Cały obszar wewnętrzny przypominał ogromny ogród zoologiczny. Obszerne wykopane w ziemi koryta wypełnione wodą służyły zwierzętom za wodopoje. Inne z kolei stanowiły naturalne zagrody dla rozmaitych stworzeń. Mury, grube na co najmniej pięć metrów, ciągnęły się tak daleko, jak Max mógł sięgnąć wzrokiem, i dochodziły aż do skalnych występów, którymi pobliska góra usiłowała dotknąć ufortyfikowanego miasta jak palcami szkieletu.

Po jednej stronie murów Max zauważył otwory podobne do pieczar, pod którymi widniało kilka lejkowatych wylotów. Odwracając się w fotelu dżipa, dostrzegł przez moment czarne i ciemnopomarańczowe pręgi. Tygrys wspinał się po pniu starego

249

drzewa opartego dogodnie o skalne zbocze, które umożliwiało mu łatwy dostęp do legowiska. Futro lśniło w słońcu, a pod nim mięśnie falowały płynnie jak olej na wodzie. Olbrzymi kot, trzymający w pysku martwego kozła, pokonał jednym sprężystym skokiem parę ostatnich metrów i zniknął w mrocznych czeluściach swej kryjówki. Bardziej przerażający był drugi tygrys, który przyglądał się obojętnie samicy, leżąc na skalnej półce. Potem odwrócił wielką głowę w kierunku Maksa i popatrzył na niego bursztynowymi oczami spokojnie, ale czujnie.

- Widzieliście tego tygrysa? - rzucił podekscytowany chłópiec. - Był olbrzymi. Co to za miejsce? Przypomina park safari.

Abdullah skręcił i okrążył skraj kolejnego krateru. Przegrody będące dziełem ludzkich rąk niczym na torze przeszkód mieszały się z głazami i obalonymi pniami martwych drzew, tworząc idealne schronienie dla małąp.

- To doskonałe porównanie, panie Gordon - powiedział, kierując ostrożnie wielki pojazd ku rozległej otwartej przestrzeni zamkniętej na horyzoncie jakąś wysoką żelazną konstrukcją. - Te dziury w ziemi to leje po bombach. Są doskonałą kryjówką dla wielu tutejszych zwierząt. Trzeba pamiętać, że wiele z nich to przedstawiciele gatunków chronionych i zagrożonych wymarciem. Szczęśliwym trafem wojna i spowodowane przez nią zniszczenia dały tym stworzeniom szansę przetrwania. Podczas walk miasto zrównano z ziemią, lecz mury pozostały nienaruszone. Ojciec Sophie zmiecił bieg strumieni płynących z gór i stworzył w ten sposób naturalne wodopoje. Zwierzęta są tutaj tak bezpieczne, jak to tylko możliwe. Ach! A oto i Laurent.

Gdy Max wysiadł z samochodu, w obrębie murów robiło się coraz bardziej upalnie. Zatrzymali się przed metalową konstrukcją, która, jak teraz widział, była rusztowaniem podtrzymującym pomost trapezu przerzucony nad kolejnym lejem. Stalowe pręty sięgały wzwyż na co najmniej dwadzieścia pięć

250

metrów, a wzrok chłopca przykuła kołysząca się w górze postać ściskająca poprzeczkę trapezu.

Max przysłonił dłonią oczy. Spostrzegł, że człowiek na trapezie nie jest już młody - promienie słońca połyskiwały w jego siwych włosach. Jednak pomimo swego wieku miał ciało atlety, a pod wyciętą koszulką gimnastyczną uwydatniały się sprężyste mięśnie.

Po przeciwnej stronie rusztowania stał arabski chłopiec ubrany w bawełniane szorty i podkoszulek, huśtając nad przepaścią poprzeczkę drugiego trapezu. Max zobaczył, że mięśnie mężczyzny napięły się z wysiłku, gdy podciągnął się, obrócił, a potem puścił poprzeczkę i skoczył.

Przez moment zawisł nieruchomo w powietrzu jak samolot przeciągnięty podczas wykonywania akrobacji. Potem przekręcił się w samą porę, żeby złapać poprzeczkę nadlatującego trapezu. Z wyćwiczoną swobodą rozkołysał się w kierunku chłopca, który chwycił trapez. Laurent Fauvre usiadł na pomoście, posypał dłonie talkiem, po czym chwycił linę i zjechał po niej do podstawy rusztowania.

Abdullah trącił Maksa łokciem, wskazując, by zajrzał do dziury w ziemi pod pomostem. Z pozoru wyglądała tak jak inne kratery, lecz okazało się, że jest pełna ostrych poszarpanych głazów.

- Żadnej siatki zabezpieczającej - szepnął. - Gdyby spadł, zginąłby na miejscu.

Ruszył w kiermiku rusztowania, a Max podążył za nim. Nie dość, że Laurent Fauvre za każdym razem, gdy wchodził na trapez, ryzykował życie, to okazało się, że spuścił się po linie prosto do wózka inwalidzkiego.

Fauvre wytarł twarz ręcznikiem i powiesił go sobie na szyi. Abdullah nachylił się i ucałował go w obydwa policzki, a potem uścisnął mu dłoń i trzymał ją przez chwilę w serdecznym przyjacielskim geście.

- Litościwy Allah cię ocalił, mój przyjacielu - rzekł.

- Najwyraźniej wstawiłeś się za mnie u niego - odparł

z uśmiechem Francuz, po czym spojrzał na Sophie.

Max trzymał się na uboczu. Fauvre już wcześniej rzucił spojrzenie w jego kierunku i wydawało się, że natychmiast o nim zapomniał.

- Witaj, Sophie - powiedział mężczyzna głosem nabrzmiałym miłością; głębokie zmarszczki na jego twarzy przypominającej zniszczoną skórę uwydatniły się jeszcze bardziej w uśmiechu. Dziewczyna pocałowała go i odparła:

- Cześć, tato.

i Uśmiechnęła się, lecz Max widział, że zrobiła to z przymusem. Fauvre także zdawał sobie z tego sprawę. Przez chwilę jego oblicze przesłonił cień smutku, lecz zniknął równie szybko, jak się pojawił. Mężczyzna skinął głową.

- Dzięki Bogu, że jesteś już bezpieczna - rzucił z ulgą. - Przysparzasz mi więcej zmartwień niż wszystkie zwierzaki, którymi się opiekuję.

- Nie zaczynaj znowu, tato - powiedziała cicho Sophie.

Jej ojciec zamierzał jeszcze coś dodać, lecz po krótkim namyśle zrezygnował i popatrzył na Gordona.

- A więc to jest ten chłopiec, który ci pomógł? - rzekł. Wyciągnął rękę do Maksa - który zrobił krok naprzód - i uściśnął mu dłoń mocno, ale nie usiłując jej zmiążdżyć, jak często czynią mężczyźni pragnący popisać się swoją siłą. - Witam cię serdecznie.

- Dziękuję, *monsieur* Fauvre. Sądzę jednak, że teraz to mnie udziela się pomocy.

Fauvre skinął głową i jeszcze przez chwilę wpatrywał się w oczy chłopca, a potem nacisnął guzik na poręczy wózka inwalidzkiego.

- Kiedy się rozgościsz, zjemy śniadanie. Abdullah, chciałbym

z tobą porozmawiać. Sophie, zaprowadź młodego pana Gordo na do jego namiotu.

252

Wózek ruszył z cichym warkotem motoru i dopiero wtedy Max zauważył, że wokół wszystkich zagród dla zwierząt wiodła specjalnie wybudowana kręta trasa. Dzięki temu Laurent Fauvre mógł w swym warownym mieście dotrzeć wszędzie, gdzie zechciał.

Chłopiec przyglądał się, jak odjeżdżał. Gdy Fauvre i Abdullah mijali żelazną klatkę ogradzającą pomost zbudowany nad głęboką jamą, do jej prętów rzucił się z dudniącym rykiem lew z wyszczerzonymi kłami. Spłoszone małpy zatrajkotały przeraźliwie, a Abdullah odskoczył do tyłu, trzymając się za serce. Natomiast na Francuzie ten niespodziewany atak nie wywarł żadnego wrażenia.

- Przestań! - krzyknął do lwa. - Przestraszyłeś Abdullaha!

Wsadził rękę między pręty klatki i podrapał warcząca paszczą. Olbrzymi samiec chrząknął i opadł na brzuch, jak domowy kot zadowolony z pieszczoty.

Trzasnęły drzwi samochodu. Max odwrócił się i zobaczył, że Sophie wyjęła ich plecaki.

- Nigdy nawet tego nie próbuj - powiedziała. - Ten lew to morderca. Wszystkie tutejsze wielkie drapieżne koty też - tyle że mój ojciec w to nie wierzy. Pewnego dnia go dopadną. Chodź, pokażę ci twój namiot.

Max podniósł swój plecak i ruszył za nią. A więc teraz będzie spał w namiocie? Miał tylko nadzieję, że Laurent Fauvre nie wypuszcza na noc

swoich kotów, jak robi się z domowymi kocurami w Anglii.

Przyjrzał się starożytnym fortyfikacjom. Obejście tego rezerwatu zajęłoby parę godzin. A każdy człowiek na tyle głupi, by wejść tu bez zaproszenia, rychło skończyłby jako śniadanie dla co najmniej tuzina dzikich zwierząt. Nie ma sensu umieszczać tu na bramie ostrzegawczej tabliczki: „Uwaga, zły pies”. Już bardziej stosowny byłby napis: „Uwaga, zły kot”.

Max zamierzał wykorzystać ten dzień na odpoczynek, a potem wypytać Laurenta Fauvre'a. Za tymi olbrzymimi murami po

253

raz pierwszy od bardzo dawna poczuł się bezpiecznie. Fragmentaryczne wskazówki ułożyły się w jego głowie w spójną całość. Pojął, że decydującym elementem tej zagadki jest przyjaźń i bliski związek pomiędzy Zabalą i Laurentem. Miał wrażenie, że gdy niedawno przyłożył rysunek trójkąta do mapy w atlasie, jego najdłuższy bok wskazał mu drogę właśnie do tego opustoszałego miasta. Zabala nie sprowadziłby przecież osoby, której powierzył swój sekret, na to odludzie bez istotnego powodu. Max żywił nadzieję, że trafił we właściwe miejsce, a tym powodem jest Laurent Fauvre.

Za zrujnowaną częścią miasta - w miejscu, gdzie przez lata zakładano ogrody zgodnie z mauretańską tradycją osiągnięcia spokoju duszy dzięki łagodnemu szmerowi płynącej wody - pod cienistą kępą palm daktylowych stało kilka namiotów. Max uważnie przyjrzał się otoczeniu. To była prawdziwa oaza. Także jego namiot nie wyglądał zwyczajnie - przypominał raczej namiot Beduinów albo mały namiot cyrkowy bądź

też... No cóż, wprawdzie nie zapewniał luksusów, ale jego materiał, dwuspadowy dach i dywany na podłodze były trochę w stylu Lawren-ce'a z Arabii. Brakowało jedynie wielbłąda i...

W tym momencie donośne parsknięcie wielbłąda przerwało jego rozmyślenia. Zwierzak stojący za krzakiem głogu w odległości niespełna dziesięciu metrów wystawił do chłopca swój ociekający śliną jęzor. Max już miał mu się zrewanżować podobnym gestem, gdy Sophie odsunęła klapę namiotu i powiedziała:

- Tu będziesz mieszkał.

Chłopiec wszedł do środka. Berberyjski namiot był zrobiony z wielbłądziego włosia, koziej wełny i płótna. Podobnie jak w pozostałych na jego podłodze leżały rozrzucone ręcznie tkane dywany i bawełniane poduszki. Wewnątrz panował miły chłód. Max położył plecak na łożku.

254

- Jest skromny, ale mam nadzieję, że będzie ci w nim wygodnie - powiedziała Sophie. - Za nim jest twoja toaleta i prysznic. Ojciec zatrudnia jedynie nieliczny personel, który zajmuje się głównie karmieniem i utrzymaniem zwierząt, toteż będziesz musiał poprosić o przygotowanie ci kąpieli.
 - To luksusy w porównaniu z namiotami, w których zazwyczaj sypiałem - odparł. - I dzięki, ale nie potrzebuję żadnych przyborów do mycia.
 - W porządku - rzuciła.
- * Stała tuż przy nim. Wyciągnęła rękę i odgarnęła mu z oczu kosmyk włosów. Max odruchowo odsunął głowę do tyłu.

„Co ona wyprawia?” - pomyślał. : Dziewczyna

westchnęła.

i - Na litość boską, Max. Nie bądź dziecinny. - Dotknęła dłonią jego czoła.

- Nadal masz gorączkę. Powiem o tym tacie.

- Nie rób niepotrzebnego zamieszania. Nic mi nie będzie.

" Odwrócił się od niej z bijącym sercem ogarnięty falą gorąca. Wciąż jeszcze był chory, lecz to, co teraz czuł, nie miało nic wspólnego z podwyższoną temperaturą. Wypakował z plecaka swoje ubranie na zmianę wyczyszczone i wyprasowane przez personel riadu. Max wyznawał zasadę, by zabierać ze sobą jedynie dwa komplety odzieży. W jednym chodził, a drugi w tym czasie prał.

„Pora przebrać się z powrotem w szorty i koszulę - pomyślał. - I odbyć małą pogawędkę".

- Ty też masz swój namiot? - rzucił do Sophie i natychmiast ipożałował swego pytania. Zabrzmiało, jakby się do niej wprasał.

Dziewczyna uniosła brwi, a potem się uśmiechnęła.

- Mam pokój w jednym ze starych domów. Potrzebuję większego poczucia zakorzenienia, niż może dać namiot.

; Znowu podeszła bliżej. Max usiłował przybrać poważny i skupiony wyraz twarzy. Musiał koniecznie ułożyć te szorty porządnie na łóżku. Sophie dotknęła jego ramienia.

255

„Uśmiechnij się dzielnie - powiedział do siebie Max. - Zrób minę luzaka. Nie ma się czym denerwować. To tylko dziewczyna".

- Co to jest? - spytała, dotykając medalionu.

Gordon wciąż miał się na baczności jak zdziczały kot przywabiony

miską jedzenia przez życzliwą osobę. Taki kot, jedząc, zerka jednym okiem na karmiącego, czy nie uczyni gwałtownego ruchu, by go schwytać. Wystarczy jeden fałszywy krok, a spłoszony kot rzuci się do ucieczki.

Chłopiec poczuł nagle, że przez kark przebiegły mu ciarki niepokoju.

- To coś, co dostałem od przyjaciela i postanowiłem zabrać ze sobą - odparł możliwie najbardziej beztrąsko.
- Ale to bardzo niezwykły przedmiot - powiedziała Sophie, przyglądając się uważnie wisiorowi.

Próbowała obejrzeć go, gdy Max spał w dziuple, ale wtedy medalion był ukryty pod ubraniem i zasłonięty ramieniem chłopaka.

- Och, nie uważam, żeby to było coś nadzwyczajnego - rzucił niedbałym tonem.
- Mogę go zobaczyć?
- Jasne. - Max pogrzebał przy rzemyku, który jednak zacisnął się pod wpływem potu i nie dawał się rozwiązać ani zdjąć przez głowę. - Cóż, chyba się nie uda.
- Nic nie szkodzi. Po prostu byłam wścibska. - Obdarzyła go uroczym uśmiechem, który oczarowałby nawet małpę i skłonił ją do zejścia z drzewa. „Ale nie tę małpę” - powiedział sobie w duchu Max. - Zobaczymy się na zewnątrz, kiedy już się odświeżysz. Tata zbada twoje ramię, a potem zjemy śniadanie.

Wyszła, opuściwszy klapę namiotu i Max został sam. Zgiął rękę i poczuł w niej ból promieniujący aż do barku. Mdłości nie ustępowały, lecz był pewien, że potrafi je opanować. Musi je opanować. To bezpieczne miejsce wydało mu się nagle klatką, w której go uwięziono.

- Na razie nie wolno dopuścić, żeby rana się zasklepiła. Dla tego nie założę ci żadnych szwów - rzekł Fauvre, przemywając ramię wacikiem.

Ślad po ugryzieniu przez małpę wyglądał paskudnie - z biegnącymi w górę ramienia, podobnymi do żył podskórnymi smugami.

Fauvre miał teraz na sobie luźną, przewiewną białą koszulę, a jego sparaliżowane nogi były ukryte w białych spodniach. Max pomyślał, że ten ubiór nadaje Francuzowi wygląd lekarza, lecz spostrzeżenie nie było zbyt pocieszające.

- Boli? - spytał mężczyzna, ostrożnie rozchylając brzegi rany.
- Trochę - odparł Max, pragnąc, by Fauvre jak najszybciej przestał obmacywać bolące miejsce palcami i smarować środkiem dezynfekcyjnym.
- Rana wciąż jeszcze jest zainfekowana i doszło do niewielkiego zatrucia krwi, które może się nasilić. Nie jestem pewien, ale być może świadczą o tym te czerwone linie pełzające w górę twojego ramienia. Kiedy ostatnio szczepiono cię przeciw tężcowi?
- Chyba dwa lata temu.
- Dobrze. Wobec tego zrobię ci zastrzyk ze środka przeciw-tężcowego i penicyliny. Wstrzyknę ci też multiwitaminę. To wzmocni twój system odpornościowy. Te zastrzyki bolą bardziej niż inne - człowiek ma wrażenie, że wstrzykują mu do żył zupę. Nie znoszę ich, ale robię je sobie co jakiś czas.
- Wobec tego wolałbym połknąć pigułkę.

Znajdowali się w niewielkim gabinecie, którego zdaniem Maksa Fauvre

używał do badania i pielęgnacji zwierząt. Francuz obrócił swój wózek inwalidzki i otworzył niewielką lodówkę. Chłopiec zauważył, że wszystkie szafki były zawieszane na tej samej wysokości, co miało możliwie jak najbardziej ułatwić niepełnosprawnemu mężczyźnie prowadzenie normalnego życia.

- Oczywiście, że byś wolał. To o wiele łatwiejsze i w tych okolicznościach mniej więcej równie skuteczne co ssanie cukierka.

257

Poza tym stosowanie pigułek jest znacznie mniej zabawne - rzekł Fauvre i dodał z uśmiechem: - To znaczy dla mnie.

Wyjął z lodówki małą szklaną buteleczkę z lekarstwem i wciągnął z niej płyn do strzykawki przeznaczonej do zastrzyków podskórnych.

- Ugryzienia zwierząt oraz zadane przez nie rany potrafią na prawdę potwornie boleć - powiedział, wbijając bezceremonialnie igłę w ramię chłopca.

Max skrzywił się. Nienawidził zastrzyków, a ten zrobiono o wiele mniej delikatnie, niż uczyniłby to weterynarz szczepiący krowę.

Fauvre zdawał się czytać w jego myślach.

- Nie ma tu żadnych miłych pielęgniarek, jestem tylko ja. I nie mam odpowiedniego podejścia do pacjenta - rzekł, zbierając użyte instrumenty.

- W porządku. Nie było tak źle. Dziękuję.

Fauvre wyglądał na rozbawionego.

•Świetnie kłamiesz, Max. Te zastrzyki bolą jak diabli niczym ugryzienie węża - a ja mam w sobie tyle delikatności i współczucia co szarżujący

słoń.

- Ratuje pan zwierzęta z gatunków zagrożonych wymarciem, więc nie może pan być aż tak zły, *monsieur* Fauvre.
- Moja córka tak nie myśli. I mów mi Laurent. Zasłużyłeś sobie na to. Potrafisz prowadzić samochód?
- Tak - odparł Max.
- A zatem, młody człowieku, będziesz dzisiejszego ranka moim kierowcą - rzekł Fauvre, biorąc do ręki jeszcze jedną strzykawkę.
- Co w niej jest? - spytał podejrzliwie Gordon.
- Myślałeś, że już skończyliśmy? Jeszcze nie. To właśnie ta zupa, o której mówiłem. A zastrzyki z multiwitaminy robi się w... - Wskazał na siedzenie Maksa. - Spuść spodenki i myśl o ojczyźnie.

258

Max Gordon usadowił się ostrożnie w foteliku kierowcy melekse. Miał wrażenie, że przy ostatnim zastrzyku Fauvre posłużył się śrubokrętem.

- Nakarmimy teraz kilka zwierząt. Ruszajmy - powiedział Francuz, wskazując kierunek.

Max zdał sobie sprawę, że owo „my” oznaczało najwyraźniej, iż nakarmieniem zwierząt zajmie się tutejszy personel. Być może było to przejawem autokratycznego sposobu bycia Fauvre'a -który tak bardzo razit jego córkę.

Daszek wózka golfowego chronił Maksa przed coraz mocniej palącymi promieniami słońca. Zapowiadał się upalny dzień. Fauvre wskazał drogę i chłopiec wcisnął pedał gazu.

„Jedź spokojnie, rozejrzyj się i poznaj okolicę” - powiedział do siebie w

duchu.

Zastanawiał się, czy zauważy coś rzucającego się w oczy, co wyjaśni mu, dlaczego wskazówki Zabali zaprowadziły go właśnie tutaj. Przyglądając się uważnie zrujnowanym budynkom, uświadomił sobie, że nie tylko szuka śladów, lecz również wybiera trasę ewentualnej ucieczki, gdyby sytuacja go do tego zmusiła.

W grubych murach miasta znajdowały się nisze, w których mieszkały wielkie drapieżniki z rodziny kotów. Większość z nich teraz spała. Najwidoczniej jednak żyło tu również wiele mniejszych stworzeń, które znalazły schronienie w starych lejach po bombach, skąd ośmiały się wybiegać, by po chwili znów się w nich skryć.

Na drugim końcu miasta znajdowała się obszerna ptaszarnia, której Max początkowo nie zauważył na tle góry, zwłaszcza że była niemal całkowicie zasłonięta siatką o nieregularnym kształcie wspartą na krzywych słupach. Ptaki miały tu tyle miejsca, że żyły niemal na swobodzie.

To mogłaby być jedna z dróg ucieczki. Należało tylko wspiąć się na tę siatkę, a potem wgramolić się na mur i zeskoczyć na

259

drugą stronę. Dalej ciągnęła się **pustynia**, a **Max Gordon** wiedział, jak na niej przetrwać.

- O nic nie pytasz - zauważył Fauvre.
- Po prostu się rozglądam.
- Zupełnie jak moje dzikie drapieżne koty, szukające wyjścia ze swoich zagród - rzekł z uśmiechem mężczyzna. Musiał uspokoić obawy tego chłopca i podjąć w związku z nim pewne decyzje. - Nic ci tutaj nie

grozi. Uratowałeś życie mojej córce, więc jestem twoim dłużnikiem.

- Ona również mi pomogła. Jeżeli o mnie chodzi, nie jest mi pan nic winien, sir... to znaczy - Laurent.

Fauvre skinął głową. To była dobra odpowiedź, pełna szacunku. Doszedł do wniosku, że chłopak jest inteligentny i rozsądny. Uśmiechnął się i powiedział:

- Większość znanych mi nastolatków albo mamrocze ponuro jak wielbłąd cierpiący na zaparcie, albo zadaje mnóstwo niedorzecznych pytań, że nie starczyłoby życia na odpowiedzi. Ty nie robisz ani jednego, ani drugiego.

Max nie lubił, by traktowano go protekcjonalnie albo pochopnie oceniano, lecz nie był pewien, jak ma rozumieć słowa Fauvre'a. Wyglądało na to, że Francuz, mimo że był ojcem nastoletniej córki, ma bardzo niewielkie doświadczenie w kontaktach z młodymi ludźmi.

Uznał, że musi zmienić temat rozmowy i dowiedzieć się czegoś więcej.

- Jak długo tu mieszkasz, Laurent? - spytał, nie odrywając wzroku od krętej drogi.
- Już piętnaście czy dwadzieścia lat temu zacząłem się rozglądać za jakimś miejscem, w którym mógłbym osiąść. Prowadziłem wówczas cyrk Cirque de Paris. Już wtedy wiedziałem, co spotyka dzikie zwierzęta żyjące na wolności, i budziło to moją odrazę.

- I byłeś akrobatą na trapezie ?

260

- Występowałem też na arenie z moimi drapieżnymi kotami. Byłem ich treserem. - Zawahał się i dodał cicho: - Kocham je.

Max prowadził meleks krętą wyboistą drogą. Minęli kraniec zrujnowanego muru i dojechali do miejsca, które przypominało starą opuszczoną scenę. Nie była tak okazała jak rzymski amfiteatr, ale gruzy otaczających ją budynków stwarzały złudzenie rzędów foteli i niewielkiej trybuny. Rudawa ubita ziemia i piasek nadawały jej wygląd areny cyrkowej - choć zarazem robiła wrażenie porzuconego placu budowy. Przy rusztowaniu leżały porozrzucone zardzewiałe stalowe dźwigary; niektóre zwaliły się na stare wraki samochodów. Plac przecinały niskie połamane płoty, a jedną trzecią powierzchni piaszczystej areny po zachodniej stronie zajmowały stosy słupów i lin. Teren kojarzył się Maksowi z torem przeszkód na poligonie. Fauvre pokazał chłopcu gestem, żeby wjechał w cień rzucany przez jeden ze zrujnowanych domów.

Abdullah siedział tam na wyściełanym fotelu pod płóciennym daszkiem chroniącym go przed słońcem i sącył z wysokiej szklanki napój z listkami mięty i pokruszonym lodem. Obok stał duży sześcienny termos.

- *Bravo! Bravo! Ma petite princesse! Encore!* - zawołał, klaszcząc w dłonie.

Max osłonił oczy przed słonecznym blaskiem. Spostrzegł obłok pyłu, a cień ukryty dotąd pod ścianą budynku nagle ożył. To była Sophie - ubrana jak uczestniczka maratonu w dopasowane szorty, koszulkę bez rękawów i buty do biegania. Jej spocone plecy pokrywała warstewka pyłu i piasku. Widocznie trenowała już od jakiegoś czasu. Odbiła się od beczki po ropie, wskoczyła na tył niewielkiego starego wózka, zeskoczyła z niego i pobiegła sprintem ku zardzewiałej karoserii samochodu. Max usłyszał, jak stęknęła z wysiłku, przerzucając ciało nad maską. Wydawało się, że nieuchronnie runie na niebezpieczny stos prętów rusztowania, lecz

obróciła się w powietrzu i złapała się oburącz rury, a potem

261

ze zręcznością akrobatki zakołysała się na niej i wykorzystując energię swego pędu, zakręciła się, wybiła w górę i uchwyciła jednego ze stalowych dźwigarów. Wspięła się nań jak małpka, zahaczając się palcami rąk i nóg.

Przebyła dziesięć metrów i dotarła do wierzchołka dźwigara, po czym bez wahania zrobiła salto w powietrzu. Dopiero wtedy Max spostrzegł, że pięć metrów pod nią wznosi się niewielki wzgórek ziemi. Sophie wylądowała na nim na nogach i zbiegła pędem na dół.

Na koniec pochyliła się z dłońmi opartymi na kolanach i wciągnęła pełne płuca powietrza. Pot spływał po jej zapiaszczonej twarzy. Max nie odrywał wzroku od drobnej sylwetki dziewczyny, podziwiając jej zręczność i siłę. Fauvre zerknął na niego.

- W dzisiejszych czasach młode kobiety są bardzo niezależne. Dobrze ci radzę - trzymaj się od nich z daleka. Mogą ci przy sporzyć wielkich cierpień - rzekł bez uśmiechu.

Czy to było ostrzeżenie? Czy Fauvre dawał mu do zrozumienia, żeby trzymał się z dala od jego córki? Gordon otarł z twarzy pot.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Francuz. Max skinął głową. - A więc jedziemy dalej. Tam - rzucił z nutką irytacji.

Max pomyślał, że być może ten człowiek ma też swoją ciemną stronę.

Zakręcił kierownicą, żalując, że ambicja nie pozwoliła mu powiedzieć, iż czuje się zbyt chory, by odbywać wycieczkę krajoznawczą. Wówczas jednak nie zobaczyłby tego niezwykłego pokazu zręczności Sophie.

Pojechali w kierunku zagrody. Po drodze Fauvre pokazywał mu rozmaite groty i jamy, a temat córki zastąpiło jego umiłowanie zwierząt.

- Prywatni hodowcy i myśliwi poszukują głównie wielkich drapieżnych kotów. Ratujemy wiele z nich i ponownie umieszczamy w ich naturalnych środowiskach na całym świecie. Mia-

262

łem tu serwale, oceloty, tygrysy, gepardy, jaguary, pantery... a także niedźwiedzie, które te kanale z upodobaniem chwytają w pułapki i sprzedają. Powiem ci coś, o czym prawie nikt nie wie. Zaledwie parę lat temu pewien europejski monarcha zapłacił fortunę rosyjskiemu chłopu za to, żeby móc ustrzelić wioskowego niedźwiedzia. Ten niedźwiedź lubił napić się piwa, a potem siadał na skwerze i zasypiał. I oto pewnego dnia zjawił się ten potężny król i zastrzelił go z bliska, gdyż chciał uzupełnić swoje myśliwskie trofea o niedźwiedzią skórę.

Fauvre zamknął na chwilę oczy, jakby wyobrażenie tej sceny boleśnie przeszło mu serce.

Max przypomniał sobie niedźwiedzia brunatnego, który zaatakował go w górach. Siła i furia tego olbrzymiego zwierzęcia wciąż jeszcze budziły w nim podziw i respekt. A nawet coś więcej - odczuwał powinowactwo z tym niedźwiedziem i był całkowicie świadomy, jak wygląda jego życie. Zapach przywołuje wyraziste wspomnienia, a Max niemal czuł odór wilgotnego futra.

Francuz westchnął.

- Wiesz o tym, że Chińczycy torturują niedźwiedzie? Trzy mają je w bambusowych klatkach, tak ciasnych, że nieszczęsne

stworzenia nie mogą się w nich nawet obrócić. Co za barba rzyńcy! Na żywo pobierają z ich woreczków żółciowych żółć do produkcji leków. I my nazywamy siebie najwyżej rozwiniętym gatunkiem - mruknął ponuro.

Max spojrzał na jego twarz skrzywioną w grymasie obrzydzenia.

- Tak więc znalazłem to miejsce - zakończył Fauvre. - Do prowadzenie go do obecnego stanu zajęło mi dziesięć lat.

Max Gordon nie wiedział, jak daleko może się posunąć w zadawaniu pytań, ale zdawał sobie sprawę, że jeśli nie zacznie być bezceremonialny wobec tego silnego i upartego mężczyzny, nie zbliży się nawet o krok do rozwikłania sekretu Zabali.

263

- Czy zawsze korzystałeś z wózka inwalidzkiego? — spytał.

Fauvre zmierzył go ostrym spojrzeniem.

- Nie. Nie zawsze. Zrobił mi to tygrys. Mój ulubieniec. Nazywa się Aladfar.

- Imię brzmi z arabska - zauważył Max.

Mężczyzna skinął głową.

- To nazwa gwiazdy - oznacza „pazury”. Pochodzi z arabskiej astronomii. Znasz się na astronomii?

Pytanie było niczym strzykawka wbita w pierś Gordona. Jak ostry ból, który przeniknął do korzeni zżerającej go choroby -determinacji, by odkryć ostatnie brakujące elementy sekretu Zabali. I odnaleźć jego zabójcę.

A więc Fauvre usiłował go wysondować.

- Z czasem coraz więcej się o niej dowiaduję - rzucił wymijająco. - Co to był za wypadek?
- To piękny okaz tygrysa. Ma trzy metry długości i waży trzysta kilogramów. Pewnego dnia postanowił pokazać mi, kto tu rządzi. Igrał ze mną jak kot z myszą. W końcu przewrócił mnie i wbił mi pazury w plecy. Złamał mi kręgosłup.

•Czy go zastrzelono?

- Aladfara?! Zabiłbym każdego, kto podniósłby na niego rękę. On jest wspaniały - a obecnie doszliśmy ze sobą do porozumienia.

Max pojął, że Aladfar był tym olbrzymim tygrysem, którego dostrzegł, wjeżdżając do miasta. I wyglądało na to, że Fauvre wie o go teraz właśnie do jamy zamieszkiwanej przez tę bestię.

Chłopiec zastanawiał się, na czym polegało powiązanie, którego poszukiwał. Kiedy Fauvre po raz pierwszy mógł zetknąć się z Zabalą?

- Czy właśnie wtedy sprowadziłeś tutaj swoją rodzinę? - zapytał.

- Moją rodziną są moje zwierzęta - odparł beznamiętnie Francuz.

264

Ta szczerza deklaracja sprawiła, iż Max umilkł. Niewiele można było na to powiedzieć. Nic dziwnego, że Sophie czuła się odsunięta.

Stosując się do gestów Fauvre'a, chłopiec podjechał do jamy ogrodzonej murem. Obok dwaj mężczyźni stojący przy ręcznym wózku wyładowywali z kosza nadpsute warzywa i owoce.

Fauvre przemówił do nich po arabsku i przerwali swoje zajęcie.

- Zerknij tam - rzekł do Maksa, przechylając się przez niską balustradę.

Gorączka i mdłości sprawiały, że chłopiec ledwie trzymał się na nogach.

Potrzebował wypoczynku w chłodnym miejscu i wody, jednak nie zamierzał okazać przed Francuzem choćby cienia słabości, jeśli tylko zdoła nad nią zapanować. Zamrugął, żeby usunąć z oczu krople potu, i ostrożnie wyjrzał ponad cieką balustradę. Jama wyglądała tak jak wszystkie inne zagrody dla zwierząt. Mogłyby w niej mieszkać trzymane w niewoli niedźwiedzie. Była obszerna, miała naturalne źródło wody, szafas, dobry dostęp dziennego światła, a dozorczy dostarczali do niej pożywienie. Przez pierwszą chwilę Max nie widział niczego oprócz muru po przeciwnej stronie jamy, z żelaznymi prętami oddzielającymi ją od następnej zagrody.

Niższą część muru przebudowano lub naprawiono podobnie jak ścianę z prętów mającą około trzech metrów długości. Max zdał sobie sprawę, że stoi przed klatką tygrysa. Po drugiej stronie żelaznych sztab krążyła ogromna bestia wyglądająca na wygłodniałą i pragnącą dopaść to, co znajdowało się w leju poniżej.

W tym momencie chłopiec dostrzegł, że coś poruszyło się tuż pod nim, przy pogrążonej w cieniu ścianie muru. Wyszli stamtąd dwaj mężczyźni, unosząc ręce w błagalnym geście. "Wyglądali na osłabionych i wynędzniałych. Od jak dawna więziono ich w tej jamie?"

265

Spojrzał na Fauvre'a i przez chwilę przeraził go obojętny wyraz jego twarzy.

- Dlaczego to robisz? Kim są ci ludzie?
- Chcieli mnie okraść. Mam tu małe zwierzątka warte majątek. Te kanalie sądziły, że ujdzie im to na sucho.

- Zamierzasz rzucić ich na pożarcie temu tygrysowi? - zapytał z niedowierzaniem Max.
- Oni istotnie myślą, że nakarmię nimi Aladfara. Kiedy ich uwolnię, wrócą do jakiejś zakazanej nory, z której wypęzli, i ostrzegą innych, żeby nie wchodzili do miasta Łzy Aniołów, o ile nie chcą marnie zginąć.
- To sadyzm!
- Byłbym sadystą, gdybym czerpał z tego przyjemność - lecz tak nie jest. Mieszkam tu praktycznie sam. W razie potrzeby walczę z moimi wrogami, wykorzystując wszystkie dostępne sposoby. A najlepszą moją bronią jest strach, który mogę w nich wzbudzić.

Fauvre skinął na swoich ludzi, którzy przechylili kosz i wysypali do jamy zgniłe owoce. Mężczyźni w dole zaczęli walczyć ze sobą o te nędzne resztki. Widocznie od dawna nic nie jedli.

Pomimo odczuwanej odrazy Max wiedział, że Laurent Fauvre jest ważnym ogniwem mogącym pomóc mu w rozwikłaniu sekretu Zabali. Musiał wydobyć informacje z tego człowieka, lecz obawiał się, że może się to okazać trudniejsze niż wydrążenie jednej z owych grot w skalnej ścianie. Potrzebował jakiegoś materiału wybuchowego, aby zrobić wyrwę w murze powściągliwości Fauvre'a.

- Czy twoja żona zmarła tutaj?

To był celny cios. Max zobaczył, że Francuz zacisnął szczęki, a potem skrzywił się, jakby ugryzł kwaśną cytrynę.

- Czy właśnie to powiedziała ci Sophie - że moja żona umarła?

Teraz z kolei Max musiał ukryć wzburzenie. Fauvre odpowiedział mu równie mocnym ciosem. Chłopiec skinął głową.

- Moja córka żyje w świecie **fantazji**. **Nie wierz we** wszystko, co ci mówi.

„Nie ufaj nikomu!” - krzyknął ostrzegawczy głos w głowie chłopaka.

- Kiedy pękł mi kręgosłup, żona odeszła z innym mężczyzną. Leżałem bezradny, a ona ode mnie uciekła. Takie jest prawo dżungli, Max. Natura zawsze w końcu zwycięża.
- A twój syn? Czy przejął po tobie prowadzenie cyrku? - Max chwycił się każdej nitki prawdy, która mogłaby mu pomóc -wszystkiego, co powstrzyma dręczące go wątpliwości co do Sophie.
- Moja córka żywi głęboko zakorzeniony lęk spowodowany tym, że zaufałem dzikiemu zwierzęciu i ledwie uszedłem z życiem. Obwinia mnie o wszystko - nawet o to, że jej matka nas porzuciła. Tak więc szuka niebezpieczeństw, a przy okazji kogoś, kogo mogłaby pokochać jak brata i kto potrafiłby ją chronić. Być może ty stałeś się dla niej kimś takim.

Max skrzywił się ledwie dostrzegalnie.

- A zatem Adrien nie żyje? - rzucił.
 - Sophie pojechała do Zabali, ponieważ miał informacje o przemytnikach zwierząt i jeszcze o czymś bardzo ważnym, choć nie wiem, czego to dotyczyło. Kłóciłem się z nią, chciałem ją odwieść od tego pomysłu, ale uparła się i postawiła na swoim. Przeciwstawia mi się na każdym kroku.
- Fauvre zawahał się. -Jesteś pewien, że chcesz poznać prawdę?

Maksa ogarnęło nagle przygnębienie. Poznać prawdę? To zawsze rani.

- Nie mam syna - podjął Francuz. - To wytwór wyobraźni Sophie.

Jego słowa wstrząsnęły Gordonem jak mocny cios pięścią. Poczł się, jakby spadał w przepaść.

„Miej się na bacności! Kim są ci wariaci? Nie daj się w to wciągnąć!”.

267

Opanował mdłości, otarł pot z czoła i oparł się o mur. Skoro Fauvre wiedział o emocjonalnych zaburzeniach córki, czy podejrzewał ją też o coś gorszego? Czy mogła zamordować Zaba-lę? Czy była aż do tego stopnia zdeterminowana, by wydobyć od mnicha jego sekretną informację, którą teraz posiadał Max? W głowie chłopca bezładne, pogmatwane, nonsensowne myśli szalały niczym pustynny wiatr sirocco, paralizując zdolność racjonalnej oceny sytuacji.

„Musisz odzyskać rozsadek i pozbyć się tej gorączki” - nakazał sobie w myśli.

Max wyczuwał, że Fauvre ma w sobie coś podłego. Francuz niewiele się troszczył o uczucia innych ludzi - zwłaszcza tych, którzy zagrażali jego ukochanym zwierzętom. Chłopca ogarnęło współczucie dla Sophie. Dziewczyna niewątpliwie miała emocjonalne problemy i potrzebowała pomocy.

- Posłuchaj - odezwał się cicho Fauvre. - Może przestańmy uprawiać te gierki. Moja córka jest jedynie drobną częścią całej sprawy. Kultura arabska wymaga od gospodarza, by podejmował gościa z wszelkimi honorami. Nawet wróg pod jego dachem ma prawo czuć się całkowicie bezpiecznie. Ale ja nie jestem Marokańczykiem...

Max zapragnął natychmiast stamtąd uciec, lecz siły coraz bardziej go

opuszczały.

„Musisz wytrzymać!” - powiedział sobie.

Fauvre wbił w niego wzrok i ciągnął ponurym, władczym tonem:

- Chcę wiedzieć, dlaczego się tu zjawiłeś i co masz nadzieję zyskać. Myślisz, że coś jest tutaj ukryte? Nosisz na szyi medalion mojego przyjaciela, co stanowi dla mnie wystarczający dowód, że mogłeś zamordować brata Zabalę.

Maksowi kręciło się w głowie. Narastała w nim coraz silniejsza gorączka.

Ludzie Fauvre'a odwrócili się do nich i stali, czekając na jego rozkazy. Suchym gorącym powietrzem wstrząsnął donośny ryk Aladfara. Potem tygrys warknął, odsłaniając zakrzywione kły -jego potężne szczęki mogłyby zmiażdżyć ofiarę, a ostre zęby rozszarpałyby ją na strzępy. Chłopiec nerwowo zerknął w dół. Podwładni Francuza z łatwością przerzuciliby go przez balustradę, a tygrys uporałby się z nim w parę sekund.

Fauvre spojrzał ciężkim wzrokiem na Maksa.

- Powiedziałeś, że nie mam już wobec ciebie żadnego długu wdzięczności. Czemu więc nie miałbym pozwolić, by natura pomściła mojego przyjaciela?

Biblia głosi, że prorok Daniel wszedł do jaskini pełnej lwów i uspokoił je dzięki swej wierze. Angelo Farentino usłyszał tę historię w dzieciństwie,

lecz za każdym razem, gdy matka zabierała go do ogrodu zoologicznego, patrząc na te dzikie bestie, był w głębi serca przekonany, że kiedyś skończy w ich brzuchach. Lubił myśleć, że gdyby pożarły go lwy, matka umarłaby z żalu po nim. Jednak pamiętając o tym, jak biła go kijem, wiedział, iż skonałaby raczej ze wstydu, że jej syn został pożarty z powodu niedostatku wiary.

Na szczęście Farentino nie musiał nigdy wystawić się na taką próbę. Obecnie jego matka była starą wiedźmą i siadywała przed swoim domem w rodzinnej wiosce we Włoszech, wrzeszcząc na bezdomne psy. Stale też biadoliła sąsiadom, że syn ją porzucił. Oni zaś okazywali jej współczucie. „Te dzisiejsze dzieci. Co można na to poradzić” - mówili, spluwając od czasu do czasu do rynsztoka, aby wyrazić swą dezaprobatę.

Farentino nie przejmował się tym. Już od ponad trzydziestu lat nie był dzieckiem i nigdy nie lubił matki. Nie uważał, że winien jej jest synowską miłość. Do niedawna zarabiał skromnie, ale godziwie jako niezłe prosperujący wydawca, lokował pieniądze w nieruchomościach i wiódł udane życie. Miał też swoją własną wiarę - w samego siebie i w to, co może osiągnąć. Wiedział, że dokonał kilku wartościowych rzeczy. Był prawym człowiekiem - do niedawna...

270

Pomagając przez wiele lat ekologom, jaśniał niczym anioł. Czuł się szlachetnym obrońcą kruchej równowagi ziemskiego globu. Naukowcy doceniali znaczenie jego wydawnictwa, a działacze na rzecz ochrony naturalnego środowiska przybywali do niego tłumnie, aby wydrukował swoje raporty o tym, jak naszą piękną planetę niszczą podli i szaleni ludzie

mający na celu jedynie władzę i zyski.

A potem przestał być prawym człowiekiem.

Zaczął przyjmować pieniądze od niedawnych przeciwników. Obecnie jeździł samochodem ferrari, miał letnią rezydencję nad Jeziorem Genewskim, domy w różnych zakątkach świata i co najcenniejsze - zachował anonimowość. Kupił sobie kilka fałszywych tożsamości i cieszył się swym bogactwem. Był bezpieczny - do czasu, gdy wezwał go Fedir Tiszenko. Teraz Ange-lo Farentino wkraczał do jaskini lwa.

A tym lwem był ojciec Maksa Gordona.

Recepcjonistka w Klinice św. Krzysztofa zadzwoniła gdzieś, a potem z uśmiechem poprosiła Angela Farentina, żeby zaczekał kilka chwil. Czekał więc, mając nerwy napięte jak postronki. Próbował się uspokoić, powtarzając sobie, że trzeba zawsze znajdować jasne strony każdej sytuacji. Po spotkaniu z Tomem Gordonem za niecały kwadrans wsiadł z powrotem do samochodu i wróci do Szwajcarii, gdzie złoży raport człowiekowi, który groził, że wyda go jego wrogom - a potem pograży się znowu w anonimowości. Nie dbał o to, jak jego wizyta wpłynie na stan umysłu Toma Gordona ani czy Tiszenko dopadnie jego syna Maksa. Cudowną stroną bycia skorumpowanym jest to, że traci się wówczas wszelkie poczucie winy. Jesteś podły i wiesz o tym. Nie masz żadnych moralnych zasad i nie przejmujesz się niczym. Możesz bez zmrużenia oka sprowadzać na ludzi nieszczęścia i ból.

Doszedł do wniosku, że jest to po prostu kwestia wyboru stylu życia.

- Panie Aldo, zechciałby pan udać się ze mną?

Farentino dopiero po sekundzie zareagował na fałszywe nazwisko, które przybrał. W drzwiach stał potężnie zbudowany mężczyzna, który wyciągnął do niego lewą rękę i dodał:

- Nazywam się Marty Kiernan. Pracuję w skrzydle kliniki, w którym przebywa pan Gordon.

Włoch już podawał mu lewą rękę, ale zawahał się i pospiesznie naprawił swój błąd. Ogarnęło go jednak zakłopotanie z powodu własnej gafy. Powinien był zauważyć kalectwo tego człowieka, przewidzieć jego gest i odpowiednio się zachować. Widocznie jest bardziej roztrzęsiony, niż sądził.

Marty szedł dwa razy dłuższym krokiem niż większość ludzi i Farentino z trudem za nim nadążał, na każdy jeden jego krok stawiając dwa. Czuł się, jakby był dzieckiem. Czy Tom Gordon mógł w jakiś sposób przejrzeć jego podstępłą prośbę o wywiad i podanie się za dziennikarza włoskiej gazety? Czy mógł się dowiedzieć, że Aldo to fałszywe nazwisko i powiedzieć o tym temu olbrzymowi?

Upokorzenie wroga to stary trik. Wyprowadź przeciwnika z równowagi, przygnieć go do ziemi, a potem to wykorzystaj. Angelo Farentino doszedł do wniosku, że przyjazd tutaj był bardzo niedobrym pomysłem. Tiszenko nie powinien go do tego zmuszać. Angelo zateśknił za cygarem. Niemal czuł delikatny aromat kubańskich cygar Monte Cristo w pudełku tkwiącym w wewnętrznej kieszeni. Jednak przepisy zabraniały palenia na terenie kliniki.

- Jak się czuje pan Gordon? - spytał Marty'ego, aby opano wać nerwy.

Kiernan otworzył wahadłowe drzwi i poprowadził Włocha korytarzem.

Mijali szereg pomalowanych na biało drzwi z solidnego drewna. Każde opatrzone niewielką mosiężną tabliczką z nazwiskiem pacjenta, lecz nie sposób było z nich wnioskować o randze czy statusie hospitalizowanych osób.

272

- Niech pan nie weźmie mi za złe tego, co powiem - rzekł. - Uważam, że pańskie zjawienie się tutaj nie było najlepszym pomysłem.

Włochowi zamarło serce. A więc oni wiedzą! Wiedzą! Zwolnił kroku i poszukał wzrokiem wyjścia pożarowego. Zapragnął rzucić się do ucieczki, rezygnując z ostatnich resztek godności. Zawsze miał w zanadrzu plan awaryjny. Zawsze obmyślał jakiś sposób uniknięcia pułapki zastawionej przez policję lub czyjejs osobistej zemsty. Lecz tym razem było inaczej. Tiszenko wpakował go w nadzwyczaj niebezpieczną sytuację. Myśli wirowały gorączkowo w głowie Farentina. Pomyślał o publicznym upokorzeniu, jakim będzie proces sądowy, o odorze brytyjskiego więzienia i o więziennym uniformie! Gdzie jest napisane, że skazanych można zmuszać do noszenia takich fatalnie uszytych ubrań?

Z zadziwiającym spokojem popatrzył w oczy Marty'ego i zapytał:

- Dlaczego pan tak sądzi, panie Kiernan?

Potężny mężczyzna zatrzymał się przed jednymi z drzwi i położył rękę na klamce. Na mosiężnej tabliczce było wypisane nazwisko Gordona.

- Sam pan zobaczy - rzekł i otworzył drzwi.

Drzwi do jaskini lwa.

Granica szwajcarska leżała w odległości kilkuset kilometrów od Biarritz,

a członkowie gangu Rekiniej Twarzy nie spieszyli się. Prowadzili furgonetkę Bobby'ego z dozwoloną prędkością lub nawet nieco wolniej. Nie chcieli zwrócić na siebie uwagi jakichś znudzonych gliniarzy.

Przez całą długą noc Sayid leżał z tyłu, nadal związany. Mimo iż chłód szczypał go w palce, był wdzięczny, że napastnicy skrępowali mu ręce z przodu. W słabym żółtym blasku mijanych lamp autostrady mógł nagryzmolić liczby z magicznego kwadratu.

273

Wprawdzie wbił je sobie w pamięć, ale wiedział, że jeśli ta męcząca podróż potrwa dłużej, może je zapomnieć. Przemoc, której doświadczył, i porwanie wyczerpały go i nie potrafił zwalczyć znużenia i senności. Wiedział, że jedynym sposobem rozwiązania zagadki tych liczb jest zapisanie ich sekwencji i zastanowienie się nad nią. Jeżeli Max się nie mylił i kwadrat liczbowy istotnie zawierał ukrytą wiadomość, musi istnieć jakiś klucz do jej rozszyfrowania. Lecz za każdym razem, gdy Sayid próbował usiąść w pozycji umożliwiającej ich napisanie, któryś ze zbirów odwracał się i sprawdzał, co robi jeniec. Z kolei Sayid bał się, że jeśli uśnie, jego umysł może wykasować te liczby jak w zużyтым twardym dysku.

Podciągnął kolana i odwrócił się plecami do obydwu oprysz-ków siedzących z przodu. Bobby był związany mocniej i spał niespokojnym, przerywanym snem. Obrażenia musiały boleśnie dawać mu się we znaki. Jedna z jego desek surfingowych była przywiązana do ściany samochodu, tuż przy podłodze, i Sayid zdołał powoli przysunąć się do niej bliżej. Teraz, siedząc tyłem do kierowcy, mógł zapisać na desce zapamiętaną

sekwencję liczb. Przypuszczał, że nawet w świetle dziennym nikt nie zauważy tych drobnych bazgrołów, a poza tym nikogo nie będzie interesował zgromadzony w furgonetce sprzęt sportowy Bobby'ego. Sayid skupił się i przypomniał sobie pierwszy rząd magicznego kwadratu: 11, 24, 7, 20, 3, a potem pierwszą lewą kolumnę: 11, 4, 17, 10, 23. Mając już tę podpórkę pamięci, szybko uzupełnił cały kwadrat.

Wspomógłszy w ten sposób swój umysł, położył się na boku i oparł głowę na ramieniu. W każdej chwili mógł zerknąć także na liczby zapisane na podeszwie buta, lecz chwilowo czuł się na tyle pewnie, by zasnąć. Musiał być możliwie najbardziej wypoczęty i miał nadzieję, że sen go pokrzepi.

Istotnie czuł się świeższy, gdy po godzinie - choć zdawało mu się, że minęło zaledwie kilka sekund - obudził go warkot silni-

274

ka. Kierowca zaklął, zerknął w boczne lusterko i ostrożnie przejechał jeszcze kilkaset metrów. Sayid spostrzegł, że jedna z lampek kontrolnych na desce rozdzielczej zamrugła i przygasła. Opryszek siedzący w fotelu pasażera wskazał coś kierowcy i po chwili Sayid usłyszał dudnienie opon, gdy zjechali na pobocze. Niespełna minutę później furgonetka zwolniła i stanęła. Obydwaj mężczyźni wysiedli z szoferki, a potem otworzyły się boczne drzwi i jeden z nich wgramolił się do środka. Sayid odwrócił wzrok, nie chcąc spojrzeć mu w oczy. Zbir kopnął Bobby'ego i krzyknął:

- Wstawaj! Coś się stało z tym gratem!

Półprzytomny Bobby otworzył oczy.

•To nic takiego - tylko filtr wtryskiwacza - wymamrotał. -Bez przerwy

nawala. Wiem, jak go naprawić.

- No to wyłaź!

Mężczyzna odwrócił się i wyszedł, a Bobby związany tak jak Sayid uklęknął z trudem, oparł się plecami o ścianę i dźwignął się na nogi. Gdy wstawał, okazało się, że jest czujny i tylko udaje oszołomionego, gdyż szepnął do Sayida:

- Gdy tylko nadarzy się okazja, spróbuję uciec. Nie masz nic przeciwko temu?

Ta wiadomość wstrząsnęła Sayidem, jakby walnięto go obuchem w głowę. Bobby ucieknie? Więc miał zostać sam? Uświadomił sobie, że choć przez ostatnich kilka godzin Amerykanin leżał niemal nieruchomo, jego obecność ogromnie podnosiła go na duchu. Sayid poczuł się rozpaczliwie samotny, lecz mimo to skinął głową. Oczywiście któryś z nich musi uciec, jeśli tylko zdoła.

- Sprowadzę pomoc, staruszk. Obiecuję - ciągnął szeptem Bobby. - A Peaches nic nie wie, więc nie zrobią jej krzywdy. Widziałem ją w innej furgonetce.

- Mogę ci pomóc - Sayid usłyszał własny głos i natychmiast przestraszył się swej propozycji. - Odwrócę ich uwagę.

275

- Hej! Jazda, wyłaź już! - wrzasnął zbir ze wschodnioeuropejskim akcentem.

Bobby kiwnął Sayidowi głową.

- Znikam, chłopie. Ale wkrótce wrócę - szepnął, wyskakując z samochodu.

•Muszę do toalety! - zawołał rozpaczliwie Sayid. - Proszę, to już tyle godzin.

Usłyszał, że porywacze coś zamamrotali, a potem ten sam osobnik wrócił, chwycił go i brutalnie wywłókł z furgonetki na nocne powietrze. Chłopiec usiadł na stopniu i rozejrzał się szybko. Wjechali na coś w rodzaju terenu piknikowego położonego na niewielkim wzniesieniu. Były tu stoły i ławki oraz mały ceglany budynek mieszczący toalety. W weekendy to miejsce zapewne wypełniali ludzie zatrzymujący się na postój podczas długich podróży, lecz teraz nie zobaczył nikogo oprócz tej bandy zabójców. Ich furgonetki wjechały tu za samochodem Bobby'ego. Spostrzegł siedzącego przed jedną z nich Rekinią Twarz, który powiedział coś do człowieka stojącego za nim. Drzwi otworzyły się i trzeci opryszek dołączył do eskorty chłopców.

Tymczasem Bobby podniósł już z trzaskiem maskę swojego samochodu.

- Muszę mieć wolne ręce, inaczej ten diesel padnie - powiedział i podsunął związane nadgarstki jednemu z bandytów.

Mężczyzna wyjął nóż i przeciął taśmę, a potem cofnął się o krok i uważnie obserwował Bobby'ego, który nachylił się nad silnikiem.

- I muszę mieć tu światło - ciągnął Amerykanin. - No dalej, ludzie, przecież nikt z nas nie potrafi widzieć w ciemnościach.

Człowiek z nożem skinął na swego towarzysza, który wyjął z kabiny latarkę, po czym przysunął się blisko do Bobby'ego i poświecił na silnik. Reszta członków gangu pozostała w autach. Zbyt wielu kręcących się ludzi mogło wyglądać podejrzanie, na-

tomiast kilka osób naprawiających swój samochód nie zwróci niczyjej uwagi.

Jeden ze zbirów złapał Sayida i dźwignął na nogi. Chłopiec skrzywił się, czując ból w uszkodzonej stopie. Mężczyzna rozluźnił chwyt i rzucił szorstko:

- Pospiesz się. Przecież nie będę cię niósł.

Sayid pokuśtykał powoli w kierunku toalet, przyglądając się uważnie rzędowi furgonetek oraz czarnemu pasowi asfaltu i żółtej poświacie lamp niemal pustej autostrady rozdzielonej na środku barierką. Za autostradą teren opadał w kierunku ciemnej ściany drzew, a dalej ciągnęła się wiejska okolica. Był pewien, że właśnie tam ucieknie Bobby.

Obejrzał się na furgonetki. Bandyci pozwolili wyjść Peaches, żeby mogła rozprostować nogi. Miała na sobie dzinsy i narciarską kurtkę, lecz kulila się w wilgotnym, chłodnym powietrzu. Z zimna czy ze strachu? Przystanął i oparł się o stół, aby ulżyć bolącej nodze. Jego strażnik był w odległości kilku kroków. Zastanawiał się, czy dziewczyna dołączy do Bobby'ego, kiedy zobaczy, że rzucił się do ucieczki. Być może wówczas wszyscy troje zdołają zatrzymać jakiś samochód albo przynajmniej zrobić wystarczająco dużo zamieszania, by zaalarmować przejeżdżających ludzi.

Gdyby tylko mógł napotkać jej wzrok... Po prostu kiwnąłby do niej głową i uśmiechnął się, przekazując jej w ten sposób, że nie powinna się bać.

Nie powinna się bać tak bardzo jak on.

Farentino poczuł strach. Zastanawiał się, czy ma uciec, czy zostać. W końcu postanowił wziąć się w garść i stłumić panikę. Nagle odnalazł w

sobie wiarę i zapragnął się pomodlić. Obiecał w duchu, że odwiedzi matkę, złoży hojną ofiarę na cele dobroczynne i już nigdy nie będzie na tyle głupi, by spełniać żądania takich szaleńców jak Tiszenko.

277

Pokój Toma Gordona był obszerny i wygodnie umeblowany, jak w tradycyjnym wiejskim zajeździe. Stało w nim pojedyncze łóżko i biurko zavalone papierami i notesami, a za drzwiami balkonowymi wychodzącymi na taras wielki park ciągnął się aż do murów otaczających posiadłość.

Gordon siedział na tarasie na leżaku. Miał na sobie ubiór, w jakim Farentino dawniej często go widywał - beżowe spodnie, grubą bawełnianą koszulę i ciężkie buty. Nawet teraz zdawał się nie przejmować chłodnym powietrzem. Wbił ciężki wzrok w Fa-rentina. Wydawało się, że go rozpoznał. Włoch wrósł w ziemię. Oczekiwał, że za chwilę Gordon rzuci się na niego jak dzikie zwierzę, i wątpił, czy nawet ten stojący obok niego potężny mężczyzna zdąży zareagować na tyle szybko, by uchronić go przed poważnymi obrażeniami.

Potem Tom Gordon wstał, zrobił kilka kroków w jego kierunku i wyciągnął dłoń na powitanie.

- Dzień dobry, panie Aldo - powiedział. - Mam nadzieję, że mi pan wybaczy, iż nie potrafię sobie przypomnieć nazwy pańskiej gazety.

Farentino w myślach podwoił sumę, jaką zamierzał ofiarować na cele charytatywne. Zalała go ogromna fala ulgi, zatapiając wszystkie obawy i wątpliwości.

Usiadł na tarasie tuż przy Gordonie i zajął mu badawczo w oczy, aby się przekonać, czy dawny przyjaciel na pewno go nie poznał.

- Nie pamiętasz mnie, Tom? - spytał.

Gordon zawahał się przez chwilę. Przybysz wydał mu się znajomy. Tak, istotnie go znał. Ale skąd? W końcu bezradnie potrząsnął głową.

•Przepraszam, panie Aldo, ale ostatnio pamięć płata mi figle.

•Nic nie szkodzi. W przeszłości pracowaliśmy razem - powiedział Farentino i poczuł nagle ukłucie żalu. - Byliśmy bliskimi przyjaciółmi.

278

Spojrzał na tego człowieka, którego niegdyś uważał niemal za brata, a potem zaciekle znienawidził z powodu kobiety, która stanęła pomiędzy nimi.

Tom Gordon skinął głową.

- Z pewnością to sobie przypomnę. A więc chcesz przeprowadzić ze mną wywiad dla swojej gazety. Postaram się jak najlepiej odpowiedzieć na twoje pytania.

Farentino rozsiadł się w fotelu, znowu odprężony, a zarazem opanowany. Był teraz pewien, że dowie się wszystkiego, czego chce, a następnie przekaze to Tiszence. Życie ponownie jawiło mu się w jasnych barwach. Uznał, że nie będzie marnował pieniędzy na żadne dary ani nie odwiedzi swej zrzędliwej matki.

Rzekł z uśmiechem:

- Tom, będzie ci przeszkadzać, jeśli zapalę cygaro?

Potężny ryk tygrysa oszałamiał i paraliżował jego ofiary, dając temu największemu z drapieżnych kotów czas na atak. Max ujrzał odsłonięte kły i usłyszał złowrogie głośnie warknięcie, od którego zadrżało powietrze. Zachwiał się na osłabionych nogach i osunął na niską balustradę, gdyż gorączka wysssała z niego resztkę sił.

W jaki sposób zdoła się obronić? Ci ludzie mogą zabić go na miejscu.

Tracił przytomność i czuł się bezradny jak dziecko.

- *Ez ibure ere fida - ebeke hari ere* - rzucił pospiesznie, jakby recytował mantrę, rozpaczliwie odwołując się do przyjaźni łączącej Fauvre'a i starego mnicha.

Francuz natychmiast zdał sobie sprawę, że te słowa mógł mu dobrowolnie powiedzieć tylko Zabala. Chłopiec upadł na ziemię. Fauvre krzyknął krótki rozkaz i jego ludzie rzucili się naprzód, żeby mu pomóc.

Maksa ogarnęła ciemność. Czuł strach i ostry przejmujący ból, jakby wbijały się weń żądła tysięcy skorpionów. Jego umysł spadał w płomienisty tunel, a w ciele zmagaly się nieznane potężne siły.

- Ostrożnie! - zawołał Fauvre do podwładnych.

Chłopiec miał jakiś atak i nie mogli go utrzymać. Widocznie rana po ugryzieniu mały uległa zakażeniu, któremu nie zapobiegły zbyt późno zrobione zastrzyki. Max rzucał się jak opęta-

ny. Oczy miał otwarte, a wargi ściągnięte w przerażającym bezgłośnym krzyku.

Pot ściekał z niego strumieniami, a koszulka przylgnęła mu do ciała, jakby przed chwilą wyciągnięto go z rzeki. Z mroku mącącego jego umysł

wyłonił się Fauvre - ale nie jako stary człowiek w wózku inwalidzkim, tylko w postaci olbrzyma obdarzonego nadludzką wręcz siłą. Lecz jego głos nie pasował do tego potwornego wizerunku.

- Daj sobie pomoc, chłopcze - powiedział Laurent. - Daj sobie pomoc!

A Max, jak dziecko tonące we wzburzonym morzu, wiedział, że chce zostać uratowany - jednak nie przez człowieka, który zamierza odebrać mu życie. Wykręcił się więc i wywinął, umykając wyciągniętym do niego rękom.

- Mój Boże! - zakrzyknął Fauvre.

Chłopiec wypadł za balustradę, nieprzytomny ześlizgnął się bezwładnie po gładkich ścianach i wreszcie upadł na dno jamy. Ból uderzenia o ziemię przeniknął do jego otępiełego umysłu. Max jęknął.

W tle usłyszał czyjś krzyk. Skąd dobiegał? Otworzył oczy. Leżał oparty tyłem głowy o spadzistą ścianę jamy. W górze ujrzał wpatrzone w siebie twarze ludzi, którzy wołali coś po arab-sku. Zrozumiał tylko jedno słowo - Aladfar!

Otrząsając się z oszołomienia, zdołał przeturlać się i uklęknąć. Usiłował zebrać siły, by dźwignąć się na nogi. Kątem oka spostrzegł tygrysa, który zbliżał się niespiesznie i statecznie, krocząc na łapach rozmiaru obiadowych talerzy. Drapieżca zwiesił nisko łeb i wpatrywał się uporczywie w swoją ofiarę.

Fauvre przyglądał się temu ze zgrozą. Wiedział, że bestia lada chwila zaatakuje i rozszarpie chłopca, a odpowiedzialność spadnie na niego. Był już teraz pewien, że Max został przysłany przez Zabalę, lecz jedyną szansą przeżycia przybyśza było to, że tygrys usłucha jego rozkazów.

- Aladfar! - krzyknął. - Cofnij się! *Ecoutez-vous!* Posłuchaj mnie!
Ecoutez!

Nie był pewien, co potem zaszło. Wydawało mu się, że zwierzę przystanął, a potem spojrzał w górę na niego i położył się posłusznie, nie spuszczać wzroku z Maksa. Jednakże berberyjscy dozorca opowiedzieli później Abdullahowi inną wersję wydarzeń. Zaglądali w głąb ciemnej mrocznej jamy i widzieli, że chłopiec odturlał się błyskawicznie i skrył do połowy za poszarpanym załomem skały. Potem wstał i rozwarł szeroko ramiona, trzymając je na wysokości bioder. Wtedy słońce błysnęło i cienie się poruszyły. Jeden ze świadków przysięgał, że chłopiec wygiął się gibko jak zwierzę i wyszczerzył zęby, a jego ciało stało się większe. Ten mężczyzna zaklinał się na grób swojej matki, że ujrzał dzina - ziemskiego ducha, który potrafi przybierać zwierzęcy kształt. Inni oponowali, że to tylko cień padł obok chłopaka, gdy promienie słońca oświetliły szczyt dachu starego budynku, i wtedy Aladfar położył się na ziemi. Twierdzili, że to właśnie ów cień oraz fakt, że chłopiec zrobił krok naprzód, sprawiły, iż potężny tygrys zawahał się i zrezygnował z ataku. Do tej pory nikt, nawet Fauvre, nie stawiał tak śmiało czoła Aladfarowi.

Tygrys miał wzrok wbity w chłopca, który był większy niż koziół, ale wydawał się łatwym łupem. Zapach tamtych dwóch ludzi więzionych za kratami pobudził zmysły zwierzęcia. Poza tym Aladfar był głodny. Gdy chłopak upadł, tygrys już miał się na niego rzucić, lecz wówczas usłyszał wołanie. To krzyczał ten stary człowiek, jednak Aladfar niczym domowy kot zawsze sam decydował, kiedy powinien podporządkować się jego poleceniom. Toteż uniósł głowę nie z powodu rozkazującego głosu starca,

lecz ponieważ jego nozdrza wypełnił inny zapach - zwierzęcy. Zapach bestii, który znał z dawnych czasów, kiedy jeszcze żył na swobodzie w górach i dżungli. Aladfar nie bał się niczego oprócz przemocy ludzi, a nawet ich zaatakowałby, gdyby został do tego zmuszony. Jednak to bezbronne stworzenie emanowało

282

niepojętymi energiami - czasem zapamiętanym z lasów i gór oraz pierwotną siłą przemawiającą tylko do szóstego zmysłu Aladfara.

Instynkt kazał tygrysowi zaczekać, więc położył się na ziemi.

Tymczasem Fauvre nie tracił czasu. Potoczył się na swym wózku inwalidzkim do końca rampy, otworzył żelazną bramę i wjechał do zagrody. Łagodnym tonem przemawiał do tygrysa, żeby ułagodzić jego wściekłość, póki nie znalazł się na tyle blisko, by pogłaskać go po łbie. Aladfar rozpoznał delikatny dotyk oraz zapach starego człowieka. Wstał, a siedzący w wózku Fauvre ledwo sięgał mu do grzbietu.

Możność przebywania tak intymnie blisko obok tego prawdziwego króla dżungli zawsze głęboko poruszała Francuza.

- Wiem, że jesteś najwspanialszym zwierzęciem na świecie, ale nie możemy pozwolić, żeby ten chłopiec zginął - szepnął, gładząc futro wielkiego drapieżnego kota i łagodząc w ten sposób jego zwierzęce instynkty.

Fauvre porzucił lęk przed wielu laty na cyrkowej arenie, kiedy Aladfar ukarał go za jego ludzką arogancję. Obecnie odczuwał do tego wielkiego zwierzęcia jedynie głęboką miłość. Bardzo delikatnie odwrócił tygrysa i poprowadził go przejściem wiodącym do zamykanej klatki.

Uspokojony łagodnymi wibracjami głosu starego człowieka i biernością chłopca stojącego bez ruchu Aladfar pozwolił starcowi - którego niegdyś poturbował - zamknąć się w klatce. Położył się i zamruczał cicho.

Fauvre odwrócił się do Maksa i skinął na swoich ludzi, żeby zeszli do bezpiecznej już jamy i pomogli chłopcu. Zanim się tam znaleźli, podjechał do balustrady i wyjrzał za jej krawędź. Max nadal stał z szeroko otwartymi oczami i wyrazem niezłomnej determinacji na twarzy.

Francuz znów odezwał się łagodnie, jakby nadal przemawiał do dzikiego zwierzęcia:

283

- Max, już wszystko w porządku. Przyrzekam, że nikt cię nie skrzywdzi. Słyszysz mnie, chłopcze?

Usłyszał za plecami ostrożne kroki dwóch nadchodzących mężczyzn i uniósł rękę, żeby ich zatrzymać. Nikt nie powinien zbliżać się do dzikiej bestii lękającej się o życie. Gdyż w tym momencie Fauvre wyczuwał w Maksie tę samą energię, jaką posiadał Aladfar, i był przekonany, że ma do czynienia właśnie z dzikim zwierzęciem.

Max zamrugał, spojrzał na Fauvre'a, a potem osunął się na ziemię i znów zemdlał. Wreszcie dozorczy mogli podejść i wynieść go z zagrody. W tym momencie dotarli tam Abdullah i Sophie zaalarmowani krzykami. Abdullah wziął chłopca na ręce i zaniósł do jego namiotu. Dziewczyna pobiegła przodem po lekarstwa, które ojciec polecił jej przynieść. Gdy wróciła, starzec badał puls chłopca, a Abdullah obmywał mu twarz. Położyli go w cieniu namiotu, gdzie było chłodniej.

- To nie tylko zakażenie. W jego organizmie dzieje się coś jeszcze. Jeżeli

gorączka spadnie w ciągu następnych kilku godzin, chłopak przeżyje - powiedział Fauvre.

•Trzeba wezwać lekarza - stwierdziła Sophie.

Jej ojciec otworzył torbę medyczną, którą przyniosła.

- Gdy tu dotrze, tak czy inaczej nie będzie już potrzebny - oświadczył, przygotowując kolejny zastrzyk. - Do tego czasu chłopak wyzdrowieje albo umrze.

- Powinniśmy spróbować - rzuciła niecierpliwie.

Abdullah dotknął jej ramienia i powiedział:

- Sophie, nadchodzi burza piaskowa. Żaden lekarz nie zaryzykuje przyjazdu tutaj.

Fauvre zrobił Maksowi kolejny zastrzyk i kiwnął głową zadowolony, że chwilowo uczynił wszystko, co mógł. Potem zwrócił się do córki:

- Ochładzaj go, przemywaj mu twarz i spróbuj nakłonić, żeby wypił tyle wody, ile zdoła. Poradzisz sobie?

284

Zrozumiała, że ojciec zleca jej pielęgnowanie chorego, i skinęła głową. Fauvre odwrócił się i dał znak Abdullahowi, by poszedł za nim.

Sophie wycisnęła mokrą szmatkę i otarła pot z czoła Maksa. Przysunęła twarz blisko niego, usiłując wyobrazić sobie, co dzieje się w tym trawionym gorączką ciele, z którego drżących warg wydobywały się ciche jęki. Dotknęła rzemyka na jego szyi i na-macała matowy kamień medalionu. Dopiero gdy ojciec i Ab-dullah odeszli, spostrzegła, że przywiązali przeguby chłopca do ramy łóżka.

Przez następnych kilka godzin, gdy siedziała przy Maksie, jej ojciec

pograżał się w rozmyślaniach. Przed wieloma miesiącami Zabala powierzył mu paczkę i polecił, by otwarto ją dopiero po nadejściu następnej lub też kiedy zostanie zabity - co uważał za nieuniknione. Fauvre postąpił zgodnie z instrukcją przyjaciela, lecz okazało się, że rysunki w grubej brązowej kopercie są jedynie astrologiczną przepowiednią sprzed dwudziestu kilku lat -tą samą, która stała się przyczyną załamania kariery naukowej Zabali. Stara historia, która zaciążyła na jego życiu. Dlaczego, u diabła, nie porzucił tych nonsensów? Przecież w ten sposób tylko marnował swoje zdolności.

Fauvre sączył koniak, wciąż rozmyślając o starym przyjacielu. Szyderstwa, z jakimi Zabala spotkał się przed wielu laty, skłoniły go do wyboru innej drogi życiowej i poświęcenia się dwóm sprawom: pomocy Lamentowi w ratowaniu przedstawicieli gatunków zwierząt zagrożonych wymarciem oraz odkryciu Prawdy. To irytujące zwodnicze słowo, które dla każdego człowieka ma odmienne znaczenie, Zabala zawsze pisał wielką literą. Odsłonięcie Prawdy stanowiło ostateczny cel mnicha, ponieważ miała ona potwierdzić słusność jego licznych teorii oraz - jak zawsze utrzymywał - ocalić Europę przed jakimś straszliwym kataklizmem. To była szalona idea zrodzona w głowie skompromitowanego naukowca.

285

Kiedy przed kilkoma tygodniami Zabala powiadomił go listownie, że posiada informację o przemytnikach zwierząt, wspomniał, że wciąż jeszcze nie udało mu się odkryć owej Prawdy.

Fauvre nie mógł pojechać w Pireneje, lecz Zabala upierał się, że ta

informacja jest niezwykle istotna i musi zostać dołączona do dokumentów będących już w posiadaniu Francuza. Mnich zamierzał osobiście dostarczyć ją Fauvre'owi, ale był przekonany, że ktoś go śledzi, i obawiał się o swoje życie. Kilka miesięcy wcześniej zdradził go pewien przyjaciel i teraz zabójcy zacieśniali pętlę wokół niego.

Fauvre chciał poznać ten sekret. Pragnął pojąć, co takiego przez tyle lat doprowadzało Zabalę do obłądu. A teraz zjawił się ten Max Gordon. Poślaniec przynoszący przesyłkę - ale jaką? Co Zabala mu powiedział? Jakimś sposobem ten chłopak zdobył wystarczająco wiele wiadomości, by trafić w miejsce, w którym miał się pojawić mnich - czyli tutaj. Zabala przekazał mu ostateczną przestrożę w języku, którym władają tylko nieliczni.

Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Max Gordon ma klucz do Prawdy.

Ciężka choroba opuściła wreszcie ciało Maksa. Młody silny organizm podjął z nią walkę i zwyciężył. Jednak ozdrowieńczy sen długo trzymał chłopca w swych mrocznych objęciach. Minie jeszcze wiele czasu, zanim jego ciało znów będzie w stanie wypełniać polecenia umysłu.

Sophie opuściła namiot, kiedy gorączka chłopca spadła, a teraz wróciła i wśliznęła się między łopoczące na wietrze fałdy. Położyła dłoń na czole chorego, by sprawdzić temperaturę, i stwierdziła, że jest chłodne. Ojciec miał przyjść ponownie, aby zbadać swego pacjenta, a ponieważ pierwsze porywy burzy piaskowej ciskały już piachem o ściany namiotu, może się zjawić lada chwila. Sophie zdecydowała, że pora zrobić to, co uważała za konieczne.

Wpatrzyła się w Maksa przez dłuższą chwilę wzrokiem pełnym żalu, a jednocześnie czułości.

- Już prawie koniec - wyszeptała.

Z niemal chirurgiczną precyzją przyłożyła ostry jak brzytwa nóż do pulsującej tętnicy, w której płynęła życiodajna krew.

Pocałowała chłopca w czoło i cięła ostrzem.

Sayid wiedział, że Bobby zaraz ucieknie. Amerykanin guzdrał się, rozbierając na części uszkodzony wtryskiwacz w silniku furgonetki, aż pilnujący go porywacze stracili czujność. Przed chwilą jeden ze starszych mężczyzn, którego Sayid widział wcześniej naprawiającego motocykle na terenie opuszczonej fabryki, sprawdził postępy Bobby'ego i z aprobatą kiwnął głową. „Ten chłopak zna się na rzeczy, więc czemu nie miałby wykonać tej roboty” - rzekł do Rekiniej Twarzy. Zabójca o połamanych zębach powiedział coś do Peaches, która wgramoliła się na tył furgonetki, a potem usiadł w fotelu pasażera. Sayid nie chciał zbyt długo się w niego wpatrywać, w obawie by morderca swym martwym wzrokiem nie odczytał jego myśli.

Pozostali członkowie gangu rozlokowali się nieopodal, a jeden wsiadł z powrotem do furgonetki Bobby'ego. Sayid wybla-gał, żeby pozwolono mu wyjść i usiąść na ławce przy stoliku. Wolał zimne nocne powietrze niż ciasne wnętrze pojazdu. Pozwolono mu na to, gdyż i tak przecież nie mógł uciec.

Nie potrafił się skupić na zapamiętanych liczbach, ponieważ z walącym sercem oczekiwał chwili, gdy Bobby rzuci się do ucieczki. Postanowił, że celowo potknie się i stoczy w dół trawiastego stoku, co mogłoby odwrócić

uwagę kilku opryszków. Być może któryś nawet zostawi Amerykanina i podbiegnie do niego, choć miał nadzieję, że nie zostanie przy tej okazji pobity.

„Obserwuj Bobby'ego. Czekaj na jakiś jego znak - spojrzenie lub kiwnięcie głową”.

287

Z furgonetki Rekiniej Twarz znowu wysiadła Peaches, trzymając telefon komórkowy. Dlaczego? Widocznie przywódca gangu polecił jej do kogoś zadzwonić. Ale do kogo? Z pewnością do Sophie! Rekinia Twarz kazał jej zatelefonować do Sophie i udać, że wszystko jest w porządku, a jeśli Francuzka odbierze, bandyci będą się mogli dowiedzieć, w jakiej części Maroka przebywa. Zaś tam, gdzie jest Sophie, jest też Max.

„Nie, to nie trzyma się kupy” - pomyślał Sayid. Przecież Sophie powiedziała mu, że wyrzuciła swoją komórkę, po tym jak odkryła, iż w Biarritz śledzili ją tamci mężczyźni.

Przyjrzał się Peaches, która wystukiwała SMS-a. Przypuszczał, iż dziewczyna przekonała Rekinia Twarz, że ma bogatych rodziców, którzy zapłacą za nią sowity okup - bądź też uczyni to rodzina Bobby'ego. Zresztą wszystko jedno, nic z tego nie miało teraz znaczenia. Pochylony nad silnikiem Amerykanin sięgnął po klucz francuski, który spadł z nadwozia furgonetki. Sayid usłyszał, jak mruknął do porywacza świecącego mu latarką:

- Cholera. Podaj mi go, dobrze?

Opryszek odruchowo usłuchał i schylił się. Wówczas Sayid krzyknął i rzucił się w dół, a po chwili Bobby zwinnie kopnął swego strażnika.

Sayid turlał się po zboczu, a przed oczami migwały mu jak w kalejdoskopie urywane obrazy.

Kopnięty bandyta zatoczył się, a Bobby rzucił się do ucieczki. Trzasnęły otwierane drzwi furgonetki i Rekinia Twarz wy-wrzeszczał rozkazy, bryzgając śliną. Wskazał na Amerykanina biegnącego w żółtym blasku lamp autostrady, a następnie na Sayida, który stoczył się już prawie do podnóża pagórka. Jeden z jego ludzi podbiegł do Sayida, a pozostali wypadli z furgonetek i rozbiegli się szeroko jak sieć zarzucona przez rybaka, aby schwytać uciekiniera.

Peaches ruszyła biegiem w kierunku Sayida.

- Nie, zostaw mnie! Uciekaj! - krzyknął chłopiec.

288

Jednak było już za późno. Mężczyzna dopadł go pierwszy, gwałtownym szarpnięciem podniósł na nogi i uderzył mocno w tył głowy. Impet obrócił chłopca, który ujrzał przed oczami jaskrawe błyski. Na moment ogłuszony ciosem zobaczył, że dziewczyna krzyknęła na bandytę, a potem pobiegła do szosy.

„Uciekaj, Peaches!” - zawołał w duchu.

Po chwili odzyskał słuch i dotarły do niego wrzaski porywaczy. Mignęła mu jeszcze sylwetka Bobby'ego w czarnym stroju do nurkowania. Amerykanin utykał wskutek wcześniejszych obrażeń, lecz mimo to biegł najszybciej, jak mógł, chcąc dotrzeć do granicy lasu po drugiej stronie jezdni obiecującego bezpieczną kryjówkę.

Nagle nocne powietrze rozdarł okropny zgrzyt hamulców i przeraźliwy wizg zdzieranych opon. Rozległy się pomieszane krzyki, a światła

samochodowych reflektorów przebiły żółtawy blask lamp. Jakiś pojazd wpadł w poślizg i obrócił się wokół własnej osi, gdy jego kierowca usiłował ominąć biegnących szosą opryszków.

Chwilę później dało się słyszeć obrzydliwe plaśnięcie uderzanego ciała, a potem zgrzytnął metal i trzasnęło pękające szkło.

I zapadła cisza.

Sayid zobaczył, że kilku członków gangu podbiegło do rozbitego samochodu. Rekinia Twarz minął go i pobiegł dwadzieścia metrów dalej, a Peaches pomogła dwóm opryszkom wyciągnąć ostrożnie kierowcę, który leżał bezwładnie w fotelu. Mężczyzna żył. Stał oszołomiony, a potem osunął się na ziemię.

Rekinia Twarz i pozostali porywacze pochylili się nad ubranym na czarno ciałem leżącym na trawiastym poboczu.

A potem odwrócili się od niego.

- Bobby! - wrzasnął w mrok Sayid.

Bandyci spojrzeli na niego ponuro i pobiegli z powrotem do furgonetek. Wrzucili Sayida do pojazdu Amerykanina i zamknęli drzwi. Na zewnątrz rozbrzmiał gwar głosów. Przez minutę

289

ktoś majstrował kluczem francuskim, potem zatrzaśnięto maskę i zawarczał silnik. Bandyci znów opanowali sytuację.

Furgonetka ruszyła z hurgotem skrajem drogi, a Sayida rzuciło na ścianę. Ogarnął go strach. Miał wrażenie, że oplata go potężny wąż, wyduszając mu z płuc życie.

„Max, proszę, pomóż mi!” - zawołał w duchu.

„Myśl, Sayid, myśl!" - krzyknęła inna część jego umysłu, wyśmiewając te nieme prośby o pomoc.

Co to było? Co tu się nie zgadzało? Co takiego zobaczył?

Błysk świateł auta wpadającego w poślizg.

Obrzydliwy odgłos uderzenia.

Wypadek samochodowy - widziany jak na filmie w zwolnionym tempie.

Bobby leżący martwy lub ciężko ranny. Rekinia Twarz wołający coś do swoich ludzi, którzy wracają biegiem do furgonetek. Bandyci biegnący z powrotem do furgonetek... biegnący do furgonetek... i Peaches wracająca razem z nimi do pojazdu!

I wówczas Sayid pojawił z przerażeniem, *co* tu się nie zgadzało.

21

O tej porze roku burza piaskowa nie srożyła się zbyt gwałtownie i nie dawała się we znaki ewentualnym przybyszom. Natomiast wirujący piasek zmuszał do pochylania głów i osłaniania oczu, tworząc zasłonę, za którą mogli się ukryć wrogowie. A wrogowie Maksa byli blisko.

Do murów miasta skradali się ciemnoocy mężczyźni o niebieskawej skórze, żyjący w dziczy, których przodkowie toczyli krwawe, brutalne bitwy, i którzy nadal utrzymywali się dzięki swym umiejętnościom prowadzenia walk. W tym rejonie wciąż istniały miejsca, do których łatwiej dotrzeć konno niż samochodem z napędem na cztery koła. Gdy piasek walił o obronne mury, pół tuzina tych pustynnych wojowników przykryło derkami oczy i pyski koni. Ich własne zawoje - kilka metrów

lekkiej niebieskiej materii owiniętej wokół głowy i zasłaniającej twarz - nie tylko chroniły przed dostaniem się piasku do ust i nozdrzy, lecz zgodnie z wiarą tych ludzi uniemożliwiały złym duchom wniknięcie w ich ciała.

Zarzucili na wały sznury zakończone hakami. Podczas gdy dwóch błękitnoskórych mężczyzn trzymało wodze koni, pozostała czwórka zaczęła się wspinać po linach.

Fauvre martwił się nie tylko o gorączkującego chłopca, lecz także o Aladfara, zapomnianego w trakcie zamieszania i wciąż zamkniętego w klatce. Gdy skręcił w swym wózku na pomost

291

wiodący do jamy tygrysa, ujrzał chmury piachu przesłaniające światło gwiazd, gdy uderzyła pierwsza fala burzy piaskowej.

Na zewnątrz, w mroku nocy, rzucono w dół liny, a wiatr szarpał i wydymał luźne szaty napastników. Fauvre wiedział, że mordercy usiłują sforsować wysokie mury, a ich zaciekle determinacja oznaczała, że przybyli tu, aby zabijać.

Gdy pospiesznie otworzył klatkę Aladfara, ujrzał, że wielki drapieżnik już wstał. Zdjął z haka na ścianie długi łańcuch i szepcząc łagodnie do tygrysa, przymocował go do jego obroży. Potem obrócił wózek inwalidzki i ponaglił zwierzę.

Aladfar wyczuł wyostrozonymi zmysłami niecierpliwość swego pana. Stało się to, na co liczył Fauvre - bestia pognała wielkimi susami, ciągnąc jego wózek z prędkością, w jaką sam nigdy nie zdołałby go wprawić.

- Naprzód, Aladfar, naprzód! - zawołał. - Możesz ocalić nas wszystkich.

Tres bien, mon ami. Doskonale, jeszcze szybciej.

Grupka intruzów rozdzieliła się, przeszukując miasto. Fauvre spostrzegł, że wszyscy są uzbrojeni - niektórzy w strzelby, inni w pistolety maszynowe AK47. Zatrzymali się, przyklękli na piasku i każdy zdjął z pleców coś w rodzaju krótkiego kija. Na ich końcach błysnęły płomyczki i po chwili nasmołowane szmaty buchnęły gwałtownym ogniem. Fauvre wiedział, że blask zwykłych pochodni nie przebiłby nocnych ciemności; te płomienie miały chronić napastników przed jego dzikimi zwierzętami.

Do tego czasu Aladfar dociągnął go do ściany domu, w którym wcześniej robił zastrzyki Maksowi. Usiłował otworzyć osłonę przełącznika. Lecz tygrys szarpnął gwałtownie, zrzucił Lau-renta z wózka i zaczął go odciągać od przycisku alarmowego.

Mężczyzna wypuścił skórzany uchwyt łańcucha i zobaczył, że Aladfar skoczył w nocny mrok. Popęłznął w kierunku ściany i rozpostarł ręce, usiłując dosięgnąć parapetu. Napiął mięśnie pleców i ramion, podciągnął tułów, po czym rozpaczliwie wyrzucił ciało w górę w kierunku przycisku.

292

Zdołał zawadzić pięścią o czerwony guzik i po chwili ciszę nocy rozdarło jęgliwe wycie lotniczej syreny alarmowej.

Max usiadł wyprostowany na łóżku wyrwany z głębokiego snu. Czuł się wspaniale, jakby podłączono mu dożylną kroplówkę zaczerpniętą z bezdennej studni sił natury.

Płócienne ściany namiotu łopotały, miotany wiatrem piasek zgrzytał o dach, a gdzieś w nocnych ciemnościach rozbrzmiewał ryk tygrysa. Chłopiec instynktownie uniósł dłonie do szyi i stwierdził, że wisiorek

zniknął. Potem spostrzegł na przegubach postrzępione resztki sznura. Skrępowano mu ręce, ale potem widocznie ktoś go uwolnił i przeciął rzemyk medalionu.

Gdy zawyła syrena, Max był już na zewnątrz namiotu. Zasłona obłoków pyłu zniknęła już z rozgwieźdzonego nieba, a burza piaskowa ucichła równie szybko, jak się rozpętała. Mrok rozświetlały ognie - dostrzegł trzech... nie, czterech mężczyzn w niebieskich zawojach zasłaniających twarze, którzy trzymali w rękach płonące pochodnie. Nagle przez cienie przemknęła rozmazana pomarańczowa sylwetka doskonale zakamuflowana czarnymi pręgami. Aladfar! Czy ta syrena była ogłuszająco właśnie dlatego, że tygrys wydostał się z klatki? Nie! Tamci Arabowie są uzbrojeni. To jest napaść!

Chłopiec pobiegł ile sił w nogach przez ogrodzony teren w stronę kwatery Fauvre'a. Intruzi szybko, ale gruntownie przeszukiwali budynki, a jeden z nich ruszył do namiotów prosto w kierunku Maksa. Był potężnie zbudowany i chłopak raczej nie zdołałby sprostać mu w walce. Max uchylił się przed ciosem i pobiegł po skraju balustrady otaczającej głęboką mroczną jamę. W dole kłębiła się grupka etiopskich wilków niczym stado piranii w mętnej rzece. Mężczyzna podążył za nim z równą zwinnością. Cisnął płonącą pochodnię do zagrody wilków, wzbudzając wśród nich szaleńczy popłoch. Być może miał nadzieję wyprowadzić w ten sposób z równowagi biegnącego kilka

metrów przed nim Maksa, który teraz odbił się od piasku, wskoczył z impetem na betonową rurę kanalizacyjną, przebiegł do jej końca i

przedostał się na stalowy dźwigar przygniatający stare przerdzewiałe samochody. Napastnik, okrzepły w ciężkich warunkach życia na pustyni, z łatwością kontynuował pościg i za kilka chwil miał go dopaść. Jego spocona dłoń ślizgała się na rękojeści miecza. Mógłby wprawdzie zdjąć z pleców karabin szturmowy i zastrzelić uciekiniera, ale każdy pustynny wojownik woli zabijać mieczem. Uchwycił więc mocniej rękojeść.

Max słyszał za plecami tupot nóg potężnego mężczyzny. Celowo zwolnił kroku, jakby tracił siły. Chciał wykorzystać do obrony impet napastnika. Wojownik nie mógł się powstrzymać i wydał triumfalny okrzyk, po czym rzucił się na Maksa, a jego śmiertelny miecz ze świstem rozciął powietrze. Chłopiec odwrócił się i skoczył na jeden z zardzewiałych dźwigarów, uchwycił się chropowatego metalu i rozkołysał ciało. Mężczyzna ciął z góry na dół, tracąc przy tym równowagę, a gdy padał do przodu, jego miecz rąbnął we wrak samochodu i pękł. Napastnik upadł ciężko, uderzając boleśnie barkiem o ziemię, i przez chwilę leżał bez ruchu oszołomiony.

Max nie tracił czasu. Wparł się plecami w dźwigar i kopnął stojącą obok beczkę po ropie, która potoczyła się na napastnika. Usłyszał plaśnięcie ciała o metal i głucho stęknienie i zobaczył, że mężczyzna osunął się na ziemię, lecz po chwili dźwignął się na kolana.

Wpatrzył się w jego oczy płonące gniewem i wściekłą nienawiścią. Wojownik chwycił pistolet maszynowy AK47. Max dał nura i padł na ziemię po drugiej stronie wraku samochodu, gdy powietrzem wstrząsnął ryk serii wystrzałów, zagłuszający wycie syreny. Pociski zadźwięczały i świsnęły, odbijając się rykoszetem od stalowej belki, gdzie jeszcze przed sekundą się znajdował.

Chłopiec, padając, oparł się na dłoniach, skulił się, wciągnął głowę w ramiona i odturlał się błyskawicznie w kierunku na-

294

stępnego wraku samochodu stojącego na klockach. W przelocie mignął mu obraz napastnika trzymającego broń nad głową i strzelającego zapamiętane nad dachem samochodu, który na moment powstrzymał jego pogoń. Lecz po chwili zobaczył, że mężczyzna wskoczył na maskę.

Max znalazł się w pułapce. Nie mając innego wyjścia, zanurkował głową naprzód do wnętrza pojazdu, wiedząc, że przeciwnik zasypie go serią z broni maszynowej. Z zamętem w głowie, ogłuszony hukami strzelaniny i wyciem syreny wpadł do środka wraku. Stąd nie było już żadnej drogi ucieczki.

Starym samochodem wstrząsnął grzechot pocisków dziurawiących metal i rozrzucających śmiertelne odłamki karoserii, która rozpadała się na kawałki. Napastnik podchodził coraz bliżej, nie przerywając ognia; kontynuował atak, niewątpliwie zamierzając zabić Maksa.

Kanonada i zgrzyt metalu ucichły, gdy mężczyzna w końcu przestał strzelać. Przystanął i z bronią wciąż gotową do strzału usiłował wypatrzyć coś przez obłok prochowego dymu. Spoglądał przed siebie, szukając krwawych szczątków swej ofiary. Jednak ujrzał tylko pozbawiony podłogi i kierownicy nagi wrak samochodu. W środku nie było nikogo.

Nie usłyszał za sobą chrzęstu kroków na piasku, ale poczuł nagle potworny, przeszywający ból od uderzenia w plecy prętem rusztowania. Upadając na kolana, pojął w nagłym błysku, że chłopak przetoczył się szybko pod podwoziem i zaszedł go od tyłu. Gordon zamachnął się szeroko, jakby trzymał w rękach kij baseballowy, i uderzył powtórnie,

trafiając napastnika w głowę owiniętą zawojem i obalając go na ziemię. Mężczyzna padł i wreszcie znieruchomiał.

Max pobiegł z powrotem w stronę zabudowań, gdzie Fauvre leżał na piasku i ze wszystkich sił starał się postawić przewrócony wózek inwalidzki. Chłopiec nigdy dotychczas nie czuł się tak sprawny i silny. Ustawił napędzany akumulatorem wózek,

295

a potem **chwycił Francuza pod ramiona i wciągnął go na** siedzenie.

- Aladfar jest na wolności! - wy dyszał Fauvre.
- Widziałem go. Ale ci ludzie...
- To Tuaregowie!

Gordon słyszał o tych konnych wojownikach, którzy w przeszłości walczyli z francuskimi władzami kolonialnymi i legią cudzoziemską, budząc powszechne przerażenie. Nazywano ich Niebieskimi Ludźmi, gdyż ich skóra nabierała niebieskawego odcienia od barwnika indygo, którego używali do farbowania swoich *ghandouras* - tradycyjnych płaszczy zakładanych na białe kaftany - zaś głowy i twarze osłaniali czarnymi lub niebieskimi zawojami. Ów błękitny barwnik wsiąkał w skórę, chroniąc ich przed pustynnym skwarem i zatrzymując wilgoć ciała. Ponadto nadawał wojownikom dziki wygląd, budząc lęk nawet w ich najodważniejszych wrogach.

- Uważaj, jest za tobą! - krzyknął Fauvre.

Jeden z Tuaregów okrążył róg domu, a jeszcze zanim ukazał się w polu widzenia, blask jego pochodni ostrzegł Francuza. Nie było czasu do namysłu. Gdy wojownik zaatakował bez uprzedzenia, Max zareagował

błyskawicznie. W budynku składowano bele słomy i siana, więc chwycił pierwszy lepszy przedmiot, który mógł posłużyć za broń - widły. Wojownik jedną ręką zamachnął się na niego pochodnią, a drugą ściągnął z pleców pistolet maszynowy AK47 i po kilku sekundach wycelował go w Maksa. Chłopiec przed momentem wyszedł cało z ostrzału z tej samej broni, lecz teraz nie miał się gdzie schować, a Fauvre był bezradny.

Nie było się co patyczkować - Max rzucił się na przeciwnika, celując widłami w jego ramię. Mężczyzna odskoczył w lewo, lecz jeden z zębów wideł wbił się w wylot lufy karabinu. Gdyby napastnik teraz strzelił, broń wybuchłaby mu w rękach. Gordon obrócił się, pchnął i wytrącił mu karabin, lecz teraz widły były bezużyteczne. Mężczyzna sapnął z niedowierzania i wściekłości,

296

po czym z pochwy u pasa dobył wielki zakrzywiony sztylet i zaczął nim wymachiwać na prawo i lewo. Chłopiec cofnął się, rozpaczliwie, usiłując uniknąć ciosu zimnego ostrza, w którym krwawoczerwonymi błyskami odbijał się płomień pochodni.

Nagle potknął się i upadł - a przynajmniej tak się wydawało napastnikowi. Max wiedział, jak trudno zaatakować kogoś, kto turla się po ziemi. W tej sytuacji mężczyzna nie mógł go już ciąć i musiał się pochylić, żeby zadać sztyletem pchnięcie. Gdy to uczynił, chłopak zamachnął się i cisnął w niego chwyconym wcześniej kamieniem. Uderzenie oszołomiło napastnika i pchnęło do tyłu, przez co stracił równowagę i upadł ciężko na ziemię, wypuszczając z rąk pochodnię i nóż. Gdy Gordon zerwał się na nogi, Fauvre manewrował już swoim wózkiem

i zaatakował Tu-arega od tyłu. Chwycił go muskularnymi rękami za gardło i dusił, aż ten osunął się bezwładnie na ziemię.

- Zwiążę go, Max! - zawołał. - Ty musisz uciec i gdzieś się ukryć. Widziałem jeszcze trzech gości. Przyszli tu po ciebie.

Zaczął krępować ręce mężczyzny kawałkiem zawoju, gdy raptem świsnęły płomienie i z szopy wypadła ognista kula płonącej słomy. Ogień z leżącej pochodni docierał już do suchych jak pieprz bali.

Kiedy następny jęzor płomienia buchnął w nocne niebo, Max wskoczył pomiędzy ogień a wózek Francuza i odtoczył go w bezpieczne miejsce. Obydwaj wytrząsali rozżarzone węgielki z włosów i ubrań. Sadza pobrudziła twarz chłopca i wyglądał teraz jak komandos podczas nocnej akcji.

- Nie będę się ukrywał, Laurent - oświadczył. - Zdołamy ich pokonać. Oni nie spodziewają się, że stawimy im opór. Abdullah i jego służący są gdzieś w pobliżu, więc mamy przewagę liczebną.

Fauvre spojrzał ponad jego ramieniem i krzyknął gardłowo w mieszaninie francuskiego i arabskiego. Max obrócił się błyskawicznie i ujrzał Aladfara, który warknął i przysiadł ze strachu

przed ryczącymi płomieniami wydobywającymi się z magazynu zboża. Przerażające odgłosy chaotycznej strzelaniny oraz ostry zapach, jaki wydają jedynie polujący ludzie, zdezorientowały wielkiego drapieznika i sprawiły, że przybiegł on z powrotem do jedyne go człowieka budzącego w nim respekt.

Fauvre wyciągnął rękę, a jego słowa przykuły uwagę zwierzęcia. Niczym domowy pies tygrys podszedł chyłkiem do kamiennej ściany, przy której czuł się bezpiecznie.

- Gdzie jest Sophie? Czy ją dopadli? - zawołał Gordon, przekrzykując ryk płomieni.
- Nie wiem. Mam nadzieję, że im umknęła - odrzekł Fauvre. W jego głosie pobrzmiwał ojcowski niepokój i ból. - Znajdź ją, Max!

Gordon chciał ruszyć, lecz Fauvre chwycił go za ramię żelaznym uściskiem i znowu przemówił pieszczotliwie do Aladfara, kojąc strach zwierzęcia.

Odgłosy strzałów oraz groźby i okrzyki lęku rozbrzmiały echem w całym mieście Łzy Aniołów. Psy myśliwskie ujadły, wielkie drapieżne koty ryczały, mały wrzeszczały, a przenikliwe wycie syreny wciąż rozdzierało ciszę pustyni. Aladfar wstał i z rozwartą paszczą wpatrzył się baczenie w nocny mrok, dysząc z podniecenia. Francuz sięgnął ręką i podniósł jego łańcuch.

- Weź tygrysa i znajdź ją - powiedział do Maksa, wciskając mu w dłoń skórzany uchwyt.

Chłopiec chwycił go, jakby było rzeczą najzwyczajszą pod słońcem trzymać na łańcuchu trzystukilogramowego tygrysa podczas nocnego ataku dzikich Tuaregów.

W magazynie rozpętało się płomieniste piekło, a chmary iskier ulatywały w niebo, łącząc się z gwiazdami. Gryzący dym sprawił, że obaj zanieśli się kaszlem. Zanim Max zdążył odpowiedzieć, Fauvre obrócił swój wózek, schylił się i chwycił sztylet wojownika Tuaregów.

- Sprowadzę pomoc! - zawołał i szybko odjechał.

Wąty pięciometrowy łańcuch łączący chłopca i tygrysa naprężył się, gdy Max puścił się biegiem, a Aladfar ruszył za nim. Tygrys dotrzymywał kroku chłopcu, który biegł jak zwierzę -sprężystymi susami, nie rozwijając pełnej prędkości, ale gotów zareagować na każde nieoczekiwane niebezpieczeństwo.

Pośród migotliwych cieni Max ujrzał Abdullaha walczącego z jednym z Tuaregów. Potężny mężczyzna mocował się z intruzem, aż wreszcie złapał go za fałdy płaszcza, podniósł i obrócił go w powietrzu, a potem cisnął go na ziemię potwornie mocnym zapaśniczym rzutem, po którym jego przeciwnik stracił przytomność.

„Trzej napastnicy byli już pokonani. Pozostał jeszcze jeden” -pomyślał Max.

Mylił się jednak. Odgłosy walki dotarły do pozostałych dwóch jeźdźców, którzy czekali przy koniach po drugiej stronie muru. A ponieważ każdy wojownik pragnie nade wszystko włączyć się do bitwy, jeden z nich wspiął się na mur i zeskoczył na ogrodzony teren.

Max i Aladfar pobiegli drogą na grobli i przebyli niewielki pomost oddzielający wybiegi dla zwierząt.

Z ciemności wypadła na nich z wrzaskiem postać rodem z nocnego koszmaru - wojownik w luźnej szacie dzierżący w jednej ręce krzywą szablę, a w drugiej płonącą pochodnię.

Abdullah usłyszał jego bojowy okrzyk. Zaalarmowany odwrócił się i ujrzał, że napastnik rzucił się w kierunku Maksa. Krzyknął rozpaczliwie do chłopca, lecz jego ostrzeżenie zagłuszył dźwięk syreny. Potem spostrzegł drugiego wojownika, który zeskoczył z muru i zachodził

Gordona z flanki, biegnąc w milczeniu i wznosząc nad głową miecz, by spuścić go w dół w zabójczym cięciu.

Max usłyszał mrozący krew w żyłach ryk. To Aladfar rzucił się na pierwszego szarżującego wojownika. Impet skoku zwierzęcia zachwiały równowagę chłopca właśnie w momencie, gdy drugi napastnik zaatakował go niepostrzeżenie z boku.

299

Obalony na ziemię Max wciąż kurczowo trzymał łańcuch, a tygrys szarpnął go i pociągnął za sobą. Dzięki temu cięcie drugiego wojownika, wystarczająco potężne, by odrąbać mu rękę lub nogę, błysnęło tylko w powietrzu obok niego, a miecz rąbnął w kamienisty grunt. Chłopiec zobaczył niczym w filmie puszczone w zwolnionym tempie, że Aladfar próbuje przy-dusić pierwszego napastnika do ziemi i rozerwać go na kawałki. Jednak ten jakimś cudownym sposobem zdołał odtoczyć się błyskawicznie na bok. Jego płaszcz był teraz w strzępach, a z pazurów tygrysa spływała krew. Mężczyzna z wrzaskiem przerażenia przeskoczył przez najbliższą balustradę, aby zwierzę nie przegryzło mu gardła. Maksowi przemknęła przez głowę myśl, że napastnik miał podwójne szczęście. Nie tylko umknął przed Aladfarem, ale zeskoczył do jamy niegroźnych małp. W tej samej chwili napięcie łańcucha zelżało, gdyż tygrys zawrócił.

Rozbrzmiał kolejny grzmiący ryk pełen groźnej bojowej energii.

W oczach mężczyzny błysnął strach. Miał wystarczająco dużo czasu, by odwrócić się i wprawnym ruchem zadać chłopcu zabójczy cios mieczem, ale poczuł, że zawój zsunął mu się z twarzy, i jego wiara ostrzegła go, że

znalazł się w śmiertelnym niebezpieczeństwie, gdyż teraz złe duchy mogły wdrzeć się przez odsłonięte usta i nos do serca. Ów drugi ryk wydał ten chłopiec - ten przeobrażający się cień, który zamajaczył przed nim, przybierając postać olbrzymiego zwierzęcia. Czyżby to migotliwe płomienie zniekształciły widok i wywołały złudzenie?

Aladfar wiercił się niespokojnie i rył pazurami ziemię. Chciał rzucić się na napastnika, lecz ten został już zaatakowany przez drugie groźne stworzenie, które trzymało więżący go łańcuch. Max potężnym zamachem ramienia powalił mężczyznę i oddał go na pastwę Aladfara.

Tygrys skoczył.

300

Max wydał odgłos, którego sam nie pojmował. Wchłonął w siebie całe to nocne piekło i przekształcił je w dźwięk brzmiący władczo i rozkazująco.

Aladfar już wcześniej wyczuł szóstym zmysłem, że chłopiec powróci do swej zwykłej postaci. Teraz cofnął się i poczuł napięcie łańcucha łączącego go z dziką bestią.

Max miał suche usta. Podniósł głowę i rozejrzał się wokoło. Uświadomił sobie, że klęczy, przyciskając kolanami plecy nieprzytomnego wojownika, i jednocześnie wiąże go paskiem jego szaty.

Syrena ucichła niechętnie i zapadła cisza. Max ujrzał w oddali Abdullaha człapiącego ciężko ku niemu w swej galabii, niegdyś czystej, a teraz powalanej ziemią i krwią. Z rozwiewającego się dymu wyłonił się Fauvre i zawołał do niego, a Abdullah popchnął wózek inwalidzki w kierunku Maksa.

- Jej pokój jest zamknięty od zewnątrz. Nie ma jej tu - rzekł Francuz.

Podeksytowane zwierzęta wciąż jeszcze trajkotały i ryczały, lecz Maksa ogarnął spokój. Chłopiec powracał do rzeczywistości po tej szaleńczej walce.

Uniósł głowę i spojrzał w bursztynowe ślepia olbrzymiego tygrysa, który siedział niecałe dwa metry od niego i obserwował go uważnie. Zwierzę niespiesznie, statecznie przymknęło oczy, niczym domowy kot zadowolony z tego, że wszystko znów się uspokoiło.

Bitwa była zakończona.

Max, Abdullah, Fauvre oraz jego ludzie dopiero teraz poczuli skutki tych zmagania. Łapały ich kurcze obolałych mięśni, dokuczały rany cięte i zadrapania. Krzepili się gorącą słodką herbatą, gdy blask jutrzeńki rozjaśnił nocne niebo, księżyc ustąpił miejsca swemu bratu słońcu i nastał nowy dzień. Opatrzono drobniejsze obrażenia i uspokojono zwierzęta, a potem jak co dzień nakarmiono je i napojono. Max umył się pospiesznie

301

w korycie z wodą. Pragnął jak najszybciej porozmawiać z Fauvre'em i obejrzeć pokój Sophie, aby poszukać śladów wskazujących, czy mogła mieć coś wspólnego z napaścią. Lecz najpierw chciał uzyskać od Fauvre'a inną informację, gdy tylko Francuz skończy rozmawiać przez telefon.

Policja mogła dotrzeć do miasta najwcześniej późnym popołudniem - z powodu szalejącej po drodze burzy piaskowej, braku funkcjonariuszy, a także dlatego, że nie był to pierwszy przypadek ataku na azyl dla zwierząt tego zwariowanego Francuza. Obiecali, że przyjadą, kiedy tylko będą mogli, i poradzili, aby tymczasem zamknąć jeńców pod kluczem.

Żaden z uwięzionych nie zdradził powodu napaści, lecz po poprzednich wydarzeniach w Marrakeszu dla Abdullaha było oczywiste, że wynajęto ich, aby odszukali Maksa.

A teraz jeszcze w dodatku zniknęła Sophie.

Nie została porwana, tylko odjechała. Bramy do rampy załadowniczej, używanej niegdyś przez ciężarówki przywożące zwierzęta, zostały otwarte, a potem znów zamknięte. Właśnie tamtędy wyjechała land cruiserem Abdullaha. Fauvre klął rozwścieczony postępkami córki. Jego nastrój przechodził od rozpaczliwego lęku, czy nie ucierpiała podczas napaści, do kategorycznego potępienia. Max zdawał sobie sprawę, że to typowa reakcja zatroskanych rodziców. Nie powiedział Laurentowi, że Sophie zabrała medalion mnicha Zabali. Chciał najpierw zdobyć więcej informacji. Francuz zadzwonił jeszcze w kilka miejsc - na lotniska, do banków i do każdego, kto mógłby wiedzieć, dokąd uciekła jego córka. Unieważnił karty kredytowe, które od niego dostała, i zablokował jej konto bankowe. Miał nadzieję, że dzięki temu dziewczyna wkrótce wróci do domu.

Max musiał powstrzymać ten ojcowski gniew.

- To ja sprowadziłem na ciebie kłopoty, Laurent - powiedział. - Przykro mi z tego powodu, ale sprawa ma związek z Zabalą, a teraz również z Sophie. Co on ci przysłał?

302

Fauvre poprowadził go pochylnią w dół do pomieszczenia, które w przeszłości było miejskim lochem. "W cuchnącym powietrzu wciąż jeszcze unosiły się wspomnienia więzionych tu nieszczęśników, a gołe

żarówki oświetlały mdłym ponurym blaskiem miejsce, które obecnie wyglądało po prostu na tunel wyryty w miękkim piaskowcu.

- Zawsze wiedziałem, że jeśli Zabala nie okaże się zwykłym wariatem, wówczas to, co mi przyśle, może mieć wielkie znaczenie. Nikomu nie przyszłoby do głowy, żeby tego tutaj szukać - powiedział, otwierając kluczem drzwiczki sejfu.

Papiery w grubym pliku, zapisane głównie odręcznie, wydały się Maksowi niemal nieczytelne. Kiedy jednak obydwaj wrócili do jaśniej oświetlonego gabinetu Francuza i rozłożyli je na biurku, stało się dla niego oczywiste, że te dokumenty ułożono w ścisłym porządku chronologicznym - od zapisu najwcześniejszych badań, hipotez i teorii Zabali. Gordon nadal nie widział w nich zbyt wiele sensu, natomiast pojął znaczenie zdjęć i szkiców oraz wyjaśnień Laurenta.

- Znam Zabale i tego człowieka od prawie trzydziestu lat - powiedział Francuz, wskazując fotografię, którą Max już wcześniej widział, przedstawiającą wymizerowanego mężczyznę stojącego obok Zabali przed rezydencją Antoine'a d'Abbadiego. - To jeden z jego niewielu przyjaciół. Później zdradził Zabale, który zamierzał ogłosić publicznie swoją teorię. Był zdecydowany zrobić wszystko, by świat tym razem go wysłuchał. Jednak ów tak zwany przyjaciel usiłował wykraść mu tę ważną informację. Nie wiem, co się z nim potem stało. Po prostu straciłem go z oczu. - Fauvre odwrócił kolejne strony. - Zabala wiedział, że jego zdradziecki przyjaciel oddał się na usługi kogoś potężnego, ale nie zdołał ustalić jego tożsamości. - Podał chłopcu jakiś list. - Był przekonany, że jego wrogowie wyślą kogoś

o wiele groźniejszego, żeby wydarł mu ten sekret. I zanim zdążył mi go przekazać, zabójca zaatakował.

303

Pogrzebał w papierach i wyjął te same rysunki, które Max *znalazł* w rezydencji d'Abbadiego. Przedstawiały okrąg z wpisanymi weń trójkątami i liczby.

- To kosmogram - stwierdził chłopiec.
- Owszem, masz rację. Widzisz napisaną tutaj francuską nazwę? - spytał. Max zmrużył oczy i uważnie przyjrzał się drobnemu pismu Zabali.
- Beetle-coś tam. Może beetlejuice?
- Sok z żuka? - podchwycił z uśmiechem Fauvre. - Nie, to Betelgeuza - olbrzymia czerwona gwiazda, pięćset razy większa od naszego Słońca. Historia podpowiada, że owa gwiazda stanowi katalizator rozmaitych straszliwych kataklizmów. - Przerwał, ujrawszy na twarzy chłopca wyraz niepewności czy może niedowierzania. - To prawda, Max. Astronomowie uważają, że za tysiąc lat ten gigant eksploduje i zniszczy wszystko, natomiast astrolodzy zanotowali jego zgubne oddziaływanie w przeszłych wiekach. Właśnie Betelgeuza odpowiada ich zdaniem za wydarzenia z 11 września 2001 roku, za tsunami w Indonezji, a także za dawniejsze katastrofy, jak wielki pożar Londynu. Jeśli Betelgeuza znajduje się w pewnym określonym punkcie nieba, zawsze zapowiada to jakiś kataklizm.

Max był zdezorientowany. Astrologiczne wykresy gwiazd, przepowiednie oraz koniunkcje planet na niebie wydawały mu się zawsze stekiem bzdur. Nigdy nie traktował wpływu gwiazd na ludzkie życie jako

bezsportnych, niepodważalnych faktów. Jednak jednej rzeczy był zupełnie pewien. Wierzyło w to wystarczająco wielu ludzi, by kazać zamordować pustelnika Zaba-lę, a na niego samego nasłać morderców. To były fakty, w które mógł uwierzyć.

- Tak więc ktoś zamordował mnicha, by zdobyć tę informację, a potem wysłał za tobą zbirów, ponieważ teraz ty ją posiadasz - zakończył Fauvre.

304

- Może oni właśnie tego szukają - powiedział chłopiec i wyjął rysunek znaleziony w rezydencji d'Abbadiego.

Ułożył obydwie kartki obok siebie. Rysunki wydawały się identyczne i nakreślone tą samą ręką. Chociaż nie wiedział nic o astrologii, zdał sobie sprawę, że przy odrobinie wprawy zdoła się w tym wszystkim zorientować. Te mapy lądów, mórz i gwiazd tworzyły spójny, logiczny system.

Przyjrzał się niezrozumiałym symbolom.

- Jest jedna różnica - stwierdził. - Na posiadanym przeze mnie oryginalnym rysunku Zabali jest dodatkowy trójkąt wpisany w okrąg na kosmogramie. Na twoich szkicach go nie ma. Rysunki nie są więc identyczne.
- A zatem dlatego przysłał mi ten wykres! Musisz mieć coś jeszcze - coś, co ukazuje różnicę pomiędzy tymi dwiema prognozami. Pierwsza była błędna, ale druga... - Fauvre urwał i spiorunował Maksa wzrokiem, zauważywszy brak medalionu. - Gdzie kamień? Zgubiłeś go podczas walki?

- Nie, zabrała go Sophie. Właśnie dlatego uciekła. A teraz chcę obejrzeć jej pokój.

Pokój o kamiennych ścianach mieścił się w jednopiętrowym domu, który niegdyś otaczały inne podobne budynki. Obecnie ich ruiny zatarasowały wszystkie wejścia oprócz jednych drzwi. Podobnie jak inne nastolatki Sophie zamykała swój pokój na klucz, gdyż był jej prywatnym azylem. Jeden z ludzi Fauvre'a przyniósł łom i wyłamał grubą kłódkę.

Dwie ściany były otynkowane gliną pomalowaną na kolor ochry. Małe okna z muślinowymi firankami wpuszczały niewiele światła i w pokoju panował półmrok. Max przekręcił włącznik, lecz światło się nie zapaliło. W ciemnym i zimnym pokoju dostrzegł pojedyncze łóżko przykryte kapą wyhaftowaną w jaskrawe wzory. Regał przy jednej ze ścian wypełniały książki, a na przeciwległej półce stał odtwarzacz płyt kompaktowych.

305

W całym pokoju były rozstawione świece; niektóre były wypalone niemal do końca i rozlały się w barwne woskowe kałuże. W dusznym pokoju unosił się nikły zapach Sophie.

Prowizoryczne biurko służyło głównie za toaletkę i było zavalone kosmetykami oraz całym zestawem grzebieni i szczotek. Stał tam też szklany słoik pełen wsuwek, a na blacie pokrytym mieszaniną pudru i kurzu odcisnęły się okrągłe lepkie ślady po buteleczkach z olejkami eterycznymi.

Fauvre wjechał powoli do pokoju na swoim wózku inwalidzkim i równie zafascynowany jak Max spoglądał na odsłaniający się przed nim świat córki. Na ścianach wisiały fotografie i plakaty, a także obrazy i

rysunki Sophie - maźnięcia farb na kwadratach płócien oraz bardziej stonowane szkice węglem nakreślone gniewną ręką - świadectwa cierpienia i rozpaczki ich autorki.

Max spojrział na fotografie rodzinne z czasów dzieciństwa Sophie. Przedstawiały mocno umięśnionego Fauvre'a z okresu sprzed jego wypadku i zgrabną ciemnowłosą kobietę. Wszystkie zdjęcia z wyjątkiem najnowszych prezentowały oboje rodziców z córką.

Lecz uwagę chłopca przykuła ściana nad łóżkiem Sophie pełna zdjęć zrobionych z dala od wypalonych słońcem marokańskich pustkowi. Widniały na nich olśniewająco białe krajobrazy z zielonymi jodłami obsypanymi śniegiem oraz narciarze w barwnych jaskrawych strojach, którzy uczestniczyli w zawodach. Nie był to jednak bieg zjazdowy, tylko jakaś inna konkurencja. Niektórzy z zawodników klęczeli w pozycji strzeleckiej z bronią przy ramieniu, inni celowali do tarcz w pozycji stojącej, a w tle inni narciarze biegli, odpychając się kijkami.

- To zawody biatlonowe - mruknął do siebie Max.
- Masz rację - przytaknął Fauvre. - To zeszłoroczny biatlon w Norwegii. Sophie wystartowała tam w konkurencji juniorskiej w biegu na piętnaście kilometrów. Nie zajęła punktowanego miejsca. Jest wytrzymała, ale kiepsko strzela.

Gordon przyjrzał się uważniej. Na jednej z fotografii uchwycono sylwetkę jakiejś narciarki. Tryskający spod jej nart strumień śniegu wskazywał, że przed chwilą zatrzymała się i strzeliła do tarczy w pozycji stojącej, z bronią przy ramieniu. Max poczuł skurecz w żołądku. Było to

niemal lustrzane odbicie pozy zabójcy strzelającego do Zabali.

Chłopiec przebiegł wzrokiem sekwencję zdjęć prezentujących zjazd narciarki ze wzgórza do strzelnicy. Ostatnie z nich ukazywało ją w zbliżeniu, z policzkiem przytulonym do kolby karabinu. Jej czarny strój narciarski z lycry miał ten sam wzór z krętych białych linii co kombinezon mordercy, lecz twarz była wyraźnie widoczna.

Oddech uwiązał Maksowi w piersi, a jego serce łomotało mocno, jakby chciało go uwolnić.

Znał tę dziewczynę o jasnych przejrzystych oczach, trzymającą palec na spuście.

Zabójczynię, której nazwiska nie potrafił wymówić - Potyn-cza Józsa.
Peaches.

22

Właśnie to się nie zgadzało.

Peaches pobiegła z powrotem do furgonetki razem z członkami gangu Rekiniej Twarzy. Sayid z trudem przełknął ślinę. Jakaś niewidzialna ręka ścisnęła go za gardło, a jednocześnie wbijała mu w serce ostry lodowy sople. Spojrzenie, jakie rzuciła mu Peaches, nie wymagało żadnych słów.

Furgonetki popędziły z wizgiem opon, skręciły w najbliższy zjazd z autostrady, przejechały wolniej wiejskimi drogami następnych pięćdziesiąt kilometrów, a potem wślizgnęły się z powrotem na czarną, jedwabście gładką asfaltową szosę.

W umyśle Sayida panował zamęt. Tamten kierowca został ranny, Bobby prawdopodobnie nie żyje, a jego dziewczyna jest wplątana w tę przerażającą aferę. Poczul się beznadziejnie samotny. Zaczul się trząść ze strachu i nie potrafil powstrzymać cichego urywanego łkania.

- Zamknij się, ty mazgaju! - wrzasnal bandyta z przedniego siedzenia.

Zirytowany ton jego głosu mial na Sayida zadziwiający wpływ. Chłopiec uświadomil sobie nagle, że porywacze są zdenerwowani. Sprawy nie przebiegły zgodnie z planem, jak się zdaje. Z pewnością nie. Ci brutalni okrutni ludzie są wstrząśnięci ostatnimi wydarzeniami nie mniej od niego, choć z odmiennych powodów. Znaleźli się w nieoczekiwanej niebez-

308

piecznej sytuacji z dala od domu i obawiają się, że wypadki mogą potoczyć się jeszcze gorzej i ktoś ich wytropi.

Sayid opanował gonitwę myśli. Liczby z magicznego kwadratu zapłonęły jasno w jego głowie. Być może zawierają istotne informacje, które pozwolą powstrzymać morderców.

Skupił się, a jego mózg niczym pocisk termolokacyjny znów zmierzał do celu.

Max musiał się pogodzić z niepodważalnymi faktami. Sophie miała konszachty z Peaches, była wplątana w zabójstwo Zabali i należała do gangu Rekiniej Twarzy. Bobby Morrell nie porzucił jego i Sayida w Hendaye, tylko został zdradzony, a może nawet zamordowany przez swoją dziewczynę. Te zbiry pracowały dla kogoś tak potężnego, że mógł dosięgnąć każdego nawet na drugim końcu świata i posłużyć się wszelkimi dostępnymi środkami dla zdobycia czegoś, na czym mu

zależało. Okrzyk Zabali: „Nie ufaj nikomu - oni cię zabiją”, nabrał teraz dla chłopca jeszcze głębszego znaczenia. Czy Sophie odegrała przed nim komedię? Atakuje ją gang Rekiniej Twarzy, a Max jak dureń przybywa na ratunek ujęty jej bezbronnością - a wszystko po to, żeby mogła wykorzystać go jako narzędzie do zdobycia sekretu zakonnika!

Niepodważalne fakty? Na to wyglądało, choć żałował, że tak jest. Nieufność zżera i osłabia człowieka jak groźna choroba.

- Dlaczego zabrała medalion? - rzucił Fauvre, wertując papiery starego mnicha, gdy znaleźli się z powrotem w gabinecie. - Musiała zdawać sobie sprawę z jego znaczenia. Nie ma co do tego cienia wątpliwości. Niech ją diabli! Sprzeda go, prawda? Znajdzie kupca na ten bezcenny przedmiot. Sprzeda ludzkie życie!

Gniew tego zrozpaczonego człowieka mącił jego myśli.

Max usiłował przekonać samego siebie, że cokolwiek Sophie uczyniła, nie jest morderczynią. Kiedy zabierała wisiołek, mogła

309

przecież poderżnąć mu gardło. To **dało chłopcu nikły cień** nadziei, że zrozumie jej postępek.

Potrzebował pomocy Fauvre'a, ponieważ musiał wydostać się z tego miasta i wrócić do Europy.

- Wplątała się w coś, czego sama nie rozumie - powiedział i pokazał mu zdjęcie Peaches, które zdjął ze ściany. - Znasz tę dziewczynę?

Francuz potrząsnął przecząco głową.

- Czy to jakaś znajoma mojej córki? - spytał.

- To dziewczyna, która zabiła Zabalę - odparł cicho Max.

Fauvre był wstrząśnięty. Przygarbił się, a z jego twarzy spęzł rumieniec gniewu. Wyglądał teraz na starego przygnębionego człowieka. Drżącą dłonią ujął fotografię.

- Co zrobiła moja córeczka? Dlaczego jest po stronie tych ludzi? Niech Bóg mi wybaczy, że nie dość ją kochałem.

Mężczyzna nalał sobie drinka i wypił go jednym haustem jak lekarstwo, krzywiąc się, gdyż whisky była mocna. Po chwili odzyskał zwykłą energię i determinację. Wyprostował pęknięty kręgosłup i rzekł bardziej zdecydowanym tonem:

- Grozi jej niebezpieczeństwo. Muszę jej pomóc.
- A zatem musisz pomóc również mnie - powiedział Max. -Spójrz na ten wzór na kombinezonie dziewczyny ze zdjęcia. Widziałem go kilkakrotnie i za każdym razem stykałem się z brutalną przemocą. Spójrz na innych zawodników. Niektórzy z nich mają umieszczone na kombinezonach znaki graficzne sponsorów. Czy sądzisz, że ten wzór może coś znaczyć? Jeśli tak jest, a Sophie pojechała do tej dziewczyny, mogłoby to pomóc nam w jej odnalezieniu.

Fauvre skinął głową. Nareszcie było coś konkretnego, co mógł zrobić. Zapukał mocno w szybę okna. Na zewnątrz Ab-dullah sprawdzał, czy tłące się zgliszcza magazynu z paszą dla zwierząt wystarczająco polano wodą, tak aby iskry porwane przez wiatr nie wywołały kolejnego pożaru.

"Właściciel riadu wszedł do środka. Po jego twarzy pokrytej warstwą sadzy i brudu ściekały strumyczki potu. Fauvre podał mu zdjęcie i

powiedział:

- Abdullah, weź je do pokoju, zeskanuj i sprawdź, czy ten wzór na kombinezonie coś oznacza.

Potężny mężczyzna kiwnął głową i bez żadnych pytań zawrócił w kierunku sąsiedniego budynku.

- Mamy tu doskonały system skanujący - oznajmił Francuz.

- Wykorzystujemy go do porównywania naszych zwierząt ze zwierzętami fotografowanymi w dziczy. Służy do tego specjalne oprogramowanie rozpoznające wygląd. Abdullah potrafi posługiwać się komputerem znacznie szybciej i sprawniej niż ja.

• Mam przyjaciela równie uzdolnionego w tych sprawach - rzekł ponuro Max, wspominając Sayida, który od wyjazdu nie dał znaku życia.

• I to wszystko, co możemy uczynić? Mamy liczyć, że znajdziemy jakieś ukryte powiązanie? - pytał Fauvre.

Max zdał sobie sprawę, że musi zagrać swoją ostatnią atutową kartą.

- Nie, możemy zrobić coś więcej. Możemy przekonać się, co twój przyjaciel Zabala ukrył w kamieniu medalionu.

Wziął ze stołu nóż o krótkim ostrzu służący do rozcinania listu. Potem szybko usiadł, zdjął jeden adidas, wbił nóż w obcas i wydlubał z niego amortyzujący żel, a potem wyjął kamień.

• Wiedziałem, że prędzej czy później ktoś ukradnie ten medalion, więc w hotelu Abdullaha zamieniłem jego kamień.

• A zatem Sophie...

• Sophie ma tylko rzeźbiony kamyk z podstawki pod drinki

- wyjaśnił Max.

Angelo Farentino wypalił już połowę cygara i rozkoszował się jego aromatem. Tom Gordon nie rozpoznał go i nie ma pojęcia o jego prawdziwej tożsamości, a ten zwalisty ochroniarz

311

i pielęgniarz w jednej osobie oddalił się poza zasięg głosu, więc nikt postronny nie zapamięta tej rozmowy. Lecz gdy usłyszał słowa Gordona, zaschło mu w ustach, jego cygaro zgasło i poczuł na języku stęchłą gorycz spowodowaną raczej strachem i żółcią niż zgubnym nałogiem palenia.

Tom Gordon wspomniał mimochodem i dość chaotycznie o tym, że przed wielu laty wraz z innymi badaczami naukowymi odbył podróż do Szwajcarii. Farentino natychmiast zaczął słuchać uważniej. Pamięć Gordona przypominała układankę, w której nie wszystkie elementy do siebie pasują, niemniej jednak strzępy jego wspomnień zaczęły tworzyć w umyśle Farenti-na kompletny obraz.

Liczni działacze ochrony środowiska wzięli pod lupę olbrzymi akcelerator cząstek atomowych zbudowany w Szwajcarii i zostali zaproszeni, by mogli się naocznie przekonać o zastosowanych tam zabezpieczeniach. Farentino pamiętał ten okres i nawet przypominał sobie opublikowany przez siebie artykuł autorstwa jednego z ekologów dotyczący topnienia alpejskich lodowców oraz kwestii wpływu potężnej energii elektromagnetycznej, która mogła spowodować niebezpieczne zmiany klimatu. Bez rozgłosu, aby nie wywołać paniki, podjęto środki bezpieczeństwa chroniące owe tajne badania - takie jak system komputerowej ściany zaporowej. Nikt jednak nie wiedział, czy okażą się one wystarczające, gdyby w tym rejonie doszło do wielkiej katastrofy

ekologicznej.

I oto teraz oszukańczy Angelo Farentino przypadkowo zdobył informację, z którą koniecznie musi się zaznajomić Fedir Ti-szenko. Bowiem nawet Tiszenko nie przewidział rozmiaru zniszczeń, jakie sprowadzi na świat, jeśli zrealizuje swoje plany wykorzystania sił natury. A może jednak przewidział?

Jeżeli Farentino pójdzie na policję, zostanie aresztowany bez względu na to, czy władze uwierzą w tę od dawna zapomnianą teorię, czy też nie. Ukrycie się również nic by mu nie dało. Jeśli

312

ta informacja jest prawdziwa, wszystko, co posiada, całe jego bogactwo ulegnie zniszczeniu. Giełdy upadną, banki zostaną zamknięte, a wszelkie kapitały i nieruchomości staną się bezwartościowe. Dojdzie do olbrzymiego finansowego krachu i nastanie totalny chaos.

Jeżeli mimo to spróbuje uciec, rozdzieli swój majątek i ulokuje go w różnych rejonach świata i osiedli się w Brazylii lub na jakiejś skalistej wysepce pośrodku Pacyfiku, Tiszenko ma wystarczające środki, by go odnaleźć i zabić. Jeśli zaś nie ucieknie, wszystko tak czy inaczej będzie skończone. To była sytuacja bez wyjścia.

Nie martwił się wcale tym, że zginie olbrzymia liczba ludzi, a środowisko naturalne zostanie nieodwracalnie skażone - lecz tym, że straci swój majątek. Przecież przede wszystkim dlatego zdradził wszystkich swoich dawnych przyjaciół - dla olbrzymiego bogactwa. To było nie w porządku. Czemu właśnie on musiał poznać tę informację? Dlaczego los nie obdarzył tą wiedzą kogoś innego?

Angelo Farentino bynajmniej nie był bohaterem, lecz będzie musiał

użyć całego swojego uroku oraz zdolności perswazyjnych, aby przekonać Tiszenkę, że realizacja jego planów może stworzyć piekło na ziemi.

Furgonetki zatrzymały się na stacji benzynowej, żeby zatankować, lecz Rekinia Twarz ukrył pojazd Bobby'ego na wjeździe do garażu i kompleksu restauracyjnego. Porywacze napełnili kanistry olejem napędowym i uzupełnili zapas paliwa w ciemnościach pośród drzew.

Sayid obrócił się i oparł plecami o wyłożoną boazerią ścianę furgonetki, starając się, żeby jego gipsowy opatrunek zasłonił liczby, które nagryzmolił na spodzie deski surfingowej Bobby'ego. Drzwi się otworzyły i Sayid się wzdrygnął. Do samochodu weszła Peaches. Spojrzała na niego i odwrócił wzrok. Przypomnił sobie,

313

co kiedyś powiedział mu Max: „Nigdy nie **patrz** w oczy **komuś**, kto jest niebezpieczny”.

Dziewczyna podała mu nieświeżą bułkę z rozmiękłym serem i kawałeczkami warzyw smażonych na sposób chiński. Smakowało to jak przepocona skarpetka wypełniona ogrodowymi sadzonkami, ale chłopiec był okropnie głodny i marzył o kubku gorącej czekolady, który trzymała w ręku.

Usłyszał, że na zewnątrz Rekinia Twarz instruuje pozostałych, jaką trasą pojedą. Dobiegły go jedynie strzępy nazw miejscowości, między innymi Genewy; nie usłyszał reszty, gdyż zbyt głośno przeżuwał. Jadł łapczywie, w obawie że Peaches zabierze mu bułkę. Dziewczyna przysiadła na piętach i przyjrzała mu się uważnie z zimnym wyrazem twarzy, a potem przebiegła wzrokiem wewnątrz furgonetki, szukając czegoś, co mogłoby

umożliwić więźniowi ucieczkę lub spowodowanie zamieszania podczas jazdy.

Chłopak upewnił się, że jego stopa wciąż zasłania deskę surfingową. Rozważał, czy ma się zdobyć na odwagę i spróbować urobić tę dziewczynę.

„Bądź dla niej miły i okaż wdzięczność” - powiedział sobie.

- Dziękuję, Peaches. Konałem z głodu.

Skinęła głową i podała mu kubek czekolady.

„Zapytaj ją - ale ostrożnie”.

- Nie rozumiem, dlaczego jesteś po stronie tych kreatur. Przecież Bobby był takim fajnym gościem.

Wyrwała kubek z jego związanych rąk tak gwałtownie, że oparzył go rozchlapany napój, i wylała resztę na ziemię.

- Nie masz prawa zadawać żadnych pytań - rzekła. - Nie możesz jednocześnie rozmawiać i pić i właśnie dokonałeś wyboru.
- Nie rozumiem, co tu się dzieje - rzucił gniewnie, rozpaczliwie żałując, że nie zdołał się rozgrzać gorącym napojem.
- Tak przypuszczaliśmy, ale jeszcze przez pewien czas będziesz dla nas użyteczniejszy żywy niż martwy. Chyba nie sądzisz, że twój przyjaciel cię opuści, co?

314

„Max! - pomyślał Sayid. - A więc chcą mnie użyć jako przynęty! Tylko jak? Przecież nie wiedzą, gdzie dokładnie jest Max, chyba że...”.

Jego myśli urwały się nagle, jakby uderzyły w ceglany mur. Kto jest wspólnym mianownikiem tej sytuacji? Sophie. To do niej Peaches wysłała

SMS-a. Obie dziewczyny są w zмовie!

Peaches uśmiechnęła się, wysiadła i zatrzasnęła za sobą drzwi. W furgonetce zapadły ciemności, a chłód spowił chłopca jak sieć śmiertelnie jadowitego pająka. Sayid musiał znaleźć rozwiązanie w tych liczbach, a potem koniecznie w jakiś sposób przekazać je Maksowi.

Ponieważ kiedy dopadną Maksa, Sayid stanie się dla nich bezużyteczny - i wtedy go zabiją.

Fauvre otarł pot z czoła. Jeździł na wózku, kompletując wyposażenie. Przesunął na swoje miejsce prymitywny staroświecki mikroskop. Niegdyś ten przyrząd stanowił nowinkę techniczną, obecnie był bardzo przestarzały w porównaniu z wytworami nowoczesnej technologii - niemniej jednak wciąż mógł się przydać do prostego celu.

Francuz wyciągnął rękę po kryształ Zabali, lecz Max się ociągał. Otrzymał ten kamień w zaufaniu od umierającego człowieka, walczył w obronie jego tajemnicy, a teraz miał go oddać ojcu dziewczyny, która go zdradziła.

Jednak po krótkim wahaniu wręczył mu kryształ. Fauvre obrócił go pieszczotliwie w palcach, jakby to był bezcenny diament. Istotnie, będzie bezcenny, jeśli uda się rozszyfrować jego tajemnicę.

Mężczyzna wyczuł obiekcje chłopca.

- W porządku - powiedział. - Przekonajmy się, za co zamordowano mojego przyjaciela.

Powietrze w pokoju było przesycone ciężkim zapachem potu. Wietrzyk ochłodził je trochę, lecz wciąż dusił ich gryzący smród

spalonej słomy. Fauvre otarł oczy rękawem i pochylił się nad okulem mikroskopu. W pokoju panował półmrok rozpraszany tylko światłem punktowej lampy na biurku. Max z napięciem wstrzymał oddech. Jeżeli Fauvre pojmie znaczenie inskrypcji na kryształach, to jakby otworzył wrota do sekretnej podziemnej grobowca.

Jedynym dźwiękiem w pomieszczeniu był teraz chrapliwy oddech Francuza wpatrującego się w okular. Nagle mężczyzna odrzucił głowę do tyłu i zerknął na Maksa z błyskiem niepokoju w oczach. Po długiej chwili odepchnął się od stołu.

- Podaj mi te kosmogramy - polecił chłopcu.

Obrócił swój wózek i przymocował dwa arkusze papieru do białej tablicy - kartkę przysłaną mu przez Zabalę oraz oryginalny kosmogram, który Max znalazł w rezydencji d'Abbadiego. Szybko sporządził ich powiększony rysunek, żeby obaj mogli im się lepiej przyjrzeć.

Chłopiec patrzył, jak czarny marker sunie po białej tablicy, i przypomniał mu się zabójca szusujący na nartach po śniegu. Flamaster skrzypiał, gdy Fauvre szkicował taki sam trójkąt, jaki wryto na kryształach, a potem umieścił w jego rogach odpowiednio litery E, S i Q.

- Kilka lat temu w naszym Układzie Słonecznym odkryto trzy odległe ciała niebieskie - powiedział i wypisał ich nazwy na tablicy, jednocześnie wypowiadając je na głos, jak nauczyciel w klasie: - Eris, Sedna i Quaoar. E, S i Q. - Dotknął kolejno wierzchołków trójkąta i mówił dalej: - W tamtym czasie Zaba-la nie mógł wiedzieć o ich istnieniu. Z układu planet wywnioskował, iż nadchodzi wielka katastrofa, lecz brakowało mu kilku elementów - właśnie tych trzech ciał i ich koniunkcji.

- Ustawily się w jednej linii? To wyjątkowy układ, prawda? -spytał Max.
- Właśnie! - odrzekł Fauvre. - One są czynnikiem mającym wywołać katastrofę, a obecnie znajdują się w odpowiednim miejscu zodiaku.

316

Max miał trudności z połączeniem w całość tych wszystkich informacji; terminologia astrologiczna wywoływała w jego umyśle zamęt. Lecz skupił się, jakby od tego zależało jego życie - co zresztą mogło okazać się prawdą. Wiedział, że Księżyc wpływa na ziemskie uprawy i powoduje morskie pływy. Może więc planety również są przyczyną jakichś nieznacznych oddziaływań? Dotknął palcem diagramów kryjących nierozwiązane sekrety, które nie tworzyły jeszcze dla niego sensownej całości.

- To znaczy, że Zabala miał wszystkie istotne elementy swojej prognozy - powiedział wreszcie. - Chciał, żebyś dostał ten medalion, ponieważ wcześniej przysłał ci nowy, sporządzony przez siebie kosmogram.

Fauvre odparł ostrożnie:

- Jestem przekonany, że prognoza Zabali dotycząca klęski żywołowej jest prawdziwa i że owa katastrofa zostanie spowodowana przez ludzką działalność. Trzy niedawno odkryte ciała niebieskie ogromnie zwiększają prawdopodobieństwo takiego zdarzenia.

Maksowi ta idea wydała się kompletnie niedorzeczna.

- Nie rozumiem! To nielogiczne, pozbawione jakichkolwiek racjonalnych podstaw. Totalna katastrofa z powodu jakiegoś

kretyńskiego trójkąta?! - rzucił gwałtownie.

Ojciec zawsze mu powtarzał, by rozumował trzeźwo i praktycznie, nie tracąc z oczu rzeczywistości ukrytej za fasadą pseudonaukowych twierdzeń.

- Mylisz się! Ta informacja zaginęłaby wraz ze śmiercią Zabali, gdybyś ty nie wziął na siebie odpowiedzialności i nie doprowadził sprawy do końca - rzekł powoli Fauvre, starannie dobierając słowa, aby powstrzymać irytację chłopca. - Max, to nie jest jakiś idiotyczny gazetowy horoskop. Mój przyjaciel Zabala był naukowcem i naprawdę odkrył potężną kosmiczną siłę.
- Potrzebuję jakiegoś pewniejszego i bardziej konkretnego dowodu.

317

- To jest precyzyjne i konkretne - odrzekł Francuz i wrysował ten nowy trójkąt w diagram przysłany przez Zabala. - Wyznacza koniunkcję planet i dokładnie określa rok, dzień i godzinę katastrofy: 8 marca o 11.34.
- Czyli za dwa dni - stwierdził Max.

Fauvre pokazał mu stronę bloczku, na której wypisał liczby wyryte w kryształach.

24 8 6 14 14 - 2 21 13 24 12 - 6 14 4 10 13 17 14 4 10 13 14 21

- Niestety, to jest część sekretu Zabali, której nie potrafię zrozumieć - powiedział. - Jak myślisz, co oznaczają te liczby? Nie sądzę, by miały coś wspólnego z astrologicznymi horoskopami. Nie widzę żadnego związku między nimi a tymi rysunkami.

- Może jakiś zaszyfrowany opis - rzekł Max i nagle poczuł dreszcz niepokoju, przypomniawszy sobie o Sayidzie.

Obecnie nie mógł on w żaden sposób pomóc przyjacielowi. Fauvre zauważył wyraz bólu na jego twarzy.

- Czy jest coś, o czym mi nie powiedziałaś? - spytał.

Max skinął głową.

- O kartce z dwudziestoma pięcioma liczbami ułożonymi w kwadrat. Nie mają żadnego sensu z wyjątkiem tego, że ich suma w każdym rzędzie, kolumnie i na przekątnych wynosi zawsze sześćdziesiąt pięć.

- A zatem ten kwadrat zawiera jakieś przesłanie. Zabala niewątpliwie zaszyfrował w nim ważną informację - być może nawet dotyczącą sposobu zapobiegnięcia katastrofie.

Max wytężył umysł, lecz nie potrafił sobie przypomnieć liczb z magicznego kwadratu. Żeby odcyfrować jakąś wiadomość, trzeba znać słowo lub zwrot znany tym, którzy ją zaszyfrowali. To jak kombinacja cyfr w sejfie. Nie miałby szans, nawet gdyby odtworzył liczby z magicznego kwadratu.

318

- Odkryliśmy tylko liczby z kwadratu i z tego kryształu - powiedział. - Nie znaleźliśmy żadnego hasła, które mogłoby nam pomóc w rozszyfrowaniu wiadomości.
- Ale czy nie rozumiesz, że Zabala musiał w jakiś sposób przekazać ci kluczowe słowa niezbędne do rozszyfrowania jego informacji? Niewątpliwie otrzymałaś je, widziałaś albo usłyszałaś. Gdzie jest kartka z magicznym kwadratem?

- Ma ją mój kumpel.
- A gdzie on jest?
- Powinien już być w domu w Anglii, ale nie udało mi się z nim skontaktować. Może złapali go angielscy gliniarze. W tej chwili to nieważne - odparł Max i podszedł do mapy wiszącej na ścianie. - Ten trójkąt sprowadził mnie tu z Biarritz. Jego pozostałe dwa boki łączą się... - wyznaczył palcem linię - tutaj.
- W Genewie - rzekł zaniepokojony Fauvre. Max poczuł skurcz lęku.
- Akcelerator cząstek elementarnych w CERN - powiedział.
- Wiesz o nim? - spytał Francuz.

CERN, czyli Europejskie Centrum Badań Nuklearnych. Dwa lata temu szkoła Maksa zorganizowała wycieczkę do tego miejsca, lecz on w tym czasie brał udział w zawodach przełajowych. Natomiast Sayid pojechał tam i po powrocie opowiadał, że wrażenie było oszałamiające. Sto metrów pod ziemią umieszczono rury akceleratora tworzące okrąg o promieniu ośmiu i pół kilometra, a obwodzie dwudziestu siedmiu kilometrów - czyli wielkości linii Circle londyńskiego metra. Było to olbrzymie urządzenie, największe w dziejach świata.

Sayid zawsze ekscytował się osiągnięciami nauki.

Ten akcelerator stanowił spełnienie marzeń wszystkich fizyków zajmujących się teorią Wielkiego Wybuchu. Zamierzano przyspieszyć w nim wiązki protonów niemal do prędkości światła. Wiązki owe miały rozbić cząsteczki atomowe, wyzwalając przy tym energię w niewiarygodnie potężnej eksplozji.

„Bang! Bang! Bang! Bang!!!” - krzyczał Sayid, tupiąc jak wariat i niemal wychodząc z siebie z podniecenia. Gadał o tym jeszcze przez wiele dni po powrocie z wycieczki. Wówczas doprowadzało to Maksa do szału, lecz teraz żałował, że nie słuchał przyjaciela uważniej.

Fauvre postukał palcem w mapę.

- Ci naukowcy usiłują się dowiedzieć, w jaki sposób powstał nasz wszechświat. Pragną ustalić, kiedy i jak zrodziły się znane nam siły natury - w trylionowej części sekundy po chwili stworzenia - powiedział. - To się układa w spójną całość. Zabala spędził niegdyś kilka miesięcy w tych górach.

Max wpatrywał się w Jezioro Genewskie na mapie, wciśnięte pomiędzy łańcuchy górskie.

„Przypuśćmy, tylko przypuśćmy, że wszystko, co odkryłem, jest prawdą - myślał ostrożnie. - W takim razie katastrofa w tym rejonie spowoduje śmierć i zniszczenia na niewyobrażalnie wielką skalę”.

- Akcelerator cząstek elementarnych i uczeni zajmujący się teorią Wielkiego Wybuchu. Sophie niewątpliwie zabrała medalion, żeby pokazać go komuś z nich - powiedział. - Ale kiedy odkryją, że medalion z podmienionym kamieniem jest bezwartościowy...

Nie był w stanie dokończyć. Wymienił z Fauvre'em przerażone spojrzenie. Obydwaj wiedzieli, że Sophie zginie razem z wszystkimi tymi ludźmi.

Zabala podał im dokładną datę i godzinę katastrofy: 8 marca o 11.34. A obecnie Max wiedział też, gdzie ona się wydarzy -na granicy francusko-

szwajcarskiej.

Milczeli wstrząśnięci. Pełną napięcia ciszę przerwał Abdullah, który wpadł do pokoju, wymachując zdjęciem Peaches.

- Ten wzór na jej narciarskim kombinezonie może oznaczać wiele rzeczy - powiedział, po czym dodał z uśmiechem: - Ale dwie z nich na pewno. - Położył na biurku dwa wydruki. - To

320

fotografia rozgałęzionej błyskawicy. A to... - Podniósł drugą kartkę. - To jest logo korporacji Perun Industries.

- Błyskawica - powtórzył Max uderzony nagłą myślą. -Wnosząca światło... *Lux Ferre*...
- Co takiego? Zabala użył tych słów w jednym z listów... -rzekł Fauvre, szperając w papierach przyjaciela. - Tutaj! - zawołał, podnosząc w górę zmiętą porwaną kartkę. - *Lux Ferre*. Napisał, że właśnie tego się boi! Ale nie widzę w tym żadnego sensu.
- To były wskazówki - powiedział chłopiec. - Co to za spółka?
- Niegdyś zajmowała się ropą i gazem. Właściciel Perun Industries sprzedał prawa do eksploatacji złóż i handlu wiele lat temu, ale zachował dawną nazwę. To prywatna firma, bez żadnych akcjonariuszy, warta miliardy dolarów. Zdaje się, że jej właściciel stał się samotnikiem. Nazywa się Fedir Tiszenko, jest Ukraińcem, a mieszka gdzieś w Szwajcarii.

Max pojął, że odnalazł wroga, który go ścigał. Zdał sobie sprawę, że Fauvre miał rację - Zabala istotnie podał mu kluczowe słowo. Wykrzyczał je tuż przed śmiercią. Lucyfer.

„Sayid, gdzie jesteś?” - pomyślał rozpaczliwie.

L-U-C-Y-F-E-R. Klucz do tajemnicy.

23

Fedir Tiszenko delikatnie wcierał krem aloesowy w swą łuszczącą się skórę. Alpińscy używają kremów nawilżających na dużych wysokościach, gdzie słońce i wiatr wysuszają im twarze, ale dla Tiszenki był to codzienny rytuał od czasu, gdy uderzył w niego piorun. Skóra odpadała teraz całymi płatami, a jego bezwłose ciało przypominało tułów gada.

Czy potwory rodzą się samoistnie, czy też tworzy je okrutna ręka natury? Nie zaprzętał sobie tym głowy. Większość pracujących dla niego ludzi była wyrzutkami społeczeństwa. Wykonywali jego rozkazy z wdzięczności lub ze strachu - lecz tak czy inaczej kupił sobie ich lojalność. Natomiast wąska grupa naukowców została podobnie jak on odrzucona przez świat. Niektórzy doznali szykan i okrucieństw z powodu fizycznego kalectwa, inni wskutek swego stanu psychicznego. Każdy z nich trafił do własnego piekła samotności i rozpacz; wszyscy pragnęli lepszego, bardziej godziwego życia i w Tiszence ujrzeli swojego mistrza. Spośród nich jedynie on miał palącą ambicję i pragnienie zyskania nieśmiertelności oraz niezbędne do tego pieniądze. Ofiarował im szansę odpłacenia nieczulemu wrogiemu światu. Tiszenko zamierzał wykorzystać przerażającą kosmiczną energię, która eksploduje w jednym straszliwym błysku światła i ognia, z intensywnością niewidzianą od czasu powstania

wszechświata podczas Wielkiego Wybuchu.

322

Ten szaleńczy pomysł pojawił się w jego umyśle już przed wielu laty i stopniowo wrastał w psychikę, aż w końcu stał się dla niego czymś zupełnie normalnym. Tiszenko zamierzał stworzyć nową formę życia, toteż nic dziwnego, że wielu ludzi będzie musiało umrzeć, aby mógł zaspokoić swoją ambicję. W żadnym razie nie był szaleńcem opętanym nienawiścią i planującym popełnienie bezsensownego ludobójstwa. Po prostu został wybrany.

Natomiast oficjalnie Tiszenko inwestował wszystkie swe środki finansowe w poszukiwanie i pozyskiwanie alternatywnych źródeł energii niezbędnych temu podupadającemu światu. Tak więc Angelo Farentino, który w swojej ignorancji stał przed Tiszenką i opowiadał o niewyobrażalnie wielkiej katastrofie, która grozi olbrzymim obszarom Europy, jeśli on, Fedir, zrealizuje swój projekt, nie miał pojęcia o jego prawdziwych planach.

- A zatem powiązanie między Maksem Gordonem i Zabalą jest całkowicie przypadkowe? - zapytał Tiszenko, odrywając z policzka następną warstwę skóry.
- Tak! - odparł niecierpliwie Angelo Farentino, zastanawiając się, czy ten szaleniec nie pojmuje wagi jego najważniejszego odkrycia - katastrofy, która spotka ludzkość. Ten głupiec zabije wszystkich!

Tiszenko z zadowoleniem skinął głową. A więc ani Tom Gordon, ani jego przyjaciele naukowcy z organizacji ekologicznych nie mają pojęcia o jego planie. To dobrze. Pojawienie się w tych górach jego syna było

czystym przypadkiem, lecz z drugiej strony posiada on potrzebną Tiszence informację. Cóż, los postawił Maksa Gordona na drodze kosmicznego pociągu, który go rozjedzie. Tyle że na razie chłopaka nie udało się powstrzymać. Wyszedł cało z lawiny, uciekł nastanym przez Tiszenkę zabójcom, uniknął aresztowania przez policję i w rezydencji d'Abbadiego poradził sobie z następnym atakiem. Potem umknął z sekretem

323

Zabali i przetrwał napaść w wąskich zaułkach Marrakeszu. O rezultacie ataku na azyl dla zwierząt nie było jeszcze żadnych wiadomości.

„Prawdopodobnie znów zakończył się niepowodzeniem” -pomyślał złowrogi potentat. Być może ten Max Gordon jest chroniony przez jakąś nadprzyrodzoną siłę.

Jednak to nie miało znaczenia - tylko on, Tiszenko, jest prawdziwym boskim wybrańcem.

- Angelo, gdy byłem nastolatkiem - powiedział, nalewając sobie do wysokiej szklanki krystalicznie czystą wodę z górskiego potoku - podczas jednej z podróży przejeżdżałem przez Kra- mińsk - małe miasteczko nad rzeką z dwoma mostami. Ja i moi ludzie, moi *vucari*, przeprawialiśmy się mostem, który był nie mal pusty. Nagle usłyszałem krzyki. Jakieś małe dziecko spadło z drugiego mostu w górnym biegu rzeki. Było zimno, a prąd rwący, więc mała nie miała żadnych szans. Spływała jak szmaciana lalka niesiona wartkim nurtem. Nie znam lęku, toteż wskoczyłem do wody i uratowałem to dziecko.

Farentino milczał. Wydało mu się, że Tiszenko rozpaczliwie pragnie

zostać dobrze zrozumianym.

- Wyciągnąłem dziewczynkę na brzeg - ciągnął Ukrainiec. - Żyła. Wróciłem do mostu, a podekscytowani i uradowani ludzie wiwatowali, podziwiając mój bohaterski czyn. Nie pragnąłem uznania, nie prosiłem o oklaski. Chciałem tylko ocalić niewinne dziecko. Kiedy zobaczyli, jak wyglądam, uśmiechy zastąpiła od razu, a potem nienawiść i strach. Bohater zmienił się w potwora. Świat jest okrutny, nie sądzisz, Angelo?

Farentino skinął głową. To było retoryczne pytanie i nie wymagało odpowiedzi.

- Więc wrzuciłem dziewczynkę z mostu z powrotem do wzburzonej kipieli i utonęła - dokończył spokojnie Tiszenko.
- Co takiego? - wyszeptał zdjęty zgrozą Angelo.
- Ludzkie uprzedzenia ją zabiły, nie ja.

324

- Nie słyszał pan, co mówiłem?! - wybuchnął Farentino. - Tu nie chodzi o śmierć jednego dziecka, ale o olbrzymie pęknięcie skorupy ziemskiej, które uśmierci tysiące ludzi - także nas!

Tiszenko wcisnął guzik pilota i na ekranie zabłysnął trójwymiarowy obraz łańcuchów górskich otaczających ich kryjówkę. Na ten obraz nałożona była siatka krzyżujących się prostopadle linii przecinających lodowce, miasta i Jezioro Genewskie, leżące w samym sercu Europy.

Szczelina będąca ustami Tiszenki rozszerzyła się w karykaturalnym uśmiechu.

- Nie tysiące, lecz setki tysięcy. A po dwudziestu czterech go

dzinach powstanie nowy świat.

Farentino poczuł podchodzącą z żołądka falę mdłości. Nikt i nic nie zdoła powstrzymać tego szaleńca!

Tiszenko skinieniem głowy dał znak komuś stojącemu za plecami Farentina i zanim Angelo zdążył się odwrócić, dwaj ochroniarze chwycili go za ramiona tak mocno, że aż przeszył go ból.

- Ale ty, Angelo, nie będziesz częścią tego naszego nowego świata. Nie masz nic cennego, co mógłbyś do niego wnieść. Twoja pula genów jest pusta jak ta szklanka - powiedział potentat, odwracając naczynie do góry dnem.
- Ludzie dowiedzą się o twoim planie! Na zewnątrz jest ktoś, kto go odkryje! - krzyknął Włoch na moment przed tym, jak potężnie zbudowani mężczyźni zrzucili go ze schodów.

Stoczył się i upadł ciężko z porozbijaną twarzą i palącym bólem żeber. Oszołomiony nie usłyszał ostatnich zwróconych do niego słów Tiszenki:

- To bez znaczenia. Teraz już nikt nas nie dosięgnie. Dzieło prawie się rozpoczęło.

Podwładny Abdullaha napełnił olejem napędowym bak starej furgonetki. Fauvre skłonił właściciela hotelu, by użył swoich wpływów i załatwił Maksowi bilet na samolot lecący z Maroka

do Szwajcarii. Na francuskich lotniskach nazwisko chłopca mogło znajdować się na liście osób poszukiwanych przez policję. Land cruisera Abdullaha znaleziono porzuconego niedaleko wybrzeża. Sophie popłynęła wodolotem do Hiszpanii, a tam wsiadła do pociągu pospiesznego jadącego

przez całą Europę. Miała nad Maksem dwanaście godzin przewagi, lecz chłopiec mógł dotrzeć do Szwajcarii przed nią. Przed odjazdem Fauvre wcisnął mu do ręki grubą kopertę wypchaną pieniędzmi i rzekł:

- Powiedz Sophie, że jeśli zależy jej na pieniądzach, to dosta nie je ode mnie. Powiedz jej, że medalion jest bezwartościowy. Opowiedz jej wszystko, dobrze?

Max skinął głową. Nie sądził, by dziewczynie chodziło wyłącznie o pieniądze, ale być może uda mu się nimi przekupić ją i skłonić, żeby trzymała się z daleka od Peaches i jej kompanów.

- Nie odpowiadam za jej postęпки - odparł. - Sama wplątała się w całą tę aferę. Muszę znaleźć jakiś sposób powstrzymania Tiszenki!
- Znam kilku ludzi w CERN i mogę z nimi porozmawiać. Spróbuję ich przekonać, żeby przerwali wszystkie eksperymenty i badania przynajmniej na dwa dni. W dzisiejszych czasach, jeśli ostrzegę ich o możliwości ataku terrorystycznego, zamkną całą Szwajcarię. Max, nie chcę, żeby moja córka spędziła resztę życia w więzieniu. Jeżeli schwyta ją policja, nie będę w stanie jej pomóc.
- A co ze mną? - spytał chłopiec.
- Nie zdołasz sam tego powstrzymać. Po prostu nie dasz rady. Musisz się z tym pogodzić. Oddaj pieniądze Sophie, a potem zgłoś się na policję. Poprę cię, a wówczas być może uwierzą ci i gruntownie przeszukają ten rejon. Zostaw to zawodowcom, Max. Nie ma ani chwili do stracenia.

Max spakował się i przebrał. Opuszczał skwar pustyni, a kiedy wysiądzie z samolotu, znajdzie się z powrotem w środku śnieżnej zimy. Był gotowy.

Teraz pozostało mu już tylko się pożegnać.

Stanął przed klatką Aladfara. Tygrys spał przy jej prętach, strzygąc kosmatymi uszami; czubek ogona poruszał się leciutko. Chłopiec był ciekaw, czy zwierzę śni coś, czy może wspomina.

Aladfar obudził się, obrócił leniwie głowę i spojrzał na Maksa, który stał nieruchomo tuż przy klatce. Czemu ten człowiek wpatruje mu się w oczy? Tygrys odsunął się ostrożnie. Ludzkie istoty są nieprzewidywalne, ale tę rozpoznał i uświadomił sobie dziwne wibracje przebiegające pomiędzy nim a tym młodym dwunogiem, który nie okazuje nawet cienia strachu. Tygrys przypomniał sobie ubiegłą noc. Dobrze było znaleźć się znowu na wolności, ale potem poddał się rozkazom człowieka. Teraz zdezorientowała go gra sprzecznych instynktów.

Rzucił się naprzód z odsłoniętymi kłami i groźnie nastroszonym pręgowanym futrem lśniącym w promieniach słońca. Potężnym rykiem rzucił wyzwanie temu człowiekowi, który stał niewzruszenie, ściskając dłońmi pręty klatki. Aladfar pochylił głowę i przyglądał mu się bursztynowymi ślepiami.

Chłopiec wsadził między pręty najpierw jedną rękę, a potem drugą. Szeptał coś cicho i łagodnie, mrugając powoli. Tygrys usłyszał słowo, które pojął:

- Aladfar, Aladfar.

Olbrzymi drapieznik podszedł bezszelestnie, obwąchał otwarte dłonie i pozwolił, by palce chłopca zbliżyły się do gęstego futra na jego szyi.

- Aladfar, jesteś wspaniały. Jesteś najpiękniejszym stworzeniem, jakie kiedykolwiek widziałem - powiedział cicho Max,

niemal obezwładniony tą groźną sytuacją. Czuł bijące od tygrysa gorąco, dotykał grubej warstwy futra kryjącej potężne mięśnie. - Pewnego dnia wrócę, żeby znów się z tobą spotkać. Nigdy cię nie zapomnę. Nigdy.

Był upał i Aladfar zaczął dyszeć, a potem obwąchał i polizał rękę, która gładziła go po łbie.

327

Max odszedł od klatki. Fauvre i Abdullah czekali na niego przy furgonetce. Uścisnął dłoń Francuza w milczeniu, gdyż powiedzieli już sobie wszystko, co należało - i wspiał się do gorącej, dusznej kabiny.

Zanim wsiadł, obejrzał się na tygrysa.

Aladfar stał wyprostowany, a jego ciało rzucało wielki cień. Podążał wzrokiem za Maksem, przyglądał się, jak chłopiec wydostaje się na wolność. A potem wydał ryk, który rozbrzmiał głośnym echem pośród murów miasta Łzy Aniołów.

Sayid zadrżał ze strachu. Stara furgonetka z trudem wjeżdżała na wzniesienie. Bał się, żeby jej nie porzucono. Już z dziesięć razy gryzmolił i skreślał na desce surfingowej liczby magicznego kwadratu, usiłując znaleźć kluczowe słowo lub zwrot potrzebny do ich rozszyfrowania.

Jedyną rzeczą, którą jak dotąd dała mu ta podróż, był czas -wystarczająco dużo czasu, żeby mógł przypomnieć sobie szpiegowską grę Maksa. Kiedy już znajdzie kluczowe słowo, reszta będzie dziecinnie łatwa. Wystarczy tylko zastąpić liczby w kwadracie literami, nie powtarzając żadnej z nich, a potem posłużyć się sekwencją liczb, którą Max znalazł na kryształach, do przetłumaczenia wiadomości, i gotowe.

Całkiem proste.

Gdyby tylko miał te kluczowe litery! Spróbował już wszystkich słów kojarzących się z tą sprawą: Rekinia Twarz, rezydencja d'Abbadiego, Atlantyk, surfing, Etiopia, Zabala, gatunki zagrożone wymarciem, Maroko - to ostatnie przywiodło mu na myśl Maksa i pożałował, że przyjaciela nie ma razem z nim w furgonetce. Nie, to nie tak. Pragnął, by obydwaj byli wolni i znaleźli się z powrotem w domu. Lecz im dłużej o tym rozmyślał, tym bardziej opuszczała go odwaga.

Samochód się zatrzymał. Kierowca opuścił szybę okna. Pojawili się Peaches i Rekinia Twarz. Oboje ominęli wzrokiem męż-

328

czyzn na przednich siedzeniach i spojrzeli na Sayida. Odwrócił głowę, udając, że śpi.

- Jedźcie dalej - polecił zbir, jak zwykle bryzgając śliną ze zniekształconych warg. - Reszta furgonetek pojedzie za wami. Peaches i ja zaczekamy tutaj z motocyklami. Nadjeżdża dziewczyna. Zabierzcie tam tego chłopaka.

Dziewczyna? To oznaczało Sophie. Czy przyprowadzi ze sobą Maksa? Sayid zastanawiał się, jak ma ostrzec przyjaciela, że wchodzi w pułapkę. Nie mógł nic zrobić - jeszcze nie teraz. Ale może, kiedy znajdzie się tam... czyli gdzie? W budynku? Na jakiejś górze? Uświadomił sobie, że gdziekolwiek się znajdzie, może to być jedyne miejsce, gdzie będzie mógł dostać się do telefonu. Teraz było już nieistotne, że Max jest poszukiwany za zabójstwo. Sayid musiał powiadomić policję, żeby go odnalazła, zanim sam zostanie zamordowany.

To przypominało grę w berka z diabłem. Wystarczy, że diabeł cię klepnie i już po tobie.

Jesteś martwy.

I oto miał odpowiedź, której tak długo szukał. Oderwij umysł od rozważanego problemu i zajmij go czymś innym, a diabeł szepnie ci rozwiązanie do ucha.

Kluczowe słowo to „Lucyfer”.

Minęły kolejne dwie godziny. Jechali na niskim biegu krętą drogą pod górę. Gumowe wycieraczki tarły z piskiem o szkło, zmagając się ze śnieżną burzą. Mężczyźni w furgonetce palili i klęli, a Sayida mdliło od klębów papierosowego dymu i duchoty. Na szczęście przednia szyba zaparowała i musieli uchylić nieco boczne okna. Świeże, rześkie powietrze rozjaśniło mu w głowie. Znowu zapisał liczby z magicznego kwadratu. Przypominał sobie teraz wyraźnie opowieść Maksa o łamaniu szyfrów. Musiał przyporządkować litery kluczowego słowa liczbom kwadratu, ale nie wolno mu było użyć żadnej z tych liter więcej niż raz.

329

Kiedy wykorzysta już te litery, zrobi to samo z resztą alfabetu. Tak więc, gdy wypisze już obok pierwszych liczb angielskie słowo „Lucifer”, powinien przejść kolejno do liter S, T, U, V i tak dalej. Kłopot w tym, że alfabet ma dwadzieścia sześć liter, a w kwadracie jest tylko dwadzieścia pięć liczb. To oznacza, że dwie litery trzeba przypisać do jednej liczby - a zgodnie z opowieścią Maksa o ludziach łamiących szyfry podczas drugiej wojny światowej tymi literami mają być I i J. Sayid starannie wypisał kluczowe słowo L-U-C-Y-F-E-R pod kolejnymi liczbami.

11 24 7 20 3

L U C Y F

4 12 25 8 16

E R S T U

Nie, U to był błąd. Nie wolno powtarzać użytej już litery. Wykreślił ten rząd i napisał go od nowa.

4 12 25 8 16

E R S T V

17 5 13 21 9

W X Z A B

10 16 1 14 22

D G H I/J K

23 6 19 2 15

M N O P Q

Kierowca wrzucił niższy bieg. Silnik szarpnął i zgasł. Jeden z mężczyzn zaklął, walnął pięścią w deskę rozdzielczą i rzucił:

330

- No, jazda! Jesteśmy już prawie na miejscu! Co za gruchot!

Mężczyźni otworzyli drzwi i wyszli w kłębiącą się śnieżną kurzawę. Nadal rozmawiali głośno, lecz Sayid odniósł wrażenie, że są już zmęczeni

i mają dosyć tej podróży. Usłyszał chrzęst opon podjeżdżających pozostałych pojazdów, a potem trzaskanie otwieranych i zamykanych drzwi. Przebiegł go dreszcz, ale nie od zimnego górskiego powietrza. Wiedział, że jeśli furgonetka Bobby'ego ostatecznie się zepsuje, bandyci umieszczą go w jednym z własnych samochodów i straci z oczu magiczny kwadrat.

Przekręcił się w stronę kabiny i sięgnął po jedną z butelek, które porywacze wsunęli między fotele. Nie miał chwili do stracenia i musiał zaryzykować. Wciąż słyszał głosy opryszków, ale ponieważ z tyłu samochodu Bobby'ego nie było okien, nie mógł ich zobaczyć. Teraz mówiło więcej osób, niektóre z nich podniesionymi głosami. Ktoś rzucił poirytowanym tonem:

- Nie będę holował tej furgonetki! Nie uda nam się tak pojechać! Zostawmy ją!

Sayid wylał wodę z butelki na swój but i starł z niego zaschnięte błoto i ziemię, odsłaniając liczby z kryształu, które podał mu Maks. Jeżeli odnajdzie je kolejno na magicznym kwadracie, odczyta odpowiednie litery. Jedynie tych kilkanaście liter dzieliło go od odkrycia sekretnej przesłania Zabali. Pierwszą liczbą z medalionu było 24; zobaczył, że na kwadracie odpowiada to literze U. Następna liczba to 8, czyli litera T...

Przebiegał pospiesznie wzrokiem po magicznym kwadracie. Głosy się przybliżyły, więc zaczął pisać szybciej. Jeśli po dotarciu do niewiadomego celu podróży porywacze będą chcieli go przeszukać, musiał mieć pewność, że nie znajdą rozszyfrowanej wiadomości. A jeśli znajdzie jakiś sposób przekazania jej Maksowi... Skoncentruj się! Liczba, litera, liczba...

Miał do zrobienia coś jeszcze! Jeżeli policjanci znajdą tę furgonetkę,

powinni się dowiedzieć, że on wciąż żyje. Wyciągnął z kieszeni misbahe i zahaczył ją o tylną płetwę deski surfingowej.

331

Któryś z opryszków szarpnięciem otworzył drzwi. Oślepiiony śniegiem nie widział wyraźnie w ciemnym wnętrzu samochodu. Sayid wsunął pióro w rękaw.

- Wysiadaj, szczeniaku! - krzyknął. - No jazda, pospiesz się!

Gdy się pochylił, żeby wyciągnąć go na zewnątrz, Sayid odepchnął się mocno nogą w gipsowym opatrunku, jakby starał się gorliwie zastosować do brutalnego rozkazu. Dzięki temu udało mu się kopnięciem zrzucić deskę surfingową ze wsporników. Upadła płasko na podłogę furgonetki. Cokolwiek się teraz stanie, przynajmniej porywacze nie zauważą jego gryzmołów.

Mężczyźni nie zważali na to, że gips utrudnia Sayidowi ruchy. Jeden z nich popchnął go i chłopiec się potknął. Zrobił kilka niepewnych kroków po śniegu wleczony i ponaglany kopniakami, a potem wrzucono go do środka innej furgonetki, gdzie śmierdziało olejem napędowym i smarem. Rowki wyżłobione w jej podłodze przypomniały mu o tym, że w każdym pojeździe wieziono trzy motocykle, które teraz wraz z jeźdźcami czekały w Genewie. Czekały na Sophie.

Trzasnęły zamykane drzwi.

Sayid zapisał ostatnie dwie litery.

Miał już wiadomość - ale nie widział w niej żadnego sensu.

Max wyjechał z miasta Łzy Aniołów furgonetką, którą prowadził Abdullah. Mieli przed sobą piaszczystą drogę sięgającą aż poza horyzont.

Ten stary samochód nie miał luksusów, jakie zapewniał land cruiser właściciela hotelu, i twardo podskakiwał na wybojach. Przez długi czas Abdullah milczał, lecz w końcu odwrócił się do Maksa i rzekł:

- Ci mężczyźni, którzy na nas napadli, byli Tuaregami.

- Tak, Laurent mi powiedział - odparł Max.

- Wiesz coś o nich?

Chłopiec potrząsnął głową.

332

- Niewiele poza tym, że są pustynnymi wojownikami.

Abdullah skinął głową.

- U nich to mężczyźni noszą zasłony na twarzach. Wierzą, że złe duchy mogą wejść do ich ciał przez nos i usta. Kobiety Tuaregów nie zasłaniają twarzy i nie tylko tym różnią się od innych arabskich niewiast. Potrafią walczyć w bitwach i od młodości uczą się zapasów. I są silne. Niewielu mężczyznom podobają się silne kobiety - tylko Tuaregom. Te kobiety są wyjątkowe i wolno im wybierać sobie partnerów. Rozumiesz? To one wybierają, a mężczyźni akceptują ich wybór.

Abdullah przerwał na chwilę, jakby oczekiwał, że Max pojmie powód, dla którego to wszystko mówi.

- Rozumiem - odparł chłopiec ostrożnie, ponieważ nie miał pojęcia, czemu jego towarzysz robi mu wykład z kultury plemiennej.

Abdullah wzruszył ramionami, widząc, że będzie musiał udzielić dalszych wyjaśnień.

- Matka Sophie pochodziła z plemienia Tuaregów.

Teraz Max słuchał go z uwagą. Wspomnienie Sophie powalającej w Marrakeszu przeciwnika na ziemię nabrało dla niego sensu.

Potężny mężczyzna znowu wzruszył ramionami, zastanawiając się, czy chłopiec już zrozumiał.

- Ten nocny napad miał związek z matką Sophie? - spytał Max niepewnie.

- Nie! W żadnym razie! Nie słuchasz mnie.

Max westchnął. Sądził, że słuchał bardzo uważnie.

- Przepraszam, Abdullah, ale co właściwie usiłujesz mi powiedzieć?

Furgonetka podskoczyła na nierównej koleinie. Abdullah szarpnął dźwignią biegów i zwolnił, a potem wypatrzył gładzy fragment drogi i skręcił w tamtym kierunku.

- Ona pochodzi z plemienia Tuaregów. Znalazła sobie męża czystego, który nie jest kaleką.

333

- To okrutne - powiedział Max poruszony tak bezlitosnym postępkim.

- Taki był jej wybór! Nieważne. Laurent jest Francuzem. Ucierpiał nie tylko jego kręgosłup, lecz i duma. A Sophie również nie potrafiła tego zaakceptować. Laurent próbował zatrzymać ją przy sobie, ale jego córka nie jest zwykłą kobietą. Ma w sobie krew Tuaregów. Czy teraz już rozumiesz?

- Eee... nie, niezupełnie - rzekł Max z bezradnym uśmiechem.

Abdullah potrząsnął głową z politowaniem. Chłopak, niby taki bystry, okazał się jednak mało pojętny.

- Sophie będzie o ciebie walczyć. Ona cię wybrała.

Laurent Fauvre, przyglądając się odjazdowi Maksa i Abdulla-ha, rozmyślał o Sophie. Spadają zasłony z tajemnic, a wkrótce może zostać wyzwolona potężna przerażająca siła. Nie był pewny, czy wierzy w przepowiednie Zabali. Ale w tę zwariowaną aferę wplątała się jego córka. A co z Maksem Gordonem? Rozwahał, na ile dba o los chłopca.

Znał na pamięć numer telefonu, który teraz wybrał. Mężczyzna odpowiedział:

•*Out?*

•Gdzie jesteś? - spytał Fauvre.

•W Marsylii.

•Pojeźdź do Genewy. Moja córka za kilka godzin będzie na dworcu kolejowym. I przyleci tam Max Gordon.

•Już ruszamy - odparł Corentin.

24

Furgonetki wjechały do olbrzymiej podziemnej jaskini, w której było zimno jak w opuszczonej hali fabrycznej. W głębi tuneli wiodących na zewnątrz z tej ogromnej pieczary wyrytej w zboczu góry Sayid dostrzegł mnóstwo machin - sprzęt do robót ziemnych, maszyny drążące tunele, koparki. Widocznie wjechali bramą dla robotników.

Mężczyźni powlekli go w kierunku szeregu wind. Gdy podchodzili, obserwował ich uzbrojony strażnik w mundurze bez emblematów. Kiwnął

głową porywaczom i nacisnął guzik. Drzwi otworzyły się z sykiem i Sayida wepchnięto do kryształowej windy. Miał wrażenie, że znalazł się wewnątrz brylantu. Jej ścięte krawędzie oświetlone łagodnym blaskiem lamp halogenowych rozbryzgiwały wokół barwne błyski załamane światła. Kabina wznosiła się szybko. Migoczące świetlne snopy wydobywały z mroku nagą skalną ścianę widoczną przez rżnięty kryształ, a każda rysa na powierzchni skały odbijała te kolorowe promienie. Przypominało to obserwowanie wirów na nocnym niebie, gdy burza elektromagnetyczna ciska po nieboskłonie kosmicznym pyłem.

Widok był tak fascynujący, że Sayid na kilka chwil zapomniał o strachu. Winda zwolniła z cichym pomrukiem i znieruchomiała. Dopiero gdy jej drzwi się otworzyły, chłopiec zdał sobie sprawę, jak wysoko dojechał we wnętrzu góry.

335

Porywacze wypchnęli go z windy. Stał przed ogromnym oknem, przez które dojrzał dryfujące w dole chmury. A więc znajdował się na wysokości kilku tysięcy metrów. W pomieszczeniu panował chłód. Na gładkiej wypolerowanej kamiennej posadzce lśniły refleksy światła. Wszystko było tu nowoczesne, funkcjonalne i odpychająco zimne.

- Mam nadzieję, że jesteś pod wrażeniem tego miejsca - dobiegł go głos z drugiego końca sali.

Człowiek, który to powiedział, podszedł bliżej, a Sayid zmrużył oczy przed padającym z góry światłem, usiłując dostrzec jego rysy. Gdy mu się to udało, zadrżał.

- Widzę, że jesteś również przestraszony. To dobrze. Powi

nienes być - rzekł Fedir Tiszenko.

Przez cały lot do Genewy Maksa nurtowało to, co usłyszał od Abdullaha. Zastanawiał się, co miał na myśli, mówiąc, że Sophie go wybrała i że będzie o niego walczyć. Ale przecież zabrała mu medalion. Popęłniła kradzież i zdradę. Komu zamierzała sprzedać tę zdobycz? Nie, to się nie trzymało kupy. Gubił się w domysłach, ale wiedział jedno - czas biegł nieubłaganie i wydawało się, że pędzi szybciej niż zwykle. Za dwadzieścia cztery godziny przepowiednia Zabali się spełni i ten obszar zostanie zmiażdżony jak orzech strzaskany młotkiem. Gdy samolot zaczął podchodzić do lądowania, chłopiec spojrział w dół na Jezioro Genewskie przypominające kształtem banan. Na jego zachodnim brzegu leżało gęsto zabudowane miasto stykające się z granicą francuską. Popatrzył poza pas startowy. Za ledwie parę kilometrów od lotniska na otwartej równinie widniało skupisko nowoczesnych budynków przypominających hangary. Była to siedziba CERN-u. Max nie miał pojęcia, co łączy Europejskie Centrum Badań Nuklearnych z kataklizmem przepowiedzianym przez Zabalc, ale wiedział, że jeżeli dojdzie tu do jakiejś katastrofy, Genewa zostanie starta z powierzchni Ziemi.

336

Za jeziorem i miastem wznosiły się w niebo poszarpane, ostre górskie szczyty niczym zęby piranii czyhającej na niego jak na kąsek, który za chwilę wpadnie jej do paszczy. Witamy w krainie zegarów z kukułką, czekolady i gwałtownej śmierci.

Corentin przyglądał się pasażerom przechodzącym przez halę przylotów

międzynarodowego portu lotniczego w Genewie. Wiedział, że Max Gordon skieruje się do połączonej z lotniskiem stacji kolejowej, skąd pociągiem w sześć minut dojedzie do centrum miasta. Nie chciał przegapić chłopca. Pociągi jeździły co piętnaście minut, ale jeżeli Max go zauważy, ucieknie - a to mogłoby zniweczyć cały plan. W pobliżu kłębili się inni młodzi ludzie z jakiejś szkolnej wycieczki. Otworzył komórkę i zadzwonił do Thierry'ego, który wypatrywał Sophie na Gare de Cornavin - głównym dworcu kolejowym Genewy.

- Czy ona już tam jest? - zapytał.
- Pociąg przyjedzie wcześniej - za pięć minut.
- Do diabła! To za wcześnie, Thierry. Chłopak jej nie spotka. Pilnuj jej, a ja go sprowadzę.

Corentin wyszedł z ukrycia. Musiał wykurzyć Maksa na otwartą przestrzeń, solidnie go przestraszyć i zmusić do ucieczki. Wtedy chłopak zacznie dokonywać błędnych wyborów i znajdzie się w sytuacji bez wyjścia. Jeśli wybiegnie z terminalu na miasto, stanie się łatwym łupem i Corentin go dopadnie. Ruch uliczny i to, że Max nie zna Genewy, dadzą mu nad nim przewagę.

Max wmieszał się w szkolną wycieczkę. Włoska młodzież trajkotała i krzyczała podekscytowana perspektywą jazdy nad Jezioro Genewskie. Kakofonia głosów zagłuszała polecenia nauczycieli, którym mimo to dzięki doświadczeniu udało się zapędzić podopiecznych do głównego wyjścia.

Dał się ponieść fali tłumu, przebiegając wzrokiem ludzi rozproszonych po całym terminalu. Spojrzał na zegar ścienny.

Wciąż jeszcze miał czas. Transeuropejski pociąg, którym podróżowała Sophie, przyjedzie dopiero za pół godziny. Odłączył się od wycieczki, która kłębiła się jak ławica ryb, i skierował się do ruchomych schodów na końcu hali, które zwiozą go na dół na perony. Spotka się z Sophie, a potem metrem pojedzie prosto do nuklearnego centrum badawczego i ostrzeże jego pracowników. Zastanawiał się, czy Fauvre dodzwonił się do nich i czy udało mu się ich przekonać o nadciągającej katastrofie. A może zjawwszy się tam, zetknie się z obojętnością i niezrozumieniem albo zostanie policję?

Gdy mijał automaty biletowe, zauważył potężnie zbudowanego mężczyznę w skórzanej kurtce, który przeszył go wzrokiem. To był ten sam niebezpieczny człowiek z Mont la Croix, który wytropił go w szpitalu w Pau. W jaki sposób odnalazł go tutaj, w Genewie?!

„To nieważne” - pomyślał Max, ruszając sprintem.

Spostrzegł jednak, że ten silny i wysportowany mężczyzna pobiegł za nim równie szybko. Rowkowany jeźdźca ruchomych schodów zagarnął chłopca, ale zbyt wolno. Gordon usiadł na gumowej poręczy i błyskawicznie zjechał na dół.

Jakiś pociąg właśnie odjechał ze stukotem kół i na peronie stała tylko para oszołomionych turystów. Max pognał przed siebie zdecydowany w razie potrzeby zeskoczyć i pobiec pomiędzy torami. Nie musiał się oglądać, żeby wiedzieć, iż ścigający go mężczyzna jest blisko. Był jednak pewien, że jako młodszy i jeszcze bardziej wysportowany zmęczy go długim biegiem i wyprzedzi. Lecz wbrew oczekiwaniom Gordona prześladowca go doganiał.

Max dobiegał do końca peronu. Ucieczka tunelem groziła niebezpieczeństwem, ale nie miał wyboru. Będzie musiał zeskoczyć na tory. Zawahał się przez ułamek sekundy i dostrzegł po lewej drzwi dla personelu. Tabliczka zabraniająca przejścia dotyczyła reszty świata, ale nie jego. Naparł na drzwi całym ciężar-

338

rem i wpadł do korytarza. Po jego ścianach biegly czerwone, niebieskie i zielone linie jak na planie londyńskiego metra. Gdyby istotnie znalazł się w tamtejszym metrze, wiedziałby, jaki obrać kierunek.

Usłyszał za plecami trzask otwieranych drzwi.

- Stój, Maksie Gordonie!

Max pędził dalej zdumiony, że napastnik woła go po nazwisku. Na końcu korytarza skręcił w lewo, zawadzając ramieniem o załom, niemal odbił się od przeciwległej ściany i ujrzał kolejne drzwi pomalowane na czerwono i opatrzone tabliczką: „Uwaga! Wysokie napięcie!”. W tym miejscu korytarz się rozwidłał. Niebieska linia prowadziła w lewo, a zielona w prawo.

Pobiegł na lewo, spostrzegł schody wiodące w górę i rad, że podjął właściwą decyzję, pokonał jednym susem pierwsze cztery stopnie.

Dotarł do podwójnych drzwi wyjściowych i wypadł na zewnątrz. W twarz wionął mu silny podmuch wiatru. Dzień był olśniewająco piękny. Chłodne świeże powietrze dodało chłopcu sił, a promienie słońca, lśniącego na jaskrawoblękitnym niebie niczym wspaniała kosmiczna lampa łukowa, wlewały energię w mięśnie jego nóg.

Biegając wzdłuż bocznej ściany budynku, spostrzegł, że znalazł się na

ogrodzonym terenie, a jedyne wyjście prowadzi przez strzeżony szlaban odległy o czterysta metrów. Wiedział, że jeśli nie zdoła się stąd wydostać, to prześladowca niewątpliwie go zabije.

Dobiegł do płotu zwieńczonego drutem kolczastym, co uniemożliwiało jego przeskoczenie. Odwrócił się i naparł plecami na sprężystą siatkę, aby odepchnąć się od niej i kontynuować ucieczkę. Zwalista sylwetka mężczyzny była już tylko o metr od niego. Jakim cudem dogonił go tak szybko?! Napastnik nie dał się nabrać na bramkarski zwód w prawo. Złapał Maksa za szyję i przydusił, ale nie wycisnął z chłopca życia, tylko trzymał

339

mocno. Gordon wił się i szarpał, a potem kopnął przeciwnika w piszczel. Jednak mężczyzna nawet nie drgnął. Max Gordon został schwytany jak dzikie zwierzę we wnyki, a im dłużej stawiał opór, tym bardziej tracił siły.

Nie chciał umrzeć - w każdym razie nie bez walki! Zwił bezwładnie całym ciężarem, zamierzając zaskoczyć tym przeciwnika, a potem wyrwać mu się i uciec.

Jednak i ten podstęp się nie powiódł.

Mężczyzna przyklęknął na jedno kolano, podtrzymując ciało schwytanego, i wykręcił mu ramię, odwracając go od siebie. Potem przycisnął kolanem kark chłopca, wciąż trzymając go w stalowym uścisku.

Max leżał twarzą do ziemi, z ręką wykręconą do tyłu i policzkiem wciśniętym w asfalt. Wiedział, że to już koniec. Za chwilę ten goryl skręci mu kark.

„Tato, pomóż mi!”.

Brakowało mu powietrza w płucach i tracił przytomność, jednak wciąż usiłował wciąć się i kopać. Były to daremne próby powstrzymania nieuniknionego końca. Oślepił go blask słońca, a krew dudniła mu w uszach. Ujrzał ośnieżone szczyty, przypomniał sobie ciepło cielska Aladfara i woń wilgotnego futra górskiego niedźwiedzia, a w jego pamięci rozbrzmiał echem wrzask orła. Tym razem nie poczuł przypływu siły i żadna zwierzęca energia nie przeniknęła jego ciała.

Max Gordon stał się gatunkiem zagrożonym wymarciem.

Sayid się trząsł. Porywacze zrewidowali go, a potem wypatroszyli i porwali na strzepy jego plecak, szukając choćby śladu wskazówek Zabali. Nie znalazłszy niczego, pozwolili mu się ubrać. Jednak chłopiec dygotał nie tylko z zimna i strachu; był spragniony i głodny. W kontuzjowanej stopie czuł pulsujący ból, który odbierał mu resztkę opanowania i odporności. Gdyby tylko mógł przespać się kilka godzin, doszedłby do siebie. Od-

340

zyskałby jasność umysłu i znalazł jakiś sposób przekazania Maksowi rozszyfrowanego przesłania. Napastnicy czekali na jego przyjaciela, a on nie mógł go ostrzec.

Tiszenko wiedział, że jedyna wartość Sayida polega na tym, że zwabi Maksa Gordona w pułapkę. Wysłany przez niego zabójca zawiadomił tę marokańską dziewczynę. Ona sprowadzi do Genewy Maksa, ponieważ oboje będą chcieli uratować Sayida od śmierci. Zresztą to nie ma żadnego znaczenia. Tak czy inaczej wszyscy za kilka godzin zginą.

- Posadźcie go na wózku inwalidzkim - polecił jednemu ze swoich ludzi.

Usiadł naprzeciwko Sayida, ujął jego podbródek dłonią pokrytą złuszczoną skórą i uniósł go, tak aby chłopiec nie mógł uniknąć jego wzroku.

- Jesteś zmęczony, chłopcze - powiedział.

Sayid milcząco skinął głową. Nie chciał rozpocząć żadnej rozmowy z tym człowiekiem.

•I boli cię złamana stopa - ciągnął Tiszenko. - Wiem, co to ból. Potrafi wyssać z człowieka chęć życia i doprowadzić go do stanu, w którym nie dba już o to, czy umrze. Czy jesteś w takim stanie?

•Nie, nie. Nie chcę umrzeć.

•Oczywiście, że nie chcesz. Nie masz się czego obawiać. Przyrzekam, że nie wyrządę ci żadnej krzywdy. Ale pewnie chciałbyś zjeść coś gorącego i przespać się?

Sayid znów kiwnął głową. Szept tego mężczyzny miał na niego niemal hipnotyczny wpływ.

Tiszenko odwrócił się do podwładnych.

- Dawajcie go tu - rzucił, ruszając w kierunku windy.

Zjechali szybko i bezszelestnie poniżej poziomu gruntu i znaleźli się w miejscu różniącym się od jaskini, którą Sayid widział wcześniej. Znajdowały się tu skomplikowane supernowoczesne urządzenia; ich cichy szum świadczył o powściąganej potężnej

energii, która je napędzała. Nad wszystkim górowała olbrzymia

konstrukcja przypominająca wiatrak; wysoka na co najmniej sześćdziesiąt metrów przewyższała rozmiarami katedrę. Gdy Ti-szenko szedł przez rozległą halę, Sayid poczuł się mały jak mrówka. Z krawędzi tej maszyny wychodziły olbrzymie kable, pokryte osłoną koloru miedzi, oraz rury grubsze niż autobus; wiły się po posadzce i znikwały w skalnej ścianie. Tiszenko obserwował zdumioną minę chłopca.

- Interesujesz się nauką? - spytał.

Sayid zdołał jedynie kiwnąć głową. Złożoność zgromadzonej tu aparatury przekraczała jego wyobrażenie.

- To kosztowało dwanaście lat pracy i trzydzieści siedem miliardów dolarów. Tutaj, sto pięćdziesiąt metrów pod ziemią, znajduje się sieć czternastu tuneli, akcelerator cząstek elementarnych o obwodzie dwudziestu jeden kilometrów. To dzieło najświetniejszych umysłów, jakie można kupić za pieniądze. Każdy specjalista naukowiec po ukończeniu swego zadania opuścił to miejsce. Jedynie ja i niewielka garstka wybrańców pojmujemy wagę tego, czego tutaj dokonamy.

- Czyli czego? - spytał Sayid, żywiąc nadzieję, że niepohamowana duma tego człowieka sprawi, iż zdradzi on jakąś ważną informację.

- Zdobędziemy niewiarygodnie potężne źródło energii, o jakim dotychczas nikt nie ośmielił się nawet pomyśleć. Ten kondensator, na który patrzysz, waży dziewiętnaście tysięcy ton. Zgromadzi energię w ciągu mikrosekundy, a potem wystrzeli ją do serca tej góry, gdzie...

Sayid przyglądał się niemal nieruchomym rysom twarzy mężczyzny, której skóra, zniszczona przed wielu laty, przypominała maskę. Lecz oczy Tiszenki płonęły rozświetlone wizją przekraczającą wszelkie ludzkie wyobrażenie.

Tiszenko urwał, by nie zdradzić swego sekretu, i znów spojrzał na chłopca.

342

- Nie chcę zanudzać cię szczegółami - powiedział. - Potrzebujesz snu.

Sayid poczuł, że w oczach znów zakręciły mu się łzy strachu. Te ostatnie słowa zabrzmiały jak wyrok.

Weszli głębiej w sieć tuneli. Tutaj oddechy ulatywały obłoczkami pary w chłodniejszym powietrzu, które odbierało Sayido-wi resztkę sił. Nawet ludzie Tiszenki trzęśli się z zimna, natomiast on sam nie sprawiał wrażenia, by odczuwał jakikolwiek dyskomfort. Sayid nie potrafił już dłużej opanować senności. Głowa opadła mu na pierś, ale znów ją poderwał. Najwidoczniej miał przywidzenia. Niewyraźne postacie za ścianą z lodu cofnęły się, a kolory ich strojów rozplynęły się w nicości. Znajdował się w sali przypominającej wnętrze lodowego sześcianu. Wilgotna para unosiła się wokół niego i zamarzała. Zmusił umysł, aby zwalczył znużenie, i otworzył oczy. Poczuł w nich bolesne ukłucie mrozu. Spróbował unieść rękę i wytrzeć zamarznęte łzy, lecz coś go trzymało. Był przyciśnięty do niewidzialnej ściany i związany, a resztki ciepła wyparowały z jego ciała pod wpływem mroźnego powietrza.

Gwiazdy błyszcząły na nieprzeniknionym czarnym niebie i spadając, migotały mu przed oczami. Wzbierające fale światła ciemnobłękitnego, purpurowego oraz bielszego niż najczystsza biel napływały na niego i sprawiały, że na ułamki sekund tracił przytomność. Cichy głos w głowie szeptał mu z perwersyjną satysfakcją, że temperatura jego ciała nie powinna spaść poniżej 37 stopni Celsjusza; że kiedy opadnie do 35 stopni,

nastąpi hi-potermia, a spadek poniżej 33 stopni grozi zgonem.

Umysł Sayida zadreślał go liczbami oznaczającymi śmierć. Chłopiec był już wyziębiony poniżej tej śmiertelnej granicy.

Zatrzymał w płucach ostatni oddech.

Jego ostatnią myślą, nim wirujące gwiazdy przekształciły się w ciemną materię i nicość, było to, jak przekazać Maksowi rozszyfrowaną wiadomość.

343

Max siedział przypięty do przedniego fotela czarnego audi. Przed niespełna dziesięcioma minutami potężnie zbudowany mężczyzna śmiertelnie go przestraszył, lecz teraz chłopiec poczuł niewyobrażalną ulgę. Ten groźny gość nazywał się Coren-tin i po tym, jak Sophie uciekła od ojca, by odszukać Zabale, został wraz ze swym towarzyszem Thierrym wynajęty, żeby śledzić ją i pilnować, aby nie wpadła w tarapaty. Początkowo obydwaj nie wiedzieli, co połączyło dziewczynę z Maksem, ale kiedy zgubili ją w Oloron, tropili chłopaka aż do szpitala w Pau przekonani, że doprowadzi ich do Sophie. Jednak Gordon im się wymknął. Kiedy w końcu dogonili dziewczynę w Biarritz, ujawnili się przed nią, mając nadzieję, że w ten sposób przestraszą ją i skłonią do powrotu do domu. Potem podążyli za Sophie do starej rezydencji hrabiny. Śledzili ją i Maksa aż do stacji kolejowej i obserwowali, jak oboje wsiedli do pociągu. Na tym skończyło się zadanie Corentina. Fauvre był jego serdecznym przyjacielem z dawnych czasów, gdy mieszkali w Paryżu; zadzwonił ponownie, gdy jego córka uciekła z Maroka do Genewy, i poprosił Corentina, aby chronił ją i Maksa.

Były członek legii cudzoziemskiej przeciskał się samochodem przez gęsty uliczny ruch, jadąc powoli na niskim biegu, a z komórki przymocowanej do tablicy rozdzielczej dobiegała bez przerwy relacja Thierry'ego.

- Widzę ją. Zmierza przez most do parku.
 - Nie pozwól, by cię zauważyła. Przestraszy się i zgubimy ją - rzekł Corentin, po czym nacisnął pedał gazu i wyprzedził wlokące się auta.
 - Zamknij się i rób swoje - odparował Thierry. - Jak daleko jesteś?
- Max poznał po jego przyspieszonym oddechu, że biegnie.

Corentin pochylił głowę i sprawdził na planie. Potem znów rozzerzał się po jezdni, szukając jakiejś szczeliny w zbitej masie samochodów, w którą mógłby się wcisnąć.

344

- O d^wie minuty drogi - odpowiedział.
- Pojawiła się jakaś inna dziewczyna. Sophie ją zobaczyła i idzie w jej kierunku. Zwolniła. Coś mi się tu nie podoba...
- Do diabła! - zaklął Corentin, gdy drogę zajechał mu trolejbus. Jedną ręką cisnął Maksowi plan miasta, a drugą zakręcił kierownicą. - Potrafisz się w nim rozeznaczyć? Znajdź nam drogę do Parc La Grange! - powiedział i nie czekając na odpowiedź, dorzucił: - Jesteśmy na rue du Roveray.

Chłopiec wertował plan, lecz jego umysł pracował szybciej niż silnik samochodu. Co to za dziewczyna, którą spotkała Sophie?

Gdy ich wielki pojazd przemykał przez zapchaną ulicę, Max przesunął palcem po trasie na planie.

- W lewo, w rue de Montchoisy! - zawołał.

- Nie! Jest zakorkowana! Następna! Dalej, chłopcze, pospiesz się!

Mimo ponagień Max nie stracił koncentracji. Był teraz nawigatorem, a ten potężny mężczyzna musiał wypełniać jego polecenia.

- Najpierw w lewo w rue de Nant. Na nasze szczęście jest jednokierunkowa.

Corentin prowadził szybko i sprawnie, klucząc i lawirując między innymi pojazdami. Zatrąbił, w ostatniej chwili omijając jakiś samochód, zahamował i znów dodał gazu, a potem wcisnął sprzęgło i wrzucił niższy bieg. Silnik zawył na wysokich obrotach, a strzałka obrotomierza doszła do czerwonej linii.

- Widzę tę ulicę! - zawołał do Maksa.

Z telefonu komórkowego dobiegł napięty, nagły głos Thier-ry'ego:

- Nie mogę już podejść bliżej. Pospiesz się, Corentin! Gdzie jesteś?
- O minutę... - odparł, znów dodając gazu.
- Muszę już ją przejąć. One się kłócą. Ma jakiś naszyjnik czy coś takiego. Jest kłopot! Pojawili się ci motocykliści!

345

- Oddaj im medalion! Jest bezwartościowy! - wrzasnął Max, lecz wiedział, że Sophie nie usłyszy jego rozpaczliwego krzyku. - Skręć w lewo, a po pięćdziesięciu metrach w prawo! - polecił Corentinowi.

- Do diabła! Trzeba było mnie uprzedzić! - zawołał Corentin, przejeżdżając z piskiem opon przez skrzyżowanie. - Widzę ten park! - ryknął do słuchawki. - Jeszcze tylko trzysta metrów! Dwieście... sto pięćdziesiąt! Gdzie jesteś, Thierry?!

W telefonie rozległ się jego zdyszany głos:

- Na terenie piknikowym... - Usłyszeli trzask zakłóceń, a po tem ostatnie słowa: - ...bójka... Przyjeżdżaj!

Max uchwycił się mocno deski rozdzielczej.

Corentin z posępną i groźną miną wbił wzrok w wejście do parku. Zahamował gwałtownie i wyskoczył z samochodu, zanim Max zdążył odpiąć pas bezpieczeństwa.

Gordon ruszył za nim biegiem. Po lewej stronie znajdowały się idylliczne różane ogrody i sztuczne sadzawki, za nimi rosły drzewa, a dalej rozciągała się trawiasta równina. Dwieście metrów przed nim toczyła się walka. Thierry powalił już jednego motocyklistę. Jego maszyna leżała z wciśniętą dźwignią gazu, silnik ryczał, a obracające się koła wyrzywały piasek i kępki trawy. Wyrostek nie miał szans w starciu z towarzyszem Corentina -stracił przytomność, jeszcze zanim upadł na ziemię.

Reszta napastników kłębiła się jak rozwścieczone osy. Pięćdziesiąt metrów z przodu Corentin pochwycił jednego z nich i dosłownie wykopał spod niego motocykl. Max zdążył już poznać jego żelazny chwyt.

Sophie popędziła za dziewczyną. Nieznajoma odwróciła się szybko i zaczęła z nią walczyć.

To była Peaches!

Zszokowany Max niemal się zatrzymał. Ku dziewczynie ruszyli dwaj inni motocykliści. Nigdzie nie było widać Rekiniej Twarzy. Gdzie on się podział? Musi tu gdzieś być. Musi.

- Peaches! - zawołał.

Wybieg się powiódł. Dziewczyna zdekoncentrowała się na ułamek sekundy i spojrzała w jego kierunku, a potem upadła ciężko na ziemię, gdy Sophie natarła na nią i staranowała ją całym ciałem.

Dwaj napastnicy dopadliby Maksa, gdyby nie Corentin i Thierry. Tych dwóch zahartowanych w wojnach ekszołnierzy, którzy przeszli niewyobrażalnie ciężkie bitewne próby, powstrzymało ich bez trudu i dało im srogą nauzkę.

Max był już w odległości zaledwie trzydziestu metrów od walczących dziewczyn. Wiedział, że Peaches jest nie tylko silna i wysportowana, ale także zabija z zimną krwią i nie da się łatwo pokonać. Kopnęła nożycami Sophie, która upadła, odturlała się, a potem uchwyciła się skraju najbliższej parkowej ławki, odepchnęła się mocno nogami, złapała równowagę, skręciła ciało, jakby ćwiczyła na koniu z lękami w sali gimnastycznej i wylądowała pewnie na ziemi.

Chłopiec dostrzegł, że Peaches owinęła sobie rzemyk z medalionem wokół pięści. To już nie miało znaczenia. Liczyło się tylko ocalenie Sophie.

Wtem dziewczyna obróciła się błyskawicznie, jak wytrawny karateka, nabierając potężnego impetu. Ścisnęła teraz w pięści krótką czarną pałkę - ciężką i śmiertelnie niebezpieczną. Sophie odzyskała już równowagę, ale tylko fizyczną; wciąż była zdezorientowana. Ci dwaj mężczyźni, którzy śledzili ją w Pirenejach, byli teraz razem z Gordonem. Nie pojmowała, co tu się dzieje i jak Max ją odnalazł.

- Uważaj, Sophie! - krzyknął.

To ostrzeżenie ją uratowało. Rzuciła się gwałtownie do tyłu. Liczyła, że w następnym starciu zyska przewagę nad przeciwniczką, lecz zawiodło ją

własne ciało. Poczwała nagle w nodze ostry przeszywający ból i pomyślała, że strzelono do niej. Kolano nie było już w stanie unieść jej ciężaru. Nie zdawała sobie

347

sprawy z tego, że podobnie jak wielu innych młodych sports-menów poddawała swój organizm zbyt wielu trudnym próbom, przez co przeciążyła go i nadmiernie wyeksploatowała. Lekarze powiedzieli jej później, że zerwała więzadła kolanowe. Gdy noga odmówiła jej posłuszeństwa, Sophie upadła ciężko na bok i uderzyła głową o betonową podstawę ławki.

Max zobaczył, że osunęła się bezwładnie i straciła przytomność.

- Corentin! - zawołał. Mężczyzna zareagował natychmiast i błyskawicznie znalazł się przy Sophie. - Zaopiekuj się nią! - wrzasnął i pobiegł sprintem za uciekającą Peaches.

Musiał wydobyć z niej wszystko, co wie.

Motocykliści już mu nie zagrażali - wszyscy leżeli na ziemi. Max pędził, oddychając głęboko i energicznie pracując rękami. Stopniowo doganiał Peaches.

Rekinia Twarz kochał swoją bandę. Byli jedyną rodziną, jaką kiedykolwiek miał. Doskonale zdawał sobie sprawę, że jeśli mu się nie powiedzie, Tiszenko może wyrządzić krzywdę jednemu z nich - właśnie tym ów drań o złuszczonej twarzy trzymał go w szachu. Ale teraz morderczyni na usługach Tiszenki - ta ładna, efektowna dziewczyna bez żadnej fizycznej skazy - spijała całą chwałę. Zajęła miejsce Rekiniej Twarzy, zwykłego pospolitego zbira, i wkradła się w łaski potentata.

Kiedy dostarczy temu szaleńcowi medalion, będzie mogła zażądać od niego, czego tylko zechce.

Rekinia Twarz czekał nieruchomy i milczący w kabinie dżipa z napędem na cztery koła. Ze swego punktu obserwacyjnego widział, jak dwaj mężczyźni w skórzanych kurtkach pokonali i pokieroszowali jego chłopców, i zobaczył, że Max Gordon nadbiegł i włączył się do walki. Tiszenko zapewnił go, że zjawią się tylko córka Fauvre'a i ten chłopak. Ale ci dwaj faceci byli zawodowcami. Nie rozumiał, skąd się tu nagle wzięli.

348

Peaches pokonała Sophie i biegła w jego kierunku. Tiszenko polecił mu, żeby sprowadził Peaches z medalionem i Maksa Gordona do kryjówki w górach. Lecz sytuacja się zmieniła. Jego ludzie mieli przewagę liczebną nad Maksem i Sophie, ale przybycie tych dwóch zabijaków przechyliło szalę na drugą stronę. I zmieniły się priorytety. Rekinia Twarz nie mógł teraz zmierzyć się z Maksem.

„To nie znaczy, że nie potrafiłbym go pokonać” - pomyślał.

On i Peaches musieliby stawić czoło przeważającej liczbie przeciwników. Tiszence najbardziej zależało na medalionie. Jeśli Rekinia Twarz mu go dostarczy, dostanie wszystko, co zechce.

Wiedział, że ta dziewczyna jest bezlitosną zabójczynią i że gdy tylko ich role się odwrócą, wykorzysta okazję, która teraz się jej nadarzyła.

Silnik pracował na jałowym biegu. Peaches wbiegała na wzgórze, prosto do jego punktu obserwacyjnego. Rekinia Twarz był ukryty wystarczająco głęboko w zagajniku, by nikt go nie dostrzegł. Biegła ile sił, ale Max był

niecałe trzydzieści metrów za nią i wkrótce ją dogoni. Rekinia Twarz mignął krótko reflektorami samochodu. Tędy! Ruszyła sprintem, nadrobiła trochę dystansu i dotarła na szczyt wzgórza.

Nacisnął pedał gazu. Dwutonowy pojazd wyskoczył naprzód spośród drzew i z pełnym impetem najechał na Potynczę Józse, czyli zawsze roześmianą Peaches, elegancką dziewczynę i wytrawną narciarkę uwielbianą przez młodych mężczyzn - a zarazem bezlitosną zabójczynię. Ostatnią rzeczą, jaką zobaczyła, zanim w jej oczach zgasł na zawsze błysk życia, były wyszczerzone w uśmiechu szczerbate zęby.

Rekinia Twarz wdepnął hamulec i przejechał poślizgiem pięć metrów - prosto na Maksa, który uskoczył w bok, padł i sturlał się po zboczu. Zanim zdążył wstać, przywódca gangu odzyskał medalion, wskoczył z powrotem do samochodu i odjechał z rykiem silnika, wrywając kołami trawę.

349

Gordon pobiegł między drzewami i zdążył jeszcze dostrzec, jak dżip zwolnił, zniknął mu na moment z oczu w zagłębieniu terenu, a potem wjechał na autostradę i skierował się na wschód. Na wschód! Dlaczego właśnie tam? To był niewłaściwy kierunek! Przecież coś złego miało się wydarzyć w CERN-ie, a to centrum badań nuklearnych znajduje się na zachodzie!

Kilka chwil później Max trzęsącymi się rękami dotknął szyi Peaches. Dziewczyna leżała skulona na boku i wyglądała, jakby spała. Jednak nie wyczuł pulsu.

Miotają nim sprzeczne uczucia i poczuł się zakłopotany. Nie wiedział, czy boi się dotknąć martwej dziewczyny, którą uważał dawniej za

przyjaciółkę - czy może obawia się tknąć ręką za-bójczynię.

Corentin zbadał obrażenia Sophie, która co chwila na przemian odzyskiwała i traciła przytomność. Thierry skrępował członków gangu motocyklowego, przywiązując im przeguby do kostek nóg, i zostawił ich leżących twarzami w dół.

- Za chwilę zjawią się tu policjanci - powiedział Corentin. - Zawieziemy ją do szpitala.

Max skinął głową i spytał:

•Czy jest ciężko ranna?

•Nie wiem. Ma rozbitą głowę i coś jej się stało w nogę. Spójrz, w uchu jest krew. Przypuszczam, że to pęknięcie czaszki. Musimy obchodzić się z nią bardzo ostrożnie - rzekł Corentin, po czym odwrócił się i gwizdnął na Thierry'ego, żeby do niego podszedł.

Gordon odgarnął włosy z twarzy dziewczyny.

- Sophie, co tu się dzieje? Nie mogę się w tym połapać.

Otworzyła oczy i zamrugała kilka razy, jakby po prostu obudziła się ze snu.

- To ty, Max? - powiedziała i uśmiechnęła się. - Myślałam, że to mi się śni. Wiedziałam, że to ty. Przepraszam.

350

- Dlaczego ukradłaś mi ten medalion? Powinnaś powiedzieć mi o wszystkim!

Pomimo osłabienia usłyszała go. Głos jej się załamał.

- Byłeś chory. I nie ufałeś mi.

Jej słowa go zraniły, ale wiedział, że to prawda. Audi podjechało do nich

powoli po trawie. Sophie usiłowała sięgnąć do kieszeni kurtki.

- Max, on jest w górach. Weź mój telefon. Ona mi powie działa... Peaches mi powiedziała, że właśnie tam go trzymają... w Cytadeli.

Chłopiec wyjął jej z kieszeni komórkę. Kiwnęła głową. Znowu traciła przytomność.

- Trzymaj się, Sophie - powiedział. - Twój tata wysłał tych ludzi, żeby nam pomogli. Poradziliśmy już sobie z tamtymi bandytami.

Potrząsnęła głową.

- Sayid... - szepnęła. Uśmiechnęła się przelotnie, uniosła dłoń i dotknęła twarzy chłopca. - Próbowałam... Przepraszam, Max - dodała jeszcze i powieki jej opadły.

Max objął ją, modląc się, żeby nie umarła.

Corentin odsunął go łagodnie i zbadał puls dziewczyny.

- W porządku, mały. Ona żyje. Zabierzemy ją na pogotowie.

Mężczyźni podnieśli Sophie i ułożyli ją ostrożnie na tylnym siedzeniu audi.

- Wsiadaj - rzucił Thierry do Maksa.

Chłopiec bardzo chciał to zrobić, ale potrząsnął przecząco głową.

- Nie mogę. Muszę dalej próbować powstrzymać tę aferę - czymkolwiek ona jest. Corentin, zaopiekuj się Sophie. Gdyby nie wy, tamci by ją zabili. Dziękuję.

Wyciągnął z samochodu swój plecak.

Corentin usiadł za kierownicą, a Thierry zajął miejsce z tyłu, żeby doglądać dziewczyny. Wykonali swoje zadanie, a los Maksa

Gordona nie był ich zmartwieniem. Jednak Corentin podziwiał chłopaka.

- A co z tobą? - spytał. — Co to za afera? Dokąd chcesz iść?

Max poczuł nagle, że cała ta sprawa jest ponad jego siły -

jakby ktoś kazał mu wspiąć się na stromą lodową ścianę i jeszcze ciągnąć za sobą land rovera.

- Do jakiegoś miejsca zwanego Cytadelą. Muszę je znaleźć.

- To jest po drugiej stronie jeziora - rzekł Thierry. - W górach. Ale nie możesz tam iść, to bardzo niebezpieczne. Pogoda się psuje, a ty nie masz ekwipunku. Pojedź z nami.

Max spojrział na Corentina. Obaj wiedzieli, że tego nie zrobi. Nieogolony mężczyzna podał mu przez otwarte okno samochodu złożoną mapę.

- Weź ją. Będzie ci potrzebna.

Gordon podziękował skinieniem głowy i rzekł:

- Corentin, jeżeli znasz kogoś we francuskich służbach bezpieczeństwa albo policji... kogokolwiek... porozmawiaj z nim. Wykorzystaj wszelkie swoje kontakty.
- I co mam im powiedzieć?
- Zapytaj Fauvre'a. On ci wszystko wyjaśni. - Wyjął z plecaka szkice i notatki i wręczył mężczyźnie. - Jest tu rysunek trójkąta. Wskazuje na CERN - Centrum Badań Nuklearnych, które znajduje się tutaj, w Genewie! Pomyliłem się, źle to zrozumiałem. Linie krzyżują się w tych górach - ten sam kierunek, ale inne położenie. Powiedz im, że w górach wydarzy się coś bardzo groźnego, jakaś wielka katastrofa. Powiedz im. To bardzo ważne!

Gdy audi ruszyło ostrożnie, Max puścił się biegiem.

Dźwięk syren świadczył, że policja już nadjeżdża. Zażarte bójki nie są czymś zwyczajnym w spokojnej szacownej Genewie i wkrótce park zaroi się od glin.

Spojrzał na komórkę Sophie. Czemu usiłowała ją wyjąć? Chciała, żeby wziął aparat. Ale dlaczego? Nacisnął guziki, znalazł wiadomości tekstowe i serce niemal zamarło mu w piersi.

352

„Człowiek, który opiekuje się zwierzętami, schwytał Adriena. Sprowadź Maksa z medalionem do Parc La Grange w Genewie, 7. Sayid jest ze mną. Mogę Wam pomóc.

Twoja przyjaciółka Peaches”.

Sophie domyśliła się, że jej przyjaciółka kłamie, że zdradziła ich wszystkich i że nie istnieje żaden Adrien. Peaches o tym nie wiedziała.

Ale oni porwali Sayida.

Dzisiaj był 7. dzień miesiąca. Zabala przepowiedział, że katastrofa wydarzy się rano 8. Max mylił się co do Sophie. Dziewczyna próbowała uratować Sayida. Słowa Abdullaha nabrały wreszcie sensu. Ona rzeczywiście walczyła o niego. A teraz on powinien ratować przyjaciela. Musi dotrzeć do tych gór i ocalić go.

A także powstrzymać to szaleństwo.

25

Maksa Gordona ogarnęła panika. Lęk wczepił mu się pazurami w serce.

Musiał dostać się do drogi biegnącej wzdłuż brzegu jeziora albo wrócić do stacji kolejowej. Tak czy inaczej straci mnóstwo cennego czasu.

„Opanuj się i pomyśl” - powiedział sobie.

Jeżeli wybierze drogę na południe od Genewy, przekroczy granicę z Francją, a dopiero potem będzie mógł skręcić na północ w stronę krańca jeziora i górskiego królestwa, gdzie więziono Sayida. Ta trasa oznaczała niebezpieczeństwo napotkania policji, a nie mógł ryzykować trafienia do aresztu. Natomiast podążając dalej na północ szosą wokół jeziora, pozostanie na terenie Szwajcarii i ukryje się w gęstym strumieniu pojazdów. Na mapie wyglądało to na dwie godziny drogi, ale w rzeczywistości podróż mogła potrwać nawet dwa razy dłużej. Jezioro miało ponad siedemdziesiąt kilometrów długości, a potem czekała go jeszcze wędrówka po górach. Ile czasu mu zostało?

Popatrzył na rzędy imponujących jachtów i kabinowych łodzi motorowych zacumowanych do pomostów na przystani naprzeciwko parku. Ruszył szybko w tamtym kierunku, wypatrując jakiejś łodzi, którą mógłby sobie wziąć.

„To się nazywa kradzież” - poprawił się w duchu.

Będzie musiał się włamać i zapuścić motor. Nagle usłyszał cichy warkot potężnych silników ścigacza, który przed chwilą przybił do pomostu. Jakaś kobieta zabierała się do cumowania.

Białe skórzane siedzenia kontrastowały z ciemnogrnatowym kadłubem lśniącym jak szkło. Jej towarzysz poszedł na dziób, żeby sprawdzić, czy odbijacze należycie chronią burty. Gdy Max niepostrzeżenie wszedł na

pokład, kobieta stała kilka metrów od niego na nabrzeżu, usiłując obwiązać linę wokół pachołka. Silnik pracował na jałowym biegu. Gordon chwycił mocno koło sterowe z drewna orzechowego i pchnął dźwignię gazu cztery zębki do przodu. Sprężone turbodiesle ryknęły gniewnie, jakby były wściekłe, że dotąd powściągano ich moc, śruby na rufie wzburzyły wodę i ochoczo pchnęły smukły, ostry jak skalpel kadłub na otwarte wody jeziora. Mężczyzna wypadł za burtę, a krzyk kobiety został zagłuszony przez hałas silników. Ryczały jak Aladfar! Pęd powietrza owiewał opływową przednią szybę. Motorówka rwała już z szybkością trzydziestu węzłów, a skala prędkościomierza wskazywała, że może dojść nawet do pięćdziesięciu.

Potworna moc silników przestraszyła Maksa. Prowadził już z tatą motorówki, ale teraz czuł się, jakby się przesiadł z roweru do wyścigowego bolidu Formuły 1. Skręcił, oddalając się od linii brzegowej. Widoczność była dobra, ale nad górami zbierały się ciemne chmury. To zapowiadało złą pogodę na najbliższych kilka godzin. Max sądził, że policja ruszy za nim w pogoń, ale właśnie o to mu chodziło. Chciał doprowadzić policjantów do Cytadeli. Ta łódź była warta z milion, więc jej kradzież powinna postawić policję na nogi. Jeśli dopisze mu szczęście, po dotarciu na miejsce będzie miał wsparcie stróżów prawa. Pora uwolnić bestię; zdecydowanym ruchem otworzył przepustnicę i ścigacz niemal wyskoczył nad powierzchnię wody. Max odepchnął od siebie obawy i roześmiał się, gdy łódź szybowała na fali, ścigając się z wiatrem.

Czterdzieści minut później poczuł mieszaninę ulgi i rozczarowania, gdy zdał sobie sprawę, że nikt za nim nie płynie. Być może zawiniła biurokracja, jako że przez środek jeziora przebiegała

granica pomiędzy Francją a Szwajcarią. Prawdopodobnie nie zdołano uzgodnić, kto właściwie powinien go ścigać. Toteż gdy zgasił dudniące silniki i ostrożnie dobił elegancką łodzią do pustej plaży, wiedział, że nadal jest zdany wyłącznie na siebie. W obliczu wysokich stromych gór poczuł się samotny i bezbronny. Jednak napędzała go energia inna niż strach. Wzbierała w nim burza gniewu dorównująca mocą koniom mechanicznym. Co z Sayidem? Czy jest ranny? I czy w ogóle jeszcze żyje? Widocznie zgarnęli go z lotniska w Biarritz.

Przez cały ten czas Max nie miał pojęcia, że jego przyjaciel został porwany. Poczuł w sercu tępy ból poczucia winy. Powinien był lepiej opiekować się Sayidem. No cóż, teraz nadrobi zaniedbania.

Wiatr zwiewał tumany śniegu z wierzchołków gór do wąwozów i lodowych szczelin, lecz z ciemniejącego nieba nie spadł ani jeden płatek. Max przebiegł truchtem już kilka kilometrów i teraz zmuszał nogi do jeszcze większego wysiłku, gdyż wąska ścieżka wiodła coraz bardziej stromo w górę. Zatrzymał się przed tablicą z napisami w językach angielskim, francuskim i niemieckim, by każdy zrozumiał ostrzeżenie: „Zakaz wstępu. W odległości 1 kilometra droga zamknięta. Teren placówki naukowej - azyl dla dzikich zwierząt. Uwaga! Wilki!\".

To było skuteczniejsze niż informowanie o straży czy złych psach; niebezpieczeństwo napotkania wilków powstrzyma każdego intruza. Max uspokoił oddech, wyjął mapę i kompas, ustalił dokładne położenie Cytadeli i upewnił się, że nie zboczył z trasy. Przed nim widniały strome zarysy pobliskich łańcuchów górskich, wznoszących się na wysokość kilku tysięcy metrów. Jak ma się tam dostać? Problemem będą śnieg i

zimno. Ten znak odstraszał innych ludzi, lecz Max postanowił, że pójdzie właśnie tędy. Ruszając znowu truchtem, odepchnął od siebie niepokojącą myśl o błakających się tutaj wilczych watahach. W okolicy nie

356

było żadnych farm ani grubszej **zwierzyny**; **na co w takim razie** one polują i czym się żywią?

Za zakrętem drogi, w odległości kilkuset metrów, spostrzegł pierwszą przeszkodę - zwykłą bramę z siatki drucianej, wysoką na cztery metry, a po jej obydwu bokach płot łączący się ze skalnymi zboczami. Obok stała druga tablica ostrzegawcza, taka sama jak poprzednia. Max wspiął się na bramę i przeszedł na drugą stronę. W oddali ujrzał zasypany śniegiem pojazd. To była furgonetka Bobby'ego!

Nie musiał zachowywać środków ostrożności, gdyż samochód niewątpliwie porzucono. Nie widać było żadnych śladów stóp, a Max szarpnięciem otworzył drzwi od strony kierowcy i w nozdrza uderzył go zwietrzały odór zepsutego paczkowanego jedzenia i niedopałków papierosów. Wgramolił się do ciemnego wyziębionego wnętrza, gdzie niedawno więziono jego przyjaciela. Zawiewający do środka wietrzyk zakołysał jakąś ozdobą zawieszoną na płetwie deski surfingowej - misbahą Sayida! Więc istotnie tu był! Max wczołgał się na tył furgonetki i mocno zacisnął w pięści sznur koralików. Gdybyż tylko mógł sprowadzić tu przyjaciela, po prostu wypowiadając życzenie! Wiedział jednak, że aby uratować Sayida, trzeba czegoś więcej niż wypowiedzenie paru magicznych słów. To będzie wymagało długich wyczerpujących poszukiwań.

Nie miał czego tu więcej szukać - nie znajdzie już niczego, co pomogłoby mu odnaleźć Sayida. Dzięki Bogu nie było żadnych śladów krwi. W środku leżały dwie deski surfingowe, śpiwory i materac. Wszystko było tak, jak zapamiętał - z wyjątkiem wyraźnie wyczuwalnej, groźnej atmosfery przemocy. Obejrzał dokładniej wnętrze pojazdu i znalazł dwie torebki czipsów oraz opróżnioną do połowy butelkę wody mineralnej. Wsadził je do plecaka i otworzył tylne drzwi.

Druga przeszkoda, znajdująca się kilka metrów dalej, była trudniejsza do pokonania - bramy oraz ogrodzenie pod napięciem

357

biegnące setki metrów w górę obydwu zboczy i wnikające w skalne ściany. Tuż za ogrodzeniem umieszczono zwoje drutu kolczastego, a dziesięć metrów za nim stał drugi płot podłączony do prądu. Max widział, że droga prowadzi dalej w góry, ale nawet gdyby przeszedł przez bramę, musiałby przebyć to pustkowie. Przy każdej bramie rzędy ciemnoczerwonych lamp oświetlały boczne bariery - jak przy bramkach bezpieczeństwa w supermarketach wyłapujących złodziei sklepowych.

Podmuch porywistego wiatru targnął niedomkniętymi drzwiami furgonetki. Czas uciekał. Było go za mało, żeby wspiać się na najbliższy stok i spróbować od góry obejść ogrodzenie. Max wdrapał się po tylnej drabince pojazdu i wyszarpnął paski mocujące do dachu pokrowiec z deskami surfingowymi Bobby'ego.

Deska leżąca płasko w tyle samochodu, na której Sayid dokonywał obliczeń potrzebnych do rozszyfrowania wiadomości z magicznego kwadratu, tak jak się spodziewał, pozostała przez nikogo niezauważona -

także przez Maksa.

Wspięcie się ponad osiemdziesiąt metrów do wąskiego płaskowyzu zajęło Maksowi dwadzieścia minut i kosztowało go mnóstwo sił. Kiedy wreszcie tam dotarł, odrzucił pokrowiec, przygotował deskę, włożył narciarskie gogle, wsunął stopy w obejmy i podniósł żagiel, który wydał się z trzaskiem. Wiatr powiał ze świstem przez lodowe szczeliny i skalne załomy, szarpnął żagiel deski i pognał ją naprzód. Chłopiec ustawił go pod odpowiednim kątem, przyciągnął do siebie bom i wbił się w śnieżną falę. Musiał nabrać prędkości, wybrać właściwy kierunek i znaleźć punkt wybicia, żeby przelecieć nad tymi płotami. Żeglował na desce Bobby'ego, czyli mistrza - najszybszej i najlepszej. Nie wiedział, czy zdoła sobie z nią poradzić. Krótka deska, skonstruowana tak, by osiągać największą prędkość na wodzie, ślizgała się i mknęła teraz po śniegu. Max szarpnął bom i dwanaście metrów kwadratowych żagla zareagowało natychmiast; płetwa mieczowa utrzymywała go na kursie. Wiatr powiał moc-

358

niej i Gordon znów odpowiednio ustawił żagiel, który niemal wyrywał mu ramiona ze stawów barkowych, podczas gdy lodowate powietrze smagało go w twarz. Ukradziona przez niego motorówka wyścigowa, wyposażona w potężne silniki, osiągała prędkość pięćdziesięciu węzłów, ale ta deska z żaglem mogłaby jej niemal dorównać, gdyby ścigały się na spokojnej wodzie. Ale jazda! Teraz Max naprawdę dawał czadu. Ale to nie była przejazdka dla przyjemności. Pędził w kierunku wybrzuszonej zasy na krawędzi skały. Gdy na nią wpadnie, zostanie wyrzucony w powietrze, ciśnięty na wiatr, a potem opadnie, wirując jak klonowy listek - i nie

wiedział, czy zdoła zapanować nad torem lotu. Kąt wybicia zadecyduje o tym, czy uda mu się błyskawicznie osiągnąć dużą wysokość, a potem wykonać salto. Raptem przypomniał sobie górę Mont la Croix i swoje niepowodzenie w zawodach snowboardowych. Teraz musiał wzbić się bardzo wysoko i kontrolować obrót o sto osiemdziesiąt stopni - albo będzie po nim. Tu mógł stracić nie jakieś tam punkty, lecz życie. Groziło mu, że zawadzi o drut kolczasty i wykrwawi się na śmierć albo uderzy w ogrodzenie pod napięciem i upiecze się jak grzanka.

Deska z sykiem mknęła dalej. Wiatr ścigał go, a spod dziobu tryskały śnieżne pióropusze. Max widział przepaść i punkt, z którego nie ma już odwrotu. Nagle wiatr uderzył go z całą mocą i o mało nie wyrwał mu bomu z rąk.

A potem nastąpiła cisza. Deska oderwała się od ziemi. Słychać było tylko szum powietrza. Pod jego naporem trzeszczał półprzezroczysty żagiel, szybując w przestworzach. W dole pod Makssem majaczyły niewyraźnie drut kolczasty i płot pod napięciem. Czy uda mu się nad nimi przelecieć? Czy nabrał odpowiedniej wysokości? Wydawało mu się, że jest już w powietrzu całą wieczność. Deska leciała teraz spokojniej. Chłopiec instynktownie balansował ciałem. Wreszcie uderzył o ziemię i omal się nie wywrócił, dokładnie tak samo jak podczas tamtych

zawodów. Jednak tym razem przysiadł, szorując siedzeniem po śniegu, i wykorzystał bom, żeby utrzymać równowagę deski. Wylądował zaledwie kilka metrów za drugim płotem.

Wrzasnął triumfalnie. To było lepsze od zwycięstwa w każdych

zawodach!

Wyrównał tor jazdy i znów złapał wiatr. Wybrał szot, a potem nieco poluzował, by zmniejszyć pęd, i skierował się tam, gdzie prowadziła go droga. Zerknął jeszcze szybko za siebie na mury obronne Tiszenki. Świadomość, że je pokonał, dała mu dodatkowy zastrzyk energii. Teraz już nic nie zdoła go powstrzymać. Zbliżał się do gór i do człowieka, który więzi jego przyjaciela. A także do nadchodzącej nieuchronnie katastrofy.

Tiszenko zjechał windą na sam dół wewnątrz swojej górskiej kryjówki. Tutaj czarne skalne ściany, oszpecone przez łopaty maszyn drążących tunele - okaleczone podobnie jak on - rozpraszały mdłe światło i zatrzymywały zimno w lodowych taflach co najmniej metrowej grubości. Maszyny i rury leżały porzucone przy skalnej ścianie. To właśnie tutaj inżynierowie i robotnicy budowlani zostawili cały swój sprzęt. Dźwig towarowy ogromnie różnił się od komfortowych superszybkich wind, które błyskawicznie zawoziły Tiszenkę do jego apartamentów na szczycie góry. Otwartej platformy używano zazwyczaj do zwożenia urządzeń na dół do tej olbrzymiej hali.

Bieżąca woda płynęła śluzą między tyłami klatek a ścianą, niosąc topniejący lód, a następnie wpadała do podziemnych pieczar i - jak zawsze czyni woda - szukała najłatwiejszej drogi. To miejsce dobrze służyło potentatowi, ponieważ właśnie tu trzymał przez lata schwytane zwierzęta, zanim zaszczycił je polowaniem.

Stalowe klatki o powierzchni kilku metrów kwadratowych były przyśrubowane do ściany i podłogi wzdłuż wszystkich boków otwartego szybu windy towarowej. Podobnie jak w ka-

zamatach dawnych twierdz mroźne powietrze korodowało ich pręty, lecz były wystarczająco bezpieczne i mocne, by trzymać w ryzach nawet najsilniejsze bestie. Większość była pusta, chociaż na ich podłogach wciąż jeszcze leżała słoma i zwierzęcy nawóz. Tiszenko przespacerował się wzdłuż klatek i podszedł do jednej z nich, przyciągnięty ostrym zwierzęcym zapachem. Wyjątkowy chłód, bijący od lodowatej wody łagodził żar, który zdawał się zawsze trawić warstwy jego spalonej skóry. Tu trzymał ostatnie schwyte zwierzę. W tym końcu pieczary nie trzeba było budować wielkich kwadratowych klatek. Jedynie frontowa ściana składała się z mocnych prętów, przez które jego ludzie rzucali temu wielkiemu stworzeniu martwe ryby oraz tłuste focze mięso. Pozostałe ściany tworzyły przejrzyste tafle lodu.

Lodowata, bliska zamarznięcia woda ze śluzy wpadała po drodze do sadzawki, co doskonale służyło jednemu z najgroźniejszych zwierząt dalekiej północy. Niedźwiedź polarny wystawił łeb nad jej powierzchnię i wpatrzył się w Tiszenkę. Olbrzymi zwierz wygramolił się z sadzawki, ociekając wodą, i stanął na tylnych łapach.

Mężczyzna zmierzył go wzrokiem. To był wspaniały okaz. Miał ponad trzy metry długości i ważył sześćset kilogramów, był niezwykle silny, niezrównany w polowaniu i przerażający. Weźcie DNA dzikiego drapieżnego zwierzęcia i połączcie je z ludzką inteligencją. Jakie stworzenie mogłoby się zrodzić z takiej genetycznej mieszanki?

Zmiana klimatu oznaczała, że każdego roku lód topniał wcześniej w mroźnych arktycznych pustkowiach zamieszkiwanych przez niedźwiedzie. Ich zasoby żywności się kurczyły i zwierzęta przejawiały coraz większą

agresję wobec ludzi. Potentat kazał schwytać tego niedźwiedzia i przywieźć tutaj, co kosztowało go majątek. Był to największy i najbardziej agresywny samiec, jakiego zdołano znaleźć. Pobrano już jego DNA. Teraz będzie ostatnim zwierzęciem, jakiego Tiszenko upoluje, zanim... Myśl

361

o jutrze powstrzymała go. Jutrzejszy **dzień będzie najstraszliwszy** ze wszystkich.

Zadzwoił jego telefon komórkowy.

Wrócił Rekinia Twarz.

Max wspiął się na strome zbocze, u którego stóp znajdował się olbrzymi wjazd do wnętrza góry, i spojrzawszy w dół, zobaczył pojazd Rekiniej Twarzy z napędem na cztery koła, który przejechał poniżej i zniknął mu z oczu. Powiedział do siebie, że kradzież motorówki była naprawdę dobrym pomysłem. Najwidoczniej Rekinia Twarz utknął w korkach i dlatego zjawiał się po nim.

Chłopiec uważnie przyjrzał się niegościnnym skałom. Dostrzegł kilka szczelin w niemal pionowym północnym zboczu. Ten najzimniejszy i najciemniejszy stok pokryty warstwą śniegu i lodu zapowiadał trudną wspinaczkę, ale Max zauważył rozpadlinę, która pozwoli mu dotrzeć do jednego z pionowych kominów. Spośród wszystkich skalnych załomów i szczelin tylko ten komin był wolny od śniegu i lodu. Widocznie wznosiło się nim skądś ciepłe powietrze. Tędy z pewnością można dostać się do środka i Max zamierzał to zrobić.

„Nie wchodź nigdzie tam, gdzie nie było jeszcze twojego umysłu”.

Przyjrzał się całej trasie, wyobraził sobie plastycznie, którądy będzie się

wspinać, wypatrując najdogodniejszych chwytów dla rąk i oparcia dla stóp.

Wejście bez asekuracji po niebezpiecznie stromym zboczu zajęło mu niemal godzinę. Gdy znalazł się wyżej, zobaczył w oddali słońce pożerane przez poszarpane górskie szczyty przypominające szczęki. Na północy zadudnił grzmot, zwiastując początek burzy. Było to w odległości co najmniej osiemdziesięciu lub dziewięćdziesięciu kilometrów, ale Max wiedział, że jeżeli burza przemieści się gwałtownie, nie powinna go zastać na

362

tej skalnej ścianie. Pioruny uderzają najczęściej właśnie w szczeliny w górskich stokach.

Max wcisnął się w komin, zaparł się nogami i zaczął powoli schodzić. Mniej więcej dziesięć metrów niżej było rozwidlenie wąskiego szybu. Snop światła latarki czołowej sięgał tylko kilka metrów w dół i nie potrafił przebić ciemności, jednak chłopiec wiedział, że podjął słuszną decyzję. Z czeluści po lewej stronie -zbyt wąskiej, by można było tamtędy przejść - dolatywał charakterystyczny mocny i ostry zapach zwierząt, jak w ogrodzie zoologicznym. Nie słychać było żadnych odgłosów, ale to stamtąd unosiło się ciepłe powietrze ogrzewające komin. Tunel w dole po prawej był szerszy i Max mógłby się tamtędy przecisnąć, ale dostrzegł w głębi przyćmiony połysk lodu. Po lodzie nie da się zejść bez odpowiedniego ekwipunku. Gordon jednak nie miał wyboru. Nie mógł przecież zawrócić. Będzie musiał jakoś opuścić się tą lodową rynną.

Max wparł nogi w skalny występ, ostrożnie zsunął z ramienia plecak i z

zapinanej na rzep kieszeni wyjął mały plastikowy pojemnik, nie większy niż pudełko zapalek. Ostra krawędź skały wbijała mu się w kolana, a pot zalewał oczy. Wiedział, że jeśli stopy ześlizgną się z tego niepewnego oparcia, spadnie w głąb wąskiej kamiennej rynny i połamie nogi - a to oznaczałoby śmierć po niespełna godzinie z szoku, bólu i utraty krwi. W tym ciasnym kominie zaczynał odczuwać objawy klaustrofobii. Nigdy nie znosił małych pomieszczeń, a teraz w dodatku wydało mu się, że ściany komina zbliżają się do siebie.

„Nie, to niemożliwe!” - powiedział sobie i aby się podnieść na duchu, włączył czołówkę.

Dzięki temu opanował strach, zebrał siły i zdjął jedną stopę ze śliskiej półki. Turystyczne adidas nie trzymały się wystarczająco oblodzonych ścian, jednakże miały w każdej podeszwie cztery małe gniazda, w które można było wkręcić kolce. Max bał się, by ich nie upuścić w trakcie zakładania, więc chuchnięciem

363

ogrzał skostniałe czubki palców i po paru minutach uporał się z tym zadaniem. Teraz buty już tak się nie ślizgały po lodowej ścianie. Chłopiec zdjął czołówkę, zacisnął jej pasek na lewej nodze, tak aby światło było skierowane w dół, i zrobił pierwszy niepewny krok w nieznaną.

W tym momencie przemknęła mu myśl, że dzikie zwierzęta, których zapach poczuł tak wyraźnie, powinny być trzymane w zamknięciu i że opuściwszy się tym kominem, nie wpadnie wprost do klatki któregoś z nich.

Pokrzepiwszy się tą nadzieją, ruszył w dół.

Napinając mięśnie nóg, a plecami zapierając się z całej siły o ścianę komina - plecak zapewniał przynajmniej częściową przyczepność - opuszczał się w groźną czeluść. Gdy lewa stopa znalazła oparcie, promień lampy zaświecił w dół i Max zobaczył, że tuż pod nim rynna się wygina. Modlił się w duchu, aby nie okazało się, że niżej jest urwisty spadek, gdyż wówczas nie miałby żadnej szansy.

Szyb robił się coraz bardziej stromy, a w głębi ćmił nikły blask, który nie pochodził z czołówki przyczepionej do stopy Maksa. Chłopiec forsował ścięgna i mięśnie, usiłując spowolnić zjazd. Kolce oderwały się od podeszew butów; wiedział, że za chwilę w coś uderzy. Tylko w co? Złączył kolana, ugiął lekko nogi, osłonił ramionami głowę i odetchnął głęboko. Teraz już naprawdę spadał.

Przed oczami mignęła mu upiorna sina poświata, gdy rynna wreszcie go wypuła na pofałdowany lodowy jezior spływający ze skalnego zbocza do olbrzymiego holu. Wylot szybu znajdował się na wysokości dziesięciu metrów, ale ta zmrożona fałda lodu niczym dziecięca zjeżdżalnia złagodziła upadek chłopca.

Przeleciał po lśniącej podłodze z czarnego kamienia i rąbnął w lodową ścianę. Ciszę zakłócał tylko dochodzący gdzieś z oddali szum wartko płynącej wody. Max wstał. Mdły blask pochodził od przyćmionych lamp, ale niebieską poświatą emano-

wał otaczający go lód. Gordon odniósł wrażenie, że przebywa we wnętrzu lodowca. Lecz gdy tylko jego oczy przyzwyczyły się do półmroku, poczuł raptowny przypływ paniki. W sali panowała ujemna temperatura i oddech wydobywał się z ust obłoczkami pary - ale to nie nagła fala mrozu

sprawiała, że zadrżał -tylko wpatrujące się w niego dziesiątki par oczu. Oczu śmierci.

26

Tiszenko wysłuchał relacji Rekiniej Twarzy o bójce w Parć La Grange.

Wiadomość o śmierci najbardziej przez niego cenionej killer-ki nie wzbudziła w nim nawet cienia żalu. Przetrvanie zależało nie tylko o od zdolności i determinacji, lecz od łutu szczęścia.

Rekinia Twarz opowiedział mu o ataku, zjawieniu się Maksa w towarzystwie dwóch mężczyzn o groźnym wyglądzie oraz o tym, jak przejechał Peaches. Schwytanie tego angielskiego wyczynowca okazało się niemożliwe, ale przecież dostarczył szefowi to, co jest dla niego najważniejsze - medalion. Rekinia Twarz pragnął jedynie, by Tiszenko przyjął go w poczet swych *vucari* - ludzi, wilków, nielicznej grupki wybranych.

Tiszenko polecił, aby nakarmiono przybysza; zamierzał nagrodzić go później. Przynął wisiołek do oczu i przyjrzał mu się przenikliwym wzrokiem, przed którym nic nie mogło się ukryć. Ozdoba wydała mu się zupełnie zwyczajna. Później jego podwładni zbadają wisiołek pod mikroskopem tak silnym, że można za jego pomocą spojrzeć w oczy bakteriom.

Nareszcie zdobył sekret Zabali, w obronie którego mnich oddał życie. Los wrzucił mu w ręce ten przedmiot w przełomowej chwili. Zabala poświęcił ponad dwadzieścia lat na obserwowanie gwiazd i poszukiwanie

Prawdy - czyli określenia momentu wybuchu, kiedy wszechwładne niebiosy cisną na Ziemię ognistą kulę, która da początek nowemu życiu.
W końcu mnich

366

poznał ową Prawdę i próbował ostrzec niczego niepodejrzewa-jący świat. Jednak uczeni zignorowali go i wyśmiali, a jego najbliższy przyjaciel zdradził i powiadomił Tiszenkę, że parający się astrologią zakonnik po wielu daremnych próbach w końcu znalazł dowód potwierdzający nadejście straszliwej katastrofy. Potentat był jedynym człowiekiem, który potraktował poważnie jego odkrycie, gdyż stanowiło ostatni znak od bogów utwierdzający go w tym, co zamierzał uczynić nazajutrz, gdy zapanuje nad mocą błyskawic. Tiszenko dysponował potęgą. Jego matka dobrze wiedziała, co robi, kiedy dała mu imię Fedir - „Dar od Boga”.

Gniewne pomruki grzmotów zapowiadały nadchodzącą burzę, która według oczekiwań miała się nazajutrz rozszaleć z wielką gwałtownością. To, iż zdobył medalion mnicha zaledwie na kilka godzin przed planowanym opuszczeniem Cytadeli i schronieniem się w ustronnej kryjówce, utwierdziło Tiszenkę w przeświadczeniu, że kierują nim tajemne siły wszechświata.

Zamierzał nie tylko rzucić wyzwanie burzy, lecz także wypełnić swoje przeznaczenie. Ze zniszczenia i pożogi stworzy nowe życie. On, *Lux Ferre* - „wnoszący światło”.

Max przycupnął jak zwierzę gotowe w każdej chwili do ucieczki, a jego umysł pracował gorączkowo, usiłując pojąć to, co zobaczył. Znajdował się w lodowej grocie, której ściany i sklepienie pokrywał szron, przez co

wszystko mieniło się i migotało jak za sprawą magicznego zaklęcia. Jednak oczy wpatrujących się w niego stworzeń pozostały nieruchome. Nie było w nich światła ani blasku, jedynie puste, martwe spojrzenia śmierci.

Znalazł się w czymś w rodzaju muzeum przyrodniczego, gdzie zgromadzono zamrożone zwierzęta z wyszczerzonymi zębami ustawione w naturalnych pozach. Muskularny górski goryl o srebrzystym karku spoglądał gniewnie, czarny nosorożec stał

367

w całej okazałości. Pantera wybijała się w górę, skacząc inna przedstawicielkę rzadkiego gatunku tybetańskiej antylopy - przestraszoną, ale również zamrożoną jak pozostałe zwierzęta. Olbrzymi lew o grzywie przysypanej szronem walczył z lwicą odsłaniającą kły i skręconą w obronnej pozycji. Chłopiec niennal czuł emanujący z nich zapach afrykańskiego piasku pustyni. Orangutan i ryś stały nieruchomo, jak gdyby uchwycone w błysku fotograficznego flesza. Skórzasty żółw - największy, jakiego Max kiedykolwiek widział - spoczywał zawieszony w bryle lodu i wyglądał, jakby płynął przez ocean. Były tu stworzenia znane mu dotąd tylko ze zdjęć - jak rzadki śnieżny lampart, którego delikatnie cętkowane futro wtapiało się z otaczającą go zaspą.

Max Gordon spacerował pośród tych zmarłych zwierząt w niemym zdumieniu, że przebywa tak blisko najgroźniejszych bestii na świecie. Po chwili uświadomił sobie, że to bardzo szczególna kolekcja - złożona głównie z drapieżników, od wielkich kotów do wilków, psów myśliwskich i szakali.

Ciemna sylwetka szakala stojącego na czarnym głazie górowała nad otoczeniem. Zwierzę było imponujące i wyglądało jak żywe. Spoglądało w dół, na Maksa, który przypomniał sobie nagle, że niedawno w Afryce szakal był jego przewodnikiem.

Tygrys bengalski - wielki, choć nie tak olbrzymi jak Aladfar -rzucił gniewne spojrzenie, a jego bezgłośny warkot i ryk dawały nieme świadectwo o tym wspaniałym zwierzęciu, które żyło niegdyś na swobodzie, nieniepokojone przez ludzi.

To prywatne muzeum niewątpliwie należało do człowieka, który nielegalnie przemycił zwierzęta, często przedstawicieli gatunków zagrożonych wymarciem. Niedźwiedź dorównujący wzrostem chłopakowi stał na tylnych łapach, zaś przednie unosił obronnym gestem, jakby obawiał się, co za chwilę uczyni jedna z istot ludzkich, które go zabiły. Wyraz zaskoczenia na jego pysku dodatkowo podkreślały czarne kręgi wokół oczu. Był to niewielki południowoamerykański niedźwiedź, o jakich So-

368

phie wspomniała Maksowi podczas ich pierwszego spotkania. I oto jak skończyło to nieszczęsne stworzenie!

Powietrze było tu tak zimne, że podłogę pokrywała cienka warstewka lodu, na której chrzęściły kroki Maksa. Widok robił na nim niesamowite wrażenie, ale otrząsnął się szybko. Nie był przecież na wycieczce. Pospiesznie przeszedł na drugi koniec sali, z trudem opanowując chęć obejrzenia się za siebie na wypadek, gdyby martwe stworzenia ożyły. Wszystkie wyglądały na wygłodniałe.

Spostrzegł podwójne drzwi z nierdzewnej stali, zamknięte i pozbawione klamki, przycisku bądź zamka szyfrowego. Widocznie były zdalnie sterowane. Nieco dalej przez wyrwę w ścianie, nie większą niż lodowy tunel, którym przed chwilą się ześlizgnął, ujrzał turkoczącą strugę, toczącą spienione wody z potęgą wodospadu i znikającą w dole w ciemnej czeluści. Z objętości wody Max wywnioskował, że spływa ona z wyższej partii góry i pochodzi z topniejącego śniegu.

Wcisnął się w tę dziurę w skale i twarz osmagały mu ostre bryzgi. Ryk strumienia był ogłuszający, lecz Max wychwycił w tle inny, ledwo dosłyszalny dźwięk - plusk wody wpadającej do jakiegoś zbiornika albo naturalnej śluzy. Widział kiedyś coś podobnego podczas szkolnej wyprawy do jaskiń. Zastanawiał się teraz, jak daleko w dole leży to podziemne jezioro lub staw.

Poniżej poziomu lodowej groty mogła się znajdować skalna komora. Komin odpowietrzający był zbyt wąski, by można było zejść nim niżej. Jediną drogę wyjścia stanowiła wodna rynna.

Była to droga, mówiąc oględnie, niezwykle niebezpieczna. Jednak Max musiał podjąć ryzyko. Wyjął z plecaka foliowy worek na śmieci i zaczął się rozbierać. Gdy zdejmował kolejne warstwy odzieży, owionęło go mroźne powietrze, ostre jak drut kolczasty. Wiedział, że nie może zbyt długo zwlekać, gdyż przemarznie i nie będzie w stanie spełnić swojego zamiaru. Spakował ubranie do plastikowego worka i został tylko w bokserkach oraz

adidasach - ich twarde podeszwy pomogą mu odbić się od ostrych skał,

gdy będzie leciał w dół w wodospadzie. Pocieszał się myślą, że po tej koszmarnej kąpieli włoży suche rzeczy, lecz mimo to okropnie trzął się z zimna. Aby przetrwać w lodowatej wodzie, trzeba wiedzieć, w jaki sposób działa ona na człowieka. Zimna woda pozbawia ciało ciepła dwadzieścia pięć razy szybciej niż powietrze o tej samej temperaturze. W chwili gdy Max wpadnie do podziemnego zbiornika, zwiększy się ciśnienie jego krwi i dojdzie do hiperwentylacji. To było niebezpieczne, gdyż gwałtowny szok uniemożliwi mu zatrzymanie oddechu pod wodą. W zimnej wodzie toną nawet najlepsi pływacy. Na szczęście Max wiedział, co go czeka, i to miało go ocalić. Niepokoił się jednak, gdyż nie miał pojęcia, jak długo będzie musiał przebywać w lodowatej wodzie. Po trzech minutach temperatura ciała spadnie tak bardzo, że mięśnie kończyn odmówią mu posłuszeństwa, i utonie.

Przełożył sobie plecak przez pierś. Dzięki temu był pewien, że go nie zgubi - a ponadto posłuży mu jako rodzaj kamizelki ratunkowej. Wszedł na skalny próg, starając się opanować szcęknięcie zębami, wziął głęboki oddech i przygotował się na zatrzymanie powietrza w płucach. Będzie go potrzebował możliwie jak najdłużej.

Wskoczył do walącej z góry rzeki i natychmiast mimowolnie odetchnął, tracąc życiodajny tlen. Woda zalała mu głowę; miał wrażenie, że ktoś wbija mu w kark lodowe sople, a gardło ścisnęło mu się z zimna.

„Zapanuj nad tym! Zapanuj nad tym!!!” - wrzasnął jego umysł.

Gdy chłopak poczuł, że wygładzone wodą głązy usuwają mu się spod nóg, stłumił nagły impuls, by głośno krzyknąć. Po dwudziestu sekundach wypadł z kompletnych ciemności w jarzący się słabo blask, piekącymi oczami zdążył jeszcze zobaczyć kilka metrów pod sobą powierzchnię

podziemnego stawu, a potem wpadł do niego z pluskiem.

370

Poczuł, jakby w żyłach pulsowało mu tłuczone szkło. Zimno raptem go sparaliżowało. Ręce stały się bezwładne, umysł nie był w stanie zdać sobie sprawy z ogarniającej go nieprzepartej senności, a przed oczami mignęły mu ulotne obrazy. Brzegi sadzawki pokrywał lód oraz śnieg zbrukany jakimiś ciemnymi krwawymi strzępami. To już koniec. Max zaryzykował i przegrał - a teraz pochłaniał go mroczny lód. Mocno zakorzeniony instynkt przetrwania błysnął mu w mózgu iskierką myśli, że nadeszła pora na ostatni haust powietrza - a potem chłopiec poczuł, że opada w głębinę.

„Zbyt głęboko” - pomyślał.

Nagle przestał odczuwać zimno. To oznaczało, że albo przestał być świadomy straszliwego wyziębienia organizmu i popadał w głębokie omdlenie, albo jego ciało zachowało swą ciepłotę i było chronione przed zimnem, jak u młodego niedźwiedzia polarnego.

Woda w stawie była nieznacznie cieplejsza i tak słona, że piekła Maksa w oczy. Początkowo wydało mu się, że do tej głębokości, w której się znalazł, przenika dzienne światło, lecz po chwili jego boleśnie zmrożony umysł powiedział mu, że to niemożliwe. To było sztuczne oświetlenie, dzięki któremu mógł dostrzec coś pod powierzchnią. Ale co?

Jakiś biały potwór rzucił się do stawu. Dorosły polarny niedźwiedź rozgarniał wodę wielkimi łapami o grubości trzydziestu centymetrów. To właśnie jego zobaczył Max.

Chłopiec pod wpływem strachu poczuł nagły przypływ siły, a

jednocześnie odniósł wrażenie, że jego ciało stało się niezdarne i niezręczne. Płynął pieskiem, zagarniając wodę pod siebie, i wypuszczał nosem pęcherzyki powietrza, wpatrując się w mroczne odmęty. Dojrzał spienione białe wiry i popłynął naprzód, w kierunku krawędzi skały.

Odważył się zerknąć za siebie. Niedźwiedź polarny wypływał z głębiny, wiosłując szerokimi łapami niemal leniwie, jakby

371

na zwolnionym filmie. Lecz to było tylko złudzenie. Zwierzę było tak potężne, że zdawało się poruszać bez wysiłku, jednak gdy dopadnie intruza, który wtargnął na jego terytorium, rzuci się na niego z gwałtowną furią.

Max płynął w szaleńczej ucieczce. Nie miał pojęcia, jakim cudem zdołał tak długo pozostać pod wodą ani w jaki sposób jego ciało radzi sobie z jej śmiertelnym zimnem. Po prostu płynął najszybciej, jak potrafił, a potem wynurzył się na powierzchnię i sięgnął do oblodzonego skraju półki skalnej. Usiłował wdrapać się na nią, lecz uniemożliwiał mu to plecak przytroczony do piersi. Jednak przerażająca świadomość, że jego nogi dyndają w wodzie, a drapieżny zwierz jest już o niecałe dwa metry od niego, dodała chłopcu sił. Obrócił się i wydzwignął na brzeg, opierając się na łokciu i napinając biceps.

Na czworakach gramolił się po skale przez krwawe szczątki foki w kierunku śluzy, którą wypływała woda. Po lewej stronie drogę ucieczki zagrażała mu lodowa ściana, a plusk za plecami powiedział mu, że niedźwiedź również wylazł na brzeg i lada chwila się na niego rzuci. Max wskoczył do śluzy i usłyszał wściekły ryk zwierzęcia, którego łapa

przecięła powietrze, nie dosięgła chłopca i przeorała pazurami ścianę lodu. Zabrzmiało to tak, jakby ktoś drapał paznokciami po szkolnej tablicy.

Max o ułamek sekundy uniknął ciężkiego poranienia i pewnej śmierci, lecz zdawał sobie sprawę, że jeśli nie wydostanie się z wartkiego nurtu, zostanie wciągnięty pod powierzchnię przez prąd wody, która zniknęła pod skałami na końcu jaskini, w odległości czterdziestu metrów. Wyrzucił rękę w bok i uchwycił się czegoś zimnego i twardego. To była stal. Skraj stalowej klatki.

Nie miał już sił, by przeciwstawić się prądowi i wydźwignąć na brzeg kanału do tej klatki. Lepiej od razu umrzeć. Wypuścić pręt i utonąć. To wydawało się takie łatwe.

Wówczas z jego pamięci wypłynął widok twarzy Sayida, który spoglądał na niego z tylnego siedzenia taksówki mającej zawieźć

372

go na lotnisko w Biarritz. Właśnie wtedy po raz ostatni widział swojego przyjaciela. Świadomość, że Sayid go potrzebuje, była jak cios pięścią w żołądek. Przecież właśnie dlatego Max się tutaj znalazł! W tym momencie nie przejmował się szaleńcem grożącym zniszczeniem świata. Pragnął ocalić najlepszego kumpla. Lecz najpierw sam musiał się uratować.

Mocniej ścisnął pręt. Już nie zamierzał się poddać, ale wysiłek kosztował go zbyt wiele. Wartki nurt obrócił Maksa, który wprawdzie nie wypuścił z ręki stalowej sztaby, ale unosił się teraz na brzuchu z twarzą w wodzie i nie mógł oddychać.

Nagle - tak szybko, że Gordon ledwie zdążył to sobie uświadomić - prąd wody uderzył w jego plecak, wciąż przytroczony do piersi, i gwałtownie

wyrzucił chłopca w górę. Max błyskawicznie obrócił się i upadł na wyścieloną słomą podłogę klatki, do której prętów przed chwilą przywierał.

Leżał nieruchomo, nie zważając na kłujące źdźbła słomy. Całe ciało miał posiniaczone, ale żył. Monotonny szum wody wydawał mu się kołysanką - kojącą lęk i obiecującą wytchnienie wyczerpanemu organizmowi. Słyszał jeszcze inny dźwięk, którego jednak nie pojmował - uparte, desperackie skrobanie.

Wtem w jego głowie rozbrzmiał głośno i wyraźnie dzwonek alarmowy. Max musiał się ogrzać i coś zjeść. Jego ciało rozpaczliwie potrzebowało cukru i węglowodanów. Gruba warstwa słomy wydzielala stęchły zwierzęcy odór, lecz chłopiec najchętniej zagrzebałby się w niej z rozkoszą i zasnął. Jednak nie uległ tej pokusie, tylko przymusił obolałe, drżące ciało do powstania i rozpiął plecak. W środku wszystko pozostało suche. Zanurzył dłonie głębiej i odszukał baton czekoladowy, który tam wcześniej schował. Rozerwał zębami opakowanie i wsunął baton do ust. Zuł suszone owoce i orzechy oblane czekoladą; wciąż jeszcze trzął się z osłabienia, ale był niewiarygodnie szczęśliwy, czując, jak do jego żołądka wsącza się potężna dawka energii. Wyjął z plecaka suche ubranie, ale najpierw musiał przywrócić

właściwe krążenie krwi i rozetrzeć skórę, żeby się rozgrzać. Przy skalnej ścianie za drzwiami klatki leżała sterta zawiązanych worków. Pchnął drzwi klatki, ale okazały się zaryglowane. Sięgnął między prętami, lecz zasuwka zardzewiała w wilgotnym powietrzu i zacięła się. Szarpnął jej rączkę,

jednak nawet nie drgnęła. Gdyby spróbował uderzyć ją kantem dłoni, rozbiłby sobie rękę. Zdjął jeden z przemoczonych butów, położył go na ryglu i dopiero wtedy rąbnął weń pięścią.

W tym momencie zdał sobie sprawę, skąd pochodzi ten odgłos skrobania.

Niedźwiedź polarny stał na tylnych łapach po drugiej stronie lodowej ściany i drapał w nią z furją, aby dostać się do Maksa. Żadne pręty klatki nie oddzielały chłopca od zwierza, który błyskawicznie rozorywał potężnymi pazurami grubą na pół metra ścianę lodu.

Max wciąż jeszcze był osłabiony, lecz lęk sprawił, że uderzył w oporny rygiel z całą siłą, na jaką potrafił się zdobyć. Impet ciosu przebiegł mu przez nadgarstek i przedramię aż do barku, ale w ten sposób wyprowadził naprawdę mocne uderzenie.

Tymczasem niedźwiedź wydrapał w lodowej ścianie dziurę wystarczająco dużą, by mógł wsadzić w nią łapę. Zwierz stękał i paraskał, zadowolony, że jego wysiłki się powiodły i za chwilę dopadnie swojego obiadu. Max również stękał, waląc w przerdzewiałą zasuwę.

Teraz już czuł woń drapieżcy, który gwałtownie wydychał kłęby pary. Zwierz wycofał się z otworu na kilka sekund i wydrapał więcej lodu, a gdy jego tylne łapy znalazły lepsze oparcie, znowu wgramolił się do dziury niczym olbrzymi pluszowy niedźwiadek i zaczął się przez nią przeciskać.

Max poczuł, że rygiel ustępuje. Krzyknął najgłośniejszym głosem, jaki mógł, i rąbnął ponownie, wkładając w to uderzenie całą siłę. To wystarczyło. Naparł ramieniem na drzwi klatki i upadł po drugiej stronie.

Tymczasem niedźwiedź, rozpryskując okruchy lodu, przedarł się przez wyrwę w lodowym murze jak kaskader w filmie akcji. Potknął się, opadł na cztery łapy i ruszył na Maksa.

- Nie tym razem! Nie tym razem!! - wrzasnął do niego Gordon i zaśmiał się szaleńczo, gdy rozwścieczone zwierzę przywarło do wzmocnionych żelazną blachą drzwi klatki, które przed sekundą zdążył zamknąć. Osunął się na ziemię zaledwie dwa metry od warczącego z furią niedźwiedzia, powtarzając jak mantrę jedyne słowa, jakie jego umysł był w stanie sformułować: - Nie tym razem. Nie, nie tym razem. Nie, dziękuję, ale nie tym razem. Nie jestem dzisiaj w menu.

Strach w końcu go opuścił, ale zimno wciąż dawało mu się we znaki. Czuł się wycieńczony jak jeszcze nigdy w życiu. Zadrzał i zalała go fala ulgi, a w oczach zakręciły się łzy. Był przerażony i zdesperowany. Nie powinien się wstydzić, że jest ludzką istotą. Bezbronną ludzką istotą.

„Tato, och, tato, tak okropnie się bałem” - załkał, nie mogąc powstrzymać szlochu wstrząsającego jego ciałem.

Przeżyta przed chwilą groza musiała się jakoś rozładować i znalazła ujście we łzach.

Max wziął kilka głębokich oddechów, które pozwoliły mu się opanować. Wysmarkał się i splunął, a potem westchnął. Czuł się już dobrze. Naprawdę czuł się dobrze! Ale jakże żałośnie musiał wyglądać. Wyczerpany, siedzący na zimnej kamiennej podłodze ze spodenkami spuszczoneymi do połowy, bez jednego buta, ze źdźbłami cuchnącej słomy w zmierzwionych włosach i sinym ciałem pokrytym gęsią skórką. A tuż obok przerażający niedźwiedź polarny wciąż miał ochotę zjeść go na obiad.

W uszach ciągle jeszcze świdrował go ból wywołany szaleńczym wpływem lodowatym podziemnym strumieniem, tłumiący szum pędzącej wody oraz krótkie, ostre pochrząkiwania i warknięcia niedźwiedzia. Wolał nawet, że tak było. W tej chwili potrzebował właśnie odrobiny ciszy i spokoju.

375

Max wziął jeden z pustych worków i natarł szorstką jutą całe ciało. Musiał się rozgrzać, odzyskać naturalną ciepłotę. W końcu krążenie krwi powróciło i poczuł kłujące ciarki, jakby wbijano mu w skórę igły i pinezki, lecz po chwili ogarnęło go miłe ciepło. Ubierając się, pochłaniał każdy okruszek jedzenia, jaki udało mu się znaleźć w plecaku, a potem pożarł jeszcze nadgniłe czipsy z furgonetki Bobby'ego i popił je wodą z butelki. Wreszcie powoli dochodził do siebie. Jego adidasy nadal były wilgotne, ale suche skarpetki i ubranie sprawiły, że poczuł się dwakroć lepiej - choć biorąc pod uwagę jego stan, nie było to aż tak wspaniałe, jak brzmiało.

Rozejrzał się wokół i doszedł do wniosku, że olbrzymie pomieszczenie, w którym się znajdował, ma charakter bardziej funkcjonalny i przypomina wielką halę magazynową. Ponad dwadzieścia pustych stalowych klatek stało pod ścianą, przy której wciąż przechadzał się niedźwiedź polarny. Były tam też jakieś nieczynne maszyny, drewniane palety, wózek widłowy oraz worki wypełnione solą.

Max zrozumiał, dlaczego rany i zadrapania tak go pieką. Widocznie wsypywano tę sól do sadzawki białego niedźwiedzia. Po chwili dostrzegł także drogę wyjścia! Pomędzy pustymi klatkami wznosił się mechaniczny dźwig. Jego otwarta platforma była wystarczająco duża, by wtoczyć na nią

wózek widłowy. Niewątpliwie używano go do zwożenia na dół ciężarów, takich jak te maszyny i worki.

Raptem usłyszał dźwięk dochodzący z klatki tuż za dźwigiem. Był cichy, ledwo słyszalny i z trudem przebijał się przez łoskot wody, która wpadała w ciemną czeluść gdzieś dalej, poza polem widzenia Maksa. Chłopiec zorientował się, że ktoś słabym głosem wzywa pomocy.

- Sayid?! - zawołał.

Minął pędem parę pustych klatek i dotarł do tej, z której dobiegały jęki. Była zamknięta, a na jej pokrytej słomą podłodze

376

tuż przy prętach leżał skulony człowiek o twarzy okropnie posiniaczonej, zarośniętej i brudnej. Dostrzegł chłopca i uniósł ręce w błagalnym geście.

- Max - wyszeptał ochryple.

Gordon zatrzymał się przed klatką. Doznany szok sprawił, że przez moment poczuł się bezradny. Tym więźniem leżącym w porwanym i poplamionym zaschniętą krwią ubraniu był An-gelo Farentino.

Tiszenko nigdy nie musiał osobiście stosować fizycznej przemocy - zawsze robili to za niego inni. W skalnych jaskiniach i korytarzach ukrytych we wnętrzu góry Cytadeli miał do dyspozycji niewielką, ale oddaną grupę uzbrojonych strażników. Pochodzili oni głównie z jego rodzinnych stron i byli uciekinierami, którzy znaleźli schronienie u potężnego potentata. Podobnie jak ich ojcowie ci zabójcy należeli do klanu *vucari*, czyli ludzi-wilków wzbudzających powszechny strach nie tylko wskutek ludzkich przesądów, lecz także z powodu upodobania jego członków do brutalnej przemocy. Zaszczyceni przynależnością do tej

grupy - będącej w istocie małą prywatną armią - wykonywali bez pytania wszystkie rozkazy Tiszenki. I właśnie przed chwilą jeden z nich uderzył Rekinia Twarz w brzuch kolbą pistoletu maszynowego.

Chłopak upadł ciężko na podłogę i leżał teraz skulony przy ścianie, oszołomiony z bólu i zaskoczenia. Służył Tiszence wiernie od niemal ośmiu lat, czyli odkąd ten człowiek ze spaloną twarzą zabrał go wraz z jego gangiem z ulic wschodniego Berlina i przekształcił dzieciaki w zabójców. Rekinia Twarz dobrze zapracował na swą przerażającą reputację, lecz teraz twardsi i brutalniejsi od niego mężczyźni zamierzali go skatować.

- Ten medalion jest bezwartościowy! To tylko kamień, zwykły kamień! Zabala z pewnością nie zginął z powodu jakiegoś tandetnego świecidełka! - syknął wściekle Tiszenko.

377

- Ale właśnie to zabrałem dziewczynie. Niczego innego przy sobie nie miała - wykrztusił Rekinia Twarz.

Rozpaczliwie usiłował zrozumieć, czemu sprawy zniecka przybrały dla niego fatalny obrót. W chwili gdy tylko sekundy dzieliły go od śmierci, ocalał za sprawą Maksa Gordona, gdyż do pokoju wszedł jeden z naukowców i oznajmił:

- Ktoś był w skalnej grocie. Czujniki termiczne wskazują, że dostał się tam przez szyb wentylacyjny.

Tiszenko dotknął przycisku na konsoli. Zabłyśnięty ekran i ukazała się na nim rozjarzona na czerwono niewyraźna ludzka sylwetka. Poruszała się powoli, a gorące obszary jej ciała - głowa, oczy i brzuch - pałały

jaśniejszym blaskiem. To rozmazane czerwone widmo, wyraźnie widoczne na błękitnym tle mroźnej atmosfery lodowej jaskini, było niewątpliwie intruzem.

- A gdzie jest teraz? - spytał naukowiec Tiszenko, gdy pulsujący na czerwono kształt wtopił się w otoczenie i zniknął.
- Wszedł do wody.

Tiszenko nie mógł uwierzyć, że ktokolwiek by się na to zdecydował, i przez moment nie mógł zebrać myśli. Lecz wnet wszystko pojął.

- On jest przy klatkach - rzekł.

To zdanie zabrzmiało jak rozkaz, więc uzbrojeni mężczyźni natychmiast wybiegli z pokoju. Na dole nie zainstalowano żadnych detektorów termograficznych, gdyż nie było takiej potrzeby. Jedyne jego prywatna kolekcja zamrożonych zwierząt wymagała utrzymywania stałej niskiej temperatury.

Jeden uzbrojony strażnik pozostał w pomieszczeniu. Stał nad Rekinią Twarzą z wycelowanym w niego pistoletem maszynowym, gotowy oddać krótką zabójczą serię.

- Nie zabijaj go - polecił Tiszenko. - Jeszcze nie teraz.

Max otrząsnął się z szoku. To nie mógł być ten sam człowiek, któremu niegdyś wraz z ojcem bezgranicznie ufał.

378

- Max, proszę, pomóż mi. Zostało niewiele czasu - wymamrotał Farentino. - Wiem, że z pewnością mnie nienawidzisz, ale teraz Tiszenko zamierza...
- Zamknij się! - rzucił szorstko chłopiec. W głowie kłębiły mu się

dziesiątki pytań, ale wiedział, że nie ma czasu, by je wszystkie zadać.

„Nie rozpraszaaj się! - powiedział sobie w duchu. - Skup się na tym, co najważniejsze!”.

- Gdzie Sayid? Gdzie jest mój przyjaciel? - zapytał nagle. Farentino potrząsnął głową, chcąc odzyskać jasność umysłu.
- Kto taki? Nie znam go.

- To mój kumpel. Ma czternaście lat, jest ranny i oni go tu sprowadzili.

- Skąd mam wiedzieć, gdzie on jest? Max, mniejsza o niego. Wkrótce wydarzy się straszliwa katastrofa.

Chłopiec odwrócił się od Farentina, który w rozpaczy wyciągnął do niego błagalnie ręce między prętami klatki.

- Max, Max, mój chłopcze... Rozumiem cię, naprawdę rozumiem. Wysłuchaj mnie, proszę... wysłuchaj... Widziałem się z twoim ojcem!

Gordon błyskawicznie odwrócił się do tego nędznego człeczyny, sięgnął przez pręty, chwycił go za przód koszuli i przyciągnął bliżej, aż Farentino skrzywił się z bólu.

- Kłamiesz! Mój ojciec by cię załatwił! Zabiłby cię na miejscu! - zawołał i pchnął mężczyznę na śmierdzącą słomę.

Trząsł się z wściekłości. To jakiś obłąd. Nie obchodziło go, w co Farentino się wplątał. Musiał odnaleźć Sayida.

- Wysłał mnie do niego człowiek, który stoi za tym wszystkim - powiedział Włoch. - Odkąd znalazłeś się w Pirenejach, sądził, że działasz na zlecenie swego ojca. Musiałem pojechać do Toma Gordona, aby się upewnić, że to nieprawda.

Max wrósł w ziemię. Zaciskał pięści, a nogi drżały mu pod wpływem adrenaliny. Pragnął ukarać tego nędznika, ale zdawał

379

sobie sprawę, że Farentino jest w żalonym stanie i nie zasługuje nawet na pogardę. Wiedział, iż nie zdobędzie się na użycie wobec niego przemocy. Gdyby to zrobił, czyż sam nie stałby się bezmyślnym zbirem owładniętym żądzą zemsty? Bił się z myślami przez kilka sekund, które jednak dla niego wlokły się w nieskończoność. Naprawdę chciał ukarać Farentina; być może odezwały się w nim pierwotne instynkty. W końcu potrząsnął głową.

- Nie będę sobie brudził tobą rąk, Angelo. Zostawię cię, żebyś tu zgnił.

Farentino wiedział, że musi się przebić przez gniew chłopaka. Zaczął szeptać pospiesznie, jakby zdradzał wielki sekret. To zmusiło Maksa do skupienia się na jego słowach, gdyż nie chciał opuścić jakiejś istotnej informacji.

- Twój ojciec wiele lat temu, jeszcze zanim się urodziłeś, do wiedział się o tym miejscu. Należał do zespołu... Posłuchaj mnie, Max... musisz mnie posłuchać, ponieważ twój ojciec coś mi powiedział. Powiedział mi coś.

Zaskoczony chłopiec zawahał się i ujrzał, iż Farentino odprężył się nieco z ulgi, że przykuł jego uwagę. Włoch znów począł chaotycznie wyrzucać z siebie słowa syczące jak wartki potok:

- Prądy telluryczne, naturalne fale elektromagnetyczne tworzą sieć energetyczną leżącą pod powierzchnią ziemi, przypomi

nającą cienkie pęknięcia w jej skorupie.

Max zrozumiał. Ojciec wytłumaczył mu to kiedyś, gdy ich kompas sfiksował. Można mierzyć te elektromagnetyczne prądy w różnych punktach świata. Wielkie koncerny wykorzystują wyniki pomiarów owych przepływów energii do rozpoznawania zmian elektrycznych w skorupie ziemskiej w celu zlokalizowania złóż ropy naftowej i uskoków tektonicznych oraz do przeprowadzania rozmaitych innych poszukiwań - od zbiorników wód geotermalnych do podziemnych wulkanów. Te silne prądy wpływają na zmiany pogody oraz elektryczność atmosferyczną

380

i wywołują potężne burze. Jeszcze w dziewiętnastym wieku Amerykanie wykorzystywali je w swojej sieci telegraficznej.

- Wszystko mi jedno, Angelo. - Max wzruszył ramionami. - To mnie przerasta. Nie mogę ocalić tego miejsca ani ciebie - ale mogę uratować mojego kumpla.

Znowu odwrócił się do Włocha plecami. Wiedział, że gdzieś we wnętrzu tej góry więziono Sayida Khalifa, i zamierzał poświęcić wszystkie swoje siły, aby go oswobodzić.

Farentino krzyknął za nim:

- Ten szaleniec zamierza wywołać eksplozję, która zniszczy Genewę, jezioro i Centrum Badań Nuklearnych! Max, zatrzymaj się! Fala uderzeniowa i powódź zmiotą wszystko od tego miejsca aż do Paryża! Za kilka godzin ta góra oraz połowa Alp znikną z powierzchni ziemi!

Farentino miał rację. Zostało zaledwie kilka godzin. Max wiedział, że

czas ucieka. Zaczął działać zbyt późno. Nie wiedział nawet, gdzie jest Sayid - nie mówiąc już o tym, że nie miał pojęcia, jak go uwolnić.

Zamierzał zostawić Włocha jego własnemu losowi. Przez moment poczuł niepokój z powodu własnej bezwzględności. Przecież wydawał tego człowieka na pewną śmierć.

Winda towarowa ożyła z szumem prądu. Widocznie ktoś na którymś z wyższych poziomów nacisnął guzik, żeby ją przywołać. Max podbiegł do wznoszącej się powoli platformy. Zaledwie metr dzielił go od uchwycenia jej spodniej konstrukcji. W ten sposób wjedzie na górę niepostrzeżenie.

I wówczas rozpaczliwy krzyk Farentina przeszył go jak cios włóczni.

- Wiem, jak umarła twoja matka! Wiem, jak naprawdę umarła!

27

To zastopowało Gordona. Zbyt późno zdecydował się na ucieczkę. Platforma opuściła się powoli i ujrzał czterech mężczyzn mierzących do niego z pistoletów maszynowych. Nie miał dokąd uciec, ale słowa Włocha oszołomiły go i na moment wybiły mu z głowy chęć walki. Wiedział, że matka zmarła w lasach deszczowych Ameryki Środkowej podczas ekspedycji badawczej, gdy miał jedenaście lat. Być może Farentino zełgał i powiedział cokolwiek, byle tylko uzyskać pomoc Maksa.

Strażnicy Tiszenki chwycili chłopca mocno i platforma dźwigu ruszyła w górę. Max odzyskał czujność i rozejrzał się za czymś, co pomogłoby mu w ucieczce. Najpierw jednak musiał się upewnić, że Angelo Farentino nie

skłamał.

Doszedł do wniosku, że dźwig towarowy jest prymitywnym urządzeniem używanym jedynie na tych niższych poziomach. Na każdym mijanym piętrze widział tunele wydrążone w skale, biegnące w różnych kierunkach. Na dole niewątpliwie znajdują się generatory, elektrownia oraz główny magazyn.

Dźwig się zatrzymał. Strażnicy ściągnęli chłopca z platformy, popędzili przez lepiej utrzymane pomieszczenie i wepchnęli do eleganckiej nowoczesnej kabiny. Kilka chwil później drzwi tej ekspresowej windy otworzyły się i Max stanął oko w oko z Ti-szenką. Poczł skurcz w żołądku. Spoglądał na niego przysadzisty mężczyzna o skórze łuskowatej jak u jaszczurki. Połowa jego

382

twarży była pokryta włosami gęstymi jak futro. Max uświłdowił sobie, że to naprawdę jest futro, przystrzyżone krótko przy pomarszczonej skórze. Opanował uczucie obrzydzenia i nie dał nic po sobie poznać.

Uzbrojony strażnik stał nad Rekinią Twarzą. Max od wielu godzin nie widział nieba i teraz spojrzł przez olbrzymie okno wycięte w skalnej ścianie. Ocenil, że znajduje się na wysokości co najmniej trzech tysięcy metrów. Granatowe aksamitne niebo było usiane migotliwymi gwiazdami. Wydawały się tak bliskie, że wystarczyło niemal wyciągnąć rękę i chwycić je w garść. Lecz uwagę chłopca przyciągnęła warstwa ciemnych chmur około tysiąca metrów poniżej. Gdyby stał na ziemi, ich czarny dywan przesłoniłby mu nocne niebo, ale stąd widział, że wirują i zderzają się ze sobą, przesywane niewielkimi błyskawicami.

Tiszenko spostrzegł zafascynowanie chłopca.

- To tylko pokaz zawilgoconych ogni sztucznych w porównaniu z apokaliptycznym zjawiskiem, które wydarzy się już za kilka godzin - powiedział. - Nazywam się Fedir Tiszenko. Gdzie jest kamień Zabali? - zapytał, ciskając w Maksa bezużytecznym wisiorkiem.

A więc Rekinia Twarz wpakował się przez to w tarapaty, uświadomił sobie chłopiec.

- Gdzie jest mój przyjaciel? - odparował odważnie.

- Nie żyje.

To niemożliwe. Max nie uwierzy w śmierć Sayida, dopóki nie zobaczy jego ciała. Ten potwór próbuje go nastraszyć.

- Szkoda - rzucił, nie okazując uczuć, które nim miały. -On miał ten kamień.

- Och, to śmiały blef, młodzieńcze. Już od jakiegoś czasu uprzykrzasz mi życie i wystawiasz moją cierpliwość na próbę. Przeszukaliśmy tego chłopca i niczego nie znaleźliśmy. Natomiast ty stanowisz poważne zagrożenie dla moich planów. To ty masz ten kamień! Jestem tego pewien. "W przeciwnym razie nie

383

byłoby cię tutaj. Zjawileś się, żeby podjąć **daremną próbę** powstrzymania mnie.

- Jestem tu z powodu mojego przyjaciela.

- Ale jeszcze kilka godzin temu nie wiedziałeś, że on **jest tutaj**. Kto ci o tym powiedział?

- Nikt — skłamał Max i spojrzał na Rekinią Twarz. - Widziałem, jak ten twój zbir zabił Peaches.
- Wcale mnie to nie dziwi. Bezwzględna ambicja doprowadza ludzi do popełniania najdziwniejszych czynów. I co dalej?
- Podążyłem za nim aż do tego miejsca.
- On kłamie! Nikt mnie nie śledził, przysięgam! - zawołał Rekinią Twarz, desperacko walcząc o ocalenie życia.

Max uśmiechnął się z politowaniem.

- Bredzisz, stary - powiedział. - Mógłbym cię śledzić w śród'ku nocy z zamkniętymi oczami. Doprowadziłeś mnie aż tutaj. Znalazłem furgonetkę Bobby'ego Morrella, a w niej wskazówkę, którą zostawił dla mnie mój przyjaciel.

Rozejrzał się, starając się zarejestrować jak najwięcej szczegółów. Wokół na ścianach znajdowały się wielkie ekrany przekazujące obrazy satelitarne z przestrzeni kosmicznej. Znad Atlantyku nadciągały sztormy, nad Europą przemieszczały się zimne fronty niżowe, a w kierunku Alp zmierzał wirujący, podobny do węża olbrzymi kłęb chmur. To właśnie oczekiwana potworna burza, która rozszaleje się tutaj już za kilka godzin.

Max napiął mięśnie i odwrócił się do oszpeconego mężczyzny.

- Twoi ludzie okazali się niedbali, a nawet wręcz nieudolni. Jeśli sądzisz, że będziesz panował nad światem czy jaki tam inny obłąkany plan uknułeś, to się grubo mylisz. Trzeba było wynająć lepszy personel.

Przez chwilę Tiszenko milczał osłupiały, a potem zrobił coś, czego nie uczynił chyba jeszcze nigdy - roześmiał się.

- No dobrze, nie brak ci odwagi. I nie wzdrygnąłeś się

z obrzydzenia, kiedy zobaczyłeś moją twarz. To mi się podoba.

384

Coś ci pokażę - rzekł i kiwnięciem palca przywołał Maksa do siebie.

Gordon wszedł głębiej do sali, która miała kształt litery L. Jedną ze ścian zajmował ekran ukazujący interaktywną mapę Europy. Z łatwością odnalazł miejsce, w którym się znajdował. Mapę pokrywała krzyżująca się sieć czerwonych żyłek.

- Wiesz, co to jest? Czym są te linie? - zapytał go Tiszenko. Max nie wiedział, lecz nietrudno przyszło mu to odgadnąć.
- To prądy telluryczne.
 - Bardzo dobrze - pochwalił go mężczyzna. - Patrz.

Nacisnął jakiś guzik i w rogu ekranu pojawił się elektroniczny zegar, mielący szybko sekundy, minuty i godziny. Przewidywana trasa burzy wiodła prosto nad Jezioro Genewskie. Przy Cytadeli zjawił się na mapie wielki graficzny błysk, a snop złocistego światła wniknął w trójwymiarowy wizerunek góry. Uderzeniowa fala energii runęła w dół, a potem pomknęła wzdłuż czerwonych żyłek. Okoliczne góry zapadły się, jezioro eksplodowało jak napęczniony wodą balon, a wszystkie czerwone linie na mapie rozjarzyły się intensywnym blaskiem. Wydawało się, jakby pod ziemią wybuchło słońce. Czarna plama zniszczeń rozprzestrzeniła się na całą Europę.

Max uświadomił sobie, że ogląda symulację całkowitego spustoszenia olbrzymiego obszaru, i doznał wstrząsu, którego już nie potrafił ukryć.

- Widzę, że teraz już rozumiesz. Zabala wiedział o geofizycznym niebezpieczeństwie zagrażającym temu miejscu. Szwajcaria

jest niestabilnym rejonem i jego pierwotna przepowiednia nie ma się spełniła przed dwudziestu kilku laty. Jednak w centrum badań nuklearnych wzmocniono tunele i tamtejsi naukowcy uznali, że są bezpieczni. Zabalę zaś wyśmiano. Zaoferowałem im miliardy dolarów, żeby włączyli do swojego programu mój plan odrodzenia świata, lecz europejskie rządy nie odważyły się przyjąć mojej propozycji.

385

•"Więc w tym **wszystkim chodzi o zemstę i masowe ludobójstwo** ? - rzekł Max.

•Nie. Chodzi o zemstę i gigantyczne odrodzenie życia. Pojmujesz tę metamorfozę? Przemianę człowieka w zwierzę?

Max zdobył się jedynie na skinienie głową. Jego własna mroczna domena zmiany kształtu ciała wciąż pozostawała dla niego tajemnicą.

Tiszenko wycelował pilota w przeciwną ścianę, która okazała się ekranem ochronnym. Stalowa płyta przesunęła się na bok. Mężczyzna, gestykulując, z dumą wszedł na wąski pomost. Max nigdy dotąd nie widział niczego podobnego do tego olbrzymiego rozedrganego źródła światła, leżącego co najmniej sto metrów pod nimi. Był to kolczasty kryształ, mający dwadzieścia metrów średnicy i trzydzieści wysokości. Jego postrzępione ramiona przypominały miniaturowe pociski rakietowe wycelowane na zewnątrz we wszystkie kierunki.

- Wytworzyła go geotermalna woda we wnętrzu góry. Od kryłem go, kiedy po raz pierwszy rozpocząłem drążenie tuneli. Wewnątrz tego kryształu jest życie.

Max spojrział w dół. Rury kablowe koloru miedzi - każda o grubości mniej więcej dziesięciu metrów - przytwierdzały kryształ do dwakroć grubszych dźwigarów mocujących go do skalnej ściany.

Z tyłu, setki metrów za olbrzymim tunelem o rozmiarach katedry, znajdował się jakiś gigantyczny wiatrak sięgający do sklepienia komory. Chłopiec uznał go za wielki generator, którego obroty łopat będą dostarczać kryształowi energii i rozświetlać go.

- Już przed wielu laty Japończycy udoskonalili metodę magazynowania DNA w kryształach, wykorzystując ciekły azot. Zamrażali wszystkie komórki do stanu głębokiej hibernacji. A potem eksperyment zastopowano, z obawy przed tym, jakie formy życia mógłby wytworzyć. Lecz ja się tego nie bałem.

386

Tiszenko podszedł bliżej do Maksa, który skurczył palce nóg w adidasach, wyobrażając sobie, że wbija je w podłogę, aby powstrzymać się przed zrobieniem kroku wstecz.

- Odrodzenie. Znalazłem ludzi podobnych do mnie, również pogardzanych i odrzuconych przez tak zwane cywilizowane społeczeństwo. Znalazłem ludzi emocjonalnie zranionych oraz takich, którzy starali się ze wszystkich sił zapanować nad demonami w ich mózgach. A także takich o zdeformowanych ciałach - ludzi, których poskręcane członki budziły w innych strach i odrazę, ale obdarzonych umysłami ostrymi i precyzyjnymi jak skalpel. Dałem tym ludziom wszystko, czego chcieli. Kupiłem ich inteligencję, zapewniłem sobie ich lojalność i zaoferowałem

im w niedalekiej przyszłości nowe życie. Tobie również postanowiłem zaoferować nowe życie - zakończył Tiszenko cichym głosem, zdjęty podziwem dla własnej potęgi.

Zanim Max zdołał cokolwiek odpowiedzieć, dwaj uzbrojeni mężczyźni chwycili go i posadzili w fotelu. Jakiś człowiek w białym kitlu, którego chłopiec przedtem nie zauważył, wystąpił naprzód, niosąc niewielkie naczynie w kształcie nerki oraz strzykawkę. Gordon szamotał się, szarpał i wrywał, ale jeden strażnik trzymał jego głowę w żelaznym uścisku, a dwaj inni przycisnęli mu ręce i nogi do fotela. Igła wbiła się w żyłę w zagłębieniu łokciowym ręki i ubrany na biało mężczyzna pobrał krew do fiolki, a następnie starannie przylepił w miejscu wkłucia niewielki plaster opatrunkowy.

Tiszenko skinął głową i jego ludzie odstepili. Max odkopnął fotel przez pokój. Pragnął wycofać się z powrotem w kąt, gdzie mógł się skuteczniej obronić przed prześladowcami.

- Śmierć jest tylko mostem pomiędzy dwoma światami. Po myśl, co ci ofiarowuję - rzekł Tiszenko. Rozsunął drzwi z matowego szkła. Za nimi stała szafka mieszcząca kilkadziesiąt ampułek z jakąś bursztynową cieczą. - Twoja krew zostanie zmieszana z krwią jednego ze zwierząt, których krew przechowujemy,

387

a następnie umieszczona głęboko wewnątrz tego kryształu. Naukowcy z CERN-u uważają, że za pomocą akceleratora cząstek elementarnych zdołają znaleźć ten moment, ten ułamek sekundy tuż po powstaniu naszego wszechświata. Jutro o świcie ładunek elektryczny z piorunów

uderzy w mój własny, potężniejszy akcelerator cząstek. I wówczas odtworzę akt stworzenia. Nie mikrosekundę, która nastąpiła tuż po nim, lecz dokładnie ten moment. A wiele lat później z tego kryształu wyłoni się życie naładowane energią, które na drodze ewolucji doprowadzi do powstania istoty będącej połączeniem człowieka i zwierzęcia. Cechami charakterystycznymi tego gatunku egzystującego w nowym świecie będą inteligencja i siła fizyczna. To jest symbiogeneza, czyli stworzenie nowej formy życia poprzez połączenie odmiennych gatunków - powiedział Tiszenko i dodał z uśmiechem: - Zbudowałem nową arkę Noego.

- Widziałem stare uszkodzone beczki w browarze, którym mimo to brakowało mniej klepek niż tobie - rzekł Max, nie potrafiąc ukryć niedowierzania. - Jesteś stuknięty.

Obłęd Tiszenki był tym bardziej przerażający, że ten człowiek władał olbrzymią potęgą i dysponował niewyobrażalnie wielkimi środkami. Nawet jeśli naukowcy w CERN-ie zostali ostrzeżeni, nic to nie da, gdyż centrum badań nuklearnych leży na drodze podziemnej niszczącej fali energii. Gdy Tiszenko wyzwoli ową energię, roztrzaska ona i rozerwie na kawałki cały obiekt oraz wszystko, co leży za nim.

Potentat popatrzył ze współczuciem na Maksa, który wycofał się w kąt pokoju i przykucnął, jakby gotował się do walki o życie.

- Umrzesz, Max, zanim rozpętam tę burzę. Do tego czasu będziesz już martwy. Obiecuję ci to.

Max musiał odnaleźć Sayida. Poza tym Angelo Farentino dostarczył mu jeszcze jeden powód, by przeżyć - pragnął poznać prawdę o śmierci matki.

Wiedział, że nie ma żadnej szansy, o ile nie zyska na czasie. Nigdy nie należy się poddawać.

- Wybrałeś niewłaściwą porę dla zastosowania w praktyce teorii Wielkiego Wybuchu - oznajmił.
- Skąd wiesz? - spytał nieufnie Tiszenko.
- Ponieważ widziałem kamień Zabali i koniunkcję planet. Właśnie tego szukasz, prawda? No cóż, to wszystko ma się wydarzyć jutro, dwadzieścia sześć minut przed południem.
- I sądzisz, że ci uwierzę?
- Z pewnością. Mam ten kamień - odparł Max.

Wiedział, że musi oddać Tiszence ostatni istotny element przepowiedni Zabali, ponieważ jeśli nie zyska kilku dodatkowych godzin, nie zdąży opracować żadnego planu ratunku.

Mężczyzna mimo woli zadrżał z radosnego oczekiwania. Nareszcie poznał dokładny moment urzeczywistnienia swego ambitnego projektu.

Wyciągnął pomarszczoną rękę po kamień.

Z miejsca, gdzie siedzieli Corentin i Thierry, odległe góry wyglądały na bardziej wyniosłe niż zwykle. Błyskawice niemal bez przerwy rozświetlały ciemne niebo, a grzmoty piorunów rozbrzmiewały w dolinach głośnym echem. Kiedy nadeszła burza, szczyty stały się niewidoczne. Sophie w szpitalu ubłagała ich, aby pomogli Maksowi. Powiedziała, że jeśli tego nie zrobią, wydarzy się katastrofa, która spowoduje olbrzymie zniszczenia. A Max usiłuje uratować swego przyjaciela. Przecież Corentin i Thierry również uczyniliby to dla siebie nawzajem, nieprawdaż?

Corentin zadzwonił do swego starego kumpla, byłego żołnierza legii

cudzoziemskiej, który obecnie pracował w DGSE: Direction Generale de la Securite Exterieur - czyli we francuskich tajnych służbach. Niecierpliwość Corentina sprawiła, że przedarł się przez zwykłe biurokratyczne przeszkody i formalności.

389

Rządy państw zaczęły się niepokoić. Elementy łamigłówek zaczynały się układać w spójną całość. Środowiska intelektualistów i francuska policja współpracowały ze sobą, zaś uczonych zmuszono do rozważenia możliwego scenariusza katastrofy. Ponieważ jednak w gruncie rzeczy nikt nie potrafił zaproponować żadnego sensownego sposobu działania, Corentin i Thierry opracowali własny plan.

Wokół samochodu zacinał deszcz ze śniegiem. Corentin otworzył bagażnik i wyciągnął dwie duże torby podręczne. Obaj mężczyźni wyjęli z nich niezbędny ekwipunek: liny, sprzęt wspinaczkowy, dwa pistolety maszynowe Heckler & Koch z laserowymi celownikami, zapasowe magazynki, granaty, flary, radiotelefony, kamizelki kuloodporne oraz gogle noktowizyjne. Gdy obwiesili się tym wszystkim i ruszyli w drogę, wyglądali jak juczne zwierzęta. Thierry prowadził. Nie mogli zniszczyć przeszkód zagrażających przejściu, gdyż to zaalarmowałyby ludzi Tiszenci, więc podobnie jak Max musieli znaleźć inny sposób dostania się do twierdzy. Znajomy Corentina z francuskich tajnych służb poinformował go o klanie *vucari*. Na świecie bywają prywatne armie, ale goście, którzy uważali się za tak wyjątkowych, że nazywali samych siebie ludźmi-wilkami, zasługiwali na nauczkę, która sprowadzi ich na ziemię i sprawi, że się opamiętają. Reputacja to jedno, a prowadzenie interesów to coś

zupełnie innego. Corentinowi i Thierry'emu zajmie to trochę czasu, ale wejdą po zboczu okrężną drogą, znajdą jakieś wejście do wnętrza góry i zetną się z wrogiem.

To ładnie brzmiało i obiecywało ekscytującą przygodę.

Max wydobył kamień z obcasa buta i po kilku minutach specjaliści Tiszenki potwierdzili, że rzeczywiście jest to ostatni, decydujący element sekretu Zabali.

- A co oznaczają wyryte na nim liczby? - zapytał Tiszenko.

Chłopiec potrząsnął głową.

390

- Nie mam pojęcia. To część jakiegoś szyfru, ale nie potrafię go złamać.

Przyznanie się Maksa do własnej ignorancji przekonało potentata. Te liczby nie miały już znaczenia - liczył się tylko czas.

Dał znak swoim ludziom, żeby dźwignęli Rekinia Twarz na nogi, i oznajmił:

- Dam jednemu z was szansę szybkiej śmierci. Drugi zostanie rozszarpany przez wilki.

Krótkim korytarzem wyszli na zewnątrz, na śnieg. Pędzone wiatrem ciemne chmury mknęły między lodowymi szczelinami i wierzchołkami gór. Mroźne powietrze kąsało Maksa w twarz, ale zadrżał nie z powodu zimnego podmuchu.

Max i Rekinia Twarz stanęli na stalowym dźwigarze. Pięć metrów pod nimi skowyczało i warczało ze dwadzieścia wilków, które celowo

wygłodzono.

- Wygląda na to, że wam dwóm było przeznaczone, żebyście wciąż ze sobą walczyli - powiedział Tiszenko.

Skinął na podwładnych, którzy chwycili obydwu chłopców i założyli ciężką bransoletę z nierdzewnej stali na przegub lewej ręki Maksa, a drugą na prawy nadgarstek Rekiniej Twarzy. Łączył je dwumetrowy łańcuch. Max był już wcześniej przykuty do Aladfara, ale ten chłopak wyglądał na o wiele groźniejszą bestię niż drapieżny tygrys.

- Macie dziesięć minut na ucieczkę, zanim ruszę za wami w pościg z moimi wygłodzonymi wilkami. Dwa kilometry stąd na krawędzi tej skarpy znajdziecie dwa czekany. Jeśli pożyjecie wystarczająco długo, żeby tam dotrzeć, oczekuję, że jeden z was zabije drugiego, a następnie ja albo moje wilki uśmiercimy zwy cięzcę. - Tiszenko spojrział na zegarek. - Proponuję, żebyście już zaczęli biec.

Max rzucił się naprzód, a pół sekundy po nim wystartował Rekinia Twarz.

391

Dwaj chłopcy gnali po twardo ubitym śniegu, pokrytym kilkucentymetrową warstwą świeżego puchu. Byli zależni od siebie - przynajmniej dopóki nie znajdą czekanów. Max nie chciał nawet myśleć o tym, co się wówczas stanie.

Przez mroczne niebo przetaczały się dudniące grzmoty, lecz na razie pioruny pozostawały uwięzione wewnątrz chmur. Pomimo nocnych ciemności było na tyle widno, że dostrzegli rozległą dolinę oraz górę z

poszarpanymi szponami nagiej skały, sięgającymi w dół, w widmową biel śniegu. Max chwycił w garść rozkołysany łańcuch i napiął go, żeby łatwiej było im biec. Po chwili Rekinia Twarz zrobił to samo. Max zerknął na niego. Ze zdeformowanych ust chłopaka bryzgała ślina. Czy był wystarczająco silny i wysportowany, by utrzymać takie tempo przez dwa kilometry?

Wydawało się, że Rekinia Twarz odczytał jego myśli.

- Zabiję cię, Max - rzucił. - Nie zamierzam skończyć jako przynęta dla wilków, więc lepiej nie zwalniam.
- Martw się o siebie - wydyszał Gordon.
- On zaatakuje z powietrza. Właśnie w ten sposób poluje. Musimy uważać - burknął Rekinia Twarz.

Max obejrzał się za siebie. Chmura przesłaniała niemal wszystko oprócz tysięczmetrowego fragmentu stoku Cytadeli pod nimi. Po lewej w jakiejś dziurze w zboczu, będącej prawdopodobnie wejściem do jaskini, migotało nagle światło, natomiast paręset metrów wyżej sterczał szeroki jęzor lśniącej czarnej skały i tam pałał inny blask pochodzący z wnętrza góry. Raptem chłopiec ujrzał olbrzymiego nietoperza, który zatrzepotał na wietrze, opadł na moment, a potem wzbił się w powietrze i wyrównał lot. To była czarnoskrzydła paralotnia.

Gordon potknął się i upadł, pociągając za sobą towarzysza ucieczki. Zwalił się na zmrożony śnieg, szorstki jak papier ścierny. Rekinia Twarz wstał błyskawicznie, złapał Maksa za przód kurtki, potrząsnął nim gniewnie i dźwignął go na nogi.

- Wstawaj, durniu! Liczy się każda sekunda!

Obrzucili się nawzajem wściekłym wzrokiem, naciągnęli łańcuch i pobiegli dalej, napędzani rozpaczą. Samotny wilk zawył, wzywając stado na polowanie, i po chwili odpowiedział mu chór podobnych głosów. Bestie zostały spuszczone z uwięzi.

Przerażająca świadomość, że wilki wkrótce ich dopadną, dodała chłopcom energii. Lecz teraz Max wiedział już, iż Rekinia Twarz jest silny, skoro przed chwilą z łatwością podniósł go ze śniegu. Zastanawiał się, jak zdoła pokonać takiego groźnego przeciwnika.

Oddychali ciężko, ale miarowo, a ich kroki chrzęściły na śniegu niemal unisono, gdy biegli obaj jednakowym rytmem. Łzy wywołane mroźnym powietrzem zamazywały widok odległych terenów, ale odruchy Maksa funkcjonowały na najwyższych obrotach. Krew dudniła mu w uszach, lecz jego wyostrzone zmysły wychwytywały każdą zmianę kierunku wiatru, każdy wystający głaz oświetlony blaskiem błyskawic, które wyrwały się z chmur.

Usłyszał trzepotanie materiału na wietrze. Odważył się ponownie obejrzeć przez ramię i ledwie uwierzył własnym oczom. Uskrzydłony myśliwy nadlatywał na nich i był już o niecałe pięćdziesiąt metrów. Tiszenko miał na twarzy maskę z wilczej skóry. Błyskawica oświetliła go ostrym blaskiem i zaśniła na grocie strzały w napiętym łuku.

Max zarył obcasami w śnieg, szarpnął oburącz łańcuch i pociągnął Rekinia Twarz w dół, na ziemię. Zaskoczony i zaszokowany chłopak stęknął, a jego wściekła mina świadczyła, że zamierza obrzucić Gordona przekleństwami.

Strzała z przerażającym odgłosem wbiła się dokładnie w miejsce, w

którym znalazłby się Rekinia Twarz, gdyby zrobił jeszcze dwa kroki. Gordon wiedział, że każdy myśliwy mierzy do ruchomego celu z wyprzedzeniem, a jego instynktowne działanie ocaliło życie drugiemu uciekinierowi.

393

Rekinia Twarz również zdawał sobie z tego sprawę i podziękował mu skinieniem głowy. Obaj zerwali się znów na nogi i pognali ile sił zygzakiem, żeby trudniej w nich było trafić. Zanim Tiszenko wypuści następną strzałę, będzie musiał wyrównać lot i zająć odpowiednią pozycję. Jednak im dłużej kluczyli i lawirowali, tym dłuższą drogę pokonywali - i tym szybciej zbliżały się milczące okrutne wilki.

Max koncentrował się na biegu, lecz mimo to słyszał świst powietrza rozcinanego skrzydłami za każdym razem, gdy Tiszenko zmieniał kurs. Płótno trzepotało cicho w nocnym powietrzu, gdy osłona pilota stawiała opór wiatrowi, co zdradzało położenie paralotni. Gnali teraz przez płaski ośnieżony odcinek, a w świetle błyskawicy, która nagle rozdarła chmury, ujrzeli przed sobą w odległości mniej więcej pół kilometra nierówny, wyboisty teren. Kanciaste grudy zmrożonego śniegu i lodu, szczeliny oraz ostre poszarpane skały sprawiały, że ten obszar, położony na skraju lodowca, był niebezpieczny i niestabilny. Dwieście metrów na prawo od tego miejsca powiewał porzecz na tyczce. To tam z pewnością leżały czekany.

Zbocze góry opadało stromo w dół, zasłaniając dolinę po lewej, gdzie co chwila błyskawice rozświetlały mrok. Pioruny uderzały tylko w ten ograniczony obszar i Max dostrzegł tam wierzchołki czegoś, co wyglądało

jak dwie wieże, które ściągały wyładowania elektryczne. Nie miał jednak czasu zastanawiać się, czym są, ponieważ Tiszenko całkowicie zmienił kurs, położył parolotnię w skręt, a potem wyrównał lot, znalazł odpowiednią pozycję i przygotowywał się do kolejnego ataku.

Tym razem żadna błyskawica nie rozjaśniła ciemności i Max wyteżył słuch, chcąc pochwycić jakiś dźwięk, który mógłby go uprzedzić o nadlatującej strzale. Jednak wyłoniła się z mroku bez ostrzeżenia i z upiornym świstem przecięła powietrze tuż przed jego twarzą. Parę centymetrów różnicy, a przeszłyby chłopcu kark i wbiła się w pierś.

394

Rekinia Twarz był równie przerażony jak Gordon, gdyż strzała wryła się w ziemię pomiędzy nimi. Nie przeszkadzało mu, że Max omal nie zginął, ale gdyby upadł nieżywy, sam nie mógłby dalej biec i znalazłby się na łasce nadciągających szybko wilków. Miał gdzieś, że Tiszenko zabije Maksa, lecz nie chciał zostać rozerwany na strzępy przez drapieżne bestie, będąc przykutym łańcuchem do zakrwawionej martwej przynęty.

Od proporca dzieliło ich jeszcze pięćdziesiąt metrów. Rekinia Twarz liczył, że jeśli Tiszenko znów wystrzeli z łuku, szczęście dopisze mu po raz trzeci.

Obydwaj równocześnie dostrzegli czekany. Ich zakrzywione ząbkowane ostrza były wbite w twarde zmrożony śnieg, a nad powierzchnię wystawały płaskie obuchy odbijające odpryski rozproszonego światła błyskawic rozświetlających ciemne chmury. Czekany miały jednakową długość - sięgały od stopy do uda -i były ostro zakończone. Max i Rekinia Twarz wyszarpnęli je z podłoża.

Wilki były już w odległości zaledwie osiemdziesięciu metrów i rozdzieliły się na kilka mniejszych grup. Te bardzo inteligentne i śmiałe drapieżniki z pewnością nie przełkną się dwóch nastolatków z czekanami.

- Na lewo! - krzyknął Max i pociągnął łańcuch tak mocno, że obaj skręcili ostro ku wznoszącemu się stokowi.

Tiszenko potrzebował przeciwnego wiatru, by zachować dotychczasowy pęd. Była zimna, wietrzna noc bez ciepłych prądów wznoszących, które mogłyby podtrzymać jego paralotnię. Żaden zdrowy na umyśle człowiek nie wzbiłby się w niebo w tych warunkach. Aby tego dokonać, Tiszenko musiał dysponować wyjątkowo dobrym wyposażeniem; być może nawet posiadał specjalnie zaprojektowany sprzęt wojskowy. W każdym razie Max uznał, że wie, w jaki sposób może go powstrzymać.

Burza z piorunami przewalała się w odległych górach, lecz w tej dolinie wiał dość równy wiatr. Właśnie dzięki temu

395

Tiszenko mógł sterować paralotnią tak precyzyjnie. Jednakże przy grani, gdzie poszarpane formacje skalne utrudniały ocenę odległości, niewątpliwie występują turbulencje, których obawiają się wszyscy piloci, gdyż potężny wir powietrza może powodować gwałtowne porywy wichury. W takich warunkach nawet Tiszenko nie zapanuje nad swoją paralotnią.

Nierówności terenu i lodowe szczeliny spowolniły pościg wilków, a gdy obydwaj chłopcy przeskoczyli równocześnie przez jedną z węższych rozpadlin, Max poczuł, że wiatr się zmienił. Śnieżny puch uniósł się w

górze i zawirował.

- Biegnij dalej! Przeskocz te szczeliny! - zawołał, widząc, że stadko kilku wilków znalazło drogę przez zbocze i zbliża się do nich z innego kierunku.

„Gdzie się podział ten skrzydlaty myśliwy?”.

- Wypatruj Tiszenki! - wrzasnął, gnając najszybciej jak po trafił.

Rekinia Twarz zerknął za siebie. Max napiął łańcuch tak mocno, jak zdołał, i kierował ich biegiem, podczas gdy jego towarzysz ucieczki oglądał się wstecz.

Tiszenko obserwował obydwu chłopców. Ujrzał jak zwykle wyszczerzone ze złości nierówne zęby, gdy Rekinia Twarz popatrzył w górę na niego. Natomiast Max Gordon okazał się sprytniejszy, niż przypuszczał. Niewątpliwie wyczuł niebezpieczeństwo grożące parolotni w pobliżu grani. Przy przeszywanych błyskawicami chmurach, wiszących kilkaset metrów nad głową oraz porywistym wietrze, wiejącym wzdłuż skalnej ściany, Tiszenko nie mógł w żaden sposób skutecznie sterować wielkim skrzydłem. Takie powietrzne wiry spowodują upadek parolotni, już teraz miotanej silnymi podmuchami. A wówczas to on będzie leżał ranny na lodowcu, czekając na nadejście wilków.

„To tylko rozrywka” - powiedział sobie.

Musiał się zająć znacznie poważniejszymi sprawami. Zamierzał wrócić do wnętrza góry, wykorzystać tę straszliwą burzę i sprowadzić na ziemię największą potęgę niebios.

- Odleciał - sapnął Rekinia Twarz.

Nadal biegli, lecz teraz dwa różne stada wilków próbowały odciąć im drogę ucieczki, a rozmigotane światłocienie wywołane przez szalejącą burzę płatały figle ich wzrokowi. Max nie był pewien, czy ciemne sylwetki na polu lodowym to rzeczywiście wilki.

- Zaczekaj! - powiedział.

Jeśli stracą głowę i nie wymyślą jakiegoś sposobu ucieczki przed okrążającymi ich wilczymi zagonami - będzie po nich. Usłyszeli ciche skomlenia, jakby drapieźniki porozumiewały się ze sobą. Max kochał wilki i zawsze je podziwiał; wiedział, że rzadko atakują ludzi. Lecz teraz musieli stawić czoło wygłodniałemu stadu wilków hodowanych przez szaleńca, który znalazł metody zapanowania nad nimi.

Starał się zidentyfikować dominujące osobniki spośród samców i samic. Nie zawsze biegną one na czele stada; dość często pozostawiają ten obowiązek dorosłym zwierzętom stojącym niżej w hierarchii grupy. Lecz dominująca para kieruje zachowaniem pozostałych wilków. Wiedział, że atak nastąpi - ale który wilk da do niego sygnał?

Żaden z chłopców nie wiedział jednak, że teren, na którym się znajdowali, przypomina mierzeję. Byli otoczeni z trzech stron przez wilki, a przed sobą mieli następną lodową szczelinę. Max pociągnął za łańcuch i skierował ich bliżej ku otchłani.

Miała około trzech metrów szerokości, czyli rozmiar starej wysłużonej kanapy w świetlicy liceum w Dartmoor. Lecz w nocnych ciemnościach owa ziejąca rozpadlina wydawała się ogromna jak Wielki Kanion, a grunt pod nogami był śliski. Będą musieli przeskoczyć ją razem. Jeśli któryś z nich straci równowagę...

- Musimy przeskoczyć tę dziurę - i to bez pudła.

397

- Jest za szeroka! - odparł Rekinia Twarz, mierząc ją wzrokiem.
- Mamy jakiś wybór? Weźmiemy rozbieg - rzekł Max i odwrócił się twarzą do wilków, które podkradały się coraz bliżej.

Potrzebowali kilkumetrowego odcinka, żeby nabrać rozpędu, a tymczasem wilki były w odległości dwudziestu metrów i wciąż się zbliżały. Ile z nich zdołają zabić, jeżeli zostaną zaatakowani? Max wątpił, czy uda mu się uśmiercić choćby jednego. Wilki obalają swoją ofiarę na ziemię i rzucają się jej do gardła, a gdy tylko upadnie, zaczynają ją pożerać. Zaś te wilki były głodne.

Nagle rozległo się wściekłe warknięcie. Jeden z podporządkowanych samców ruszył na chłopców, a wtedy olbrzymi wilk rzucił się na niego, gryząc i odpychając bezczelnego młodziaka. Zaatakowany osobnik zaskowyczał i natychmiast przyjął uległą postawę.

„A więc to jest przywódca stada” - stwierdził Max. Olbrzymi wilk z nastawionymi uszami i wysoko podniesionym ogonem śmiało wpatrywał się w ludzi.

Stada połączyły się i utworzyły półkole. Wilki wiedziały, że dopadły już swoje ofiary, i pozostała tylko kwestia, który z nich pierwszy przystąpi do mordowania. Max ze wzrokiem utkwionym w przywódcy stada uniósł w górę czekan niczym trofeum i zawył najgłośniejszym, jak potrafił. W ten sposób przydał sobie większego znaczenia i śmiało oznajmił swoją obecność. Wilki się zawahały. Nawet Rekinia Twarz, słysząc wycie swego przymusowego kompana, poczuł, że ze strachu krew zastygła mu w

żyłach.

- Teraz! - zawołał Max.

Odwrócili się i pobiegli pędem ku szczelinie. Wilki rzuciły się za nimi. Max pierwszy odbił się od krawędzi; Rekinia Twarz, cięższy i nieco powolniejszy, skoczył tuż za nim. Gordon pracował w locie nogami jak podczas skoku w dal na zawodach sportowych. Gdy jego stopy dotknęły skraju rozpadliny po drugiej stronie, natychmiast rzucił się szczupakiem w przód i wbił cze-

398

kan w ziemię. Ledwie zdążył się w ten sposób zaasekurować, poczuł, że łańcuch pociągnął mu rękę do tyłu. Skręcił się, krzycząc z bólu, gdyż jego ramię zostało niemal wyrwane ze stawu. Rekinia Twarz wrzeszczał głośno. Nie udało mu się przeskoczyć szczeliny i zdołał tylko zahaczyć czekan o jej krawędź.

- Pomóż mi! Pomóż mi! Szybko!

Max wbił obcasy w bryłę lodu, obrócił się i przyciągnął lewą rękę do piersi, utrzymując na niej ciężar ciała Rekiniej Twarzy. Wilki za wszelką cenę chciały dopaść swoje ofiary; sapały i warczały na drugim końcu rozpadliny, lecz były wobec niej bezradne.

Dojrzał Rekinią Twarz tuż pod krawędzią; chłopak prawą, skutą łańcuchem ręką wczepiał się w śnieg, a lewą trzymał się pętli czekana. Gordon przeniósł jego ciężar na swoje nogi, napinając mięśnie ud. Trzymając towarzysza, był teraz odwrócony twarzą do wilków. Niemal czuł ich oddechy i wydało mu się, że jednak mogą go dosięgnąć.

Gdyby nie dźwigał z potwornym wysiłkiem Rekiniej Twarzy, zaczęłyby z

nich drwić i zaśmiałyby się im prosto w pyski. Jednak jeśli nie wciągnie go na brzeg rozpadliny, lód wkrótce nie wytrzyma, a Maksowi nie będzie już do śmiechu.

Znalazł solidniejsze oparcie i wyrwał z ziemi własny czekan. Tymczasem Rekinia Twarz zdołał wciągnąć się trochę wyżej. Lecz Max widział, że po twarzy spływają mu strugi potu. To zabawne, że starał się ocalić życie chłopakowi, który gdy tylko zostanie uratowany, spróbuje go zamordować. Czy nie lepiej po prostu rąbnąć czekanem w łańcuch i przeciąć go? Podniósł rękę i na ostrzu zaśniło światło błyskawicy.

Rekinia Twarz nie dostanie niczego za darmo.

- Gdzie jest mój przyjaciel? Co Tiszenko z nim zrobił? - zapytał.
- Idź do diabła! - rzucił opryskliwie chłopak.
- Ty pójdziesz pierwszy! - zawołał Max i opuścił rękę, jakby zamierzał odciąć łańcuch.

399

- Nie! Zaczekaj, powiem ci! Trzyma go w tunelu nad klatkami! Przysięgam, że to prawda!

Gordon uświadomił sobie, że musiał być blisko Sayida, gdy Angelo Farentino wypowiadał te niepokojące słowa o śmierci mamy.

- No dobrze, posłuchaj - rzekł. - Nie wiem, czy te wilki są wystarczająco głodne, żeby zaryzykowały skok przez tę szczelinę, ale jeśli nie wpadniemy w panikę i będziemy ze sobą współpracować, możemy wrócić do Cytadeli i powstrzymać Tiszenkę. Rozumiesz? Nie masz wobec niego żadnego długu wdzięczności.

Rekinia Twarz skinął głową, zastanawiając się, jak długo jeszcze Max

utrzyma jego ciężar.

Gordon pchnął swój czekan w dół w kierunku Rekiniej Twarzy, który chwycił go skutą ręką. Teraz obaj mieli takie samo oparcie i Max cofnął się znad krawędzi, napiął mięśnie i zaczął wyciągać towarzysza z przepaści. Po chwili Rekinia Twarz był już bezpieczny.

Kosztowało ich to wiele wysiłku i obaj osunęli się na śnieg. Wilki biegały tam i z powrotem, próbując znaleźć jakiś sposób dostania się do nich. Tylko wielki samiec stał nieruchomo pośród kłębiącego się stada. Max trwał na czworakach i wpatrywał się w niego. Nad tą przepaścią połączyło ich milczące porozumienie, którego natury nie potrafiłby wyjaśnić. Przywódca stada odwrócił się i odbiegł wielkimi susami. Przez chwilę pozostałe wilki były zdezorientowane i nie wiedziały, co mają robić, ale chwilę potem podążyły za nim. Przebiegłszy pięćdziesiąt metrów, olbrzymi wilk odwrócił łeb, popatrzył na Maksa, podniósł pysk i zawył. Pozostałe zwierzęta przyłączyły się do tego zawołania. W ułamku sekundy chłopiec przypomniał sobie wycie syren w mieście Łzy Aniołów.

To było ostrzeżenie.

Rekinia Twarz zaatakował.

28

Czekan przeciął ze świstem powietrze pomiędzy nimi. Max nie zdążył podnieść własnego, żeby zablokować uderzenie. Zamiast tego machnął luźnym łańcuchem i zaczepił nim o ząbkowane ostrze broni przeciwnika. Szarpnął i czekan wbił się w lód o szerokość dłoni od jego uda. To była

podła podstępna napaść. Odturlał się na bok, znowu z całych sił szarpnął łańcuch, przyciągnął Rekinia Twarz do siebie, pchnął go ramieniem w pierś i uniósł swój czekan.

Obydwaj równocześnie zadali ciosy. Max, trzymając oburącz trzonek czekana, odbił potężne uderzenie, ale nie mógł skutecznie zaatakować, gdyż przeszkodził mu łańcuch. Rekinia Twarz był szybki i natychmiast wydobył się z opresji. Machnął czekanem w lewo i w prawo, po czym natarł na Gordona jak gladiator. Stalowe główce rąbnęły o siebie z hukiem, a ostrze zazgrzytało o ostrze. Zasłona, uderzenie, pchnięcie z wypadem, atak, kopnięcie i cios ramieniem.

Walczyli na śmierć i życie.

Obydwaj dyszeli ciężko i wrzeszczeli, żeby dodać sobie sił. Ten zażarty pojedynek nie mógł potrwać więcej niż kilka minut. To była walka wręcz w swej najbardziej brutalnej postaci.

Poruszali się po polu lodowym, omijając wąskie szczeliny, obracając się, błyskawicznie zmieniając pozycje, uderzając i parując ciosy, niczym w jakimś osobliwym balecie śmierci. Max uchylił się przed szerokim zamaszystym ciosem wymierzonym

401

w jego plecy, chwycił trzonek czekana przeciwnika i pociągnął mocno, a potem uderzył wyższego od siebie chłopaka czubkiem głowy w podbródek. Coś trzasnęło i Rekinie Twarz splunął krwią, a potem upadł, pociągając Maksa za sobą- Z powodu łańcucha żaden z nich nie mógł uciec. Przeciwnik przeturlał się i pchnął Gordona, który poczuł, że ziemia usufięła mu się spod nóg. Zsuwał się szybko w kolejną lodową szczelinę.

Teraz to Re-kinia Twarz musiał utrzymać jego ciężar. Krawędź rozpadliny odkruszyła się i zjechała w dół. Krzyknął cicho- Nie mógł zamachnąć się czekaniem i wbić go w lód. Teraz trzymał go tylko łańcuch. Wczepił się dłonią w lodowato zimna krawędź skały. Rekinia Twarz nie zawahał się nawet przez chwilę. Max ujrzał błysk w jego oczach wpatrzonych w przegub jego ręki. Jeżeli odrąbie Gordonowi dłoń, zabije go, ale sam się uratuje. Czekan świsnął w powietrzu jak topór kata. Max przekręcił rękę. Ostrze uderzyło w skałę, przecinając łańcuch, i chłopiec zsunął się po lodowej ścianie w ciemną czeluść.

Ostatnim widokiem, jaki zobaczył, był przeciwnik przyglądający mu się znad krawędzi rozpadliny. Ujrzał jego zakrwawione usta, przypominające paszczę rekina, który właśnie pożarł swą ofiarę - a wyżej kłęby czarnych chmur rozrywanych błyskawicami.

„2 Była to wizja piekła i upadłego anioła. >* „Jonasz i wieloryb” -
błysnęła mu szalona myśl.

Połknęła go wszechogarniająca ciemność; jej oddech był zimny i wilgotny jak w najgłębszym grobie. Po kilku metrach lodowa ściana stała się bardziej stroma i śliska i zagarnęła Maksa w głąb rozpadliny. Odwrócił czekan, ścisnął go mocno pod pachą, odchylił się do tyłu i usłyszał głośny zgrzyt, gdy zębate ostrze ryło lód. To była przerażająca szalona jazda. Spadał w przepaść, na której dnie może leżą kamienie, o które pogruchoce kości. Ścisnął razem pięty. Zwalniał - był tego pewien. Olbrzymia czarna lodowa zjeżdżalnia wypłaszczała się.

Znajdował się teraz w pozycji niemal poziomej i wprawdzie wciąż

jeszcze się ześlizgiwał, ale bardzo powoli. W końcu uderzył w ścianę lodu, jęknął ze strachu i zaskoczenia, podciągnął kolana i potoczył się po ziemi. Przez chwilę leżał nieruchomo, a potem ostrożnie wyciągnął rękę i obmacał grunt wokół siebie. Nie wyczuł żadnej pochyłości. Być może spadł na dno tej niewielkiej szczeliny albo na lodową półkę. Poczł się pewniej i wstał, opierając plecy o zimną ścianę. Gdzieś nad jego głową trzasnął piorun i chociaż nie widział nieba, światło błyskawicy dotarło aż tutaj. Zorientował się, że trafił do prawdziwego labiryntu. Brudne lodowe ściany, zanieczyszczone pyłem i kamieniami, wiły się chaotycznie, jakby jakaś potężna siła niedbale rozerwała lód. Był na dnie rozpadliny, która na szczęście miała tylko około pięćdziesięciu metrów głębokości. Dotknął ściany lodu, jakby wymacywał drogę w mroku. Stał jednak bez ruchu, czekając, aż jego wzrok przywyknie do ciemności. Wyczuł dłonią nikiłe drżenie, jakiś rodzaj wibracji.

Zamknął oczy, by jego umysł szybciej zaadaptował się do otaczającego go mroku. Koncentrował się na każdym skrzypnięciu przemieszczającego się wolno lodu, na słabych migotaniach odbitego światła pod powiekami. Lubił ciemność i ufał, że instynkt przeprowadzi go przez nią. Po chwili dołączyły zmysły. Gdzieś z przodu po lewej usłyszał powolne, regularne kapanie wody. Może był tam lodowy występ topniejący pod wpływem ciepłego powietrza. Z oddali dobiegało mechaniczne buczenie, ale kręte ściany rozległej komory nie pozwalały ustalić jego źródła. I było coś jeszcze. Jakiś zapach.

Wilki i niedźwiedzie potrafią wywęszyć swoje ofiary z odległości wielu kilometrów. Człowiek nie może się z nimi równać, ale teraz zmysły Maksa przekroczyły te ludzkie ograniczenia. Nikła woń powiedziała mu, że

zwierzęta są o parę kilometrów od niego. Piżmowy zapach niedźwiedzia i ostry odór wilków wniknęły do jego umysłu i wskazały mu kierunek. Były to te

403

zwierzęta, z którymi już się zetknął - stado wilków i niedźwiedź polarny. Ale w jaki sposób ich zapachy do niego dotarły? Być może poprzez jakiś system podziemnych jaskiń. W tej chwili to nie miało znaczenia. Wyostrzone zmysły powiadomiły go, że zwierzęta wróciły już do swoich zagród we wnętrzu góry oraz że istnieje droga wyjścia z tej rozpadliny.

Ruszył naprzód, stawiając kroki powoli i ostrożnie. Dopiero gdy odbite światło przeniknęło z góry do tego podziemnego świata, przyspieszył kroku.

Po dwóch godzinach drogi naturalnym korytarzem znalazł się w kompletnie ciemnym miejscu, gdzie nie docierał nawet blask błyskawic. Miał teraz wokół siebie skalne ściany, a nie lód. Wyraźnie słyszał niskie buczenie, zaś wibracje stały się o wiele silniejsze. Nasłuchiwał przez chwilę, a potem powiódł dłonią po ścianie i wyczuł, że zakręca. Posuwał się powoli, trzymając się blisko niej, i ujrzał wąskie pasmo światła. Podążył za nim już śmielej, pewny, że nie upadnie. Nad sobą zobaczył tunel wydrążony w skale, która musiała być niższą partią zbocza góry. Tunel miał co najmniej trzy metry wysokości i tyleż szerokości; oświetlały go przyćmione lampy. Korzystając z ich blasku, wspiał się do niego. Wyczuł ruch powietrza - to właśnie dzięki temu dotarły do niego nikłe zapachy zwierząt.

Przez tunel biegł jakiś rurociąg. Max mógłby łatwo stracić orientację, ale

był pewien, że wieże, które wcześniej widział, znajdują się po prawej stronie, a góra - po lewej. Uświadomił sobie, że nie jest to rurociąg naftowy, tylko wysokoenergetyczny kabel, którym Tiszenko zamierzał przesłać potężną dawkę energii do zagadkowego urządzenia zainstalowanego we wnętrzu góry.

Nagle chłopiec usłyszał ciche skrzypienie. Spozrzegł nad głową stalową szynę wyciągu krzesełkowego używanego najwidoczniej przez ludzi kontrolujących to miejsce. Niebawem z mrocznej głębi tunelu wypełzło powoli metalowe krzeselko

404

podobne do narciarskich, lecz dwustronne, aby obserwator mógł poruszać się w obydwu kierunkach. Max wdrapał się na rurę i gdy krzeselko się zbliżyło, usiadł w nim. Po prawej stronie była umieszczona niewielka dźwignia przypominająca lewarek skrzyni biegów. Gordon pchnął ją do przodu i krzeselko przyspieszyło. Był pewien, że ten tunel doprowadzi go do jakiejś platformy załadunkowej. Rozsiadł się wygodniej i wyobraził sobie, że jest motorniczym londyńskiego metra.

Obok umieszczono kask ochronny dla kierującego krzeselkiem, jednak Max go nie włożył. Postanowił chociaż raz zaryzykować.

Okno pomieszczenia nastawni wychodziło na halę załadunkową i Max dostrzegł siedzącego w środku człowieka w białym kitlu. Gdy krzeselko wyłoniło się z tunelu, chłopiec zeskoczył niepostrzeżenie i ruszył powoli wzdłuż dudniącej rury.

Wiedział, że we wnętrzu góry muszą znajdować się co najmniej dwa pionowe szyby wind, a nad nim i pod nim jest wiele pięter tej podziemnej

budowli. Wspiął się na niewielki pomost, a potem schylony podbiegł do drzwi z wymalowanym zygzakowatym znakiem wskazującym zejście schodami; przez cały czas czujnie obserwował ubranego na biało człowieka w nastawni. Nagle mężczyzna podniósł głowę. Max zastygł w miejscu, ponieważ ruch przyciąga wzrok. Mężczyzna spojrzał prosto na niego i odwrócił się. Gordon nie mógł w to uwierzyć, ale po chwili uświadomił sobie, że na pomoście jest ciemniej niż w nastawni, a poza tym w szybach okna odbija się światło -i oba te czynniki utrudniają dostrzeżenie czegokolwiek na zewnątrz. Jednak doznał szoku, ujrzawszy na ściennym zegarze w nastawni, że dochodzi już dziesiąta rano. Wydawało się, jakby burza porwała ze sobą kilka godzin. Miał mniej czasu, niż sądził, bowiem Tiszenko zamierzał rozsadzić górę na kawałki o 11:34.

405

Schody ze wzmocnionej stali były przyśrubowane do skalnej ściany i przypominały zejście pożarowe. Pod kamiennym sufitem na wysokości siedemdziesięciu kilku metrów wiły się niczym macki setki kabli. Max miał wrażenie, że znalazł się w gigantycznym kanale warsztatu naprawczego, pod futurystycznym wehikułem czasu. Kryształ, który Tiszenko mu pokazał, musiał być gdzieś tam w górze. Zbiegł jeszcze niżej, pokonując kolejną setkę stopni. Było tu ciemniej i ciszej. Na końcu korytarza dostrzegł windę towarową. Wzdłuż kamiennej ściany biegły dwie olbrzymie rury różnej grubości. Dotknął ich i stwierdził, że różnią się także temperaturą - cieplejsza z nich była lodowato zimna, ale nie pokryta szronem. Obydwie posiadały mierniki wskazujące stabilne ciśnienie.

Max zastanawiał się, co znajduje się na drugim końcu korytarza, gdzie mrok rozjaśniało pojedyncze źródło błękitnego światła. Jeżeli Rekinia Twarz nie skłamał i Sayid jest więziony na tym poziomie, z pewnością przebywa właśnie tam. Max był w rozterce. Wiedział, że winda zwiezie go na dół do Farentina, od którego uzyska informacje o swojej matce. Kogo ma wybrać najpierw? Wreszcie po krótkim wahaniu pobiegł ku niebieskiemu blaskowi.

- Sayid, słyszysz mnie? Sayid? Gdzie jesteś, stary?

Jego głos zabrzmiał głucho. Korytarz był w tym miejscu węższy i tłumił jego wołanie. Max nasłuchiwał przez dłuższą chwilę, lecz nikt mu nie odpowiedział. Pobiegł dalej. Powietrze zrobiło się nagle lodowate. Wstąpił w błękitny blask i zadrżał z zimna. To była lodowa grot. Mocniej ścisnął trzonek czekana i ruszył naprzód. Coś mu się tu nie podobało. Miał wrażenie, że ściany zamykają się wokół niego, blokując drogę wyjścia.

W tym momencie zobaczył Sayida.

I pojął, że jego najlepszy przyjaciel jest martwy.

Tiszenko wydał już ostatnie polecenia. Cytadeli strzegło dwudziestu jego najwierniejszych uzbrojonych bandytów, a mała sta-

rannie wyselekcjonowana grupka naukowców nadzorowała funkcjonowanie aparatury. Wszyscy oczekiwali z niemal fanatyczną żarliwością chwili, gdy potężna fala energii stworzy nowe życie. Dla wielu z nich stanowiło to ukoronowanie wieloletnich poświęceń w celu stworzenia naukowego cudu w tym miejscu, oddalonym od sztychającego z nich świata. Fedir Tiszenko naprawdę był dla nich boskim Wybrańcem.

Stał teraz samotnie w okratowanej sterowni na szczycie jednej z dwu specjalnie wybudowanych czterdziestometrowych wież, które Max dostrzegł z odległości trzech kilometrów od góry. Pioruny biły z trzaskiem w konstrukcję, lecz on był całkowicie bezpieczny wewnątrz stalowej klatki i prąd o wysokim napięciu nie mógł wyrządzić mu żadnej krzywdy. Było to jedyne miejsce, gdzie wartość pola elektrycznego wynosiła zero.

Pioruny spływały w dół przez nadprzewodzące cewki, które oplatały wieże. Każda cewka składała się z dziewięciu tysięcy zwojów o grubości jednej dziesiątej ludzkiego włosa. Naładowane kondensatory ciskały energię do podziemnej trzykilometrowej komory akceleratora wykutej w podstawie góry. Ładunki elektryczne tworzyły potężne źródło energii o napięciu wielu milionów woltów, upychając cząstki elementarne jak samochody na zatłoczonej autostradzie. Gdy podczas burzy zakipi wir kosmicznych wysokoenergetycznych cząstek o olbrzymiej mocy, które znajdują ujście w uderzeniu pioruna, Tiszenko skieruje jego energię do akceleratora. Efekt będzie taki, jakby wielki meblowóz wbił się całym pędem w uliczny korek.

I nastąpi wielki wybuch.

Sayid był zawieszony w bloku lodu, jak gdyby unosił się w morskiej głębinie. Oczy miał zamknięte, a usta nieco rozchylone i wyglądał, jakby spał. Na jego twarzy widniał grymas bólu. Być może tuż przed utratą przytomności próbował rozbić te wiążące go lodowe ściany.

Niewątpliwie to w tej komorze Tiszenko zamrażał zwierzęta. Do obniżenia temperatury potężnych przewodników ciepła w akceleratorze

cząstek elementarnych stosowano kriogeniczny gaz. I właśnie za pomocą tego gazu Sayid został powoli zamrożony na śmierć.

Max przycisnął twarz do tafli lodu. Cierpiał z powodu tego, że nie udało mu się uratować przyjaciela. Przypomniawszy sobie wszystkie szczegóły ich wspólnej podróży i wyrzucał sobie gorzko, że wciągnął Sayida w tę niebezpieczną aferę.

Nagle zalała go fala gwałtownego niepohamowanego gniewu. Zaczął raz za razem walić czekaniem w lód więżący Sayida. Lecz po chwili się opamiętał. W ten sposób tylko bezużytecznie tracił siły. Przeklął ten dziecinny napad złości. Gniew go oślepił i sprawił, że zapomniał o inteligencji i odwadze przyjaciela. Wiedział, że Sayid aż do końca wierzył w niego i był przekonany, że Max go ocali. Ręce miał przyciśnięte do lodowej ściany i Gordon spostrzegł słowa wypisane na jego lewej dłoni, nieco niewyraźne pod warstwą lodu, ale widoczne dzięki temu, że nakreślono je grubymi literami nieścieralnym czarnym tuszem.

„Utnij pazur niedźwiedzia”.

„Utnij pazur niedźwiedzia”? Max obracał to zdanie w głowie. Wiedział, że Sayid złamał kod i posługując się magicznym kwadratem rozszyfrował liczby wyryte na kryształach - i że w ostatnich chwilach przed śmiercią wierzył, iż przyjaciel go odnajdzie.

- Świetna robota, stary. Jesteś cholernym geniuszem. I przyrzekam, że cię tu nie zostawię. Zabiorę cię do domu, do mamy - mruknął Max.

Pazur niedźwiedzia? Gdzie? I jakiego niedźwiedzia? Polarnego czy tego zamrożonego? Nie potrafił tego rozgryźć, ale jeśli tak brzmi zaszyfrowane przesłanie Zabali, musi to być coś ważnego. Wspiął się za lodową klatkę

więżącą Sayida, po omacku

408

odszukał grubą rurę grzewczą i zakręcił zawór; wskazówka ciśnieniomierza opadła. Stał na niższej rurze, balansując, żeby utrzymać równowagę, oparł się plecami o kamienną ścianę i energicznie zamachnął się czekaniem.

Woda trysnęła z rozcięcia, omywając lód silnym strumieniem. Max przebił rurę ciepłowniczą dostarczającą geotermalną wodę z głębi ziemi. Wrzątek zaczął rozpuszczać lód i grocie wypełniły kłęby pary.

Dobiegły go odgłosy strzelaniny i stłumionych eksplozji. Zgasły światła i zapanowały kompletne ciemności, które po kilku sekundach rozjaśnił blady blask, gdy ruszył generator awaryjny.

Wewnątrz góry ktoś przypuścił atak. Max przyjrzał się topniejącemu powoli lodowi. Uwolnienie ciała Sayida zajmie jeszcze sporo czasu. W górze rozległo się jakieś dudnienie i huk, jakby zamykano drzwi automatyczne. Zwodniczo ciche odgłosy wystrzałów niosły się w dół szybem windy. To świadczyło, że walka przeniosła się dalej. Jeżeli w jej trakcie dojdzie do zniszczeń, które spowodują poważną awarię urządzeń Tiszenki, wszystko wewnątrz góry tak czy inaczej wyleci w powietrze -nawet bez skondensowanej energii pioruna.

A wówczas to miejsce stanie się grobem nie tylko dla Sayida, lecz również dla Maksa.

Gordon ociekał wilgocią, gdyż para przesiąkła przez jego ubranie. Gorący strumień wciąż tryskał pod ciśnieniem na lodowy blok, lecz ciało Sayida nie poruszyło się. Woda wylewała się korytarzem i spływała do

szybu windy. Max usłyszał czyjeś wołanie o pomoc i rozpoznał głos Farentina.

Winda nadal działała. Zjechał na poziom klatek i szybko zeskoczył z platformy. W jaskini zaczynały się gromadzić opary i dym z uszkodzonych machin. Uwięziony Farentino wrzeszczał, wyciągając ręce między prętami. Ujrawszy chłopca, zawołał:

- Max, Bogu dzięki! Wydostań mnie stąd! Pospiesz się. Słysząc strzelaninę. Ktoś atakuje Cytadelę!

409

Gordon rozejrzył się po pieczarze wyciosanej w skale. Wciąż jeszcze stała tu maszyna do drążenia tuneli. Może z jej pomocą zdołałby przebić się przez kamienną ścianę? Nie, to by za długo trwało. Poczul nagle nad sobą cały potworny ciężar góry. Wystarczy większa powódź czy eksplozja i wszystko runie mu na głowę. Korytarze i groty drążone przez ostatnie dwadzieścia lat osłabiły jej naturalną strukturę.

- Co się stało z moją matką? - rzucił zdecydowanym tonem.
- Opowiem ci wszystko, Max, ale najpierw musimy się stąd wynieść. Chyba to rozumiesz, co? Nie mamy ani chwili do stracenia. Chłopiec chwycił Farentina za rękę i zerwał mu z przegubu rolex.
- Co ty wyprawiasz? - krzyknął Włoch.

Gordon założył kosztowny zegarek. Była 10.46. Została mu niecała godzina, żeby zabrać stąd ciało Sayida i powstrzymać Ti-szenkę.

- Za pięć sekund rozwalę rygiel klatki niedźwiedzia polarnego. Nie będziesz miał dokąd uciec, ty draniu. Chcę wiedzieć, jak umarła moja matka.

- Już dobrze, powiem ci. Była w dżungli i wydarzyło się coś strasznego.
- Co?! - wrzasnął chłopiec.
- Nie wiem. Max, proszę, wypuść mnie.
- Mów, co się wtedy stało!
- Ton głosu Farentina się zmienił, a przygnębioną minę zastąpił gniewny, wyzywający grymas.
- Chcesz poznać tę obrzydliwą prawdę? Doskonale! Twój ojciec ją zostawił. Była chora, umierająca, a on uciekł.
- Kłamiesz!

Farentino wyczuł, że zyskał nad chłopcem emocjonalną przewagę, jakiej nikt dotąd nie zdobył.

- Umarła samotnie, Max, ponieważ twój ojciec wolał ocalić własną skórę!

410

- Ojciec nigdy by tego nie zrobił!
- Owszem, zrobił to i potem dręczyły go wyrzuty sumienia. Jak myślisz, dlaczego wysłał cię do tej szkoły z internatem! Dlaczego tak rzadko go widzisz? Dlaczego?! Ponieważ wie, że zabił twoją matkę!

Słowa Włocha przeszły serce Maksa jak sztylet mordercy.

- Czemu miałbym ci uwierzyć? - rzucił. - Zdradziłeś wszystkich, którzy ci ufali!

Farentino odpowiedział ciszej, gdyż czułe wspomnienia stopiły jego gniew.

- Ponieważ ją kochałem. Kochałem twoją matkę całym sercem. Ale ona nie chciała zostawić dla mnie twojego ojca.

Max nie mógł się poruszyć, jakby został sparaliżowany. Farentino delikatnie dotknął jego ramienia i powiedział łagodnym tonem:

- Proszę cię, Max, wypuść mnie. Obiecuję, że opowiem ci wszystko.

Gordon musiał się otrząsnąć z obezwładniającego odrętwienia, które go opanowało. Strzały zagrzechotały na jednym z wyższych poziomów. W powietrzu unosiła się woń prochu i kordytu, drażniąc oczy i gardło. To przywróciło Maksa do rzeczywistości. Przebiegł go dreszcz - nie z powodu zimnego powietrza, lecz chłodu w sercu.

Odwrócił się w stronę maszyn przy ścianie, wyciągnął z jednej z nich ciężki łańcuch holowniczy i przełożył go przez pręty klatki Farentina. Potem przetknął metalową sztabę przez koniec łańcucha, żeby go umocować.

Zataszczył drugi koniec łańcucha do windy. Ręczny włącznik dyndał w powietrzu. Max nacisnął guzik z napisem „W górę” i platforma zaczęła się podnosić. Zatrzymał ją, gdy znalazła się na wysokości jego głowy i zaczepił łańcuch o jej spód. Potem znów wcisnął ten sam przycisk i platforma ruszyła powoli w górę, napinając łańcuch

411

•Cofnij się! - krzyknął do Farentina, gdy zgrzytnął rozciągany metal. Kiedy łańcuch rozerwał pręty, z powrotem opuścił windę na wysokość głowy. Włoch chwiejnie wyszedł z klatki, lecz Max nie zamierzał mu pomóc, gdyż zaprzętało go coś innego. Nie widział powodu, aby uwięziony niedźwiedź polarny miał tutaj zginąć. Podbiegł do klatki, do której niedawno umknął przed rozwścieczonym zwierzęciem, odciągnął

zasuwę i zobaczył, że niedźwiedź wstał w swojej lodowatej sadzawce.

•Jazda! Pora na śniadanie! - zawołał do niego. - Tu na zewnątrz jest do zjedzenia mnóstwo złych ludzi!

Jego krzyk odniósł natychmiastowy skutek. Niedźwiedź zaczął gramolić się przez otwór w lodowym murze dzielącym obie klatki.

Tymczasem Farentino wdrapał się już na platformę windy. Gordon wskoczył tam również, mając niedźwiedzia piętnaście metrów za sobą. Chwycił włącznik i uruchomił windę, która zawiozła ich piętro wyżej.

- Musisz mi pomóc przy moim przyjacielu - powiedział do Farentina i wywlókł go z platformy.

Dobiegły ich głośniejsze teraz odgłosy strzelaniny, wybuchy granatów oraz krzyki rannych.

Farentino skulił się ze strachu i nie opierał się, gdy Gordon prowadził go zalany wodą korytarzem. Wcześniej chłopiec odesłał windę do miejsca, gdzie niedźwiedź będzie mógł się do niej wdrapać po skalnych występach. Zrobił wszystko, co mógł. „Utnij pazur niedźwiedzia”. Te słowa nie miały żadnego sensu! Chwycił Farentina za ramię i wciągnął go do ciemnego tunelu.

Wyglądało, jakby Sayid leżał niedbale na lodowej ławce. Reszta lodu stopniała. Woda wciąż tryskała z rury, lecz była już chłodniejsza.

Max ujął w dłonie twarz przyjaciela. Nie wyczuł pulsu na szyi. Wsunął rękę pod jego kurtkę i koszulkę; klatka piersiowa była lodowato zimna, a serce nie biło.

- On nie żyje - stwierdził rzeczowym tonem Farentino. - Za

bierajmy się stąd.

Gordon mocno ścisnął mężczyznę za ramię i ujrzał na jego twarzy grymas bólu.

- Wyjście jest za wąskie. Nie dam rady sam go zanieść - powiedział. - Weź go za nogi.

Gdzieś w pobliżu zabrzmiała eksplozja. Walka toczyła się niemal tuż koło nich. Farentino chwycił Sayida za nogi, a Gordonowi przypadła przeważająca część ciężaru przyjaciela. Minęli wolno windę i wyszli z korytarza.

Max delikatnie położył ciało Sayida na ziemi.

Z ciemnej jaskini wybiegły dwa stwory przypominające przybyszów z kosmosu. Były ubrane na czarno, miały gumowe twarze i wybałuszone oczy, a w rękach trzymały pistolety maszynowe. Cienkie promienie laserowych celowników przecięły mrok i spoczęły na piersi Farentina.

- Nie strzelajcie! - wrzasnął Włoch.

Corentin i Thierry ściągnęli z twarzy noktowizyjne gogle.

•Max! - zawołał Corentin. - Czy to ten chłopiec?

•Corentin! Skąd się...?

•Sophie nas poprosiła - powiedział Thierry. Zrzucił plecak i przyklęknął obok Corentina, który już badał Sayida. - Na zewnątrz jest mała armia złożona z francuskich i szwajcarskich oddziałów pomocniczych. Jak zwykle przybyli za późno. Sami sobie poradziliśmy.

- Ludzie-wilki! Raczej szczenięta - rzucił drwiąco Corentin.

Rozciął ubranie Sayida groźnie wyglądającym wojskowym nożem. Thierry wyjął ze swojego plecaka apteczkę polową. Nie wyglądali teraz na zdeterminowanych zawodowych żołnierzy, lecz na

doświadczonych sanitariuszy. Thierry przygotował strzykawkę.

- Adrenalina - wyjaśnił, widząc zaniepokojone spojrzenie Maksa.
- Uratuj go, Corentin - powiedział chłopiec błagalnym tonem.

413

Corentin umieścił dwie małe - wielkości łyżeczek - łopatki przenośnego zestawu reanimacyjnego po obu stronach klatki piersiowej Sayida, a Thierry wbił igłę w serce. Wciąż nie było pulsu.

- Teraz - powiedział Corentin.

Włączył urządzenie i przez ciało chłopca przeszedł wstrząs.

- No dalej, Sayid! Dasz radę! - zawołał błagalnie Max.
- On jest martwy. Traciecie tylko czas - rzekł Farentino. Corentin przeszył go spojrzeniem ostrym jak sztylet.

- Ten chłopak jest zimny jak lód. Dopóki nie będzie ciepły i martwy, nie można twierdzić, że nie żyje.

Wraz z Thierryem powtórzył trzykrotnie próbę, a potem spojrzał na Maksa i potrząsnął głową.

- Na zewnątrz czeka śmigłowiec. Chodźcie, zabierzemy was stąd. Tu nie jest bezpiecznie. A za chwilę rozszaleje się potwór na burza i helikoptery nie będą już mogły latać.

Max spojrzał w dół na leżące bez życia ciało swego najlepszego przyjaciela. Dlaczego nie płacze ani nie szlocha ze ściśniętym gardłem? Czemu nie czuje niczego oprócz zwierzęcego pragnienia, by dopaść swoją ofiarę?

- Chodźmy, chłopcze, jesteś wyczerpany - powiedział Thierry, podczas gdy jego towarzysz wziął na ręce ciało Sayida.

Max spojrział na zegarek. Była 10:59.

- Nie mogę. Za niecałe czterdzieści minut Tiszenko wysadzi tę górę w powietrze. Jest w wieży, dwa kilometry w głąb doliny. Jest tam podziemny system szyn...
- Posłuchaj, chłopcze - przerwał mu Thierry. - Ten tunel został zaminowany i zawalił się. Rura nadal tam jest, ale nie ma stamtąd żadnego wyjścia. Może najlepiej zapomnijmy o tym szaleńcu, co?
- Max, nikt nie pójdzie do tej doliny. Prosisz o zbyt wiele. Wszędzie tam walą pioruny - powiedział cicho Corentin.

Gordon potrząsnął głową.

- Proszę, Corentin, zawieźcie go do szpitala.

414

Ramię Sayida opadło bezwładnie. Max podniósł je i pogładził twarz przyjaciela. Poczul, że łzy napływają mu do oczu. Ciemna strona jego natury oderwała go jednak od Sayida. Odwrócił się i najszybciej, jak mógł, pobiegł do prywatnej windy Tiszenki.

Wsiadł do niej i nacisnął guzik. Winda nie poruszała się już w ekspresyjnym tempie, lecz widocznie zasilał ją jakiś specjalny awaryjny kondensator, gdyż po kilku sekundach Max wszedł do pokoju, w którym niedawno Tiszenko chełpił się przed nim swymi planami zyskania nieśmiertelności. Ścienne płyty były rozsunięte, a kryształ brzęczał i płonął blaskiem - nadal wpływały do niego potężne fale energii. To oznaczało, że podziemny rurociąg, wzdłuż którego Max poprzednio podróżował, jest energetyczną żyłą - akceleratorem cząstek, który rozpędzi je do prędkości światła za... Spojrział na zegarek Farentina. Była

11:15. Zostało dziewiętnaście minut.

„Utnij pazur niedźwiedzia”.

Na końcu sześćdziesięciometrowego apartamentu Tiszenki znajdowało się dwoje wielkich drzwi. Max otworzył jedno z nich i natychmiast zwałił go z nóg poryw wichru. Na zewnątrz była platforma widokowa, teraz smagana śniegiem i deszczem. Chłopiec potoczył się po podłodze, gdy burza wdarła się do środka i poczęła demolować kwaterę potentata. Raptem zauważył wilczą maskę udrapowaną na głowie wykonanego z brązu popiersia Tiszenki. Zerwał ją z zimnego metalu. Jej futro było miękkie, ale wycięcia na oczy nadawały jej przerażający wygląd. Maska myśliwego. Max nałożył ją i poczuł się, jak gdyby naprawdę wszedł w skórę drapieżnego wilka. W lustrze ujrzał odbicie wpatrującej się w niego dzikiej bestii i zadrżał. Mięśnie miał naprężone, a serce waliło szybko. Owładnęło nim głęboko zakorzenione pragnienie, aby rzucić się do ataku. Potem przypomniał sobie, że jest jeszcze druga platforma, z której Tiszenko startował paralołnią - i uświadomił sobie, że *to* jego jedyna szansa.

Szybko zjechał windą na dół.

415

11:20.

Na niebie zajaśniała rozwidlona błyskawica przypominająca drapieżne szpony - jak w logo koncernu Tiszenki. Po chwili piorun uderzył w zbocze góry i odłupał wielkie odłamki skał. Max wszedł do groty wykutej w skale, wystarczająco obszernej, by pomieścić niewielki samolot. Jednak zamiast samolotu ze sklepienia zwieszało się kilkanaście suszących się

paralotni. Wyglądały jak gigantyczne nietoperze, drżąc w burzowych podmuchach, które docierały aż tutaj.

Czterysta metrów nad głową Gordona kłębiły się zwały chmur. Gwałtowne błyskawice przesywały mrok, ukazując w widmowym świetle ich wnętrza. Max potrzebował przeciwnego wiatru. Jednym szarpnięciem otworzył drzwi wejściowe i poczuł się, jakby trafił w sam środek trąby powietrznej. Na tak dużej wysokości powietrze było zimniejsze, a wiatr bardziej porywisty. Lecz chłopiec miał tu doskonały punkt obserwacyjny. Widział dokładnie obie wieże oraz niesamowity spektakl trzaskających między nimi wyładowań. Tiszenko wykorzystywał zjawiska przyrody i przemieniał je w groźne, mroczne siły.

11:22.

„Utnij pazur niedźwiedzia”.

Wpięty ciasno w uprząż Max rozpostarł materiał paralotni, który dotąd trzymał w ramionach. Jak pies igrający ze szczurem wichur zawarczał, zawył i szarpnął tkaninę, porywając chłopca w powietrze. Max zanurzył się w surrealistyczny świat. W dole miał śnieg i lód, a nad głową skłębione czarne chmury. Dolinę przecinały błyskawice, oświetlając mu drogę. Pociągnął za linki paralotni, wypuszczając wiatr z czaszy spadochronu. Naprężona pajęczyna lin łączących go ze skrzydłem nad głową aż trzeszczała. Do uprząży były przymocowane kompas i wskaźnik prędkości. Max znał kierunek i kompas nie był mu potrzebny, jednak z prędkościomierza dowiedział się, że gna na wietrze niemal sześćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Zimne powietrze szczypało go w skórę, a kulki gradu kłuły w ręce. Zmagał się z wichurą, próbując nie dać się zepchnąć z kursu ku wieżom. W świetle błyskawic widział w dole poruszające się sylwetki. Wilki. Podążały za nim jak cienie; być może sądziły, że to ich pan unosi się w górze. A jeśli spadnie? Wówczas szybko zorientują się, że postać w wilczej masce nie jest Fe-direm Tiszenką. Lecz Max nie przejmował się tym. Miał wrażenie, że biegnie na czele stada - że je prowadzi.

Spostrzegł, że szybuje za wysoko i ominie wieże o prawie kilometr. Pociągnął w dół linki sterownicze, wyduszając powietrze z czaszy, i natychmiast zaczął szybko opadać. Zbyt szybko. Skorygował lot, przesunął ciężar ciała i osłonił ręką oczy, gdy kolejna błyskawica przecięła zasłonę deszczu. To był najbardziej szalony lot w jego życiu.

Wieże stały na ogrodzonym terenie. Przypominały strażnice w wojskowym obozie jenieckim, lecz dzieliło je zaledwie dwieście metrów. Zresztą nie było tam żadnych baraków, jedynie ceglany budynek przy płocie, do połowy wpuszczony w ziemię i wyglądający jak nastawnia elektrowni. Znajdował się w płytkim zagłębieniu, którego łagodne stoki biegły do podstaw obydwu wież.

Wicher owiewający górę ciskał spadochronem po niebie. Max wiedział, że właśnie przed tym wiatrem zrejterował Ti-szenko. Teraz sam musiał walczyć o życie. Szarpał linki, kierując się to w prawo, to w lewo, i opadał skokami przy górskim zboczu. Potem skręcił, dostał się w powietrzny wir, jeszcze bardziej ściągnął linki i runął w dół, prosto na ogrodzony teren.

Wieże oplatały ogniste sznury. Po chwili Max pojął, że to kable, którymi pioruny spływają do ziemi i trafiają do ceglanego budynku.

Na szczycie jednej z wież jakiś człowiek stał w sterowni zabezpieczonej

klatką z drucianej siatki. Błyskawice ciskały się wokół klatki jak rozwścieczone monstra, usiłując go dosięgnąć.

417

Lecz Tiszenko wiedział, że dopóki pozostaje w zerowym polu energetycznym, nic mu nie grozi. Gdyby jednak wystawił choćby tylko palec poza tę bezpieczną strefę, zginąłby na miejscu, niczym owad wlatujący w lampę łukową. Manipulował dwiema dźwigniami, które sterowały dziesięciometrowym parabolicznym zwierciadłem przypominającym wielki talerz telewizyjnej anteny satelitarnej. Chwytało ono energię piorunów i odbijało ją w kierunku identycznego lustra umieszczonego na szczycie drugiej wieży. Od czasu do czasu któraś błyskawica rozdzielała się i uderzała jednocześnie w oba zwierciadła, tworząc jeszcze potężniejszy ładunek elektryczny.

Tiszenko nie zobaczył ani nie usłyszał nadlatującego Maksa, lecz mimo to odwrócił się i wpatrzył w nocne ciemności, jak zawsze ostrzeżony swym szóstym zmysłem. Z nieba spadał jakiś czarny skrzydlaty stwór z wilczą głową. A więc Max Gordon ocalał i znów zaatakował - uświadomił sobie Tiszenko. Chłopak włożył maskę ludzi wilków, zatem tak jak oni musi być gotowy na śmierć.

Max wiedział, że spada za szybko. Gdyby teraz spróbował skrócić, wpadłby na ostry metalowy płot. Puścił wszystkie linki, osłonił rękami głowę i podkulił nogi.

„Gdy wszystko inne zawiedzie, pozostaje jeszcze panika!” -zawołał szyderczo jakiś głos w jego głowie.

Gdy linki sterownicze zwiotczały, czasza wydeła się powietrzem i

unosła się na dwa metry, a potem zawisła niemal nieruchomo. Dzięki temu chłopiec spadł z mniejszej wysokości, niż gdyby zeskoczył ze stołu w swoim pokoju w Dartmoor.

Rozpiął uprząż i pobiegł prosto w ognie piekielne. Pioruny trzaskały, wiatr wył potępieńczo w metalowej siatce klatki na wieży, a w oddali z nieba nad doliną spadała wirująca ognista kula, rozrywając chmury niczym meteor kaleczący nocny firmament.

Poprzez ryk burzy chłopiec usłyszał ludzki krzyk. To Tiszenko przeklinał Maksa Gordona.

418

11:30.

Rdzeń drugiej wieży stanowiła winda. Nie było żadnych drzwi - otwarta platforma błyskawicznie uniosła go w górę. Znalazł się w środku czegoś, co wydało mu się największym na świecie fajerwerkiem. Oślepił go nagły błysk; przed oczami przepłynęły im niewyraźne, rozmyte plamy. To Tiszenko skierował zwierciadło w dół i cisnął w wieżę Maksa błyskawicę -a potem następną. Energia piorunów trzasnęła w klatkę, w której stał chłopiec. Max spostrzegł na konsoli dwie dźwignie przypominające joysticki. Nacisnął guzik z napisem „Ręczne sterowanie”, szarpnął dźwignie i usłyszał szum prądu. Zwierciadło na jego wieży zareagowało natychmiast.

Gdy kierował talerz w niebo, ujrzał, że kula ognia jest jeszcze bliżej. Za doliną leżało Jezioro Genewskie wciśnięte pomiędzy łańcuchy górskie. Potężne uderzenie wzdłuż tej linii tellurycznej roztrzaska dno doliny jak skorupkę jajka rozbitego o brzeg patelni.

11:32.

Zostały tylko dwie minuty!

Tiszenko cisnął w wieżę Maksa następny piorun. Zatrzęsła się i przez chwilę Gordon obawiał się, że runie i rozpadnie się na kawałki. Jego zwierciadło pochwyciło błyskawicę i skierowało ją w wieżę Tiszenki. Jeżeli potentat chciał zagrać w ten sposób, Max, wyćwiczony na grach komputerowych Sayida, był gotowy podjąć wyzwanie.

Kula ognia rozrywająca niebo wyglądała teraz jak ognisty meteor spadający z łoskotem ku ziemi - lecz w rzeczywistości była ostrzem potężnej błyskawicy. Nikt nie przewidział wystąpienia tego naturalnego zjawiska - z wyjątkiem mnicha naukowca, który dokładnie przepowiedział straszliwy kataklizm, który miał się za chwilę wydarzyć. Ta kolczasta ognista pięść zdemoluje wnętrze góry za niespełna...

11:33.

„Utnij pazur niedźwiedzia”.

419

Tiszenko zamordował Sayida! Gniew Maksa wybuchł równie gwałtownie jak szalejąca wokół burza, a skupienie odgrodziło go od potwornego huku piorunów. Chłopiec i zbrodniarz wymieniali ciosy. Błyskawice ścierały się ze sobą jak średniowieczne miecze w tym pojedynku na dwustumetrowym polu walki pomiędzy wieżami.

Tiszenko znów ciął wieżę Maksa straszliwą błyskawicą, której blask oświetlił cały ogrodzony teren. Spostrzegł, że chłopiec zatoczył się od tego ciosu, potknął i upadł na podłogę klatki.

Jaskrawy błysk zalał światłem całą dolinę. Max wpatrzył się w górującą

nad nim czarną potworną górę. Wznosiła się w niebo, roztrącając chmury. Jej wierzchołek przypominał łeb niedźwiedzia, a poszarpane granie wbijały się w dno doliny... jak pazury.

„Utnij pazur niedźwiedzia”.

Umysł chłopca zareagował błyskawicznie, niczego nie twierdząc ani niczemu nie zaprzeczając.

11:34.

Kosmiczny grom uderzył.

Max przesunął dźwignie.

Ognista błyskawica odbiła się od jego zwierciadła i odcięła ostry skalny fragment grani, który w tym momencie wyglądał jak niedźwiedzi pazur.

Całe życie Fedira Tiszenki skupiło się w tej jednej mikrosekundzie. Był bogiem ognia, który zniszczy życie, a potem na nowo je stworzy. W dzieciństwie został dotknięty przez niszczącą moc z nieba, więc był pewien, że teraz nic mu już nie grozi. Toteż zaskoczył go palący ból, który przeszył mu pierś i rzucił go na drucianą siatkę klatki. Oko burzy dostrzegło i rozpoznało jej dawno utraconego syna. Sięgnęła po niego bezlitosnym sztyletem błyskawicy i zabrała go z powrotem do siebie.

Max miał wrażenie, że czas zwolnił bieg. Jego wieża się waliła, zbocze góry eksplodowało, a Rekinia Twarz stał na oświetlonym ognistym blaskiem śniegu obok motocykla, trzymając w rę-

420

kach myśliwski łuk Tiszenki, z którego przed chwilą wypuścił strzałę. Jej stalowe ostrze przebiło na wylot pierś potentata i wysunęło się poza klatkę:, wystawiając swą ofiarę na uderzenie pioruna.

Wieża Maksa runęła powoli; osunęła się ciężko jak rycerz w zbroi pokonany w pojedynku. Chłopiec przywarł do ściany klatki. Usłyszał zgrzyt metalu, gdy budowla miażdżyła ogrodzenie, a potem huk i ostatni, przedśmiertny jęk stalowej konstrukcji wieży.

Ziemia zadrżała, wicher skłębił chmury i w ciągu godziny kryształowo przejrzysta noc pokryła mrozem cały teren i bezwładne ciało Maksa.

A potem zjawiły się wilki.

Milczenie można kupić, a niewygodne fakty wytłumaczyć przy pomocy półprawd i naukowych wyjaśnień. W bitwie stoczonej samotnie przez Corentina i Thierry'ego ze strażnikami Tiszenki zginęło kilkunastu ludzi. W oficjalnych raportach podano, że siedmiu spośród nich było członkami zespołu alpinistycznego, który utknął na cieszącym się złą sławą północnym stoku Cytadeli. Ci niedoświadczeni wspinacze odpadli od ściany podczas niewielkiego trzęsienia ziemi, jakie w nocy nawiedziło ten region. Zaś pięciu ratowników straciło życie, próbując sprowadzić ich ze zbocza. To była prawdziwa tragedia.

Jedna z niżej położonych wiosek została poważnie zniszczona, ale na szczęście obyło się bez ofiar śmiertelnych. Uratowano kilku uczonych, którzy w mieszczącym się w Cytadeli centrum badawczym dokonywali lokalnych pomiarów aktywności sejsmicznej. To tłumaczyło obecność w tym rejonie szwajcarskich i francuskich oddziałów policji; rzecznik rządu nazwał ich akcję wspólnym przykładem przygranicznej współpracy. Prawda wyglądała tak, że naukowcy Tiszenki zostali zatrzymani w szpitalach psychiatrycznych, których lokalizacji nie ujawniono.

Winę za wszystkie te wydarzenia przypisano zmianie klimatu i wyjątkowo niesprzyjającym warunkom pogodowym.

- Obudź się, chłopcze - rzekł szorstko Corentin.

Potrząsnął Maksem, odgarnął z jego ciała szron i śnieg, a potem kilka razy uderzył go delikatnie w policzek - na tyle delikatnie, na ile potrafił to zrobić ktoś taki jak Corentin - aż wreszcie chłopiec się ocknął.

- W porządku, nic mi nie jest - wymamrotał. - Corentin... co się stało?

Potężny mężczyzna dźwignął go na nogi.

- Kawaleria przybyła z odsieczą, spóźniona jak zwykle, ale to właśnie jej przypadła cała chwała - odezwał się Thierry. - Zawsze tak jest.

Max przypomniał sobie śmierć Tiszenki.

- Gdzie jest Rekinia Twarz?
- Kto? - spytał Corentin.
- Był tu pewien chłopak. On zabił Tiszenkę.
 - Trzeba mu dać medal - stwierdził Thierry. - Nie zastaliśmy tu nikogo oprócz ciebie i wilków.
- Stada wilków? - upewnił się Max.
 - Zgadza się. Wałęsał się też tutaj niedźwiedź polarny na swobodzie. Miał wielką ochotę zjeść cię na śniadanie - powiedział Corentin.
- Nie rozumiem... - rzekł chłopiec.
- Stado otaczało cię kręgiem, a jeden wielki wilk...
 - Jeden wielki zły wilk - przerwał Thierry swemu towarzyszowi, gdy obaj pomagali Gordonowi podejść do samochodu.

- Ten wilk nie pozwolił nikomu zbliżyć się do ciebie, a stado... no cóż, nigdy przedtem nie widziałem czegoś takiego... trzymało tego polarnego niedźwiedzia z dala od ciebie.
- Chyba nie zabiliście tych wilków? - zaniepokoił się Max.

422

- Oddaliśmy tylko kilka strzałów w powietrze. Przewodnik stada nie uciekł, ale Corentin przemówił do niego jak do swojego domowego pudła i wtedy zwierzę odeszło.
- Nie wygłupiaj się - westchnął Corentin. - Nie mam pudła ani w ogóle żadnego psa — wyjaśnił, a potem otworzył przednie drzwi audi i ostrożnie posadził chłopca w fotelu dla pasażera.

Max nigdy jeszcze nie był tak wdzięczny za podwiezienie do domu. Czuł się, jakby przejechał po nim walec.

- Ja usiądę z przodu - rzekł cicho Thierry marudnym tonem do Corentina, który okrążył samochód, żeby otworzyć drzwi od strony kierowcy.

Max spostrzegł, że Corentin się uśmiechnął, więc powiedział:

- Z tyłu dostaję mdłości.
- Ja też. Wsiadaj - polecił mu Thierry.
- Zostaw go - odezwał się Corentin. - Nie chcę, żeby zaczął wymiotować w samochodzie. I tak wiele już przeszedł.

Podał butelkę wody Maksowi, który chciwie ją wyżyłopał.

- A jeśli mnie zemdli? - spytał Thierry.

- Powstrzymasz się - odparł Corentin, włączając silnik. Thierry wcisnął się na tylne siedzenie.

- Muszę mieć otwarte okno - oznajmił.

- Świetnie - rzucił Corentin, odjeżdżając z tej zdewastowanej okolicy; opony z kolcami zostawiały na śniegu głębokie ślady.

- I zwalniam na zakrętach - dorzucił jego towarzysz.

- Zamknij się.

Max nie usłyszał już dalszego ciągu przekomarzania się obydwu mężczyzn. Zapadł w głęboki sen, z którego obudził się szesnaście godzin później w szwajcarskiej prywatnej klinice.

Urok Szwajcarii polega nie tylko na jej pięknych wiejskich krajobrazach, lecz także na dyskretnych prawach. Aferę zatuszowano, a wszyscy, którzy w niej ucierpieli, zostali wysłuchani

423

przez naukowców, a następnie agencje rządowe zapewniły im ochronę, opiekę lekarską oraz wszelką możliwą pomoc.

Uczeni wyjaśnili, że fragment grani, który Max wysadził w powietrze, runął do rozpadlin i lodowych szczelin leżących pod dnem doliny, co zapobiegło temu, by fala uderzeniowa wdarła się w Jezioro Genewskie, zdemolowała aparaturę badawczą CERN-u, zniszczyła środowisko naturalne i pochłonęła niezliczoną liczbę ludzkich istnień. Nie mogli pojąć, skąd Max Gordon wiedział, że właśnie tak należało zrobić.

- Dowiedziałem się od Zabali - wyjaśnił im.

- Od tego dawno skompromitowanego naukowca? - spytali drwiąco.

Chłopiec nie mógł im przedstawić żadnego dowodu. Kamień z medalionu uległ zniszczeniu podczas śmierci Tiszenki. Max pomyślał, że

być może wystarczy, iż on sam zna prawdę. Odkrył, że dobrze jest żyć i oddychać swobodnie czystym wysokogórskim powietrzem, nie obawiając się niebezpieczeństwa czyhającego za każdą skałą.

Rekinia Twarz uciekł tamtej nocy. Zniknęła też wilcza maska, którą Max miał na twarzy. Widocznie chłopak uznał, że Max nie żyje, i zabrał ją, zanim zjawily się wilki. Kto wie? Być może temu wyrzutkowi wystarczyło to, że zabił Tiszenkę i zdobył maskę *vucari*.

- Co się stało z olbrzymim kryształem z wnętrza góry? - za pytał Max Corentina.

Potężny Francuz wzruszył ramionami.

- Skąd mam wiedzieć? - rzekł. Był tylko byłym żołnierzem legii cudzoziemskiej, którego wynajęto, żeby uratował parę na stolatków. Co nie znaczy, że Max potrzebował jego pomocy.

Gordon wiedział, że jego DNA zmieszano z materiałem genetycznym jakiegoś drapieżnika i umieszczono w tym kryształ. Gdzie on się podział? Lekarze i naukowcy, których o to wypytywał, twierdzili, iż nie mają o tym pojęcia.

424

Sprawa była zamknięta. Oficjalnie w ogóle nic się nie wydarzyło. Takie było stanowisko rządów.

Max miał po prostu szczęście, że wszystko dobrze się skończyło. Czy wierzył w szczęście? A może uważał taką wiarę za przesadę? Nie zastanawiał się nad tym. Najważniejsze, że szczęście mu sprzyjało.

Trzy inne osoby siedziały obok niego na drewnianych leżakach z wygodnie podpartymi kontuzjowanymi nogami, kąpiąc się w promieniach

późnozimowego słońca.

Kontuzjowanym kolanem Sophie Fauvre zajął się najlepszy szwajcarski chirurg ortopeda. Rozpromieniła się na widok Maksa, ale z niepokojem spostrzegła jego osłabienie. Corentin powiedział jej, że to wyczerpanie bojowe. Max doświadczył czegoś strasznego, o czym prawdopodobnie jeszcze przez długi czas nie będzie w stanie rozmawiać. Trzeba dać chłopakowi trochę spokoju. Potrzebuje tego.

Sophie zrozumiała. Zamierzała wrócić do ojca, żeby pomóc mu chronić zagrożone wymarciem gatunki zwierząt, i miała nadzieję, że Max powróci do domu i uda mu się porozmawiać ze swoim tatą.

Objęła chłopca.

- Hej! - zagadnęła.
- Tak, jest super - odparł z uśmiechem.

Bobby'ego Morrella przywieziono do tej kliniki z francuskiego szpitala. Wciąż jeszcze był milczący i przygnębiony. Jego złamana ręka, noga i żebra z czasem się zrosną, ale ból z powodu śmierci babki nie minie tak łatwo.

Jednak zdaniem Maksa szczęście okazało się najbardziej hojne dla Sayida. Badano go i wypytywano przez tydzień. Od czasu, gdy przed kilku laty pewien Japończyk doszedł do siebie po zamrożeniu na szczycie góry, nikt nie przetrwał takiego intensywnego zimna. Lekarze byli zgodni - Sayid zapadł w stan hi-potermii podobny do hibernacji. Funkcje jego mózgu i innych

organów zostały zatrzymane jak w zawieszonym komputerze. Później

całkowicie odzyskał zdrowie.

Wszyscy czworo siedzieli otuleni w koce i wpatrywali się ponad parkiem kliniki w ośnieżone górskie szczyty. Popijali gorącą czekoladę przyniesioną przez pielęgniarkę, która wpadła w oko Bobby'emu.

- Naprawdę nie mam pojęcia, jak mnie znalazłeś - rzekł Sayid do Maksa, wiedząc, że pewnego dnia przyjaciel opowie mu ze szczegółami całą tę historię.
- Usłyszałem, jak chrapiesz - odparł Max.

Roześmiali się, lecz Gordon zaraz pograżył się w milczeniu, pozwalając, by pozostali rozmawiali i przekrzykując się nawzajem, relacjonowali własne przygody.

Angelo Farentino zniknął jak kamfora w zamieszaniu akcji ratunkowej prowadzonej przez szwajcarskie i francuskie siły policyjne, lecz jego słowa o tacie nie przestawały ranić Maksa. Co naprawdę stało się z mamą? Czy ojciec wiedział, że Farentino ją kocha? Chłopiec stanął w obliczu nieznaney i niepewnej przyszłości. Musi poznać prawdę o śmierci matki.

A także dowiedzieć się, czy ojciec go okłamał-

Usłyszał w oddali niosący się echem ryk niedźwiedzia, a po chwili w odpowiedzi wycie wielkiego wilka i zadrzał. Miał wrażenie, że te zwierzęta go wzywają.

- Słyszeliście? - zwrócił się do przyjaciół.
- Co takiego? - spytali.

Max potrząsnął głową i znów wpatrzył się W odległe góry.

- Nic - odparł i uśmiechnął się. - Musiało mi się wydawali

Nota od autora

Szczyty górskie Mont la Croix i Montagne Noir wymyśliłem na potrzeby tej opowieści, ale jeśli jesteście początkującymi czy nawet doświadczonymi narciarzami lub snowboardzistami, powinniście przestrzegać zasad bezpieczeństwa dotyczących chodzenia po górach. Zmiana klimatu oznacza zwiększone ryzyko występowania lawin, toteż gdy jeździcie poza wyznaczonymi trasami, zabierajcie ze sobą komórkę lub radiotelefon. Jeśli bowiem przysypie was lawina, jest szansa, że zespół ratowniczy zdoła dotrzeć do was na czas.

Chateau d'Antoine d'Abbadie wygląda niemal tak, jak je opisałem, chociaż jego stary francuski dozorca jest postacią fikcyjną i zupełnie nie przypomina uroczej damy, która oprowadzała mnie po tej rezydencji. W moim blogu umieszczę zdjęcia tego miejsca.

Biarritz to europejska miejscowość tłumnie odwiedzana przez miłośników surfingu. Hrabina jest postacią fikcyjną, jednak jej rezydencja znajduje się mniej więcej tam, gdzie ją umieściłem w powieści. Stanowi własność prywatną, toteż nie mogę podać więcej szczegółów.

CERN, czyli Europejskie Centrum Badań Nuklearnych, istotnie posiadało tunel, który zawalił się w 1986 roku. Rząd Szwajcarii uważa, iż kraj jest narażony na ryzyko wystąpienia trzęsień ziemi, gdyż leży na skraju euroazjatyckiej płyty tektonicznej, zaś szczególne zagrożenie występuje- w rejonie Yalais, gdzie mieściła

się siedziba Tiszenki. Specjaliści obawiają się, że osuwiska wpadające do miejscowych jezior i zbiorników wodnych mogą spowodować potężne fale pływowe.

Prądy telluryczne są znane od czasów starożytnych. W dzisiejszych czasach między innymi geobiolodzy wykorzystują prądy telluryczne i magnetotelluryczne do badania obszarów pod powierzchnią Ziemi.

W trakcie przygotowań do napisania tej książki dowiedziałem się bardzo wiele o błyskawicach i piorunach. Rosyjski uczony Aleksy Gurewicz z Instytutu Fizyki im. Lebediewa wysunął hipotezę, że uderzenia piorunów są wywoływane przez promieniowanie kosmiczne, które jonizuje atomy i wytwarza lawinę relatywistycznych elektronów przenikających przez chmury.

W 1901 roku Nikola Tesla skonstruował swój słynny generator wytwarzający ładunki elektryczne - wysokoenergetyczne uderzenia „piorunów”. Błyskawice są zjawiskiem, o którym wciąż niewiele wiemy, jednak zbudowano już wieże wzorowane na wynalazku Tesli. Ciągłe wyładowania elektryczne piorunów można „ciskać” pomiędzy dwiema wieżami. Eksperymenty w tym zakresie - okiełznania i wykorzystania błyskawic - przeprowadzano już w 1932 roku, kiedy to dwaj naukowcy rozciągnęli kabel pomiędzy dwoma szczytami alpejskimi. Wytworzono wówczas iskry o kilkusetstopowej długości, a ci uczeni planowali zainstalować rurę służącą do przyspieszania cząstek, jednak śmierć jednego z nich sprawiła, że ten projekt zarzucono.

Oczywiście kryształy naprawdę mogą przenosić energię i informację. Naukowcom ze Stanford University udało się umieścić trójwymiarowy obraz (*Mona Liza*) w kwarcowym kryształ, a potem wydobyć go stamtąd. Niektórzy uczeni utrzymują, że początki życia miały formę krystaliczną, a dopiero później władzę przejęła genetyka i rozwinęła życie w postaci komórkowej.

Jednym z najbardziej interesujących wyzwań podczas pisania tej książki była próba znalezienia ruchów planetarnych

428

synchronicznych z ważkimi wydarzeniami na Ziemi. Napisałem *W szponach Lucyfera* w 2007 roku, umieszczając akcję w zimie 2007/2008. Książka ukaże się w lecie 2008 roku, toteż musiałem przewidzieć potencjalną katastrofę, która wydarzyłaby się w okolicach marca 2008.

Mój dylemat polegał na tym, w jaki sposób wytłumaczyć, że Zabala - naukowiec i astronom, który interesował się również astrologią - mógł się tak bardzo pomylić, przepowiadając katastrofę dwadzieścia lat wcześniej. Szukałem realnej sytuacji, w której koniunkcja planet odzwierciedliłaby potencjalne katastrofalne wydarzenia na Ziemi w danym rejonie.

Przez wiele miesięcy współpracowałem ze znakomitym astrologiem Davidem Matthewsem, który w pewnym momencie uświadomił sobie, że odkryte niedawno trzy planety Eris, Sedna i Quaoar mają pewne astrologiczne właściwości lub energie, które mogą odzwierciedlać określone ziemskie wydarzenia. Mój stary mnich astrolog Zabala nie mógłby o nich wiedzieć i tym samym pominąłby istotny czynnik podczas opracowywania swej pierwotnej prognozy. Potem mój astrologiczny ekspert ustalił, że koniunkcja właśnie tych trzech ciał niebieskich nastąpiła w marcu 1988, a do kolejnej identycznej dojdzie w marcu 2008.

Niektóre gwiazdy i planety łączy związek z wydarzeniami na Ziemi. Niekoniecznie wywołują one te wydarzenia, natomiast je odzwierciedlają. Kosmos stanowi jedność, toteż można uważać za prawdziwy zwrot: „jako w niebie, tak i na ziemi”.

Tak więc obecnie posiadam diagram ukazujący identyczny stopień koniunkcji planet w latach 1988 i 2008. Uwalniane siły wytworzone przez człowieka reprezentuje Uran - tak więc nieoczekiwanie ta planeta (podobnie jak pozostałe) była w odpowiednim punkcie nieba, by ściśle pasować do mojej opowieści. Pluton i Koziorożec reprezentują wielką transformację w dokładnie tym samym okresie. Tak więc moje studia nad astrologią odegrały istotną rolę w powstaniu powieści.

429

A dzikie zwierzęta przedstawione w tej książce? Nie tylko zmiana klimatu bezpowrotnie unicestwia jedne gatunki, a inne wystawia na niebezpieczeństwo. Istnieje również potworny proceder handlu zwierzętami z gatunków zagrożonych wymarciem. W powieści zaledwie dotknąłem tej kwestii, ale nielegalne praktyki chwytania zwierząt w pułapki, transportowania statkami i mordowania są szeroko rozpowszechnione. "Więcej informacji na ten temat można znaleźć w publikacjach książkowych dostępnych w bibliotekach oraz na stronach internetowych. Oto nazwy kilku z nich, które zainteresowani czytelnicy być może chcieliby odwiedzić:

www.org.uk

kidsplanet.org

newscientist.com/channel/life/angered-species/

Podziękowania

Niewiele osób posiada wiedzę o mieszkańcach Kraju Basków, ich kulturze i mowie, toteż jestem niezmiernie wdzięczny Louise Letoux za przetłumaczenie tekstu, który chciałem zamieścić w języku baskijskim. Astrolog David Matthews poświęcił mi cierpliwie wiele godzin, gdy usiłowałem wymyślić jakąś prawdopodobną katastrofę. Elizabeth i Victoria Chiazzari udzieliły mi kilku fachowych rad w zakresie kajakarstwa górskiego. Oli-ver Wren uprzejmie zechciał przeczytać i skomentować fragmenty powieści dotyczące snowboardingu, a doktor Grenville Major był jak zawsze moim konsultantem w kwestiach medycznych. Wszelkie pomyłki - świadome lub mimowolne - w dziedzinach, w których korzystałem z ich pomocy, obciążają oczywiście wyłącznie mnie.

Pragnę raz jeszcze podziękować Keithowi Chiazzari i Jamesowi McFarlane'owi za ich nieoceniony wkład w powstanie tej książki. Moja agentka Isobel Dixon potrafi rozproszyć burze, zanim przekształcą się w huragany, i bywa bezpiecznym portem dla skołatanego statku.

Mam szczęście współpracować w wydawnictwie Puffin Books ze wspaniałym zespołem ludzi. Ich niesłabnący entuzjazm dla Maksa Gordona w Niebezpiecznej Strefie stanowi dla mnie olbrzymi bodziec. Tom Sanderson za pomocą swego pudełka farb tworzy cudowne okładki. Carl Rolfe, Andy Taylor i Brigid Nelson udzielają mi gorącego wsparcia. Moja redaktorka Lindsey

Heaven poświęciła tej książce wszystkie swoje zdolności, a Wendy Tse i jej grupa adiustatorów wychwycili wszystkie moje błędy.

Dziękuję Emily, Sophie oraz pełnej energii Jody Mullish, która zawsze

czyni „wyjazd w trasę” tak łatwym. Niech cieszy się własną przygodą w Amazon i znajdzie prawdziwy kompas, który wskaże jej drogę za horyzont.

Niedźwiedzie

Europejskie niedźwiedzie brunatne, spokrewnione z amerykańskimi grizzly, zamieszkiwały niegdyś licznie lasy i doliny Pirenejów. Masowe polowania oraz zniszczenie ich siedlisk sprawiły jednak, że w latach osiemdziesiątych pozostała ich zaledwie garstka. W 1996 roku dokonano próby odbudowania populacji poprzez osadzenie w tym rejonie niedźwiedzi brunatnych ze Słowenii, mimo to wciąż są one gatunkiem zagrożonym wymarciem. W 2004 roku myśliwy zastrzelił niedźwiedzicę uważaną przez ekologów za ostatnie zwierzę tego gatunku, wywodzące się pierwotnie z Pirenejów.

NAJWAŻNIEJSZE DANE

NAJWYŻSZY SZCZYT:

- Pico d'Aneto (3404 m n.p.m.)

(42° 37' 56" N, 0° 39' 28" E)

PAŃSTWA: Francja, Hiszpania i Andora GŁÓWNE JĘZYKI, francuski, hiszpański, kataloński, a także baskijski, prowansalski, aragoński i portugalski

Alley-oop - wykonywany w rynnie half-pipe przewrót w górę o co najmniej 180 stopni.

Beton - zmrożony lub bardzo twardy śnieg.

Fakie - jazda tyłem.

Mogul - wybój na śniegu utworzony przez narciarzy.

Sępy - widzowie gromadzący się przy niebezpiecznych odcinkach trasy.

Gleba - upadek.

JAK PRZETRWAĆ ZEJŚCIE LAWINY

- Ostrzeż krzykiem inne grupy turystów o niebezpieczeństwie -ale nie za głośnym, żeby nie spowodować następnej lawiny.
- Złap się mocnego drzewa albo jakiegoś głazu.
- Zaczynij wykonywać ruchy pływaka, trzymając głowę odwróconą w bok, żeby pozostać na powierzchni śnieżnej fali.

- Pozbądź się swojej deski snowboardowej/nart - będą ci tylko przeszkadzać w utrzymaniu się nad śniegiem.
- Jeżeli zostaniesz zasypany, spróbuj odsunąć śnieg przy nosie i ustach, żeby móc oddychać.